

# DOKTRYNA WOLFFA

*Polacy znowu na Kremlu!  
Polskie czołgi nacierają na stolicę Rosji.  
Polskie siły specjalne zdobywają moskiewskie lotniska.  
Polski wywiad zaraz dorwie Putina...*



*Wolff*  
2014

**Vladimir Wolff**  
**DOKTRYNA WOLFFA**

© 2014 Vladimir Wolff

© 2014 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: Sławomir Brudny

Redakcja i korekta językowa: Zespół redakcyjny

eBook, redakcja techniczna, skład, typografia:

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: Tomasz Tworek

ISBN 978-83-64523-15-1

Ustroń 2014

Wydawca: Warbook Sp. z o.o.

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń, www.warbook.pl

## PROLOG

Młody iglasty las w tym miejscu był szczególnie gęsty. Wysoka, zbita ściana zieleni ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Miało to swoje dobre strony – w tym labiryncie łatwo było zniknąć. Palisada rudych pni wokół ograniczała widoczność do kilkunastu metrów, a niewysokie pagórki dawały złudne poczucie bezpieczeństwa. Tylko wszechobecne gałęzie i gałązki zahaczały o mundury i oporządzenie, co upodabniało marsz do przedzierania się przez niekończące się kolczaste krzaki.

Ten las od innych różniło jeszcze coś. Kapitan Timothy Walsh zauważył to, gdy tylko desantował się ze swoimi zwiadowcami z Black Hawka UH-60. Wszystko wyglądało na martwe. Nie widział i nie słyszał ptaków, o obecności dzikich zwierząt nie wspominając. W powietrzu unosił się swąd spalonych, chemikaliów i czegoś, co kapitanowi kojarzyło się z prosektorium.

Walsh i siedmiu jego ludzi nie byli żóttodziobami. Jako zwiadowcy 62 MEU (Jednostki Ekspedycyjnej Piechoty Morskiej) widzieli niejedno, zwłaszcza w przeciągu ostatnich paru tygodni.

Niektórym aż trudno było uwierzyć, że jest dopiero 20 maja. Jeszcze 9 maja nic nie wskazywało na wybuch światowego konfliktu. Niemniej terroryści, którzy opanowali rosyjskie wyrzutnie rakiet balistycznych, wiedzieli, co robią. Jeden pocisk spadł na Morze Karskie wprost na nowe pola wydobywcze ropy i gazu, niszcząc przy okazji luksusowy wycieczkowiec z tysiącami ludzi na pokładzie, wśród których znalazł się premier Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew. Drugi, który próbowano zestrzelić dopiero tuż nad Moskwą, wywołał w stolicy efekt elektromagnetyczny o niespotykanej do tej pory skali. Dalej wszystko poszło już szybko. Rosja zaczęła pękać w szwach, Władimira Putina nie przekonały zapewnienia, że Stany Zjednoczone nie mają z tym nic wspólnego, a parę nieprzemyślanych posunięć postawiło sprawy pomiędzy mocarstwami na ostrzu noża.

•

Idący w szpicy zwiadowca przystanął. Gdy znieruchomiał, z uczernioną twarzą i w kamuflażu, stał się zupełnie niewidoczny. Reszta poszła za jego przykładem, poszukała ukrycia i stopiła się z terenem.

– O co chodzi? – zapytał Walsh przez radio.

– Według GPS-a już prawie dotarliśmy – usłyszał w odpowiedzi.

Kapitan zerknął na własny hełmowy HUD i sprawdził pozycję. Kapral miał rację. Znajdowali się najwyżej pięćdziesiąt jardów od drogi będącej celem misji. Rozejrzał się ponownie, by dojrzeć niebezpieczeństwo. Cisza jak wcześniej. Nawet najbliższy wiaterek nie szumił pomiędzy gałęziami, jedynie smród wyraźnie się nasilił. Obrócił się i dostrzegł wbitych w niego sześć par oczu. Ludzie zachowywali spokój, choć czuło się napięcie.

– Naprzód.

Przed nim z zachodu na wschód rozciągał się garb terenu. Walsh zatrzymał wszystkich i sam się na niego wspiął. Mniej więcej w połowie pagórka skulił się w sobie, opadł na kolana i położył na brzuchu. Ostatni odcinek pokonał, odpychając się tylko stopami. Wystawił do góry karabinek M4 z zainstalowaną kamerą. Na wyświetlaczu zobaczył, co znajduje się za wzniesieniem. Przełknął ślinę – właśnie czegoś podobnego się spodziewał. Uniósł się, przyłożył automat do ramienia i sam spojrzał na pobojuwisko. Przed nim rozciągał się widok jak z sennego koszmaru. Podczas niedawnej ofensywy wojsk Federacji w tym właśnie miejscu została zbombardowana rosyjska brygada. Co najmniej kilkaset wraków czołgów, bojowych wozów piechoty, pojazdów zwiadowczych i ciężarówek zaśmiecało szosę wiodącą z Pskowa do Voru w Estonii.

To zgrupowanie nawet nie zdążyło powalczyć. Super Hornety i Falcons dorwały je tuż za granicą. Naloty powtarzały się aż do skutku, to jest do czasu pełnego wykluczenia go z działań. Nie trwało to długo – po obezwładnieniu systemów przeciwlotniczych przyszła kolej na oddziały pancerne i zmechanizowane. Amunicja kasetowa czyniła ogromne spustoszenie. Większość żołnierzy poległa w swoich pojazdach, zapewne nawet nie zdając sobie sprawy, co się dzieje.

Kapitan wstał z kolan. Przez chwilę przyglądał się wrakom we wszystkich możliwych stadiach

destrukcji. Niektóre spłonęły doszczętnie, inne wyglądały jedynie na lekko uszkodzone. Niespodziewanie żołądek podjechał mu do gardła. Hektolitry spalonego paliwa nie zdołały zamaskować mdławej woni rozkładu. Czuć ją było wszędzie. Kaszlnął raz i drugi. Szybko rozwinął pasek miętowej gumy do żucia i wsunął do ust.

Z miejsca, w którym stał, szosa wyglądała tak, jakby jej środkiem przeszło ogniste tornado, pozostawiając na obrzeżach koszarne, poczerńiałe złomowisko. Sporo maszyn powbijało się w inne, tworząc upiorne rzeźby. Niektóre stały z dala od pozostałych, tam gdzie dopadło je przeznaczenie.

Walsh szybko się zorientował, że to nie setki, lecz tysiące wraków tkwią na tej strasznej drodze. Pojazdy wojskowe mieszały się z cywilnymi i budowlanymi. Nawet z autokarami. Jeden z nich leżał tuż przed nim. Amerykanin zmusił się, by sprawdzić, co jest w środku. Szkielet był całkowicie ogołocony z szyb, zaś z opon i plastików zostały czarne smugi na blachach karoserii. Przód był zmiażdżony, więc kapitan skierował się do tyłu. M4 wycelował przed siebie. Im bliżej, tym bardziej nieswojo się czuł. Właściwie, czego się bał? Chyba jedynie tego, co zobaczy.

Zajrzał do środka, lecz niewiele dostrzegł. Rozsuwane drzwi były otwarte. Na stopniach spoczywał wojskowy kamasz. Trącił go butem. Dopiero gdy podniósł wzrok wyżej, dostrzegł ciało, a właściwie to, co z niego zostało. Nie chciał już wchodzić, zrobił jeszcze tylko parę kroków wzdłuż boku pojazdu. Natychmiast tego pożałował.

Nalot zaskoczył pasażerów zapchanego do granic możliwości autokaru – ich zwęglone szczątki wypełniały szkielet maszyny. Fragmenty spazmatycznie powykrzywianych rąk, może głów, wystawały ponad krawędzie okien. Walsh wiedział, że ten widok pozostanie w jego pamięci do końca życia.

Zawrócił i zobaczył roztrzaskany BMP. W otwartych drzwiach desantowych tłoczyły się poczerńiałe ciała. Jednemu żołnierzowi nawet udało się wyskoczyć. Leżał teraz przy gąsienicy z szeroko rozrzuconymi ramionami, spalony na węgiel.

W to miejsce dowództwo powinno wysłać nie zwiadowców, a drużyny grabarzy. I to najlepiej kilka od razu. Pracy dla nich było tu w nadmiarze.

Wycofał się w miejsce wolne od zwłok i wraków. Nie wszyscy podkomendni tak dobrze znieśli widok zmasakrowanych ciał, jak on. Jeden z sierżantów kucał, oparłszy dłonie na resztkach Kamaza, targany gwałtownymi torsjami. Tego pojazdu nie potraktowano kasetówką, raczej seriami z działek pokładowych. Pod poszarpaną plandeką kłębiła się sterta ciał i rojowisko much.

Walsh stanął za nim i klepnął go w plecy, gestem nakazując zejść na pobocze. Młody człowiek podniósł się niepewnie i rękawem bluzy wytarł nitki gęstej śliny, zwisające mu z ust.

– Nie przejmuj się. Każdemu może się zdarzyć.

Kapitan przywołał wszystkich do siebie i oddział ponownie zagłębił się w las, maszerując na wschód. Według wskazań GPS-a znajdowali się niecały kilometr od granicy z Federacją Rosyjską. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, powinni tam dotrzeć w kwadrans. Każdy z nich liczył się z możliwością napotkania Rosjan, lecz do tej pory nie natknęli się na ani jednego – żywego. Polegli się nie liczyli. Pięćset metrów dalej Walsh zatrzymał grupę, wystawił ubezpieczenie i z dwoma najtwardszymi, jak mu się wydawało, zwiadowcami ponownie skierował się na międzynarodową szosę.

W tym miejscu ucierpiała nie tylko sama jezdnia z poboczem. Po jej obu stronach ciągnął się pas wypalanej ziemi o szerokości kilkudziesięciu metrów. Ze sporej części drzew pozostały nadpalone kikuty pni. Dlaczego nie spaliły się do końca? Być może przyszedł deszcz i zgasił pożar. Tak podpowiadała logika. Wolał zastanawiać się nad takimi szczegółami, gdy przyszło mu poruszać się wśród tych zgłiszczy. Poza tym szlak wyglądał podobnie do drogi na Voru, którą szli niedawno – okopcony, pogięty złom tkwił na drodze i poboczach. Przy każdym kroku spod butów wzbijał się szary kłęb lotnego popiołu. Okolica wyglądała jak plan filmu katastroficznego. Tyle że to nie był film.

– Szefie. – Stłumiony głos jednego z sierżantów wyrwał kapitana z odrętwienia.

– Co jest?

Ten nie odpowiedział, tylko palcem wskazał kierunek. Koncentracja powróciła momentalnie. Daleko na prawo kręcili się jacyś ludzie.

Wszyscy wiedzieli, co robić. Pierwszy ze zwiadowców skrył się w przydrożnym rowie i omiół okolicę lufą karabinu maszynowego M249 SAW. Drugi znalazł się za rozbitym ciężarowym Ził-em 131. Ślady niewielkiego krzyża w jaśniejszym tle na karoserii pozwalały rozpoznać w wozie mobilny punkt sanitarny. Walsh przykucnął za wypaloną do cna skorupą UAZ-a.

Zza krawędzi maski wystawił karabinek, ustawiając pokrętłem ogniskową kamery na zbliżenie. Chwilę trwało, zanim zlokalizował miejsce wskazane przez sierżanta.

Obcy nie wyglądali na żołnierzy, mimo iż byli uzbrojeni. Naliczył ich co najmniej dziesięciu, w niekompletnych sortach mundurowych, spod których wystawały części cywilnej garderoby. Im dłużej się im przyglądał, tym mniej wiedział, co o nich sądzić. Nie zachowywali się jak hieny cementarne rozszabrowujące resztki ocalałego mienia. Z drugiej strony, co robili w tym zapomnianym przez wszystkich miejscu? Nigdy się nie dowie, jeśli nie podejda bliżej.

Dał znak i wycofali się po własnych śladach. Teraz, już znacznie ostrożniej, rozpoczęli podchody. Ośmiu przeciwko dziesięciu, nie dawał tamtym najmniejszych szans. Podchodzenie przeciwnika opanowane mieli do perfekcji. Zнали już teren, a sami grasanci ułatwili sprawę, rozchodząc się na wszystkie strony, wymieniając uwagi i paląc papierosy. Walsh szybko zorientował się, że to nie Rosjanie, tylko Estończycy. Odetchnął, lecz wciąż pozostawał czujny.

Podkraść się do człowieka wyglądającego na przywódcę. Zaszedł nieszczęśnika od tyłu, gdy ten rozmawiał z jednym ze swoich ludzi – wysokim, młodym mężczyzną o posturze siłacza. Cicho gwizdnął, zwracając ich uwagę. Na jego widok starszy otworzył usta. Papieros spadł na ziemię. Wycelowany automat robił wrażenie.

– Czego tu szukacie? – zapytał Amerykanin. Jeżeli faktycznie byli Estończykami, to parę słów po angielsku wydukają. – Rosjanie?

– Nie – szybko odpowiedział młodszy.

– To wszystko, co macie do powiedzenia?

– Myśleliśmy, że jesteśmy sami. – W głosie starszego brzmiała nuta niepokoju.

Walsh opuścił nieco lufę M4. Nie celował już w głowę, tylko w pierś.

– Jesteśmy z Voru, z tamtejszej jednostki Ligi Obrony. Kazano nam rozpoznać ten teren.

– I robicie to tak niefrasobliwie?

– Nikt nie widział tu Rosjan od paru dni.

– Daliście im solidnego łupnia. Już nie wrócą – dodał młodszy.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Estończycy podeszli bliżej, otaczając rozmawiających kręgiem. Dla nich amerykańscy żołnierze byli bohaterami ratującymi ojczyznę przed kolejną inwazją. Jak zapewne sądzili, koniec wojny był bliski, Moskwa została upokorzona, a ich kraj czekała świetlana przyszłość. Walsh nie miał nic przeciwko temu, jednak nie przysłano go tu, by podziwiał widoki. Przestał mierzyć do Estończyka i obejrzał się wstecz.

– Gdzie przejście?

– O, tamten wypalony barak.

Mimo wyraźnej wskazówki miejsca nie sposób było dostrzec. Jak okiem sięgnąć, przestrzeń zalegały wypalone wraki i zwęglone zwłoki. Trakt w głąb Federacji wyglądał tak samo jak szosa po tej stronie granicy.

Coś mówiło Walshowi, że panujący wokół spokój jest jedynie chwilowy. Wkrótce zapewne nadciągną pierwsze jednostki marines i być może pozostałe jednostki II Korpusu. Wahadło przemocy jeszcze nie znieruchomiało. Tylko kto uprzątnie ten bałagan? Zerknął przez ramię. Zdaje się, że tutejszą Ligę Obrony i oddziały inżynieryjne czekała masa roboty.

CZĘŚĆ PIERWSZA  
LUDZIE Z CIENIA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 22 maja, godzina 09:11

– Zebraliśmy już cały materiał dowodowy. Pragnę zapewnić, że postaramy się zagwarantować panu w pełni niezależne postępowanie sądowe. Proszę się nie krzywić, doskonale wiem, o czym pan myśli, i wcale się nie dziwię. Pańskie zachowanie od początku do końca wskazywało na nieprzejednanie nieprzychylną postawę wobec naszego państwa. Drobną uwagą: wszelkie próby zaprzeczania zostaną źle odebrane przez sąd. Lepiej od razu do wszystkiego się przyznać i wyrazić skruchę. Sąd to też ludzie. Taka postawa może im się spodobać. Może, ale nie musi – zastrzegł śledczy. – Wtedy wyrok będzie odpowiednio mniejszy i spędzony w łagodniejszych warunkach. No i na koniec... Między nami... Po co panu to było? Skąd taka wrogość wobec nas? Wiązać się z wywiadem trzeciego państwa na szkodę kraju, który nic panu nie zrobił? Nic z tego nie rozumiem. Ale to już jak pan chce. Podane motywy nie wydają się logiczne. – Mężczyzna skończył przydługą przemowę, równocześnie przeglądając akta. Parafował dokumenty w odpowiednich miejscach, opatrzył datami i pieczętkami. – Z mojej strony to w zasadzie wszystko.

– Kto oprócz mnie znajdzie się na ławie oskarżonych? – Norton Shepard nie spuszczał spojrzenia z oblicza Rosjanina.

– Rozprawa będzie publiczna, lecz bez nagłośniania w mediach. Tylko tyle, ile trzeba – burknął śledczy. – I dotyczy wyłącznie pana.

– A pozostali?

– Ich obejmie odrębne postępowanie.

– Teraz to z kolei ja was nie rozumiem. – Norton podniósł do góry obie skute kajdankami dłonie i podrapał się za uchem. – Na początku straszycie procesem pokazowym, a kończycie zwykłą rozprawą.

– Nam to wystarczy.

– Świadkowie oczywiście wystąpią?

– Mamy zeznania. Osobista obecność nie jest wymagana.

Nadzieja, że ujrzy Sonię, przysła jak bańka mydlana. Przynajmniej zajrzałby tej suce w oczy, a najchętniej je wydrapał. Gorącą miłość zastąpiła równie gorąca nienawiść. Nie lubił, gdy ktoś bawił się jego emocjami. Nigdy nic dobrego z tego nie wynikało.

– Od początku wszystko wygląda na farsę – prychnął.

– Tylko w pana mniemaniu – odparł Rosjanin. – My traktujemy to poważnie. Śmiertelnie poważnie. – Dobrotliwy uśmiezek ustąpił miejsca nieprzyjemnemu grymasowi.

Umysł Sheparda pracował na najwyższych obrotach. Wiele rzeczy nie pasowało do całości. W końcu w siedzibie anarchistów zatrzymano kilka osób: paru miejscowych, jego i Wirskiego. Jeden z Polaków zginął zastrzelony przez Sonię. Tego szklistego spojrzenia Andrzeja nie zapomni nigdy.

Skoro akcja zakończyła się tak wielkim sukcesem, dlaczego nie chcą jej wykorzystać? Przynajmniej na początku takie były założenia – wielka pokazówka udowadniająca całemu światu, jak nikczemni i perfidni są wrogowie Federacji. Po paru dniach zmieniono koncepcję. Ostatecznie został tylko on, i to w jakimś podrzędnym procesie. Ciekawe, co się za tym kryło? Najprostsze wyjaśnienie, że Amerykanie próbowali dogadać się w jego sprawie, wydawało mu się mało prawdopodobne. Albo sprawy dla samych Rosjan przybrały fatalny obrót, albo... aż uśmiechnął na tę myśl.

– Wirski wam zwiął – powiedział głośno, bacznie przypatrując się rozmówcy.

– Tego aspektu śledztwa nie będziemy poruszać. – Rosjanin nie spuścił wzroku.

– Zwiął wam! – Nort zaniósł się śmiechem. Najbardziej bawiła go powaga oficera.

– Cisza! – Pięść walnęła w biurko z całej siły, lecz masywny mebel stłumił uderzenie. – Potrafię sobie poradzić z takim gnojem jak ty.



Shepard powoli się uspokajał. Coś trzeszczało w wielkiej biurokratycznej maszynie. Zresztą dotyczyło to całego kraju, do czego – jak usilnie starano się to udowodnić – właśnie on się przyczynił. No, no...

– Proces odbędzie się w ciągu paru dni, ale nie tutaj, tylko w Moskwie. – Śledczy rozpoczął wypełnianie w komputerze odpowiedniego formularza.

– Czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie?

– Niczym. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

– Dobrze wiecie, że jestem niewinny.

– Dowody mówią co innego.

– Większość z nich została spreparowana.

– Doprawdy? Proszę mnie nie rozśmieszać. Taka taktyka obrony jest do niczego, a właściwie... –

Oficer przerwał wypełnianie kolejnej rubryki. – Dostanie pan adwokata.

– Z urzędu?

– Nie. Z FSB. – Tym razem poczuciem humoru wykazał się śledczy. – Proszę godzić się na to, co zaproponuje, taka moja dobra rada. No, gotowe. – Rosjanin nacisnął enter, puszczając dokument w obieg. – Jakież pytania?

– Raczej prośba.

– Słucham.

– Chciałbym dostać jakieś książki.

– Zobaczę, co da się zrobić, oczywiście niczego nie obiecuję. Jeszcze coś?

– Raczej nie.

– Otrzymał pan nauczkę. Proszę wyciągnąć z niej wnioski. – Oficer uniósł słuchawkę telefonu i rzucił krótkie: „Możecie go zabrać”, po czym złożył dłonie jak do modlitwy. – Żegnam, bo już raczej się nie zobaczymy.

– Kto wie – odpowiedział Shepard. – Świat jest pełen tajemnic.

•

Andrzej Wirski westchnął. Pozwolił sobie na tyle i aż tyle. Bark promieniował bólem, ale znacznie mniejszym niż ten, który odczuwał parę dni wcześniej. Postrzał okazał się groźny, niemniej nie zagrażał życiu. Troskliwa opieka Tamary czyniła cuda. Opiekowała się nim lepiej od niejednego lekarza.

Miała w tym wprawę – kiedyś studiowała medycynę, a przy okazji dorabiała jako pielęgniarka.

– Jak to wygląda? – zapytał siedzącą za nim dziewczynę.

– Oby tak dalej.

Czuł chłodny dotyk palców na plecach.

– W nocy bolało.

– Mówiłam, żebyś spał na brzuchu, inaczej szwy puszczą.

– Na brzuchu nie lubię.

– Twój problem.

W drewnianej dacy na dalekich przedmieściach Petersburga każde skrzypnięcie starej konstrukcji było doskonale słyszalne. Osoba pokonująca schody nie śpieszyła się, mimo że pokonywała po dwa stopnie naraz. W końcu stanęła pod drzwiami i rozległo się pukanie.

– Tak?

Głowę do pokoju wsunął jeden z agentów CIA, z którym Wirski ostatnio współpracował.

– Jeff ma dla ciebie jakąś niespodziankę.

– Już schodzę.

Wciągnął na grzbiet koszulę i odwrócił się do Tamary.

– Sama widzisz, co się dzieje.

– Nic nie mówiłam.

Pocałował ją delikatnie w usta.

- Zaraz wracam.
- Nie obiecuj niczego, czego nie będziesz w stanie dotrzymać.

Wyszedł z pokoju, cicho domykając drzwi. Na dole przy paru komputerach pracował człowiek, którego znał pod imieniem Jeff. Z oblicza trzydziestopięcioletniego zastępcy dyrektora departamentu zajmującego się sprawami Federacji wyzierało zmęczenie. Po kilku dniach nieprzerwanej pracy nie mogło być inaczej. Wyczerpanie wyostrzyło semickie rysy twarzy funkcjonariusza tej jednej z największych agencji wywiadowczych na świecie.

- Nie mów, że siedzisz tu całą noc – zagadnął Polak.
- Całą nie. Harry mi pomagał i patrz, na co trafiliśmy.
- Andrzej pochylił się nad monitorem, by odczytać tekst.
- Dmitrij się odezwał.
- No.

Z hakerem pracującym wcześniej dla generała Skokowa w tajnej informatycznej jednostce przygotowującej wojnę w cyberprzestrzeni utracili kontakt kilka dni wcześniej. Z powodu zdrady Sonii wpadli wtedy wszyscy biorący udział w akcji. Z łap Skokowa zdołał ująć tylko on. Zawdzięczał to Tamarze i jej przyjaciółce, dopiero później nawiązali z nim kontakt przedstawiciele CIA. Wiadomość Rosjanina brzmiała lakonicznie: „Żyję. Nic mi nie jest” – ale lepsza taka od głuchego milczenia.

- Kiedy zostawiłeś wiadomość na koncie?
- Wczoraj wieczorem, około 22:30.
- A odpowiedział dziś, dziesięć godzin później. Myślisz, że Skokow wciągnął go do projektu?
- Całkiem prawdopodobne, potrzebuje jak największej ludzi. – Jeff otarł chusteczką wilgotne czoło. – Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że zdoła odpowiedzieć. Już raz zdradził. Generał pewnie pilnuje, by znów czegoś nie zmalował.
- Zapytaj, gdzie jest. Zobaczymy, co odpowie.
- Amerykanin wysłał wiadomość i się wylogował.
- Nie spodziewam się odzewu przed wieczorem.

Andrzej pomyślał o tym samym. Od ostatniego spotkania na pewno wiele się wydarzyło. Agenci generała szantażem bądź przemocą mogli zmusić hakera do współpracy. Wystarczyła zwykła obietnica darowania życia. Kto nie ulegnie takiej pokusie? Być może ten, z którym teraz się kontaktowali, to wcale nie Dmitrij, tylko podstawiony człowiek. Na tym etapie nie mieli możliwości sprawdzenia, jak jest w istocie. Pragnął tylko wierzyć, że sprzęt Amerykanów jest odpowiednio zabezpieczony i psy łańcuchowe Skokowa nie zostaną spuszczone z uwięzi.

Na myśl o ponownym wpadnięciu im w łapy przez grzbiet Wirskiego przeszedł dreszcz. Prędeż palnie sobie w łeb. Chociaż tego akurat już nie był taki pewny. Obiecał, że ochroni Tamarę przed najgorszym. Takiego przyrzeczenia niepodobna złamać. Prędeż da się pokroić na kawałki.

- To nie wszystko. – Jeff przeszedł do kolejnej niespodzianki. – Przechwyciliśmy jeszcze coś.
- „My” to znaczy kto?
- Langley, Fort Meade... czy to ważne? Dostałem odpowiedź na moje pytanie. Ktoś się postarał, więc są wyniki. – Agent wzruszył ramionami, a jego palce ponownie zatańczyły na klawiaturze.
- Czego dotyczy?
- Twojego... kumpla, a naszego rodaka.

Krótką przerwą na zastanowienie pomiędzy słowami „twojego” a „kumpla” nie uszła uwagi Wirskiego. Czy wiedzieli, że był jego oficerem prowadzącym? Pytanie wciąż pozostawało otwarte. Na pewno domyślali się tego i owego, to nie ulegało wątpliwości, jednak czy przejdą do porządku dziennego nad werbunkiem amerykańskiego obywatela? Nie wszystkim takie postępowanie musi się podobać. Motywacje i uwarunkowania mogą niewiele znaczyć. Albo jest się naszym szpiegiem, albo cudzym. Norton był cudzym, czyli jego – niby sojusznika, ale...

- Gdzie jest Nort?
- Zupełnie niedaleko. Siedzi w areszcie na Lebediewa. W ciągu paru dni ma zostać przeniesiony do Moskwy. Powoli... – Jeff powstrzymał go dłonią. – Też o tym pomyślałem.
- Wiesz, co mu grozi? – zapytał Wirski, spodziewając się odpowiedzi w rodzaju: „Przecież to twoja robota”.
- Nie naciskaj. To nie takie proste.
- Jeżeli nie chcesz, przyjrzę się temu sam.
- Z tą dziurą w plecach niewiele zrobisz.
- Jak dasz mi Harry’ego i Huga’a do dyspozycji, to szanse wzrosną.
- Nawet oni nie są cudotwórcami. – Amerykanin pozostawał niewzruszony.
- Jak rozumiem, chcesz siedzieć na tyłku i czekać?
- Mniej więcej.
- W takim razie po co szopka z tym wszystkim?
- Rozpatruję różne opcje.
- Na przykład jakie?
- Pamiętasz moją propozycję?

Zdaje się, że wrócili do punktu wyjścia. Całkiem niedawno już o tym rozmawiali. Kolejne napomknięcie o tym samym wzbudziło niepokój u Andrzeja. Sprawa zahaczała o szantaż: pomożemy Shepardowi, jak ty pomożesz nam. Tak jakby Norton nie był obywatelem ich państwa. Dla CIA może to drobiazg, on pod tym względem był bardziej lojalny.

- Słuchaj, Jeff, przymus na mnie nie działa.
- Czy ja cię do czegoś przymuszam? – prawie szczerze zdziwił się agent. – Jak wspomniałem, nic nie jest przesądzone.
- Już i tak robicie sporo szumu – zauważył Polak. – Ile masz zespołów do dyspozycji? Co najmniej kilka, mam rację? Zrobimy taką akcję, że będą nas wspominać przez dziesięciolecia.
- Jak mówiłem, to nie takie proste.
- Czy ja mówię, że jest?
- Do tej pory wszystko robiliśmy na naszych warunkach, a ty najwyraźniej chcesz zaatakować agentów służby federalnej.
- To nie FBI, tylko FSB, nie zapominaj.
- Niczego nie obiecuję. Robię to dlatego, że numer z Dmitrijem wydaje się sensowny. Chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

## 22 BRYGADA PANCERNA

NA WSCHÓD OD GULBENE – ŁOTWA | 22 maja, godzina 11:38

Ostatnia doba upłynęła spokojnie. Aż za spokojnie, jak na gust podporucznika Tomasza Maciejewskiego. Ciągłe spodziewał się nalotu lub przynajmniej ataku pociskami raketowymi krótkiego zasięgu, takimi jak Toczka. W życiu nie był tak zdenerwowany, podskakiwał na każdy wystrzał i bezustannie spoglądał za siebie.

Reszta załóg przeżywała podobne katusze. Poza nielicznymi weteranami żołnierze 22 Brygady nie wążali prochu, dopiero starcie pod Iwaszkami pokazało, ile są warci. Pobili wówczas Rosjan i Białorusinów próbujących zamknąć większą część sił II Korpusu w kotle. Nikt nie spodziewał się aż takiego sukcesu – nieostrzelani rekruci, wsparci grupą instruktorów oraz zupełnie nowym sprzętem, który dopiero przyszło im poznawać, spisali się nadspodziewanie dobrze.

Nikt nie oczekiwał od nich heroizmu, a jednak zamienili prawie pewną klęskę w zaskakujące zwycięstwo. Niemniej sukces odczuli na własnej skórze. Polegli i ranni to koszt każdej bitwy. Dodatkowo po cichu odsyłano na tyły tych, którzy nie mogli wypełniać obowiązków z powodu zaburzeń psychicznych. Nie każdy nadawał się na żołnierza, nawet ochotnik. Ostateczną cenzurę

wystawiała sama walka, po niej każdy tracił niewinność.

Gdy było już po wszystkim, najchętniej wykasowałby parę ostatnich dni z pamięci. Ilekroć przymykał oczy, widział niesamowicie okaleczone zwłoki, ciała porozrywane eksplozjami przez detonującą amunicję, spalone i takie, którym śmierć zadano na sto innych sposobów. Widział również ludzi niemających widocznych ran, lecz i tak martwych. Nawet nie chciał doszukiwać się przyczyn. Przez ostatni tydzień postarzał się o dziesięć lat. Co gorsza, zapowiadało się, że ich przeżycia to ledwie preludium do dalszych wypadków.

Przerzut 22 Brygady na północ zorganizowano sprawnie. Abramsy załadowano na platformy, im podstawiono autokary. Prawdę mówiąc, wolał jechać czołgiem, zawsze to pancernik nad głowę i odrobina więcej wygody. Tu nawet nie można było wyciągnąć nóg przed siebie – wszyscy siedzieli stłoczeni jak sardynki w puszcze. Do tego dochodziło wyposażenie i broń osobista, poupychane pod nogami, w przejściu i gdzie się dało. Jeden plus, że siedział z przodu, więc obserwował szosę.

Jechali całą noc, zrywami, często stając na poboczach lub dla odmiany pędząc na złamanie karku przez dłuższe odcinki drogi. Mini Beryl, czyli wersja karabinka ze skróconą lufą, cały czas spoczywał na kolanach. Tak na wszelki wypadek. Chodź sporo grup specnazu zostało już wybitych, to nie znaczyło, że wszystkie. Z każdej strony dochodziły informacje o potyczkach i zasadzkach. Spadochroniarze 101 Dywizji oraz lokalna samoobrona zaciekle tępilli Rosjan, a i tak podobno jeden z oddziałów dotarł pod samą kwaterę główną wojsk koalicyjnych w Rydze i dopiero tam został rozbity. Podobnie rzecz się miała z bazą marynarki w Tallinie i lotniskami międzynarodowymi w stolicach wszystkich nadbałtyckich państw, o pomniejszych celach nie wspominając.

Przeżucie go nie myliło. Parę minut po piątej rano minęli punkt kontrolny opodal łotewskiej Daugavpils. Ponurzy żandarmi i rząd co najmniej dwudziestu ciał już zapakowanych w brezentowe worki świadczący o stoczonych niedawno walce. Bojowy AH-64 Apache jeszcze kręcił się w pobliżu. Potrzaskany Humvee wciąż stał, tylko zepchnięty na pobocze. Autobus przyśpieszył, ale Maciejewski jeszcze zdążył zauważyć żołnierzy z psami tropiącymi znikających w pobliskim lesie. Gdyby przejeżdżali godzinę wcześniej, to samo, co załozce Humvee, mogło przytrafić się właśnie im.

Parę godzin później zjechali z głównej szosy na boczny trakt. Kolejne pół kilometra i byli na miejscu.

Maciejewski wysiadł jako pierwszy, zarządził zbiórkę i zaczął zastanawiać się, gdzie ulokować ludzi. Nic nie zostało przygotowane. Przed nimi rozciągał się kawał pola nad jeziorem otoczonym lasem. Obóz zapewne dopiero był w planach. Zżymał się na brak sprzętu i panujący chaos. Nikt nic nie wiedział, łącznie z samym Stefańskim, dowódcą batalionu. Kolejne godziny upłynęły na oczekiwaniu, dopiero widok ośmiokołowego ciężkiego transportera Hipopotam trochę rozwiął dręczące go obawy. Parę pojazdów zjechało po łagodnym stoku i zaparkowało tuż nad wodą. Za nimi wyłoniły się znacznie mniejsze Rosomaki i ciężarówki. Od kierowcy Jelcza usłyszał o utknięciu konwoju z Abramsami gdzieś pod Kownem.

Zaklął. Cholerny pech.

– Widziałeś to osobiście czy ktoś przekazał przez radio? – zapytał szofera.

– Skierowano nas objazdem – przyznał tamten niechętnie. – Ale tam korek na co najmniej dziesięć kilometrów. Daję słowo.

– Całkiem możliwe. – Kierowcę poparł Stefański, który wyglądał na równie zdenerwowanego, tyle że trzymał fason i nie okazywał irytacji.

– Skąd pan wie? – zainteresował się Maciejewski.

– Widziałem z powietrza. Zator może nie na dziesięć, ale na dwa kilometry na pewno.

Przy okazji się wyjaśniło, w jaki sposób kapitan dołączył tak prędko, mimo że nie wyruszył razem z nimi.

– Jak pan myśli, długo tu zabawimy?

– Przeszliśmy pod rozkazy II Korpusu. Podobno generał Raymond Cooper jest nami zachwycony

– odparł zagadnięty.

– Brak mu własnych ludzi? – Podporucznik wzruszył ramionami.

– Nie o to chodzi. Nie przyjechaliliśmy tu po to, by podziwiać widoki.

– A po co?

Pytanie padło od niechcienia, ale odpowiedź pozwalała przygotować się na najbliższą przyszłość. Z grubsza wiedział, o co chodzi, nie był aż takim ignorantem, szukał tylko potwierdzenia własnych przemyśleń. Ci, którymi dowodził, też nie byli idiotami, zadawali pytania i oczekiwali sensownych odpowiedzi.

Stefański nie śpieszył się, poprawił pas i sprawdził, czy pistolet tkwi w kaburze.

– Cooper nie dysponuje wieloma ciężkimi jednostkami, o czym zapewne wiesz. 3 Dywizja Piechoty to za mało, tym bardziej że ostatnio poniosła straty.

– Za mało do czego?

– No pomyśl – zachęcił Stefański.

– Więc jednak...

– To jedyne logiczne rozwiązanie.

Maciejewskiemu zakręciło się w głowie, głośno przetłknął ślinę i potarł skronie. Amerykańska pomoc za parę miliardów nie była przecież bezinteresowna. Jeżeli ktoś chciał wiedzieć, co Polacy będą musieli dać w zamian, to właśnie się dowiedział. Dostaliśmy Abramsy i Bradleye, a w rewanżu weźmiemy udział w ofensywie. Może nie wszystko było takie proste, jednak dla niego do tego się sprowadzało.

– Kiedy?

– Tego nie wiem, lecz spodziewam się, że w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin.

Pod podporucznikiem ugięły się nogi. Tempo zawrotne. Niby wiedział, czego oczekiwać, ale słowa kapitana zmieszały go.

– Tak szybko...

– Dopilnuj, by wszyscy dobrze wypoczęli. Jak zjawią się nasze Abramsy, zatankujemy i uzupełnimy amunicję. Należy wykonać wszystkie drobne naprawy, na które starczy czasu – uciał dowódca.

– Tak jest.

– Nie wiem, co planuje Cooper i cała reszta jajogłowych z jego sztabu oraz Pentagon. Domyślam się tylko, że chodzi o szybką operację i zakończenie tego całego bałaganu, zanim będzie za późno.

•

Maciejewski zwiijał się jak w ukropie, krążąc po wciąż rozrastającym się obozie. Trudno to nawet było nazwać obozem. Po prostu w całej okolicy szybko zaczęło przybywać pojazdów i żołnierzy, a że nie zanosilo się na długi postój, to całokształt zdominowała improwizacja w ramach kontrolowanego bałaganu.

Podporucznik odetchnął dopiero po południu, na widok pierwszego ciągnika siodłowego i niskopodwoziowej platformy. Załogi zakrzętnęły się przy wozach. Wkrótce pierwsze Abramsy zaparkowano, zachowując przepisowe, co najmniej stumetrowe odległości pomiędzy maszynami. Następnie należało sprawdzić wszystkie systemy i przygotować czołgi do walki.

M1A2SEP, w którym podporucznik prowadził pierwszą bitwę, swoje już przeszedł. Długa krecha i nadpalona farba na pancerzu wieży wyraźnie wskazywały miejsce, gdzie oberwali. Wtedy się udało, pancerz okazał się mocny, inaczej Maciejewski nie stałby tu i nie podziwiał kanciastej konstrukcji.

– Makąła, odpal turbinę.

Mechanik znikł we wnętrzu. Ponad otwór wjazdu wystawała jego głowa w hełmofonie, co wyglądało dość egzotycznie – amerykański pancerz i rosyjska grzebieniasta ochrona głowy. Wcześniej jakoś tego nie zauważył. Silniki zaskoczyły od razu przy zgodnym westchnieniu załogi.

Łoskot pracującego silnika zagłuszył echo odległej detonacji. Ułynął ułamek sekundy, zanim podporucznik zidentyfikował hałas i obrócił się za siebie, rejestrując wydarzenia.

Ponad lasem rósł słup dymu, podtrzymywany przez pomarańczowe płomienie. Maciejewski próbował sobie przypomnieć, kto znajdował się w tamtym miejscu, odległym o jakiś kilometr, i nie potrafił. Na niebie wyraźnie widać było jeszcze srebrzystą plamkę uchodzącego na wschód samolotu. Kolana odruchowo zgięły się jak do padu, na szczęście szybko do głosu wrócił rozsądek. Czołgista zerwał się do biegu i wskoczył na pancerz. Nie potrzebował pomocy – przytrzymał się obłego przedmuchiwacza w połowie lufy, wspiął się na wieżę, odbezpieczył wukaem, sprawdził taśmę z półcalowymi pociskami i przesunął dźwignię odbezpieczenia broni.

Gdzie ten sukinsyn? Przesunął lufę z lewa na prawo, lecz przeciwnik znajdował się już daleko od miejsca nalotu. Co prawda w ślad za nim rzucił się jakiś odrzutowiec znajdujący się w pobliżu, ale czy szturmowiec zostanie zestrzelony, nie było to pewne.

Na razie pojawił się jeden samolot przeciwnika, jednak gdy nadleci więcej, rozniosą ich na kawałki. Czy dowództwo zdoła zorganizować obronę przeciwlotniczą? Jak dotąd jej nie dostrzegali. Tylko głupiec mógłby sądzić, że Rosjanie podkulą ogon i spokojnie poczekają na nieuniknione.

Zsunął się do wnętrza wieży na swoje stanowisko i sprawdził, co z pozostałymi wozami kompanii. Zdaje się, że batalion nie ucierpiał, ale zawsze lepiej się upewnić. Od jednego z dowódców czołgów dowiedział się, co zaszło – zniszczeniu uległa cysterna obsługująca Bradleye piechoty, przy czym żaden BWP nie został trafiony. Paru poparzonych już odtransportowano do szpitala, kierowca niestety nie przeżył.

Wygramolił się i usadowił na zewnątrz. Z jednej strony, chciał, żeby już było po wszystkim, a z drugiej strony, bał się tego, co przyniesie przyszłość.

### 3 KILOMETRY NA WSCHÓD OD GRANICY ESTONII Z FEDERACJĄ ROSYJSKĄ | 22 maja, godzina 17:03

Pozycja w niewielkim zagajniku wydawała się dobra. Widzieli stąd szosę i zjazd na północ, a co najważniejsze, od Petersburga dzieliło ich najwyżej trzysta kilometrów. Na samą myśl o tym Walsh czuł dreszcz emocji. W swoim życiu odwiedził wiele państw, i to nie zawsze w maskującym kombinezonie i z karabinkiem w dłoniach. Rozgrabione muzeum starożytności w Bagdadzie do tej pory przyprawiało go o ból serca. Jeżeli Ermitaż zostanie potraktowany w ten sam sposób, nie tylko Rosjanie utracą wiele zabytków o decydującym dla kultury znaczeniu, ale on sam też już nie zobaczy tych wspaniałości na własne oczy. Zamiast oryginałów – tylko blade cienie w przewodnikach bądź albumach.

Chyba jedynie on martwił się tym, co nastąpi. Reszta drużyny nie wybiegała myślami dalej niż parę godzin naprzód, co najwyżej oczekując końca misji i tych chwil odpoczynku przed kolejną wyprawą. Piwo i hamburgery były bliższe ich sercom niż holenderskie malarstwo z końca XVII wieku.

Nie samymi marzeniami człowiek żyje. Już wkrótce ssanie w żołądku stało się dotkliwie, a polowe racje nie wzbudzały w kapitanie entuzjazmu. Żeby nie myśleć o jedzeniu, skoncentrował się na drodze. Na tym odcinku już nie dostrzegali aż tylu rozbitych pojazdów. Owszem, było ich sporo, tyle że nie w takiej masie, jak po estońskiej stronie granicy. Kilka nadpalonych BTR-ów rdzewiało na poboczu. Kierunek jazdy wskazywał na wschód, czyli zostały zniszczone już po głównym nalocie. Jakiś gorliwy pilot urządził sobie strzelecki tor przeszkód, nie odpuszczając uciekinierom. Właściwie to dobrze, że ich wtedy tu nie było. Przy prędkościach sięgających siedmiuset węzłów lotnik walił do wszystkiego, co podeszło, a Walsh od urodzenia był przywiązany do każdej ze swoich kończyn.

Zagajnik znajdował się daleko od wraków i smród rozkładających się zwłok do nich nie dochodził, tylko raz nozdrza kapitana wychwyciły słodkawy odór, gdy zawiąło z tamtej strony. Do tego aspektu wojny nie przyzwyczai się nigdy. Ciała powinny już dawno zostać zabrane. Rosyjskie

drużyny grabarzy nie wykazały się pilnością, może były daleko od feralnego miejsca. Zresztą trudno mieć o to pretensje, grabarz też człowiek, a wszystko działo się w zawrotnym tempie.

Nie uważał się za proroka, ale jeśli wszystko potoczy się zgodnie z jego przypuszczeniami, to dotychczasowe wydarzenia będą tylko przygrywką do tego, co ich czeka. Do niedawna nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jeszcze w tym roku na ćwiczeniach czy prywatnie sporo mówiło się o Damaszku bądź Teheranie, natomiast Petersburg albo Moskwa wydawały się miastami, do których nigdy nie zawitają.

Cholera, ale się popieprzyło. Europejskiego teatru działań wojennych już od dawna nie brano pod uwagę, w Federacji Rosyjskiej upatrując raczej przeciwwagi mogącej zneutralizować choć część islamskich ruchów z Azji Środkowej. Po wyjściu NATO z Afganistanu spodziewano się niepokoju od Turkiestanu po Kirgistan i nie pomyłono się. Z komunikatów radiowych płynął jednoznaczny przekaz – muzułmanie wykorzystują okazję. Odkąd zabrakło protektora, dotychczasowe reżimy chwiały się w posiadach, lecz nikt nie kwapił się wyrokować, co wyłoni się z tego tygla nienawiści. Jedni mówili o nowym kalifacie, drudzy o afganizacji Zakaukazia. Zdaniem Walsh'a tak dobrze nie będzie. Ogromne zasoby surowców naturalnych w końcu przez kogoś zostaną zagospodarowane, a jak znał życie – zyski zasilą fundusz walki z niewiernymi, czyli w konsekwencji z nimi, Amerykanami. Przez najbliższe parę lat nie zostaną odesłani na tyły, więc o pracę mógł być spokojny. Marna to pociecha, chociaż są gorsze zajęcia. Na przykład nie chciałby się znaleźć w skórze prezydenta: jedna błędna decyzja i wszystko się sypie. Ciekawe, czy po wysłaniu tylu ludzi na rzeź można wieczorem usiąść w fotelu przed telewizorem, zagrzechotać lodem w szklance wypełnionej whisky i obejrzeć skutki wydanych wcześniej poleceń. Przy czym takim jego własne zadanie zdało się kapitanowi łatwe jak kobiety.

Zmienił pozycję, żeby oprzeć się plecami o pień modrzewia. Najchętniej przymknąłby oczy i odpłynął daleko. Potrząsnął głową i roztarł powieki. Odrobinę pomogło. Ciśnienie skoczyło, gdy na szosie dostrzegł opancerzonego Tigra i BTR-90. Dlaczego nikt o tym nie zameldował? Pospali się czy co?

– Uwaga, Charlie, w zasięgu wzroku.

Automat powędrował do ramienia, zamontowana na nim luneta pozwalała bliżej przyrzeć się gościom.

Kierowca Tigra jechał powoli, omijając z daleka wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. W końcu wóz się zatrzymał, a ze środka wyskoczyli zwiadowcy.

Czyli ktoś w końcu się ocknął i nakazał sprawdzić, co też porabiają jankesi. Zobaczymy, co stanie się dalej, pomyślał. Ten zwiad to jeszcze nic takiego. Gorzej, jak za nimi pójdzie reszta. Przez chwilę wydawało się, że Rosjanie nie dysponują już rezerwami i wszystko, co posiadali, utracili podczas ostatniej ofensywy. No, może nie wszystko, ale ci, którzy uszli z życiem, nie stanowili jakiejś znaczącej siły bojowej. Dotyczyło to zarówno oddziałów atakujących od wschodu, jak i Białorusinów wspierających ofensywę od południa. Rozgromiono trzy brygady, dwie kolejne poniosły dotkliwe straty, natomiast ci tutaj wyglądali na nowych. Znajdowali się za daleko, by zidentyfikować oznaczenia na pojazdach, o ile wcześniej nie zostały zamalowane, mimo to łatwo było dostrzec w nich zawodowców. Wystarczyło spojrzeć, jak się poruszają, wyszukując osłony. Znajdowali się na własnym terytorium i nic nie świadczyło o obecności przeciwnika, a jednak wpojone nawyki powodowały, że zachowywali daleko posuniętą ostrożność. Należeli do elity, tak jak chłopcy Walsh'a.

Na tym odcinku Rosjanie dysponowali tylko jedną taką jednostką – 76 Pskowską Dywizją Powietrzno-Szturmową, wschodzącą w skład sił szybkiego reagowania. Z tego, co pamiętał, jej szlak bojowy wyglądał nader interesująco – Afganistan, Czeczenia, Gruzja... W swoim czasie poszedł kontrolowany przeciek, że formacja jest szykowana do interwencji w Syrii, oczywiście po stronie Baszara al-Asada. Kapitanowi nie chciało się w to wierzyć, choć kto wie, co Władimirowi Władimirowiczowi chodziło po głowie. W sumie rosyjskie siły powietrznodesantowe dysponowały

znacznym potencjałem, ba... jak się nad tym głębiej zastanowić, nikt inny nie mógłby się z nimi równać. Podobnie jak do marines, trafiali tam najlepsi ludzie – kogoś, kto nie chciał służyć w desancie, nie da się zmusić do skoku ze spadochronem. Zawsze wysoko umotywowani, w przeciwieństwie do kolegów z jednostek zmechanizowanych, dadzą z siebie wszystko.

Przez plecy kapitana przebiegł dreszcz. Nikt nie twierdził, że będzie łatwo. Wiadomo, że przeszkody będą się piętrzyć wraz z posuwaniem się w głąb Federacji, a pierwsza właśnie zmaterializowała się w postaci tych spadochroniarzy. Przesunął lunetę wzdłuż ginącej w oddali szosy. Na razie nic nie zapowiadało sił postępujących za patrolem. I dobrze, ci w zupełności wystarczą. Co prawda jedna rakietą z samolotu czy Predatora rozwiązywała problem, a takie wsparcie w razie konieczności otrzymałby w ciągu paru minut, ale ktoś w końcu zainteresuje się zaginionym patrolem, a lepiej, żeby przeciwnik na razie nie zwracał uwagi na tę okolicę.

Uznał, że wystarczy tego dobrego, uruchomił radio i wysłał wiadomość. Niech mądrzejsi od niego postanowią, co z tym fantem zrobić.

PENTAGON, ARLINGTON, WIRGINIA – USA | 22 maja, godzina 08:04

– Aktualnie napotykamy jedynie sporadyczne trudności. Generał Cooper jest dobrej myśli. Jak zapewnia, w ciągu następnych dwunastu godzin będzie gotowy do działania. – Oficer referujący bardzo się starał, by wypowiedź zabrzmiała rzeczowo i uspokajająco.

– Cooper tak powiedział? – prychnął komendant Korpusu Piechoty Morskiej generał Alan Preston.

– To jego słowa. – Kapitan nie do końca wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Alan, chciałbyś go kimś zastąpić? – Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów James Wilson zwrócił się do Prestona.

– Paru moich ludzi marzy o tym.

– Nie mówię o twoich podwładnych, tylko o dowódcach sił lądowych. – Wilson doprecyzował pytanie.

– Dlaczego nie może być to ktoś od nas?

– Bo na razie ja jestem tutaj szefem – warknął przewodniczący.

Obaj doskonale wiedzieli, o co chodzi – oficerowie marines słynęli z agresywności. Tak ich szkolono: wylądować, zająć teren i już nikomu nie ustąpić. Ci z sił lądowych musieli dwa razy zastanowić się nad podjęciem decyzji i konsekwencjami, jakie przyniosą. Cooper nie był wyjątkiem, w bitwie obronnej poradził sobie nie najgorzej. A jeśli wykaże się w natarciu, to dojdzie do Petersburga w czterdzieści osiem godzin.

Przeklęte miasto spędzało Wilsonowi sen z powiek. Zdawało się tak blisko, a jednak stanowiło wyzwanie. W swojej niedawnej historii armia Stanów Zjednoczonych toczyła parę bitew o podobnym charakterze, wystarczyło wspomnieć o ofensywie Tet czy zajęciu Bagdadu, wszelako w porównaniu z Petersburgiem tamte operacje wyglądały na potyczki.

Oczywiście miło było się ludzić – wejdą do miasta bez jednego wystrzału i zostaną przywitani kwiatami. Być może zwykli mieszkańcy zrozumieją, że nie są ich wrogami. Ponawiane propozycje współpracy, mające rozwiązać konflikt środkami politycznymi, odbijały się od murów Kremla. Ba, Putin robił wszystko, by taką współpracę zniszczyć w zarodku. Po zatopieniu lotniskowca USS „Ronald Reagan” Amerykanie stracili cierpliwość. Targana wewnętrznymi konfliktami Federacja słabła z dnia na dzień. Jej system dowodzenia został naruszony, a nawet największy kraj na świecie nie był w stanie prowadzić działań na wszystkich frontach równocześnie – atakowali Japończycy i separatyści syberyjscy na Dalekim Wschodzie, muzułmanie w Azji Środkowej i na Kaukazie, do tego doszedł bałagan na Dalekiej Północy i nieudana ofensywa w państwach bałtyckich, podczas której wytracono wiele ciężkich brygad z zachodniego kierunku operacyjnego.

Jak tak dalej pójdzie, do końca miesiąca Federacja stanie się trupem. Wilson wciąż nie potrafił



zrozumieć, jaką logiką kierował się Putin. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby za wszelką cenę próbował zaprzepaścić cały dotychczasowy wysiłek włożony w modernizację państwa. Nie trafiały do niego żadne argumenty, jak szalenie trwał na dawno utraconych pozycjach. Czy on naprawdę wyobrażał sobie, że może zaatakować Amerykanów i ich sojuszników i wygrać tę wojnę małym kosztem albo przegrać bez żadnych konsekwencji?

Wilson nie zgadzał się z pomysłem, który lansował wiceprezydent Joe Biden i jego frakcja, by poprzestać na przejęciu kontroli nad obszarami strategicznymi, głównie tymi zasobnymi w ropę i gaz – bo co z resztą?

Każdy laik widział jedno – Rosji podcięto nogi. Kraj padał, a jak już upadnie, wstrząsy rozejdą się z niebywałą siłą po całym świecie. Już odczuwali tego skutki, a będzie zdecydowanie gorzej. Destrukcja groziła nie tylko Federacji, ale również Ukrainie i Białorusi, o takich państwach jak Kazachstan czy Turkmenistan nie wspominając. Na dobrą sprawę globalny porządek znowu ulegnie przemodelowaniu. Dziesiątki milionów ludzi na milionach kilometrów kwadratowych terenu znajdują się poza wszelką kontrolą. Koszmarna perspektywa. Idealne miejsce dla wszelkiego rodzaju nawiedzionych i politycznych hochsztaplerów oraz terrorystów i bandytów wszelkiej maści. Może lepiej, że Japończycy usadowią się we Władywostoku, a Chińczycy zajmą interesujące ich obszary. Przynajmniej spróbują zaprowadzić tam porządek – ten argument silnie lansowany przez kolejną polityczną frakcję, skupioną przy sekretarzu stanu, również uznawał za niedorzeczny.

Najbardziej logiczne wydawało się zastąpienie obecnej ekipy zasiadającej na Kremlu inną, która byłaby gotowa do współpracy i potrafiła zerwać z niechlubną przeszłością, przez co miałyby możliwość wyprowadzenia kraju na prostą. Przy maksymalnym wysiłku obu stron może być coś z tego wyszło. I tu dochodził do kolejnego wyzwania – wcale nie dysponowali takimi możliwościami, jak by chcieli. Co prawda wielu twierdziło, że wojskowym zawsze wszystkiego było za mało, ale w obliczu zadań, jakie na niego czekały, obawiał się najgorszego: utkną gdzieś daleko od granicy, unieruchomieni na olbrzymiej przestrzeni, we wrogim środowisku, aż zostaną stratowani przez hordy głodnych i zdesperowanych ludzi.

Dywizje, którymi dysponował, przedstawiały olbrzymią siłę bojową, jednak rozproszone na paru frontach nie będą już tak skuteczne. Wielu zagadnień z nim nie konsultowano, stawiając cele polityczne ponad militarnymi. Może to i dobrze, choć rozkazu zajęcia drugiego co do wielkości miasta Rosji do końca nie rozumiał. Jeżeli już atakować, to należało kierować się ku sercu Federacji, czyli na Moskwę. Opanowanie Petersburga miałyby sens tylko wtedy, gdyby chciano tam ustanowić osobny ośrodek władzy pozostający w opozycji do dotychczasowego prezydenta. Podczas najbliższego spotkania z Craigiem poruszy ten temat. Jak na razie ustanowienie rządu alternatywnego wobec Putina nie pojawiło się w dyskusjach, a nawet w plotkach. Wcześniej czy później taka informacja trafiłaby do jego uszu, a przecież któraś z agencji musiała nad takim scenariuszem pracować. A jeżeli nie, to może zlecić opracowanie go własnym służbom?

Ledwo założył nogę na nogę, a lewy łokieć położył na blacie stołu i zaczął analizować tę kwestię, gdy do sali konferencyjnej dostarczono kawę. Ładna blondynka w granatowej marynarce i spódnicy sięgającej kolan wyglądała na zakłopotaną widokiem tyłu gwiazdek w jednym pomieszczeniu. W konsekwencji wycofała się tak szybko, że wielu z zebranych nie zwróciło na panią porucznik najmniejszej uwagi.

Na paru wielkich ekranach zajmujących lewą ścianę na bieżąco wyświetlano informacje z całego świata oraz dzienniki nadawane przez największe sieci telewizyjne. Już samo monitorowanie mediów wymagało pracy całej ekipy analityków. Świat nie stał w miejscu, równoległe z wydarzeniami w Rosji w pozostałych częściach globu dochodziło do większych i mniejszych kryzysów. Do większości z nich w jakiś sposób musieli się ustosunkować, raz czy dwa pogrozić palcem, a nawet poprosić ambasadora jakiegoś kraju na dywanik do sekretarza stanu, tak jak to się stało z przedstawicielem Argentyny.

Buenos Aires od zawsze twierdziło, że powróci na Falklandy-Malwiny i – jak się wydawało – z

jego punktu widzenia była ku temu idealna okazja. Oczy wszystkich zwrócone były w drugą stronę, angielski przeciwnik zaangażował się w Europie, więc co stało na przeszkodzie? Oczywiście brytole nie puszcza tego płazem, zareagują na pewno, to jednak osłabi koalicję na głównym froncie. Zresztą, co tam jakieś wyspy na południowym Atlantyku. Jeżeli Pekin uderzy na Tajwan, USA nie będą w stanie temu się przeciwstawić. Na szczęście państwo skośnookich robotników i chłopów wiązało swoją przyszłość, przynajmniej najbliższą, z zupełnie innym regionem.

– John, powiesz, co o tym myślisz?

Admirałowi Johnowi Collinsowi, szefowi operacji morskich, w ostatnich dniach przybyło siwych włosów, zaczął się lekko garbić i stracił swój dotychczasowy entuzjazm.

– Na Bałtyku dajemy radę. I tak większą część roboty odwalają za nas Szwedzi, Polacy i Finowie.

– A co z tym Kilo, który rozwalił nam konwój niedaleko Bornholmu?

– Poszedł na dno na północ od Rugii – odparł admirał. – Wspólna robota Polaków i Duńczyków.

– Mam rozumieć, że panujemy nad całym akwenem?

– Na wodzie i pod wodą nic nam nie zagraża, również udział lotnictwa Federacji został ograniczony do minimum. Obecnie koncentrujemy się na obszarze od Morza Karskiego do Morza Barentsa. Mamy namierzone dziewięćdziesiąt pięć procent jednostek, jakimi jeszcze dysponuje. Właściwie do pierwszego etapu operacji „Miecz Thora” wszystko jest przygotowane. Już wcześniej Rosjanie ponosili dotkliwie porażki. – Collins rozłożył ręce. – Część jednostek została unieruchomiona w bazach w Siewieromorsku, Archangielsku i Murmańsku oraz w Amdermie. Akurat w tym ostatnim przypadku chodzi o statki pomocnicze biorące udział w akcji ratunkowej.

– Powiedz, John, mogą nam jeszcze zaszkodzić?

– Wszystkie boomery mamy pod kontrolą – odpowiedział admirał. – Albo powiem raczej tak: staramy się mieć. Jak dopisze nam szczęście...

– Akurat na to lepiej nie liczyć. Jeżeli choć jeden z nich wystrzelił rakiety, zniknie parę naszych największych miast.

– Zrobimy to tak, by nam się nic nie stało, a przynajmniej się postaramy.

– Większość moich ludzi jest zdania, że Putin nie zdecyduje się na atak – powiedział poważnie Ralph Lovell, dowodzący lotnictwem.

– Już raz to zrobił.

– W skali taktycznej – odparł lotnik. – Zmasowane uderzenie nuklearne na Stany... Chryste Panie, nawet nie chcę myśleć o skutkach. Co prawda godzinę później zostanie z nich radioaktywny pył, ale mimo wszystko...

– Już samo prowadzenie działań środkami konwencjonalnymi przynosi dosyć cierpień. Włączenie do akcji broni niekonwencjonalnej spowoduje, że po wojnie zostaną same ruiny. Ja nie chcę brać czegoś podobnego na własne sumienie. – Collins wstał i zrobił parę kroków po pomieszczeniu.

– A jak nie będziemy mieli wyboru? – Komendant korpusu marines wbił spojrzenie w admirała.

– Zareagujemy adekwatnie do sytuacji. – Collins przystanął. – Myślisz, że mnie jest łatwo po tym, co te bydlaki zrobiły na Morzu Północnym? Nigdy nie podejrzewałem ich o taki tupet.

– Uznali, że tak będzie najlepiej.

– Pies ich... – zachnął się admirał.

– Owszem, masz rację. – Wilson przychylił się do zdania Collinsa. – Z drugiej strony, nasza administracja od dawna nie miała tak wysokiego poparcia. Dziewięćdziesiąt dwa i pół procenta! Przed biurami werbunkowymi stoi co najmniej dwieście tysięcy chłopaków i dziewcząt. – Wskazał palcem na jeden z ekranów, gdzie dziennikarz wskazywał na kłębiący się za nim tłum młodych ludzi. Tu i ówdzie powiewały flagi. Miejsca, gdzie dokonywano zaciągu, w ogóle nie dawało się dostrzec.

– Za parę tygodni stracą zapał – ponuro przepowiedział Preston. – Pierwszy szok minie, jak tylko stacje zaczną prezentować słupki strat. Wystarczy jedna pogrążona w rozpacz rodziny i

zostaniemy zasypani pytaniami w rodzaju: „Co my tam, do cholery, robimy?”. Zobaczycie. Ci ludzie nie myślą racjonalnie, zaraz wszelkiej maści lewacy zaczną mówić o spisku mającym na celu podbój świata. Gdyby w tej chwili naszym prezydentem był republikanin, rozszarpano by go na strzępy.

– Będziemy kontrolować przepływ informacji.

– A co to da? – wybuchnął Preston. – Nikt już nie rozmawia przez stacjonarne telefony, dziennikarz wciśnie się wszędzie, nie upilnujemy wszystkich. Poza tym Rosjanie wiedzą, jak ważne są media, i wykorzystają każdą sposobność do przedstawienia swoich racji.

– Zablokujemy Russia Today – zaproponował Lovell.

Akurat podgląd tej stacji niewiele dawał, bo właśnie zakończył się jeden z reportaży o dzielnych energetykach naprawiających ostatnią zepsutą transformatorownię w obwodzie moskiewskim i zaraz puszczono kolejny o ekipie kolejowej uwijającej się przy uszkodzonym moście na Wołdze. Wilson właściwie się nie zdziwił. Do większości mieszkańców Federacji przykra prawda docierała z trudem i sporo jeszcze brakowało, by odczuli ją na własnej skórze.

– Nie zapominajmy o zadaniu, jakie stoi przed nami – mruknął głównodowodzący.

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi w tej chwili wskazują na jedno: ruszyli 76 Desantową z Pskowa. Jeżeli chcą nią zatkać dziurę na drodze do Petersburga, to nie jest najlepszy pomysł.

– Niemcy atakowali spadochroniarzami przerwane przez Sowietów linie frontu.

– To mogą być najdzielniejsi ludzie, tylko że nie sprostają naszym Abramsom. Zresztą dlaczego ma mnie to martwić? – Komendant korpusu marines zatarł ręce.

– Nie śpiesz się tak z defiladą. W obronie są równie skuteczni, co w ataku.

– A najskuteczniejsi w rozpędzaniu cywili saperkami. Pod tym względem nie mają sobie równych – nie ustępował Preston.

– Nie doceniasz ich – ostrzegł Wilson. – Jeżeli myślisz, że podejmą walkę z czołwkami pancernymi, to się mylisz. Ja obstawiam szarpanie naszych tyłów. Zamiast nacierać, zaczniemy ochraniać nasze konwoje i w końcu staniemy, bo wozom zabraknie paliwa bądź amunicji. Nie zapominaj o najważniejszym: to ich teren, znają tam każdy kamień, lasek i strumyk. Na ćwiczeniach przemierzali cały obszar niezliczoną ilość razy.

– A jakie to ma znaczenie? – wybuchnął Preston. – Jeżeli chcecie mnie nastraszyć przykładem Napoleona czy Hitlera, to jesteście w błędzie. To ludzie tacy sami jak my, a nie nadprzyrodzone istoty, jak staracie się ich przedstawić. Niby co potrafią takiego, czego my nie potrafimy? – Generał poczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał, więc kontynuował: – Podlegają takim samym ograniczeniom, co wszyscy. Myślicie, że nie czują głodu i zmęczenia? Powiem wam, w czym tkwi ich elitarność: są po prostu lepiej zmotywowani od całej reszty.

– Niedługo przyjdzie nam zweryfikować pogląd na tę sprawę – powiedziała Lovell. – Tylko nie popełniamy tych samych błędów, co w Iraku.

– Chcesz ich przeciągnąć na naszą stronę? – zapytał głównodowodzący.

– Jak już pozabijamy większość z nich, a resztę odeślemy do domu z dziesięcioma dolarami w kieszeni? Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Te sprawy pozostają w gestii czynników politycznych.

– Chyba nie do końca. – Admirał zmrużył oczy. – Zastanów się dobrze, James. Mamy wykonać brudną robotę, a w kwestiach politycznych siedzieć cicho? Lepiej, jak tym razem nas posłuchają. Może będzie łatwiej, jeśli już teraz zaczniemy przemawiać im do rozumu.

– Przynajmniej nie ma dwóch nienawidzących się wzajemnie stron – podsunął Lovell.

– Jeżeli myślisz, że z tego powodu szybciej się dogadamy, to się mylisz – odparł Collins. – Nawet bolszewicy mieli z tym problem. Chłopskie bunty złamała dopiero kolektywizacja.

– Większość z tych chłopów przeniosła się do miast.

– Co nie zwalnia nas z odpowiedzialności za znalezienie rozwiązania.

– To nie jest jedyny problem, jaki mamy. – Wilson powstrzymał rozwijającą się sprzeczkę. – Pierwsze grupy chińskich zwiadowców przekroczyły rosyjską granicę w kilkunastu miejscach. Doszło

do paru potyczek, lecz jak zapewne wiecie, oddziały wierne Moskwie są za słabe do powstrzymania otwartej interwencji. To, co w zupełności wystarczyło do pokonania secesjonistów, w przypadku obecnego zagrożenia co najwyżej umożliwi ewakuację największych ośrodków miejskich i zniszczenie sieci komunikacyjnej. Bez zdecydowanego wsparcia z powietrza nie mają co myśleć o obronie.

– A to wsparcie zapewnić możemy tylko my – powiedział dowodzący lotnictwem.

– Tak to wygląda.

Nikt nie potrafił przewidzieć, na co zdecyduje się Pekin. Przemieszczenie oddziałów w stronę granicy z Federacją można było odczytać jedynie jako chęć zabezpieczenia się przed tym, co działo się na północy, lecz członkowie Kolegium Połączonych Szefów Sztabów aż takimi optymistami nie byli. Dla nich zamysł był jasny: po co płacić za coś, co znajdowało się na wyciągnięcie ręki, a na dodatek należało do politycznego trupa? Sama Syberia to jedno, dawne republiki środkowoazjatyckie to drugie. Tam, co prawda, dominowali muzułmanie – jak na razie zajęci sobą, ale w razie potrzeby nie pozostaną bierni. Mimo to – słabi politycznie i militarnie – nie sprostają Chińczykom. Dojście do wyznaczonych celów zajmie piechurom z ludowo-wyzwoleńczej armii najwyżej parę dni. Pola wydobywcze zostaną zabezpieczone wcześniej przez oddziały desantowe i specjalne, a Amerykanie nie będą w stanie temu zapobiec. Putin, głuchy na jakikolwiek kompromis, wolał się trzymać straconych pozycji, niż podjąć rozmowy.

Na samym początku wydawało się, że wszystko pójdzie dobrze. Wspólna akcja ratunkowa na Morzu Karskim stanowiła krok w dobrym kierunku, aż nagle coś zaczęło się psuć. Nikt nie przewidział, że spirala przemocy nakręci się w tak nieprawdopodobnym tempie. Chaos ogarniał kolejne państwa, również te, które do tej pory znajdowały się na obrzeżach głównego nurtu wydarzeń. Nawet Stany Zjednoczone, dysponujące największym potencjałem militarnym na świecie, nie mogły przeciwdziałać wszystkiemu. Już podczas niedawnego kryzysu ukraińskiego jedność Sojuszu Północnoatlantyckiego okazała się mitem. Każdy większy kraj realizował własne założenia, bez oglądania się na pozostałych. Zresztą, kto podczas wciąż niewygasłego kryzysu chciałby dodatkowo łądować się w działania zbrojne daleko od własnych granic?

Wilson nie miał im tego za złe. Dobrze, że mógł jeszcze polegać na sprawdzonych sojusznikach. Oni nadawali ton, lecz wiadomo było, że niebezinteresownie. Oczywiście najgłośniej będą krzyczyć obrońcy swobód obywatelskich i ci wszyscy, którym okazja przeszła koło nosa.

– Lista celów w Chinach. – Lovell uprzedził pozostałych i na jednym z monitorów wyświetlił zestawienie wszystkich obiektów przeznaczonych do unicestwienia w pierwszej kolejności. Centra dowodzenia, łączności i wszystko, co wiązało się z telekomunikacją, systemy obrony przeciwlotniczej oraz ośrodki związane z produkcją broni masowego rażenia. Szczególny nacisk położono na zneutralizowanie broni atomowej. Dotyczyło to w równym stopniu składów i wyrzutni lądowych, jak i przenoszących ją okrętów podwodnych.

W przypadku tak dużego kraju wykaz zdawał się nie kończyć, a to i tak był tylko wstęp do dalszych bombardowań. Walki na lądzie nikt na razie nie przewidywał, może oprócz niewielkich działań sił specjalnych. Oczywiście, wariant siłowy brany był pod uwagę jako ostateczność, gdy wyczerpane zostaną wszystkie pozostałe możliwości. Ta konfrontacja przyniosłaby cierpienia większe niż wszystko, co się do tej pory wydarzyło, a czegoś podobnego chyba nikt nie chciał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 23 maja, godzina 06:54

– Ej, Losza, Losza, aleś się wpierdolił. – Dimka Milutin poklepał przyjaciela po ramieniu.

Z jednej strony, chciało mu się śmiać, a z drugiej, płakać nad losem Aloszy Anodina. Ile to on razy słyszał tekst „ja ją kochałem, a ona mnie nie...”? No, może nie setki, za to dziesiątki razy na

pewno. Gdyby za każdym razem dostawał za wysłuchanie rubelka na wódkę, to już dawno popadłby w alkoholizm, a tymczasem nie – trzymał się dobrze, bo co znaczy ćwiartka przed obiadem i druga po nim, w końcu wiek ma swoje prawa, a on dobiegał sześćdziesiątki. Upragniona emerytura czekała się za horyzontem, lecz jak zwykle do wszystkiego wmieszał się los i odsunął spokojną starość w bliżej niesprecyzowaną przyszłość. A wracając do Loszy: że też drug musiał sobie wziąć taką sukę za żonę. Baba puszczała się na prawo i lewo, a z chłopca pozostał ledwie strzęp człowieka. Kumpie dobrze radzili – zastrzel szmatę, a jak sam nie dasz rady, pomożemy. Niestety, wszystko skończyło się wyjątkowo niefortunnie. Sam Anodin ledwie uszedł śmierci spod kosy, gdy żoneczka w przypiływie wściekłości, czy raczej w pijackim amoku, rzuciła w męża kuchennym nożem. Ostrze przecięło ramię, karmazynowe krople krwi zrosiły podłogę, a poszkodowany w ciężkim szoku uciekł z mieszkania.

Dalej było jeszcze gorzej, bo okazało się, że na Bogu ducha winnym Anodinie ciąży niespłacony kredyt z odsetkami rosnącymi jak szalone. W końcu ofiara niewyżytej kobiety zdecydowała się pójść po rozum do głowy i przerwać to błędne koło. Pierwszą rozprawę rozwodową wyznaczono na zeszły poniedziałek. I co? Oczywiście nic, jako że kraj stanął na krawędzi przepaści, prywatne problemy obywateli zostały odsunięte na bok, a chwatów takich jak oni – Milutin i Anodin – potrzebowano w pierwszej kolejności. Służba konwojowa to nie byle co! Do niej ojczyzna potrzebowała nad wyraz odpowiedzialnych osób, takich, co to ani łapówki nie wezmą, ani więźnia z dobroci serca nie wypuszczą. Nawet prokurator to co innego. Taki urzędnik kierował się kodeksem i własną intuicją. Oni w każdych okolicznościach pozostawali wierni przysiędze.

Milutin podpisał podsunięty formularz przekazania więźnia. Za każdym razem na wszelki wypadek robił tak samo – z bazgrołów nie dawało się odczytać niczego – i zupełnie odruchowo schował pożyczony długopis do własnej kieszeni. Strażnik więzienny chrząknął znacząco i wyciągnął rękę.

– Aha. – Długopis, niby niechcący, spadł na beton więziennego dziedzińca. – Chodź, Losza, zobaczymy, jakiego gagatka przyjdzie nam konwojować. – Poprawił czapkę na głowie. Potnik lepił się do skóry czoła, a dochodziła dopiero siódma rano.

Więzień mrużył oczy od słońca, stojąc przed budynkiem administracyjnym. Wyglądał na kawał chłopca, przerastał konwojentów co najmniej o pół głowy. Ponure spojrzenie potrafiło przepalić na wylot, lecz na nich nie robiło to wrażenia.

Milutin podszedł bliżej i sprawdził kajdanki spinające kostki i nadgarstki aresztanta. Wszystko grało, podobnie jak łańcuch przyczepiony do metalowych bransolet. W swojej karierze Dimka widział setki czy nawet tysiące podobnych do niego. Buntowników nigdy nie brakowało. Takich zresztą lubił najmniej, bo mordercy czy dewianci wcale mu nie przeszkadzali, o ile nie wchodzili w drogę. W konwoju zdarzały się najróżniejsze rzeczy, nie raz i nie dwa potrafił wyprostować takiego, który zgrywał zbytniego chojraka. Kto raz wpadł w łapy systemu, był mielony systematycznie i bez litości.

– Taa... czym podpadł? – zapytał strażnika stojącego obok.

– Szpiegostwo.

– Gdzie się taka gnida uchowała? No jak, Loszka, pakujemy towar i jedziemy. Na lotnisku nie będą czekali.

Przerobiony UAZ potrafił zmieścić na pace kilku takich jak ten, lecz tym razem przetransportują tylko jednego. Przeważnie robili to w trzech, niestety, ich kumpel Łazarz rozchorował się nagle po zjedzeniu przydziałowej konserwy. Nikomu nic nie było, tylko on zwijał się w bólach. Podejrzana sprawa. Milutin solennie obiecał sobie, że po południu odwiedzą Łazara i sprawdzą, co tak naprawdę dolega przyjacielowi.

Chwycili aresztanta pod łokcie i powlekli ku budzie. Tuż przed nim Dimka złapał więźnia za kark i przydusił ku ziemi. Szybki ruch i osobnik wylądował w środku.

– Tak dla pewności. – Milutin ponaglił Anodina.

Ze stalowego pręta przyspawanego tuż pod sufitem wystawała dodatkowa para kajdanek. Alosza wyciągnął kluczyki i kazał podopiecznemu unieść ręce do góry, po czym spiął nadgarstki obręczami.

– Wystarczy tych pieszczot.

Tylne drzwiczki zostały zatrzaśnięte, a blokada zamka przekręcona.

Milutin zasiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył od razu. UAZ wolno podjechał do bramy. Wrota się rozsunęły i wytoczyli się na ulicę. Wóz skręcił w lewo i pojechał w stronę najbliższego skrzyżowania.

– Nie masz czego żałować – Dimka wrócił do przerwanej wątku. – Poboli i przejdzie, tak to już jest.

W odpowiedzi usłyszał westchnienie Aloszy.

– Mało to bab na świecie? Widziałeś tę nową z kadr? No mówię, miód nie kobita. Czysty ogień w oczach, a jaka postawna! Ha, z taką to i...

Próba zagadania Anodina nie przyniosła efektu, więc Milutin w końcu zamilkł i włączył radio. Niech miła muzyczka urozmaici przejażdżkę. Nic z tego, zamiast relaksujących dźwięków odezwał się poważny głos spikera, przypominający z całą brutalnością o niewesołej rzeczywistości:

Informacje przekazane ze sztabu 58 Armii potwierdzają jednoznacznie, że jej oddziały odparły wroga i powróciły na zajmowane do tej pory pozycje. Jednocześnie chwilowo została przerwana łączność ze sztabem 201 Dywizji Zmechanizowanej w Duszanbe, wszelako – jak twierdzą źródła wojskowe – po kilkudniowych niepokojach w stolicy Tadżykistanu panuje względny spokój...

– Słuchaj, Losza, ci dopiero mają kłopoty. – Dimka wrzucił prawy kierunkowskaz i poczekał, aż rozklekotany KrAZ przed nim zjedzie na bok.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – powiedział Anodin.

Cholerny zawalidroga przed nimi ani myślał ustąpić miejsca. Dimka delikatnie skręcił kierownicą w lewo, chcąc wyprzedzić ciężarówkę. Nic z tego, z przeciwka nadjeżdżał kolejny pojazd.

– Masz ci los – mruknął pod nosem.

Tymczasem KrAZ sunął tak wolno, jakby chciał stanąć w miejscu, co też wkrótce nastąpiło.

– Losza...

– Tak?

– Coś mi tu...

Gangsterskie napady w środku miasta nie zdarzały się w Petersburgu od dawna. To nie Ameryka, lecz spokojny kraj ciężko pracujących ludzi. Zerknął we wsteczne lustro. Z tyłu podjeżdżał zielonkawy Daewoo, niechybnie przywieziony na lawecie z Polski, i zatrzymał się tuż za nimi. Wszyscy stali tak blisko siebie, że nie można było wykonać żadnego manewru. Milutin sięgnął do kabury. Nie żeby się wystraszył, co to, to nie, ale – jak mówią – strzeżonego Matka Boska Kazańska chroni. W ostateczności poprosi przez radio o wsparcie. W pobliżu znajdowało się dość patroli, by dotrzeć w parę minut. Jak na razie zwlekał. Nie chciał ściągnąć na siebie kpin kolegów, jeśli poprosi o pomoc, a wszystko okaże się zbiegiem okoliczności.

•

Przebywał w tym kraju od niedawna, więc wszystko, co działo się dookoła, nosiło dłań znamiona egzotyki. Wcześniej pracował w południowej Europie, trochę w Turcji. Trudno mówić, że był nowicjuszem, a mimo to – choć widział wiele – Rosja wciąż potrafiła go zadziwić. Jednego nie wiedział – jaki układ zawarł Jeff z tym Polakiem, lecz prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło. On był od roboty, i to takiej, w której niewielu ludzi chciało się babrać.

Podobno większość osób ma problemy z zabiciem kogoś z niewielkiej odległości. On wprost przeciwnie. Nóż czy pistolet, wszystko jedno, czym się posługiwał. W obu przypadkach był bliski doskonałości, eliminował wrogów jakby od niechcenia.

Nieraz się zastanawiał, co z nim jest nie tak – żadnych wyrzutów sumienia i twarzy śniących się o trzeciej nad ranem. Nawet nigdy nie próbował policzyć osób, które zabił. Niby w jakim celu? To

nie trofea wieszane nad kominkiem. Po prostu ktoś to musiał zrobić i tyle. Psychiatra, u którego przechodził rutynowe badania, nic nie powiedział i odesłał go z powrotem do zespołu. Żeby wszystko było jasne: tortury wzbudzały w nim odrazę. Te sprawy pozostawiał Harry'emu, mającemu mniej oporów w tym względzie. Oczywiście, dokończenie roboty przypadało jemu, ale skoro inaczej się nie da...

Wcisnął hamulec do oporu. Wywrotka KrAZ, którą kierował, stanęła z głośnym sapnięciem, z tyłu podjechał żółty UAZ, a za nim zielona osobówka. Zdaje się, że byli w komplecie.

•

Nerwy miał napięte jak postronki. Właściwie w ogóle nie powinien tutaj przebywać. Awantura, jaką zrobiła Tamara, wprawiła Andrzeja w zdumienie. Został wyzwany od niewdzięczników i... – o tym akurat wolał zapomnieć – i że jeszcze nie jest do końca wykurowany, a już się naraża. Oczywiście usłyszał, że jak wyjdzie, ma już nie wracać. Logiczne argumenty zdawały się na nią nie działać. Oczy ciskały płomienie, a od krzyku pękła żarówka pod sufitem. Schodząc na dół, napotkał współczujące spojrzenie Jeffa, Harry zaś pokręcił głową i czym prędzej ulotnił się z daczy.

Co też ją opętało? Przecież wszystko dobrze się układało. Taki temperament nie zdarzał się często, w dodatku Tamara wyglądała na spokojną dziewczynę. Niestety, jak się okazuje – pozory mylą.

Sama akcja opierała się na czystej improwizacji. Mniej więcej znali trasę przejazdu z aresztu przy ulicy Lebediewa na lotnisko. Udało im się dowiedzieć, że Nortona odsyłano do Moskwy zwykłym wojskowym transportem, a nie specjalnym samolotem w towarzystwie agentów federalnych. KrAZ-a skradli z placu budowy godzinę temu. Nadawał się idealnie: wielka wywrotka, w razie potrzeby mogąca staranować dowolny samochód, jaki stanie na drodze. Daewoo podprowadzili wcześniej z jakiegoś osiedla na południu Petersburga.

Doświadczenie mówiło im, że działanie bez wcześniej przygotowanego planu często kończy się jatką postronnych i wpakowaniem się w kłopoty, ale nie mieli wyboru. Jedynej szansy upatrywali w szybkości – jeżeli w pół minuty nie uporają z problemem, to znaczy, że nie nadają się do tej roboty.

Huge wyskoczył z szoferki pierwszy, od niechcenia kopnął w oponę i w bezradnym geście rozłożył ręce. Z tyłu do UAZ-a podszedł Wirski, obrzucając zawalidrogę stekiem przekleństw. Huge nie pozostał dłużny, wywiska latały w powietrzu jak plastikowe frisbee, gdy podchodzili do siebie z naprzeciwka.

Konwojenci wyglądali na rozbawionych całą sytuacją – dwóch nerwowych kierowców obrzucało się epitetami na środku drogi. Tylko po co jednemu z nich nożyce do cięcia metalu?

Ulica pusta, do dzieła.

Pierwszy wystrzelił Wirski. Pistoletowy pocisk kalibru 9 milimetrów przebił szybę i trafił Dimkę Milutina w głowę. Wylatujące z przeciwnej strony czaszki fragmenty kości, mózg i posoka obryzgały Aloszę Anodina. Jego świadomość zdołała to zarejestrować, lecz na odpowiedź zabrakło czasu. Huge z całą determinacją doświadczonego strzelca oddał dwa strzały, oba trafiły w czoło pod kątem. Anodin życie może miał i ciężkie, ale śmierć nad wyraz lekką.

Zabójcy nie poświęcili konwojentom ani chwili dłużej. Zrobili parę kroków wzdłuż UAZ-a i przytknęli do zamka drzwi niewielką kostkę plastycznego materiału wybuchowego.

– Uwaga!

Nawet te parę gramów detonowało ze sporym hukiem.

Andrzej pierwszy zajrzał do środka. Norton wydawał się zdezorientowany. Przez metalową ściankę słyszał kłótnię i strzały, chyba czegoś podobnego mógł się spodziewać, lecz – jak często bywa, gdy ziszczą się nadzieje – wyglądał na nieco pogubionego.

Ostrze nożyc przecięło łańcuszek kajdanek z cichym zgrzytem.

– Szybciej! – Wirski przytrzymał łokieć więźnia, odrzucając niepotrzebne już narzędzie.

Do samochodu załadowali się w rekordowym tempie. Prowadził Huge. Gwałtownie manewrując kierownicą, wyminęli miejsce zasadzki i wjechali w pierwszy skręt w lewo, mocno

przyśpieszając. Siedemset metrów dalej znajdował się parking. Podjechali do niego już znacznie spokojniej, by nie wzbudzać sensacji. Amerykanin zwolnił, starając się znaleźć dogodny miejsce do porzucenia auta.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – odezwał się Shepard, wciąż zszokowany tym, co zaszło.

– E, czysty przypadek, akurat przejeżdżaliśmy obok. – Andrzej rozglądał się wokół. – Tam.

Luka pomiędzy parkanem a murowanym śmietnikiem wydawała się za mała, by zmieścić zieloną osobówkę.

– Musicie wysiąść, inaczej nie otworzycie drzwi – mruknął Huger.

– Słyszałeś, Nort, rusz tyłek.

Tak samo szybko, jak znaleźli się we wnętrzu, opuścili je, pozwalając kierowcy wprowadzić samochód w szczelinę na uboczu.

– Załóż.

Norton włożył obszerną kurtkę, której mankiety przykryły obręcze kajdanek, wciąż spinające jego nadgarstki.

– Co to za gość? – Dziennikarz wskazał na podchodzącego agenta.

– Twój rodak. Podziękuj Langley, że nam załatwiła takich junaków.

– Parszywe CIA.

– Jesteś uprzedzony, zupełnie niepotrzebnie.

– Obiecałeś.

– Odstawić cię z powrotem? Przez ostatnie parę dni sporo się zmieniło. Już wcześniej było interesująco, ale obecnie... – Akurat w tej chwili nie chciał tłumaczyć, co i jak. Może gdy znajdą się w bezpiecznym miejscu, przyjdzie pora na wyjaśnienia.

Od strony, z której przyjechali, rozległo się przeciągłe wycie policyjnych syren.

– Niedługo każdy glina w tym mieście dostanie zdjęcie z twoją głową, Nort, więc lepiej sphywajmy. Huger przodem, ty w środku, ja zamykam. Ręce w kieszeń, wzrok w głąb, jasne? – Wirski zwrócił się do Sheparda. – I wyciągaj nogi, bo nas tu noc zastanie.

•

Liczba danych przyprawiała o ból głowy. Niekończące się ciągi cyfrowo-literowe przesuwaly się przed oczami jeden po drugim, zmuszając Dmitrija do maksymalnej koncentracji. Program wymagał tylko niewielkich poprawek, rzec by można – ostatecznego szlifu i już.

Dmitrij nie znał jego całości, dostał do zrobienia niewielki kawałek i wywiązał się z zadania najlepiej, jak potrafił. Innego wyjścia nie miał. Został otoczony przez Skokowa szczególnym nadzorem i wszystko, co robił, było kontrolowane przez zaufanych generała. Dobrze, że w ogóle zdołał sprawdzić swoje konto na VKontakte.

Bardziej na wszelki wypadek niż z rozsądku zajrzał na kiedyś uzgadniany profil. Niepomierne zdziwił się, zobaczywszy nowy wpis. Przecież widział, jak strzał rozpruwa plecy Wirskiego. Widocznie ten człowiek posiadał więcej niż jedno życie. Ucieszył się, ale nie wiedział, co robić dalej. W obecnej sytuacji nawiązanie kontaktu i próba przekazania jakichś informacji wiązały się ze śmiertelnym ryzykiem. Wreszcie odpowiedział, do końca nie wiedząc, czy robi dobrze. Przez kolejne godziny, które spędził, czekając w napięciu na konsekwencje wpadki, nic się nie wydarzyło. Skokow nie stanął za nim, nie położył ciężkiej łapy na ramieniu, a ochroniarze nie wyprowadzili go do piwnicy.

Szybko wszedł do Internetu, próbując wykorzystać wszelkie możliwe sposoby ukrycia się w sieci. Przy okazji zajrzał na czołowy portal informacyjny. Oficjalna propagandowa tuba rządu i prezydenta jak zwykle miała się dobrze i nic nie mąciło blasku przywódcy, a wszystko zmierzało ku lepszej przyszłości, oprócz garstki wichrzycieli, którzy próbowali przeszkodzić w tym chwalebnym przedsięwzięciu. Zalogował się.

Tym razem sens niewinnie brzmiącego wpisu brzmiał: gdzie jesteś?

„Tam, gdzie o mało nie zaliczyłeś zgonu na ostatniej imprezie” – postawił kropkę i się



wylogował. Nie widział sensu w przedłużaniu tej całej zabawy. Od nieustannego siedzenia przez monitorem bolały go plecy, a cała energia uszła z niego już dawno. Działał tylko zwykły instykt samozachowawczy, sprowadzający się do strachu przed szefem tego przedsięwzięcia.

Rozejrzał się po sali, gdzie w poświęcie migocących monitorów pracowali hakerzy zwerbowani przez Skokowa. Jak na biuro było tu wyjątkowo cicho i spokojnie. Właściwie nic się nie działo – w realu, bo w matriksie aż huczało od wyładowań. Największy sukces, jakim było zablokowanie amerykańskiej sieci bankomatów, doprowadził do chaosu w wielu miastach USA. Zdenerwowanie zwykłych obywateli pewnie sięgnęło zenitu, do tego dochodziły uszkodzenia sieci energetycznej i próby zakłócenia kontroli przestrzeni powietrznej, w paru przypadkach udane, blokady stron rządowych i prywatnych instytucji, w sumie sporo się tego zebrało. Oczywiście, Stany Zjednoczone i pozostałe państwa NATO nie pozostały dłużne, a rosyjskie zabezpieczenia poddawały się równie szybko. Niespodziewanie twardym orzechem do zgryzienia okazała się Estonia, już wcześniej dotknięta takimi atakami. Dobrze wykorzystwała zebrane wówczas doświadczenia i udowodniła, że nawet małe i słabe państwo w tej dziedzinie może stać się potęgą.

Odsunął krzesło do tyłu i wstał. Wyjście na korytarz pozostawało otwarte. Gruba szara wykładzina tłumiła kroki, nie usłyszał więc ochroniarza nadchodzącego od strony schodów. Na jego widok Dmitrij skrzył w stronę łazienki znajdującej się obok. Wszedł, odkręcił kran z zimną wodą i opłukał twarz, parszkając przy okazji parę razy. Spojrzał w lustro. Jego wymizerniała twarz jaskrawo kontrastowała z ogorzałym obliczem człowieka pilnującego porządku. Kolegów Dmitrija rekrutowano na uczelniach, w firmach informatycznych i wśród powstającej nowej elity, tamtych zaś na poligonach i spośród członków oddziałów bojowych. Prawie wszyscy należeli do desantu lub specnazu i takim chuderlakom jak on ukręcali szyję jednym ruchem mocarnych ramion. Nie byli przy tym durniami, jak by się mogło wydawać, znali języki obce i biegle posługiwali się sprzętem elektronicznym. W końcu pracowali jako agenci, a nie zwykli portierzy.

Zakręcił zimną wodę, strząsając krople na dno umywalki, i wyprostował się. Nie słyszał, kiedy weszli, pewnie stało się to wtedy, gdy próbował schłodzić rozgrzaną głowę.

Widział ich pierwszy raz. Wydawali się dosyć podobni do niego, lecz zdecydowanie lepiej zbudowani i z jakąś pretensją wyzierającą z oczu. Musieli zauważyć, jak wychodzi, i przywlekli się tu za nim. Trzech świrów Skokowa, ogarniętych obsesją podlizania się generałowi.

Ruszył naprzód, chcąc wyminąć blokadę, lecz ci zwarli się i spięli, wyraźnie pokazując, że nic z tego.

– Czego chcecie? – Pytanie nie zabrzmiało dostatecznie pewnie, raczej jak skomlenie o wyrozumiałość.

– Nie pyskuj – odpowiedział najwyższy z nich. Coś mówiło Dmitrijowi, by na niego uważać najbardziej.

– Pytałem...

Nie dokończył, bo dłoń prowodyra zatoczyła łuk i uderzyła go w twarz. Widział wyraźnie, jak zmierza do celu, był czas zareagować, nie zrobił jednak nic. Stał sparaliżowany jak słup soli, bojąc się wykonać obronny gest.

Nie bolało tak bardzo, jak się spodziewał, w końcu ci trzej to personel biurowy, sparing z ochroniarzem przypląciłby większym guzem. Po pierwszym ciosie odruchowo zamknął oczy i pochylił głowę. Uderzenia padały gęsto, lecz brakowało im siły i precyzji, dopiero kopniak w podbrzusze wyrwał Dmitrija z odrętwienia. Zawył i pochylił się jeszcze bardziej. Wściekłość zatętniła w żyłach, odbił się pośladekami od umywalki i zaatakował głową.

Przeciwnik nie przewidział takiej reakcji, oberwał czołem w splot słoneczny i razem polecili do tyłu. Wpadli przez otwarte drzwi do jednej z kabin. Wysoki, ciemnowłosa obrońca praworządności przysiadł na muszli. Już nie wyglądał tak zadziornie, zwłaszcza gdy czoło Dmitrija rozgniotło mu nos na miążgę. To całkowicie wyłączyło go z walki. Opadł bez sił, niezdarnie zaśłaniając się ramionami. Te próby nie zdały się na nic, oberwał jeszcze pięścią w szczękę i ucho.

Brak wprawy w podobnych bójkach sprawił, że kumple nie potrafili pomóc masakrowanemu koledze. Kręcili się niezdecydowanie za plecami Dmitrija. Zamiast złapać odwróconego tyłem hakera za szyję i wywlec z kabiny, jeden z nich chwycił go za nogę. Dmitrij wierzgnął drugą nogą i śpieszący z odsieczą oberwał piętą w siekacze. Gdy wypluł na podłogę własne wybite zęby, stracił całą ochotę do konfrontacji. Przecież nie tak to miało wyglądać.

Ostatni z napastników stał niezdecydowany. Najdrobniejszy i nie tak agresywny, przyłączył się do pozostałych skuszony obietnicą dobrej zabawy. I faktycznie – rozwijała się ona w najlepsze: popapraniec w kabinie siedzący na jego koledze wyglądał, jakby wbijał gwoździe gołymi rękami, raz za razem uderzając w głowę nieszczęśnika pod nim, a końca nie było widać. Biec po pomoc czy raczej czekać, aż wszystko samo się wyjaśni?

Doczekał się szybko. Do środka wpadli agenci ściągnięci odgłosami bijatyki i zaczęli rozdzielać walczących. Nie obchodziło ich, kto jest kim, razami i kopniakami obdzielili wszystkich zainteresowanych.

– Który zaczął? – warknął człowiek wyglądający na byłego komandosa.

Nie usłyszał nic prócz posapywań, chrząknięć i syczenia.

– Nie ma winnych? – zapytał ochroniarz. – Sami tego chcieliście.

Nie musiał mówić nic więcej. Odpowiedni raport trafi na biurko tutejszego pana i władcy.

Dmitrij powoli się uspokajał. Mimo wielu kopnięć, szarpnięć i uderzeń nie odniósł urazów cięższych niż powierzchowne skaleczenia. Przeciwnicy wyglądali gorzej – i ten bez zębów, i ten, który rozpoczął bójkę. No, ale przecież sami tego chcieli. Czyż nie?

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 23 maja, godzina 11:12

W pośpiechu nie zdążyła spakować wszystkich niezbędnych rzeczy. Agent Secret Service stał w przedpokoju, wzdychał, przewracał oczami i znacząco spoglądał na zegarek, brała więc wszystko, co wpadło jej w rękę, i wrzucała do dwóch walizek. W konsekwencji większość potrzebnej garderoby pozostała w domu, a mieszkanie wyglądało jak po przejściu tornada lub po wyjątkowo szczegółowej rewizji policyjnej.

Podróż na miejsce nie zabrała dużo czasu, Centrum znajdowało się nieco ponad godzinę jazdy samochodem z Waszyngtonu, akurat w sam raz, by w przypadku zagrożenia ewakuować najważniejszych urzędników wraz z wybranym personelem i dostarczyć do względnie bezpiecznego miejsca we względnie krótkim czasie. Tych najważniejszych przewożono śmigłowcami, tych mniej ważnych, jak ją, samochodami.

Na terenie kraju znajdowało się kilka podobnych ośrodków pełniących funkcje zapasowych centrów dowodzenia, skąd prezydent i rząd mogli sprawować władzę. Ostatecznie zawsze do dyspozycji pozostawał błękitno-biały Air Force One bądź jednostka nawodna.

Jeżeli ktoś spodziewał się w Mount Weather luksusów, to pomieszczenia musiały go rozczarować. Ją i tak spotkało wyróżnienie – przydzielona jej klitka znajdowała się blisko głównego korytarza, który prowadził do części zajmowanej przez najważniejszych urzędników w kraju – członków rządu i dyrektorów agencji. Apartamenty prezydenta i pozostałych oficjeli oczywiście wyglądały inaczej niż jej pokój o standardzie taniego hotelu, który w dodatku musiała dzielić z asystentką sekretarza stanu. Na szczęście nie spędzały razem dużo czasu, zajęte swoimi obowiązkami.

Zamknięta w bunkrze, nie chciała myśleć o tym, co czują ludzie niemający paru metrów betonu nad głową. W razie wymiany nuklearnych ciosów wielu z nich wyparuje, zginie lub odniesie rany od fal uderzeniowych, a większość doświadczy choroby popromiennej. Już i tak otrzymali przedsmak tego, co może nastąpić – w paru miastach przeciwnicy interwencji wznieśli zamieszki, ucierpiało Chicago, Atlanta i San Francisco. Na Manhattanie próbowano wdrzeć się do głównej siedziby

Goldman Sachs, obwiniając bank winą za powstały kryzys. Prezesów ewakuowano z dachu helikopterem, lecz cała reszta pracowników przyglądała się rozwojowi wypadków na ulicy. Zwarte szyki policji zdawały się pękać pod naporem protestujących i dopiero interwencja Gwardii Narodowej zapobiegła dalszym ekscesom.

Wcześniej podobne obrazki oglądała w transmisjach z Moskwy, później zamieszki rozlały się na Europę, dotykając głównie Niemiec, a teraz dotarły i tutaj. Wszystkie te newsy „łowiła” niejako przy okazji, na marginesie tego, nad czym pracowała.

Nie chciała zwracać Gary’emu głowy mało istotnymi informacjami lub takimi, których wiarygodność była wątpliwa. Podejmując decyzje o strategicznym znaczeniu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego potrzebował czegoś więcej niż zwykłych depeesz, jakie nadchodziły zewsząd. Jej rola polegała właśnie na wyłuskiwaniu najistotniejszych – ich analizy i przewidywaniu skutków. Siedziała w samym środku biurokratycznej maszyny, co niekiedy wywoływało w niej napady paniki. Przyczyniła się do powzięcia wielu decyzji, których skutki później analizowała. Podobno ofiary to tylko statystyka, ale nad wieloma nie potrafiła przejść spokojnie. Podobno też nic nie trwa wiecznie, jednakże ten kryzys zdawał się nie mieć końca.

Doczytała ostatnią notatkę mówiącą o skierowaniu na północ desantowców floty USS „Wasp” i USS „Bataan”, co – jak przypuszczała – wiązało się z planowanym desantem w rejonie Murmańska. Na razie nie próbowano wzmacniać grupy generała Setha Holdena. Jego parę tysięcy żołnierzy w ciągu najbliższych dni zacznie się przemieszczać na zachód i połączy się z marines II Korpusu. Widziała, że na Morzu Barentsa szykuje się kolejna wielka operacja, być może najtrudniejsza ze wszystkich, jakie do tej pory przeprowadzili. Taka Normandia, tylko w znacznie cięższych warunkach. Jak oni to nazwali? Operacja „Młot Thora”. Dobrze, że nie „Zmierzch Bogów”.

U wejścia dostrzegła Gary’ego w pomiętym garniturze. Aż trudno było uwierzyć, jak się ten dandys postarzał przez ostatnie parę tygodni. Ubranie wisiało na nim jak pokutny worek. Pewnie też dobijały go wymogi związane z bezpieczeństwem: zamiast partyjki golfa przesiadywanie w towarzystwie równie starych zgredów i niekończące się narady.

Podchwycił jej spojrzenie i na jego twarzy zagościł cień uśmiechu. Teraz niemal przypominał dawnego siebie. Zdaje się, że zbliżała się pora małego rytuału, celebrowanego od czasu, gdy zaczęła pracować dla Craiga. Sprawdziła, czy na biurku nie pozostały żadne tajne materiały, i podeszła szybkim krokiem.

– Doszliście do porozumienia? – zapytała.

– Prawie – mruknął, przepuszczając ją przodem.

Jako jeden z najwyższych urzędników cieszył się specjalnymi przywilejami. Należał do tych nielicznych szczęśliwców, którym przypadł osobny gabinet i pokój wypoczynkowy. Właśnie tam się skierowali.

– Na siłowni byłaś?

– Chyba żartujesz – parsknęła.

– Wcale nie, podobno jest równie dobrze wyposażona, jak ta w Sports Club/LA.

– I tak naładowana testosteronem, że przy wejściu można się udusić, niezbyt zachęcająca perspektywa. Brakuje mi słońca – powiedziała niespodziewanie.

– W tej kwestii... sama wiesz.

– Nie bierz tego do siebie.

Usiedli, Gary na kanapie, a Ashley na fotelu ustawionym naprzeciwko.

– Joe jest dalej uparty jak osioł, niewiele dociera do tego pustego łba. – Craig po spotkaniu u prezydenta wyglądał na wykończzonego.

– Strategia stref bezpieczeństwa nie przyniesie niczego dobrego.

– Ja to wiem, ty to wiesz, Wilson wie i znajdzie się jeszcze paru, dla których jest to jasne. Niestety wiceprezydent forsuje swoją koncepcję. Przedstawił pierwszy projekt – nie powiem – śmiały, tylko że obejmujący rejony wydobywcze.

– Wyobrażam sobie.  
– Centra polityczne obchodzą go niewiele, w ostateczności gotów jest dogadać się z Putinem.  
– Bo ja wiem, czy to takie złe? – Ujrawszy dezaprobatę na twarzy Gary’ego, dodała: – Przepraszam.

– Nie ma za co. Jeżeli zatrzymamy się na tym etapie, drugiej szansy nie otrzymamy.  
– Wiem, do czego zmierzasz. – Jej przekonywać nie musiał. – A pozostali?  
– Kerry ma podobne zdanie jak Biden: przeraża go nie sama Rosja, lecz to, co zrobią Chiny.  
– Tak jak większość ludzi, Gary. Próba wejścia z nimi w otwarty konflikt skończy się...  
– Powiedz to wyraźnie: masakrą.  
– Do niedawna byłam pewna naszych racji, obecnie mam szereg wątpliwości, jeśli chcesz wiedzieć. – W końcu wyrzuciła to z siebie. – Żebyś mnie dobrze zrozumiał: jeżeli chodzi o Rosję, wspieram cię w całej rozciągłości. Nie chciałabym tylko, byśmy padli ofiarą własnego sukcesu, co w konsekwencji przyniesie więcej szkody niż pożytku.

Craigowi ta przemiana wcale nie wydawała się dziwna, o ile oczywiście była to rewizja dotychczasowych poglądów. Wcześniej Ashley trzymała twardego kursu, nie zbacząc na milimetr z wyznaczonej trasy. Niejednokrotnie sama namawiała Gary’ego do przedstawienia prezydentowi ostrzejszego stanowiska w wielu kwestiach, czym wprawiała w zachwyt polityczne jastrzębie, a wzbudzała niepokój tych o nieco łagodniejszych poglądach, więc co się stało teraz?

– Trochę za późno na wątpliwości, wiesz o tym dobrze.  
– Zastanawiałeś się nad konsekwencjami? – Zadała dość niespodziewane pytanie. – Nic już nie będzie takie jak wcześniej, powstaną nowe państwa.

– A wiesz, że to jest znakomity pomysł... – Już kiedyś o tym myślał, lecz wówczas wydawało się to nierealne. W obecnej sytuacji na pewno miało więcej sensu niż strefy bezpieczeństwa. Zresztą jedno nie musiało wykluczać drugiego, od czegoś trzeba będzie zacząć. Precedens już był: Republika Syberyjska – co prawda upadła po paru dniach, lecz co stało na przeszkodzie, by wskrzesić ją ponownie, już na nowych zasadach i pod nowym przywództwem? Przynajmniej do pewnego stopnia zaabsorbuje ona uderzenie Chin, gdy już takie nastąpi, a co do samego Państwa Środka... – Umów mnie na spotkanie z Wilsonem i dyrektorem CIA w najbliższym możliwym terminie.

- Brennan jest na miejscu, a co do Wilsona, to może być wideokonferencja?
- Mam gadać z monitorem? Wiesz, jak to lubię.
- Ciężko ci dogodzić.
- Niektórzy na starość tak mają.

•

– Środki wojskowe mogą nie wystarczyć, pod tym względem Gary ma całkowitą rację. – Oblicze Wilsona na jednym z ekranów wydawało się większe niż w rzeczywistości. Widzieli na nim każdą zmarszczkę w kącikach ust i worki pod oczami. – Co do reszty, nie chcę się wypowiadać. Możemy oczywiście wesprzeć działania podjęte przez Agencję, jednak w ograniczonym zakresie, inaczej nie pozostanie nam nic w rezerwie.

– O ile dobrze zrozumiałem – dyrektor CIA pochylił się ku Gary’emu – mamy zdestabilizować sytuację w Chinach i doprowadzić do konfliktu wewnętrznego?

– To jedyna szansa.  
– Najpierw Federacja, teraz to... nie za dużo od nas wymagacie? W Rosji można było liczyć na jakąś opozycję i oprzeć się na ludziach niechętnych Putinowi, w tym przypadku jest znacznie trudniej.

– Proszę mi nie mówić, że miliard trzysta milionów obywateli to sami zwolennicy partii komunistycznej.

- Tego akurat nie twierdzę.
- O ile pamiętam, tam co rusz dochodzi do niepokojów, głównie na terenach wiejskich, lecz

zdarzają się też ruchawki w ośrodkach miejskich, a nawet nieraz przybierają gwałtowny charakter. – Gary dobrze przygotował się do spotkania, a właściwie uczyniła to za niego Ashley.

– Owszem. Tyle że zdecydowana większość wie, komu zawdzięcza obecny dobrobyt, czyli telewizor, komputer, rower, a niejednokrotnie i skuter. Jeżeli wam się wydaje, że to kraj towarzysza Mao, to się grubo mylicie. Postęp jest znaczny w każdej dziedzinie.

– My o tym wiemy. – Doradca prezydenta uspokoił coraz bardziej ekscytującego się dyrektora.  
– Tylko że właściwie już prowadzimy z nimi wojnę, a raczej oni z nami: atakują naszą sieć informatyczną do spółki z Rosjanami i włączają tam, gdzie ich być nie powinno. Jeżeli nie damy zdecydowanego odporu tym zakusom, wejdą nam na głowę. Gwarantuję, że prezydent ma w tej materii takie samo zdanie jak ja.

– Znamy dziesiątki tysięcy obiektów na terytorium Chin, które powinniśmy zniszczyć. Nawet w sprzyjających warunkach rozwalenie samych najważniejszych jest karkołomnym zadaniem, a warunki wcale nie są sprzyjające. Cały nasz potencjał został zaangażowany do działań na terytorium Federacji. Zostało naprawdę niewiele rezerw. Biorąc pod uwagę, czym dysponuje Pekin, to jest kropla w morzu potrzeb. Z tym zgadzamy się chyba wszyscy. – Głos głównodowodzącego brzmiał z głośników głośno i wyraźnie. – Otwarta konfrontacja jest na chwilę obecna... – generał poszukał odpowiedniego słowa – niewskazana.

– Nie sądziłem, że jesteśmy aż tak bezradni. – Brennan zmarszczył nos.

– Możemy spróbować zlikwidować kierownictwo KPCh, jak i armii oraz resortów siłowych.

– Szybkie cięcie – powiedział dyrektor.

– Nie wiem, czy szybkie i czy okaże się skuteczne – zdenerwował się Wilson. – Jeśli nic nam nie pozostanie, zawsze jest to jakieś rozwiązanie, lecz wyłącznie w ostateczności. Jeżeli coś nie wypali, możemy zapomnieć o uregulowaniu całego bałaganu za pomocą negocjacji. Zainteresowani pochowają się w takie dziury, że nie znajdziemy ich do sądnego dnia.

– Czy pan przypadkiem nie wyolbrzymia problemu? – Brennan podparł głowę. – Obserwujemy ich od dawna, a w niektórych okresach współpracowaliśmy z nimi dość blisko.

– Myśli pan, że Kerry nadaje się na nowego Kissingera? – zapytał Gary.

– W polityce nie ma rzeczy niemożliwych, to po pierwsze. – Dyrektor tym razem poprawił marynarkę. – A po drugie: jeżeli sami nie damy rady, z całym szacunkiem, generale, to Indie przy naszej niewielkiej pomocy są w stanie zaabsorbować Chiny do czasu, aż wyklaruje się sytuacja na terenie Federacji.

– Nie postawiłbym na Hindusów złamanej rupii.

– Niewiele ryzykujemy.

– Zaraz do wszystkiego wmiesza się Pakistan. Tylko czeka na takie posunięcie Indii.

– W tym przypadku mamy już pięć państw, przy czym wszystkie dysponują bronią jądrową. – Craig pomyślał o tym już wcześniej. – Jak myślicie, która strona jako pierwsza pęknie w tym współzawodnictwie?

– Uważam, że żadna.

– Nie jestem tego taki pewien. – Z nich wszystkich tylko Wilson posiadał doświadczenie w tego typu sprawach. – Niektórym pokusa może wydać się nie do odparcia, tym bardziej że parę ładunków już zostało zdetonowanych. Jeden więcej, jeden mniej, co to znaczy? Rosja może przyjąć uderzenie Chin, natomiast Indie i Pakistan przy ich gęstości zaludnienia już nie bardzo. Jedna głowica wycelowana w miasto...

– Dlaczego akurat w miasto?

– Łatwiejszy cel, bardziej spektakularny od bazy gdzieś na pustyni. Trafić łatwo, co jest ważne przy systemach naprowadzania, jakimi dysponują. Potraficie wyobrazić sobie skutki uderzenia w Karaczi czy Mumbaj?

– Historia nie zawsze pozostawia nam wybór – mruknął Brennan.

– To żadne wytłumaczenie.

– Panowie. – Gary nie lubił, jak dyskusja zmierzała w nieodpowiednim kierunku. – Naszym nadrzędnym obowiązkiem jest ratować, co się da, a priorytet stanowi sprawa Federacji i takie zniechęcenie Pekinu, by zastanowił się dwa razy, zanim wmisza się do wojny. Im szybciej tak się stanie, tym lepiej.

Każdy z nich myślał o czymś innym. Jak się zdawało, w wielu kwestiach sprawy zaszły za daleko, niektórych wydarzeń nie dawało się cofnąć, a powrót do punktu wyjścia stał się wręcz niemożliwy. Pozostawało minimalizować negatywne skutki zmian i tu w mniemaniu Gary’ego był pies pogrzebany: to minimalizowanie w konsekwencji doprowadzało do dalszego brnięcia raz ustaloną drogą. Każdy kolejny krok pogarszał relacje na linii Waszyngton – Moskwa, a teraz również i Waszyngton – Pekin. Zaczęło się od wspólnej akcji ratunkowej, skończyło na rosyjskiej ofensywie w krajach nadbałtyckich. Następny etap przewidywał zajęcie sporych obszarów Federacji. Nie raz i nie dwa zastanawiał się, jak podchodzili do tego problemu wojskowi: czy Petersburg traktowali jak Świętego Graala, czy też trochę trudniejszą drogę na Bagdad.

Zdaje się, że niektórzy nigdy nie widzieli w Rosjanach wymagających przeciwników, a w ich sprzeczności czegoś poza złomem. Wiele wydarzeń zdawało się potwierdzać tę opinię, niemniej on sam w tym przypadku zachowywał daleko idącą ostrożność. Nigdy w historii nie przyszło im potykać się na polu bitwy – aż do chwili obecnej. Wystarczyło parę dni i stracili lotniskowiec, dziesiątki samolotów i tysiące ludzi. Sojusznicy odczuli to jeszcze bardziej: Gdańsk leżał w gruzach na skutek nie do końca przemyślanego kroku Polaków. Bałtowie podobnie. To po nich przejechał pancerny walec, a wraz z przeniesieniem działań wojennych na teren Federacji zaczęły rosnąć straty wśród żołnierzy jednostek bojowych.

Pytanie, na jakie obecnie należało znaleźć odpowiedź, nie brzmiało: jak obalić Putina, ale – co nastąpi po nim? Wśród wielu zmieniających się koncepcji Gary przykładał wagę do jednej – demokratyczny rząd dawał szansę na nowe otwarcie we wzajemnych stosunkach. Problem w tym, że do tej pory nikt nie prowadził rozmów z osobami mogącymi do niego wejść. Sama opozycja wydawała się zdeorientowana. Nie popierali Putina, ale też nie chcieli widoku Abramsów i Challengerów na ulicach własnych miast. W końcu ci rozsądniejsi przyjmą do wiadomości, że to jedyny sposób na obalenie Władimira Władimirowicza, chociaż... swego czasu Stalina też nie wszyscy popierali, lecz w obliczu najeźdźcy zwarli szyki. Nie wiedział, który scenariusz sprawdzi się tym razem, ale był przekonany że warto spróbować. Musi o tym przypomnieć Wilsonowi.

– Moim zdaniem – zaczął dyrektor CIA po dłuższej przerwie – sprawą podstawową jest wyeliminowanie instytutu czy też sekcji cybernetycznej Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Dzięki staraniom grup terenowych rozpoznaliśmy to miejsce.

– Słucham? – O ile Gary wiedział, nie wszystko było zasługą ludzi Brennana.

– Na tym polu osiągnęliśmy spore sukcesy, wprowadzając własnego człowieka do tej supertajnej jednostki.

– Naprawdę?

Wspomni o tym Ashley, która należała do najlepiej poinformowanych osób w tym zakresie.

– Kosztowało nas to sporo pracy.

– Jestem pełen uznania – odrzekł Wilson, zachowując daleko idącą powściągliwość.

– My również odnosimy sukcesy. – Dyrektor zdawał się jej nie zauważać.

– Skoro tak, to kiedy możemy spodziewać się pierwszych efektów?

– Pracujemy nad tym.

– Dobrze by było skoordynować działania.

– Będę miał to na uwadze. – Brennan, zawiedziony brakiem aplauzu, przybrał bardziej obronną postawę i zbierał się powoli do wyjścia.

Gary dałby wiele za wiedzę, co też dyrektorowi chodzi po głowie.

– Proszę mnie informować na bieżąco.

Pożegnanie wypadło tak samo blade, jak i całe spotkanie, a już brak konkretów całkiem

zmierzył Craiga.

– Słuchaj, Gary. – Wilson nie rozłączył się, czekając na chwilę spokojnej rozmowy. – Jak wygląda sprawa powołania nowego rządu? Jest bardzo prawdopodobne, że zajmiemy Petersburg w ciągu paru dni. Okazja sama pcha się w ręce.

– W ogóle nie wygląda – odparł Gary. – Podziękuj Bidenowi za idiotyczny pomysł tworzenia stref.

– A jaki jest sens tworzenia tych stref?

– Ja nie wiem.

– Mam zająć drugie co do wielkości miasto Federacji... i co dalej?

– Wiceprezydent liczy na rozsądek Putina i jakiś pojednawczy gest z jego strony, rozumiesz?

– Gary, doskonale wiesz, że to absurd. Nie można prowadzić takiej kampanii na raty.

– Oni nie rozumieją zasady „wszystko albo nic”. Większość gabinetu po prostu się boi. Są tak samo zaszczuci jak te biedne sukinsyny w Moskwie, tylko nie dają tego po sobie poznać. Brak im pomysłu na zakończenie tej całej awantury.

– Ale...

– Nie mówię o tobie. – Gary rozgadał się na dobre. – Oni przez całe życie marzyli o takiej sytuacji, a kiedy w końcu ich modły zostały wysłuchane, to są zaskoczeni. Te gęby pełne frazesów o demokracji i prawach człowieka. Jak wkroczymy, będzie źle, jak tego nie zrobimy, jeszcze gorzej.

– Na tę drugą ewentualność nie możemy sobie pozwolić. Momentalnie znajdziemy się w trzeciej lidze państw, a chętni rozszarpią nas w następnej kolejności. Bierność to najgorsze możliwe rozwiązanie.

– O tym na szczęście nikt nie myśli.

Gary'emu ten brak jednomyślności wychodził bokiem. Ileż to razy musiał się naszarpać, żeby załatwić jakiś problem po własnej myśli. Na opornych nie zawsze wystarczały racjonalne argumenty, każdy projekt niebędący pomysłem Bidena, Kerry'ego czy wcześniej Panetty był torpedowany na samym początku. Prezydent próbował zapanować nad tym zgromadzeniem indywidualności, bo w końcu na nim spoczywała ostateczna odpowiedzialność. Craigowi niejednokrotnie pozostawało odwoływać się właśnie do tego argumentu. Być może i tym razem będzie wysłuchany. Bez akceptacji ze strony Obamy w końcu zostanie wyproszony za drzwi, tracąc wszelkie wpływy, a wojna potoczy się dalej, lecz już bez niego.

## ROZDZIAŁ TRZECI

SIEWIEROMORSK – FEDERACJA ROSYJSKA | 23 maja, godzina 15:04

Gdy cztery godziny wcześniej wylądowali na tym niegościnnym brzegu, starszy bosman Terry „Tank” Butler nie sądził, że będzie aż tak ciężko. Podwodny SUV, czyli miniaturowa łódź podwodna, dostarczył ich tutaj z pokładu USS „Jimmy Carter”, okrętu podwodnego typu Seawolf, tuż przed jedenastą czasu miejscowego. Jedynie w ten sposób można było się dostać na brzeg, przerzucić odpowiednią ilość sprzętu, a przede wszystkim nie zamarznąć na amen w lodowatych północnych wodach.

Gdy zakończyli wspinaczkę na niezbyt stromy brzeg pomiędzy dwoma wzgórzami i przetransportowali wszystkie zapasy w bezpieczne miejsce, po chłodzie – zrazu przenikającym do szpiku kości – nie pozostał najmniejszy ślad. Wprost przeciwnie. Płuca bosmana pracowały miarowo, pod pachami i na plecach powstały wilgotne plamy, a czoło zrosiły kropelki potu, lecz chociaż ciężar ładunku przygniatał Butlera do ziemi, nie na darmo nosił on ksywkę „Tank”.

Przez ostatnie godziny miał o czym myśleć – poprzednim razem, gdy na dłużej utknął na terytorium Federacji, już żegnał się z życiem. Uszkodzony okręt podwodny i zespół Navy SEALs umykający jak zające podczas polowania z nagonką. Na tamto wspomnienie Terry’emu nadal robiło się gorąco. Na dodatek wciąż nie spłacił długu wdzięczności wobec osób, które ich wówczas stamtąd wyciągnęły. To bolało szczególnie mocno. Zawsze było na odwrót: to on ratował komuś skórę. Domyślał się, co to za jedni, ale jatki, do jakiej doszło w hotelu w Archangielsku, nie powstydziliby się sam Al Capone.

Parę metrów od niego znajdował się inny uczestnik tamtej eskapady – bosman Douglas „Snake” Ward, specjalista od łączności i zastępca Terry’ego. Będącego wówczas z nimi porucznika Rogera Lafayette’a pognało Bóg raczy wiedzieć gdzie. Stracili z nim kontakt zaraz po powrocie do Norfolk i od tamtej pory „Tank” nie miał pojęcia, co się z nim dzieje.

Rok po tamtych wydarzeniach wracał w to samo miejsce. Na początek Siewieromorsk, najbardziej na północ wysunięta baza marynarki rosyjskiej. Dane wywiadu wskazywały na obecność jednego Oscara i jednego Kilo w dokach remontowych, przy których trwały pośpieszne prace. Jak donoszono, w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin Oscar opuści nabrzeże i wyjdzie z portu. Kilo ma to zrobić następnego dnia.

Oprócz tego przy pirsie stał zacumowany krążownik rakietowy „Piotr Wielki”, jednostka typu Kirow, z mocnym przechyłem na sterburtę. Harpoony, które trafiły okręt w czasie bitwy na Morzu Barentsa, zdemolowały śródkręcie. Pożar, ugaszony dopiero po dobie, czynił z flagowca niezdolny do służby wrak. Przyholowanie skorupy wymagało nie lada wysiłku, gdyż niegdysiejsza chluba marynarki właściwie powinna spocząć na dnie.

Okręty były ważne, lecz nie o nie chodziło. Gdy już manewrujące Tomahawki rozwalą wszystko, co będzie do rozwalenia, oni mieli zabezpieczyć to, co pozostanie. Pod tym prostym zwrotem kryło się jedno: eliminacja wszystkich, którym do głowy przyjdzie pomysł stawiania oporu.

Podczas przygotowań wspomniano, że „nie jest wykluczona” obecność w okolicy 318 Batalionu do Zadań Specjalnych Floty Północnej, co zdaniem Butlera nie najlepiej wróżyło misji, jaką miał wykonać. Niektórzy ze specnazowców pewnie znajdowali się w bazie, lecz niewątpliwie w pobliżu kręciły się ich silne patrole. Jeżeli nadzieje się na któryś, to musi sobie radzić sam. Na żadne wsparcie w najbliższym czasie nie może liczyć. Przykra sprawa. Odpowiadał za tę ośmioosobową drużynę rozrabiaków niemających sobie równych w tym, co robili. Nie wyobrażał sobie innego życia. Odejść stąd może tylko na emeryturę bądź w zaświaty. Pozostałych opcji nie brał pod uwagę.

Szare, nagie skały, z rzadka pokryte brązowym i zielonkawym nalotem mchów i porostów, ciągnęły się kilometrami. Miejscami, tam gdzie znalazło się dość ziemi, tuż nad wodą rosły drzewa, dopiero przybierające letnią barwę. Co z tego, że był maj – chłód między skalnymi zapadliskami nie



pozwalają zapomnieć o zimie.

W jednym z takich miejsc właśnie siedział, obserwując tor wodny prowadzący do Siewieromska, leżącego dziesięć kilometrów w głąb Zatoki Kolskiej. Oceaniczny holownik z burtami pokrytymi rdzawymi zaciekami sunął do portu z prędkością nie większą niż pięć węzłów. Pięćdziesięciotysięczny Siewieromorsk, utworzony w początkach XX wieku, jako port wojenny i siedziba dowództwa Floty Północnej od dawna był miastem zamkniętym. W 1984 roku doszło do katastrofy w składach amunicji. Wskutek pożaru i detonacji zgromadzonych ładunków zginęło przeszło trzysta osób, a strategiczne rezerwy marynarki stopniały do rozpaczliwie niskiego poziomu. Stracono większość rakiet SA-N-1 i SA-N-3, a niebo nad miastem przez wiele godzin spowijała czarna, nieprzenikniona zasłona dymu. Echa wybuchów słyszeli mieszkańcy nieodległego Murmańska, zachodząc w głowę, co też spowodowało eksplozje. Winnych zaniedbania nie znaleziono. Nie pierwszy to i nie ostatni raz, gdy tego rodzaju kataklizm dotknął któryś ze składów. Podobnych przykładów nie brakowało, a przechwycenie przez terrorystów wyrzutni z balistycznymi rakietami na poligonie pod Górnoaltajskiem stało się ukoronowaniem bezhołowania panującego w rosyjskiej armii. Takie było jego zdanie, a jak się komuś nie podoba, niech lepiej trzyma język za zębami.

Holownik znikł z pola widzenia. Bosman odłożył lornetkę i zerknął w bok.

– Jak tam, „Snake”, dajesz radę?

– Jestem w znakomitej formie, czego nie da się powiedzieć o każdym. – Pod pastą pokrywającą oblicze Warda błysnęły białe zęby.

– Bardzo zabawne. – W słowach „Tanka” nie było cienia wesołości. Właśnie zastanawiał się, jak pokonać kolejny etap. Widział co najwyżej dwieście metrów szlaku, a lubił mieć jak najwięcej rzeczy pod kontrolą. Najwyższy punkt w okolicy znajdował się na południu. Nie wiedział, czy tam port znajdzie się w zasięgu wzroku, ale uznał, że warto spróbować. Jak założył, utrzymawszy dotychczasowe tempo, znajdą się na miejscu za jakieś pół godziny. Pod warunkiem, że nie napotkają po drodze przeszkód. Jeden patrol specnazu i nie dotrą tam nigdy.

•

Admirał Michaił Lipatow, dowódca całego północnego zgrupowania wojsk Federacji, starał się rozgryźć, co też przygotowała dla niego koalicja sojuszniczych państw. Wielkiej filozofii zapewne w tym nie było – gdy wybijie odpowiednia godzina, wszystko, co Rosjanie jeszcze mieli na morzu, w głębinach i w powietrzu, zostanie zdmuchnięte w skoordynowanym ataku. Oczywiście, jeżeli on, Lipatow, pozwoli, by tak się stało. Jak na razie przewaga bezapelacyjnie należała do niego. Nikomu innemu nie udało się zatopić potężnego lotniskowca US Navy, a jemu owszem. Podobnie jak unicestwienie zespołu bojowego krążownika typu AEGIS USS „Normandy”.

Jedno, czego żałował, to nieudana próba rozbicia na atomy kolejnego lotniskowca znajdującego w zasięgu rosyjskiego lotnictwa, ale – jak mówią – nikt nie jest doskonały. Szkoda, nie musiałyby wówczas martwić się ripostą Amerykanów. Który z admirałów byłby tak głupi, żeby wystać na zatracenie kolejną jednostkę z tysiącami ludzi na pokładzie? Mając chwilę oddechu, ponownie przejąłby kontrolę nad Amdermą, niezależnie od tego, ilu jankesów tam stacjonuje. Istnienie tak bliskiej i stale rozbudowywanej bazy na północnym wybrzeżu bardzo go niepokoiło. Zebrane informacje pozwalały przypuszczać, że znajduje się tam silna grupa bojowa, która może narobić szkód. Ich zwiadowcy podobno zapuszczali się pod Workutę i Peczorę. Szlag go trafiał na samą myśl o tym. Pod pozorem akcji ratunkowej na Morzu Karskim wpieprzyli się do jego ogródka i mimo paru prób nie pozwalali się usunąć. Pewnie chcą tam pozostać na stałe.

Przed zbliżającą się kolejną rundą starcia odczuwał znacznie większy niepokój. Koniecznie musiał udowodnić prezydentowi, jaki jest dobry. Właściwie już nie chodziło nawet o prezydenta, chciał sprawdzić samego siebie. Tymczasem z każdym dniem topniały środki, którymi dysponował. Tracił okręty i samoloty w nieprawdopodobnym tempie i nie miał jak uzupełnić tych strat. W czasach sowieckich dostępność środków walki zdawała się niewyczerpana. Nawet trzy kadencje

prezydenta Putina nie wystarczyły, by odzyskać dawną potęgę.

Jeżeli Flota Północna stanowiła pod względem ilościowym i jakościowym najbardziej wartościowy komponent sił zbrojnych, to jak sytuacja wyglądała gdzie indziej? Z racji pełnionej funkcji posiadał dostęp do informacji o sytuacji w pozostałych częściach kraju i – prawdę mówiąc – nic nie wskazywało na poprawę. Wielka ofensywa zaplanowana przez geniuszy ze Sztabu Generalnego, którym przewodził minister obrony Siergiej Szojgu, zakończyła się wielką klęską. Zamiast wyprzeć siły sojusznicze z państw bałtyckich, stracili masę ludzi i sprzętu, a znajdujący się tam II Korpus był teraz potężniejszy niż wcześniej. I wszystko wskazywało na to, że to jeszcze nie koniec. Nikt nie gromadzi tak wielkich sił bez powodu. Pomaszerają na Petersburg, co do tego admirał nie miał złudzeń. Jedno uderzenie zostanie wsparte kolejnym, a wiedział, kto stanie się celem. Co prawda zatopił „Ronalda Reagana”, lecz na jego miejsce przysłano „George’a Busha” i zabawa zaczynała się od początku. Dodatkowe dywizjony lotnicze w Norwegii i Szwecji wzmocnią siłę ataku. O ile sam lotniskowiec na obecnym etapie znajdował się poza zasięgiem admirała, to bazy na lądzie już nie. Od Półwyspu Kolskiego dzieliło je zaledwie parę minut lotu. Jeżeli uda mu się zaskoczyć przeciwnika, pokrzyżuje plany Pentagonu i zyska dodatkowy czas. Kto wie, co wydarzy się za parę godzin, nie mówiąc o dniach.

Jeśli wzmocni siłę uderzenia taktycznymi ładunkami jądrowymi, takimi od jednej do dwóch kiloton, to Oslo i Sztokholm powstrzymają się od dalszych agresywnych kroków wobec Federacji. Pomoc Waszyngtonu niczego tu nie zmieni. Wystarczy tylko przekonać prezydenta – może zdoła odwrócić nadchodzącą klęskę i przekuć ją w zwycięstwo.

Lipatow sięgnął po słuchawkę.

– Łącz z Moskwą, natychmiast – nakazał adiutantowi.

Zgoda rozwiąże mu ręce i być może w ciągu paru godzin zmieni bieg wojny. Przynajmniej na jednym froncie.

•

Nie wszystko poszło zgodnie z planem. O mało nie wpadli na patrol przemierzający się ścieżką wśród wzgórz. Dwudziestu Rosjan wyglądało tak, jakby gołymi rękami chcieli rozszarpać napotkanego wroga. Rozminęli się z nimi dosłownie o jakieś pięćdziesiąt metrów. Butlerowi wydawało się, że wystarczy głębszy oddech i zostaną namierzeni. Jak słusznie podejrzewał, im bliżej portu, tym okolica stawała się bardziej niebezpieczna. Do żołnierzy dochodzili jeszcze cywile kręcący się w pobliżu. W końcu nikt nie nakazał im pozostać w domach. Co prawda, najsensowniejsza wydawała się ewakuacja, ale z jakiegoś powodu ci tutaj zostali.

– „Snake”...

– Tak?

– Co powiesz, jak odbijemy bardziej na wschód?

Bosman przysunął się bliżej. Przy okazji sprawdził koordynaty na wyświetlaczu. Port jak port, ale na południe od miasta rozciągał się długi na prawie milę pas startowy – baza 403 Samodzielnego Mieszanego Pułku Lotniczego wyposażonego w patrolowe Ily-38. Jednostka na pewno poniosła straty, lecz zdaniem Warda najprawdopodobniej uzupełniono je Su-27 lub Su-33, przywracając pełną gotowość operacyjną.

To nie wszystko. Cztery kilometry dalej na południe znajdowało się kolejne lotnisko, tak zwany Siewieromorsk-1, gdzie stacjonowały śmigłowce Ka-27, Mi-8 oraz Ka-29 należące do 830 Pułku zwalczającego okręty podwodne. No i niespełna dwadzieścia kilometrów na wschód leżał Siewieromorsk-3 z maszynami Su-33 i Su-25 gotowymi do natychmiastowego działania.

– Nie widzę problemu – odparł Ward. – Nie jest daleko, a... słyszysz?

Szum łopat helikoptera doszedł ich w tym samym momencie. Śmigłowca nie dojrzeli, choć krążył w pobliżu.

– Zamykasz, „Snake”, i miej oczy otwarte.

„Tank” odczekał chwilę i uniósł się z ziemi, rozejrzał i ruszył przed siebie.

Powoli robił się za stary na takie zabawy. Nie chciał odchodzić, jak już, zajmie się szkoleniem rekrutów. Wieczorem chłodne piwo po całym dniu selekcji. Czy można wyobrazić sobie przyjemniejsze życie?

Wsunął kciuk pod taśmę uprząży i poprawił oporządzenie. Trochę się tego zebrało – racje żywnościowe, woda, amunicja do M4, sprzęt łączności i materiały wybuchowe. Zawsze był zapobiegliwy. Nie raz i nie dwa ratował w ten sposób siebie i kolegów. Okazja do rozwałki paru przeciwników mogła przydarzyć się o dowolnej porze dnia i nocy.

Osobiście wolał przemieszczać się, gdy było już ciemno. Ryzyko wpadnięcia na przypadkowe osoby stawało się wtedy mniejsze, a z noktowizorem wędrówki były wręcz banalnie proste, gdy się miało pewną wprawę. W dzień dochodziły zbędne problemy. Co zrobić z napotkanym tubylcem – poderznąć gardło czy zostawić nieszczęśnika przy życiu? W końcu służył w US Navy, a nie w SS. O ile wiedział, specnaz nie miał takich wątpliwości – każdy mogący zagrozić misji niepowodzeniem był eliminowany. Dotyczyło to w równym stopniu swoich, którzy nie nadążali za grupą, co postronnych. No cóż, życie jest ciężkie, a to w rosyjskiej armii – nad wyraz parszywe.

•

Zgodę uzyskał nadspodziewanie szybko. Minister wysłuchał prośby i po krótkim namyśle zgodził się z argumentami admirała. Postawił tylko jeden warunek: wyłącznie cele wojskowe. Obiekty cywilne na razie powinny zostać nietknięte. To trochę komplikowało operację, ale niewiele.

Moc ładunków da się konfigurować, odpowiednio zmniejszając lub zwiększając ich siłę rażenia w zależności od wymogów operacyjnych. Północna Skandynawia to rejon słabo zaludniony, z niewielką liczbą większych osad, miastami niemającymi więcej niż kilkanaście tysięcy mieszkańców. Mimo to zawsze istniało ryzyko zdmuchnięcia takiego obszaru z powierzchni ziemi w ogólnym zamieszaniu. Bazy lotnicze nie działały przecież na bezludziu, a nawet najbardziej precyzyjne rakiety posiadały pewien rozrzut. Amerykanie pod względem dokładności naprowadzania zdecydowanie nad nimi górowali, ale co począć, skoro system rosyjskiej nawigacji GLONASS wciąż nie potrafił osiągnąć wymaganej gotowości operacyjnej. Kolejne katastrofy Protonów wynoszących satelity na orbitę odsuwały projekt w niesprecyzowaną przyszłość.

– Na kiedy wyznaczono początek akcji? – W głosie ministra dawało się wyczuć napięcie.

– Chcę to zrobić jak najszybciej.

– Ruch wyprzedzający?

– Nie bardzo wiem, dlaczego jankesi zwlekają z atakiem. – To gnębiło admirała od czasu ostatniej bitwy. Riposta powinna nastąpić zaraz po zatopieniu „Reagana”, lecz Pentagon nie zareagował. Lipatow z uwagą śledził, co dzieje się na południu. Obie strony poważnie wykrwawiły się w bitwie o Litwę, Łotwę i Estonię, choć tu nie było niespodzianki: ich straty okazały się o wiele poważniejsze od zakładanych. Jednocześnie na północy panował względny spokój. Doszło do paru drobnych potyczek. Jak się wydawało, dorwali jeden z okrętów podwodnych sprzymierzonych, prawdopodobnie norweski, siedemdziesiąt mil od Vardø, oraz Oriona P-3, który nieopatrznie zapuścił się w pobliże Nordkapu.

Własne ostatnie trzy okręty z pociskami balistycznymi wystrzeliwanymi spod wody trzymał blisko, w pilnie strzeżonej strefie obejmującej rejon Morza Białego. Czwarty znajdował się trzydzieści mil na zachód od Nowej Ziemi. Jak się wydawało, nic mu tam nie groziło.

– Proszę się nie dać zwieść.

Ostrzeżenie Szojgu wydało się admirałowi zabawne. Co ten Tuwiniec mógł wiedzieć o prawdziwej wojnie? Został ministrem z oczywistego powodu – jako jeden z zaufanych prezydenta przejął kontrolę nad resortem po aferze korupcyjnej poprzednika Anatolija Sierdiukowa, jednak nim na dobre zdążył się rozkręcić, doszło do kryzysu. Jak na razie radził sobie dobrze, jednak co by zrobił bez takich dowódców jak Lipatow?

– Jestem ostrożny, jak to tylko możliwe – odrzekł admirał z wyrzutem. Zyskał, co chciał, i najchętniej zakończyłby rozmowę.

Szojgu musiał wyczuć zniecierpliwienie, zresztą także dla niego dalsza rozmowa była bezsensownym biciem piany.

– Powodzenia.

Ostatnie słowa ministra zabrzmiały wyjątkowo nieprzekonująco.

•

Zza skalnego załomu roztaczał się doskonały widok na wszystko, co znajdowało się poniżej.

– Dopadliśmy gnojków z opuszczonymi spodniami – wystękał Ward.

– Na to wygląda. – Terry odetchnął głębiej. I jemu marsz dał się ostro w kość.

Wyprostował prawą nogę, pozwalając jej nieco odpocząć. Stara kontuzja kolana dawała o sobie znać podczas sporego wysiłku. Bolało też na zmianę pogody. Już dawno planował zrobić z tym porządek, lecz łapiduchów i unieruchomienia na parę tygodni bał się najbardziej. Zanudzi się w szpitalnym łóżku na śmierć i nie doda kolejnej Brązowej Gwiazdy do już i tak imponującej kolekcji odznaczeń. Gdy tylko zorientował się, co widzi, zapomniał o bólu. Przy ustawionym na pasie startowym dywizjonie odrzutowych Su-33 kręciły się tabuny techników mocujących na podskrzydłowych i podkadłubowych pylonach zestawy uzbrojenia. Cysterna objeżdżała kolejne stojanki. Wysokooktanowe paliwo spływało do zbiorników gumowymi węzami. Prace nadzorowali oficerowie poruszający się w tym całym rozgardiaszu z wyjątkową swobodą.

– Co robimy?

– Doug, do diabła, daj pomyśleć. – Butler przeniósł spojrzenie z jednego końca lotniska na drugi.

– Najwyraźniej gdzieś się wybierają.

– Tyle i sam wiem. – „Tank” sprawdził godzinę. Prostego starszego bosmana nikt nie informował o terminie planowanego uderzenia, domyślał się jednak, kiedy takowe nastąpi. Obstawiał dzisiejszy wieczór lub noc. W odpowiedniej chwili otrzyma szyfrowany przekaz. Do tej pory obowiązywała bezwzględna cisza w eterze.

Niemniej przewidziano wyjątki od reguły, a zdaje się, że takiego wyjątku właśnie był świadkiem. Satelita mogący przekazać bezpośredni obraz znajdzie się na pozycji za jakąś godzinę. Do tej pory Rosjanie polecą w sobie tylko znanym kierunku. Nigdy by sobie nie darował, gdyby jego beczynność przyczyniła się do takiej rzezi, jaką Lipatow zgotował im niedawno.

Dłużej nie chciał zwlekać. Nakazał „Snake’owi” ustawić antenę przekaźnika na szczycie wzgórza dobre czterysta metrów za ich plecami. Połączenie uzyskał niemal natychmiast. To, co chciał powiedzieć, streścił w trzech zdaniach. Wszystko trwało nie dłużej niż parę sekund. Nic więcej nie było do dodania.

– Co powiedzieli? – Bosman Douglas Ward ponownie znalazł się przy przełożonym.

– Mamy czekać.

Atak nastąpił szybciej, niż przypuszczali. W jednej chwili panowała względna cisza, przerywana jedynie odgłosami dochodzącymi z daleka, rykiem silników lotniczych i szumem pracy przeciwbieżnych rotorów jednego Ka-27 wykonującego lot patrolowy, a w następnej sekundzie poczuli, jakby niebo zważyło im się na głowę.

Nagle w poderwanym do góry pyłe i czarnym dymie znikło nie tylko lotnisko, ale też odcinające się od szarego otoczenia jasne blokowiska samego Siewieromorska. Okolice portu zastąpiły kłęby dymu, a do oddalonych o parę kilometrów komandosów doszło echo potężnej detonacji.

Minęło zaledwie kilka sekund, gdy w bazie morskiej rozgorzały kolejne pożary. Nadzieja Lipatowa, że któryś z okrętów wyjdzie jeszcze w morze na patrol bojowy, obecnie została pogrzebana pod konstrukcjami rozbitych doków. Ani Oscar, ani Kilo nie zdołały ujść jatce. Na ich pokładach zginęli marynarze i ekipy stoczniowe, a szczątki nadawały się wyłącznie na złom. Portowe magazyny i warsztaty spotkał ten sam los. Spadające kilkaset metrów dalej kawały gruzu wyglądały jak deszcz meteorytów, zwiastujący koniec pewnej ery.

W blokach z wielkiej płyty ciągnących się wzdłuż nabrzeża wyleciały wszystkie szyby, siekąc

mieszkańców. Ludzie byli całkowicie zaskoczeni. Nikt wcześniej nie ogłosił alarmu przeciwlotniczego, więc większość osób przygotowywała się do obiadu. Ziemia drżała pod stopami komandosów, co więc musieli czuć ci wszyscy tam, krzątający się przy codziennych zajęciach? Jeden z białych bloków zawalił się, grzebiąc pod tonami betonu dwadzieścia siedem osób. Konstrukcja kilku następnych została znacznie nadwyrężona. W pęknięciach płyt widać było stalowe zbrojenia i złącza. Kto zdążył, uciekał w panice.

Złudne poczucie bezpieczeństwa dawały ulice, lecz zdesperowany tłum nie był zdolny do racjonalnego myślenia. Niektórzy, może już doświadczeni, próbowali dotrzeć do schronów, pozostali szukali szczęścia poza zabudowaniami. Akcji ratunkowej nie miał kto koordynować, bo jeden z Tomahawków spadł niedaleko komendantury miasta i zabudowań straży pożarnej. Ci, którzy przeżyli, porzucili swoje stanowiska, ratując życie.

Od pierwszej eksplozji do ostatniej upłynęły najwyżej trzy minuty, lecz mieszkańcom Siewieromorska owe sto osiemdziesiąt sekund wydawało się całą wiecznością. Większość z nich, w jakiś sposób związana z armią lub flotą, wiedziała, że już nic nie będzie takie jak wcześniej. Zagładzie uległ 180 Morski Batalion Inżynieryjny oraz 215 Pułk Walki Radioelektronicznej stacjonujące właśnie tutaj.

Komandosi domyślali się, że zbombardowano też pozostałe obiekty należące do Floty Północnej i Armii Rosyjskiej, nie tylko na Półwyspie Kolskim, ale również w takich miejscach jak Nowa Ziemia. Zaraz za Tomahawkami do ataku ruszyło przeszło dwieście samolotów stacjonujących na północ od siedemdziesiątego piątego równoleżnika. Celami stały się Polarnyj, Śnieżnogorsk, Sputnik oraz Olejna. Gdzieś Rosjanie zdołali poderwać własne maszyny. Pułk Tu-22M3 z Olejnej, czyli dziewięćdziesiąt dwa kilometry na południe do Murmańska, wystartował prawie w komplecie. Mniej szczęścia miały Su-33 z Siewieromorska-3, niemniej zgodnie z rozkazem piloci natychmiast ruszyli na zachód, wprost na eskadry F/A-18, F-16 i JAS-39 Gripen Szwedzkich Sił Powietrznych.

Ostrzeżenie tym razem przyszło w samą porę. Akcję przyśpieszono o trzy godziny, co jednak postawiło operację „Młot Thora” na głowie.

K-114 „Tuła”, atomowy wielozadaniowy okręt podwodny typu Delta IV z szesnastoma pociskami balistycznymi R-29RM, zerwał kontakt ze śledzącą go jednostką. Specjalistom w Dowództwie Operacji Morskich zamigotały przedsonki serc na taką wiadomość. Każda z rakiet zwanych w kodzie NATO SS-N-23 Skiff przenosiła cztery głowice atomowe o mocy stu kiloton – użyte przeciwko USA mogły zmienić jej największe miasta w radioaktywne piekło. Do wytopienia K-114 skierowano wszystko, co znajdowało się pod ręką, skutkiem czego ponowny kontakt nawiązano już czterdzieści trzy minuty później. Okręt znajdował się na głębokości peryskopowej. Zdaniem wielu szykował się do odpalenia pocisków, choć co do tego nie panowała całkowita zgodność. Półtorej minuty po rozpoznaniu „Tuła” stała się jedynie wspomnieniem.

Admirał Michaił Lipatow, zawiadujący operacją z zapasowego centrum dowodzenia w Murmańsku, wiedział, że coś się dzieje. Z wieloma bazami łączność urwała się nagle. Tylko jedna, baza 11 Eskadry Okrętów Podwodnych w Zaoziorsku, zdążyła poinformować o obiekcie szybko poruszającym się w jej stronę. W chwilę potem i z nią kontakt urwał się bezpowrotnie.

W tym momencie admirał przestał się łudzić. Obojętnie, co by nie zrobił, przeciwnik posiadał nad nim przytłaczającą przewagę. Takie akcje przecież ćwiczyli nie tylko na sucho. Doświadczenia wyniesione z poprzedniej niespokojnej dekady pozwalały spiąć wszystko jedną klamrą. W dziedzinie rozpoznania nie posiadali sobie równych, więc obecnie wykorzystywali tę przewagę, unicestwiając to, co Rosji z takim trudem udało się zbudować.

Siedząc w podziemnym bunkrze, nie widział, jak na powierzchni jego podwładni bezskutecznie starają się ocalić resztki dawnej potęgi. Koszary pułku chemicznego, jak również magazyny 286 Bazy Zaopatrzeniowej długo gorzały wysokim płomieniem. Całe zapasy poszły z dymem, podobnie jak większość jednostek, dla których zostały przygotowane.

Pułki 1 Brygady Obrony Powietrzno-Kosmicznej, sprawujące kontrolę nad przestrzenią powietrzną tej części Federacji, pomimo intensywnego zagłuszania ze strony atakujących zdołały namierzyć kilka wrogich maszyn. Zgrupowane głównie wokół baz marynarki, a więc na pierwszej linii obrony, zestawy przeciwlotnicze S-300 zestrzeliły co najmniej cztery Super Hornety i dwa F-16, zanim zostały unicestwione rakietami przeciwradarowymi. MiG-31B zdeterminowanych obrońców z lotniska Sawatija zdołał też przechwycić jeden bombowiec B-1B.

Zespół bojowy krążownika lotniczego „Admirał Kuzniecowa” przebywał na Morzu Białym. Został tam skierowany na specjalną prośbę prezydenta. Ostatni ciężki okręt wciąż stanowił dowód na potęgę rosyjskiej floty, chociaż z trzydziestoma Su-33 nie był równorzędnym przeciwnikiem dla amerykańskich lotniskowców, a próba nawiązania z nimi walki była z góry skazana na porażkę. Jego budowniczym szło raczej o pokazanie, że też są w stanie wybudować okręt tej klasy. Wyszło nie najgorzej, bowiem – pomijając okręty amerykańskie – ze wszystkich lotniskowców na świecie pozostających w służbie tylko francuski „Charles de Gaulle” przewyższał „Kuzniecowa” walorami bojowymi.

Komandorowi Williamowi Kentowi problemy, z jakimi borykała się Rosyjska Marynarka Wojenna, były całkowicie obojętne. Właśnie brał ostatnie namiary. Nigdy nie sądził, że właśnie jemu przypadnie w udziale coś podobnego: klasyczny atak. Czasy bitwy o Atlantyk dawno minęły, a tę nieruchawą górę stali najsensowniej było unicestwić jednym manewrującym Tomahawkim. Niestety, w zasobnikach nie pozostał ani jeden pocisk, za to wciąż posiadał komplet torped Mk-48.

USS „California”, okręt podwodny typu Virginia, należał do zespołu tropiącego rosyjskie boomery. W tym polowaniu szczęście im nie sprzyjało, lecz kiedy znalazł się siedemdziesiąt mil od „Kuzniecowa”, postanowił spróbować, tym bardziej że płynęli zbieżnym kursem z celem.

Każdy amerykański zespół lotniskowców był chroniony przez co najmniej jeden wielozadaniowy okręt podwodny. U Rosjan powinno wyglądać to podobnie, więc komandor od początku liczył się z jakimś Kilo wyskakującym niespodziewanie jak diabeł z pudełka.

– Odległość od celu? – zapytał nieco znużonym głosem.

– Pięć tysięcy... – Odpowiedź przyszła natychmiast.

Polegali wyłącznie na sonarze. Tak blisko przeciwnika nie odważyłby się wysunąć peryskopu. Mogła ich namierzyć wiązka radaru i po zawodach. Zamiast tego obserwował ekran komputera, na którym kolorowe wykresy zawierały wszystkie niezbędne dane. Wystarczyło dać rozkaz.

– Pierwsza i druga...

Wyobrażenia podsuwała mu obrazy nadciągającego „Kuzniecowa” – wysoki, szary kadłub, numer taktyczny na burcie, rampa startowa i wysoka nadbudówka zwieńczona potężnymi antenami. Starty samolotów odbywały się nieustannie. Jeden klucz pełnił służbę w pobliżu, gotów w każdym momencie przystąpić do ataku. Śmigłowce ZOP Ka-25 odrywały się od pokładu z szumem wirników, lecz – jak się wydawało – tym razem operatorzy urządzeń namiarowych zaspali, a może bardziej interesował ich wynik bitwy toczonej na Półwyspie Kolskim. Nawet tu dochodziły jej echa.

– Pal! – Chciał to powiedzieć zdecydowanym głosem, lecz ledwie wychrypiął, więc przełknąwszy ślinę, zaraz wydał kolejną komendę: – Przygotować wyrzutnie trzy i cztery.

Sprężone powietrze wypchnęło torpedy z dziobowych zasobników. Ciszy nie można było już dłużej utrzymać. Szum elektrycznych silników musiał dotrzeć do rosyjskich sonarzystów. Tymczasem sterowane przewodowo obłe cielska podążyły ku celowi jak po sznurku. Napięcie w centrum bojowym niemal dawało się kroić nożem. Sekundy wlokły się niemiłosiernie.

– Przyspieszył. – Marynarz przy konsoli wypowiedział pierwsze słowa od czasu wydania rozkazu.

– Ile?

– Dwadzieścia węzłów. Zmiana kursu...

Lotniskowiec wyciągał do trzydziestu węzłów, lecz zanim cztery kotły parowe rozpędzą tak wielki okręt, musi upłynąć odpowiednio długa chwila. Chwila, której teraz zabrakło.

– Pięćset do celu.

Pierwszy ładunek rozerwał poszycie „Kuzniecowa” na bakburcie, metr poniżej linii wodnej. Przez wyrwę do środka wlały się tony zimnej wody. Druga torpeda uderzyła sekundę później, trzydzieści metrów dalej, bezpośrednio przy maszynowni. W ciągu paru sekund prędkość okrętu spadła o jedną trzecią. Z dumy floty w jednym momencie „Kuzniecowa” przeistoczył się w pływający grobowiec.

Ekipy ratunkowe ruszyły do akcji. Poszczególne sekcje odcięto grodziami. Za wszelką cenę należało utrzymać okręt na powierzchni. Dowodzący nim kontradmirał nie tracił nadziei, mimo potężnych uszkodzeń jednostki. W pierwszym rzędzie trzeba było opanować pożar rozprzestrzeniający się w głównym hangarze.

Nagle dowódca zdał sobie sprawę z zupełnie innego problemu: na całym akwenie prowadzono działania zbrojne, wszystkie rosyjskie porty i bazy atakowano z powietrza, zapewne były już ruinami. Na ciężko uszkodzonego „Kuzniecowa” nie czekała bezpieczna przystań. Obojętnie, w jaką stronę popływie, wszędzie spotka go zagłada. W duszę oficera zakradło się zwątpienie. Czy nie lepiej ratować ludzi, porzucając okręt, który nikomu już się nie przyda? Seria stłumionych detonacji zatrzęsa kadłubem. Stojące na pokładzie Su-33 zaczęły zsuwać się po pasie startowym. Jakiś zespół mechaników próbował zepchnąć samoloty w głębiny. Z pierwszym uporano się bez problemu, drugi zahaczył o śmigłowiec Kamowa ustawiony tuż przy nadbudówce. Obie maszyny szepiły się z głośnym trzaskiem. Krzyki ekip pokładowych dochodziły ze wszystkich stron, wzbijając się ponad odgłosy pękających grodzi.

Padł rozkaz do opuszczenia okrętu. W tej sytuacji nie można było już nic więcej zrobić.

Dowództwo NATO aktualizowało listę celów lądowych na bieżąco, wraz z napływem raportów. Tam, gdzie nie udało się zniszczyć obiektu za pierwszym razem, dokonywano poprawek do skutku – jak w Zapadnaj Licy, gdzie trzykrotnie atakowano nabrzeża, nim uzyskano zadowalający wynik. Klucz F-18, nadlatujący po dwóch pociskach manewrujących UGM-109 Tomahawk, został przepuszczony przez prawdziwą maszynkę do mięsa. Stracono trzy kolejne samoloty wraz z załogami. Ostatecznej zagłady bazy dokonały bomby paliwowo-powietrzne. Przed wytwarzaną przez nie falą ciśnienia nie było ucieczki.

Starcia w różnych miejscach trwały następne dwanaście godzin, obejmując Morze Beringa, Białe, Karskie oraz Półwysep Kolski. Nim świt wstał nad posępny, szarym horyzontem, ku ujściu Fiordu Murmańskiego skierowały się desantowce floty USS „Tarawa” i USS „Saipan” wraz z eskortą. Daleko za nimi płynęły lotniskowce „Harry Truman” i „George H.W. Bush”. Nie było siły mogącej postać je na dno.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 23 maja, godzina 21:01

– Przynajmniej wiesz, czego chcesz? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Shepard dotknął czerwonych pręg na nadgarstkach, wyraźnego śladu po kajdankach i niedawnym uwięzieniu. Niewiele zostało z dawnego Nortona. Przekroczył jakąś granicę, zza której nie było już powrotu, i nie stało się to na skutek samego zatrzymania, raczej rozczarowania tym, co zrobiła Sonia.

Kobieta, którą wybrał, okazała się... należało to nazwać po imieniu: pracownikiem kontrwywiadu FSB. Walnie przyczynił się do wyspy całej siatki. Wierzbicki poległ, a Rosjanie świętowali sukces. To nic, że później Andrzej się urwał. Miał szczęście. Na pewno więcej szczęścia od niego, skoro spotkał kogoś takiego jak Tamara.

– Sam nie wiem. – Słowa wydobyły się jak z grobowca. – Jestem do niczego.

– Nie twoja wina. – Jeff siedział na końcu kanapy i starał się wysondować krajana. – Nie ty pierwszy i nie ostatni.

– Właśnie, że moja.

Agent CIA spojrział na Wirskiego z niemym wyrzutem: „Kogoś mi tu, do cholery, przyprowadził?”.

– Przestań się nad sobą użalać. – Tym razem odezwał się Andrzej.

– Akurat od tego jestem daleki. – Norton wyglądał jak dźgnięty ostrogami. Wahadło nastroju wychyliło się w przeciwnym kierunku. – Najchętniej...

– Nie wygaduj głupot. – Wirski w porę powstrzymał litanie złorzeczeń. – Wróć do tego, w czym jesteś dobry.

– Świetnie strzelam i smażę hamburgery.

– Chodzi mi raczej o pisanie i robienie zdjęć. Nikt nie będzie dysponował takim materiałem jak ty. Relacja z samego brzucha bestii – kusił Wirski. – Nie ma tu nikogo oprócz ciebie. Ekipy relacjonujące katastrofę zostały wydalone. Co prawda Jeff słyszał o paru wolnych strzelcach, którym udało się przekroczyć granicę, ale ekipy największych sieci warują za kordonem.

– Będzie wojna?

– Już jest. Rozwątka idzie na całego.

– Chodzi mi o atak lądowy, tak jak w przypadku Napoleona czy Hitlera. – Norton wysilił mózgowicę, starając się znaleźć jak najwięcej analogii. Historię znał tak sobie, w polityce orientował się znacznie lepiej. Potrafił przywołać w pamięci przebieg wojny o niepodległość i wojny secesyjnej. Liznął trochę wiedzy o wielkich konfliktach XX wieku – Somma, Normandia i Ardeny, nawet nazwa „El Alamein” nie była mu obca – te z XXI wieku znał nieźle, a teraz otrzymywał niepowtarzalną okazję znaleźć się tam, gdzie tworzyła się nowa historia i nikt inny nie miał szans dotrzeć. Przewaga uzyskana na starcie powinna zapewnić mu pozycję lidera, tyle że ostatnio mocno przejechał się na podobnej ofercie. Wówczas też wszystko wydawało się przyjemną wycieczką, a skończyło tym, że ledwo uszedł z życiem z hekatombi.

– Gdzie tkwi haczyk?

– Nort, ty znów swoje. – Wirski wyglądał na znudzonego.

– Nie, dlaczego? – obruszył się dziennikarz. – Wyjaśnijmy wszystko od początku do końca. Do czego niby jestem wam potrzebny? Tylko oszczędźcie mi banałów w rodzaju „mamy wspólny cel”, „demokracja największym dobrem” czy moje ulubione „nie jesteśmy idealni, ale kto oprócz nas zrobi tu porządek?”.

– Uratowaliśmy twój tyłek i jesteś nam winien wdzięczność – powiedział Jeff, przestając bawić się w dyplomację.

– Najpierw ten tyłek wkopaliście w sam środek największej w dziejach zadymy.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego. – Jeff w obronnym geście uniósł obie dłonie do góry.

Shepard obrócił się w stronę Wirskiego, oczekując wyjaśnień.

– Nie bądź dzieckiem – usłyszał zamiast przeprosin.

– Skoro mam nadstawiać dupę po raz kolejny, to przynajmniej chciałbym wiedzieć, w jakim celu?

– Odegrasz się na tych wszystkich, którzy ci to zrobili. – Wirski wskazał ślady na jego dłoniach.

– Stanę się stroną w konflikcie.

– A czy kiedykolwiek było inaczej? Nie czarujmy się, obojętnie, co napiszesz, i tak będzie przefiltrowane przez osobiste doświadczenia i uprzedzenia. Nikt z nas nie jest chodzącym ideałem, a już zwłaszcza ty, Nort, ktoś urażony we własnych ambicjach. Powiedz, tak szczerze, po co pojechałeś na północ?

– Chciałem się sprawdzić.

– To też, ale przede wszystkim chciałeś zostać zauważony. Wybić się ponad przeciętność. Jak zrobisz dobry materiał, popłyną oferty, stała posada, komentarze na pierwszych stronach, programy w telewizji. Sława i pieniądze. Jest po co żyć.

Norton zamilkł na dobre.



– Dostałeś po dupie, widziałeś, jak to wszystko funkcjonuje, więc może pora na kolejny etap?  
– Mianowicie?  
– Zrób dokładnie to, co chciałeś. Napisz, co przeżyłeś, jak znalazłeś się na „Valkirii” i jak udało ci się dostać do Petersburga.  
– W jakim celu?  
– Jesteś świadkiem, Nort. Jednym z nielicznych, którzy przeżyli. Pewnie staniesz przed senacką komisją mającą wyjaśnić, jak doszło do katastrofy i jaki miało to wpływ na późniejsze wydarzenia. Nie patrz tak na mnie. Czy tego chcesz, czy nie, siedzisz w tym po uszy.  
Informacja nie zrobiła na Shepardzie większego wrażenia. Najwyraźniej wcześniejsze plany uległy modyfikacji. Zamiast sławy i pieniędzy wolał nasycić duszę pragnieniem zupełnie odmiennego rodzaju.

•

– Jak poszło? – zapytała Tamara.  
– Uparty jak osioł.  
– To zupełnie jak ty. – Przysunęła się bliżej, kładąc głowę na ramieniu Andrzeja.  
– Chcesz powiedzieć... – Westchnął z udawaną rezygnacją.  
– Zdarza się. Zupełnie nie liczysz się z moim zdaniem.  
– Zrozum. Nie jestem tu dla przyjemności.  
– Ooo..  
– Nie to chciałem powiedzieć. – Roześmiał się i pocałował rozchylone usta.  
– Panu kapitanowi wraca humor. – Przerzuciła nogę ponad jego kolanami i zaplotła ramiona na szyi Wirskiego.  
– Gdzieś ty się uchowała?  
– Ostatnio nie byłeś dla mnie zbyt łaskawy.  
– A kto mi wczoraj zrobił scenę jak z horroru?  
– Przepraszam – mruknęła jak kotka.  
– Już się nie gniewam.  
– Nie chcę tylko, byś popełniał jakieś głupstwa.  
– Ja i głupstwa, też wymyśliłaś.  
Po chwili ciszy zadała kolejne pytanie.  
– Myślałeś o nas?  
– Bezustannie to robię – powiedział rozbawiony.  
– Co z nami będzie?

Nie znosił podobnych pytań. Gdzieś w środku zaczynała w nim narastać złość. Co jej odpowiedzieć? „Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze”? Przecież to zwykłe oszustwo. Z drugiej strony, rozumiał ją – każdy chce wiedzieć, na czym stoi. Punkt, do którego doszli, wymagał jasnych deklaracji, a z tym nie było u niego najlepiej. „Zaangażowanie”! Jak on nie cierpiał tego słowa. Wiązało się z czymś nienaturalnym – niedzielnymi obiadkami i wyjściami do teatru, wizytami jej koleżanek i planowaniem urlopu z co najmniej półrocznym wyprzedzeniem.

– Posłuchaj... – Nadzieja w oczach dziewczyny szybko zgasła. – Trudno powiedzieć, ile to wszystko potrwa. Na pewno nie skończy się w tym miesiącu. Czeka nas parę, najmniej parę, trudnych lat.  
– Nie chcesz mnie.  
– Przecież wiesz, że nie o to chodzi.  
Chciała wysunąć się z jego objęć, ale nie pozwolił.  
– Puszczaj.  
Sprawił jej przykrość, akurat to nie ulegało wątpliwości, i nie bardzo wiedział, jak z tego wybrnąć. Skuliła się w rogu kanapy, ignorując go zupełnie.  
– Idiotka ze mnie.

– Nie mów tak.

– Całe życie mam takie szczęście. Jak już trafi się ktoś... normalny, zaraz chce się wyłgać. – Stojący na komodzie wazon zachwiał się, gdy cisnęła w kierunku Andrzeja wyszywaną poduszką. – Jesteś taki sam jak pozostali.

– Nieprawda.

– Ty i te twoje pistoleciki. – Palec wskazujący wycelowała w niego, a kciuk uniosła do góry. – Zabawki są dla ciebie ważniejsze ode mnie.

Zdążył złapać za dłoń, zanim ją cofnęła.

– Ty trafiłaś mnie w samo serce.

– Mów dalej. – Przestała się złościć, choć wciąż wydawała się niedostępna.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz się spotkaliśmy... – Na tyle znał kobiety, by wiedzieć, że lubią takie wspominki.

– To było dwa tygodnie temu...

– ...a ile się wydarzyło. Czasem odnoszę wrażenie, że jesteśmy ze sobą ze dwa lata.

Kąćki jej ust lekko drgnęły. Te zmiany nastroju wykończyły Andrzeja najbardziej. Przypominało to jazdę rollercoasterem – prawo, lewo, dół, góra, a kątem oka już widzisz, że za zakrętem ktoś rozmontował torowisko. Katastrofa wliczona w cenę biletu.

Pod tym względem Ashley była bardziej stabilna. Też miewała nastroje, choć potrafiła w porę się opanować.

– Co się stało?

– Nic.

– Przecież widzę. – Tamara nie odpuszczała.

Czyżby aż tak się zdradził? Dawne wspomnienie położyło się cieniem na twarzy. Poczł się głupio i niezręcznie, jak ktoś przyłapany na niewłaściwym zachowaniu.

– Jak nie chcesz, to nie mów.

– Nie ma o czym. – Spróbował wszystko zbagatelizować, zły na siebie. – Obiecuję...

– Tylko nie przesadzaj – wpadła mu w słowo.

– Jak dostanę wolne, wyjedziemy daleko. Razem: tylko ty i ja. Naprawdę. Bez telefonów i komputerów. Zaszyjemy się na bezludnej wyspie. – Ręka zatoczyła półokrąg, jakby szmaragdowa zatoka znajdowała się tuż przed nimi.

– A gdzie znajdziesz takie miejsce? – prychnęła.

– Poszukamy razem.

– Muszę się zastanowić.

– Wynajmiemy dom z widokiem na morze.

– Nie lubię wody.

– To w górach. – Prawdę mówiąc, wysilił cały intelekt, chcąc poprawić dziewczynie nastrój.

– Nie jestem kozicą.

– To już nie wiem...

– Może jakieś miasteczko na południu.

– Świata czy Europy? – Wolał zawczasu znać takie detale.

– Może być Hiszpania. Zawsze chciałam tam pojechać.

– Załatwione.

Po raz pierwszy od początku rozmowy wyglądała na zadowoloną. Widać tyle jej na razie wystarczyło. Sam chętnie zadowoliliby się czymś podobnym, niestety był realistą. Czekwały ich trudne chwile. Przynajmniej jego. Nie pozostanie bierny, kiedy gra idzie o taką stawkę. Niedługo, choć nikt nie potrafił powiedzieć kiedy, Petersburg znajdzie się na linii frontu. Doskonale wiedział, z czym się to wiązało: zdeterminowani obrońcy i setki tysięcy cywili miotających się pomiędzy walczącymi. Masakra była niemal pewna.

Ostatni raz pogładził Tamarę po włosach.

- Słuchaj.
- Tak?
- Muszę iść.
- Wiem. Uważaj na siebie.

Przynajmniej jedna sprawa została załatwiona. W ciągu paru najbliższych godzin musiał być skoncentrowany na zadaniu, a tak myślami byłby gdzie indziej.

Wysokie, sznurowane buty stały tam, gdzie je pozostawił. Wciągnął je na nogi, a cholewy schował pod czarnymi spodniami. Sprawdził pistolet Glocka, który dostał od Jeffa, i kilka zapasowych magazynków. Nóż, latarkę, GPS i noktowizor poupychał w odpowiednich miejscach kamizelki, którą założył na podkoszulek. Na koniec HK MP5K z przednim uchwytem ułatwiającym trzymanie.

Tamara obserwowała wszystko w milczeniu, tylko oczy jej błyszczały za każdym razem, gdy brał broń do ręki.

- Idź spać, nie mam pojęcia, kiedy wrócę.
- Przecież wiem.
- Skinął głową.
- Uważaj na siebie.
- Zawsze to robię.

Pożegnali się i zbiegli po schodach. Który to już raz w ciągu ostatnich dni?

•

Maszerowali przez podmokłą łąkę. Spodnie od kolan w dół zupełnie przemokły. Przy każdym kroku podeszwy grzęzły w błocku wyznaczającym ścieżkę przez ten koszmarny kawałek terenu. Panująca od paru dni wysoka temperatura jakoś nie osuszyła gruntu. W sumie jednak nie było źle. Andrzejowi zdarzało się maszerować w dużo gorszych warunkach. I tylko roje owadów kłębujących się wokół głowy nie pozwalały rozkoszować się przechadzką. Środek odstraszający insekty spłynął wraz z potem zalewającym oczy i pokrywającym ciało. Odsłonięty kark przyciągał krwio pijców jak magnes, a moskity na wyposażeniu nie posiadali.

Rozpoczynający pochód Hüge poruszał się z wprawą tropiciela. Narzucone przezeń tempo zdawało się go w ogóle nie męczyć, a mobilizowało pozostałych. Idący za nim Harry spoglądał do tyłu, jakby chciał się upewnić, czy zamykający pochód Wirski nadąza za nimi i nie spowalnia marszu.

Dwójka pracowników CIA doskonale radziła sobie w terenie, a nie chodziło tu o teren zurbanizowany, tylko o kompletną dzicz. W krajach europejskich lasy są eksploatowane i zarządzane przez odpowiednie instytucje lub stanowią prywatną własność, a co za tym idzie, nieustannie prowadzi się w nich najróżniejsze prace. Im dalej na wschód, tym wyraźniej podejście do leśnictwa się zmienia. Tu ludzka ręka nie ingerowała w naturę tak często, sprawy zdawały się pozostawione własnemu biegowi.

Grząski teren łąki ustąpił w końcu miejsca leśnej gęstwinie. Na kolejnej polanie krzaki paproci sięgały połowy tydek. Szło się przez nie, jakby brodząc w puszystym dywanie. Z elektronicznej mapy Wirskiego wynikało jedno – byli całkiem niedaleko. Do uszu dochodził szum morza, jak na razie cichy i ledwie słyszalny, ale nozdrza już wyczuwały zapach morskiej soli.

Monotonia marszu nastrojała melancholijnie. Zdawało mu się, że zabrano go wyłącznie na doczepkę. Oczywiście, zawsze przyda się dodatkowa osoba, co trzy lufy, to nie dwie, choć on sam był raczej skłonny przypisywać swój udział w wyprawie Jeffowi, chcącemu wciągnąć Polaka do nowych zadań. Coś za coś. Po co pozbywać się wyszkolonego człowieka, skoro można podporządkować go swoim rozkazom? Pomogli uwolnić Sheparda? Więc o co chodzi? Jak się nie sprawdzi lub – co bardziej prawdopodobne – przestanie być potrzebny, zostanie spławiony. W tym fachu wdzięczność była wyjątkowo wymierna.

Czterdzieści metrów przed nim Hüge, mający tylko jako zielonkawy cień, zwolnił, jakby

zaczął nasłuchiwać. Napięcie udzieliło się i Andrzejowi. Przykucnął, poprawił uchwyt na rękojeści automatu, rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego niepokojącego.

Harry obejrzał się za siebie. Z założonym noktowizorem przypominał owada, zresztą jak oni wszyscy. Trwało to tylko chwilę. Zupełnie jakby go sprawdzali. W końcu Huger wstał. Nagle nad głowami coś głośno zaszeleściło i zerwał się przestraszony ptak. Odleciał z łopotem skrzydeł, głośno skrzecząc. Wirski nie cierpiał podobnych niespodzianek.

Urwisko nad kamienistą plażą miało raptem dziesięć metrów wysokości, niemniej widok na skąpaną w księżycowej poświacie zatokę był imponujący. Rozgwieżdżone niebo zdawało się łączyć z wodą na linii horyzontu, a łagodne fale gładziły brzeg. Idealne miejsce na spacer tylko we dwoje.

Prowadzący nic nie powiedział, jedynie wskazał kierunek. Wirski wytężył wzrok, lecz jak szybko się okazało, szukał za daleko. Pierwsza sylwetka wynurzyła się z wody parę metrów od plaży, zaraz kilka następnych poszło w jej ślady. Amerykanin szepnął do komunikatora coś, czego Andrzej nie dosłyszał. Odpowiedź uzyskał natychmiast. Przygarbione postacie ruszyły żwawiej. Ociekająca wodą sześciopersonowa drużyna znalazła się przy nich minutę później.

Sprzęt rozdzielono pomiędzy wszystkich. Wirskiemu w udziale przypadł plecak z kompozytem wybuchowym – całkiem lekki, gdyż jako rekonwalescent mógł liczyć na pewne względy. Przy okazji przyjrzał się każdemu z nowo przybyłych. Żaden nie przekroczył trzydziestki, jedynie ich dowódca wydawał się trochę starszy. Mrok nie pozwalał dostrzec rysów i dopiero delikatny obrót głowy oficera wydobyl jego twarz z ciemności.

W tym przypadku raczej się nie mylił. Zawsze pamiętał twarze, w końcu to część jego zawodu. Oczekał, aż wydane zostaną polecenia, i przysunął się bliżej. Huger zareagował natychmiast.

– Czego chcesz?

– Nie wiem, czy pan porucznik mnie pamięta... – zaczął Andrzej.

Dowodzący komandosami Roger Lafayette przyjrzał mu się. Ten małomówny człowiek od początku wydawał mu się znajomy.

– Zdaje się, że już nigdy się od pana nie uwolnię – uśmiechnął się szeroko.

Uściskali się serdecznie jak dobrzy kumple.

– Co z resztą? Są tu? – zapytał Wirski.

– Nie – porucznik pokręcił głową – ale jak ostatni raz widziałem Warda i Douglasa, to oni z kolei zastanawiali się, co się z wami stało.

– Wciąż to samo – odrzekł Andrzej, zastanawiając się, czy wspomnieć o Wierzbickim. Po namyśle się powstrzymał. Jeszcze znajdą czas na dłuższą pogawędkę.

Huger, którego pozycja jako dowódcy zaczęła pikować ostro w dół, zebrał resztę ekwipunku.

– Pogadacie później.

– Zaczynasz zrzędzić jak stara baba.

– Jeff dostanie biegunki, jak nie wrócimy w porę. Wiesz, jaki jest nerwowy.

– Mam własne rozkazy. – Lafayette wyglądał na w pełni gotowego do marszu.

– Znam je, poruczniku – obwieścił Huger – jednak stocznia może poczekać. Za sprawą naszego przyjaciela – wskazał na Polaka – parę spraw uległo zmianie.

Lafayette spojrzał ciekawie na Andrzeja.

– Skoro tak... Ciekawa robótka?

– Można powiedzieć... precyzyjna.

22 BRYGADA PANCERNA | 24 maja, godzina 04:15

Dałby wiele, żeby móc spokojnie przespać noc. Prawie cały wczorajszy dzień dokonywali przeglądów i w końcu wieczorem, gdy już mieli odpocząć, rozkaz znów poderwał ich do działania. Godzinę później wytoczyli na szosę wszystkie wozy batalionu. Turbiny Abramsów huczały, zasysając nocne powietrze. Prawdę mówiąc, czuł się dziwnie. Nie chodziło o to, że prowadził ludzi do boju.

Powodem był kierunek – podążali na wschód. Właściwie na północny wschód, międzynarodową drogą E 77. Zupełnie niedaleko rozciągał się akwen Jeziora Czudzkiego, skracający linię obronne do wąskiego odcinka pomiędzy nim a Zatoką Fińską. Oni znajdowali się bardziej na południe.

Łączyła JBC-P, pozwalające śledzić poszczególne wozy batalionu, pokazywały tylko najbliższe otoczenie. Bradleye M2A3 kompanii piechoty szły jako pierwsze, oni jako następni w kolejności. Za nimi formowała się reszta brygady: transportery piechoty oraz samobieźna artyleria i moździerz AMOS.

Obóz nad jeziorem stopniowo pustoszał wraz z kolejnymi oddziałami ustawiającymi się na szosie. Pozostała po nich zgnieciona trawa i stosy śmieci. Obecności kilku tysięcy ludzi nie dawało się ukryć. Następny taki obóz rozbija... Maciejewski nerwowo przełknął ślinę. W pododdziałach już głośno mówiono o Petersburgu, pierwszym celu ofensywy, w której właśnie zaczynają brać udział.

Przegrupowany II Korpus w pierwszej linii wystawił amerykańskie 3 Dywizję Piechoty i 62 Jednostkę Ekspedycyjną Piechoty Morskiej oraz brytyjską 1 Dywizję Pancerną. Polska 22 Brygada i amerykańska 101 Dywizja Powietrznodesantowa wraz z brytyjskimi Royal Marines szły w drugiej linii, ubezpieczając od południa główne zgrupowanie. Mniejszych sojuszniczych jednostek nawet nie liczone. Estończycy i Łotysze bezustannie kręcili się w pobliżu. Niespodziankę sprawili Szwedzi, którzy podobno już dotarli do Tallina. Na razie w sile jednego batalionu, ale kto wie, co zdarzy się za parę dni.

Poza kierowcą, który miał zajęcie, bo prowadził, reszcie załogi pozostało wyczekiwanie. Celowniczy bawił się iPadem, a ładowniczy wystukiwał esemesa. Maciejewski podkręcił radio. Komunikaty płynęły jeden za drugim.

– Niepotwierdzone relacje mówią o ogarniających Murmańsk pożarach. Jak na razie nie jest pewne, czym zostały spowodowane, jest jednak mało prawdopodobne, by wybuchły przez nierozważne działanie samych Rosjan. Jeśli pogłoski o nalocie zostaną potwierdzone, to konflikt wkroczył w zupełnie nową fazę.

Tyle do powiedzenia miała jakaś lokalna angielskojęzyczna rozgłośnia. Jej sukces polegał na doskonałej słyszalności i nadawaniu w języku zrozumiałym dla większości żołnierzy II Korpusu. Informacje przeplatały się z muzycznymi hitami. I tak w kółko od rana do wieczora.

– Poruczniku, może przełączy pan na Warszawę – poradził Makała.

Dowódca zmienił pasmo. Głos stołecznego dziennikarza ledwo przebijał się przez elektroniczny szum. Wyłapywał poszczególne słowa, niekiedy strzępy zdań, ale nigdy dłuższe komentarze.

– Nic z tego. Jesteśmy za daleko i chyba działa zagłuszanie.

Już chciał wyłączyć urządzenie, gdy ponad panujący w eterze hałas przebiły się pierwsze tony „Warszawianki”.

Stłumione „Jezus Maria” Makały pozwalało domyśleć się napięcia panującego wśród członków załogi. Maciejewskiemu też ręka drżała, kiedy próbował dostroić aparat. Co tym razem? – myśli galopowały jak szalone. Całe wcześniejsze zmęczenie ulotniło się bezpowrotnie. Nie graliby tego ot tak sobie, dla poprawienia nastroju. Ten, kto wybrał melodię, musiał wiedzieć, jakie wywoła skojarzenia.

– Tu mówi Warszawa...

Czołgiem szarpnęło.

– Makała! Kurwa, jedź prosto, bo zaraz skosisz te drzewa!

– Przepraszam, panie poruczniku.

– Wirtuoz kierownicy się znalazł.

Odreagowanie na Bogu dusza winnym mechaniku nie miało sensu. Sam zacisnął dłonie na uchwytach tak mocno, że aż pobiełały kłykcie. Ładowniczy prawie wlaż na niego. Ciężki oddech grzał plecy, a spocona twarz znajdowała się tuż pod łokciem.

– ...orędzie prezydenta...

– Co on mówi? – dopytywał się ładowniczy, wałąc co chwila głową w podstawę działa.

– Cicho – wychrypiał porucznik przez ściśnięte gardło.

– W pierwszej kolejności moje słowa kieruję do lotników, żołnierzy i marynarzy. Wypełniając nasze sojusznicze zobowiązania, jako zwierzchnik sił zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej zdecydowałem...

W tym momencie na głos prezydenta nałożył się inny. Komendy, jak się zdawało po niemiecku, brzmiały gardłowo i chaotycznie.

– Co to za jeden?! – Wrzask z głośnika omal nie rozerwał Maciejewskiemu bębenków w uszach, i to mimo założonego hełmofonu. – Cholerne szwabry, zawsze wpięprzą się nie tam, gdzie trzeba.

– To nie Niemcy, tylko Szwedzi – wyjaśnił Makała. – Wiem, bo niejeden sezon przepracowałem u nich na budowach.

Ależ mu się trafiło wojsko: histeryk, panikarz i malarz pokojowy.

– Niech sobie gada, tylko czemu na naszej fali?

– Chce pomocy, jest atakowany. – Mechanik mówił coraz głośniej, jakby chciał przekrzyczeć pracujące turbiny.

– Kurwa, co za burdel. – Ładowniczy ponownie walnął głową o działo.

W końcu jazgotanie Szweda ustało, nastał moment ciszy, aż nagle orkiestra huknęła „Mazurka Dąbrowskiego” w jakimś zawrotnym tempie.

– Przez tego cholernego pacana nie wiemy, co się stało – zajęczał celowniczy.

– Już po nim. – Makała wyłowił resztki dramatycznego dialogu ze słów gdzieś na granicy słyszalności. – Prowadzili nalot na Białomorsk.

– Gdzie to jest?

Maciejewski sprawdził. Już wcześniej się domyślał, lecz teraz miał kolejny dowód na trafność swoich wcześniejszych domysłów i przypuszczeń.

– Na północ od Petersburga.

– Daleko?

– Jakies sześćset kilometrów.

– Kawalek.

– Biegnie tamtędy główna magistrala kolejowa na północ.

– Co Szwedzi tam robili?

– Przecież słyszałeś. Tak jak i my wypełniamy zobowiązania. – Sarkazmu w głosie kierowcy nie dało się nie zauważyć.

– Sierzancie, coś się wam nie podoba? – warknął Maciejewski – Jak chcecie, mogę was relegować w przyspieszonym tempie. Wiecie, co grozi za defetyzm?

– Będę rozstrzelany.

– Nie, wsadzony do pierdła.

Skoro w czteroosobowej załodze zaczęły buzować takie emocje, to co mówić o transporterach piechoty...

– Nie jestem defetystą.

– Posłuchajcie sami siebie, Makała. Indywidualista się znalazł. Nie działacie sami, tylko w zespole. Radzę o tym nie zapominać.

Reprimenda podziałała jak kubek zimnej wody. Wszyscy się uspokoili. Nikt nie pozwalał sobie na nieodpowiednie komentarze. Podobno byli zawodowcami, a skoro tak, to obowiązywał ich regulamin i ścisłe podporządkowanie się rozkazom. Jak nie złączą działać wspólnie, wyprawa szybko skończy się powrotem w trumnie. Przez ostatnie dni starał się zaszczepić w nich właśnie taką myśl. Jak się wydawało, potyczki na granicy i natarcie na Litwie powinny utworzyć z nich zespół. Oczywiście, nie chodziło o cały batalion, choć na pewno to również miało znaczenie, ale o tę konkretną załogę. Jego załogę. Trudno sprawnie dowodzić kompanią, jeśli we własnym wozie dopuszcza się do takich scysji. Od tej chwili żadnego pobłażania. Dasz palce – wezmą całą rękę.

– Słyszeliście orędzie, poruczniku? – W słuchawkach rozległ się głos Stefańskiego, dowódcy

całego batalionu pancernego.

– Nie całe – przyznał ze wstydem. – Fragmenty.

– I co o tym myślicie?

– Eee....

– Nie wymagam politycznych deklaracji.

– A co ja mogę myśleć, panie kapitanie? Niech inni myślą, ja mam robotę do wykonania.

– Nie bądźcie tacy skromni. Jestem ciekawy waszej opinii.

– A jaką ja mogę mieć opinię? – Nie zapominał, kim jest: porucznikiem niedługo po szkółce posadzonym na Abramsa. O mało nie narobił w gacie, kiedy przyszło do pierwszej wymiany ognia. – Nie my zaczęliśmy.

– Otóż to – podchwycił Stefański.

– Jak ruskim powinie się noga i przestaną nam grozić, to... – zawahał się.

– Słucham?

– No nie wiem. Dla nas to dobrze, dla nich fatalnie, ale co mnie to może obchodzić – szybko dokończył zdanie. – Nie urodziłem się nad Wołgą, tylko nad Wisłą.

– Ładnie to ujęliście.

– Samo wyszło – przyznał szczerze, już wystawiając głowę przez otwarty właz.

Widział, jak szosa zatacza łagodny łuk. Poszczególne wozy kompanii jadącej przed nimi były doskonale widoczne. Ciemność jeszcze nie ustąpiła, lecz czuło się bliskość wstającego dnia. Zdziwił się, gdy usłyszał daleki grzmot. Nie zauważył zapowiedzi burzy, a odgłosy i seria błysków na tle horyzontu wyglądały jak gwałtowne wyładowanie atmosferyczne. Uplłynęła dłuższa chwila, nim zorientował się, co widzi. Nie miało to nic wspólnego z pogodą. Artyleryjskie pociski sypały się na rozpoznane wcześniej stanowiska Rosjan. O ile jeszcze przed chwilą ofensywa wydawała się czymś nierealnym, to obecnie widział, jak się rozpoczyna. Właśnie stało się to, co wcześniej większość uważała za scenariusz mający więcej wspólnego z politycznym awanturnictwem niż z rzeczywistością.

Mimo napięcia monotonia jazdy wszystkim dawała się we znaki. Milczenie zastąpiło wcześniejsze spory. Każdy z nich skoncentrował się na własnych odczuciach i przemyśleniach. Nikt nie wiedział, co go czeka za kolejnym zakrętem. Do wcześniejszych walk weszli niejako z marszu. Ot, wsiedli do podstawionych Abramsów i zrobili to, co było do zrobienia. Tym razem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Zostali podporządkowani dowódcy II Korpusu generałowi Raymondowi Cooperowi i od jego decyzji zależą ich dalsze losy.

Oczywiście, jedna brygada niewiele znaczyła. Co więcej, amerykańscy planiści chyba nie bardzo wiedzieli, co z nimi począć. Zasadniczy ciężar działań wezmą na siebie Amerykanie i Brytyjczycy, im pozostawiając zadania osłonowe. Wiedział o tym już teraz: szli przecież bezpośrednio na wschód, a oś głównego natarcia skierowano bardziej na północ.

Coś, co wydaje się łatwiejsze, wcale nie musi takie być. Niedawno przecież sami rozerwali flankę prowadzonego przez Rosjan i Białorusinów natarcia, wchodząc daleko w głąb ich zgrupowania. Należy liczyć się z czymś ze strony Rosjan. Nigdy nie uważał ich za durniów. Postawieni pod ścianą zrobią wszystko, by zniszczyć najeżdżcę. Oddziały uzbrojone w broń maszynową i granatniki mogą pojawić się w każdej chwili. W tym przypadku niekoniecznie sprawdzi się rozpoznanie nakierowane przede wszystkim na ciężkie jednostki.

Im dłużej nad tym się zastanawiał, tym bardziej realne stawały się dla niego potyczki z małymi oddziałami, ostrzał snajperów, miny, naloty prowadzone przez pojedyncze samoloty lub śmigłowce. Niewiele to miało wspólnego z batalią stoczoną ostatnim razem, z wykorzystaniem pełnego asortymentu środków rażenia mogących zmienić Abramsa w pogieętą stertę metalu i kompozytów.

– Czarno to widzę, panie poruczniku.

– Makała, ty znowu swoje.

– Nic nie poradzę.

- Powinniście zmienić zawód.
- Może i tak. – Kierowca od czasu poprzedniej wpadki prowadził maszynę z wyjątkowym wyczuciem. – Armia nie dla mnie.
- Trochę późno doszliście do takich wniosków.
- Ale gdzie ja poza wojem robotę znajdę? – zafrasował się sierżant. – O, jest... Maciejewski drgnął, nie wiedząc, co podkomendny ma na myśli.
- Granica, panie poruczniku.
- A... o to wam chodzi.

Kompletnie nie zwrócił uwagi na przejście. Budka strażników po tej stronie granicy wyglądała na chatę zbitą z bali. Podobnego baraku po przeciwnej stronie próżno było wypatrywać. Wozy kompanii przed nimi waliły przez granicę, nawet nie zwalniając. Siedzący w zaparkowanym obok terenowym samochodzie pogranicznicy patrzyli znudzeni na przetaczającą się kawalkadę.

– Uwaga...

Nuda zniknęła jak płomyk zapałki zdmuchnięty wiatrem. Wszyscy mieli świadomość, że dzieje się coś niezwykłego.

- Kurczę, nigdy nie myślałem – wyrwało się mechanikowi.
- O czym? – Maciejewski utkwiał spojrzenie w słup graniczny.
- Przecież to jasne, a co niby robimy?
- Aha.

Minęli przejście, pozostawiając strażników za sobą. Czy tego chcieli, czy nie, znajdowali się na terytorium Rosji, pędząc 62-tonowym kolosem na gąsienicach. Życie czasami potrafi zaskoczyć.

•

Na pierwszy postój zatrzymali się parę minut po dziesiątej rano na skraju jakiegoś miasteczka. Wyglądało na opuszczone, choć niewiele było widać – widok zasłaniały zielone korony drzew i skrajne zabudowania. Maciejewski spodziewał się rozkazu wsparcia kompanii piechoty szykującej się do wkroczenia, ale nie – Stefański wyznaczył to zadanie innemu pododdziałowi. Im pozostało czekanie.

Ich Abrams wyglądał jak wóz dostawczy. Maciejewski dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Z tyłu i po bokach wieży była przywiązana zrolowana płachta siatki maskującej, spod której wystawały skrzynki dodatkowej amunicji do Browninga i parę takich, których przeznaczenia nawet się nie domyślał. Przez moment walczył z pokusą sprawdzenia, cóż jego załozde jest tak potrzebne, lecz dla świętego spokoju machnął ręką. Psiakrew, kto wie, co się może przydać. Pytać nie wypadało. Usłyszy jakąś wykrętną odpowiedź, a jak sprawdzi, to pomyśla, że nie ma do nich zaufania. Wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Chwilę spokoju postanowił wykorzystać w bardziej racjonalny sposób – przejedzie się wzdłuż rzędu Abramsów swojej kompanii i pogada z dowódcami plutonów. Stefański robił tak często, dlatego więc nie skorzystać z doświadczenia przełożonego? Skinął na zastępcę, jeszcze młodszego niż on sam. Począł, aż podejdzie, zastanawiając się, co też taki szczył robi na wojnie. Chłopak wyglądał wręcz na niepełnoletniego: blond włoski uczesane z przedziałkiem na bok i błękitne oczy. Nie miał więcej niż sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, w sam raz na czołgistę, ale przy tym wydawał się wątły jak chorowite dziecko.

W całej kompanii było tylko dwóch oficerów, i to obaj podporucznicy, choć to Maciejewskiemu z racji starszeństwa przypadało dowodzenie. Przez ostatni czas przynajmniej się czegoś nauczył poza teorią, za to młody był zupełnie świeży. Ludzie, którymi komenderował, przeszli zaprawę i solidną szkołę na misjach. Przerastali dowódcę kompanii pod każdym względem, tyle że ten skończył szkołę, a tamci nie.

Maciejewski od początku zastanawiał się, co ma z tym fantem zrobić, i w końcu rozkazał najstarszemu podoficerowi, starszemu sierżantowi sztabowemu Zarembie pomóc młodemu w obowiązkach. Jeżeli ma się czegoś nauczyć, to jedyne rozwiązanie. Szkoda, że tak wyszło, ale



wszystkim jest ciężko, nie wyłączając samego Maciejewskiego.

Wyciągnął papierosy, częstując podkomendnego.

– Dziękuję, nie palę. – Podporucznik wyglądał na zakłopotanego.

– Kiedy was promowali?

– W zeszłym tygodniu. Trochę wcześniej, ale zdaje się, że warunki mamy nadzwyczajne.

Ten chłopak miał mniej doświadczenia niż on. Prosto ze szkoły trafił na front. Najbliższe dni zdecydują, czy w ogóle przeżyje, czy spocznie na jednym z wojennych cmentarzy. Paczkę lucky strike'ów schował do kieszeni bluzy. Sam też nie zapalił. Jeszcze nie przywykł do gorzkawego smaku w ustach po paru zaciągnięciach. Obrócił się w prawo i ruszył wzdłuż kolumny. Droga w tym miejscu wyglądała jak prowincjonalna szosa w Polsce, dwukierunkowa, po jednym pasie jazdy w każdym kierunku, spękany asfalt i pobocze pozwalające ustawić wozy przy rosnących obok sosnach.

Trzydziestometrowe odstępy wydawały się za duże, choć z doświadczenia wynikało, że w razie ostrzału i to może nie wystarczyć.

Osobiście preferował odstępy co najmniej pięćdziesiętometrowe, lecz wtedy zedrze zelówki, zanim obejdzie wszystkie pojazdy. Nie po to wstępował do wojsk pancernych, by zasuwać piechotą.

Nie zdążyli przejść paru metrów, gdy zza pleców dobiegły ich suche odgłosy wystrzałów. Maciejewski obrócił się momentalnie, by zobaczyć, co dzieje się w miasteczku. Jedna seria, druga i przerwa, w końcu trzecia. I nienaturalna cisza.

Przyjrzał się podporucznikowi, który wcale nie wyglądał na przestraszonego. Cholera go wie, może okaże się pistoletem lepszym od niego. Nikt nie ma pojęcia, co drzemie w człowieku, dopóki los nie postawi go w ekstremalnej sytuacji. Czasami pęka ten, co wygląda na największego twardziela, a sprawdza się ktoś, za kogo nikt by nie dał złamanego grosza.

Huk działka Bushmaster M242 z wieży Bradleya obwieścił dalszą część potyczki. Strzelec pociskami kalibru 25 milimetrów roznosił kolejne punkty oporu wskazane przez zwiadowców. Staccato karabinów maszynowych dopełniało odgłosów walki. Ujechali nie więcej niż trzy kilometry od granicy. Jeśli za każdym razem przyjdzie oczyszczać teren w ten sposób, to do Petersburga nie dotrą do świąt.

Swoją drogą, bardzo chciał wiedzieć, z kim mają do czynienia: z regularną armią czy formacjami pomocniczymi? A może ani jedno, ani drugie, a w zabudowaniach zaczęli się... no właśnie, jak ich nazwać – partyzanci, rebelianci, terroryści czy zwykli bandyci, choć ci z wojskiem raczej walczyć nie będą. Samo nazewnictwo przyprawiało o ból głowy. Specjalistów od propagandy czekała prawdziwa słowna ekwilibrystyka.

Wystrzał z armaty czołgu wspomagającego akcję sprawił, że nad miasteczkiem pojawił się pióropusz czarnego dymu. Jeżeli nie pomogło działko, pocisk z Abramsa zrobi porządek. Akurat to jedno nie ulegało wątpliwości.

– Do wozów – nakazał wszystkim znajdującym się w pobliżu. Zawsze istniało ryzyko trafienia przez zabłąkany pocisk lub snajpera dobierającego się do kompanii, a w ten sposób nie chciał tracić ludzi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 25 maja, godzina 07:12

Dmitrij zapatrzył się w idylliczny krajobraz na tapecie, którą ściągnął przed parama minutami. Uczynił to bezwiednie, zainteresowany bezmiarem wody, którą przedstawiała, i palmami. Nieco z boku, daleko w ocean wybiegał drewniany pomost, a przy nim przycumowano polinezyjską łódź. Oblizwał wargi, prawie czując na nich smak soli. Mocno zapragnął znaleźć się w takim miejscu, bez względu na konsekwencje. Kiedyś wyruszy na taką wyprawę. Powrót do rzeczywistości zabrał sekundę.

– Skończyłeś?

Stojący obok człowiek w białej koszuli bez marynarki, lecz z czarnym, wąskim krawatem, wyglądał mało przyjaźnie. Dmitrij znał tylko jego imię – Fadiej. Tak zwracali się do niego wszyscy podwładni, trochę żartobliwie, a trochę z nutą pokory, jak do kogoś, kto jest kumplem, ale jednocześnie szefem tego całego bajzlu. Może nie głównym, jednak ulokowanym na tyle wysoko w strukturze organizacji, by oddać mu należny szacunek.

– Tak.

– Tak – i co?

– Tak, proszę pana. – Ciekawe, czy zabrzmiało to dostatecznie ulegle.

Z całego zespołu komputerowych geniuszy tylko on jeden mówił w ten sposób. Nie należał do grupy. Był wybrykiem dobrego nastroju generała Skokowa, kimś, kto już dawno powinien gryźć piach, a nie chodzić po tej ziemi. Na dodatek pracował przy supertajnych programach.

– Jak ty wyglądasz? – Pogardliwy ton źle wróżył. – Idź się ogarnij. Za kwadrans odprawa. Generał dostanie szau, jak cię zobaczy w takim stanie.

Fadiej odszedł, a Dmitrij sprawdził, co z nim jest nie tak. Zaczął od poobgryzanych paznokci. Zawsze takie były, więc nie o to chodziło. Dopiero rzut oka na stanowisko pracy uświadomił mu, w jakim chlewie egzystuje. Nie odchodził od komputera przez ostatnie osiem–dziewięć godzin, biorąc tylko z wózka rozwozącego przekąski i napoje to, na co w danej chwili miał ochotę. Dominowały napoje z kofeiną i słodczy. Jedno puste opakowanie po kanapce walało się pod kółkami obrotowego fotela, reszta papierków piętrzyła się zaś obok klawiatury, czyli tam, gdzie je rzucił. Kosz na śmieci świecił pustkami. No, dobrze – nie najlepiej to o nim świadczyło.

Wstał. Zawrót głowy dopadł go w najmniej spodziewanym momencie. Nabrał powietrza do płuc i starał się przetrzymać kryzys. Słabość minęła równie szybko, jak się pojawiła. Otrzeptał koszulę jednym niecierpliwym ruchem i ruszył w stronę wyjścia. Kwadrans to sporo czasu. Zdąży załatwić to i owo, być może bez takich przygód jak poprzednio.

Ludzi znajdujących się w sali obrzucił niechętnym spojrzeniem. Nie uważał ich za kolegów, raczej za pomiot szatana, łajzy wkradające się w łaski przełożonych. Gdyby nie zaufanie, jakim obdarzyło ich państwo, mogli skończyć jako nauczyciele w szkołach publicznych lub programiści w firmach. Dmitrijowi kojarzyli się z tymi, którzy tworzyli atomowe projekty Stalina – profesor Igor Kurczatow i bezimienny zastęp wyrobników. Obecnie Kurczatowa zastępował Skokow, a reszta kręciła się jak zawsze.

W sali znajdowało się najwyżej pięćdziesiąt osób. Dmitrij zajął miejsce z tyłu, tuż przy wyjściu. W razie potrzeby będzie pierwszy przy drzwiach.

Przez boczne wejście wkroczył sam Skokow. Generał, zaufany samego prezydenta Władimira Władimirowicza Putina i prawa ręka ministra obrony Siergieja Szojgu zgubił całą nonszalancję, z jaką poruszał się jeszcze nie tak dawno. Do tej pory zawsze wyprostowany, obecnie zaczynał się garbić, przez co marynarka na grzbiecie przypominała worek. Dotąd szczupły – teraz wręcz chorobliwie chudy, z zapadniętymi policzkami i głębokimi zmarszczkami na twarzy. Na dodatek zaczął nosić okulary, co dla niektórych stanowiło prawdziwy szok.

Sala, wypełniona w trzech czwartych, wstrzymała oddech. Stojący niedaleko Dmitrija agent ochrony skinął głową. Zdaje się, że byli już wszyscy.

– Doskonale wiecie, co wydarzyło się dziś w nocy. – Przywykły do rozkazywania i posłuchu Skokow mówił cicho, tak cicho, że haker wysilił całą uwagę, nie chcąc pominąć niczego istotnego. – Dokonano na nas zdradzieckiej napaści. Z żalem muszę zawiadomić o ciężkich stratach, jakie ponosimy. Większość floty została zatopiona, łącznie z jednostkami dysponującymi bronią jądrową. – Generał zmarszczył brwi i zrobił parę kroków wzdłuż pierwszego rzędu krzesel. – Nasz potencjał obronny znacznie się zmniejszył. W przypadku ataku nuklearnego jesteśmy... – Zawiesił głos, ale zaraz podjął przerwany wątek. – W arsenale naszego państwa pozostało niewiele środków odstraszania. Organizacja, którą reprezentujemy, jest ostatnią zdolną do skutecznego działania.

Szmer podnieconych głosów nie pozostał niezauważony.

– Wiem, o czym myślicie. – W końcu Skokow wyprostował się z zadowoleniem. – Decyzją najwyższych czynników dostaniemy swoją szansę.

O jakiej szansie ten sukinsyn mówi? – w głowie Dmitrija zaświeciła ostrzegawcza lampka. Został dopuszczony do najbardziej tajnych projektów, niektóre sam wymyślił jeszcze w czasach, gdy był ciałem i duszą oddany generałowi. Czyżby teraz chciano zintensyfikować działania? Wojna elektroniczna niosła ze sobą takie same niebezpieczeństwa jak użycie atomowych głowic w pełnych ludzi miastach. Już ją prowadzili, paraliżując system bankowy, energetyczny i komunikacyjny Stanów Zjednoczonych.

Wbił wzrok w usta Skokowa, spijając z nich każde słowo, lecz zamiast spodziewanych szczegółów generał palnął nic nieznaczącą mowę służącą jedynie podniesieniu morale. Żadnych konkretów, same banały, jak za socjalistycznych czasów.

Rozluźnił się i słuchał dalszego ciągu jednym uchem. Właściwie czemu miało służyć to spotkanie? Poprawieniu nastroju wysokiemu urzędnikowi państwowemu? Przynajmniej do tej pory tak to wyglądało.

Dwóch pracowników przed nim półgłosem wymieniało komentarze. Do Dmitrija docierały strzępki zdań, ale nie chciał zdradzić zainteresowania żadnym ruchem. Zdaje się, że w wielu kwestiach byli lepiej poinformowani od niego.

– Już zwątpiłem w starego. – Pierwszy z nich, łysawy trzydziestolatek w białej koszuli z brudnym kołnierzykiem, zsunął się nieco z krzesła, przybierając na wpół leżącą pozycję. Drugi, znacznie młodszy, za to z brodą i wąsami oraz grzywką słomkowego koloru, pochylił się ku koledze. Dmitrij nie znał ich imion, ale wiedział, że kręcą się blisko Fadijeja, a co za tym idzie, i samego generała.

Usadowił się bokiem, przerzucił łokieć prawej ręki przez oparcie, a lewą dłonią podparł głowę. Bardziej znudzonej postawy nie potrafił sobie wyobrazić.

– Ja nigdy. – Deklaracja młodszego zabrzmiała stanowczo. – Choć zawsze bałem się takich pomysłów. Znasz założenia?

– Wpieprzymy cywilizację w zaułek bez wyjścia.

– Przesadzasz. Nie wszystkich i nie od razu. – W chrapliwym śmiechu nie było cienia wesołości.

– O, to na pewno – zawtórował mu starszy. – Udławią się swoim dobrobytem. Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Mam dużą wyobraźnię.

Prawie zakrztusili się śmiechem. Skokow spojrzał na nich.

– Może panom przeszkadzam? – zapytał z przymilnym uśmiechem – a może pośmiejemy się wspólnie?

Obu wesołkom powaga wróciła momentalnie. Usiedli sztywno z twarzami nieruchomymi jak maska, skierowanymi na Skokowa.

– Kasjanow i Saško, co za niespodzianka...

Reszta zespołu obserwowała zajście z ledwo skrywaną złośliwą satysfakcją. Przynajmniej na

krótki moment oderwali się od niewesołych myśli, i to kosztem kolegów.

– No, Kasjanow, podziel się swoimi przemyśleniami. Wstań, kiedy do ciebie mówię.

Starszy z dwójki nieszczęśników poderwał się jak rażony prądem.

– Przepraszam. To już się więcej nie powtórzy.

Napięte milczenie trwało akurat tyle, by generał przemierzył salę z lewej na prawą stronę.

– Siadaj! – rozkazał, kończąc pastwienie się nad informatykiem. – Tę uwagę kieruję do wszystkich: nie zapominajcie, gdzie pracujecie. I tak pozwalam na duży zakres swobody, ale to, do cholery, instytucja zmilitaryzowana, działająca w strukturach ministerstwa obrony. Podlegająca regulaminowi. Jak się komuś nie podoba, zaraz może wylądować na froncie. I to nie w sztabie, tylko na pierwszej linii.

Skokow przerwał. Widać było, jak się zdenerwował. Powoli dochodził do siebie, lecz na odzyskanie utraconej równowagi potrzebował jeszcze kilku minut.

– Jest prawdopodobne, że w ciągu najbliższych dwunastu godzin zostaniemy przerzuceni do nowego miejsca. Macie zakończyć rozpoczęte prace i przygotować się do wyjazdu. Pozostają jedynie ci związani z „Czarnym Słońcem”. Zdaje się, że parę kwestii czeka na rozwiązanie.

– Już wszystko gra. Skończyliśmy nad ranem.

Siedzącego przed Dmitrijem Saškę najwyraźniej obowiązywały inne standardy niż resztę, gdyż generał, zamiast zrugać młodzieńca i wyzwąć od najgorszych, powoli skinął głową.

– Czasami i wy bywacie przydatni.

– Służba, towarzyszu generale.

– Rozejść się.

Paru najbliższych współpracowników podeszło do Skokowa z jakimiś uwagami, reszta stłoczyła się przy wyjściu.

Dmitrij poczekał, aż trochę się rozluźni. Wyglądał spokojnie, lecz umysł pracował na najwyższych obrotach. Jak pamiętał, projekt „Czarne Słońce” dotyczył wywołania impulsu elektromagnetycznego nad Stanami Zjednoczonymi poprzez skoordynowane działanie sieci detonacji. Prace studyjne prowadzili od kilku lat i najwyraźniej uzyskali zadowalający efekt.

Choć on specjalizował się w zupełnie innych zagadnieniach, z grubsza znał temat. Udzielił paru konsultacji i tyle. Więcej szczegółów poznał w bufecie, rozmawiając z pomysłodawcami operacji. Później wypadł z obiegu, a obecnie był jedynie tolerowany ze względu na zdolności i wcześniejsze zasługi.

Moskwę spotkało coś podobnego. Uznawał to raczej za dzieło przypadku, niezamierzony efekt eksplozji jądrowej niemający wiele wspólnego z celowym działaniem. Mimo to efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Właśnie czegoś podobnego spodziewali się obecnie po „Czarnym Słońcu”.

Władze Federacji niewiele już miały do stracenia. Co szkodzi wywinąć podobny numer największemu wrogowi i usmażyć wszystkie obwody elektryczne pomiędzy Rio Grande a Wielkimi Jeziorami? Jeśli wszystko się powiedzie, wojna zakończy się w ciągu paru dni. System społeczny USA runie w okamgnieniu. Przywrócenie wszystkiego do poprzedniego stanu zajmie miesiące, może lata. Jedyną w miarę sprawną siłą pod dowództwem Waszyngtonu pozostaną oddziały znajdujące się poza granicami kontynentu – w Europie i w Azji. Co wtedy robi prezydent? Wszystkie scenariusze sugerowały szybki powrót jednostek na terytorium północnoamerykańskie. Nikt nie będzie myślał o dalszym prowadzeniu kampanii. Dyplomaci Unii Europejskiej przyjmą to z głupimi minami mówiącymi „nic się nie stało”. Rosja po raz kolejny udowodni swoją siłę. Nikt jej nie podskoczy.

Gdy zabraknie Amerykanów, koalicja straci rację bytu. Pozostali sojusznicy nie dysponują odpowiednimi możliwościami, a ich straty również wyglądały na dotkliwe. W konsekwencji żadnej ze stron nie będzie zależec na kontynuowaniu wojny i wszystko wróci do stanu poprzedniego. Chiny i Japonia nie będą chciały podzielić losu Stanów i same się wycofają. Po prostu ryzyko stanie się zbyt duże. Uporządkowanie spraw na Kaukazie i w Azji Środkowej przyjdzie z większym trudem. Dla

większości sfanatyzowanych islamistów posługujących się Kałasznikowem i RPG taki obrót rzeczy będzie widowym znakiem od Boga, który upokorzył Wielkiego Szatana. Nieistotne, jak do tego doszło. Allah jest wielki. Na tle obecnych problemów ten wyglądał na zbyt odległy, by zajmować się nim w tej chwili, lecz wcześniej czy później i z nim się uporają.

Długofalowym efektem będzie upadek USA. Przy okazji Federacja Rosyjska również utraci dawną pozycję. Bez jądrowego arsenału, floty, ze znacznie przetrzebionym lotnictwem i siłami lądowymi przeistoczy się w zdychającego słonia. Populacja ponownie zacznie gwałtownie spadać. Tę niepokojącą tendencję Putinowi jakoś udało się przyhamować, lecz wojna zrobi swoje. Handel surowcami przy tak zniszczonej infrastrukturze stanie się jedynym źródłem utrzymania, kropłówką podtrzymującą przy życiu chory organizm. Zawsze tak było. Pomysł na eksploatację północnych złóż nie wziął się z powietrza. Chcieli więcej, to dostali. W konsekwencji Rosja walczyła o przetrwanie. Tyle że od dawna on już nie czuł się jej obywatelem.

Na korytarzu utworzyły się niewielkie trzy–czterooosobowe grupki dyskutantów. Szedł jak najwolniej, starając się dosłyszeć, o czym mówili – generalnie o niczym: o sprawach biurowych, przyszłości rodzin i mającej niebawem nastąpić ewakuacji.

Usiadł przy swoim stanowisku. Jak na razie nikt oprócz niego nie podjął pracy. Szybko zalogował się na swoje konto i napisał ostrzeżenie.

Wyrzutów sumienia nie miał od dawna. Stało się wystarczająco dużo złego. Pomysły Skokowa trąciły... Nie potrafił nazwać tego, co zamierzali. Czysty nihilizm. Rozwalimy wszystko i wszystkich. Kasjanow dobrze określił tę operację: skierują cywilizację w ślepy zaulek. Koszmarna perspektywa.

•  
Miny mieli dość niewyraźne. Dotyczyło to zwłaszcza samego Jeffa, bo Lafayette o wszystkim dowiedział się przed paroma minutami, podobnie jak Wirski. W pierwszym odruchu agent CIA odrzucił z niedowierzaniem wiadomość od hakera. Po prostu zwykła plotka, na jaką dał się złapać, ewentualnie prowokacja lub – co gorsza – świadoma zdrada. W końcu dał upust targającym nim emocjom. Soczyste fuck dopełniło rąbnięcie dłonią o blat stołu.

– Ten palant postradał zmysły.

– Nie sądzę, a znam go dłużej od ciebie. – Wirski nie lubił, jak ktoś zachowywał się w ten sposób. To nieprofesjonalne, delikatnie mówiąc. Chyba że udawane, ale to nie tym razem.

– W takim razie chcą nas przestraszyć celowo.

– Tylko po co mieliby to robić? – Lafayette może i nieświadomie, ale trzymał stronę Polaka. Trochę razem przeszli, co cementowało bardziej niż dziesięć lat wspólnych popijaw i rozpraw o przykrościach życia.

– Przycisnęli gnojka...

– Wciąż nie widzę powodu. – Wirski zwinął dłoń w pięść, aż strzeliły stawy. – Dlaczego Skokow miałby ujawnić najważniejszą tajemnicę? Nic na tym nie zyska.

– Manipulacja, do cholery. Chcą nas przestraszyć i robią to w wyjątkowo subtelny sposób. Obaj daliście się nabrać. – Oskarżycielskie spojrzenie spoczęło na poruczniku komandosów. – Wyczerpali wszystkie środki odstraszenia. Lotnictwo i flota zostały zredukowane co najmniej o połowę, jak nie lepiej. Pozostała jedynie część mobilnych wyrzutni, na zniszczeniu których obecnie się koncentrujemy, a i te przestaną istnieć za parę godzin. Co im pozostanie oprócz sił konwencjonalnych? No właśnie, geniusze. Pewnie stąd pomysł na tę, pożałuj Boże, operację. Pomyślcie, chcą nam zrobić dokładnie to samo, co spotkało ich kraj. Ja się pytam – jak?

– Istnieją... – Andrzej spróbował znaleźć odpowiedź.

– Śledziliśmy od dawna wszystkie ich projekty badawcze, nawet te studyjne, i ani razu nie natknęliśmy się na coś więcej niż ogólne brzmienie założenia.

– Przyjmijmy, że masz rację. – Wirski westchnął. – W takim razie musimy przyjąć za pewnik skuteczne spenetrowanie przez was wszystkich instytucji i ośrodków badawczych, zarówno tych państwowych, jak i prywatnych.

– Generalnie są one zrzeszone w konsorcja. Wystarczy wiedzieć, co omawiają na zebraniach – powiedział Jeff, choć już z mniej pewną miną.

– Niczego wam nie ujmując, ale – nie obraź się, Jeff – to nierealne. Poszczególne elementy mogli zlecić różnym firmom. Skokow koordynował całość, dlatego Dmitrij zna ten temat.

– Pieprzenie.

– A co się stanie, jeśli ma rację? Za dzień lub dwa impuls elektromagnetyczny ogarnie cały kontynent. W jednej sekundzie zostaniecie przeniesieni do dziewiętnastego wieku. Gospodarka runie. Nie tylko wasza, te oparte na dolarze również. Dotyczy to Japonii i oczywiście Chin. Cóż za przykry zbieg okoliczności.

Amerikanin zmrużył oczy. Widać było, jak rozważa wszystkie dostępne opcje, lecz wciąż nie potrafi przełamać się i przyznać racji Wirskiemu.

– Jak na znawcę Rosji, za którego się uważasz, popełniasz karygodne błędy. – Andrzej pozwolił sobie na docinek.

– Nic nie szkodzi spróbować. – Lafayette próbował pogodzić obie strony.

– Przypuśćmy, że wszystko znajdzie potwierdzenie – zastanowił się Wirski. – Co dalej?

– Nie będzie żadnego dalej. – Jeff najwyraźniej tracił cierpliwość. – Potwierdzenie, że akcja jest koordynowana z tamtego miejsca, wystarczy, byśmy rozwalili wszystko w cholerę.

– Początkowo chciałeś przejąć ośrodek. Przynajmniej takie były założenia.

– Pozwól, że ja będę decydował.

– Jak chcesz.

– Sam Dmitrij nam wystarczy – powiedział agent z kwaśną miną.

Wyjaśnienie nie uspokoiło Wirskiego. Owszem, do pewnego stopnia zgadzał się z Jeffem: jak uzyskają potwierdzenie, wszelkie rozważania na temat przejęcia ośrodka we w miarę nienaruszonym stanie przestaną mieć znaczenie. Pozostanie ostateczne rozwiązanie bez oglądania się na koszty. Tyle że na razie niewiele wiedzieli. Dmitrij wykazał się inicjatywą. Właściwie nikt go o nic nie prosił. W swoim interesie powinien siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i w odpowiedniej chwili wziąć nogi za pas, a okazał się najlepszym źródłem informacji, jakie posiadali.

Musieli wiedzieć więcej, a istniał na to tylko jeden sposób. Wiedział o tym i on, i Jeff, tyle że tego drugiego interesowały efekty. Zimny, wyrachowany profesjonalizm bez zbaczania o cal z wytyczonej drogi. Andrzejem zaczęły targać emocje. Zbyt wiele ostatnio stracił, by kierować się samą logiką. Poza tym on znał Dmitrija dosyć dobrze, zaś Amerykanin o hakerze wiedział niewiele.

– Sam to zrobię. – Andrzej w końcu podniósł się z kanapy.

Wiadomość dla Dmitrija była krótka, lecz nie pozostawiała pola manewru – jeżeli mają go wyciągnąć, musi dowiedzieć się więcej. Jeśli jest tak dobry, za jakiego się uważa, poradzi sobie bez problemu.

Wirski odszedł od laptopa z ciężkim sercem. W duchu przeklął sam siebie. Czy życie jednego człowieka jest warte tyle samo, co życie milionów? Tragedia w stosunku do czystej statystyki, jak twierdził Stalin. Zdaje się, że nigdy nie przywyknie od podejmowania decyzji w takiej skali.

•

Co oni sobie wyobrażają?! – Dmitrija o mało nie załżała krew. Już i tak udowodnił swoją dobrą wolą. Przekazał wszystko, co wiedział, wyciągając z zakamarków pamięci założenia operacji. Nawet podłączony do elektrycznego gniazdka nie powie nic więcej.

Zaczął kombinować, czy przypadkiem nie dać sobie spokoju z ich życzeniami. Ołać ich. Niech idą do diabła, parszywe skurwiele. Po stokroć zasłużył na lepsze traktowanie. Za kogo go uważali – chłopca do czarnej roboty czy ogniwo, którego pozbędą się przy pierwszej lepszej okazji?

Musiał wyjść do bufetu uspokoić nerwy. Wziął czekoladowy batonik i plastikową butelkę z wodą. Dookoła panował ruch większy niż zazwyczaj. Większość robiła już zakupy na podróż. Lepiej mieć w kieszeniach poupychane to i owo, zamiast prosić o łyk wody czy kęs chleba. Z ponad dwustu pracowników ośrodka w pierwszej kolejności zostanie wyekspediowanych jakichś pięćdziesięciu.

Wszyscy sporo o tym mówili, nie znali jednak dokładnego terminu i środka transportu ani miejsca, do którego zostaną przetrzuceni. Ci zazwyczaj najlepiej poinformowani wspominali o Moskwie, inni o tajnym mieście na Uralu, a jeszcze inni o podziemiach w Ermitażu. W końcu zaczęto robić zakłady. Obstawiała większość kadry i szeregowych pracowników, jedynie ochroniarze chodzili ponurzy jak zwykle. Oni pozostaną na miejscu, żeby pilnować dobytku. Jak uda się przetrwać, wszystko powróci do ustalonego trybu, jak nie... cóż – nikt nie żyje wiecznie.

Dmitrij wzdrygnął się, mijając na korytarzu Fadieję pogrążonego w rozmowie z oficerem lotnictwa. Obaj nie zaszczyliłi hakera najmniejszym spojrzeniem. Obejrzał się przez ramię. Nie słyszał, o czym mówią, ale instykt podpowiadał, co jest tematem: „Czarne Słońce”. Szkoda że nie „Czarna Żarówka”, bo i o takich eksperymentach słyszał. Chodziło nie o emisję energii, lecz jej pochłanianie – coś jak miniaturowa czarna dziura. Niektórzy fizycy mają ostro popieprzone we łbie. Czarna dziura właśnie się tworzyła wokół niego. Ludzie znikali, jakby nigdy nie istnieli, a...

Z windy wyszła kobieta. W obcisłych dżinsach podkreślających figurę, sportowych butach i kurteczce opinającej górną część ciała. Wyglądała na osobę twardą i zdecydowaną. Na łańcuszku dyndał identyfikator. Znał tę zimną...

Potknął się krawędź wykładziny niezbyt dokładnie przymocowanej do podłogi. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Chciał odwrócić wzrok, lecz nie potrafił. Błysk przypomnienia odbił się na twarzy dziewczyny. Pamięć i pogarda. Spotkali się tylko raz i wystarczy. Pewien Amerykanin przyprowadził ją i przedstawił jako swoją narzeczoną. Kwadrans później domniemana kochanka wyciągnęła spluwę i zrobiła porządek z towarzystwem. Parę osób ciężko to wówczas odchorowało. Zaraz zjawiono się FSB i reszta uzbrojonej zgrai. On znalazł się w ośrodku, pozostali w więzieniu, jeden w kostnicy. Tak to bywa, kiedy ktoś zadaje się z niewłaściwymi kobietami.

Spocił się mimo pracującej klimatyzacji. Wzrok wbił pod nogi, starając się jak najszybciej zejść jej z oczu. Resztki honoru nie pozwalały mu puścić się biegiem, sunął więc korytarzem jak ostatni łachudra.

– Kogo jak widzę?

Zacząpkę puścił mimo uszu. Skręcił w bok i doszedł do sali zastawionej rzędami biurek. Usiadł i przekręcił krzesło tyłem do wyjścia. Policzki piekły go od upokorzenia. W takim towarzystwie można nabawić się kompleksów na całe życie.

Odetchnął głęboko. Gorączkowo próbował sobie przypomnieć strukturę sieci instytutu i zabezpieczenia poszczególnych serwerów. Jakby szukał igły w stogu siana. Nic, nic, nic. To znaczy ciekawych rzeczy było tu sporo, lecz nic wiążącego się z „Czarnym Słońcem”. W końcu zajmowali się zupełnie innymi sprawami. Nie wiedział, czy kopiować dane dotyczące innych tajnych projektów. Mogą mu się przydać później, na wolności. Po samych nazwach typu „Obiekt 98-60-90” trudno było się zorientować, czy warto się trudzić, a do wszystkiego nie zdąży się dostać i przeczytać. Potrzebował na to co najmniej kilku godzin, a nie sądził, by Skokow podarował mu aż tyle wolnego. W dodatku każdy dostęp był rejestrowany. Musiałby mieć całkowitą pewność, że zanim administratorzy bezpieczeństwa systemu przejrzą logi, on będzie już pod opieką tego Polaka. A tego nie wiedział.

Spokojnie. Może szukał w nieodpowiednim miejscu? Przeprowadzenie operacji mogło być w gestii Federalnej Służby Bezpieczeństwa, marynarki wojennej lub sił powietrznych. Sprawę należało przemyśleć od początku. Skokow powiedział wyraźnie, kto koordynuje postępy. Grupa, która się tym zajmowała, liczy najwyżej dziesięć osób. Żadnej z nich nie widział na tej sali. Zdaje się, że pracowali piętro niżej. Jeżeli chciał się czegoś dowiedzieć, musi znaleźć sposób dotarcia tam bez wzbudzania podejrzeń.

Problem zdawał się przekraczać możliwości Dmitrija. Nawet w swoim wydziale był ledwo tolerowany, sam we wrogim otoczeniu. Podejrzany element, którego tylko na specjalne życzenie Skokowa nie postawiono pod murem. Gdyby przyłapali go na grzebaniu w cudzych, i to tak ważnych sprawach, to by go wyprowadzili, nim cokolwiek zdołałby wytłumaczyć. Nie pomogłyby

mu wcześniejsze dokonania i zasługi. O incydencie nie wspomną FSB. Wszystko załatwią we własnym zakresie.

Przelał wodę do plastikowego kubeczka. Zakręcił nim, uwalniając bąbelki gazu. Upił łyk. Kiedy przypatrywał się ściekającej kropli, doznał olśnienia. W samą porę. Nie był pewny, czy widział to w jakimś filmie, czy wymyślił sam. Liczył się efekt.

Nikt nie lubi być mieszany z błotem. Publiczne upokorzenie to jedno z najbardziej przykrych doświadczeń, a skoro już go to spotkało, chciał się zemścić. Właśnie tak. Nie wejdzie do gabinetu Skokowa i nie wpakuje kuli w pierś parszywego padalca. Do takich zachowań nie był zdolny. W jego wykonaniu będzie to coś bardziej subtelnego, niemniej podziela równie skutecznie, co cios łotem w głowę.

Zadrżał, jakby w sali panowała temperatura minus dziesięć, a nie biurowe plus dwadzieścia. Choćby miał zdechnąć, pokaże tym nadętym bufonom, kto jest górą.

Dopił wodę do ostatniej kropli, wstał i skierował się do toalety, ściskając kubek lewą dłonią. Sprawdził, czy jest sam, i wszedł do kabiny. Szczęknęła zasuwa. Z rolki papieru toaletowego urwał sporą wstęgę i nawinął na plastik. Za mało. Nawłókt kolejną wstęgę, aż uzyskał wystarczający efekt. Podwinął rękaw koszuli i przełamując obrzydzenie, zanurzył rękę w muszli. Żołądek podjechał mu do gardła. Kaszlnął. Odwrócił głowę w przeciwnym kierunku, ale nie zrezygnował. Palcami wymacał ujście rury. Oddychał przez zęby. Zawsze był wrażliwy pod tym względem. Umieścił korek maksymalnie daleko, popychając dłonią, aż poczuł, że dalej nie wejdzie. Z ulgą cofnął rękę. Nawet nie chciał na nią patrzeć. Strzepnął kropelki wody. Drażniący zapasek był coraz bardziej dokuczliwy. Czy ktoś tu sprzątał? Jeżeli nawet, za chwilę wszystko się zmieni. Nacisnął wajchę z boku zbiornika. Jak się spodziewał, woda wypełniła muszlę w trzech czwartych i nie znajdując ujścia, utworzyła miniaturowe oczko. Począł i gdy zbiornik ponownie się napełnił, powtórzył wszystko od początku. Tym razem ciecz dotarła do krawędzi porcelanowej muszli. Jeszcze raz i jeszcze. Wyszedł z kabiny, po czym wyszorował ręce, wciąż walcząc z mdłościami.

– Skąd tu tyle wody? – Któryś z urzędników rozchlapał cieniutką warstewkę na kaflach podsadzki.

Dmitrij wzruszył ramionami, udając równie zniesmaczonego.

– Jak przyszedłem, już było. Bez hydraulika się nie obejdzie.

Wytrzeł dłonie papierowym ręcznikiem i cisnął wilgotną kulkę do kubła obok przejścia. Początek nie najgorszy, zobaczymy, jak pójdzie dalej – pomyślał.

Dotarł do schodów ewakuacyjnych i przechylił się przez barierkę, by spojrzeć w dół. Pusto. Z całą swobodą, jaką z siebie wykresał, zszedł piętro niżej. Stojący tuż przy wejściu do części biurowej ochroniarz wyglądał mało przyjaźnie.

– Czego tu?

– Kibel się zapchał. Możecie sprawdzić. Jak ktoś lubi brodzić w cudzych szczyinach, to jest w sam raz.

Wyminął agenta bez dalszych wyjaśnień. Znając nieufność psów łańcuchowych generała, zaraz tam pobiegną.

Układ pomieszczeń był taki sam jak u góry. Jeżeli Kasjanow dysponował osobnym biurem, cała dywersja okaże się nic niewartą błazenadą. Minął pokój gospodarczy, rozglądając się cały czas za wejściem do biur. Jest. Szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi pozwalały dojrzeć, co znajduje się w środku. Im był bliżej pomieszczenia, tym mocniej łomotało mu serce. Tu już nie chodziło o jakieś tam podchody. Ryzykował głową. Dosłownie.

Zwolnił, na ile mógł, dojrzał bowiem Saškę pogrążonego w rozmowie z kimś, kogo on nie znał. Obaj informatycy akurat wychodzili. Jak miło z ich strony. Pochylił głowę. Wyminęli go bez słowa. W przeciwieństwie do boksów na górze, tu pracowało znacznie mniej operatorów. Znalazł wolne stanowisko i przysiadł na obrotowym fotelu. Zerknąwszy jeszcze raz przez ramię, przyjrzał się temu, co ktoś zostawił na ekranie. Bingo.



W tej zamkniętej sieci zapewne wszyscy pracowali nad „Czarnym Słońcem”. Nie miał ochoty przeglądać wszystkiego, choć pewnie by znalazł założenia, projekty, testy i ich wyniki. Specyfikacje sprzętu i harmonogramy samej operacji również powinny być gdzieś w tym gąszczu informacji. Zamiast dotrzeć do sedna, zmarnuje cenne sekundy, jakie pozostały. Wsunął pendrive’a w port USB. Odmowa dostępu. Spróbował inaczej, palce przebiegły po klawiaturze. Na szczęście był dobry w te klocki. Nie zmieniało to faktu, że na wyciągnięcie wszystkiego poza tę sieć nie starczy czasu. Wybrał to, co wydało mu się najistotniejsze. Szybciej. Za sobą usłyszał Fadieję biorącego do galopu kogoś z pracowników. Wpaść teraz to kompletna porażka.

– Kogo niby mam wezwać? – Szef zespołu już dawno stracił cierpliwość. – Czyś ty rozum postradał? Wywieś kartkę, że zamknięte i już. Za parę godzin i tak się zwijamy. Czy pierwsza grupa jest gotowa? Pytam, czy jest gotowa? Jak to, czy tam będą pokoje wypoczynkowe? Hotelu się wam zachciewa. Jesteście na służbie, a nie na wczasach!

Tyrada dała Dmitrijowi upragnione parę sekund. Akurat tyle, żeby ze służbowej poczty tego durnia, który zostawił niezablokowany komputer, wysłać największy plik z folderu prosto do Andrzeja. Musiał zagrać va banque. Nie miał już czasu, żeby sprawdzić, co to jest, ale na pewno właściwe służby się w tym połapią.

Przytomnie wyjął pamięć i schował do kieszeni spodni. Zamiast skierować się na korytarz, poszedł na drugi koniec pomieszczenia. Tam na stoliczku tkwił elektryczny czajnik. Obok wyłożono kawę i herbatę. Włączył urządzenie. Szum wody pomógł uspokoić nerwy.

– Dla mnie czarna z cukrem.

Zdrętwiał. Kogo лихо przyniosło tym razem?

– Ile tyżeczek?

– Dwie. Albo nie, jedna.

Zerknął w bok. Drobną, ciemnowłosa kobieta przystanęła obok.

– Wcześniej cię tu nie widziałam.

O mało się nie oparzył, kiedy nalewał wrzątek do filiżanek. Sięgnął po serwetkę, żeby wytrzeć plamy.

Dziewczyna nie wyglądała na hakerkę, a tym bardziej na osobę z ochrony. W tym typowo męskim towarzystwie stanowiła ewenement. Zresztą całkiem ładny.

– Jestem Olga. – Wyciągnęła rękę.

– Cześć – wydukał. Nie wiedział, czy był bardziej onieśmielony, czy przestraszony.

– Na zebraniu siedziałeś za Kasjanowem. – Upiła łyk i uśmiechnęła się zadowolona.

Generalnie w firmie pracowali mężczyźni. Tych parę kobiet musiało na tyle zaimponować generałowi, że jednak znalazł dla nich miejsce w organizacji. Pewnie były bystrzejsze od facetów.

– Eee...

Sylwetka Olgi mignęła mu raz czy dwa w tłumie pracowników. Pochłonięty własnymi problemami, wyrzucił ją z pamięci. Starał się przeżyć, nie w głowie mu było kłeczenie romansu bez szans na przyszłość.

– Igora szlag trafi, jak się dowie, że ktoś grzebał w jego maszynie.

Zimne obcęgi strachu zaczęły zaciskać się na gardle Dmitrija.

– Nie masz nic do powiedzenia? – Szare oczy spoglądały raczej z ciekawością niż wrogością.

– Chciałem coś sprawdzić – odrzekł wymijająco.

Skinęła głową i poprowadziła go między rzędami boksów.

– Weź krzesło.

Usiedli przy ostatnim stanowisku, tuż przy oknach zaciągniętych żaluzjami. Boks na pewno należał do Olgi. Parę kolorowych pocztówek z całego świata przypięła do korkowej tablicy wraz ze skomplikowanymi schematami. Jakieś maskotki, w tym jedna wiedzmy siedzącej na miotle, ponieważ się tu i tam. Brakowało wazonu z plastikowymi kwiatami, ale i tak wszystko wyglądało schludniej i przyjemniej dla oka niż typowo męska graciarnia.

Natężenie głosu Fadieja wzrosło o parę decybeli. Nie chciał znaleźć się w skórze tego, kto mu podpadł.

- Hm... – chrząknął, zupełnie nie wiedząc, co dalej. – Przychodząc tutaj, strzeliłem gafę.
- Faktycznie. To nie był najrozsądniejszy pomysł... – przytaknęła.
- Nie zrobiłem nic złego.

Dmitrij miał wrażenie, że pendrive zaraz przepali mu kieszeń, w której został schowany. Stopniowo też rosło w nim poczucie winy, może nie w stosunku do Skokowa, ale do Olgi na pewno.

– Posłuchaj... – Dostrzegł, że ołówek, którym się bawiła, ma poobgryzaną końcówkę. Smukłe palce obracały przedmiot z niebywałą prędkością.

- Lepiej już nic nie mów.
- No...

– Wszystko było dobrze, dopóki rozważaliśmy tylko teorię. Pierwsze testy to też niezła zabawa. Wiesz, ile było śmiechu, jak uwędziliśmy nasze komórki, a w nowym samochodzie Saški wysiadł układ zasilania?

Dmitrij wolał jej nie przerywać.

– Później zrobiło się mniej wesoło, a ja... Jak ktoś siedzi w tym tak długo jak ja, zaczyna tracić poczucie rzeczywistości. Wszystko jest czystą nauką, nowe problemy do rozwiązania i radość z pokonania kolejnej bariery. O konsekwencjach nikt nie myśli. Zakładasz, że to, co wymyśliłeś, nigdy nie zostanie użyte. A potem przychodzi taki moment, w którym uświadamiasz sobie jałowość własnych przypuszczeń. Wiesz, o co mi chodzi?

Na wszelki wypadek przytaknął.

- Przychodzą wątpliwości. Zwłaszcza jak ma się dzieci. Co niby mamy im zostawić w spadku? Awantura przy wyjściu w końcu przycichła.
- Jakby co, powołaj się na mnie.
- Dzięki.
- Nie dziękuj, tylko zrób, co musisz.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 25 maja, godzina 14:17

– To, zdaje się, tyle, jeżeli chodzi o waszą penetrację ich projektów badawczych. – Andrzej przejrzał pobieżnie parę pierwszych stron. Jak dla niego materiał wyglądał na autentyczny. Po co ktoś zadałoby sobie tyle trudu, by wprowadzić ich w błąd? Wszystkiego przeszło dziewięćset stron, co i tak wydawało się tylko częścią większej całości.

- Niech się wypowiedzą specjaliści. – Jeff zmarszczył nos, jakby poczuł coś nieprzyjemnego.
- Ile czasu im to zajmie: godzinę, dwie czy mówimy tu raczej o dobach?
- Czego ty właściwie ode mnie chcesz?
- Dmitrij zrobił, co do niego należało. Sam musisz przyznać.

Agent zapatrzył się w jakąś tabelę, nie dając po sobie poznać, czy słowa Wirskiego trafiły mu do przekonania.

– Jeff, zaczynasz mnie irytować.

– Widzę tu sporo wyliczeń, szczegółów technicznych. Nawet nie większość, to czysta teoria. I nic o samej operacji, słyszysz? Ani słowa o realizacji, ani wzmianki czy odniesienia do sposobów, terminów. Zero.

Wirski poczuł narastającą frustrację.

- Wyślij maila samemu Skokowowi. Z chęcią odpowie.
- Nie jesteś zabawny.
- Bo nie staram się być. Czego chcesz więcej? A właściwie: co ci nie pasuje? Jak dla mnie

wszystko gra. Powiadom, kogo trzeba, sam nic więcej nie wymyślisz. My skoncentrujemy na wyciągnięciu Dmitrija. Zasłużył sobie.

– Nie, dopóki ja tu rządę.

– Jeff. – Wirski powiedział to spokojnym tonem, choć w środku aż się gotował. – To mój człowiek.

– Już nie.

– Skurwiel z ciebie.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, te obelgi nic dla mnie nie znaczą.

– Wyciśniesz go jak cytrynę, a potem wyrzucisz do śmieci.

Zdawał sobie sprawę, jak niewiele znaczy. Wszystko zależało od dobrej woli Jeffa, który kręcił tym biznesem. Jemu co najwyżej przypadła rola doradcy.

– Dla dobra wszystkich lepiej, jak zostanie na miejscu – oznajmił Amerykanin. – Jest naszym najważniejszym źródłem i nie pozwolę, by za sprawą czyjogoś widzimisię spieprzono tę akcję.

– Do niedawna twierdziłeś, że nic ci więcej nie potrzeba. Wszystko idzie wyśmienicie, a najdalej za dwa dni zajmiecie Petersburg. Moskwę za tydzień, bo drogi słabe. Nagle robi się strach u dupy. Wyjątkowo łatwo ulegasz emocjom.

– Ja? Posłuchaj raczej siebie.

– Ze mną wszystko w porządku. – Wirski wstał. Już i tak zbyt długo pozostawał w jednym miejscu. – Zrobię rekonesans.

– Zastanów się, o czym mówisz.

– Papiery dzięki tobie mam mocne. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Poleziesz na prospekt Moskiewski, tak?

– Zobaczę, co i jak.

– Nie zezwalam – prychnął Jeff.

– A możesz mi...

Błysku wściekłości w oczach Amerykanina nie zapomni nigdy.

– Poruczniku.

– Nie rób mi tego. – Lafayette wstał, blokując drogę. To nie była groźba, raczej głos zdrowego rozsądku w tej coraz bardziej zakręconej sytuacji.

– OK. – Ustąpił Wirski. Przecież nie zacznie okładać pięściami komandosa SEALs. Szansa na wyjście z potyczki cało była bliska zeru. Przed sobą miał okaz zdrowia, a sam z bolącym barkiem jeszcze długo nie wróci do formy. Poza tym za drzwiami znajdowało się kilku takich jak ten tu, dla świętego spokoju gotowych zamknąć go w piwnicy lub zrobić parę innych przykrych rzeczy.

– Jak się boisz – powiedział do Jeffa – to wezmę ze sobą Huga'a i porucznika Lafayette'a. Masz gwarancję, że nie zrobimy niczego głupiego.

– Ja cię znam.

– Daj spokój. Mam rzucić się z gołymi rękoma na dwudziestu ochroniarzy? Przeceniasz mnie.

– Jesteś nieobliczalny.

– Do niedawna sam proponowałeś mi współpracę, a kiedy wychodzę z inicjatywą, rzucasz kłody pod nogi. Zastanów się, co robisz.

– Twoja inicjatywa – wycedził agent – ociera się o samobójstwo. Myślisz, że jak staniesz na dole, to pomożesz Dmitrijowi? On wyjdzie ze środka jak gdyby nigdy nic i odjedzie w siną dal, rozprawiając o urokach życia w Rosji? Jak Skokow cię dorwie, nie będzie tak pobłażliwy, jak ostatnim razem.

– Ale tylko w ten sposób wyciągniemy Dmitrija.

– Stojąc na ulicy i czekając, aż zwinie was policja czy wojsko. Tam... – palec Jeffa wskazał w stronę miasta – jest niebezpiecznie.

Argumenty, choć logiczne, nie przemawiały do Wirskiego.

– Sam mam większe szanse.

- To irracjonalne.
  - Wiem.
- Gestu Jeffa nie dało się opisać, coś jakby pożegnanie i rezygnacja w jednym.
- Rób, jak chcesz.

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH, MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 25 maja, godzina 10:16

Całe doniesienie zostało parokrotnie przeczytane i opatrzone odpowiednimi notatkami, by w końcu wylądować przed nosem Gary'ego.

- Czytaj.
- Craig uniósł okulary. Wydruk był gruby jak Biblia.
- Muszę?
  - Streszczenie zawarłam na końcu.

Szybko przeczucił kilka pierwszych stron, starając się zapoznać z materiałem, jednak szybko poszukał miejsca, o którym mówiła Ashley. Już w połowie pierwszego akapitu wiedział, że jest źle.

- To jest na poważnie? – Poczekał, co powie asystentka.
- Niestety.
- Kto o tym wie?
- Zdaje się, że już wszyscy zainteresowani.

Gary powrócił do czytania, tym razem wszystkiego od początku. Posiadał niebywałą umiejętność wyławiania tego, co najistotniejsze, i pomijania całej reszty, dzięki czemu przyswajał materiał ze sporą prędkością. Nie wszystko było jasne. Techniczne terminy pominął w ogóle. Nie znał się też na fizyce, podobnie jak większość zwykłych obywateli. Potrafił jednak wysnuć odpowiednie wnioski. Zresztą na końcu wszystko zostało opisane czarno na białym.

- Doprawdy nie wiem, co o tym sądzić – wystękał, doczytawszy końcowe uwagi. – Skąd to mamy?

- Prosto z Petersburga. Przyszło do Langley, ale poszperałam i nie tak do końca jest to ich materiał.

- A kogo?
- Nigdy nie zgadniesz.
- Spróbuję. – Gary zastanowił się na moment. – Brytole?
- Nie.
- W takim razie to Niemcy zrobili nam przysługę.
- Czegoś podobnego od nich raczej się nie spodziewam.
- Szwedzi. – Wycelował w nią palec. – Mają tam tak samo dobre kontakty jak Berlin.

Pokręciła głową.

Pole manewru się zawężyło. Kto posiadał na tyle sprawny wywiad, by przejąć takie informacje? Nieprzyjemnie przypuszczenie naszło Gary'ego zupełnie niespodziewanie.

- DGSE, mam rację? Czego chcą w zamian?
- To nie Francuzi. Dla ułatwienia podpowiem, że nie Włosi, nie Holendrzy i nie Hiszpanie.
- To równie skomplikowane, co te instrukcje.
- Już kiedyś o tym rozmawialiśmy.
- Ach, tak... – Doznał przebłysku. Zaangażowała się w tę robotę ze względów osobistych i, jak widać, przecucie jej nie myliło. Na wszelki wypadek nie podjął tematu. Po co niepotrzebnie rozdrapywać rany.
- Pewnie wiesz więcej, niż tu napisano.
- Specjaliści są zgodni: Rosjanie są do tego zdolni. Brakuje paru elementów, ale to szczegóły.
- Środki techniczne to jedno, przeprowadzenie tak skomplikowanej akcji nie jest proste.

– FBI, Nuclear Emergency Support Team i CIA już zarzuciły sieć. Szykuje się największa obława w historii USA. Problem w tym, że nie wiedzą, czego szukać i gdzie. To jak łapanie ryb w nocy, po omacku, bez wędki i latarki, licząc tylko na łut szczęścia.

– Dlaczego za każdym razem, jak cię widzę, przychodzisz z czymś takim? – Uśmiechnął się kwaśno i machnął plikiem kartek.

– Ktoś musi, a chyba lepiej, żebym to była ja niż Gregor.

– O, tak. – W biurze Gary’ego pracowało wiele osób, ale jedynie Ashley potrafiła rozmawiać z szefem bez natychmiastowego wywołania złego humoru Craiga. – Połączysz mnie z Wilsonem.

– Nie muszę. Jest tu, właśnie przyjechał.

– Znajdź go i powiedz, że muszę z nim zamienić parę słów.

Dziesięć minut później przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wkroczył do gabinetu Gary’ego z czapką pod pachą i wyjątkowo ponurym wyrazem twarzy. Za nim weszła też Ashley.

– Mam dosłownie chwilę, prezydent mnie wzywa.

– Szkoda.

– Ty też. Prezydent chce widzieć was obu – dodała Ashley zza pleców Wilsona.

– Nie lubię, gdy wszystko gna z prędkością światła – rzędził Gary, zerkając na zegarek. – Usiądziesz?

Wilson opadł na fotel z wyraźną ulgą. Przez ostatnie doby za wiele się nie nastąpiło, ale zmęczenie solidnie dawało mu się we znaki.

– Kiedy ostatni raz spałeś? – zapytał Gary.

– Nie pamiętam. Chyba w poprzednim wcieleniu.

– To tak jak ja. – Gary powoli zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością. Co jakiś czas popadał w odrętwienie, nad którym nie potrafił zapanować. – Wszystko idzie dobrze...

– Powiedzmy.

– ...a tu taka niespodzianka... – nawiązał do trapiącej ich sprawy, ale urwał. – Coś nie tak, James?

– Doskonale, tylko – widzisz – wysyłanie na śmierć tysięcy młodych ludzi nie jest tym, co ułatwia zasypianie.

– Jak wyłączą nam prąd, przestaniesz marudzić.

– Bez paniki. Linie wojskowe i rządowe są chronione, możesz być spokojny. Podobnie jak bazy danych największych firm. Od dawna liczymy się z taką ewentualnością. Wysiądzie część niechronionej cywilnej sieci i serwery tych instytucji, które oszczędzały na zabezpieczeniach. Czyli jakieś dziewięćdziesiąt dwa procent wszystkich w kraju.

– W twoich ustach apokalipsa wygląda jak świąteczny piknik.

– Poza tym nie wiemy, na ile jest to skuteczne.

– Czy ktokolwiek testował taką broń?

– Owszem, my oraz Izrael.

– I co?

– Początki były obiecujące. Podstawy teoretyczne znamy od dawna, trudniej przekuć tę wiedzę w naprawdę skuteczny oręż.

– Nie obawiasz się, że ktoś oprócz Rosjan dysponuje podobnymi gadżetami? Dajmy na to Pekin lub Teheran?

– Technologicznie Iran to trzecia liga, ale Chińczycy... być może – odparł generał, próbując zachować jasność umysłu.

– Nie chcę was ponaglać, ale musicie już iść. – Przypomnienie Ashley dotarło do Gary’ego w samą porę. Krótki spacer pozwoli odegnać senność.

Powlekli się na spotkanie z prezydentem jak para starych dziadków.

Pokój, w którym się znaleźli, stanowił połączenie dwóch lub trzech osobnych w Waszyngtonie –

biurko, fotele, orzeł na ścianie i skrzyżowane flagi za plecami Baracka Obamy do złudzenia przypominały Gabinet Ovalny, natomiast rzędy monitorów na ścianach i długi stół dla zebranych pozwalały się czuć jak w Pokoju Dowodzenia lub Pokoju Gabinetowym. Brakowało jedynie słonecznego światła. Z mizernym skutkiem zastępowały je świetlówki pod sufitem. Szef rządu i naczelny wódz nie był sam. Sekretarze obrony i stanu prowadzili rozmowę przyciszonymi głosami.

Wchodzący przystanęli przy drzwiach.

– Dobrze, że jesteście. – Barack Obama skinął na nich, by podeszli bliżej.

W pomieszczeniu panowało napięcie jak w elektrycznym gniazdku. Zanościło się też na snopy iskiei, gdy tylko rozpoczną się dyskusje.

Wilson usiadł sztywno, jak przystało na wojskowego. Gary był bardziej nonszalancki. Uwielbiał taką atmosferę. Fluidy władzy przenikały wszystko i wszystkich. Bywało, że decyzje podejmowali po wielu dniach narad, starannie wypracowując stanowisko oraz biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw. Tym razem znaleźli się pod presją, na dodatek dysponując przeraźliwie niewielką wiedzą na tak ważny temat.

Zdaniem Gary'ego brakowało paru osób. Nikt nie reprezentował NSA, DIA czy CIA. Już chciał o to zapytać, gdy w drzwiach stanął dyrektor FBI James Comey, poprawiając rękawy koszuli. Wyglądał na lekko zdyszanego, a może tylko tak się zdawało Gary'emu.

– Chyba jesteśmy w komplecie – zagał Chuck Hagel, wskazując Comeyowi miejsce obok siebie.

– Wszyscy wiemy, po co się tu zebraliśmy. – Prezydent nie czekał ani sekundy dłużej. – Panowie, oczekuję konstruktywnych wypowiedzi. Wasze osobiste animozje mnie nie interesują. Stoimy w obliczu katastrofy na niewyobrażalną skalę. Musicie mieć tego świadomość.

– Zapewniam, sir, że od początku konfliktu jesteśmy w stanie podwyższonej gotowości – oświadczył Comey pewnym głosem. – Robimy wszystko, co w naszej mocy. Skierowałem wszystkich agentów do tej konkretnej sprawy. Pozostałe agencje – od ATF po policje stanowe – również zostały poinformowane o zagrożeniu, tyle że nie bardzo wiadomo, czego szukać. Obszarem śledztwa objęliśmy cały kraj oraz Meksyk i Kanadę.

– Czy służby specjalne tych krajów są z nami w stałym kontakcie? – zapytał sekretarz stanu.

– Staramy się unikać rozgłosu. Wyobrażają sobie panowie tę panikę, jaka wybuchnie na wieść o tym, co nas może spotkać? Większość obywateli przestanie myśleć racjonalnie. Zagrożone są wszystkie duże miasta, w których mieszka połowa populacji. Część na pewno będzie chciała uciec. Dotyczy to głównie białych. Afroamerykanie, Latynosi oraz Azjaci najprawdopodobniej zostaną. Nie mają dokąd wyjechać. W tej sytuacji dojdzie do plądrowania zamożniejszych dzielnic. Mniejsze ośrodki łatwiej kontrolować, choć nie dają gwarancji, że spokój tam się utrzyma. Grozi nam rozpad więzi społecznych. Nigdzie nie będzie bezpiecznie. Wstępne szacunki dotyczące strat w gospodarce mówią o bilionach dolarów.

– Prognozy wyglądają fatalnie – powiedział Gary po chwili ciszy. – Naprawdę nie możemy zrobić nic, by zminimalizować straty?

– Agencja Zarządzania Kryzysowego już działa na najwyższych obrotach – odparł Chuck Hagel.

– Rozumiem, ale wkrótce przyjdzie im działać pod jeszcze większą presją. Niepokoi mnie co innego. – Gary pozwolił sobie na małą dygresję. – Moim zdaniem wprowadzenie do śledztwa wszystkich czy choćby większości agencji federalnych zajmujących się bezpieczeństwem niepotrzebnie wywoła dodatkowy chaos. Sprawa zacznie żyć własnym życiem. Zbyt wielu ludzi i nakładających się na siebie kompetencji.

– Co radzisz? – Barack Obama zachowywał daleko idącą powściągliwość.

– Ile mamy potencjalnych tropów? – Craig skierował pytanie do Comeya.

Dyrektor skrzywił się.

– Ani jednego. Dosłownie brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Poruszamy się w kompletnej pustce. Najlepsi ludzie siedzą nad przystanym materiałem. Pierwszych wyników spodziewamy się w ciągu trzech godzin.

– Czy mogę coś radzić? – Wilson odezwał się po raz pierwszy od początku spotkania.

– Słuchamy.

– Sir, podobnie jak dyrektor Comey, ja również poprosiłem zespoły badawcze należące do Pentagonu o przeanalizowanie przyszłej akcji. Wszyscy są zgodni co do jednego: to musi mieć coś wspólnego z lotnictwem. Ładunek nie detonuje na powierzchni Ziemi. Pamiętacie, panowie, Moskwę. Tam do eksplozji doszło na wysokości dwudziestu kilometrów. Tym razem będzie podobnie, a co za tym idzie, radzę sprawdzić wszystkie porty lotnicze i samoloty znajdujące na naszym terytorium, jak i te pozostające w przestrzeni powietrznej. To trudne, ale wykonalne.

Prezydent zgodził się z Wilsonem.

– To pierwszy etap. Kolejny jest znacznie łatwiejszy. – Generał mówił równo i wyraźnie. – Do podobnego kroku skłonimy Kanadę i Meksyk, a wszelkie samoloty z Kuby proponuję zestrzeliwać.

– A samoloty rejsowe?

– Uziemić.

– Kuba jest suwerennym państwem, tak samo jak Meksyk. Co niby możemy im kazać? – zgłosił obiekcje Hagel.

– Możemy zagrozić wszystkimi możliwymi konsekwencjami. Niech po prostu zrobią to, o co ich poprosimy. Mówię, oczywiście, o Meksyku. To również w ich interesie. Z Hawaną sprawa jest jeszcze prostsza. Jako sojusznik Federacji Rosyjskiej jest naszym wrogiem. Profilaktycznie możemy zniszczyć im porty i lotniska. Nie ma tego szczególnie dużo, wystarczy, jak będziemy operować z Guantanamo i Florydy. Nawet przy totalnym zaangażowaniu w Europie jesteśmy w stanie tego dokonać w przeciągu sześciu godzin. Po pierwsze, odsuniemy niebezpieczeństwo przeprowadzenia ataku z południowego kierunku, i to zarówno ataku omawianego w tym momencie, jak i powietrznego napadu na konwoje podążające przez Zatokę Meksykańską na Atlantyk. To znacznie poprawi nasze bezpieczeństwo. Kuba przestanie być schronieniem dla rosyjskich okrętów i samolotów, które łatwo mogą nam zagrozić.

– Na ścisłą blokadę nie wystarczy środków. – Gary zastanawiał się nad propozycją.

– Dlatego też nie proponuję blokady, tylko atak.

– A jak się pomylimy?

– Oni już są naszym wrogiem, od jakichś pięćdziesięciu kilku lat.

– Mamy na karku Rosję i Chiny. Chce pan robić porządki na Kubie?

– Wiemy, gdzie aktualnie przebywają bracia Castro. Jeden manewrujący Tomahawk i po krzyku.

– Będzie jak w Libii – ostrzegł John Kerry.

– Raczej w Syrii, sir, znając latynoski temperament. Miami już wrze. Dawni i nowi przeciwnicy reżimu już szykują kolejną inwazję. – Dyrektor FBI posiadał w tej sprawie doskonałe rozeznanie. – Emigranci zaczynają tworzyć własną flotę.

– Żeby nie skończyło się drugą Zatoką Świń – mruknął Gary, lecz zaraz umilkł, widząc kwaśną minę prezydenta. Wtedy chwiejna postawa Johna Kennedy'ego pozwoliła komunistom wybić desantującą się brygadę.

– Jeżeli uzyskamy choć cień dowodu na udział w spisku Hawany, wtedy udzielę pozwolenia – zadeklarował Barack Obama. – Wcześniej nie chcę o tym słyszeć. W przypadku Meksyku i Kanady porozmawiam z przywódcami tych państw osobiście.

– Kanadyjczycy będą współpracować. To również w ich interesie. Oberwą odpryskami jak nic. Tu mamy jasność. Problem leży na południu. Tam wszyscy są tak koszmarnie skorumpowani, że bez obecności naszych agentów nie ręcą za sukces. Wystarczy, że Rosjanie dogadaliby się z jakimś kartelem – Nowymi Templariuszami czy dezertkami z meksykańskich sił specjalnych. John, jak ten gang się nazywa?

– Zetas.

– Właśnie. Wykorzystanie możliwości kartelu wydaje się prawdopodobne. Mają know how:

przerzucają do nas setki ton narkotyków rocznie. Co im szkodzi zrobić małą przystugę. – Gary wyglądał na zadowolonego z własnej dedukcji.

– Zepsują sobie rynek. – Comey pozostał sceptyczny. – Spadną obroty, w konsekwencji przestaną zarabiać. Moim zdaniem nie pójda na takie ryzyko.

– Nie muszą wiedzieć o szczegółach.

– Ja również uważam, że w ich interesie jest utrzymanie obecnego stanu rzeczy. – Kerry zgodził się z dyrektorem. – Co oczywiście nie oznacza naszej bezczynności. Postarajmy się przekopać wszystko w pasie nadgranicznym.

– Wielu ludziom to się nie spodoba. Nasze poszukiwania odbiorą jako wypowiedzenie wojny. W konsekwencji w potyczkach z bojówkami karteli padną dziesiątki naszych agentów. – Comey czuł się odpowiedzialny za swoich ludzi. – Błędem jest uznanie ich za bandy niepiśmiennych wieśniaków, siedzących w dżungli i popalających skręty.

– Mam tego świadomość – wtrącił Wilson. – Jestem jednak przekonany, że przy wsparciu tamtejszych służb i wojska damy radę.

– Proszę tak zrobić – cicho powiedział prezydent, definitywnie kończąc ten wątek.

– Kolejny problem to organizacja Skokowa. Wydaje się, że mają kluczowe znaczenie dla prowadzonych przeciwko nam działań... niekonwencjonalnych. – Gary przeszedł do następnego zagadnienia. – Na razie zajmują budynek w Sankt Petersburgu przy Prospekcie Moskiewskim. Mówię „na razie”, bo w ciągu paru godzin większość tam zatrudnionych może znaleźć się w zupełnie innym miejscu.

– Duży ten gmach? – zapytał przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

– Średni, parę kondygnacji. Może jakieś podziemia. Pilnie strzeżony.

– To mamy problem.

– Zależy, jak podejść do tematu.

– Środek wielkiego miasta. Komandosów tam nie pošlemy, by wystrzelali towarzystwo. – Hagel zachodził w głowę, co też wymyślił prezydencki doradca.

– Własne ekipy ma tam CIA i bodaj marynarka – usłyszał w odpowiedzi. – Tyle że bez ciężkiego wsparcia niewiele zdołają. W mieście jest sporo wojska i OMON-u, co w zasadzie przesądza sprawę. Piesze przedarcie się uważam za niemożliwe. Ten wariant możemy odrzucić na wstępie.

– Co w takim razie pozostaje?

– Coś wymyślimy.

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 25 maja, godzina 21:18

Do Dmitrija dotarła jedna, za to ważna informacja: uciekaj.

Radosne dzwonki w duszy momentalnie zagłuszyła twarda rzeczywistość: był więźniem. Nie mógł ot, tak sobie wyjść frontowymi drzwiami, by na chwilę wpaść do domu. Zresztą w holu i tak kłębiła się pierwsza grupa ewakuowanych specjalistów ośrodka. Ci przepychali się, krzyczeli i śmiali jak uczniacy na pierwszej szkolnej wycieczce. Każdy z nich uważał się za geniusza, co zresztą nie odbiegało od prawdy, i jako takiemu wydawało mu się, że ma prawo do lepszego traktowania. Pewien porządek próbowali zaprowadzić oficerowie przystani przez Skokowa, prośbą i groźbą pacyfikujący rozjątrzoną grupę.

Autokar z przyciemnionymi szybami, wymalowany na biało, z logo nieistniejącej firmy podjechał z parogodzinnym opóźnieniem. Odczytano listę. Pierwsi szczęśliwcy wyszli z gmachu. Kolejne parę minut na zajęcie miejsc i ponowne przeliczenie wszystkich wyjeżdżających. Ochrona zaczynała tracić cierpliwość i wyrażać swoje niezadowolenie szturchańcami i przekleństwami. W końcu kierowca zatrąbił i pojazd skierował się w stronę głównej ulicy.

Na wszelki wypadek Skokow nie puścił ich samych. Czerech agentów w czarnej Toyocie Hilux stanowiło gwarancję, że dotrą do celu cało i zdrowo.



Jeszcze przez chwilę pokontemplował wspomnienie odjeżdżających i wrócił do siebie. Na piętrach zrobiło się znacznie spokojniej. Na razie nikt nie szalał, następna tura nie ruszy szybciej niż za jakieś trzy godziny. Kolejny autokar miał być większy, podobno siedemdziesięcioosobowy. Ponoć też był już w drodze, tyle że w ostatniej chwili próbowali go przejąć pracownicy FSB. Skokow pojechał interweniować osobiście i nikt nie spodziewał się ujrzeć generała przed północą.

Dmitrij przestał już bać się nadzoru, po prostu sprawdził, czy ma jakąś nową wiadomość, lecz nic nie znalazł. Poczł rozczarowanie. Właśnie dotarło do niego, że został sam. Zupełnie sam. Bez pomocy z zewnątrz. Musi uciec stąd, dopiero wówczas otrzyma wsparcie. Napisał, gdzie mają na niego czekać: dwie ulice dalej, bliżej pewnie nie podejda, i wysłał. Minutę później otrzymał potwierdzenie. Dobre i to.

Dziwnie się to wszystko potoczyło. Dla niego stanowczo za szybko. Jeszcze trochę, a stres da o sobie znać w najmniej spodziewanej chwili. Myśli zesły na Olgę. Nie widział jej w grupie odjeżdżających, więc pewnie siedzi przy kompie piętro niżej i stara się rozwikłać kolejną łamigłówkę bądź szykuje niespodziankę dla Amerykanów. Pokusa, by powiedzieć jej o wszystkim, była ogromna. Wyglądała na taką, co potrafi dochować tajemnicy. Zejdzie, porozmawia i razem prysną przez kotłownię czy jakoś tak.

– Jak na kogoś z wyrokiem masz wyjątkowo zadowoloną minę. – Fadij cisnął na biurko stertę segregatorów. W centrum komputerowym taka ilość makulatury wyglądała wręcz absurdalnie. – Wrzuć to do niszcarki – wyspał. – Potem przyniosę więcej. Za godzinę nie chcę widzieć ani jednego papierka – wyszczerzył się złośliwie.

Jeżeli ma spełnić polecenie, musi zacząć natychmiast. Sprawdził czas – 21:48. Szybko stąd nie wyjdzie.

•

Większość mieszkańców nic sobie nie robiła z godziny policyjnej. Kolejne, coraz potężniejsze fale paniki zalewały poszczególne dzielnice. Niemal pewne było, że Petersburg stanie się miastem frontowym, więc lepiej uciec zawczasu, niż narażać się na bomby i głód. Najstarsi pamiętali jeszcze jedno i drugie. Historia zatoczyła koło, znów pukając do bram z żądaniem krwawej daniny. Panikę dodatkowo podsycaly kreślone na czarnym niebie różnokolorowe serie broni przeciwlotniczej i jęk syren. Dopiero co przez pomyłkę ostrzelano własny samolot. Maszyna spadła niedaleko Ermitażu, nieznacznie uszkadzając jedno skrzydło tej szacownej budowli. Więcej nie było trzeba. Po wielu dniach narastania napięcia, strachu i niepewności to wystarczyło, aby ci, którzy myśleli, że wojna jest niedaleko, poderwali się do ucieczki. W ciągu dziesięciu minut ulice wypełniły się uciekinierami. Ani OMON, ani wojsko nie potrafiły spacyfikować tłumów.

Było dobrze po dwudziestej trzeciej, kiedy dotarł na umówione miejsce. Rozejrzał się, usiłując dostrzec Dmitrija, lecz pośród przewalającej się masy nie wyłowił nikogo podobnego posturą do hakera. Zaklął siarczyście. Spóźnił się, ale szybciej się nie dało. Lawirował mniej uczęszczanymi ulicami, żeby ominąć punkty kontrolne. Niekiedy biegł, niekiedy przemykał chyłkiem i wyszło, jak wyszło.

Cofnął się o krok, by przepuścić pędzącą na łeb, na szyję rodzinę, inaczej by go stratowali. Zaraz też musiał skryć się bardziej w mroku, gdy z kłopotem gąsienic przejechał ulicą BMP-2. Kierowca nic sobie nie robił z zaparkowanych samochodów, a wręcz specjalnie tak manewrował, że ocierał się o nie burtami wozu. Siedzący na pancerzu żołnierze zdawali się czerpać sporą radochę z takiej jazdy. Gdy w końcu zniknęli za rogiem, jezdnię pokrywało szkło i fragmenty karoserii. Szkoda, że nie zabrał ze sobą Nortona. Takie zdjęcia na pewno zrobiłyby furorę.

Od miejsca, gdzie pracował Dmitrij, dzieliło Andrzeja siedemset metrów. Czekać czy spróbować podejść – na takie pytanie nie znalazł odpowiedzi. Jeśli wyjdzie mu na spotkanie, mogą się rozminąć.

Wyciągnął iPada. Kciukiem wystukał ponaglenie i zaczął niecierpliwie czekać na jakiś odzew.

•

Kartka za kartką dokumentacja znikła pomiędzy wirującymi nożami. Ścinki opadały wprost na podłogę, zaścielając ją coraz grubszą warstwą papieru. Nie było sensu wstawiać pojemnika na nie, ten bałagan nikomu już nie będzie przeszkadzał. Za pięć minut północ. Ile to jeszcze potrwa?

Po trwającym parę godzin locie każdy ma prawo czuć zmęczenie, a zwłaszcza ktoś w jego wieku. Czterdziestopięcioletni podpułkownik Gideon Reed napiął mięśnie nóg i przekrzywił głowę w bok, aż zabolalo. Przez całe zawodowe życie, czyli ponad dwadzieścia pięć lat, służył w lotnictwie strategicznym. Niewielu było czynnych pilotów z jego doświadczeniem. Co prawda wszyscy obsługujący B-2 Spirit należeli do elity, ale to wyjątkowe zadanie powierzono właśnie jemu. Właściwie dorzucono kolejne, bo pierwotnym celem była brygada raketowa pod Kozielskiem. O zmianie dowiedział się już w powietrzu i wciąż nie miał pojęcia, dlaczego jakiś budynek w Petersburgu jest ważniejszy od jednostki pocisków balistycznych. Domyślał się względów natury politycznej.

– Minuta do celu. – Wydawało mu się, że drugi pilot delikatnie ziewnął. Jego twarz skrywała maska tlenowa, więc niewiele dawało się dostrzec.

Gideon sprawdził wskaźniki. B-2 przemierzał niebo z prędkością czterystu węzłów. Czarna jak noc powłoka pochłaniała fale radarowe, a specjalnie wyprofilowane krawędzie bombowca pozostawiały na ekranach systemów przeciwlotniczych ślad mniejszy niż przelatujący gołąb. W całej USAF znajdowało się tylko dwadzieścia takich maszyn, a koszt każdej z nich przekraczał dwa miliardy dolarów. Żadne inne państwo nie dysponowało czymś nawet zbliżonym. Niewidzialny dla wroga, przenikał przez systemy obronne jak duch i jak demon niszczył obiekty o strategicznym znaczeniu.

– Drzwi luku bombowego.

– Otwieram.

Po raz kolejny w swojej karierze wydawał rozkazy, które w konsekwencji przyniosą śmierć setkom ludzi. Nawet jeżeli nachodziły Gideona wątpliwości, umiał szybko przejść nad tym do porządku. Nie widział ofiar, to oczywiste, lecz nie sądził, by zasługiwały na życie. O przypadkowych poszkodowanych nie myślał. Cudze ryzyko miał wpisane w zawód.

Tak zwana broń precyzyjna to jedynie słowo wytrych mające uspokoić tych mniej zorientowanych w materii. Brzmiało też lepiej od bombardowania dywanowego, którym to określeniem z lubością szafowali dziennikarze. Minimalizowano postronne ofiary – tego nikt nie podważał. Lepiej zniszczyć jeden kwartał ulic, niż wyburzyć całą dzielnicę. Wszędzie trafiali się postronni i nic z tym nie dawało się zrobić. Gdy zrzucił ładunek na bazę sił powietrznych Asada pod Damaszkiem, miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Jakim trzeba być sukinsynem, by masakrować własnych rodaków? Czy tym pilotom wydawało się, że pozostaną bezkarni? Przynajmniej skonali lekką śmiercią, w przeciwieństwie do ich ofiar – trutych sarinem i konających w gruzowiskach własnych domów.

– Wskaźnik?

– Zielony.

W trzewiach samolotu obrócił się rewolwerowy stelaż na uzbrojenie. Wybrana rakietka znalazła się nad prostokątem otwartego luku. W sumie Gideon dysponował dwudziestoma dwiema tonami uzbrojenia. Czymś na każdą okazję. Bomba szybująca AGM-154 JSOW była zdolna dolecieć do celu odległego o siedemdziesiąt kilometrów i zburzyć każdą wolno stojącą budowlę. Reed uznał, że to zupełnie wystarczy.

– Procedura konwencjonalna – powiedział drugi pilot.

Teraz należało wykonać instrukcję przewidzianą do tego typu ataku.

– Blokada obwodu?

– Wyłączona.

– Wskaźnik odpalania?

– Jest.

Na tablicy broni zajaśniał odpowiedni punkt.

– Zrzut.

Pora się zmywać. To, że byli niewidzialni, nie znaczyło, że nieśmiertelni. Pilot F-117 wykonujący lot nad Serbią w 1999 roku zapewne zapomniał o tej różnicy. Wystarczyła zmodernizowana przez wojskowego inżyniera stara rakietą typu S-125 (SA-3), by uświadomić mu ten błąd. Jak do tej pory USAF straciła jedną niewidzialną maszynę w trakcie walki. Gideon nie chciał powiększać tej statystyki o sto procent.

– Zjeżdżamy.

To było proste. Ciekawe, czy nad Kozielskiem będzie podobnie.

•

Nagły impuls poderwał Dmitrija. Co on tu jeszcze robi? Rzucił stos dokumentów na podłogę i pogalopował schodami na dół. Było mu wszystko jedno. Zbiegał po dwa stopnie, gnając na złamanie karku. Już widział wyjście, gdy ujrzał Skokowa wkraczającego w asyście ochrony do wnętrza gmachu. Przystanął, dysząc, i czekał, aż znikną w windzie. W pewnej chwili na dole zrobiło się zupełnie pusto. Teraz.

•

Wirski przygryzł wargę. Każda kolejna chwila dłużyła się niemiłosiernie. Zamrugął oczami, gdy nocne ciemności rozdarł grzmot i błysk. Zwarta śródmiejska zabudowa nie pozwalała dostrzec, co znajduje się dalej, lecz i tak nie miało to znaczenia. Stało się to, czego bał się najbardziej – zagrożenie okazało realne, a dalsza zwłoka równała się katastrofie. Należało coś z tym zrobić. Natychmiast.

Uderzenie z powietrza zaskoczyło go. Mniej więcej wiedział, czego się spodziewać, ale i tak nalot go przeraził. W sekundę unicestwiono setki ludzi, a nie chodziło tylko o pracowników biurowca.

Chryste.

Gorący podmuch przeniknął Wirskiego. Poleciał na plecy, tylko odruchowo starając się osłonić głowę. Pomyślał, że to koniec, lecz szybko zdał sobie sprawę, że przecież miał szczęście. Uderzenie, choć potężne, w znacznej mierze zostało zaabsorbowane przez znajdujące się w pobliżu budynki. Co prawda ogłuchł, ale to akurat przejdzie.

Zamrugął powiekami, żeby pozbyć się kurzu z oczu, przetoczył się na brzuch i podciągnął do góry. Spojrzał za siebie, nie do końca pewny, co widzi. Ponad budynkami jaśniał blask pożaru. Znał Amerykanów, więc nie miał złudzeń: robotę wykonali wzorcowo i nikt nie miał prawa przeżyć. Konstrukcja uległa destrukcji od dachu aż po same fundamenty. Oprócz nieforemnych brył betonu nie pozostało nic. O ludziach nie warto wspominać. Zmienili się w proch – tak jakby nigdy nie istnieli.

•

O tej porze w maju jest już zupełnie jasno. Każdy w grupie wolałby tego uniknąć, zwłaszcza Lafayette, ale nie mieli wyboru.

On, pięciu jego ludzi i dwóch pracowników CIA, pełniących w tym przypadku rolę przewodników, wyruszyli z konspiracyjnego lokalu niedługo po Wirskim. Z Polakiem u boku porucznik czułby się pewniej, niemniej tamten miał inne priorytety. Komandos nie do końca rozumiał, co zaszło pomiędzy nim a Jeffem, w dodatku – choć sercem stał po stronie sojusznika – to rozkazy były nieubłagane. Jak zacznie zastanawiać się nad słusznością swoich wyborów, od razu może przejść na emeryturę. Nawet jeśli obecne zadanie należało do tych, których wolałby nigdy się nie podejmować.

Mundury zrzucili już dawno. Cywilne ciuchy upodobały im do bandy obszarpańców. Dla CIA może to i norma, lecz żołnierzom niezbyt to się podobało. Dobrze chociaż, że Harry i Huger wiedzą, co robić. Obaj wyglądali i zachowywali się tak, jakby urodzili się w Rosji, a nie w Stanach. Skąd

agencja wystraszyła tych ludzi? Może z rysztoła, bo czy są jego rodakami, tego porucznik nie był pewny. Nieważne. Kij im w oko. Lepiej będzie, jak sprostają zadaniu, inaczej z radością pourywa im to i owo.

Podręczną szosą pomiędzy podmiejskimi zabudowaniami ciągnęły samochody, może nie jeden za drugim, niemniej ruch był spory. Wojska nie było widać, co na tak podręcznym szlaku nie dziwiło, lecz trochę łagodziło napięcie w grupie. Wystarczy jeden BTR i drużyna piechoty, a będzie po nich.

Biała łada przemknęła obok niczym wóz rajdowy. Za nią powlókł się zdezelowany Mercedes. Na oko porucznika – produkcja z lat osiemdziesiątych.

Lafayett wyjrzał niecierpliwie zza sterty gruzu porośniętej chwastami. Dobrze wiedział, że to irracjonalne. Informacje i tak otrzyma z wyprzedzeniem. Przy okazji upewnił się, czy suwak kurtki, pod którą ukrył automat, się nie zacina. Wszystko gra, tylko czekać.

Kątem oka dostrzegł kiwającego doń Huga'a. Cofnął się w cień. Wszystko tak, jak przedstawiono na odprawie: Toyota i autokar. Dreszcz przeszedł po plecach Lafayetta. Ktoś splunął, a ktoś nerwowo zakaszał. Zdaje się, że każdy chciał mieć to jak najszybciej za sobą.

Harry i Huga rozłożyli przeciwpancerne granatniki M72 LAW. Do walki z nowoczesną bronią pancerną już się nie nadawały, ale cienką blachę rozerwą bez problemu.

Na początek Hilux ochrony, cała reszta to egzekucja. Fuck. Egzekucja. Zrobili z nich pieprzone Einsatzkommando. Poszatkują niewinnych ludzi.

Otrzeźwienie przyszło natychmiast. Tu nikt nie był bez winy.

Skryty za pryzmą przyklęknął na prawe kolano. Cała reszta czekała na pozycjach. Rozpiął zamek i położył dłoń na gumowej rękojeści HK-53. Szybciej.

Wozy nadszedły, lecz nie tak prędko, jak się spodziewał. W końcu wizg odpalanej rakiety obwieścił początek akcji. Terenówka podskoczyła, a przez rozbite okna buchnęły płomienie. Akurat tych drani w środku nie żałował. Oparł policzek o rozkładaną kolbę i wzmocnił uchwyt. Walił równymi seriami w Toyotę, aż wyczerpał wszystkie naboje. Nie zmieniając pozycji, lewą ręką zmienił magazynek, przeładował i przeniósł lufę na znacznie większy obiekt.

Drugi z raketowych pocisków uderzył w środkowe drzwi autokaru. Parotonowy olbrzym nie zatrzymał się od razu, tylko siłą rozpędu uderzył przodem w stojący przed nim samochód. Przez rozbite okna na zewnątrz uciekali cywile. Kolorowe postacie starały się wydostać z tego kawałka piekła, w jakie zmienił się turystyczny pojazd. Nikt z pasażerów nie posiadał broni. Zresztą prawie żaden nie myślał o walce, dopiero roznoszone na strzępy sylwetki kolegów uzmysłowiły niektórym, że ktoś dokonuje na nich masakry.

W Lafayecie zaczynało budzić się sumienie. Za każdym razem, gdy naciskał spust, czuł opór – głównie własnej woli. Po to zaciągnął się do marynarki, by zabijać bezbronnych?

Natężenie ognia osiągnęło apogeum. Autobus podskakiwał jak żywy. W karoserii było więcej dziur niż gładkich powierzchni. W końcu kanonada ucichła. Swądu palonych tworzyw i prochu nie dawało się wytrzymać. Mdłości wzbierały w gardle porucznika nie tylko z powodu zapachu. Tego, co po sobie zostawili, nie zapomni do końca życia. W stosunku do własnej osoby czuł jedynie wstręt i pogardę.

– Odwrót – rzucił przez ramię.

Lepiej, jeśli podwładni nie dostrzegą słabości. Jeżeli załamie się na samym początku, podważy zaufanie do siebie. Niech szlag trafi CIA i ich metody.

CZĘŚĆ DRUGA  
GODZINA DUCHÓW

ROZDZIAŁ PIERWSZY  
TAJNY KOMPLEKS DOWODZENIA NIEDALEKO MOSKWY  
– FEDERACJA ROSYJSKA | 25 maja, godzina 08:57

Sztuczne oświetlenie drażniło Władimira Władimirowicza Putina. Korytarze tajnego ośrodka wydawały się ciągnąć na przestrzeni wielu kilometrów i wszędzie świeciły jarzeniówki powodujące swędzenie spojówek. A może to przez drobinki kurzu unoszące się w powietrzu? Centrum wybudowano jeszcze w latach siedemdziesiątych i mniej więcej co dekadę dokonywano w nim poważnych modyfikacji. Wszystko zgodnie z najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie systemów dowodzenia i łączności, niemniej zdarzały się starocie pamiętające czasy Breżniewa. Dotyczyło to głównie wyposażenia biurowego – szaf, biurek i krzeseł, których lakierowane na wysoki połysk powierzchnie wciąż dawało się dostrzec w mniej istotnych pomieszczeniach kompleksu.

Prezydent kichnął w dłoń raz i drugi, wytarł palce chusteczką i przejechał nią po nosie. Szybciej wykończy go alergią niż sprzymierzeni.

Minister obrony generał armii Siergiej Kużugietowicz Szojgu w rozpiętej mundurowej kurtce przyglądał się prezydentowi wzrokiem wiernego psa.

– Mówcie, mówcie, przecież słucham.

– W ciągu ostatniej doby sytuacja naszych wojsk uległa dalszemu pogorszeniu. Lotnictwo wroga rozpoczęło punktowe naloty na cele znajdujące się na całym terytorium naszego państwa.

– To ciekawe...

Szojgu chrząknął. To tylko przytyk czy już nagana?

– Zestrzeliliśmy jeden B-1B w okolicach Mohylewa.

– Gratulacje.

– To bardziej przypadek – odpowiedział zaskoczony minister. – Podziękowania należą się naszym białoruskim kolegom. Sukces trzeba zapisać na ich konto. Maszyna leciała prawdopodobnie w stronę Woroneża.

– Co tam mamy?

– 5 Samodzielną Jednostkę Dalekiego Rozpoznania w składzie szesnastu An-30. Możliwe, że chodziło o nich.

– Czyli dywizjon ocalał?

– Niezupełnie – zająknął się Szojgu. – Oczywiście, część samolotów wycofaliśmy już wcześniej, ale baza jest ważnym punktem obrony powietrznej i pewnie dlatego Amerykanie tak usilnie próbowali ją zniszczyć. – Minister już nie spoglądał na Putina, tylko wpatrywał się w blat przed sobą. – Ponieważ nie wykryliśmy kolejnej maszyny, sądzimy, że następnego podejścia dokonał B-2. Użyto ładunków paliwowo-powietrznych. Straty są ogromne, podobnie jak w Kozielsku, Pskowie i Siewieromorsku. Zresztą z tym rejonem już możemy się pożegnać. Ostatni meldunek ze sztabu Floty Północnej otrzymaliśmy przedwczoraj. Admirał Lipatow od tamtej pory nie dał znaku życia. Moim zdaniem poległ na posterunku. Straciliśmy Murmańsk...

– Najpierw Amderma, a teraz też i to.

– Pentagon dąży do połączenia tych punktów. Zostaliśmy wykurzeni z Morza Barentsa, Białego i Karskiego. Do sześćdziesiątego piątego równoleżnika niewiele mamy do powiedzenia – smutno podsumował Szojgu.

Prezydent też smętnie kiwnął głową.

– Jednocześnie zwiększają nacisk na froncie w kierunku na Petersburg. 3 Dywizja Piechoty jak na razie pokonała około czterdzieści kilometrów przy niewielkim oporze z naszej strony. Nasze najlepsze jednostki koncentrujemy w okolicach miasta. – Minister pośpieszył z wyjaśnieniami, uprzedzając pytanie przełożonego. Nie chciał dodawać, że większość z nich została zdziesiątkowana we wcześniejszych bojach. – Jak na razie Finowie zachowują bierną postawę, więc z ich strony nie

spodziewamy się zagrożenia.

– Po co Amerykanom Petersburg?

– Nie wiem. Być może chcą tam ustanowić podległe sobie władze. – Szojgu zmarszczył brwi. – Drugie pod względem wielkości miasto w kraju, z wyjściem na Bałtyk. Odcinają nas w ten sposób od zachodu i jednocześnie od północy, jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystko, co dzieje się pod Murmańskiem. Spychają nas tym samym w centralne rejony kraju. Jak do tej pory nie zaobserwowaliśmy żadnych przygotowań do operacji w kierunku Moskwy. Jak uważają nasi analitycy i co potwierdza wywiad, na taką akcję sprzymierzeni nie mają sił. Już próba zajęcia Petersburga pochłonie całą rezerwę, jaką dysponują. Wraz z dowództwem operacji specjalnych rozpoczęliśmy montowanie akcji dywersyjnych na ich zapleczu. Rozpętamy tam takie piekło...

Prezydent nie wyglądał na zainteresowanego. Jego myśli błądziły w zupełnie innych obszarach.

– Co z ewakuacją ludzi Skokowa?

– Z grupą wywiezioną w pierwszej kolejności straciliśmy kontakt. Dotyczy to również samego generała. Ekipy przetrząsające ruiny nie zidentyfikowały wielu poległych. Bez badań genetycznych się nie obejdzie.

Oczy Putina wydawały się szkliste.

– Możliwe, że zginęli wszyscy?

– Bierzemy pod uwagę i taką ewentualność – potwierdził Szojgu.

– Przeciwnik wytrąca nam coraz więcej atutów z rąk. Jak tak dalej pójdzie, zostaniemy z samymi blotkami.

– Jeżeli mogę...

– Słucham – niechętnie odpowiedział prezydent.

Minister zebrał myśli.

– Uważam, że sprzymierzeni popełnili błąd – powiedział powoli, nabierając odwagi wraz z kolejno wypowiedzianymi słowami. – Wiemy, co jest ich celem. Walki o miasto będą długie i krwawe. Amerykańska 3 Dywizja Piechoty oraz brytyjska 1 Pancerna ugrzęzną pod Petersburgiem. Wiemy, że Cooper ma mało rezerw. Sama 101 Powietrznodesantowa i brygada marines sprawy nie rozwiążą. Pozostaje całe słabe południowe skrzydło, czyli to wszystko, co rozciąga się pomiędzy Pskowem a Jarosławiem. – Dłonie ministra zakreśliły rejon w powietrzu. – Nie mogą być wszędzie jednakowo silni, to po prostu niemożliwe. Siły osłaniające główne zgrupowanie z tego kierunku są słabe, składają się głównie z jednostek polskich, dodatkowo bardzo rozciągniętych. Operacja Coopera ma oczywiście szanse powodzenia, ale pod warunkiem... – Szojgu uniósł palec – ...zdecydowanego działania, a co za tym idzie, prędkości. Każdy mijający dzień to wydłużenie linii zaopatrzeniowych i okupacja wciąż nowych terenów.

– Mamy odpowiednie siły do przeprowadzenia tej ofensywy?

– Nawet ograniczona operacja przyniesie skutek. Oddziały idące na skrzydłach poproszą o pomoc, a tym samym osłabi się nacisk na miasto.

– Jak szybko może do tego dojść?

– Za parę dni, nie wcześniej. Chodzi o jak najgłębsze wciągnięcie wroga w nasze terytorium. Im dalej, tym lepiej.

– Mam nadzieję, że tym razem się nie mylicie.

– Już rozpocząłem przegrupowanie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zgotujemy im niespodziankę. – Szojgu wyglądał na pewnego swoich racji.

Putin już nie przybierał swobodnych póz, jak to miał w zwyczaju, kiedy przed kryzysem prowadził spotkania i narady. Obecnie zachowywał daleko idącą powściągliwość.

Pomysł Szojgu nie był zły. Oczywiście parę razy propozycje ministra ostro rozminęły się z rzeczywistością, ale ogólnie wybór Tuwińca na szefa resortu obrony okazał się dobrym rozwiązaniem. Przynajmniej starał się być kreatywny, w przeciwieństwie do poprzedników zainteresowanych wyłącznie wypełnianiem własnego konta. Korupcja na wszystkich szczeblach

dowodzenia przechodziła wszelkie wyobrażenia. Oficerowie w komisjach brali w łapę za orzeczenie o niezdolności do służby wojskowej, dowódcy batalionów i pułków handlowali wszystkim, co się dało, ale prawdziwe pieniądze robili ludzie znajdujący się najbliżej ministra. Zamiast modernizować, dawali zarobić wytwórcom przestarzałego sprzętu. Zgryźliwie mówiono, że T-90 to siedemnasta modernizacja T-34. BMP-3 nie chronił w dostatecznym stopniu przed minami, a o nowych transporterach opancerzonych nie było co marzyć. W ogóle przyszłość stała pod znakiem zapytania.

Pamiętał doskonale, jak całkiem niedawno stał murem za syryjskim przywódcą. Na wszelkie propozycje dotyczące obalenia Asada odpowiadał niet. Nawet szczerą saudyjską propozycję kontrolowania światowego rynku paliw od razu odrzucił. O przyjaciół i sojuszników należy dbać. Wcześniej nie spodziewał się, że coś podobnego może przytrafić się i jemu, choć tak, Bogiem a prawdą, coś go ostrzegało przed takim rozwojem wypadków. Najgorsze, że nie bardzo potrafił wyobrazić sobie, co dalej. Dokąd ma uciekać? Kierunków pozostawało niewiele. Do tej pory to on gościł u siebie w bezpiecznym azylu tych wszystkich, którym powinna się noga. Głównie Serbów, choć nie brakowało też innych.

W ostateczności na przykład królestwo Saudów przyjmie każdego dysponującego odpowiednimi środkami, tyle że on nie widział siebie w roli emigranta dożywającego dni na dostatej emeryturze. Nie po tym, jak zakosztował niczym nieograniczonej władzy.

– Macie moją zgodę.

Wiedział, że należy działać. Bierność nie prowadziła do niczego dobrego, a tak być może pokrzyżuje plany sprzymierzonym. Szkoda Skokowa i tych jego pomysłów. Plan operacji „Czarne Słońce” dla niego samego ocierał się o scenariusz science fiction. Trochę zmienił opinię po pierwszych sukcesach hakerskich ataków na państwa zachodnie. Wbrew przewidywaniom Amerykanie nie okazali się tak odporni, jak można by się spodziewać.

Osobiście, z różnych względów, wołał tego planu nie wcielać w życie, odłożyć do szafy z napisem „Sekretno” i tam zostawić. Niemniej wykorzystanie takich projektów przewidywano właśnie na okoliczności takie jak obecne. Nie było sensu chować ich na dnie szuflady. Jeżeli mają pomóc, to teraz. Nie oni zaczęli. Jakby ktoś zapomniał – właśnie Rosjanie są ofiarami, a na nim jako przywódcy spoczywał obowiązek obrony narodu za wszelką cenę.

– Co na południu? – zapytał ministra.

– Ogólnie zarządziłem obronę na linii rzeki Kuma. Reszta Kaukazu na razie jest poza naszym zasięgiem.

– Zgładzenie Doku Umarowa ma priorytet równy obronie Petersburga – przypomniał Putin grobowym głosem.

– Pamiętam. Kilukrotnie montowaliśmy akcje odwetowe, jednak za każdym razem z podobnym skutkiem. Umarow przemieszcza się bardzo szybko, nie pozostając w jednym miejscu dłużej niż sześć godzin. Skutków ostatniego nalotu uniknął o włos, za to mocno poharataliśmy parę separatystycznych bojówek. Od samego początku ma mocne poparcie Turcji. Tu już nie chodzi o samych ochotników. – Ministrem zatrzęsło z oburzenia. – Przeciwno nam walczą regularne oddziały wyposażone w broń przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Nawet się z tym nie kryją. Przy granicy z Armenią zaobserwowaliśmy potężne zgrupowanie wojsk zmechanizowanych. Co najmniej cztery dywizje i brygady oraz oddziały wsparcia. Natężenie rozmów w eterze skłania do wniosku, że rozpoczną działania w przeciągu paru godzin.

– Poproszę Ławrowa, niech z nimi porozmawia. Może da się to jeszcze cofnąć.

– Panie prezydencie, oni już dawno przestali uważać nas za partnerów. Jak do tej pory kryli się za plecami jankesów i Brytyjczyków, a teraz – biorąc z nich przykład – sami przejdą do ataku. Roponośne pola Morza Kaspijskiego zawsze ich kusily.

Koncentrując uwagę na froncie zachodnim i północnym, Władimir Władimirowicz nie przywiązywał większej wagi do spraw południa. Tymczasem niespodziewanie Kaukaz wymknął mu się z rąk. Turcja to poważny przeciwnik, dysponujący w regionie wyraźną przewagą. Kilkaset



samolotów bojowych i jedne z największych sił lądowych. Dodać do tego ambicje regionalnego mocarstwa i przepis na nowy konflikt gotowy. Najgorsze, że nie dysponował niczym, co by mogło przyhamować muzułmanów. Na razie hamowali się sami, pytanie: dlaczego jeszcze nie zaatakowali? Czym kierowała się Ankara, wspierając rebelię, a jednocześnie nie przystępując oficjalnie do aneksji interesujących ją obszarów?

Zaraz potem przypomniał sobie o Japończykach wciąż siedzących na Dalekim Wschodzie.

– Władywostok? – W tym jednym słowie kryła się cała udręka, jaką obecnie odczuwał.

– Obecnie najdalej wysuniętym na wschód punktem Federacji jest Chabarowsk. Jak na razie kontrolujemy kolej transsyberyjską, choć osobiście uważam kurczowe trzymanie się poszczególnych punktów za błąd.

– Co w związku z tym?

– Proponuję przenieść wszystko do Irkucka. Skrócimy linie zaopatrzeniowe i umocnimy się w środkowej części Syberii. Mnie też boli oddanie naszych ziem bez walki, ale to jedyne rozwiązanie, jeżeli chcemy zachować siły do kontrofensywy na tym odcinku. Tak to wygląda z mojego punktu widzenia.

Przywódcę nagle rozboleła serce. Poczuł klucie tuż pod łopatką i zeszywniała mu lewa ręka. Za bardzo się tym wszystkim przejmował. Jeżeli nie przestanie, czeka go aparatura podtrzymująca życie: te wszystkie elektrody poprzypinane do klatki piersiowej, kostek i nadgarstków, kroplówki, rurki w nosie. Brrr! To równie koszarne, co słowa Szojgu. Ograniczy używki, do picia sama woda i mniej tłustego żarcia. Aspirynę rozrzedzającą krew już bierze. Może lepiej i tak udać się na badania? Niech lekarze zrobią, co trzeba, inaczej się wykończy, a tak za parę dni w pełni sił stanie przed nowymi wyzwaniem. Tu ponownie przypomniał sobie sprawę Skokowa. Bał się konsekwencji, a jednocześnie z niecierpliwością wypatrywał pierwszych symptomów powodzenia operacji. Gorzej już nie będzie. Przynajmniej im. Co go obchodzą ci głupi Amerykanie, sami się o to prosili.

Zmęczony spotkaniem, chciał odpocząć.

– Już ostatnia sprawa.

– Tak? – powiedział z niechęcią.

– W Kazachstanie...

– Co?

– No właśnie...

POŁUDNIOWY KAZACHSTAN | 26 maja, godzina 11:17

Li Jang przejechał dłonią po brodzie. Denerwowało go parę krótkich, jedwabistych włosków, które z niej wystawały. Od kiedy przed tygodniem opuścili Xining, jedno z najdalej na zachód wysuniętych miast Chińskiej Republiki Ludowej, tylko raz zdążył skorzystać z brzytwy, a było to już cztery dni temu. Od tamtej pory wciąż znajdowali się w drodze. W oczach swoich podkomendnych widział dumę. Robotniczo-chłopska armia udowodniała swą wartość, zajmując odwieczne chińskie ziemie, tylko niebywałym kaprysem losu zagarnięte przez barbarzyńskie koczownicze plemiona, prymitywnych pastuchów, którzy w najmniejszej mierze nie mogli się równać z jego wielkim narodem w rozwoju cywilizacyjnym. Tak słyszał na szkoleniu poprzedzającym marsz. Już mówiono o nim Nowy Wielki Marsz, wcale nie gorszy od tamtego historycznego, zarządzanego przez Drogiego Przywódcę.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jego kraj stanie się najpotężniejszym nie tylko w Azji, ale i na całym globie. Stany wykrawiały się w bezsensownej wojnie, a oni niewielkim wysiłkiem przyłączyli dawne prowincje. To była prawdziwa mądrość. Po co już teraz narażać się na tarcia, wiedząc, że i tak sprawa Arktyki i Syberii doprowadzi do kolejnej konfrontacji?

Sam Li Jang sporo czytał. Prosty żołnierzom pochodzącym z daleka wykładał oficera

politycznego może i wystarczały, ale on wiedział o świecie dużo więcej. Jeżeli Chiny miały funkcjonować i rozwijać się, należało zabezpieczyć niezbędne do tego surowce. Przewidujący Komitet Centralny i Biuro Polityczne sprawiły, że zamiast szarpać się z Japonią o Syberię, boczną furtką wkroczyli do Azji Centralnej, regionu słabo zaludnionego, lecz dysponującego sporymi zasobami. Na dodatek zabrakło siły mogącej ich przepędzić. Na wielu obszarach panował chaos. Wojska rządowe ścigały rebeliantów i na odwrót, a oni doskonale wiedzieli, jak radzić sobie z niepokornymi. Co znaczy tych parę milionów Kazachów, Uzbeków czy Turkmenów? W przeludnionych nadmorskich rejonach Chin przebywały dziesiątki milionów ludzi gotowych podjąć nowe wyzwanie. W ciągu paru lat zaleją wszystkie miasta, szybko zmieniając ich strukturę społeczną. Li Janga ciekawiło tylko, gdzie się zatrzymają. Stawiał na wybrzeże Morza Kaspijskiego, choć mógł się mylić. Być może nie ma potrzeby sięgać tak daleko. Sam pochodził z Guangzhou, na Zachodzie znanego jako Kanton. Prawdziwe wrota do Azji. Uwielbiał ten ruch i duszną podzwrotnikową atmosferę. Zrządzeniem losu znalazł się w armii, służąc głównie w garnizonach nad Morzem Południowochińskim. W głębi ducha marzył o dotarciu jak najdalej na zachód i zobaczeniu akwenu oddzielającego ich od Europy. Jak napisze do domu, nie uwierzą. Nikt z rodziny nie odbył tak dalekiej podróży, a on – jedyny syn państwa Li – proszę bardzo!

Granicę przekroczyli strategicznym szlakiem przez górskie przełęcze. Przed nimi aż po horyzont ciągnął się wypalony step. Płaska, szara równina mogła przyprawić o depresję, ale nie jego.

Po szosie jak nanizane na sznurek paciorki przemieszczały się ciężarówki i transportery opancerzone YW-531H. Wozy z nowym pustynnym kamuflażem gnały z pełną prędkością. Tu nie było zakrętów. Nigdy nie zapomni tych kilku ułusów i miasteczek z mieszkańcami rozdzielającymi usta w niemym zachwycie. Konie szarpały wodze, jedynie wielbłądy wydawały się obojętne na panujące zamieszanie.

Do celu pozostało pięćdziesiąt kilometrów. Wielkie pole wydobywcze na południu Kazachstanu już i tak tłoczyło gaz na wschód. Należało je tylko zabezpieczyć, w okolicy bowiem nie brakowało fanatycznych muzułmanów. Jak zaczną wysadzać zbiorniki gazu i całą infrastrukturę, wielu ludzi w dowództwie dywizji dostanie szafu. W konsekwencji zamiast nagród polecą upomnienia i nagany. Liczyła się każda godzina.

Jang przyglądał się mapie. Zbaczając prosto w step na ledwie widoczną ścieżkę przez niekończące się trawy, zyskają co najmniej półtorej godziny. Tyle że mapa swoje, a rzeczywistość lubiła płatać figle.

Jako dowódca plutonu posiadał ograniczone kompetencje. Co innego Lo Keng-mo, przełożony Li Janga. Podstawowa zasada głosiła, by się nie wychylać. Inicjatywa nie zawsze popłacała, a już szczególnie komuś, kto nie należał do partii, niemniej okazja sama pchała się w ręce. Jang sięgnął po radio i połączył się z Lo Keng-mo, przedkładając propozycję. Cisza w głośniku nieprzyjemnie drażniła.

– Czekać.

Nim zdążył odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Teraz następna konsultacja z dowódcą batalionu. Keng-mo sam nie chciał brać odpowiedzialności na barki. Jang doskonale rozumiał kapitana. Lo również nie należał do partii, co praktycznie zamykało przed nim drogę do dalszych awansów. Jak po cichu mówiono, powodem było skandaliczne prowadzenie się jego żony, należącej do Zespołu Pieśni i Tańca Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Jang raz ją widział. Robiła wrażenie. Nawet teraz poczuł się nieswojo, gdy sobie o niej przypomniawszy. Tak pięknej żony zazdrościli kapitanowi wszyscy. Adoratorów nigdy jej nie brakowało, no i stało się, co stać się musiało. Kobieta doskonale bawiła się w stołecznym garnizonie, a Keng-mo prowadził kompanię na kompletnym zadupiu.

Minęło pięć, dziesięć minut. Pod pancierzem zrobiło się duszno. Gdy obejrzał się za siebie, dojrzał głód nikotyny w oczach podkomendnych. Już chciał się nad nimi zlitować, gdy przypomniawszy sobie o koniecznym pośpiechu.

– Jang, słyszycie mnie? – Radio w końcu odezwało się głosem Keng-mo.

– Głośno i wyraźnie.

– Jest zgoda samego pułkownika.

Dlatego tak długo trwał postój.

– Rozumiem.

– Nie muszę chyba tłumaczyć, jakie to ważne dla naszego pułku.

Pułku? Niedługo okaże się, że i całej dywizji. Chciał jedynie skrócić drogę i szybciej dotrzeć do celu. W konsekwencji zmienił marszrutę całej jednostki. Jeżeli się pomylił i ugrzęzną w piachu lub bagnie, cała wina spadnie na niego. Zostanie zdegradowany albo i rozstrzelany jako sabotażysta i ukryty wróg ludu.

– Możecie ruszać.

– Tak jest.

Szturchnął butem w oparcie fotela kierowcy.

– Widzisz tę ścieżkę?

Z dachu pojazdu dostrzegał wąski szlak wijący przez schnącą już trawę i niknący z oczu sto metrów dalej.

– Oczywiście.

Wścikiły na własną odwagę warknął zdławionym głosem:

– To jedź i lepiej, jak dojedziesz, bo nie ręczę za siebie.

#### PRZESTRZEŃ POWIETRZNA NAD MORZEM CZARNYM | 26 maja, godzina 12:19

Transportowy Ił-96 świecił na ekranie radaru jak choinka. Cztery potężne silniki turbowentylatorowe Sołowiewa PS-90 pchały giganta z prędkością ponad ośmiuset kilometrów na godzinę.

Zdaniem kapitana Ismaila Kemala pilot tamtej maszyny chciał jak najszybciej wydostać się z niebezpiecznej strefy. Kto przy zdrowych zmysłach miałby ochotę operować w przestrzeni zdominowanej przez wrogie myśliwce?

Pierwsza fala tureckich F-16 C/D nadciągnęła nad Erywań niespełna pół godziny wcześniej, niszcząc instalacje wojskowe. Wbrew prognozom Ormianie nie zamierzali się poddać. Do wojny przygotowali się całkiem dobrze, gromadząc sprzęt i szkoląc żołnierzy. W lotnictwie również poczynili znaczne postępy. Rosyjskie wyposażenie było dostępne w każdej ilości.

Prawdę mówiąc, ich obrona przeciwlotnicza sprawiła nieco kłopotu. Parę Falconów zostało uszkodzonych, a trzy – o zgrozo – zestrzelone. Ismail nie wiedział, co się stało z pilotami. Jeżeli katapultowali się i wpadli w ręce przeciwnika, ich los był nie do pozazdroszczenia. Jako jeńcom przysługiwały im pewne prawa, lecz przecież obecnie nikt nie przejmował się takimi szczegółami. Pech to pech.

Sam Kemal gorąco pragnął uczestniczyć w tamtej akcji, jednak eskadrę, w której służył, skierowano do zupełnie innego zadania, kto wie, czy nie bardziej odpowiedzialnego – w każdym momencie liczono się z rosyjską odpowiedzią. Jak silną – tego akurat nie wiedział nikt. Najważniejsze, to nie dopuścić Rosjan nad własne jednostki zmechanizowane i pancerne zdążające do Erywania. Kolumny M-60, Leopardów 2 i ACV-300 stanowiły idealny cel do nalotu. Wystarczył jeden Su-27 z odpowiednim zestawem uzbrojenia i piękne założenia sztabowców legną w gruzach, a właściwie zmienią się w stertę pogiętego metalu.

Zmienił częstotliwość, starając się wyłowić z eteru interesujące informacje. Ataki na Erywań trwały. Aż wzдрыgnął się, gdy nagle wołanie o pomoc zagłuszyło wszystkie pozostałe dźwięki. Czyżby stracili kolejny szturmowiec? Jeżeli tak, to nie wszystko przebiegało zgodnie z planami.

Ił-96 znajdował się na skraju radiolokatora. Za parę minut odleci już daleko w głąb przestrzeni powietrznej Federacji. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by puścić się za nim w pogoń. Po

powrocie mechanicy wymalują pod kokpitem czerwoną gwiazdkę, może trochę na wyrost, niemniej zwycięstwo to zwycięstwo.

Ismail zmarł. Dwie kropki na monitorze wyrosły zupełnie niespodziewanie. Szły z północnego zachodu, szybko się zbliżając. MiG-i albo Suchoje.

Zmiana nastąpiła tak gwałtownie, że fala napięcia przeszła przez ciało Kemala jak tsunami. Język nie chciał oderwać się od podniebienia, a słowa uwięzły w gardle. Opanował się na tyle, by zacząć logicznie myśleć. F-16 stał o klasę wyżej od Phantoma F-4, wciąż wykorzystywanego w wielu tureckich dywizjonach. Niestety, wszystko wskazywało na to, że on jest celem. Dosłownie parę sekund wcześniej przymierzał się do ciężkiego transportowca, a obecnie sam będzie zmuszony walczyć na śmierć i życie.

Wcześniejszą ekscytację zastąpiły starannie wyćwiczone odruchy. Już nie panikował, znajdował się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Przekazał meldunek do bazy i skierował nos maszyny na przeciwnika.

Para myśliwców przed nim rozbiła się na pojedyncze odrzutowce. Jeden w prawo, drugi w lewo.

Serce w piersi kapitana biło mocno. Jeśli niczego nie spieprzy, wyjdzie z walki bez szwanku. Kolejna korekta kursu. Najpierw ten z prawej. Naprowadził AIM-120 AMRAAM na cel i wystrzelił. Jednocześnie zarejestrował podobny manewr Rosjan. Zwrot i flary. Z dwóch i pół tysiąca metrów zszedł na tysiąc. Pułapka nie zadziałała. Wyrwał w górę gwałtownym zrywem. Już nie myślał o zwycięstwie. Chciał przeżyć, tylko to. Chwała przestała interesować Kemala wraz z pierwszym wystrzelonym w jego stronę pociskiem. W irracjonalnym odruchu obejrzał się za siebie, starając się dostrzec smugę pędzącej rakiety. Warstwa białych chmur przeszkadzała w obserwacji. Z paru miejsc przebijało przez nie groźne, szare morze. Za nic w świecie nie chciałby się znaleźć w wodnej kipieli. Obrócił się w drugą stronę. Niewyraźna smuga podążała w ślad za Falconem. Bliski paniki pchnął przepustnicę do przodu. Przeciężenie o mało nie pozbawiło go przytomności. Jakaś część świadomości zarejestrowała głośną detonację i dźwięk ostrzeżenia o uszkodzeniach. Więc tak wygląda koniec?

•

Zestrzelenie paru tureckich samolotów w ostatecznym rozrachunku niewiele zmieniło. Ani baterie S-300, ani doraźne działanie rosyjskiego lotnictwa nie potrafiły zdziałać cudu. Do odparcia agresji należało skierować o wiele potężniejsze siły, a tych po prostu nie było, co oczywiście nie znaczyło, że wszystko poszło zgodnie z przewidywaniami Turków. Starcia wybuchły zaraz po przekroczeniu granicy. Nie mogąc sprostać pancernej nawale, Ormianie minowali drogi i wciągali w zasadzki podążające na stolicę jednostki. Spodziewany spacerek zmienił się w drogę przez mękę. Nielicznym T-80 i T-72 trudno było sprostać dziesiątkom M-60 i Leopardom 2 tureckiej armii, jednak i na tym polu odnotowano sukcesy. W odpowiedzi na broniących się kierowano uderzenia F-16 i ostrzał artylerii. Straty rosły po obu stronach.

Ankarze zależało na jak najszybszym dojściu do azerbejdżańskiej granicy i zabezpieczeniu wybrzeża Morza Kaspijskiego. To, co nastąpi później, nie zaprzętało głów polityków i dowódców.

Nerwowo zareagował Iran, ambicje Turcji zawsze były solą w oku, a na ich realizację nie mógł pozwolić. Gwałtowne ultimatum Teheranu dotarło do Ankary w trzy godziny po uderzeniu, zmuszając rząd do przemyślenia dotychczasowej strategii. Po burzliwej naradzie zdecydowano się na jedyny słuszny krok: propozycję sojuszu i podziału zdobyczy.

22 BRYGADA PANCERNA – FEDERACJA ROSYJSKA | 26 maja godzina 13:14

Sam nie potrafił nazwać tego, czego się spodziewał – jatki, rzezi, masakry? Nic podobnego nie nastąpiło, co nie znaczy, że obyło się bez strat. Fugas detonujący pod jednym z MRAP-ów wyrzucił pojazd na parę metrów w górę. Każdy, kto widział, co zaszło, spodziewał się najgorszego.

Tymczasem szybko się okazało, że załoga wyszła ze zdarzenia praktycznie bez szwanku, jedynie z potłuczeniami i zadrapaniami. Oszołomieni żołnierze stali obok, niespokojnie mrugając oczami. Normalnie po czymś takim należało im się parę dni odpoczynku, ale nie tym razem. Dzięki szczodrości sojuszników kolejny MRAP czekał w gotowości. Tylko wsiąść i jechać. Natomiast to, co przed paroma minutami było sprawną maszyną, obecnie nadawało się do gruntownego remontu.

Półtorej godziny po tym zdarzeniu ostrzelany został jeden Humvee. Ciężko rannego w szyję operatora kaemu – kolejną osobę – śmigłowcem odesłano na tyły w stanie ciężkim. Nikt nie gwarantował, że chłopak kiedykolwiek stanie na nogi.

Żołądek podporucznika Tomasza Maciejewskiego zwinął się w supeł. Na śniadanie tyknął nieco kawy i przegryzł suchą kromką razowca. Na nic więcej nie miał ochoty. Ze zdziwieniem przyglądał się innym, pochłaniającym całe porcje, podczas gdy jemu zbierało się na mdłości.

Później było niewiele lepiej. Stres dusił niewidzialnymi mackami. Już myślał, że się uodpornił, jednak nie, strach był wszechogarniający.

Stefański, dowódca batalionu, wysunął ich do przodu po kolejnym nieprzyjemnym incydencie – potyczce z jakąś większą grupą. W miejscu, gdzie od głównej szosy odchodził w bok szlak nienawidzony przez dwieście metrów dalej w sosnowym lesie, stał roztrzaskany BMP z girlandą sino-czerwonych flaków wiszących wokół wieżyczki niby koszmarna wstęga. Obok but z oderwaną stopą. Niewiele zostaje po desancie, starym zwyczajem obsadzającym wóz, gdy przejedzie po nim seria z wukaemu.

Parę kilometrów dalej, już na przedmieściach Ostrowa, dojrzeli opustoszałe obejście. Chałupa aż po strzechę ukryta była w pnącym się zielsku. Ogólnie bieda i prowizorka. Pod budynkiem zwłoki trzech rozstrzelanych. Poskręcane ciała, zbryzgane czarną krwią, i roje wielkich much obsiadających twarze.

Zanim wjadą głębiej, wszystko należało dokładnie sprawdzić. Patrole ruszyły przed siebie. Tu niewiele przypominało amerykański film. Kto myślał inaczej, był głupcem.

Abramsy huczały miarowym basem na drodze, gdy piechota przeszukiwała obejścia. Smród zwłok dolatywał do miejsca, gdzie znajdował się Maciejewski. W dusznym upale, który intensyfikował wszelkie doznania, z trudem dawało się to wytrzymać. Niechby już zrobiło się chłodniej albo przynajmniej niech trochę chmur przesłoni niemiłosiernie prażące słońce.

– A co z nimi? – Dłoń sierżanta wykonała ruch w stronę leżących ciał.

Zmarłych wypadało pochować. Dla drużyny wykopanie dołu nie stanowiło problemu. W parę minut wykonają zadanie, tyle że nikogo nie chciał zmuszać do babrania się przy zwłokach. To zajęcie w sam raz dla grabarzy, nie oddziałów linowych.

– Zostawić – rzucił ze złością i wdrapał się po pancerzu, żeby usadowić się we władze dowódcy. Sam był nieco zaskoczony własną decyzją.

Daleko na północy odezwała się artyleria. Głuche dudnienie przypominało pomruki burzy. W komunikacie zdarzenie określił jako walki o niewielkim natężeniu. W porównaniu do tego, co przeszli wcześniej, faktycznie tak mogło być. Nie znajdowali się na głównej osi natarcia, choć trudno powiedzieć, gdzie ciągnął się front, a gdzie tyły. Jak dla niego sytuacja była płynna. Oberwać można w każdej chwili, a to, że posuwali się na skrzydle, nie przesądzało o niczym. Podobno w okolicy nie było wroga, przynajmniej tak twierdził wywiad. Rozbite grupy Rosjan odplynęły na południe, a część powędrowała na północ. Co najwyżej należało się liczyć z doraźnie podejmowanymi akcjami. Te doraźne akcje bardziej szarpały nerwy niż porządna bitwa.

Ostrow, czy też Ostrów, jak wymawiali wszyscy, niewielkie miasteczko nad rzeką Wielikają. Góra dwa tysiące mieszkańców. Trochę bloków przypominających czasy Związku Radzieckiego, reszta to chałupy. Na mapie wyraźny punkt, w rzeczywistości miejsce bez znaczenia. Od następnego, znacznie większego Porchowa, dzieliło ich jakieś sto kilometrów. Pomiędzy nimi lasy, generalnie świerki i osiki z nielicznymi otwartymi przestrzeniami łąk i bagien. Nie brakowało rzek, rzeczek i strumieni. Tylko główne drogi były dla nich przejezdne, więc o manewrze na wysuniętą flankę przeciwnika na razie można było zapomnieć.

W tych warunkach ciężkie Abramsy czy armatohaubice Krab wymagały dodatkowej uwagi. Załogom lżejszych pojazdów na pewno było łatwiej. Mając to wszystko przed oczami, dopiero teraz rozumiał, co znaczy wojna na wschodzie. A przecież granicę przekroczyli zaledwie wczoraj i nie doświadczyli prawdziwego oporu.

Podziękował świętym opiekunom, że nie kazano im nacierać na Petersburg. Wystarczyło, że przez lornetkę obserwował Ostrow.

Małe figurki polskich żołnierzy przemykały pod murami i płotami, zapuszczając się w głąb miasteczka. Ubezpieczenie w postaci transporterów podążało za nimi. Oni też mogli skierować lufę swojego czołgu na dowolny cel. Taki na przykład programowalny pocisk odłamkowy DM-11 upora się z każdym punktem ogniowym – czy to będzie snajper, czy ukryty karabin maszynowy, czy transporter opancerzony – wyeliminują go jednym strzałem. Nie zazdrościł piechurom i zwiadowcom. W tych warunkach niewiele dawało się przewidzieć. Na myśl o bezpośredniej walce, takiej twarzą w twarz, podporucznikowi znowu zrobiło się niedobrze. Ślina ledwo przeszła przez gardło. Dopiero głębszy oddech uspokoił bijące serce.

Chrobot w radiu nie dał mu czasu na dodatkowe przemyślenia.

– Rydwan Jeden! – Maciejewski nie od razu zorientował się, o kogo chodzi. Nowy kryptonim kompanii otrzymał dopiero rano. – Mówi Romb.

To na pewno nie był głos Stefańskiego.

– Zgłaszam się.

– Spróbujcie dotrzeć do mostu na Czeremsze.

Przesunął palcem po ekranie. Kilkadziesiąt kilometrów bezludnego terenu i dopiero rzeczony most. Podobno zachód Rosji jest najbardziej zasiedlonym obszarem tego kraju. Jeżeli tak jest w istocie, to gdzie podziali się jego obywatele? Chyba nie wszyscy uciekli? Po drodze, lecz nieco na uboczu, Wierchnij Most, dziura jeszcze mniejsza niż ta przed nimi.

– Zrozumiałem, wykonuję.

Abrams ruszył. Szosa nazywała się bodaj Leningradzka. Ni stąd, ni zowąd naszła go myśl, że o wiele przyjemniej położyć się w cieniu drzew nad rzeką i przeczekać w ciszy i spokoju do wieczora. Podobne pacyfistyczne myśli ogarnęły chyba nie tylko jego. Lejący się z nieba żar obezwładniał. Mogli przed nim uciec do wnętrza czołgu, ale żeby włączyć klimatyzację, musieliby zamknąć się w stalowym pudle. Nie wiadomo, co gorsze. Z pogodą tak samo: jak w końcu chluśnie deszcz, będzie gorzej. Błocko oblepi wszystko – maszyny, namioty i śpiwory. Zażękną wtedy za letnią spiekotą.

– Nie spać – rzucił pod adresem załogi, choć sam potrzebował solidnego kopa do działania.

Lewą stroną drogi wyprzedziły ich transportery piechoty i wóz sekcji wysuniętych obserwatorów. Przygotują kwatery w miasteczku dla reszty. Załogom czołgów przypadną w udziale co najwyżej materace ułożone przy gąsienicach.

Dla przypomnienia sprawdził, co znajduje się w promieniu stu–dwustu kilometrów od nich: Psków, Porchow, Dno, a dalej Stara Russa, jezioro Ilmen i Demiańsk. Czy to przypadkiem nie w tym miejscu zimą z 1941 na 1942 Niemcy wpadli w kocioł, wykonując rozkaz „ani kroku w tył”?

Ponad płaskie przestrzenie wyrastała Wysoczyzna Sudomska sięgająca 294 metrów nad poziomem morza, a na południu wzgórza nieopodal Wałdaja. Petersburg odcinał się wyraźnie na północy. Pośrodku tego 22 Brygada.

Gożąco chciał wierzyć w zapewnienia rozpoznania. Jeżeli jednak gdzieś tam czai się wróg, będą zmuszeni stawić mu czoła. I to sami.

Pchali się w paszczę lwa lub raczej niedźwiedzia. Nie szkodzi, że sporo kłów już mu wybili. Z tym miszką jest tak samo jak z rekinami: wciąż mu odrastają nowe zębiska. Na miejsce rozbitych jednostek Rosjanie wystawiali kolejne.

Przed wymarszem oceniano siły Federacji na 60 brygad. Jakoś nikt nie pomyślał, co stanie się przy pełnej mobilizacji, a w przypadku Rosjan wojnę zawsze wygrywali poborowi, nie zawodowcy. Niech lepiej Cooper wszystko dobrze przemyśli, bo nie chciał pozostać tu na zawsze.

## ROZDZIAŁ DRUGI

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 26 maja, godzina 07: 11

Awantura wybuchła niedługo po siódmej rano. Ciśnięty przez Tamarę talerz z jajecznicą o włos minął głowę Andrzeja. Gdyby nie szybki unik winowajcy, bez wątpienia rozbiłby mu czoło. Bez strat się jednak nie obyło. Część żółto-białej masy jajecznej spadła na jego ramię i szyję. Reszta wylądowała na stole wśród pokrojonego chleba i szklanek z herbatą.

– Czego się wściekasz?

– Dureń! – wrzasnęła dziewczyna, obróciła się na pięcie i zniknęła zgromadzonym z oczu.

– No co jak takiego powiedziałem? – zapytał tonem usprawiedliwienia.

– Nic. Zupełnie nic. – Nadmiernie poważny głos Jeffa doprowadzał Wirskiego do pasji. Shepard zrobił głupkowatą minę i tylko Lafayett udawał, że nic się nie stało.

– Twoja dziewczyna, twój problem. Po co jej mówisz?

– Kierując się logiką wywiadu, najlepiej, jakbym zniknął bez słowa.

– Tak jest najwłaściwiej. – Jeff kiwnął głową.

– Na szczęście nie jestem taki jak ty.

Andrzej zabrał się za usuwanie szkód. Potłuczone naczynia wrzucił do kosza, a resztki jajek wytarł szmatką. Koledzy nie kwapili się do pomocy.

– Jak ty z nią wytrzymujesz? – Lafayett podłubał wykałaczką w zębach.

– Przyzwyczailem się.

– To przypomina Piekielny Tydzień.

– Bo tak jest w istocie – dopowiedział Norton, wywołując wesołość pozostałych współbiesiadników.

– Czasami żałuję, że nie zostałeś na „Valkirii” – odciął się Wirski.

– Co się czepiasz? Chłopak chciał dobrze. – Szef placówki wygodnie wyciągnął nogi pod stołem.

– Jesteś tak samo nieznośny jak on.

Andrzejowi odechciało się śniadania. W ogóle odechciało mu się wszystkiego. Nowe polecenie kierowało go z powrotem do Moskwy, miał tam stawić się jak najszybciej. Wyznaczono kontakt i lokum, całą resztę na razie skrywała tajemnica. Skoro uznano, że jest w stolicy Federacji niezbędny, to nie ma dyskusji. Rozkaz to rozkaz.

Powlókł się na górę spakować parę niezbędnych przedmiotów. Z bijącym sercem wszedł do pokoju. Tamara wyglądała na spokojną. Siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę i wciśniętą pomiędzy nie poduszką. Wyglądała pięknie z tym grymasem nadąsania na twarzy.

– Już ci przeszło? – zapytał z nadzieją.

– Nie – warknęła.

– Przykro mi.

– A co ja mam powiedzieć?

– Wiesz, czym się zajmuję.

– Zastanowiłeś się nad tym, co ja mam robić? – W końcu zaszczyciła go spojrzeniem.

– Poproszę Jeffa, coś ci znajdzie.

– Na głowę upadłeś – odburknęła.

Powoli zaczynał tracić cierpliwość. Racjonalne wyjaśnienia wcale do niej nie docierały. Potrafili pokłócić się trzy razy dziennie, co sprawiało, że wpadł w emocjonalną huśtawkę.

– Jadę z tobą.

Parsknął śmiechem.

– Idiotyczny pomysł.

– Dlaczego? – Nie miała zamiaru ustąpić. – Potrafię o siebie zadbać.

– Nie wątpię.

– O ciebie również.

Tego też nie potrafił jej odmówić. Bez jej starań wciąż by tkwił w rękach Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Shepard także, Skokow knułyby intrygę, a cała reszta pozostawałaby w błogiej nieświadomości zagrożenia.

– Niby jak to sobie wyobrażasz?

– Prosto. Małżeństwu łatwiej od samotnego mężczyzny – stwierdziła stanowczo. – Wpadniesz na pierwszym punkcie kontrolnym. Zaraz zapytają, dlaczego nie jesteś w mundurze. Wielki jak byk facet starający się uciec przed mobilizacją? No, zastanów się. Dalsze sprawdzanie to dla ciebie gwóźdź do trumny. Dowiedzą się, kim jesteś, szybciej, niż myślisz. Najlepsze papiery cię nie wybronią.

– I ty masz na to radę.

– Troskliwa żona odwożąca rannego bohatera na dalszą rekonwalescencję, to chyba jest rada? Postrzał wciąż dokuczał, tu nie było ściemy. Każdy, kto chciał, mógł sprawdzić.

– Dostaniesz parę środków na obniżenie samopoczucia. Zrobię z ciebie chodzącego trupa.

– Już nim jestem, obejdzie się.

– No widzisz, charakteryzacja nie będzie potrzebna. – W końcu odłożyła poduszkę na bok i przysunęła się bliżej. Potrafiła zmieniać się jak kameleon. Gdy ujrzał ją pierwszy raz, wyglądała co najmniej dziwnie – czarne paznokcie, koszmarny makijaż i wyzywająca postawa. Szybko okazała się całkiem normalną osobą, i to taką, która wie, czego chce.

– Zadanie dotyczy wyłącznie mnie.

– Jak dobrze wiemy, po drodze wiele może się zdarzyć.

– Nie wiem, jak zareagują pozostali.

– A kto z nami jedzie?

– Nie o to chodzi – powiedział, teraz już zły na siebie. Zbyt szybko jej ulegał. W manipulowaniu ludźmi okazywała się lepsza od centrali, gdziekolwiek ta obecnie się znajdowała.

– Muszę...

– Oczywiście, że musisz.

•

– A wiesz, to się nawet trzyma... eee... jest wiarygodne – wydukał Jeff, gdy usłyszał o pomysle.

– Na pewno nie będzie balastem.

– To ją wciągnij do służby.

– Moje kompetencje nie sięgają tak daleko. – Szef placówki udzielił wymijającej odpowiedzi.

– Korzystacie z agentów terenowych.

– Podobnie jak wy. Sam to zrób. Ostatecznie pracuje dla ciebie, czy może raczej pracujecie wspólnie – sprostował Amerykanin. – Poza tym od razu widać, że nie udajecie.

– Zakończmy ten temat.

– Co w tym złego? – Mina Jeffa wyrażała czystą niewinność. – Jak dodam, że pasujecie do siebie, poprawię ci samopoczucie? Dobry obserwator od razu rozpozna, kto udaje, a kto nie.

– Znajdziesz dla niej jakieś dokumenty? – Wirski pogodził się z losem.

– Coś przygotujemy, tym się nie przejmuj.

– A nie wiesz, dlaczego odwołują mnie do Moskwy?

– Wiadomość dotyczy ciebie, nie mnie.

– Jakiś przeciek... niekontrolowany.

– Podobno w centrali większość szefostwa dostała rozstroju żołądka, ale jaka jest przyczyna, sam się domyśl.

– Podobno wszystko idzie świetnie.

– A czy na wojnie jest to w ogóle możliwe?

– Ja słyszałem określenie: pożar w burdelu.

– Już mi się podoba. – Jeff uśmiechnął się pod nosem. – Możesz powiedzieć Tamarze, żeby



pakowała walizki.

Godzinę później oboje stawili się na parterze. Andrzej wyglądał jak kombatant, brakowało jedynie paru medali w klapie marynarki zarzuconej na ramiona, bo ręka spoczywała na temblaku. Dziewczyna była kwintesencją współczującej i troskliwej opiekunki z anielską twarzą.

Jeff był pod wrażeniem.

– Cudownie.

– To już ostatni raz. Nigdy więcej nie dam sobą tak pomiatać. – Jeszcze nie opuścili kryjówki, a już wyglądał i czuł się jak weteran Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. – Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł? Brakuje im ludzi czy jak?

– Jak przeżyjesz, sam zapytasz – odpowiedział szef petersburskiej placówki CIA. – Huga podwiezie was tak daleko, jak się da. Nic więcej nie mogę zrobić.

– Dzięki za wszystko.

– Do zobaczenia w przyjemniejszych okolicznościach.

Huga już czekał, majstrując jeszcze przy silniku. Gdy skończył, zatrzasnął maskę i otworzył przed nimi drzwi Matiza.

– Wygód niewiele, ale przynajmniej nie rzuca się w oczy.

– Chciałbym to już mieć za sobą.

– Dokąd?

– Dworzec Moskiewski.

Po wyjątkowo niespokojnym dniu i równie dramatycznej nocy w mieście wyjątkowo panował spokój. Na głównych ciągach komunikacyjnych ustawiano wyładowane piachem i kamieniami ciężarówki. Zdaniem agenta co najmniej pięćdziesiąt pojazdów stanowiło realną przeszkodę, co nie było łatwe. Szerokie prospekty nie sprzyjały obrońcom prowizorycznych barykad.

Zaparkowali pół kilometra od dworca. Dalej było zbyt niebezpiecznie.

– Uważajcie na siebie. – W ustach Amerykanina zdanie to zabrzmiało jak ostateczne pożegnanie.

– Ty również.

Wysiedli. Samochód zawrócił i znikł za zakrętem. Zostali sami. Za cały bagaż wystarczyła im torba i mały plecak. Nie chcieli zabierać więcej, licząc się z trudnościami.

– Tak jest dobrze?

Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się.

– I po co się ze mną kłóciłeś?

– Ja?

– Spróbujmy złapać najbliższy do Moskwy – szybko zmieniła temat.

– I ja tak myślę.

Powlekli się w stronę dworcowych budynków.

Wbrew wcześniejszym przypuszczeniom nie napotkali zwartej masy uchodźców szturmujących plac przed halą odjazdów. OMON w końcu zaprowadził porządek. Trzysta metrów od wejścia do budynku zostały ustawione metalowe barierki, a każdy, kto próbował przez nie przejść, obrywał kolbą prosto w twarz i bez większych ceregieli wracał na drugą stronę. Ruch skanalizowano do pięciu bramek. Przed nimi tworzyły się długie kolejki, lecz dzięki temu na perony nie przedostawał się nikt niepowołany, a takich nie brakowało – dezertery i wszelkiej maści swołocz starająca się uciec z miasta. Kobiety i dzieci owszem, mężczyźni dopiero po starannej kontroli.

Ustawili się w kolejce do bramki, przed którą był, jak się wydawało obojgu, najkrótszy ogonek. Minęła godzina, zanim znaleźli się w pobliżu punktu kontrolnego.

Ciarki przechodziły przez plecy Andrzeja przyglądającego się rewizjom.

– Mamo! Mamusiu! – darła się paroletnia dziewczynka. Zdenerwowana kobieta w tym czasie walczyła z opornym zamkiem walizki.

– Poczekaj, Masza, wszystko będzie dobrze.

– Szybciej, krowo, nikt tu nie ma całego dnia! – popędzał ją starszy mężczyzna, stojący za nią.

– Mamo...

– Już, kochanie. Mój mąż... to zaświadczenie, mam na pewno...

– Zawracaj.

– Ależ panowie, tak nie można. Masza, gdzie jesteś?

Matkę i córkę bezceremonialnie zepchnięto do tyłu. Walizka poleciała w ślad za nimi.

Tamara mocniej ujęła dłoń Andrzeja.

– W co myśmy się wpakowali...

– Sama chciałaś.

Kolej na starszego mężczyznę. Ten wszystkie papiery przygotował już wcześniej.

– Proszę, to moja legitymacja deputowanego z ramienia partii Jedna Rosja. Jestem przewodniczącym komisji...

– Następni.

Postąpili krok na przód, wyciągając papiery.

– Walczyłeś? – Błysk w oku sierżanta OMON-u sprawił, że Andrzejowi ugięły się nogi.

– Skutek nalotu. – Tamara pośpieszyła z wyjaśnieniami. – Tu jest opinia ze szpitala.

– A może rabowałeś sklepy?

– Ja?

– Co masz w torbie?

Szczęknął suwak, a bielizna i parę ubrań poleciały na chodnik.

– Dolary, euro?

– Jakie dolary? Auuu! – Sierżant zerwał marynarkę z grzbietu Andrzeja i zabrał się za rewizję.

Zwitek papierowych banknotów powędrował do innej kieszeni.

– Następny.

Tamara zebrała garderobę i wcisnęła do torby. Znaleźli się po drugiej stronie.

– Zabrali mi całą forszę.

– Ja mam trochę.

– Ile?

– Wystarczy.

– A gdzie ją ukryłaś? – zapytał.

– Niech cię o to głowa nie boli – odpowiedziała z wyższością osoby, która wie lepiej, co należy zrobić w danym momencie, i wszystko przewidzi.

Harmider przed kasami biletowymi dawał przedsmak podróży. Obeszli je szerokim łukiem, nie mając zamiaru stać w następnej kolejce, i wyszli na perony. Na pasażerów czekały trzy składy gotowe do odjazdu. Wirskiemu widok wagonów zawsze kojarzył się z czymś przyjemnym. Odrywał się od rzeczywistości i szybował na skrzydłach marzeń. Wtedy cały świat był jego. Pociąg ekscytował bardziej od samolotu i dawał złudę przygody. Aż do teraz.

Zatrzymali pracownika kolei w przybrudzonym smarami kombinezonie, nieśpiesznie opukującego młotkiem na długim trzonku obręcze kół.

– Ten dokąd?

– Który?

– No ten.

– Bo ja wiem? – Robotnik wzruszył ramionami, a młot zatoczył łuk. Brzdęk.

– Mamy taką małą prośbę. – Tamara podeszła bliżej, stając przy ramieniu kolejarza. – Ja i Andriusza, mój mąż... – wskazała na Wirskiego przestępującego z nogi na nogę – musimy dojechać do Moskwy. Bardzo nam zależy.

– Wszystkim zależy.

Tamara z obcisłych dzinsów wyciągnęła zwinięty banknot. Kolejarz nie sprawdził nominału. Wystarczyło, że waluta była zielona.

– Ten to do Kazania.

– Przez Moskwę?

– Raczej nie.

– A tamten?

– Do Permu.

– Cholera, nie pasuje.

– A to nie wiecie, że amerykańce rozwały wiele połączeń idących do stolicy? Cała trakcja ma dziury wielkie jak te w serze szwajcarskim. Łatamy połączenia, gdzie się da. Ale wiecie, my cały dzień naprawiamy, a oni w minutę rozpirzą w drobny mak. I tak w kółko, ech...

– A nie wie pan przypadkiem, po co to robią?

– Może nie chcą, żeby Putin spieprzył swoim pociągiem pancernym.

– Co teraz?

– Za pół godziny wyjeżdża ekipa naprawcza drogą na Twer. Dalej sami kombinujcie.

To przeszło pięćset kilometrów od Petersburga. Więcej niż połowa drogi.

– I wyjazd jest możliwy już teraz? – upewnił się Andrzej.

– Pogadam z kumplami, a wy poczekajcie.

Flegmatyczny robotnik podążył do kolejnych wózków jezdnych. Zanim doszedł do końca następnego wagonu, znikł im z oczu, przystońięty szarpniętymi się we wszystkich kierunkach uciekinierami.

– W razie czego jedziemy kazańskim – postanowił Wirski. Nawet jadąc łukiem, w końcu zbliżą się do Moskwy i gdzieś się przesiądą.

Czy to nie paradoks – zupełnie niedawno uciekano z Moskwy. Wtedy miasto nad Newą wydawało się bezpieczną przystanią. Uplęnęło parę dni i wszyscy ruszyli w przeciwnym kierunku. Obecnie to stolica dawała szansę przeżycia.

Pomiędzy Moskwą a Uralem było wiele dużych ośrodków miejskich i przemysłowych. Riazań, Tuła, Penza, Uljanowsk czy Ufa liczyły ponad milion mieszkańców. Na razie konflikt toczył się na obrzeżach państwa. Opanowanie północy i odcięcie Federacji od Bałtyku stanowiło dopiero wstęp. Sprzymierzeni pójdą dalej, na pewno tak się stanie. Jego wcześniejsze wątpliwości rozwiały się, gdy otrzymał polecenie pokonania tych siedmiuset kilometrów i znalezienia się w punkcie wyjścia.

– Myślisz, że wróci? – Tamara z irytacją poprawiła włosy.

– Jeśli chce zarobić, to na pewno.

Stała obok. W pierwszym odruchu pomyślał, że chce się przytulić, lecz okazało się, że chodzi o coś innego. Sięgnęła pod stanik i oczom Andrzeja ukazał się mały plik euro.

– A gdzie schowałaś karty kredytowe?

W odpowiedzi wysunęła język.

– Nie powiem.

– Sam znajdę.

– Twoje możliwości nie sięgają tak daleko.

– Czuję się dotknięty. – Udał obrażonego.

– Niepotrzebnie zaczynałeś tę rozmowę.

Tym razem przytuliła się, kładąc głowę na jego ramieniu.

– Już nie pamiętam, jak to było bez ciebie – powiedziała. – A ty?

Znowu to samo. Wszystko zaczęło się przypadkiem, a przecież nie powie: „Lepiej będzie, jak sobie pójdziesz”. Nigdy tego nie zrobi. Tak nie postępuje się z kimś, kto ci zaufał. Zresztą on czuł podobnie. Jedyne problem w tym, że ciągnął ją ze sobą. Choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać, nie potrafił się bez niej obyć. Stanowiła część jego zespołu, czy może raczej siatki. Niestety, większość jej członków pożegnała się z życiem. Czuł się temu winny.

– Ja też.

– Co ty też? – Lekko zeszywniała.

– Ja też cię kocham – odpowiedział, ściszywszy głos do szeptu.

Mogli tak trwać całą wieczność, lecz peron nie jest najlepszym miejscem do takich wyznań. Przynajmniej nie wtedy, gdy podróżnych ogarnia panika. Jedna z lokomotyw dała sygnał do odjazdu. Ci, którzy do tej pory jeszcze nie zdecydowali się, dokąd jechać, rzucili się w jej stronę. Wybuchło pandemonium.

– Idziemy? – Tamara pochyliła się nad bagażem.

– Nie.

Z boku precyzyjnie się ich nowy znajomy, dając znać, by poszli za nim.

Powędrowali w kierunku przeciwnym do reszty. Doszli do końca pociągu jadącego do Kazania i przeszli przez tory. Skład techniczny ustawiono na bocznicy. Dziesięć wagonów, z czego dwa pasażerskie.

– Foma ma dobre serce.

– Jak dobre? – Andrzeja ogarnęły złe przecucia.

– Dwieście pięćdziesiąt od łebka. Razem pięćset.

Zerknął na dziewczynę. Skinęła głową. Jak tak dalej pójdzie, pozbędą się całej forsy, nie opuściwszy Petersburga.

Foma już czekał. Tęgawy sześćdziesięcioletek ze źle ogolonymi policzkami i wielką łysiną na czubku głowy skończył rozmawiać przez radiotelefon i schował aparat.

– Dwie sprawy – zapowiedział na powitanie. – Jak ktoś zapyta, coście za jedni, mówicie, że daleka rodzina. Po drugie, jak każę spieprzać, robicie to bez ociągania. Wszystko jasne?

– Oczywiście.

Już przy wejściu uderzył ich w nozdrza nieprzyjemny zapach. Wybuchowa mieszanka potu, smaru, dymu i nie wiadomo czego ścinała z nóg mimo otwartych okien. Wnętrze wagonu nie projektowano z myślą o wygodzie. Siedzenia ciągnęły się przez całą jego długość i trudno było mówić o jakiejś intymności. W końcu brygada kolejowa to nie pensjonat dla pańienek.

Usiedli we wskazanym miejscu. Większość robotników przyglądała się im z ciekawością, a część z całkowitą obojętnością.

Foma znikł. Należało dopiąć ostatnie sprawy. Jak się okazało, Tamara nie była jedyną kobietą w wagonie. Kilka pracownic kolei towarzyszyło ekipie, więc szybko pomiędzy nimi wywiązała się rozmowa – kto, gdzie i tak dalej. Andrzej stracił nad tym kontrolę. Zmęczony oparł się o okno i zapadł w drzemkę.

•

Obudził się parę godzin później, gdy zamiast miarowego odgłosu toczących się kół usłyszał pisk hamulców. Dźwięk rozrywał bębrenki w uszach, nie pozwalając ponownie zanurzyć się w błogiej nieświadomości.

Wyrzwał przez okno. Skład zatrzymał się na nasypie w połowie łagodnego podjazdu. Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągał się las. Pogrążeni dotąd w odrętwieniu robotnicy zaczęli przejawiać oznaki życia, co nie znaczy, że komukolwiek śpieszyło się do roboty.

– Jesteśmy na miejscu? – Na policzku dziewczyny odcisnął się kawałek zamka błyskawicznego.

– Raczej nie. – Wstał i opuścił ruchomą część okna. Na lewo dostrzegł stalową kratownicę mostu. Płynącą na dole rzeczkę przysłaniały wysokie trawy i chaszczce.

– Rozejrzę się.

Musiał rozprostować nogi, przejść choć parę kroków. Bezczynność już mocno dawała mu w kość. Zdrętwiały i obolały podążył za paroma innymi. Zeskoczył na ziemię, jedną ręką przytrzymując się uchwytu. W porównaniu z dusznym wnętrzem wagonu tu panował ożywczy chłód.

Sprawdził godzinę. Dochodziła siedemnasta. Jak nic przespał połowę dnia. Zupełnie nie wiedział, jak do tego doszło, co go wprawiło w zakłopotanie. Zamiast czuć, stracił kontrolę nad sytuacją. Od paru lat nie przydarzyło mu się coś podobnego.

Otrząsnął się z resztek otępienia i rozejrzał za Fomą. Opiekun właśnie rozdzielał robotę.

- Dłuższy postój? – Podszedł bliżej i przyjrzał się konstrukcji, która wyglądała na całą.
- Kazali nam sprawdzić, czy nikt nie podłożył bomby. – Brygadzysta nie krył przygnębienia.
- Wam? A gdzie saperzy?

– Czort ich wie. Wszystkie mosty, wiadukty, rozjazdy i tunele... Tu nie jest źle, ale im bliżej Moskwy, tym gorzej. Mówiłem, mówiłem – podkreślił. – Nikt nie chciał mnie słuchać. Wszędzie nieróbstwo i bałagan. Zrobili Sapsama, o reszcie zapomnieli. A przecież nie na jednej nitce szybkiej kolei trzyma się państwo. Przejezdne szlaki to podstawa. Sam rozumiesz. Szybciej i efektywniej niż ciężarówką. Ej, Pietia! Jak spadniesz, nikt nie będzie cię ratował, łajzo! – wrzasnął do robotnika powoli wspinającego się po kratownicach.

Nie chcąc wyjść na ostatniego palanta, postął wraz z ekipą, komentując stan przeprawy. O dziwo, traktowali go normalnie, chętnie pytając o opinię. Trudno powiedzieć, za kogo został wzięty, lecz nie zauważył oznak wrogości.

Czterdzieści minut później wszystko zostało sprawdzone, odgwizdano odjazd, a skład potoczył się dalej na wschód.

•

Wieczorem zatrzymali się na dobre. Dalszy przejazd okazał się niemożliwy. Na przestrzeni kilkuset metrów w miejscu szlaku kolejowego rozciągał się księżycowy krajobraz. Szyny i podkłady szlag trafił. Zamiast nich zobaczyli poskręcany złom i potrzaskane bryły podkładów. Bomby przeciwbetonowe, tak efektywne podczas niszczenia pasów startowych, i tym razem dowiodły swojej wartości.

Proste i skuteczne. Naprawa odcinka, na który zrzucono ładunek, zajmie co najmniej czterdzieści osiem godzin. Zanim dowiezie się cały ciężki sprzęt, zanim spychacze wyrównają grunt, a dźwigi położą szyny, jak nic miną dwa dni.

Dodatkowo sprawę komplikował fakt, że w pobliżu nie widział ludzkich siedzib. Nawet nie chciał wiedzieć, jak daleko jest do najbliższej wsi – dziesięć, dwadzieścia kilometrów? Blisko na pewno nie było. Rosyjska kolej miała kłopot, ale im pewne szanse dawał drugi taki sam jak ich skład, tyle że stojący po przeciwnej stronie zniszczonego fragmentu torowiska.

- Znać się? – zapytał Fomy.
- Igora? Jasne. – Brygadzysta podrapał się po tyścinie.
- Dobrze?
- Jest mi winien pięćset rubli, a co?
- Nic. Wypada się przywitać.

Skinął na Tamarę i w trójkę ruszyli, obchodząc pobojuwisko. Na przełaj nie próbowali, bo gdyby trafili na niewypał, zakończyliby wyprawę w tym miejscu.

Brygada kolejowa z Tweru próbowała pracować, sporo przy tym krzycząc i postępując. Wszyscy czekali na żołnierzy mających sprawdzić teren. Znajomy Fomy stał z rękami w kieszeniach i udzielał instrukcji. Mało kto go słuchał. Z autorytetem nie było u niego najlepiej. W ekipie, z którą przyjechali, pod tym względem sytuacja wydawała się bardziej opanowana.

- Widziałeś kiedyś coś podobnego? – Igor ponuro pokręcił głową.

– Raz pod Rybińskim, jak wykoleił się pośpieszny z Wołogdy – odrzekł Foma. – Bałagan podobny.

- Pamiętam. Andriejew dostał takiego krwotoku z nosa, że o mało nie umarł. Co z nim?
- Zmarł jakoś tak zaraz po Nowym Roku.
- Szkoda chłopca.
- Szkoda.

Milczenie nie trwało długo.

- A to co za jedni? – Igor wskazał na Andrzeja i Tamarę.
- Kuzynka z mężem. Do Moskwy jadą.
- To ta, co studiowała w Kijowie? – Brygadzysta łypnął okiem w stronę dziewczyny.

– Nie wnikaj. – Foma machnął dłonią, jakby odpędzał natrętną muchę. – Możesz pomóc czy nie?

– Zależy...

– Mam ci przypomnieć...

– Życie podróżowało – nie dał mu skończyć Igor.

Negocjacje były krótkie. Pożegnali się z Fomą i ruszyli za nowym znajomym. Tym razem nie czekała na nich dreзна ani nic w tym rodzaju. KrAZ na olbrzymich kołach z wyciągarką z przodu wyglądał na skrzyżowanie ruchomego warsztatu i niezawodnego środka transportu. Tylko podobne pojazdy dawały radę w trudnym terenie.

Silnik KrAZ-a zaskoczył za pierwszym razem i błękitne spaliny wydobyły się z rury wydechowej.

– Pośpieszcie się, bo odjedzie bez was – ponaglił Igor.

Wskoczyli do szoferki i ulokowali się obok kierowcy, drobnego typu w kraciastej koszuli i z długimi włosami luźno opadającymi na kark. O nic nie pytał. Szef kazał – on robił. Raz-dwa będzie po sprawie. Baza remontowo-transportowa na obrzeżach Tweru przyjmie pod swój dach każdego zbłąkanego wędrowca.

– Podobno... – powiedział szofer i zaraz się zaciął. Na złotoustego mówcę nie wyglądał.

– Mów śmiało. – Tamara pośpieszyła z pomocą.

– Opowiadają, że źle się dzieje. Jak patrzę na to wszystko, krew mnie zalewa. Tyramy od rana do wieczora. Tu załatamy jakąś dziurę, gdzie indziej wszystko zaczyna się od początku. – Zachęta podziałała, słowa leciały wartką strugą. – A po ostatniej paradzie myślałem, że gorzej nie będzie. Dwie niedziele harowaliśmy. Część ekipy odesłano do Moskwy, reszta w rozjazdach. Tyle wojska, co się wówczas przetoczyło, wcześniej nie widziałem.

– A dokąd?

– Ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód.

Enigmatyczna odpowiedź nie zniechęciła Wirskiego.

– Kopiejkami też nie sypnęli?

– Nie. Wszystko tłumaczę stanem wyjątkowym. Militaryzacja najważniejszych gałęzi przemysłu oraz komunikacji. Jak dla mnie zaczyna się robić niebezpiecznie. Łońka załatwia sprawę tu niedaleko. Kiedy wracał rowerem przez las, huknęło i poleciał na drzewo. Kto, skąd i dlaczego? Koniec świata... – Rosjanin puścił kierownicę i złapał się za głowę. – Dobrze, że nie puścili osobowego, tego o jedenastej. To by dopiero było.

– Co racja, to racja.

– Ja już niejedną katastrofę widziałem, ale to przekracza wszelkie granice. – Silnik zawył na wyższych obrotach, gdy ciężarówka wspięła się na piaszczystą muldę. Wozem rzucało na wszystkie strony. Gdy w końcu z niej zjechali, tylko gwałtowny ruch kierownicą i nieprawdopodobne szczęście uchroniły ciężarówkę od utkwienia w wykrocie po zwalonym pniu.

Nie pierwszy raz Andrzeja naszły wątpliwości. W przeciwieństwie do pilota czy nawet zwykłego piechura on znał tych ludzi, rozmawiał z nimi i rozumiał problemy, z jakimi się borykają. Byli różni: dobrzy i źli, tak jak wszędzie. Nie potrafił wykrzesać w sobie niechęci do nich. Przyszło im żyć właśnie tutaj i nic tego nie zmieni. Oddadzą życie w imię wyższych racji, gdy ktoś im to nakáže. To samo można powiedzieć o każdej innej nacji.

– Na pewno się dogadają – odezwał się do kierowcy. – Najgorsze za nami.

– Nie jestem pewien – usłyszał w odpowiedzi.

– Czyste szaleństwo ciągnąć to dalej.

– Może i tak.

Nieszczęścia spadające na Federację mogły Rosjanom kojarzyć się z biblijnymi plagami. Cały ciąg niepowodzeń rujnujący dorobek pokoleń. Nie wiedział, czym się to skończy, ani nawet nie próbował już przewidywać. Cierpiąca nie tylko Rosja. Sąsiednie kraje obrywały tak samo mocno. Zniszczony Gdańsk wydawał się najlepszym przykładem, jak wojskowe plany ścierały się z

rzeczywistością. Takich miejsc przybywało. Nikt nie wiedział, co wydarzy się za pięć, dziesięć minut, a co dopiero mówić o dniach.

W końcu wyjechali z mrocznego lasu. Na przedmieścia Tweru dojechali w nocy. KrAZ wtoczył się do bazy zakładów kolejowych. Kierowca obiecał pogadać ze znajomymi. Jak się uda, to młodzi pojedą dalej jutro. Marazm codzienności ustąpił wojennej gorączce. Do roboty goniono wszystkich. W końcu chodziło o przetrwanie państwa.

Nie ruszyli się z kabiny, dopóki nie wrócił. Wieści nie były dobre: na razie nikt nie wybiera się na południe. Jak będzie coś wiedział, da znać. Na noc mogą zostać w ciężarówce, bo po zakładzie nie warto się kręcić – wszędzie sporo obcych. Nie wiadomo, skąd i po co się wzięli. Tylko patrzeć, jak zakłady przejmie wojsko i wprowadzi własnego komisarza.

Z tyłu kabiny było dość miejsca, by wyciągnąć nogi. Jedna osoba mieściła się z powodzeniem. Dwie już niekoniecznie. Jednak jakoś się umościłi, w końcu przywykli do niewygód. Tamara zasnęła pierwsza. Andrzej znieruchomiał – gdyby tylko się poruszył, obudziłby ją, więc choć lewe ramię dokuczało mu, starał się nie wiercić. Na jej spokoju zależało Wirskiemu najbardziej.

## ROZDZIAŁ TRZECI

DOWÓDZTWO II KORPUSU, VÕRU – ESTONIA | 26 maja, godzina 15:19

Generał Raymond Cooper poczekał, aż boczne drzwi Black Hawka zostaną rozsunięte. Łoskot rotora młócaącego powietrze boleśnie uderzył go w uszy, wszelako jako dowódca, zamiast skrzywić się, zaprezentował otoczeniu kamienne oblicze. Żadnej słabości. Zignorował pomocną dłoń adiutanta. Cztery łopaty wciąż się obracały, jakby gotowe pozbawić głowy każdego, kto niebacznie się wyprostuje. Schylił się więc i wyszedł z ich zasięgu. Świta podążyła za nim.

Tak dobrze jak w Rydze to już, niestety, nie będzie, choć i to miejsce wyglądało na dość przyjemne. Piętrową szkołę na przedmieściach tego estońskiego miasteczka otaczały posterunki. Żandarmi rozwijali drut kolczasty, a przed niespodziewaną wizytą MiG-gów chroniła rozlokowana w sąsiedztwie bateria rakiet Patriot.

Nie tak dawno o Võru stoczono zaciętą potyczkę. Grupa specnazu zaatakowała miejscowy posterunek policji i obóz estońskiej Ligi Obronnej. Przy okazji z dymem poszło parę bloków w centrum i domów na obrzeżach oraz supermarket. Wciąż nie uprzątnięto rozbitego M113. Z wnętrza tkwiącego w tym samym miejscu od paru dni wraku wydostawał się trupi odór. Generał z pokładu Black Hawka widział zestrzelonego F-16 z dumnie sterującym pionowym statecznikiem, a dalej wypalonego Mi-8. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Wymieceniem specnazu zajęli się spadochroniarze ze 101. Pola i zagajniki spłynęły krwią. Ci Rosjanie walczyli z taką samą determinacją jak amerykański desant. Określenie „walki na bagnety, zęby i pięści” nie było pustym frazesem.

Do podobnych zdarzeń dochodziło w różnych miejscach. Na południu coraz częściej napotykali oddziały dywersyjne złożone z Białorusinów. Straty, już i tak pokaźne, z każdym dniem rosły, a główny cel wciąż znajdował się daleko. Ta kampania nie przypominała niczego, z czym spotkał się w całej swojej wojskowej karierze.

Wszedł do środka i od razu skierował się do niewielkiej sali odpraw. Prawie bez reszty wypełniały ją ustawione w kwadrat stoły, przy których siedziało czternastu mężczyzn.

Cooper opadł na krzesło, krzywiąc się na smród papierosowego dymu. Moda na niepalenie odeszła wraz z pierwszymi strzałami. Coś trzeba było zrobić z rękami i napiętymi nerwami.

Oficer operacyjny sekcji S3 wypuścił dym ku górze.

– Miałem rację, sir. – Niedopałek znikł w popielniczce. – Idzie lepiej, niż się spodziewano. 3 Dywizja Piechoty dotarła do Pskowa. Opór niewielki, głównie maruderzy. Uciekli, gdy nasze czołówki podeszły pod miasto.

– Dziwne. – Niepokój w głosie Coopera był wyraźny. – Po piekle ostatniej ofensywy i tym, co zgotowali tutaj – wyciągnął dłoń w stronę okna – spodziewałem się zażartego oporu – przyznał szczerze.

– Są na skraju załamania.

– Jesteś pewny?

– Tak. Raczej tak.

Zapewnienia oficera nie trafiły dowódcy do przekonania. Co jak co, ale przeciwnik nie raz udowadniał, że potrafi walczyć o swoje.

– Wywiad może to potwierdzić? – zapytał majora siedzącego z prawej strony.

– Przez kilka kolejnych dni nie spodziewamy się natężenia walk – odparł niewysoki, barczysty mężczyzna w nieco zbyt opiętej bluzie.

– A potem?

– Wszystko zależy od władz centralnych.

– To znaczy Putin wywiesi flagę na szczycie Wieży Spasskiej i wszyscy rozejdą się do domów?

Na tak postawione pytanie wywiadowca nie znalazł odpowiedzi.



– Prawdę mówiąc, nie jesteśmy w stanie przewidzieć dalszych kroków reżimu. Raz są całkiem racjonalni, kiedy indziej...

– Byli – poprawił oficera generała.

– Nie rozumiem?

– Byli racjonalni. Od kiedy wypowiedzieli nam wojnę, są nieobliczalni – przerwał, widząc kierującego się do niego adiutanta. – Co jest, Ryan?

Młody człowiek podszedł blisko i pochylił się do ucha Coopera.

– Ktoś chce z panem porozmawiać.

– Nie mam czasu.

– To raczej pilne.

– Niech wejdzie – zdecydował dowodzący II Korpusem.

– On chce na osobności – nalegał przyboczny.

– Chcesz powiedzieć, że przywiało jakiegoś kongresmana, który postanowił zapunktować przed wyborcami?

– To ktoś z Departamentu Stanu – wycedził adiutant wprost do ucha generała. – Szuka pana od paru godzin.

– Po co?

– Nie powiedział. Twierdzi, że ważne.

– Nie wiesz, jak go przesłuchać? – zapytał Cooper, ale odpuścił, gdy podkomendny wzniósł oczy do nieba na znak dezaprobaty.

– Już dobrze, idę. Gdzie go znajdę?

– Czeka w pomieszczeniu obok.

Wstał, z hałasem odsuwając krzesło.

– Zaraz wracam. Jak wrócę, chcę zobaczyć pełny raport sytuacyjny.

Niechętnie opuszczał naradę. Nie lubił, gdy politycy wtrącali się do jego pracy.

Ryan usłużnie otworzył drzwi i przepuścił generała przodem. Z klasy usunięto większość wyposażenia, pozostało jedynie parę szaf i zsuniętych pod ścianę ław, tam też dostrzegł opierającego się o nie wystannika Waszyngtonu.

Drogi, lecz nieekstrawagancki garnitur, jedwabny krawat i solidne buty, wyrazista twarz o mocno zarysowanych szczękach. W jego sztabie podobną rolę spełniał Ryan, wiele innych instytucji też nie potrafiło się bez takich obyć – ktoś wysoko postawiony w hierarchii, jednak zawsze pozostający na uboczu. Towarzyszył oficjalnym delegacjom przeważnie w drugiej linii. Pogranicze polityki i nielegalnych działań – tak, tak, Departament Stanu też zajmował się szpiegostwem. Ten przy okazji wyglądał na takiego, co przed snem lubi poczytać „Gun & Ammo”.

Przybysz machnął legitymacją w skórzanej obwolucie, na którą Cooper nie zwrócił większej uwagi. Nie przywitali się. Generał założył ręce do tyłu, jak robił zawsze, gdy chciał okazać zniecierpliwienie.

– Czego pan chce?

– Sprawa jest poufna.

– Domyślam się.

Obwąchiwali się jak dwa psy na środku ulicy.

– Ryan, zrób tak, by nikt nam nie przeszkadzał.

– Oczywiście.

Adiutant wyszedł, delikatnie domknąwszy drzwi.

– Tak lepiej?

– Pewne rzeczy nie mogą wyjść poza ten pokój – ostrzegł urzędnik.

– O tym ja zadecyduję. – Rozmowa zaczynała Coopera mierzić. Co on sobie wyobrażał? Żadne groźby ze strony osób niezwiązanych z armią na niego nie działały. I właściwie dlaczego rozmawiał z cywilem, a nie kimś z Pentagonu? Wilsonowi nie brakowało ludzi do takich zadań.

– Przedstawiony materiał proszę zachować dla siebie, tak będzie lepiej. Wszyscy na tym skorzystamy, proszę mi wierzyć. – Przybysz wyciągnął list z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał generałowi.

Cooper przyjrzał się kopercie. Tylko godło, nic więcej. Rozerwał brzeg i wyciągnął kilka złożonych równo kartek papieru.

Już w połowie pierwszego akapitu poczuł nieznośne drapanie w gardle. Pewnie przez te szlugi. Skończył stronę i zabrał się za następną. W życiu przeszedł wiele, był świadkiem najróżniejszych wydarzeń, ale to przekraczało granice ludzkiej wyobraźni.

– Już pan wie, dlaczego treść nie przyszła oficjalnymi kanałami – powiedział urzędnik. – Nie chciano wzbudzać paniki. – Troska na jego twarzy wyglądała na autentyczną. – Stoimy przed wielkim wyzwaniem.

– Niewątpliwie. – Generałowi nie chciało się gadać. Pomysł wysmażony przez Rosjan przerażał. Jeżeli informacje są autentyczne, a nie miał powodu przypuszczać, że jest inaczej, to przyszłość rysowała się w czarnych barwach.

– Ile osób nad tym pracuje?

– Tysiące, lecz tylko parę wie, o co chodzi. Nie możemy tego podać do publicznej wiadomości. Już i tak w wielkich miastach nie jest najlepiej. Zamieszki zdarzają się niemal codziennie. Wskaźnik zabójstw podskoczył do nienotowanego od lat poziomu. Zamachy, podpalenia, Latynosi z czarnymi i czarni z Azjatami. Wszyscy biorą się za tby.

– Nieźle wszystko skalkulowali – podsumował Cooper.

– Do niedawna nawet nie wiedzieliśmy, że dysponują odpowiednią technologią.

Cooper westchnął. Wojna kiedyś się skończy, a on przejdzie w stan spoczynku. Wróci do domu, na ranczo do Wyoming i zacznie spisywać pamiętniki. Przynajmniej tak do niedawna wyglądały jego plany na przyszłość. Jak się okazuje, towarzysz Putin i kumple postawili wszystko na jedną kartę. Bardzo nie chciał, by okazało się, że nie ma do czego wracać. Perspektywa krociła się nieszczerólna: pozostający pod jego komendą żołnierze tracą motywację. Daleko, bo daleko, ale dom był bezpieczny. Jeżeli zabraknie nadziei, zaczną się dezercje i nikt ich nie powstrzyma. Uff, zdaje się, że paranoja zaczyna udzielać się i jemu.

– W zasadzie to wszystko. – Głos wysłannika brzmiał martwo.

Pożegnali się bez słowa.

Gdy wrócił do sali, oficer z S3 prowadził ożywioną dyskusję z szefem wywiadu korpusu. Temat wałkowali wielokrotnie – jak zneutralizować opór w samym Petersburgu. Pięć milionów mieszkańców, miasto poprzecinane kanałami zupełnie jak Berlin Sprewą. Tfu, skąd takie idiotyczne porównanie przyszło mu do głowy?

Umilkli, widząc mars na czole Coopera.

– Jakież problemy, sir? – zaryzykował pytanie dowodzący 101 generał James C. McConville.

– Absolutnie nie. – Odpowiedź jawnie przeczyła widocznemu przygnębieniu. – Kontynuujcie.

– Przed chwilą padła propozycja przetrzucenia marines do Kronsztadu lub bezpośredniego desantu w porcie. Nie powinno być gorzej niż w Bagdadzie.

– Panu się zdaje, że zajmiemy miasto z marszu? – zapytał oficer operacyjny. – Gratuluję optymizmu.

– Przy wcześniejszym rozmiękczeniu obrony... – odpowiedział spadochroniarz. – Sir, a jakie jest pańskie zdanie?

– Słucham? – Pytanie wyrwało Coopera z odrętwienia.

– Pytam o Petersburg, jak szybko wkroczymy do miasta według pana?

Powiódł ciężkim spojrzeniem po zgromadzonych.

– Panowie, proszę przygotować plan zwrotu zaczepnego w kierunku Moskwy.

– Pentagon o tym nie wspominał, sir. Przynajmniej nie na obecnym etapie.

– Tak? – Generał uniósł ciężkie powieki. – Podważa pan moje kompetencje?

- Nie, sir.
- Jeżeli nic się nie zmieni, od tej pory Petersburg traktujemy jako cel drugorzędny. Moskwa jest priorytetem.

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH, MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 26 maja godzina 21:56

Aktualnie kontrolowała większość przekazów do i z Petersburga. O tym, że polski wywiad chce z powrotem rozwinąć siatkę w Moskwie, dowiedziała się równie szybko, co pion operacyjny CIA. Warszawie rozpaczliwie brakowało odpowiednich osób. FSB znacznie przereździła struktury, jakimi tam dysponowali. W krótkim czasie, jaki mieli do dyspozycji, odtworzenie ich wydawało się niemożliwe – no, chyba że dysponuje się kimś takim jak Andrzej.

Wiedziała, do czego jest zdolny. Co więcej, widziała go w akcji. Z drugiej strony, on jeden nie poddał wszystkiemu. Lecz nie tylko to wzbudzało jej niepokój. Jak przeczytała, nie wyjechał sam. Towarzyszyła mu jeszcze jedna osoba należąca jakoby do stworzonej przez niego siatki. Szybko dowiedziała się, o kogo chodzi. Zdjęcie dołączone do pliku ukazywało młodą, ładną dziewczynę. Wyrobiono jej dokumenty na nazwisko Isajewa. Tamara Isajewa. Sprawdziła, jakimi papierami posługiwał się Andrzej: Isajew. No ładnie.

Nie spodziewała się, że tak bardzo nią to szarpnie. Przez dłuższą chwilę w jej głowie kłębiły się sprzeczne uczucia, z których jedno zdominowało całą resztę. Na pewno łączyło ich dużo więcej. To jasne. Jaki facet pozostanie obojętny wobec takiej wywłoki?

– Ashley, dobrze się czujesz? – Gary przyglądał się jej z troską.

– Daj mi momencik. – Szuflada z klawiaturą zatrzasnęła się z hukiem.

Wychodząc, porwała z biurka współpracownika papierosa i zapalniczkę.

Mogła się tego spodziewać – w końcu kogoś sobie znajdzie. Rozstali się dość dawno, a mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się pewnego sentymentu.

Wszystko układało się dobrze, o ile o nim nie myślała. Zepchnięty na skraj świadomości funkcjonował jako wspomnienie, ważne wspomnienie, lecz nie popadała z jego powodu w rozpacz. Gdzie leżał błąd, tego nie chciała dociekać. Gdyby nie praca u Craiga, na zawsze straciłaby Andrzeja z oczu, a tak jak diabeł z pudełka pojawiał się w najmniej oczekiwanych momentach. Ich losy dziwnie się spletały. Czyżby już na zawsze byli na siebie skazani?

Nowa dziewczyna Wirskiego wyglądała na milutką i co ważniejsze, o parę lat młodszą od niej. Konkurencja nie śpi. Niepotrzebnie próbowała go urobić i na siłę wcisnąć do świata, w jakim się obracała. Nie wytrzymał ciśnienia i uciekł. Wina leżała po jej stronie.

– Nie wiedziałam, że palisz. – Współkatorarka z pokoju przemknęła obok.

– Ja też nie.

Asystentka sekretarza stanu wytrzeszczyła oczy i już jej nie było.

Do gabinetu wróciła spokojniejsza. Zamknęła strony dotyczące placówki w Petersburgu. Pora iść do przodu. Skoncentrowała się na kolejnym zagrożeniu. Część jednostek przebywających do tej pory w obwodzie moskiewskim i w samej stolicy stopniowo przesuвано dalej, głównie na północny wschód, w okolice Tuły. Wstępne analizy interpretowały to jako osłonę Moskwy z tego właśnie kierunku przed nacierającym II Korpusem. W zasadzie podzielała ten pogląd. Sporo jednostek wykruszyło się w niedawnej ofensywie, więc kolejna na tę skalę wydawała się mało prawdopodobna. Chociaż kto ich tam wie? Musi pogadać z kimś z Departamentu Obrony i zapytać, jakie oni mają zdanie w tym temacie.

Pomimo poważnego osłabienia Rosjanie nadal dysponowali pokaźnymi siłami. Jeśli dodać Białorusinów w okolicach Mińska, mają przeszło tysiąc czołgów, głównie T-90 i T-80, oraz dwa razy tyle transporterów i bojowych wozów piechoty przy wsparciu pokaźnej liczby artylerii i rakiet. To wciąż sporo. Pentagon nie jest chyba ślepy. Zresztą nadzorowanie pola bitwy nie należało do jej

obowiązków. Musiała tylko wiedzieć, co się dzieje, jako że Gary często zadawał najróżniejsze pytania, a później posiłkował się jej opinią.

– Już dobrze? – Craig przesunął okulary do czytania na czoło.

– Aha.

– Jeżeli mogę w czymś...

– Daj spokój.

– Akurat tego jednego dać ci nie mogę.

– Kolejna narada?

– To raczej jedno niekończące się zebranie z krótkimi przerwami. – Przeszli do osobnego pomieszczenia. – Spraw jest tyle...

– Nie musisz mi przypominać. Z każdym dniem robi się coraz gorzej.

– Tak. Obywatele czują się oszukani.

– Trudno im się dziwić. Władza kryje się w podziemnych bunkrach, a na powierzchni szaleją bandyci.

– Przeniesienie się na stare śmieci niewiele zmieni. – Craig założył ręce na piersi i przystanął przed wiszącą na ścianie fotografią Kapitolu. – Śledztwo w sprawie planowanego zamachu ugrzęzło w martwym punkcie.

– Nie wróży to dobrze na przyszłość. FBI robi się nerwowe. NSA i reszta tak samo. Niedługo zaczniemy wysyłać uzbrojone drony nad Amerykę, żeby kontrolować przepływ ludzi i eliminować zagrożenia – wyznał doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Błądzimy po omacku.

– Czy nikt nie pomyślał o nawiązaniu nieoficjalnych kontaktów? Gary, to jedyne rozwiązanie. Nie wszystko daje się załatwić siłą. Chociaż ty miej dość rozsądku. Nic nas to nie kosztuje. Poprosimy ambasadora Szwajcarii czy innego neutralnego kraju o zorganizowanie spotkania. W ostateczności niech nas reprezentuje ktoś z zewnątrz.

– Zerwali wszelkie kontakty.

– Zerwali kontakty z NATO, ale nie z całym światem.

– Wszystkie kraje, z jakimi graniczą, są z nimi w stanie wojny.

– A specjalny wysłannik? Może to być ktokolwiek. Pierwsze spotkanie będzie najważniejsze. Spróbujmy powołać wspólną komisję. Inaczej wiesz, jak to się może skończyć.

– Obecnie przewagę mają zwolennicy kontynuowania operacji. – Gary skrzywił się. – Kolejna dywizja, zdaje się 1 Kawalerii, i 75 Pułk wyruszają do Europy już dziś. Wilson mówił, że to nie wzmocnienie II Korpusu.

– Są zbyt pewni siebie.

– Pewnie masz rację, nie jestem specjalistą – odparł Gary. – Zostaną przetransportowani do Rumunii.

– Co chcą w ten sposób osiągnąć?

– Utworzyć front na Ukrainie i w południowej Rosji.

– Jedną dywizją?

– Nie dywizją, a organizowanym III Korpusem. Dołączy do nich brygada z Kanady. Kolejną przysłał Brytyjczycy, a resztę zapewnią Rumunii i Włosi.

– Mogli poprosić Greków i Turków.

– Z wiadomych względów nie jest to możliwe – podsumował Craig.

– Jak widzę, nigdzie nie ma nikogo rozsądnego, kto by chciał powstrzymać to szaleństwo.

– Co mam ci odpowiedzieć? Zdaje się, że już dawno sprawy zaszły zbyt daleko, byśmy mogli się cofnąć. Zgoda: błędy leżą i po naszej stronie – przyznał niespodziewanie Gary. – Jednak nie dano nam wyboru – zastrzegł zaraz.

– To jedna z tych sytuacji, gdzie nie ma winnych.

– Jak do tej pory nikt nie szukał ich zbyt usilnie, a nasze dobre chęci...

- Akurat ten frazes bym sobie darowała.
- Czego ty chcesz? – zapytał zirytowany.
- Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.
- Trudno z tobą dojść do ładu.
- Przepraszam. Nie powinnam się tak zachowywać.
- Nie jestem pamiętliwy.
- Wiem. Inaczej już dawno bym zrezygnowała z tej roboty.

Oboje dobrze wiedzieli, jakie intencje kierowały Ashley.

– Jak widzisz, nie jest dobrze. – Craig rozłożył ręce. – Z każdym dniem wpadamy głębiej w korkociąg. Odnoszę wrażenie, że nikt już nie słucha moich rad. Obecnie wszyscy koncentrują się na mapach.

– Wyjaśnij.

– Na mapach. Czy już zajęliśmy jakieś miasto i dotarliśmy do rzeki. Ważne stały się skrzyżowania, wzgórza i punkty terenowe. Nawet prezydent dał się w to wciągnąć, a już prawdziwą furorę robią statystyki: tyle a tyle zniszczonych czołgów i zestrzelonych samolotów. Marynarka wojenna też nie śpi, informując o kolejnych zatopionych okrętach, w sztukach i w przeliczeniu na ogólny tonaż. Oczywiście, w drugą stronę działa to podobnie. Straciliśmy sprzęt o wartości miliardów dolarów.

– Koszty ludzkie są niepoliczalne.

– Wspomnij o tym Bidenowi, on tym wszystkim kręci. Im się wydaje, że to jakaś cholerna gra. Z drugiej strony, czują strach. W życie wchodzi kolejne rozkazy wykonawcze. 10995 – kontrola nad środkami komunikacji, 10998 – przejęcie kontroli nad wszystkimi zasobami pożywienia i farmami, 11000 – powołanie cywili do brygad pracy pod jurysdykcją rządową i tak dalej. Ludzie uciekają z miast, spada produkcja. Wygrana w wojnie niewiele zmieni. Niektórzy już wieszczą gigantyczny kryzys. Podbicie Rosji nie rozwiąże tego problemu. Nawet jeśli sprowadzimy Federację do poziomu kolonii z darmowymi surowcami, i tak koszty będą ogromne.

– A Chiny?

– No właśnie, Chiny. Małe, wredne, żółte gnojki robią, co chcą. Są w Kazachstanie i w Kirgistanie. Pozostałe republiki już spieszą podpisać z nimi umowy gospodarcze z klauzulą pozostawienia sporego kontyngentu wojskowego. Na krótką metę to działa.

– A na dłuższą?

– Brak pomysłów.

– Kiedyś... – Ashley wróciła pamięcią do czasów, gdy zamiast niej asystentem był Lomax. – Otóż...

Gary czekał cierpliwie.

– Podobno istnieje, czy raczej istniała odpowiednia doktryna.

Oczy Gary'ego zwężyły się w wąskie szparki.

– Kto ci o tym wspomniał?

– Jak myślisz?

– A prosiłem...

– To aż takie tajne?

– Powiem więcej: niepopularne. – Oblicze Gary'ego postarzało się o dekadę. – Pomysł powstał parę lat wcześniej. Grupa analityków na fali chwilowego wzrostu napięcia wysnuła projekt wcale nie taki oderwany od rzeczywistości. Pewnie novum stanowiło podejście do tematu.

– Potraktowali obszar Federacji Rosyjskiej i Chińskiej Republiki Ludowej jako wrogi – stwierdziła Ashley.

– Poszli dalej. – Craig podparł brodę. – Założyli sojusz obu krajów i agresywne wystąpienie przeciwko Stanom Zjednoczonym. Chcąc wygrać, musimy operować w przestrzeni obu tych państw.

– Karkołomne.

– Ci, do których trafiły wyniki prac studyjnych, pukali się w głowę, uznając podobny scenariusz za absurdalny. Wyciągali argumenty o sprzeczności interesów obu mocarstw.

– Do pewnego stopnia mieli rację.

– Ja też w pierwszej chwili nie potraktowałem tego poważnie, lecz w końcu te poglądy znalazły na tyle poważną grupę zwolenników, że oficjalnie zaklasyfikowano ten projekt jako doktrynę i zaczęto rozwijać. Żeby było śmieszniej, nikt się nie chciał pod nią podpisać, więc wzięto jakiegoś faceta z łapanki i nazwano to doktryną Wolffa. Jeszcze do niedawna siedziało nad tym paru ludzi i opracowywało kolejne warianty. Obecnie jest tego z pięćset stron.

– Aż tyle?

– Za dużo?

– Nie. Po prostu nigdy nie myślałam, że sprawa jest aż tak złożona.

Gary w końcu sięgnął do biurka. Trochę w nim poszperał i wyciągnął dokument.

– Cyril widział jedną z pierwszych wersji. Ta jest w miarę kompletna.

Ashley przejęła księgę i otworzyła na spisie treści. Pominęła warunki geograficzne, klimat, populację, migracje i mniejszości narodowe, jak również potencjał wojskowy i zagadnienia polityczne. Ostatnia część zawierała wersje postępowania uwzględniające różne punkty wyjścia: od ścisłego sojuszu Rosji i Chin, gdy państwa te są w kwitnym stanie, aż po doraźną wspólnotę państw upadłych, z całkowitym zanikiem władzy centralnej na interesującym ich obszarze.

– Coś z tego pasuje do obecnych okoliczności?

– Raczej nie lub jeszcze nie – odpowiedział Gary. – Rosja i Chiny nie związały się sojuszem, niemniej są naszymi wrogami. Wcześniej czy później Moskwa padnie. Pozostanie nierozwiązana sprawa Pekinu. Sam uważam, że skoro chwycili już tak wielki kęs, na jednym nie poprzestaną.

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

– Właśnie – potwierdził Craig. – Sprawują kontrolę nad Mongolią, tworząc z niej swoisty bufor. Na zachodzie zajęli spory kawał Kazachstanu, nigdzie nie napotykając oporu. Syberia kusi. Praktycznie jest bezpańska.

– Nie jestem pewna. – Ashley uniosła spojrzenie znad opracowania. – Intencje Tokio wciąż pozostają niejasne. Już dowiedli skuteczności i raczej się nie wycofają. Pekin musi na nich uważać.

– I wzajemnie.

– Owszem. – Ashley zgodziła się z Garym. – Ani jednej, ani drugiej stronie nie zależy na wzajemnej konfrontacji. Zarówno Pekin, jak i Tokio chcą po wszystkim uznać się za zwycięzców.

– Masz rację. Może jest w tym jakaś szansa dla nas.

– Tylko pod warunkiem unieszkodliwienia przygotowywanego na nas zamachu. Jeżeli plan Rosjan wypali, to nie tylko oni, ale i my zostaniemy bankrutami – westchnęła.

– Eksperci oceniają, że impuls nie dosięgnie Hawajów i Alaski oraz sporych obszarów w środkowej części kraju.

– Na jakiej podstawie? Zresztą... A cała reszta? Kalifornia, Wschodnie Wybrzeże? Ilu ludzi znajdzie się w obszarze dotkniętym katastrofą? Sto-sto pięćdziesiąt milionów? Gary, o czym my tu mówimy?

– Rozmawiałem ze specjalistami z FEMY. Są zgodni. Będzie ciężko, ale damy radę. To nie pociski jądrowe. Ci ludzie nie wyparują. Nie będzie opadu promieniotwórczego i fali ciśnienia. Tylko...

– ...elektryka przestanie działać – dokończyła za niego dziewczyna.

– Agencja posiada sieć obozów mogących pomieścić parę milionów osób. Wykorzystamy nieczynne bazy wojskowe. Specjaliści już pracują nad zabezpieczeniami. Na szczęście o wszystkim dowiedzieliśmy się z wyprzedzeniem.

– Pewnie poinformowaliśmy zarządy banków, zaś udziałowców i klientów już nie. Ich oszczędności znikną, o ile jeszcze coś z nich zostało po atakach hakerów.

– System nie jest doskonały.

– Oględnie mówiąc, jest pełen dziur.

- Jak chcesz. Moim zdaniem nie wymyślimy niczego lepszego.
- Bo siedzisz w samym środku jak pajak czekający na zdobycz. – Przerzuciła kolejne parę stron.
- Wilson to zna?
  - Pewnie.
  - I jakie ma zdanie?
    - Wiesz, jaki jest – prychnął Gary. – Wszystko przeżywa. Chyba nigdy nie sądził, że stanie przed takim wyzwaniem. Koncentruje się na jednym przeciwniku, ale drugiego nie chce stracić z oka.
    - Biden i Kerry nie próbują mieszać?
    - Przynajmniej nie w kwestiach wojskowych. Prezydent stara się być twardy, a ten przydomek „militarysta amator” bardzo go uraził.
    - Krok w przód i dwa w tył.
    - Niekoniecznie. Jest jednym z tych, którzy wszystko chcieliby zrobić dobrze.
    - Tak się nie da.
    - Jemu to powiedz.
    - Od tych spraw jesteś ty.
    - Już w czasie pierwszej kadencji przestałem żyć złudzeniami.
    - Wróć na uczelnię. Studenci będą cię nosić na rękach. Szczere wyznania i garść faktów, wszystko polane sosem elokwencji w najlepszym wydaniu.
    - Przypomnij mi, dlaczego cię jeszcze nie wywaliłem?
    - Bo jestem niezastąpiona – odpowiedziała szczerze z rozbajającym uśmiechem. – Nie potrafisz się na mnie gniewać i mam imponujące CV.
    - Długie nogi i niewyparzony język.
    - Pewnie jedno idzie w parze z drugim. – Odrzuciła włosy do tyłu.
    - Nie rób tak więcej, później nie mogę w nocy zasnąć.
    - Jeśli poprosisz, przyniosę ci coś na uspokojenie.
    - Wtedy rano już się nie obudzę. Za to lepszego zejścia z tego łez padołu nie mógłbym sobie wyobrazić – uśmiechnął się Gary.
    - Pomarz sobie.
    - Zrobiłem błąd.
    - Jaki?
    - Nie powinienem cię zatrudniać. Świat byłby prostszy, a tak codziennie widzę, czego nie dostanę.
    - Uwierz mi, tak jest lepiej. – Właśnie przypomniawszy sobie, jak zakończył się jej ostatni związek.
- Mogę to zabrać?
  - Miłej lektury.
  - Może zrozumieć, co autorzy mieli na myśli. – Uniósł się z krzesła, poprawiając spódnicę na biodrach.
  - Uhm...
  - Tak?
  - Jak tylko wyjdziemy z tej nory, zabiorę cię na kolację do „1789” i koncert.
  - „Marcel’s” będzie lepszy. Trzymam za słowo.

22 BRYGADA PANCERNA, NA ZACHÓD OD PORCHOWA

– FEDERACJA ROSYJSKA | 27 maja, godzina 06:14

Dzień, jak wszystkie od paru tygodni, zapowiadał się wyjątkowo pogodnie. W nocy temperatura nie spadła poniżej osiemnastu stopni, a za parę godzin słupek rtęci przekroczy trzydzieści kresek, co zmieni poranne przyjemne ciepło w trudny do wytrzymania upał. Oczekiwana przez wszystkich zmiana pogody nie chciała nastąpić. Co więcej, prognozy na najbliższe dni

wyglądały podobnie.

Podporucznik Tomasz Maciejewski przerzucił ręcznik przez lewe ramię. Z drugiego na pasku zwisał Mini Beryl, z którym nie lubił się rozstawać. Szedł niedaleko, najwyżej dwieście metrów do przepływającego opodal strumienia, i choć obóz otoczono szczelną siecią posterunków, a patrole krążyły nieustannie, to z automatem czuł się bezpieczniej. Nie przeszkadzało mu, że kawał żelastwa obija się o biodro, a dodatkowe magazynki obciążają ładownice. Lepiej nosić, niż się prosić. W razie niebezpieczeństwa pociągnie serią po krzakach, zamiast chować głowę w piasek.

Minął zamaskowanego Rosomaka. Spod siatki rozmywającej bryłę transportera wystawało działko wymierzone w leśną przesiekę. Dalej parkował Humvee. Dwie anteny zataczały łuk od maski silnika do tyłu terenówki. Do tej pory Maciejewski nie potrafił zrozumieć, dlaczego wysuniętego stanowiska obserwatorów artylerii nie umieszczono w transporterze. Nawet nie w Rosomaku, tylko w Rysiu, modyfikacji pocziwego SKOT-a. Do takiej maszyny wchodzi więcej sprzętu, daje zdecydowanie lepszą ochronę, no i doskonale radzi sobie w terenie. Do tego jeszcze pływa. Punkt dowodzenia batalionu zmechanizowanego również znajdował się w Humvee. Po ostatnich doświadczeniach Maciejewski ugruntował swoje zdanie, że im więcej pancerza, tym lepiej.

Polankę pokrywała pożółkła trawa, która dopiero tuż nad wodą stawała się gęstsza i zielona. Wysokie pędy tataraku kotęsały się majestatycznie w błotnistym zakolu. Trochę dalej część niewysokiej skarpy, podmyta przez wartki nurt, osunęła się, tworząc piaszczysty zakątek. Pachniało piołunem i polnymi kwiatami.

Nadzieja na spokojną kąpiel rozwiła się, gdy ujrzał gromadę pluskających się podkomendnych.

– Zimna, panie poruczniku! – Makąła wytrząsał wodę z ucha.

– Czy nikt tu nie ma służby? – Rozejrzał się po okolicy. Już kiedyś coś podobnego widział w kinie. Nieświadomi niczego ludzie, a na przeciwległym brzegu wycelowane w nich karabiny maszynowe.

Sierżant wskazał na warty, pewnie oglądał ten sam film.

– Korzystamy z okazji.

– Widzę.

– Pan porucznik również.

– Co robić. – Ręcznik i Mini Beryl spoczęły na trawie, obok siadł Maciejewski i powoli rozsznurowywał buty.

– Przyszali uzupełnienia. – Makąła najwyraźniej nie chciał odchodzić.

– Najwyższy czas. Mają kogoś na moje miejsce?

– Nie, ale w logistyce się zmieniło.

– Skąd ty to wiesz?

– Eee... wie pan porucznik... – odpowiedział podoficer. – Gadam z tym i z tamtym... – sprecyzował.

– Poproś o przeniesienie do łączności. Tam bardziej się przydasz.

– Aż takim desperatem nie jestem.

– Zawadzki to miły facet. Chcesz, to z nim pogadam?

– Zawadzkiego odwołali.

– Naprawdę? – Nawet lubił oficera łączności batalionu, trzydziestoletniego łodzianina z poczuciem humoru. – Podpadł?

– Jest teraz w sztabie brygady.

Maciejewskiemu przypomniało się, że ciągle cierpią na braki kadrowe. Dokonywano zmian, no i wciąż ubywało tych, którym się nie poszczęściło, tak więc rotacja była spora.

– Kto za niego?

– Warchoł.

– A co z nim?

– To nie on, panie poruczniku, tylko ona. Kapitan Beata Warchoł. Kosa, nie baba. Chłopaki już



wymiękają.

– W końcu ktoś, kto ich będzie krótko trzymał.

– Jeszcze jak. Rutkowski, ten mały, pamięta pan, chciał zażartować, że to niby facetów w kraju zabrakło. Jak na niego huknęła! Dwadzieścia cztery godziny ancla. Co prawda zaraz się opamiętała, bo przecież ludzi za mało, więc dostał tydzień służby poza kolejnością. Rutkowski mówi, że poprosi o skierowanie do oddziałów liniowych.

– To nie koncert życzeń. – W końcu był gotów i wskoczył do wody.

– Pan porucznik wspomni moje słowa: szykują się nowe porządki.

– Nie wiedziałem, że jesteś takim antyfeministą.

– Bo nie jestem. – Makała zebrał garderobę i powlókł się w kierunku przesieki.

Gdy tylko dowódca zaczął się kąpać, wokół zrobiło się pusto. Większość pośpiesznie się odmeldowała i ruszyła w ślad za Makałą. Również wartownicy uznali zadanie za wykonane. Po pięciu minutach tylko śpiew ptaków rozbrzmiewał nad zatoczką.

Maciejewski przed siódmą ponownie znalazł się przy zaparkowanych Abramsach. Ledwie zdążył rozwiesić wilgotny ręcznik, gdy obok zjawił się sierżant.

– Szukają pana.

– Kto?

– Przecież mówiłem: logistyka. Już dwadzieścia minut temu, ale powiedziałem, że jest pan zajęty.

– Mogliście mnie zawołać.

– No nie... O, już idzie – powiedział sierżant i dyskretnie się wycofał, jednak wciąż pozostawał w pobliżu.

Maciejewski obrócił się, dopinając jeszcze guziki kurtki. O, cholera. Już wiedział, o co chodziło Makale.

Dziewczyna dorównywała mu wzrostem, mundur leżał na niej doskonale – no, prawie, bo kamizelka taktyczna pozwalała jedynie domyślać się szczegółów anatomicznych – hełm dyndał u pasa, na głowie czarny beret, jasne włosy spięte w kitkę i chabrowe oczy. Zdaje się, że był ugotowany.

– Podporucznik Karolina Manicka – przedstawiła się. – Mamy współpracować. – Wyciągnęła rękę.

Uścisnął ją delikatnie. Niepotrzebnie. Drobną dłoń o smukłych palcach była twarda jak należy.

– Przepraszam, że musiała pani czekać.

– Nic się nie stało. Rozejrzałam się tu i tam.

– Mojego zastępcę już pani poznała? Makała, poproś... – zwrócił od sierżanta.

– Tak. Pan jest ostatni.

– Pierwszy przydział? – zapytał, chcąc podtrzymać rozmowę.

– Wcześniej w 12 Zmechanizowanej.

– Szczecin?

– Choszczno.

– No tak. – Jakoś zapomniał, że dywizję próbowano przeformować w brygadę i wyprowadzono do innego garnizonu. – Co słychać w kraju? – Pytanie zadał bezwiednie. Zajęty problemami batalionu stracił ogólny obraz sytuacji. Liczba pocisków do dział była ważniejsza od spraw absorbujących innych rodaków.

– Nie najlepiej. Wprowadzono stan wojenny.

– To rozumiałe.

– Zakaz zgromadzeń, godzina policyjna, zaostrzony kodeks karny.

– Cywile się nie burzą?

– A jakoś nie. Są incydenty, ale nic wielkiego – odpowiedziała. – Wszyscy zastanawiają się, co dalej z Gdańskiem. Jak do tej pory to nasza największa katastrofa. Port i spora część miasta w

gruzach. Na szczęście, o ile można tak powiedzieć, ładunek nie przekroczył kilotony. Sopot i Gdynia w zasadzie są całe. Wszyscy zdają sobie sprawę, że uniknęliśmy najgorszej katastrofy.

– Tylko czy wyciągniemy z niej wnioski? – Na nosie dziewczyny dostrzegł delikatne piegi.

– My jak my. – Podporucznik Manicka obdarzyła Maciejewskiego smutnym uśmiechem. – W Niemczech panuje taki bałagan, że strach jechać do Berlina.

– No, chyba że Leopardem.

Najwyraźniej nie zrozumiała żartu, bo ciągnęła dalej tym samym tonem.

– Na początek poszło o przejazd jednostek brytyjskiej dywizji pancernej przez terytorium Republiki Federalnej, co szybko okazało się pretekstem do bardziej zdecydowanych wystąpień. Wykolejono parę pociągów, choć akurat nie tych z wojskiem. Rząd chciał zwiększyć liczebność armii. Pod presją opinii publicznej Bundestag się nie zgodził.

– Najwyraźniej pamiętają, czym się skończyła dla nich ostatnia wycieczka na wschód.

– Kanclerz apelowała. Nic z tego. W odpowiedzi zastrajkowały największe centrale związkowe i uniwersytety. Co dzień, a właściwie co noc płoną setki samochodów i budynków. Naziści i czerwoni poczuli siłę i moc – w sondażach nabierają znaczenia i już szykują się do przejścia władzy.

Przez umysł Maciejewskiego przemknęła wizja, jak zawracają czołgi i zamiast na wschód, jadą wprost na Berlin. Historia zna takie przypadki.

– A reszta?

– We Francji podobnie. Przedmieścia wrą. Wszyscy spodziewają się najgorszego.

– Czyli czego?

Wzruszyła ramionami, nie znajdując odpowiedzi.

– Dziękuję. W zasadzie usłyszałem wszystko, co chciałem.

– Wiem, że nie brzmi to najlepiej.

– Proszę się nie martwić. – Spróbował dodać jej otuchy.

Zasalutowała i wykonała przepisowy zwrot w tył.

– Niezła – oświadczył Makała, gdy Manicka oddaliła się poza zasięg głosu.

– Nie mam pojęcia, co wam się roi w głowie, sierżancie.

– A ja sam już nie wiem, panie poruczniku, czy ten pomysł w kobietami w armii jest dobry. W koszarach i na poligonie wszystko gra, no, można tak powiedzieć. Tu jest inaczej.

– Może chcecie zmiany? Ona na moje miejsce?

– Zmarnuje się. – W głosie Makały nie dostrzegł wesołości.

– Zdaje się, że nikt tu nie ma wyboru.

•

Sprzęt audio na Huzarze posiadał ogromną moc. Maciejewski słyszał rytm na długo wcześniej, zanim śmigłowiec przeleciał nad kolumną pancerną brygady. Gitary i perkusja zlewały się w jeden łomot, dopiero głos wokalisty nadał im charakteru, choć dalej melodia nie kojarzyła się z niczym konkretnym. Dopiero refren rozwiął wątpliwości. Sabaton „40:1”.

Uśmiechnął się pod nosem. Jak widać, nic innego nie pasowało do sytuacji. Polska muzyka nie nadążała za trendami, a mdłe i nijakie kawałki rozczarowywały.

Wszyscy odruchowo zadarli głowy do góry. Hałas wystraszył leśne ptactwo, które teraz gnane strachem umykało na północ. Maszyna zatoczyła zgrabną pętlę i pomknęła z powrotem.

– Rydwan Jeden-Jeden – usłyszał wezwanie.

– Zgłaszam się.

– Ruszaj.

– Tak jest. – Przełączył się na sieć wewnętrzną. – Makała, jazda.

Obejrzał się za siebie. Poszczególne wozy niknęły pod baldachimem z gałęzi. Droga zakręcała i Abramsów drugiej kompanii nie potrafił dostrzec. Przed nimi posuwały się Bradleye piechoty i Rosomaki zwiadowców. Powietrze wypełniał smród spalin.

Przez pierwsze parę kilometrów próbował wszelkich sztuczek, by nie usnąć. Bezustannie kręcił

się na siedzeniu, a to obserwując okolice, a to zerkając na zewnątrz przez niedomknięty właz. Kolumna sunęła najwyżej trzydziestką. Czołgi mogły wyciągnąć nawet siedemdziesiąt, czy wręcz ponad setkę po zdjęciu ogranicznika. Jedynym problemem było paliwo, którego Abramsy pochłaniały monstrualne ilości. Nadmiar mocy za to dawał wymierne korzyści w bezpośredniej walce. Oby już więcej nie musiał tego doświadczać.

Nadzieja rozwiązała się szybko jak dym z wypalonego wraku. Stanęli przed resztkami Kamaza zalegającego na środku szosy. Nikt nie lubił takich niespodzianek. Za każdym razem istniało ryzyko zasadzki, ciężarówka przecież nie spłonęła sama z siebie. Ktoś ją podpalił. Swąd był aż nadto wyraźny.

– Daj do przodu – poleciał kierowcy.

Abrams wcisnął się pomiędzy Bradleye. Z jednej i z drugiej strony gęste zarośla. Jak wyniesie stąd cało głowę, nigdy chyba nie polezie do lasu. Dość ciągnącej się kilometrami ponurej gęstwiny, mrocznej, pełnej oparów i uroczyisk. O ile w dzieciństwie lubił zapuszczać się do podmiejskich parków, stopniowo przechodzących w bardziej dzikie okolice, obecnie dałby wszystko za bezkresną równinę.

– Zatrzymaj.

W razie potrzeby zepchną wrak na pobocze. Na razie kręciło się przy nim paru zwiadowców. Ich sylwetki wydawały się Maciejewskiemu nierealne. Misje w Iraku i Afganistanie zakończyły się już dawno, a tu w głębi Rosji widok ludzi z biało-czerwonymi naszywkami, swojskim umundurowaniem i wyposażeniem trącił czystą fantastyką. Transportery na środku pustyni i w sercu gór Azji robiły mniejsze wrażenie niż takie same pojazdy II Korpusu na tle rosyjskich brzoź.

Niezła jazda. Ocknął się z zamyślenia. Jak zacznie bujać w obłokach, może znaleźć się w niebie.

Krótką serią z lewej. Lufa czołgu zatoczyła łuk. Ci, którzy jeszcze przed sekundą stali na szosie, już kryli się pomiędzy sosnami. Oczekiwał uderzeń pocisków w pancerz, ale nic takiego nie nastąpiło. Potyczka toczyła się dalej od nich. Zerknął na ekran – żadnych obcych jednostek.

Starał się śledzić zwiadowców śpieszących na pomoc kolegom, lecz ci szybko rozplynęli się w półmroku puszczy. Za pierwszą drużyną pobiegła kolejna. Pojazdy nie ruszyły z miejsc, tylko ich silniki cicho pomrukiwały. Każdy nerw w ciele Maciejewskiego napiął się do granic możliwości. Takiego oczekiwania nie lubił najbardziej.

– Już po wszystkim. – Mąkała dostrzegł ruch pomiędzy pniami.

Jeńców przyprowadzono siedmiu, dwóch zostało w głębi lasu już na zawsze. Nikt nie wspominał, czy któryś uciekł. Nieistotne. Z tych, co są, wywiad pewnie wycisnie wszystko, co trzeba.

Rosjan ustawiono jednego przy drugim i rozpoczęto rewizję. Gdyby któryś schował w kieszeni scyzoryk, mogłyby być kłopoty.

Maciejewski wygramolił się z Abramsa i stanął z boku. Jak na takich, co przegrali, wciąż wyglądali na wyjątkowo pewnych siebie.

– 98 Dywizja. – Starszy sierżant przeglądał ich książeczki wojskowe.

Podporucznik przypomniał sobie zestawienie jednostek. Skoro należeli do 98 Dywizji Powietrznodesantowej z Iwanowa, to raczej nie odbywali wycieczki krajoznawczej.

– Odprowadzić do sztabu.

– Powinien pan zobaczyć jeszcze to. – Żołnierz wskazał kierunek.

Poszli wydeptaną ścieżką, oddalając się od szosy. Żałował, że nie zabrał ze sobą pistoletu.

– Na piechotę nie przyszli. Poszperaliśmy i znaleźliśmy coś takiego.

Gdyby nie typowo rosyjski kamuflaż, pojazd mógł zostać wzięty za jeden z wozów koalicji. Wyglądał trochę jak Humvee, a trochę jak transporter mogący przewieźć dziesięciu żołnierzy.

– Cóż to za cudo?

– Wołk.

– Nieżyły – powiedział z uznaniem.

– Zaraz wytargamy to cacko na drogę. – Sierżant zabrał się do roboty, obsztorcowując podkomendnych.

– Tylko powoli.

– W środku znaleźliśmy laptop i sprzęt łączności.

Został zaprowadzony na tył. Spokojnie zajrzał do środka. Małe pancerne okienka z boku nie dawały takiej możliwości.

– Doskonale.

– Sam pan przyzna, poszcęściło się. – Zwiadowca uśmiechał się od ucha do ucha, a Maciejewskiego zaczęły gnębić dwa pytania. Po pierwsze: ile niespodzianek trzymają Rosjanie w swoim arsenale; i po drugie: czy zwiad 98 Dywizji nie był zwiastunem czegoś poważniejszego?

62 MEU, GATCZYNA – FEDERACJA ROSYJSKA | 27 maja, godzina 15:41

Tym razem to 62 Oddział Ekspedycyjny Piechoty Morskiej znalazł się w czołówce natarcia. Przeszło siedemdziesiąt kołowych rozpoznawczych Strykerów, bojowych wozów Bradley i czołgów Abrams M1A2 parło na północ szosą w kierunku Gatczyny. Cel znajdował się już niedaleko – za chwilę powinni zobaczyć węzeł drogowy na południowych rogatkach miasta.

Dziewięćdziesiąt tysięcy Gacztyna leżała czterdzieści pięć kilometrów od Petersburga i można ją było uznać za dalekie przedmieścia północnej stolicy Federacji.

Ku uldze większości marines teren zaczął przybierać charakter rolniczy. Może to jeszcze nie Oklahoma, ale przytłaczające wrażenie pustki powoli ustępowało.

Kapitanowi Timothy'emu Walshowi nie podobały się ostatnie zmiany. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej na polecenie z góry zaczęli się śpieszyć. Przestali być ostrożni, a rozpoczęli się wyścig, trudno powiedzieć, czym spowodowany. Oczywiście, nie wszystkim to przeszkadzało. Byli tacy, co narzekali na dotychczasową powolność: sukces leży w prędkości, po jaką cholere działac asekurancko i dawać czas Rosjanom na przygotowanie obrony? Krótka operacja i koniec. Czyżby teraz sztab dał im posłuch? Krążyło mnóstwo plotek, tylko że nikt nie wiedział niczego pewnego.

Stryker, którym jechał Walsh, podskoczył na wyboju. Gdyby nie pasy, hełmem walnąłby w pancerną blachę. Sprawdził na monitorze, gdzie są. Od Gacztyny dzieliło Amerykanów nie więcej niż dwa kilometry. Obwodnica obchodziła miasto od wschodu szerokim łukiem, chociaż, oczywiście, przez centrum też można było przejechać. Oprócz tego ze wschodu na zachód ciągnęła się droga krajowa M20. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, by Rosjanie pozostawili tak ważny punkt bez obrony.

Spojrzał przez wizjer na zewnątrz akurat w chwili, gdy błękit nieba przysłoniła jakaś chmura pyłu. Zdziwił się, lecz nie zaniepokoił. Dopiero sekundę później dotarł do niego sens tego, co widzi – dziesiątki pocisków artyleryjskich rozerwało się przed frontem marines. Wysuszona na wiór ziemia wyrzucana wybuchami zakryła wszystko nieprzeniknioną dla oka zasłoną. Pojazdy pierwszej kompanii momentalnie znikły w tej kurzawie. Nie było widać dosłownie nic. Posuwające się do tej pory we wzorowym porządku pojazdy kolumny nagle się rozpiechły. Kto mógł, uciekał na boki, ostro manewrując.

– W prawo! – nakazał kierowcy, który wiedziony odruchem zaczął naciskać hamulec. – Nie zwalnij! – Gdyby siedział bliżej, szarpnąłby żołnierza za rękaw. – Uwaga! – zdążył tylko wrzasnąć, gdy 21-tonowa maszyna wyskoczyła w powietrze. Ciągący się przy szosie rów, cały porośnięty suchą już trawą, był praktycznie niewidoczny. Walshowi wydawało się, że siła pędu obróci nimi w locie i ciśnie na burtę, jednak transporter spadł na wszystkie osiem kół. Załoga i desant odczuli uderzenie wyjątkowo boleśnie. Przez głowę kapitana przeleciały setki myśli, lecz jakimś cudem maszyna nie zaryła w glebie, tylko ponownie wystrzeliła w górę i przy kolejnym przyziemieniu pewnie złapała grunt. Gnali teraz przez łąkę, miażdżąc oponami poźółtką roślinność.

Kilkaset metrów dalej rósł zagajnik. Jak tam dotrą, ukryją się przed wzrokiem obserwatorów. Za

nimi pędziła reszta wozów plutonu. Chwilowo byli bezpieczni. Byle dalej od tego piekła.

Spróbował dojrzeć, co dzieje się z lewej strony, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się czoło batalionu. Do wzniesionego eksplozjami szarego tumanu pyłu dołączyły czarne, gęste obłoki dymu, wyraźne znaki zniszczenia maszyn. Jedyne słowo, jakie przychodziło mu do głowy, to „masakra”. Z takiego ostrzału mało kto wyjdzie żywy.

Myśl, człowieku, inaczej wszyscy zginiemy w tym cholernym pudle. W podjęciu decyzji nie pomagało wycie z tyłu przedziału transportowego.

– Mamy rannych?

– „Ronson” złamał rękę – usłyszał odpowiedź. – Trzasnęła jak zapałka.

Kapral przezywany „Ronsonem” – od zapalniczki, bo szybko wpadał w złość, kiedy coś nie szło po jego myśli – darł się jak opętany.

– Niech wstrzyknie blokadę i zamknie jadaczkę. – Nie będzie zajmował się jednym człowiekiem, gdy na głowie ma całą kompanię. Musi ustalić, co z pozostałymi, i zająć się w końcu Rosjanami.

Skoncentrował się na wyświetlaczu HUD, próbując ocenić sytuację. Wdepnęli w bagno. Sporo maszyn utknęło na szosie. Z rosnącym przerażaniem obserwował, jak kolejne pojazdy są wyłączane z walki. Rusczy walili do nich jak do tarczy. Na szczęście udało mu się wyprowadzić swój pluton z bezpośredniej strefy ostrzału. Strykery pomykały jak rączę konie. Walsh wskazywał kierunek. Zataczali koło, próbując wyjść na skrzydło przeciwnika, a przynajmniej zorientować się, gdzie on się znajduje. Może w pobliżu, ale równie dobrze środki ogniowe mogły tkwić dwadzieścia kilometrów dalej. To, co tak dobrze do tej pory wychodziło Amerykanom, udało się w końcu i Rosjanom. Na wojnie nikt nie ma monopolu na przewagę i zaskoczenie. Jeżeli komuś w sztabie się wydawało, że sponiewierają siły Federacji jak Irakijczyków w marszu na Bagdad, to srogo się zawiódł.

– Zwolnij.

Transporterem przestało rzucać we wszystkie strony. Natrafili na odchodzący od drogi polny dukt i pomknęli nim na północ. Zgotowane im piekło pozostało na lewo. Jeszcze kawałek i skryją się w kolejnym zagajniku. Pałącym problemem stała się szosa: ma ją przekroczyć czy czekać na polecenia? Z tego, co widział, dysponował siedmioma wozami. Trochę mało, by próbować szturmować na przygotowanego przeciwnika. Abramsy marines w końcu rozwinęły się w nieregularną linię. Oddział przetrwał prawie nietknięty. Dużo bardziej oberwały Bradleye, których z działań wypadła połowa. Walsh naliczył osiem rozbitych pojazdów, z którymi całkowicie stracił kontakt. Parę kolejnych informowało o uszkodzeniach. Niektóre cofały się, część musiała zostać na miejscu.

Gdzie jest wsparcie? Nie widział nad sobą żadnych samolotów, nawet drona. Gdy ostrzał zdawał się słabnąć, na okolicę spadła salwa raketowa. Wszystko skotłowało się jak w gigantycznym młynie. W powietrzu latały grudy ziemi i oderwane fragmenty blach. Po pierwszej salwie gruchnęła kolejna. I jeszcze jedna. Przestrzeń wibrowała, a ziemia trzęsła się od uderzeń. Oderwana wieżyczka od Bradleya zatoczyła łuk i spadła dziesięć metrów od pancerza bojowego wozu piechoty. Atak przypominał burzę ogniową. Rozniesiono połowę batalionu. Na pewno zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, a jak na razie nie dorwali ani jednego przeciwnika.

Abramsy otworzyły ogień w kierunku skraju zabudowań Gaczkiny. Nie wiedział, czy wśród domów i sadów kryją się T-80, czy T-90, czy tylko obserwatorzy i drużyny z podręcznymi zestawami przeciwpancernymi.

– Pantera Jeden, wszystkie wozy za mną.

Na ekranie widział szlak wiodący równolegle do okrążającej miasto obwodnicy. Wyrwali pełnym gazem, skrajem leśnego kompleksu. Zostawiali za sobą kłęby pyłu i spalin. Wcześniej czy później zostaną dostrzeżeni, lecz zanim to nastąpi, miał nadzieję wreszcie znaleźć pozycje Rosjan. Przez miasto raczej się nie przedostaną. Szosa również nie wzbudzała entuzjazmu kapitana, więc może tędy?

Obserwował teren przed sobą, a równocześnie próbował zorientować się, jak wygląda bitwa.

Na swoje nieszczęście obrońcy trafili na piechotę morską, a nie zwykłą jednostkę armii lądowej. Marines agresję mieli we krwi.

Abramsy wyrwały przed siebie niczym spięte ostrogami rumaki. Każdy dostrzeżony ruch był natychmiast namierzany. Obrona okazała się dużo bardziej zacięta, niż początkowo przypuszczano. Same czołgi bez wsparcia piechoty nie miały tam czego szukać. Z pewnym opóźnieniem do akcji weszły szturmowce. F-16 nadlatywały parami. Od skrzydeł i kadłubów odrywały się śmiercionośne ładunki, które szybko przemieniły skraj Gaczczyzny w płonące morze ruin. Niemrawo odezwał się w końcu dywizjon artylerii 155 milimetrów, koncentrując ogień na dalej położonych rejonach.

Grad pocisków i rakiet wystrzeliwanych w ich kierunku uciął prawie zupełnie. Jakiś działon bił jeszcze w obszar, z którego rozwinęli natarcie, lecz najwyraźniej złapał zadyszkę, bo detonacje stały się nieregularne. Reszta baterii w tym czasie musiała zmieniać miejsce postoju, a ci, którzy pozostali, mieli za zadanie odwracać uwagę, oczekując nieuchronnego.

– Z wozu.

Zwiadowcy opuścili transportery. Niektórzy uczynili to z ociąganiem – pancierz dawał złudę poczucia bezpieczeństwa.

Wysunęli się przed Strykery w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Marsz przez środek pola nie był dobrym pomysłem, odbili zatem w prawo, gdzie przestrzeń pomiędzy dwoma kępami drzew wynosiła niespełna dwieście metrów. Panujący wokół spokój zdumiewał. W porównaniu z tym, co działo się przed chwilą i nie tak daleko, mogło się zdawać, że wylądowali na innej planecie. Już prawie dotarli do osłony, gdy któryś z towarzyszących Walshowi marines padł twarzą w piach.

– Snajper!

Jeszcze tego brakowało. Szło za dobrze. Tylko frajer uznałby ten rejon za zupełnie bezpieczny. Najwyraźniej obrońcy dobrze się przygotowali i pomyśleli o osłonie z każdej możliwej strony.

Któryś ze zwiadowców próbował przeskoczyć ostatnie metry. Znowu strzał i runął z głośnym westchnieniem. Powybijają ich do nogi. Spróbował zlokalizować strzelca, lecz nie potrafił.

– Kern, widzisz go?

– Stodoła na wprost tej topoli.

Sukinsyn ukrył się w środku. W płaszczyźnie dachu nie znalazł otworu, więc na pewno chodziło o kwadratowe okienko znajdujące się nad wrotami.

Operator M249 SAW najbliżej kapitana już namierzał cel. Wraz z nim drugi i trzeci. Serie zasypały stodołę. 5,56 milimetra to może nie 7,62 milimetra dawnego M60, ale też dawały radę, tym bardziej że co czwarty z nich był smugowy, więc czy w środku było siano, czy słoma, nie miało znaczenia. Trochę trwało, zanim rozhajcowało się na dobre. Podobnie jak reszta chłopaków, Walsh życzył snajperowi, by ten uwędził się w dymie i ogniu.

– Dalej.

Przedzierali się przez obszar nieużytków, wysokich chaszczy, resztek zrujnowanych baraków i głębokich dołów. Zwolnił i na HUD-zie wywołał mapę. Przed nimi rozciągała się połać starych struktur, prawdopodobnie należących do kompleksu zdewastowanych szklarni lub dawno nieistniejącego kołchozu. Dookoła było co najmniej sto miejsc potencjalnie niebezpiecznych. Wystarczy jedna drużyna, by wciągnąć zwiadowców w walkę.

Dobrnęli do końca czegoś, co z trudem można by nazwać lasem. Pomiędzy grabami, osikami i leszczyną zalegały całe zwałowiska gruzu i pokruszonych betonowych płyt, zardzewiałe żelazne konstrukcje i zwykłe odpadki. Wystarczyło potknąć się i nadzieć na któryś z elementów, a gangrena murowana. Jeszcze nie dotarli do samego Petersburga, a już mają przedsmak tego, co ich czeka.

– Ron, słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie. – Z głośnika doszło potwierdzenie ze strony dowodzącego Strykerami porucznika.

– Przed sobą masz drogę. Wiedzie prosto do... tych ruin. – Wciąż nie potrafił nazwać rozwalających się zabudowań.

- Widzę.
- Daj nam wsparcie.
- Wykonuję.

Na jednym ze Strykerów zamontowano działo kalibru 105 milimetrów. Do zwalczania czołgów się nie nadawało, natomiast do BMP, BTR-ów i pozostałej drobnicy jak najbardziej. Jeżeli napotkają opór, szybko go złamią.

Tak naprawdę wcale nie chodziło o ruiny – lepsze warunki dawał spory las na wschodzie, tyle że chcąc się do niego dostać, należało pokonać otwartą przestrzeń. Dopóki nie sprawdzą tego kompleksu przed nimi, nie pojedzie dalej. Nie chciał narażać się na boczny ostrzał.

Ruszył z M4 przyciśniętym do ramienia. Biegli truchtem szerokim duktem wysypanym żwirem i tłuczonym gruzem. Modlił się w duchu, by zabudowania okazały się puste. Raz obejrzał się za siebie, chcąc sprawdzić, gdzie są transportery. Były już blisko, pełzły jak wielkie, mechaniczne zabawki. Monotonne zawrodoenie silników powinno uspokajać, ale, do diabła, nie uspokajało.

Sto metrów przed rozwaloną bramą dał znak. Jedna drużyna od czoła, druga z lewej, a trzecia z prawej strony. Reszta czeka. Zaraz zobaczą, co kryje się w środku. Stryker zatrzymał się tak blisko, że Walsh mógł dotknąć przedniego koła. Obecność bestii dodawała otuchy.

Począł minutę. Potem kolejną. Nic się nie działo. Czyżby Rosjanie nie przywiązywali do tego miejsca większego znaczenia? To Walsh by nie zmartwiło. Poderwał się do biegu, by pokonać ostatni odcinek.

Oporządzenie ciążyło jak nigdy wcześniej. Zdyszany, zatrzymał się na placu za bramą. Dawny kombinat rolniczy okazał się kompletną ruiną. Zapadnięte dachy i potrzaskane szklarnie. Pędy olszyny wybijające się na parę metrów w górę. Potruchtał główną aleją, żeby zobaczyć, jak to wygląda z drugiej strony. Tak jak przypuszczał, otwarta równina ciągnęła się aż po Gaczną, o którą trwała zacięta bitwa. Obrócił głowę w przeciwną stronę. Tam las podchodził prawie pod samą obwodnicę. Znalazł się w odpowiednim miejscu. Dwadzieścia kilometrów dalej zaczynało się Puskino, a to już naprawdę południowe dzielnice Petersburga.

•

Nawet silny wiatr nie potrafił rozgonić dymów zasnuwających niebo nad miastem.

Oddziały broniące Gaczną nie należały do pierwszoliniowych, ale i tak napsuły atakującym sporo krwi. Najłatwiej byłoby ominąć zabudowania i ruszyć dalej, wszelako pozostawienie za plecami takiego gniazda szerszeni nie było dobrym pomysłem. Walki w mieście natomiast oznaczały mozolne przebijanie się przez poszczególne kwartały i oczyszczanie bloków ze zdesperowanych obrońców. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo to potrwa. Wszystko zależało od tego, ilu żołnierzy są w stanie poświęcić Rosjanie, aby utrzymać ten punkt. W głowach sztabowców zaświtała niezbyt przyjemna myśl, że oto bitwa o północną stolicę Federacji właśnie się rozpoczęła. Odtąd każdy metr drogi zostanie zroszony krwią.

Ważne uwarunkowanie dalszych decyzji stanowiła szczupłość sił koalicji. 62 MEU sama musiała uporać się z Gaczną, bowiem 3 Dywizję Piechoty i brytyjską 1 Dywizję Pancerną zgodnie z zaleceniami dowództwa regionu przesunięto na południe. Może w tym momencie dałoby się wspomóc marines jakimś batalionem, lecz odwodów należało używać bardzo oszczędnie. Największą nadzieję pokładano w sile ognia. Bez wsparcia artylerii przeciwnik ulegnie szybciej czy później. Punkty oporu zasypywano ogniem z dział czołgów lub niekierowanymi rakietami ze śmigłowców. Nikt nie wiedział, ilu mieszkańców pozostało na miejscu. W zrujnowanym mieście liczba ofiar mogła sięgnąć tysięcy. Każdy celowniczy i operator modlił się w duchu o rozsądek Rosjan. Co innego zabijać żołnierzy, a co innego masakrować bezbronnych cywili – na to nikt z nich się nie pisał.

•

Timothy Walsh ocknął się. Zamrugnął powiekami i poprawił wbijającą się w bok ładownicę. Senność spadła na kapitana znieca. Nabuzowany adrenaliną był pełen energii, lecz wystarczyła

przerwa w walce, by z tygrysa stał się pluszową zabawką. Wiedział, że tak się stanie, nie był tylko pewny, kiedy to nastąpi. Do tej pory dawał z siebie wszystko, a teraz w ogóle przestał zwracać uwagę na to, co dzieje się dookoła. Na szczęście dysponował cudownym środkiem na takie uciążliwości, choć na razie wstrzymywał się z jego zażyciem. W prawej górnej kieszeni kurtki wymacał niewielką fiolkę. Sięgnął po nią i na dłoń wysypał małą pomarańczową pastylkę. Opakowanie nie zawierało żadnych oznaczeń medycznych, nazwy ani składu leku. Wszyscy, którzy je dostali, i tak wiedzieli, co zażyli i jakie będą skutki – przez następne dwie doby będą chodzić jak nakręceny. Powróci sprawność fizyczna, a otępienie minie jak ręką odjął. Jedna tabletkę – nie więcej. Kolejna po dwóch dniach. Zwykłe dopalacze, jakie otrzymywali, traktowali niczym ogólnie dostępne używki – papierosy, kawę czy napoje energetyzujące. Natomiast ten środek dawał prawdziwego kopa. Walsh już widział ludzi, którzy łykali piguły bez ograniczeń. Na części nie robiło to wrażenia. Działali jak dawniej, nawet z lepszym rezultatem, ale byli i tacy, co dostawali pierdolca. Zwłaszcza po trzeciej, czwartej dawce. Istni urodzeni mordercy. Etyka czy ograniczenia przestawały się liczyć. Szli do akcji jak bojowe cyborgi i ginęli, bo prochy nie zapewniały nieśmiertelności.

– Tu Gwiazdny Niszczyciel. Pantera Jeden, zgłoś się.

– Tak. – Fiolka poleciała w pokrzywy. – Fuck.

– Powtórz. Nie rozumiem.

– Pantera Jeden, słucham. – Walsh zastanawiał się, czy przekleństwo dotarło do dowódcy batalionu.

– Potrafisz zlokalizować ewentualne zagrożenia?

Zdaje się, że zajęty kombinat stanowił najdalej wysuniętą placówkę Amerykanów.

– Przede mną cicho i pusto – powiedział zgodnie z prawdą.

– Doskonale.

– Co mam robić?

– Czekać.

•

Majorowi Aleksiejowi Konstantynowiczowi Silcowowi z 307 Batalionu Zmechanizowanego armii Federacji Rosyjskiej zadanie kompletnie nie przypadło do gustu. Większość z podwładnych stanowili nowo wcieleni rezerwiści. Resztę, czyli pozostałe czterdzieści procent jednostki – kadra z dawnej 138 Brygady Zmechanizowanej. Ci swoje już przeszli. Wystraszone oczy młodych będą mu się śniły po nocach. Tłumek po części przestraszonych, a po części otumanionych alkoholem idiotów, którzy dali się zapędzić do szeregu. Z nich kazano Silcowowi stworzyć w pełni wartościową jednostkę armii, i to w zaledwie siedem dni.

Tu nie było miejsca na pomyłki. Dostał tydzień na przygotowania. Z zadania wywiązał się, jak potrafił najlepiej. Zaprowadził bezwzględną dyscyplinę. W tych okolicznościach fala czyniła cuda. Trzydziestoletnich przyków w obroty wzięli młodzi. Jęki, bicia i przekleństwa trwały przez pierwsze dwie noce, potem już nikt nie miał sił. Szkolenie ograniczył do minimum – strzelanie i podstawy działania piechoty, sygnały ręką i elementy współdziałania z pozostałymi jednostkami jak artyleria czy czołgi. Po tych paru dniach może nabrali tężyzny i wywalili na strzelnicy wagon amunicji, ale cała reszta ich kwalifikacji się nie zmieniła.

Nie obyło się też bez ofiar. Pewien 34-letni zastępca dyrektora oddziału Sbierniku z Permu nie wytrzymał presji. Najzwyczajniej w świecie wypalił sobie w łeb czwartego dnia tuż po kolacji. Nikt nie przejął się stratą. Tego, który przestrzelił sobie stopę, kazał przywiązać do drzewa i rozstrzelać – samookaleczenie uważał za zdradę. Paru zwiąło z bronią. Ci niech odpowiadają przed własnym sumieniem.

Major Silcow stał w wieżycze BMP-2. W jaki sposób kilkadziesiąt starych trumien na gąsienicach czy kompanii czołgów T-80 oraz baterii armatohaubic 2S1 kalibru 122 milimetrów miało zatrzymać Amerykanów? Pojęcia nie miał. Podobno ofensywa jankesów ugrzęzła pod Gaczną. Nie wierzył w takie brednie. Jako zawodowy oficer wiedział, jaka przepaść dzieli obie



armie. Był skłonny raczej przypuszczać, że jej obrońcy zostali poświęceni w imię wyższych racji, na przykład mają dać obrońcom Petersburga więcej czasu. No, ale skoro inaczej się nie da...

Zamiast poruszać się głównymi drogami, poprowadził batalion bezpieczniejszymi – jak mu się wydawało – bocznymi traktami.

Na mapie wcześniej wytyczył marszrutę. Wioski i osady mijali, nie zdejmując nogi z gazu. Jedynymi obserwatorami tych wyczynów byli starzy ludzie. Nikt nie machał i nie pozdrawiał kolumny. Job twoju mać! Co się stało z tym narodem? Mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jakim wszyscy byli karmieni od maleńkości, przysł już dawno. Zdaje się, że cywile mieli w dupie, co się stanie z ojczyzną.

Na wszelki wypadek sprawdził, gdzie się znajdują. Minęli Złotyje Klucze i Bolszije Tajcy. Gdyby potrafił wznieść się ponad drzewa, na pewno dostrzegłby dymy nad Gaczną.

•

Spośród wszystkich rodzajów samolotów rzuconych do walki na froncie tylko jeden wciąż czekał na okazję do udowodnienia swojej wartości. AC-130 H Spectre to prawdziwa latająca forteca. Uzbrojony w dwa działka M61 kalibru 20 milimetrów, jedno działko L60 kalibru 40 milimetrów i automatyczną haubicę 105 milimetrów. Jako samolot wsparcia doskonale sprawdził się w Wietnamie, później używano go w Grenadzie, Iraku i Afganistanie, wielokrotnie modernizując i wprowadzając usprawnienia, tak aby wciąż stanowił pełnowartościowy środek walki.

Dwie sztuki AC-130 H znalazły w dyspozycji dowództwa II Korpusu, lecz wciąż nie miano dla nich odpowiedniego celu. Najczęściej szturmowy A-10 rozprawiał się z wrogiem wcześniej, niż turbośmigłowy Spectre docierał na miejsce. Debiut na nowym froncie wciąż odsuwał się w czasie.

Propozycję rozwalenia Rosjan w Gacźnie dowodzący 62 MEU puścił mimo uszu. Pomysł kuszący, lecz nierealny. Nie chciał zajmować miasta za cenę wybicia większości mieszkańców. Już wydawało się, że kolejny raz załogę Spectre'a czeka powrót do bazy bez oddania chociażby jednego wystrzału. Samolot na wysokości dwóch tysięcy metrów zatoczył koło, oddalając się od miejsca niedosłej akcji, gdy tymczasem na ziemi Abramsy wycofywały się, pozostawiając Gaczną w rękach Rosjan.

•

Sporą część swojej wojskowej kariery major Silcow zastanawiał się, co zrobi, gdy na jego drodze staną wojska państw zachodnich. W przeciwieństwie do większości kolegów on już dawno uznał taką możliwość za całkiem prawdopodobną. Teoretyczny problem, jak poradzić sobie z technologiczną przewagą wroga, potraktował jak zagadnienie praktyczne. Studiował taktykę i uzbrojenie Amerykanów, Brytyjczyków i Polaków, nieodmiennie dochodząc do tego samego wniosku: tego po prostu nie da się zrobić. W bezpośrednim boju spotkaniowym Rosjanie zostaną rozniesieni na strzępy. Wszystkiemu winna technologia i choć robili wiele w celu minimalizacji tych dysproporcji, chociażby wprowadzając drony, to wciąż mieli przed sobą długą drogę do przebycia. A przecież przeciwnik też nie stał w miejscu.

Takie rozważania stanowiły domenę oficerów sztabowych, a nie takiego jak on liniowca. Parę sztuczek, które wymyślił, nie pozwoli wygrać bitwy, co najwyżej jego oddział nie zostanie przemielony przez maszynkę do mięsa już w pierwszej minucie.

Najbardziej brakowało Silcowowi nowoczesnych cyfrowych systemów dowodzenia i łączności. Na sieciocentrycznym polu bitwy on dysponował technologią z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Mapa, kompas, lornetka – nieodłączne atrybuty oficera. Pragnął równych szans. Jeśli zaskoczy jankesów i podprowadzi własne T-80 dostatecznie blisko, to Amerykanom nie pomogą uranowe pancerze.

Tak się rozmarzył, że o mało nie przegapił zjazdu na Gaczną. Do jej północnego skraju pozostało kilkaset metrów. Nie sądził, by jankesi byli głupi i pchali się przez centrum. Jak już, skorzystają z obwodnicy lub obejdą miasto od zachodu. Wystarczy zatem poczekać, aż sami nawiną się pod lufy.

Piechota opuściła BMP-2. Dysponowali sporą ilością środków przeciwpancernych. Sekcje zabrały się za przygotowanie stanowisk karabinów maszynowych. Zwiadowcy wysunęli się w przód i na boki. Nic, tylko czekać.

•

Coś długo to wszystko trwało. Walsh zaczynał się niecierpliwić. Bitwa wciąż trwała, tyle że nabierała charakteru przewlekłego starcia. Obie strony badały, na co stać przeciwnika, a przesilenia jak nie było, tak nie było.

– Pantera Alfa Bravo Dwa.

– Ja Pantera Jeden odbiór.

Patrol pod dowództwem porucznika Rona Webstera w końcu dał o sobie znać.

– Widzę ruskich.

– Ilu?

– Batalion. Może więcej. – Webster nie potrafił sprecyzować. – Kwadrat Fokstrot Osiem Jeden.

Sprawdził, gdzie to jest – a to się cholery wycwanili. Jakiś łebski oficer zamiast pchać się pod Gaczynę, gdzie z oddziału pozostaną jedynie wióry, postanowił zaczekać na nich trochę dalej. Może spodziewał się, że rozgrzani zwycięstwem pomaszerują naprzód bez należytej ostrożności.

– Dobra robota.

•

W końcu dano im szansę. Pilot AC-130 położył samolot na skrzydło i maszyna z szybkością sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę obrała nowy kurs. Płonące miasto z tej wysokości wyglądało niesamowicie. Południowe dzielnice w większości zostały zrujnowane. Czarno-sine kłęby dymu wydobywały się z wciąż nowych miejsc. Proste odcinki dróg i obrysy pól nadawały obszarowi wygląd szachownicy. Gdy jedno trawił pożar, sąsiednie wydawały się nietknięte. Tak właśnie wyglądał rejon wskazany przez naprowadzającego: ciche, ustronne miejsce, o niewątpliwie urokliwym charakterze.

Natychmiast po otwarciu ognia przez samolot wszystko uległo zmianie. Patrząc z perspektywy zwiadowców Walsh, w miejscu, gdzie wcześniej ukrył się rosyjski batalion, dosłownie zawrzało. Przed spadającą z nieba stalową ulewą nie było schronienia. W ciągu sekund wyznaczony kwadrat zasypały setki pocisków. Uranowe rdzenie rozrywały bezlitośnie drzewa, ludzi i pojazdy, przebijając każdą napotkaną przeszkodę. Ekspłodowały zbiorniki paliwa i amunicja wewnątrz bojowych wozów piechoty. Cienki górny pancerz nie był w stanie zatrzymać pocisku lecącego z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, zamieniającego wszystko na swojej drodze w rozżarzoną chmurkę. Żołnierzy na stanowiskach bojowych przepuszczono przez szatkownicę. Strzępy ciał, czasem większe fragmenty oderwanych członków rozniosło po lesie. Na strzaskanych kikutach drzew i poszyciu skraplała się krwawa mgła. W mgnieniu oka poległ cały batalion wraz z jego dowódcą majorem Silcowem, poza załogami czołgów. T-80 mogły wyjść z tej rzeźni obronną ręką. Już bez rozkazu wrzucono wsteczne biegi i gejzery piachu strzeliły spod gąsienic. Mozolnie torując sobie drogę wśród pni i znieruchomiałych pojazdów, czołgi próbowały ująć z piekła. Wszystko szło dobrze przez jakieś pół minuty, dopóki nie nadleciał klucz F/A-18 Super Hornetów, który ostatecznie unicestwił batalion. Droga na północ została oczyszczona.

•

Kapitanowi Walshowi żołądek podjechał do gardła z powodu mdlącego smrodu palonego mięsa. Żarty podwładnych o ludzkim grillu ukrócił natychmiast. Takiego zachowania nie będzie tolerował. Liczyło się jednak co innego. Rozerwali obronę i odepchnęli Rosjan parę kilometrów do tyłu. Trzygodzinna bitwa kosztowała ich sporo. Część sprzętu zostanie spisana ze stanu, resztą zajmą się ekipy remontowe. Gorzej z ludźmi. Jeżeli nie otrzyma uzupełnień, wykrwawią się zupełnie w ciągu najbliższego tygodnia. Przy takiej intensywności walk z 62 MEU pozostanie jedynie nazwa.

Załadowali się do Strykerow. Przed nocą należało pokonać kolejny kawałek drogi. Petersburga z marszu na pewno nie wezmą.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

TWER – FEDERACJA ROSYJSKA | 26 maja, godzina 19:03

Wirskiemu niezbyt podobało się to, co widział w perspektywie ulicy. Cały Twer był zapchany kolumnami wojskowych ciężarówek i transporterów ciągnących na północny wschód. Nie potrafił określić, do jakich jednostek należały. Żadnych symboli i oznaczeń na burtach – miejsca, gdzie powinny być, zachlapano farbą bądź wapnem, uniemożliwiając identyfikację.

Wszelki ruch cywilnych pojazdów wstrzymano do odwołania. Pierwszeństwo posiadało wojsko i zapewne oddziały Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Co ciekawe, nigdzie nie widział czołgów bądź artylerii. Musiano je skierować zupełnie innymi drogami.

Tak duże zgrupowanie, według niego co najmniej brygada albo i lepiej, na pewno nie uszło uwadze wielu czujnych oczu, ale mimo to niemożność osobistego poinformowania o sytuacji bardzo mu doskwierała. Stał na chodniku, żując słonecznik, i liczył. Po stu dwudziestu czterech wszystko mu się zaczęło pieprzyć. Ta, co pojechała, to sto dwudziesta trzecia czy już sto dwudziesta piąta? Niech to cholera.

– Nie wytrzeszczaj tak oczu, robisz złe wrażenie – poradziła Tamara.

– Byłem święcie przekonany, że się doskonale maskuję. – Nie lubił pouczeń.

– Już dawno powinniśmy znaleźć się w Moskwie.

– Pewnych spraw nie przeskoczysz – skwitował, choć sam czuł, że wątroba wykręca mu się na lewą stronę od nieprzewidzianej przerwy w podróży.

Z Tweru planowali wyjechać rano i wiele wskazywało na to, że to się uda. Przez dziurę w płocie opuścili zakłady kolejowe i pomaszrowali wąską ścieżką wzdłuż nastawni do centrum. Tam odszukali zakłady mięsne i popytali o Szablina. Zgodnie z umową około dziesiątej rano chłódnia miała zabrać ich do Chimek. Szablina odnaleźli, pogadali, tymczasem wyjazd opóźnił się z godziny na godzinę. Z południa przesunął się na piętnastą, następnie na siedemnastą, ale godzinę później był już gwarantowany i absolutnie pewny. Pomimo tych wszystkich niedogodności Andrzejowi brakowało pomysłu, jak dojechać do celu innym sposobem. Pozostawało czekać i wierzyć w Opatrzność.

– Nie jesteś zmęczona?

– Trochę.

– Poczekaj tu na mnie. Przejdę się po sklepach. Może kupię chociaż chleb.

– A jak przyjedzie Szablin?

– Nie przyjedzie.

– Jesteś pewny?

– Tak. – Szybciej doczeka się wrzodów niż obiecanej podwózki.

Zdążył zrobić parę kroków, gdy zza rogu wyszedł zwalisty, przygarbiony mężczyzna. Szablin we własnej osobie.

– A mogłam się założyć – usłyszał za sobą Tamarę. – To kiedy wyjeżdżamy?

– Długo to trwało. – Oschłości w głosie Wirskiego nie dawało się nie zauważyć.

– Kierownictwo wyjątkowo zestrachane.

– Mają powody?

– Gdzieś wciąło ciężarówkę z towarem. Lekko licząc, jakieś czterdzieści ton.

– Niebawem. Winnych oczywiście brak.

– Co zrobić, takie jest życie.

Mimo beztronski kierowcy Andrzej zachował czujność. Nie chciał powtarzać błędów. Już raz nie dopilnował spraw i wszystko poszło w diabły. Tym razem trafił na spekulanta. Prawie zapomniał takiego słowa. Jak widać, w odpowiednich warunkach tradycja nie ginie. Czarny rynek kwitł w pełni – gospodarka kulała, a wojna dodatkowo napędzała nielegalną strefę.

Chłodnia wyglądała na bardzo sfatygowaną. Szablin zaparkował ją na przedmieściach, wśród setek drewnianych domków otoczonych płotami. Idealne miejsce dla kogoś, kto by chciał obrabować dwójkę podróżnych szukających transportu.

Wirski niespokojnie rozglądał się wokół. Obandażowane ramię coraz bardziej mu przeszkadzało. Skóra swędziała, doprowadzając go do szału. Gdy nikt nie obserwował, Andrzej zaciskał dłoń w pięść, żeby pobudzić krążenie. Za parę godzin pozbędzie się dziadostwa, to już ostatni odcinek. Szablin otworzył drzwiczki od strony pasażera, przepuścił Tamarę i pomógł jej wsiąść. Jego łapska otarły się o jej biodra i pośladki. Wirski udał, że nie widzi. Temu durniowi pewnie się wydaje, że wszyscy dookoła są ślepi. Przyszła kolej na niego. Szablin zatarł rękę.

– Dobra pora na podróż.

– Lubisz jeździć w nocy?

– Mniej patroli. Gliniarze przeważnie śpią.

– Obyś miał rację. – Chwytił zdrową ręką za uchwyt i podciągnął się do góry.

W środku śmierdziało suszoną rybą i tanim dezodorem. Gazety walały się po podłodze, a siedzenia pokrywał koc pełen wypalonych dziur. Ale i tak lepiej pchać się takim, niż drałować na piechotę.

Andrzej wyciągnął się na skraju fotela obok Tamary. Zakręcił okienko, pozostawiając jedynie niewielką szparę. Na razie się nie martwił. Starał się racjonalnie wytłumaczyć zachowanie Szablina. W zasięgu wzroku nie było łomu ani klucza francuskiego. Jeżeli stary erotoman szykował niespodziankę, tym gorzej dla niego.

Chłodnia w końcu wytoczyła się z uliczki. Zamiast przez miasto, pojechali opłotkami. Szablin wykazał się przytomnością umysłu lub miał doświadczenie w unikaniu kontroli. Wolno, bo wolno, niemniej jechali. Na szosę moskiewską wyskoczyli za rogatkami. Powoli robiło się ciemno. Reflektory wozu wyławały z mroku podążające w przeciwnym kierunku ostatnie wojskowe konwoje.

– Dużo ich – zagał Andrzej.

– Jak walnęło nad Moskwą, byłem akurat w Twerze. Włączam telewizję, a tu nic. Włączam radio i to samo. Ludzie biegają wystraszeni, tylko w cerkwi biją dzwony. Gliniarzy wymiotło co do jednego. Po defiladzie transmitować mieli koncert, jak zwykle, a tu nawet światła zapalić nie można. Rozgrabiono wszystkie sklepy i zaraz zrobiło się radośniej. Dobrze mówię? – Szablinowi oczy zaczęły zamykać się ze zmęczenia.

– Nie śpij.

– Przecież nie śpię. – Kierowca ocknął się, podrywając głowę.

– I patrz na drogę.

– Nie pouczaj mnie, gnoju. – Szablin przestał udawać dobrego wujka.

– To jedynie dobra rada.

– Jak się nie zamkniesz, to wykopię cię z szoferki.

Jechali najwyżej pięćdziesiątką, ale biorąc pod uwagę nocne warunki, nie byłoby to łatwe zadanie. Tamara dotknęła ramienia Wirskiego, odpowiedział uspokajającym gestem. Dopóki jadą, nic im nie grozi. Minęli Lazurną i Reszetnikowo, zbliżali się do Klina. Zaczęli zwalniać i skręcili w bok tuż przed tablicą wjazdową.

– Nie pomyliłeś się?

– Mam tu sprawę do załatwienia. Uwiniemy się w pół godziny i wracamy.

– Wysadź nas tutaj – zaproponował Wirski.

– No co ty?

– Dalej poradzimy sobie sami.

A szło tak dobrze – pomyślał Andrzej.

– Boisz się. – Szablin uśmiechnął się drapieźnie.

– Nic nie wspominałeś o postojach.

– Odpocniemy, pogadamy... – W snopach światła dawały się zauważyć tylko splątane konary drzew i gęste przydrożne krzaki. – Spodoba wam się, a jej szczególnie.

Minęli zdziczały sad i znaleźli się przy sporym murowanym domu. Z prawej jakiś gospodarczy budynek, naprzeciwko pordzewiałe maszyny rolnicze porośnięte wysoką pokrzywą i ostem.

Szablin wyłączył silnik, przezornie zabrał kluczyk i wyskoczył z szoferki. Z chałupy wyszła dwójka mężczyzn, pod ich nogami kręcił się pies wielkości małego cielaka.

– Patrzcie, kogo wam tu przywiozłem! – Szablin najwyraźniej znalazł się wśród swoich. – Juda, co masz taką kwaśną gębę?

– Na chuj ich przywiozłeś? – Starszy z osobników wytarł usta rękawem koszuli. Ogryzioną kością pomachał psu. Ten zaszczekał niespokojnie.

Wyjaśnień nie usłyszeli, bo Szablin mówił cicho, lecz po jego obleśnym uśmiechu można było się domyślić, co jest tematem.

– Co robimy? – Tamarę sparaliżował strach.

– Zobaczymy, co proponują.

– Nie idźmy tam.

– Spokojnie.

– Nie chcesz mnie chyba prehandlować.

– Los może nie być aż tak łaskawy.

Szablin zamachał, zapraszając do środka.

– Na co czekacie?

Chłód nocy przeniknął przez Wirskiego, aż się wzdrynął, a może to wcale nie chłód, tylko strach? Rozluźnił mięśnie i ziewnął. Kundel warknął groźnie.

– Czart nic wam nie robi.

Patrząc w przekrwione ślepia i wielkie, pożółkłe zębiska, wcale nie był tego taki pewien.

Nie zostali przedstawieni, tylko poprowadzeni jak barany na rzeź. Główną dekorację stołu stanowiło parę pustych puszek po piwie i na wpół opróżniona butelka wódki. Tu i tam na talerzach walały się kawałki kiełbasy, czarny chleb i ogórki.

– No to po jednym – zaproponował szofer. – O, tu ci będzie najwygodniej. – Ujął Tamarę pod łokieć i kazał usiąść przy sobie. Andrzej poszukał miejsca po drugiej stronie, mając naprzeciwko Judę i trzeciego współnika.

– Taka okazja. – Szablin ponalewał wódki mniej więcej do jednej trzeciej pojemności szklanek. – Trzeba wypić.

– Wracasz do Tweru? – zapytał Juda.

– Jutro. – Szablin czknął. – Właściwie dzisiaj.

– I myślisz, że się nie domyślą?

– Powiem, że mnie napadli. – Roześmiał się w głos. – Wszędzie pełno bandytów, wszystko może się zdarzyć.

Pies zaszczekał, nie mogąc doczekać się kolejnego kąska.

– Głupie bydło! – zdenerwował się Szablin. – Ujada za każdym razem, jak tu jestem.

– Pewnie cię nie lubi – odpowiedział Juda.

– Wyrzuć go.

– Sam go sobie wyrzuć.

Szablin poderwał się, zrobił parę kroków i szeroko otworzył drzwi, po czym cisnął na podwórze kawał mięsa.

– Won!

Pies go zignorował.

– Juda, tracę cierpliwość.

Współtowarzysz uśmiechnął się kpiąco i machnął na kundla. Ten wybiegł jak strzała. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

– Ścierwo. – Małe oczka Szablina zionęły nienawiścią.

– Masz fatalne podejście. – Mężczyzna odstąpił krzywe i poczerwiałe zęby, niewiele różniące się od tych w paszczy czworonoga. – Ty się go normalnie boisz – zarechotał.

Awantura wisiała w powietrzu. Wirski nie wiedział, co o tym myśleć – albo to była szorstka męska przyjaźń, albo stosunki w grupie nie wyglądały na tak przyjazne, jak się na początku wydawało.

– Kto rozpakuje towar?

– Rano przyjedzie Kozyriew. – Do rozmowy włączył się milczący do tej pory kompan. – On się tym zajmie.

Andrzej przyjrzał się mówiącemu. Okazał się młodszy, niż początkowo sądził. Spod koszulki na ramiączkach na piersi wycierała wytatuowana cerkiew. Im więcej kopuł, tym większy wyrok. W tym przypadku bandyta musiał odsiedzieć co najmniej połowę życia.

Ich spojrzenia się spotkały. Andrzej próbował się uśmiechnąć, lecz twarz tamtego była jak maska. Zimne i szkliste oczy przerażały. Były jak dwa puste groby.

– Znaście Kozyriewa? – zapytał Juda.

– Nie mieliśmy przyjemności.

– Szkoda. – Rosjanin zaśmiał się mało przyjaźnie. – Rano go poznacie.

– Albo i nie – dodał wytatuowany.

– Może lepiej będzie, jak już sobie...

– Siadaj. – Wytatuowany uniósł nóż do krojenia chleba i wbił go w stół, wywołując kolejną falę wesołości.

Szablin objął Tamarę, zupełnie nie kryjąc się z zamiarami.

– Widzisz, moja droga, między dobrymi znajomymi nie powinno być tajemnic. Chyba się z tym zgodzisz?

Dziewczynę sparaliżowało. Ten dom na odludziu ją przerażał. Kilku pijanych idiotów i Andrzej czekający nie wiadomo na co.

– Widzisz, ja sam, ty... – popatrzył na Wirskiego, jednocześnie wkładając łąpsko pod jej bluzkę – też sama.

– Może się napijemy? – zaproponował Wirski, sięgając po flaszkę.

– Zostaw.

– Dlaczego?

– Nie twoje.

– Ja tylko... – Dłoń zawisła w połowie drogi. Nóż znajdował się za daleko, na początek butelka wystarczy.

– Powiedziałem.

Andrzej mimo wszystko kontynuował ruch. Juda zerwał się, próbując wytrącić mu szkło. Nie zdążył. Ciężka krótkim zamachem butelka trafiła wydzieranego prosto w czoło. Nie rozbiła się, lecz na parę sekund ogłuszyła delikwenta. Szablin próbował wstać. Nie dał rady, bo rękę gmerającą w staniku przytrzymała sama Tamara. Krzesło, na którym siedział Wirski, poleciało do tyłu. Płynnie się zerwał, zrobił trzy kroki i uderzył w odstąpiętą krtań Judy. Ten wytrzeszczył oczy z bólu i niedowierzania. Ostrze, tak nierozważnie wbite w blat, znalazło się w ręku Andrzeja. Uderzył od dołu. Krótki ruch po łuku i przecięta tętnica pod prawym uchem chlusnęła krwią. Ten już nie przysporzy problemu.

Piętnastocentymetrowa stal przecięła następnie nic żywota bywalca rosyjskich więzień. Bandyta próbował atakować, jednak ciężko zrobić krok z nożem wbitym w przeponę. Umierał przez parę uderzeń serca, zanim runął jak długi na podłogę. Z jego ciała, inaczej niż w przypadku Judy, nie wypłynęła ani kropelka krwi. Pozostał ostatni.

Szablin znalazł dość siły, by odrzucić Tamarę na bok. Gdy już to zrobił, zdał sobie sprawę, jak głupio postąpił. Stracił tarczę, którą mógł się zasłonić. Już nie zdoła naprawić błędu. Sam na sam.

- Kim jesteś?
- Twoim przeznaczeniem.

Zmyłka w lewo okazała się chybionym pomysłem. Pasażer nie dał się nabrać na sygnalizowany manewr. To samo w prawo, z większym rozmachem. Teraz obcy zagroził drogę ucieczki. W tej sytuacji jedyne, co przyszło Szablinowi do głowy, to chwycić go za nogi i walczyć w zwarcu. Tu liczyła się siła ramion, a nie cyrkowe sztuczki. Rozłożył ręce i pochylił głowę. Determinację posiadał wystarczającą. Zaatakował. Był już blisko, gdy kopniakiem oberwał w szczękę. Chrupnęła kość. Ogłuszony, próbował odskoczyć. Potężne uderzenie w nos wbiło chrząstkę z kawałkami kości w mózg. Padł jak podcięty. Umarł w tej samej chwili.

Andrzej pomógł Tamarze wstać. Jego ciało dygotało od nadmiaru adrenaliny.

- Jesteś cała?

Kiwnęła głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

Od wejściowych drzwi odbił się jakiś ciężar. Chrobotanie i wściekłe ujadanie bestii nie pozwalało zapomnieć, że to nie koniec problemów. To bydlę z piekła rodem rozerwie każdego, kto przekroczy próg.

Spokojnie. Najgorsze za nimi. Z głupim kundlem jakoś sobie poradzą. Prawdziwe bestie zostały już unicestwione. Oddychając powoli i miarowo, zabrał się do metodycznego przeszukiwania pomieszczeń. Pokój obok robił za sypialnię. Kredens, łóżko i mały stolik, na ścianie ikona. Kto by pomyślał. Przetrzęsnał półki: trochę szkła i zapas alkoholu, ubrania na zmianę, nic godnego uwagi. Wersalka dawała większą szansę. Ze zgrzytem odchylił górę i zajrzał do środka. No... Szmaty i drewniana kolba AK, w końcu coś konkretnego.

Wywalił wszystko na środek pokoju. Automat na nic się nie przyda, nie zamierzał przecież prowadzić bitwy z Kozyriewem, za to Makarow nadawał się zdecydowanie lepiej. Zabrał pistolet i zapasowy magazynek, sprawdził mechanizm. Wszystko działało bez zarzutu.

Już chciał skończyć, gdy zauważył saszetkę w rogu. Nie zaszkodzi sprawdzić. Szarpnął za zameczek i zobaczył gruby plik euroówek ułożonych według nominatów. Kciukiem przewertował zawartość – lekko licząc, jakieś dziesięć tysięcy. Martwym już się nie przydadzą. Część schował do kieszeni, a drugą trzymał w dłoni. Do pokoju stołowego wrócił już zupełnie spokojny.

- Ukryj.
- Skąd masz? – Tamara, wciąż w szoku, wcisnęła banknoty w kieszeń spodni.
- Tam leżały. – Wskazał za siebie.

Należało się zbierać. Nie chciał tu pozostać ani chwili dłużej. Choć minęła dopiero druga w nocy, nie wiedzieli, kiedy przybędzie zapowiadany Kozyriew. Z tego samego względu wołał nie zabierać chłodni. Pudło za bardzo rzucało się w oczy.

- Poczekaj. – Kazał dziewczynie przysiąść, a sam podszedł do wyjścia.

Nacisnął klamkę, a stopą zablokował drzwi. Przez uchyloną szparę wystawił Makarowa. Strzelił instynktownie, gdy z zewnątrz uderzył czarny cień. Jazgot przeszedł w skomlenie. Musiał poprawić, bo w najwierniejszym przyjacielu Judy wciąż kołatało się życie.

•

Nie potrzebował mapy. I bez niej wiedział, jak dojść do celu. Cofnęli się do głównej drogi i znaleźli niedaleko miasta. Idąc wzdłuż szosy E105 na południe, w końcu dotrą do Moskwy. Należało sobie tylko zadać pytanie, czy poruszanie się główną drogą jest dobrym rozwiązaniem. Dwie osoby na piechotę przy tak uczęszczanej trasie aż proszą się o zatrzymanie. W końcu zgarnie ich jakiś patrol. Tu nie było żartów.

W każdym miasteczku na obrzeżach aglomeracji będzie tak samo. Policja, wojsko, jednostki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, siły pomocnicze, OMON, SOBR, oddziały Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych. W tak zmilitaryzowanym społeczeństwie jak Federacja istniało od groma najróżniejszych formacji i wszystkie na pewno przygotowują Moskwę do obrony. Aż dziw, że Putin nie kazał ludności kopać rowów przeciwczołgowych jak Stalin w 1941. W terenie niezabudowanym

wcale nie będzie lepiej. Wszelkie podejrzane miejsca na pewno przeczesywano w ramach rutynowych patroli. Na kolejną podwózkę już nie liczył. Ostatni odcinek przyjdzie im pokonać na własnych nogach. O sobie się nie martwił, o Tamarę również. Przed wieczorem dotrą na miejsce. Tak przynajmniej zakładał. Niedługo wstanie dzień, już teraz w szarówce przedświt widział wijącą się przez pola ścieżkę. Bez namysłu skręcił w tę stronę. Lepiej obejść Klin z daleka. Dosyć narozrabiali jak na jeden wieczór.

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 27 maja godzina 07:39

Prawdę mówiąc, miał dość. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz odpoczywał, spał czy zmieniał koszulę. Wygodną marynarkę i półbuty zamienił na bojowy uniform. Wszędzie poruszał się z automatem i dodatkowym sprzętem. Jedynie kuloodporną kamizelkę zostawiał w samochodzie. Nie lubił tego dziadostwa – ciężka i krępująca ruchy. Jako major policji mógł sobie pozwolić na takie fanaberie, natomiast funkcjonariusze trzech kompanii pod jego dowództwem już nie. Niemniej, rozlokowani w strategicznych miejscach, trwali na posterunkach z godnym podziwu spokojem.

Nowa metoda władz centralnych sprowadzała się do przemieszania poszczególnych grup z różnych formacji. Tak więc razem z nimi porządku pilnowali żołnierze armii lub MSW. Jeden oddział pilnował drugiego. Obu stronom mogło się to nie podobać, jednak rozumiał ideę – jak jedni spróbują sprzeniewierzyć się rozkazom, napotkają opór drugich. Pomysł niezły, problem w dowodzeniu. Każda z jednostek przyjmowała rozkazy tylko od swoich przełożonych. Przy naprawdę groźnej sytuacji to raczej się nie sprawdzi, bo niby jak – jednym dowódcą nakaże odwrót, a pozostali będą trwać na stanowisku?

Zresztą majora Wasilija Szerkowa bardziej męczyło co innego. Ogólnie rzecz biorąc, dość już się napatrzył. Carska Rosja na tle reszty świata stanowiła kompletne wynaturzenie, bolszewicy potrafili spieprzyć dokumentnie wszystko, ale reżim Putina przekraczał wszelkie granice arogancji. Wiedział, jak to wygląda, bo sam był trybem w maszynie władzy. O wielu sprawach nie mówiło się głośno. Krążyły u nich plotki, że na froncie kaukaskim podobno zdezerterował cały pułk. Wszyscy, co do człowieka, przyłączyli się do Umarowa. Szerkow był skłonny w to wierzyć. Jeżeli wyznawali islam, to niby co łączyło ich z Rosjanami? Prawosławnych towarzyszy wybili na wstępie. Taka zmiana barw nie była niczym nadzwyczajnym. Front na południu podobno rozsypał się zupełnie. Na szczęście Chińczycy zajęli się umacnianiem wpływów na już zdobytych terenach i nie próbowali zająć całego Kazachstanu. Może to i dobrze, że tam są. Przynajmniej miejscowi wyznawcy Allaha zajęli się nimi, a nie pogromami reszty Rosjan, którzy tam pozostali. Pomyśleć, że w ciągu niespełna miesiąca świat uległ całkowitemu przekonfigurowaniu. Byli jedną z największych potęg wojskowych, a stali się państwem Trzeciego Świata. Na pewno nie doszłoby do tego, gdyby nie postępowanie prezydenta i jego pupili. Przyzwoity człowiek nie odniesie sukcesu, bo trzeba włożyć im w tyłek. A jak już raz tam wlałeś, musiałeś ubabrać się gównem. Ponieważ nie chciał brać w tym udziału, to traktowano go jak śmiecia. Nie był dosyć ważny. Ot, zwykły człowiek od brudnej roboty.

Z kieszeni wyciągnął przygotowaną wcześniej kanapkę i spróbował przeżuć kęs. Smakowało jak tektura, niemniej zmusił się do przełknięcia. Jak zwykle w takiej sytuacji odezwał się radiotelefon.

– Szerkow – warknął do mikrofonu.

– Mam dla was nowe zadanie, towarzyszu. – Głos dowódcy, generała Maszkina, brzmiał wyjątkowo przyjaźnie. Zwłaszcza kiedy dawał Szerkowowi mało przyjemną misję do wykonania. – Pojedźcie do Saburowa. Wiecie, gdzie to jest? Tym razem podpalenie.

– Duże straty?

– Wszystkiego dowiecie się na miejscu.

– Wykonuję.

Jeżeli do zwykłego podpalenia kierowano majora policji, to nie chodziło o byle budę na



bazarze. Jakoś nie potrafił sobie przypomnieć, co takiego jest godnego uwagi w Saburowie. Zwykła podmoskiewska wieś i tyle. Wsiadł do radiowozu i gdy za nim ustawił się drugi z obstawą, na sygnale pomknęli przez szykujące się do oblężenia miasto.

Szybko pojął, o co chodzi, jak tylko poczuł wyraźny zapach w nozdrzach. Tym razem to nie dom, magazyn czy fabryczka, tylko coś znacznie gorszego. Kiedy na Moskwę spadały obezwładniające upały, a ściółka w okolicznych lasach wyschła na pieprz, tereny wokół stolicy padały ofiarą podpaleń. Śwad spalenizny przez całe tygodnie snuł się ulicami. Bywały dni, że z trudem szło wytrzymać. Śmierdziało jak w wędzarni czy kotłowni. Moskwićzanie padali jak muchy, a strażacy nie nadążali z gaszeniem. Las od biedy dawał się ugasić, lecz zalegające pod nim pokłady torfu już nie tak łatwo. Nieraz dopiero intensywne jesienne deszcze pozwalały odetchnąć z ulgą.

Fala gorąca, jaka dotknęła kraj w tym roku, sprzyjała podobnym praktykom. Jakim trzeba być durniem, żeby robić takie rzeczy? A może tym razem to nie sprawka piromanów czy gówniarzy poszukujących wrażeń, tylko sabotaż? To całkiem logiczne: ktoś oczyszczał teren przed... Mimo gorąca dreszcz przeniknął ciało Szczerkowa. Taktyka spalonej ziemi, tyle że działająca w przeciwnym kierunku. Dziesiątki i setki miejscowości rozsianych w obwodzie zmieni się w popiół, nie dając obrońcom szansy na opór. Po co toczyć boje o każdą wieś, skoro wcześniej wszystko można wypalić do gołej ziemi?

Po pięćdziesięciu minutach dojechali na miejsce. Nie wyglądało to dobrze. Ponad zielonym całunem listowia niebo lizał pomarańczowy ogień. Biały opar rozchodził się we wszystkie strony. I ten trzask pochłanianych przez ogień drzew...

Poszukał oficera Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych koordynującego działania. Poczekał trochę na uboczu, nie chcąc mu przeszkadzać w wydawaniu poleceń wyrzaskiwanych do krótkofalówki. Tamten w końcu go dostrzegł i sam podszedł.

– Ciężki dzień – zagał Szczerkow.

– Jak każdy – usłyszał niechętnie mruknięcie.

Właściwie jakiej odpowiedzi się spodziewał? „Jest pięknie, a ten las i tak chciano wyrąbać”?

– W czym mogę pomóc?

– Proszę złapać tych gnoi.

– Więc to podpalenie – upewnił się.

– Jestem o tym przekonany. Wszystko poszło błyskawicznie. Tu i w kierunku na Otradnoje. Co zrobimy, jak przyjdzie nam ewakuować okoliczne wsie?

– W tej sytuacji złapanie sprawcy będzie niezwykle trudne.

– Więc proszę się postarać.

Łatwo powiedzieć. Żadnych śladów nie znajdzie, a podpalacz zapewne był już daleko. Oczywiście, każe zwrócić uwagę na wszystkie podejrzane wyglądające osoby, ale w pobliżu stolicy takich ludzi kręciły się tysiące. Nikt nie był w stanie tego kontrolować. Wielu wyjechało w ostatnich dniach, jeszcze więcej przybyło do Moskwy. Znalezienie wolnego kąta graniczyło z cudem. Zwykła robota policyjna, jak przyciśnięcie informatorów, również niewiele da. Większość rozpierzchnęła się na wszystkie strony świata. Tworzyły się nowe grupy, do których nie mieli dostępu. Mimo prób rozbicia anarchiści rośli w siłę. Mniej się afiszowali, a przez to stawali się trudniejszym celem. Można powiedzieć, że zeszli do podziemia. Pozostawało liczyć na łut szczęścia. A nawet jeżeli złapią sprawcę: co dalej? W obecnych warunkach to zdrada. Za zdradę kodeks karny przewidywał jedną karę. Być może to oni mają rację? Bez Władimira Władimirowicza ten kraj stanie się w końcu normalny. Bez niego i całej tej czeredy przydupasów. Może pora skończyć z hołubieniem dyktatora i skierować państwo na normalne tory?

Charknął i splunął. Niewiele pomogło. Sadza unosiła się wszędzie. Część dostała się do gardła. Chyba stał w złym miejscu. Wiatr wiał z zachodu, pędząc ze sobą całą masę pyłu.

To zadanie należało do kategorii niewykonalnych. Jak uganianie się za własnym ogonem. W słowniku znalazłby więcej dosadnych określeń. Mimowolnie rozejrzał się na boki, może natrafi na

trop. Nie potrafił całkowicie zlekceważyć rozkazu. W końcu bycie oficerem do czegoś zobowiązuje.

•

Klin pozostawili za plecami, jak tylko słońce wysunęło się zza horyzontu. Na wyblakłym błękitnie nieba nie dostrzegał ani jednej chmurki, a to oznaczało całodzienny marsz w narastającym upale. Najwyżej częściej będą robić przerwy. W końcu udawali parę życiowych rozbitków usiłujących wyjść cało z zamieszania, a nie zawodników triathlonu. Tylko jak się do tego miało te dziesięć tysięcy, które podzielili pomiędzy siebie?

– Nie jesteś zmęczona?

– Trochę.

– Usiądziemy w cieniu – zaproponował.

– Nie trzeba.

– Nie musisz udowadniać...

– Nic mi nie jest. – Na potwierdzenie słów się wysforowała.

Wcześniej uważał Rosjanki za miłe i bezproblemowe kobiety, z pokorą znoszące przeciwności losu. Gdy poznał Tamarę bliżej, zrewidował ten pogląd. Choć może ta jedna odstawała od ogółu? Taki wyjątek potwierdzający regułę.

– Co tym razem?

– Nic.

– Przecież widzę.

Zwolniła.

– Nie wiem, czy się do tego nadaję.

– O czym ty mówisz?

– Bardzo chciałam, ale nie byłam w stanie. – Oparła głowę na jego ramieniu.

– Z Szablinem poradziłaś sobie doskonale. – Objął ją w pasie.

– Wcale nie. Powinnam go zatłuc nogą od taboretu. – Pociągnęła nosem.

Powoli wypuścił powietrze, czując narastającą wesołość.

– Z czego się śmiejesz?

– Nikt przy zdrowych zmysłach czegoś podobnego nie wymaga. Ty masz ratować ludzi, a nie ich zabijać.

– Ale... – próbowała coś powiedzieć.

– Żadnych ale. Moim błędem jest to, że pozwoliłem ci iść ze mną.

– Ty mnie wcale nie kochasz. – Jej usta otarły się o policzki Andrzeja.

– Ciężko się z tobą rozmawia... – Nie dokończył myśli, czując wargi Tamary na swoich.

– Niech to szlag – wyszeptwała.

Co znowu? Już zaczynał myśleć, że sprzeczka została zażegnana.

– Patrz tam.

Szybko się obrócił. Od lekko przykurzonej brzeziny dzieliło oboje ze trzysta metrów. Wzdłuż niej musiała biec ścieżka, którą gnała na rowerach dwójka młodzieńców. To jeszcze nic. Problemy zaczynały się trochę dalej. Biały dym powoli unosił się nad drzewami. Dosłownie za chwilę wszystko zniknie w otwartym ogniu. Niewinna zabawa czy celowe działanie? Niedługo zjawi się straż i pozostałe służby. Złapał Tamarę za rękę i pognali przez pole na ukos. Kto im uwierzy, że nie mają z tym nic wspólnego?

Obrócił się za siebie parę minut później. Ogień rozprzestrzeniał się na prawo od nich. Właściwie to cały ciąg pożarów. Widział cztery, a po paru sekundach już pięć miejsc, w których doszło do podpalenia. Jak nie przyśpieszą, zostaną odcięci od przedmieść Moskwy, a do tego nie chciał dopuścić.

Szaleńczy bieg przeszedł w trucht, potem w szybki marsz. Zaczęli pojawiać się kolejni uciekinierzy. Im bliżej Chimek, tym ich przybywało. Sporo osób próbowało wydostać się ze stolicy, ale jeszcze więcej podążało w jej stronę. Kolumny uchodźców blokowały pomniejsze trakty, ciągnąc

polami i lasami.

W jakimś gospodarstwie na uboczu dostali wody. Odpoczęli parę minut i ruszyli dalej, już bez obawy. We wsiach i miasteczkach roіło się od uciekinierów, panowało kompletne bezhołowie, awantury i bijatyki wybuchały z byle powodu. Samochody utykały w kilometrowych korkach. Im było łatwiej. Bez bagażu poruszali się dość sprawnie. Tylko w jednym miejscu siły pomocnicze próbowały utworzyć coś na kształt linii obronnych, kopiąc zygzakowatą trasę. Zdaniem Wirskiego ten relikw minionych wojen do niczego się nie nadawał. Już lepiej by się zajęli gaszeniem pożarów parę kilometrów dalej.

Przewalające się tłumy mijały kąpiących bez zainteresowania. Obie strony ignorowały się wzajemnie. Oficerowie przynajmniej znaleźli młodym jakieś zajęcie. Obserwacja wędrujących ludzi musiała wpływać destrukcyjnie na serca i umysły. Jak zdyscyplinowana mniejszość zacznie myśleć podobnie, wszyscy zmienią się w stado baranów.

Samo dotarcie do Chimek i przekroczenie MKAD-u – czyli obwodnicy otaczającej Moskwy – nie było końcem ich drogi. Należało jeszcze dotrzeć pod wskazany adres. Tam otrzymają dalsze instrukcje.

Około piętnastej nawet on miał dość. Pozwolili sobie na dłuższą przerwę. Idąc w linii prostej, już dawno byłiby u celu, starali się jednak obchodzić miejsca potencjalnie niebezpieczne. Tak nakazywał rozsądek. Szarpanie się z byle idiotą czy wdawanie w pyskówkę ściągało uwagę postronnych. Policja w końcu zainteresuje się, kim są. Lepiej, jak pozostaną anonimowi.

Pozwolił Tamarze zdrzemnąć się pół godziny, zanim ruszyli dalej. Po przebudzeniu pierwsze metry szła jak lunatyczka, sztywno stawiając kroki. Rozruszała się, gdy już weszli do Moskwy. Oby tylko działało metro. Znaleźli najbliższą stację i wysupłali ruble przy kasie. Na peronie panował ścisk, lecz podróżni wydawali się spokojni. Z Dworca Rzecznego dojechali z przesiadką do Parku Kultury, skąd już mieli niedaleko.

Znalazł adres. Nacisnął dzwonek. Ktoś stanął po drugiej stronie. Andrzej mógł przysiąc, że są obserwowani przez judasza. Trochę się denerwował. Jak wpadną w kocioł, nic ich już nie uratuje. Szczęknęła zasuwka i masywne drzwi otworzyły się szeroko.

– Myślałem, że pojawicie się wieczorem. – W głosie Arkadiusza Pawłowskiego pobrzmiwał wyrzut.

– Ty tutaj? – wykrztusił Wirski, przepuszczając przodem Tamarę.

– A kogo się spodziewałeś? – Stary kompan przyjrzał się Rosjance.

– Poznaj, to mój...

– Wiele o pani słyzałem. – Pawłowski ujął jej dłoń i pocałował, czym niepomierne zaskoczył dziewczynę. – Wejdźcie dalej. – Zachęcił gestem gospodarza.

– Myślałem, że już z tym skończyłeś.

– Pozamiatalem to, co pozostało po nas w Norwegii.

– A potem?

– Wybacz, to tajne.

– Oczywiście.

Znali się od dawna. Razem przeprowadzili parę akcji i – co tu dużo mówić – żyli się przez te lata.

– Ze starych znajomych jest jeszcze Nowakowski. – Nastąpił dalszy ciąg niespodzianek. – On prowadzi to całe gospodarstwo. Przyjdzie wieczorem, ma jakieś sprawy, nie wiem, nie pytałem.

– Wiesz, co spotkało Wierzbickiego? – zapytał Andrzej, gdy już usiedli przy stole.

Pawłowski potarł nasadę nosa, a następnie odwrócił wzrok, wyglądając przez okno.

– Wszyscy już wiedzą. Podobno to była egzekucja.

– Można tak powiedzieć. – Gdyby nie obolałe nogi, zaczęłby przemierzać pokój gniewnym krokiem. – Wiesz, kto wskakuje za niego?

– Nie chcę się wysuwać przed szereg – mruknął Pawłowski – ale wszystko wskazuje na ciebie.

– Jak to? Dobrze to przemyśleli?  
– Między innymi dlatego tu jestem. Obecnie Moskwa to nasza najważniejsza placówka.  
– I ja mam tym wszystkim kręcić? – zapytał z niedowierzaniem Wirski.  
– Może nie wszystkim. – Pawłowski powstrzymał dalsze protesty. – Jesteś odpowiedzialny tylko za jedną siatkę, a w obecnej chwili jest ich tutaj dużo więcej. Każdej przydzielono oczywiście inne zadanie. Na umówiony znak przystąpią do działania.

– Nasi wezmą Moskwę?

– Wszystko jest możliwe – enigmatycznie odpowiedział Pawłowski.

– Widziałem przegrupowanie pod Twerem.

– Już o tym wiemy. – Uspokajający gest sprowadził Andrzeja na ziemię. – Naprawdę nie jesteś jedyny. Od kiedy opuściłeś Petersburg, sporo się wydarzyło. Wyjechałeś w ostatniej chwili, obecnie to niemożliwe. II Korpus dotarł na przedmieścia. Chodzą słuchy, że Rosjanie chcą ogłosić Petersburg otwartym miastem.

– Raczej będą go bronić do ostatniego pocisku – stwierdził Andrzej.

– Niekoniecznie. Sporo jednostek próbuje wyrwać się z pętli, jaką zaciskają Amerykanie. Miotają się. Na każdy oddział większy od kompanii lecą bomby. Zdaje się, że utracili kontrolę nad przestrzenią powietrzną całego obszaru. Na północy zajęto Murmańsk i Archangielsk. Oddziały desantowe i siły specjalne przesuwają się na południe wzdłuż magistrali kolejowej. Chcąc przetrwać, ruscy muszą utrzymać centralne rejony kraju. Okręg moskiewski ma tu decydujące znaczenie.

– I tu zaczyna się nasza rola.

– Mamy zrobić wszystko, by im w tym przeszkodzić – potwierdził Pawłowski.

„Wszystko”, a więc czy tego chciał, czy nie, ponownie znalazł się na pierwszej linii.

– Pozwolisz, że odpoczniemy?

– Jasne.

Chwycił senną Tamarę za łokieć i wyprowadził do drugiego pokoju. W łazience splukał twarz zimną wodą. W lustrze nad umywalką zobaczył swoją twarz. Przyjrzał się jej z prawej i lewej strony. Nad uszami po obu stronach dostrzegł po kilka siwych włosów. Czuł się, jakby dźwigał na barkach bagaż kilku wieków, a nie jednego skromnego żywota. Jak to się mówiło na dzielnicy: psy szczekają, karawana zapierdala dalej? Właśnie tak. Wcale nie prosił o nowe obowiązki. Ktoś na górze, nawet domyślał się, kto, uznał go za wystarczająco doświadczonego, by mógł sprostać takiemu zadaniu. Obecność Pawłowskiego i Nowakowskiego świadczyła o rosnącej determinacji Warszawy w chęci doprowadzenia sprawy do końca.

Mój Boże, konfrontacja Polski i Federacji Rosyjskiej! Dwaj przeciwnicy z dwóch skrajnych kategorii wagowych. Po polskiej stronie stał Waszyngton i Londyn, więc dysproporcje się wyrównywały. A może jest odwrotnie? Może to USA i Wielka Brytania korzystają na sojuszu? Gdzieś z tej układanki wypadł Berlin, najwierniejszy przyjaciel Putina i jego kolegów. Wszystko wskazywało na wejście konfliktu w ostateczną fazę. Wióry leciały na wszystkie strony. Ten, kto wygra, będzie dyktował warunki przez najbliższe dziesięciolecia. Pozorną przewagą dysponowała koalicja, a Federacja leżała na łopatkach. Nic bardziej mylnego, Rosjanie nie powiedzieli ostatniego słowa. Wiedział o tym dobrze.

Jeszcze gdy leżał obok Tamary, myśli kłębiły mu się pod czaszką. Nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok, starając się znaleźć najwygodniejszą pozycję. W końcu przytulił się do dziewczyny i znalazł ukojenie. Ta coś mruknęła przez sen. Teraz nie mógł się ruszyć, nawet gdyby chciał.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### USKOK

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

22 BRYGADA PANCERNA | 27 maja, godzina 16:48

Z maszynami jest podobnie jak z ludźmi. Niektóre przechodzą cicho przez cały żywot, z mozołem wykonując zadaną im pracę, by skończyć w hutniczym piecu. Inne kończą efektownie, w płomieniach i huku eksplozji.

Właśnie coś takiego obserwował podporucznik Tomasz Maciejewski. Wrak Mi-35 wciąż kopcił. Rozrzucone łopaty wirnika leżały z dala, a sam kadłub utkwiał krzywo w podmokłej łączce, co jednak nie uchroniło załogi przed najgorszym. Pilot i operator uzbrojenia zwisali przypięci pasami do foteli, co wyraźnie było widać przez potraskane owiewki. W otwartych do połowy bocznych drzwiach desantowych zastygło parę skłębionych ciał w spadochroniarskich uprzężach. Maciejewski był niemal pewny, że skosiły ich serie karabinów maszynowych, a nie zabił wstrząs uziemienia.

Widok nieprzyjemnie przypominał Maciejewskiemu o kruchości ludzkiego życia. Podporucznik, jeżeli już musiał, wołał zabijać z odległości. Z rozbitych pojazdów co najwyżej wydobywał się dym, rzadko kiedy wyskakiwali ludzie. Likwidowanie wroga ogniem karabinu maszynowego trochę go przerażało. Niech będzie, że jest hipokrytą. Tłumaczył sobie, że niszczy maszyny, a nie żywe istoty. Ten drobny szczegół pozwalał utrzymać się w psychicznej formie, inaczej już dawno przestałby nad sobą panować.

Parę godzin wcześniej spłynęła do nich informacja o możliwym oporze Rosjan. Nic konkretnego, ale lepiej niech nikt nie przyśnie. Stałe napięcie i monotonia wywoływały dziwny stan nudy na pograniczu popadnięcia w letarg. Przebudzenie może okazać się nad wyraz bolesne.

Ponownie przesunął spojrzeniem po wraku. Czyżby przestroga miała się ziścić? Nikt nie potrafił dać jednoznacznej odpowiedzi, czy rozbity śmigłowiec zwiastował kontrofensywę, czy raczej kolejny patrol. W tych przepastnych lasach można było ukryć wszystko: pułk, brygadę, nawet dywizję i armię, dopóki siedzieli cicho jak mysz pod miotłą. Krążące po niebie AWACS-y, J-STAR-y i drony dawały złudne poczucie bezpieczeństwa i kontroli. Nieznane budziło strach. Niestety, sytuacja szybko się zmieniała i ich umysły wciąż miały pożywkę do nowych obaw. Dowództwo zmieniło ich marszrutę bardziej na południowy wschód i kazało przyspieszyć. Wchodzili głębokim frontem w obszar wcześniej nieplanowany. Wciąż stanowili południowe skrzydło II Korpusu, tylko że pomiędzy nimi a sąsiednią 1 Dywizją Pancerną zaczęła powstawać luka. Już teraz obie formacje dzieliło jakieś trzydzieści do pięćdziesięciu kilometrów. Tamci szli prawie idealnie na wschód. Czy znajdą się pod Petersburgiem, obchodząc miasto szerokim łukiem, czy też nagle wykonają zwrot na południe, zabezpieczając 22 Brygadę od wschodu, na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

Sprawdził na wyświetlaczu okolicę. Jak tak dalej pójdzie, niedługo osiągną główną szosę Moskwa – Petersburg i biegnącą obok linię kolejową. Gdy o tym pomyślał, zakrztusił się śliną. Gwałtowny atak kaszlu wywołał łzawienie oczu. Wytarł je nasadą dłoni, a nos mankietem kombinezonu. Nikt nie odezwał się ani słowem, choć reszta załogi wyczekiwała, co powie.

– Nic mi nie jest.

Jeszcze tego brakowało, by uznali go za mięczaka.

Niespodziewanie przyszło ostrzeżenie przed nalotem. Chciał odruchowo wyrzeć przez wąż, lecz zaraz uświadomił sobie własny błąd. Bezpośredniego uderzenia lotniczej bomby nie przeżyją, takich cudów Abrams nie potrafił. Ale gdy ładunek spadnie obok, wszystko będzie dobrze. Nie zazdrościł tym w lżej opancerzonych wozach – Bradleyach czy Rosomakach, o Cougarach nie wspominając. Przez chwilę pomyślał o pojazdach logistycznych, cysternach, amunicji i całym tym bajzlu, jaki wozili ze sobą. Właściwie z całej tej grupy interesowała Maciejewskiego jedna osoba. Nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą, ale Manicka wywarła na nim spore wrażenie. Martwił się o nią bardziej niż o kompanię, którą dowodził. Oczywiście tłumaczył to sobie w racjonalny sposób – bez zaopatrzenia nie przetrwają, co w konsekwencji i tak sprowadzało się do najbardziej interesującego Maciejewskiego wątku: jak też pani podporucznik poradzi sobie w tej

ekstremalnej sytuacji.

Seria detonacji na prawo od nich. Fala nadciśnienia uderzyła w pancerz. Każdemu, kto by przebywał na zewnątrz, rozerwałoby bębni w uszach. Instynktownie skulił się w sobie, nie przestając obserwować ekranu. Łącza JBC-P działały bez zarzutu, widział więc wyraźnie, że nikt nie wypadł z szeregu. Ze wszystkich niespodzianek, jakie zostały dla nich przygotowane, tej nienawidził najbardziej. Cała wojna to loteria, ale nalot czynił przypadkowość jeszcze większą. Tu nie miał wpływu na nic. Albo cię trafią, albo nie.

Przeciwlotniczy zestaw ZSU-24-4MP Biała stanowił modernizację starej pocziwej Szyłki. Zastosowano w nim nowy cyfrowy optoelektroniczny system śledzenia celów, sprzęgnięto ze zautomatyzowanym wozem dowodzenia łowcza-3 oraz wymieniono amunicję na nowszego rodzaju. Kilka pozostałych ulepszeń poprawiło układ trakcyjny pojazdu, jak i zwiększyło zdolność przetrwania na współczesnym polu walki. Dodatkowo w pojeździe zainstalowano przeciwlotnicze rakiety Grom, wydłużając w ten sposób zasięg rażenia zestawu. Swojej skuteczności Gromy dowiodły wcześniej, a dokładnie w 2008 roku podczas wojny Rosji z Gruzją. To wówczas ich ofiarą po raz pierwszy padły rosyjskie samoloty. Nikt wcześniej nie był w stanie wyobrazić sobie podobnej sytuacji.

W szeregach 22 Brygady nie znajdowało się zbyt wiele Białych. Inna sprawa, że w całej armii ich liczbę ograniczono do 160 sztuk. Niemniej parę wozów przypadło jednostce. Doświadczenie uczyło, że parasol własnych sił powietrznych nie zawsze jest skuteczny, a formacje lądowe często padały ofiarą niespodziewanej powietrznej napaści. Wróg oczywiście do tego dążył. Skuteczny nalot musi być dokonany z niskiego pułapu. Tylko w ten sposób uda się ominąć sieć stacji radiolokacyjnych i stanowiska broni przeciwlotniczej.

Klucz Su-25 nadleciał od południa. Zasobniki z bombami kasetowymi prawie kosiły wierzchołki wyższych sosen i jodeł. Ten odrzutowiec zaprojektowano specjalnie do niszczenia dużych zgrupowań pancernych przeciwnika. Pod każdym skrzydłem dysponował pięcioma zamkami do podwieszania uzbrojenia. Dobrze opancerzony, nie odbiegał skutecznością od A-10 Thunderbolta II.

W tej fazie konfliktu liczyła się każda maszyna. Ze składowisk uzbrojenia wyciągano wszystko, co latało, i przygotowywano do działania. A zapasy naprawdę były spore i składały się na nie głównie samoloty MiG-29, Su-22 i Su-24, skomasowane w kilku bazach lotniczych. Oczywiście tempo wprowadzania do użycia tej mieszaniny sprzętu nie było tak duże, jak by chciały tego władze. Wiele do życzenia pozostawiało także wyszkolenie samych lotników, których ściągnięto do służby z rezerwy. Część nawyków zdołała już wywietrzeć z głów, a przeciążenia nie wpływały dobrze na kogoś, kto od nich odwykł. Doktryna zniszczenia wroga ulewą ognia i stali, wdeptania w ziemię i przejścia po jego trupie, ogólnie mówiąc, średnio sprawdzała się w starciu z przeciwnikiem dysponującym taką przewagą technologiczną.

Być może Rosjanom już nie chodziło o powstrzymanie, lecz choćby o spowolnienie sił kierujących się ku głównym miastom Federacji. Tak czy owak dwa odrzutowce lecące w odległości pięciuset metrów od siebie zjawyły się nad kolumnami 22 Brygady i zrzuciły ładunek. Polaków uratowało rozproszenie – pojazdy poruszały się w przepisowych odległościach. To jednak nie uchroniło ich całkiem od strat. Abramsom kompanii Maciejewskiego nic groźnego się nie stało, za to cztery Rosomaki zwiadowców zostały rozbite, podobnie jak Bradleye piechociarzy i Humvee kompanii dowodzenia.

W jednej chwili wzdłuż lasu wyrosła ściana ognia i dymu. Lepszy rezultat przyniosłby atak przeprowadzony od tyłu, czoła lub na stłoczone maszyny przygotowujące się do przeprawy. Widocznie z jakiegoś powodu Rosjanie nie mogli sobie na to pozwolić.

Suchoje próbowały uciec na północ. Pierwsze serie z szybkostrzelnych działek Białych nic im nie zrobiły. Pociski smugowe przeszyły puste niebo. Wydawało się, że odrzutowce wyjdą z nalotu cało.

Jedno z dział ZSU-24-4MP na sekundy przed nalotem wyrwało się z kolumny i zajęło pozycję na skraju otwartej przestrzeni. Jego system wychwycił cel przemykający się dwadzieścia pięć metrów nad ziemią. Odległość tysiąc pięćset metrów. Rakieta wystrzeliła z zasobnika, momentalnie nabierając pełnej prędkości. Grom, mający zasięg do pięciu tysięcy pięciuset metrów w poziomie i trzech tysięcy pięciuset metrów w pionie, pognął za celem. Drugi z pocisków odpalił sekundę później, obierając za cel kolejnego Su-25. Dla obu pilotów nadszedł decydujący moment. Jeżeli chcą ująć z życiem, muszą jak najszybciej znaleźć się daleko stąd.

Pierwsza rakieta eksplodowała parę metrów od lewego silnika. Odłamki poszatkowały poszycie, uszkadzając stery. Wszystko byłoby dobrze, gdyby szturmowiec leciał nieco wyżej, natomiast w tej sytuacji wystarczyło drgnięcie ręki pilota i samolot przekoziołkował przez skrzydło, natychmiast tracąc wysokość. Dziesięć ton stali, broni i paliwa wbiło się w ziemię. Lotnik nie dostał szansy na katapultowanie się. Zginął, nim zdążył wypowiedzieć modlitwę. Drugi z Suchojów wyrwał się z zasięgu rakiety w ostatniej chwili. Pocisk wybuchł niegroźnie za ogonem, napełniając tylko żyły pilota dodatkową adrenaliną. Jego modlitwa została wysłuchana.

•

W radiu huczało jak w ulu. Podniecone głosy przekrzykiwały się, każdy starał się jak najszybciej uzyskać jak najwięcej informacji. Ze wskazań systemu wynikało, że parę wozów zostało wyeliminowanych. Jednak nie to było najważniejsze. Przede wszystkim liczyli się ludzie. Choć do akcji ratunkowej przystąpiono natychmiast, nie wszystkim zdołano pomóc.

– Kto oberwał? – W natarczywym pytaniu Makały słychać było troskę.

– Momencik... – Maciejewski widział wszystko na monitorze, lecz fakty klóciły się z emocjami.

– Wóz „Rudego” płonie. Nie wiem, co z załogą.

– Kurwa, dziesięciu chłopaków w tym pieprzonym złomie.

– „Konus” i „Robercik” też dostali.

– Żyją?

– A skąd ja, kurwa, mam wiedzieć! – Emocje zaczęły brać górę. Wiedział tyle, co widział. Załogi wychodziły z wraków w gorszym stanie, a czasami człowiek potknie się na prostej drodze i już się nie podniesie.

– Rydwan Jeden. – W tym całym zamieszaniu głos Stefańskiego zabrzmiał głośno i wyraźnie.

– Zgłaszam się.

– Zajmiecie pozycje na czele. Miej oczy dookoła głowy. Widzisz Kuwszinowo, jakieś dwadzieścia kilometrów na zachód od Tweru?

– Tak. – Punkt leżał na południe od ich dotychczasowej trasy.

– Spróbuj je zająć.

– Jak wyglądamy? – Musiał zadać to pytanie.

– Na razie piętnaście osób. Zobaczymy, co będzie dalej. Bez odbioru.

Wystarczyło pół minuty, a ponieśli największe straty od czasu bitwy granicznej. Maciejewski zdawał sobie sprawę, że ta liczba niekoniecznie musiała oznaczać zabitych, lecz poszkodowani szybko do szeregu nie wrócą. Jeżeli w ogóle.

Podczas nalotu oberwali ci, co byli przed nim i za nim. Co prawda Abramsy ostatniego plutonu też doznały uszkodzeń, ale nie takich, które wykluczałyby je z dalszego marszu. Załogi muszą sobie poradzić do czasu, aż ekipy remontowe nie zajmą się naprawami.

Jeden z mijanych transporterów wpadł do rowu. Wewnętrzny system przeciwpożarowy ugasił ogień, przez otwarte włazy i drzwi desantowe wydobywało się niewiele dymu. Ciała leżące na poboczu świadczyły jednak o tym, że nie obeszło się bez ofiar. Ratownik podłączał kroplówkę do ramienia rannego. Scena jak ze zwykłego wypadku drogowego, jedynie porozrzucana dookoła broń i sprzęt wojskowy przypominały, że to nie uliczna kolizja.

Czoło kolumny znajdowało się kilometr od nich. Nim wyjechali z rejonu bombardowania, obejrzeni więcej takich obrazków.

Przeciwminowego Cougara zupełnie zmiądzżyło. Leżał na boku, a potężne opony paliły się, wyrzucając do atmosfery gryzący dym.

Trochę dalej kilku zwiadowców próbowało opatrzyć kolegę. Nogi leżącego wyglądały na sprasowane do wysokości kolan. Kredowobiała twarz co jakiś czas unosiła się na parę centymetrów i opadała, jakby żołnierz nie wierzył w to, co go spotkało.

Dotarli do najdalej wysuniętego plutonu. Zwiadowcy zalegli na poboczu z Beryłami wymierzonymi przed siebie. Tu nikt nie ucierpiał, dramat rozegrał się za ich plecami. Można się było raczej spodziewać, że to im powinno grozić niebezpieczeństwo, lecz zrządzeniem losu stało się inaczej.

Kompania Maciejewskiego zajęła pozycję. Zwiadowcy ustawili się za nimi.

– No, Makała, pokaż, co potrafisz.

Kierowcy nie trzeba było zachęcać. Wyrwał do przodu, aż się kurzyło. Huk turbin przypominał start pasażerskiego Jumbo Jeta. Lufy skierowano na wszystkie strony, co ani trochę nie poprawiło samopoczucia podporucznika. Jak pokazał ostatni kwadrans, śmierć czaiła się wszędzie.

Teraz, po wszystkim, na przekór wszystkiemu podporucznik się uspokoił. Ręce przestały mu drżeć, a głos stał się twardszy. Skończyła się pora oczekiwania – rozpoczęła się walka. Nic tak nie wpływa na umysł, jak niekończące się rozmyślenia: kiedy to w końcu nastąpi. Nie był nowicjuszem, lecz za każdym razem czuł się jak debiutant.

Czy do zadawania cierpienia można w ogóle się przyzwyczaić? To kłóciło się z elementarną przyzwoitością. Za każdym razem przed walką żałował, że wybrał taki zawód, ale euforii po bitwie nie mogły zastąpić żadne doznania. Nawet nie potrafił znaleźć porównania. Wszystko inne było zaledwie namiastką tego, czego doznawał w akcji. To jak stanięcie na ulicy przeciwko paru osiłkom i rozwalenie im łbów. Wszystko bez asekuracji, na poważnie, z pełną świadomością. No, prawie to samo. Konsekwencje były różne i w dodatku tu dostawało się medale. Tylko czy zabijanie było tego warte? Rozmyślał nad tym nie raz, nie dwa i nie trzy. Przez lata w armii nauczył się jednego – zbyt wielu trafiło tu ludzi, którzy do tego się nie nadawali. Kompania nie rozwiąże ich życiowych problemów, nie znajda tu ucieczki przed przeszłością i niepowodzeniami, jakie spotkały ich w cywilu. Doszedł do wniosku, że bycie żołnierzem to powołanie, tak jak bycie księdzem czy lekarzem. Trzeba się z tym urodzić. Agresja to jedynie częśćka osobowości, jaka może się przydać. Tu trzeba być agresywnym na rozkaz. Iść do przodu, mimo chęci schowania się w najgłębszą dziurę. Traktowanie służby jako zawodu niewiele pomoże. Tu nie odbębniato się godzin od ósmej do szesnastej, żeby potem włożyć kaptcie i oglądać telewizję, a wieczorem wyjść z kumplami na piwo. Każdy, kto chciał zostać żołnierzem, policjantem czy strażakiem, musiał liczyć się z tym, że po wyjściu rano może nie wrócić na noc do domu. Może wcale nie wrócić. Po prostu takie wybrał zajęcie, ale to nie praca – to służba.

Teren przed nimi zaczął się zmieniać. Po prawej stronie szosy zauważył łąkę. Nad nią przemykający cień, jakby starający się zniknąć z pola widzenia.

– Przygotować się. – Rozkaz rozszedł się po wszystkich wozach.

Maciejewski już wiedział, co się stanie. W tym kraju niewiele było dobrych dróg. Nie trzeba być geniuszem, by przewidzieć, którędy będą się poruszać, co dawało czas na przygotowanie zasadzki. To miejsce nadawało się do tego jak każde inne. Rosjanie w końcu wykonają ruch, a nie będą się jedynie cofać.

Z różnych miejsc wyskoczyły co najmniej cztery śmigłowce Mi-28 Havok. Każdy z nich wystrzelił po przeciwpancernej kierowanej rakiecie typu AT-14 Spriggen, zwanej przez Rosjan Kornetem. Sterowane laserowo pociski pomknęły ku Abramsom. Wydawało się, że nic nie uchroni czołgów przed zniszczeniem, lecz pancerniacy podporucznika nie byli bezbronni. Każdy z Abramsów dysponował systemem Quick Kill, czyli aktywną obroną przed pociskami raketowymi. I choć został on zaprojektowany do niszczenia pocisków RPG, to radary wychwyciły poruszające się w ich kierunku rakiety i uruchomiły własne przeciw pociski.



Jak każdy system i ten nie był doskonały. W dwóch przypadkach spełnił swoje zadanie, niszcząc AT-14 w locie. Trzecia siedmiokilogramowa głowica HEAT uderzyła w pancierz boczny czołgu posuwającego się za prowadzącym, przebijając go na wylot.

Helikoptery skryły się za drzewami, zanim działka Bradleyów zwiadowców zdążyły zajazgotać wściekłym ujadaniem.

Nie chciał zatrzymywać się w tym miejscu. Jedyne, co pozostało, to pchać się dalej na teren łowiecki rosyjskich śmigłowców.

Rząd sosen i jodeł z lewej skończył się niespodziewanie. Dalej otwarta polana, pół kilometra za nią szosa niknęła w kolejnym kompleksie drzew. W pewnym momencie Abrams wyraźnie uniósł się do góry. Gąsienice oderwały się od podłoża, a kadłub i wieżę obsypały setki kilogramów ziemi i wyrwane kawały nawierzchni. Makąła zahamował w miejscu.

Co to było?

Na drodze powstał lej. O ile Maciejewski mógł się zorientować, pod przepust przechodzący pod drogą wpakowano potężny ładunek wybuchowy. Gdyby w momencie wybuchu znajdowali się nad nim, podłoga Abramsa została by rozerwana jak blaszka, a załoga w kawałkach znalazłaby się przed obliczem świętego Piotra. Przed najgorszym uchroniło ich nieprawdopodobne szczęście lub pośpiech odpalającego ładunek żołnierza.

– Dalej!!! – Maciejewski wrzasnął na struchlałego kierowcę.

Czołg ruszył, zjechał po pochyłości i wynurzył się po przeciwnej stronie jak prehistoryczne monstrum akurat w momencie, gdy pędził ku niemu kolejny przeciwpancerny pocisk. Tym razem to nie AT-14, lecz zwykły RPG. Quick Kill nie zareagował. Zdaniem podporucznika w systemie nastąpiła usterka. Nieważne. Czołowa płyta wieży wytrzymała trafienie, choć od uderzenia wszystkich rozboleły zęby.

Maciejewski, przyklejony do wizjera, szukał miejsca odpalenia rakiety. Stopniowo przesuwając obraz na prawo, aż wypatrzył ukrytych Rosjan. Nie wiedział, czy to ci sami, ale u tej grupy dostrzegł rurę zasobnika umieszczoną na trójnożnej podstawie.

– Cel.

Odlamkowy pocisk powędrował do lufy.

Kto pierwszy wystrzeli?

Odsunęli się od zamka działa, które przy wystrzale cofało się, gotowe zmiażdżyć nieostrożnego czołgistę.

– Wystrzał.

Rosjanie okazali się szybsi. Z lufy Abramsa wytrysnął ogień. Przeciwnik odpalił pierwszy, lecz pocisk czołgowy rozniósł stanowisko w ułamek sekundy po rozkazie podporucznika. Rakieta pozbawiona komend wykonała korkociąg i wbiła się w suchą trawę. W tym samym momencie na leśnej przesiece dostrzegł monstrum z działkami i zestawem kilku ppk na kadłubie. Zdaje się, że to był ten osławiony Terminator, nazwany tak, bo miał rozwalać czołgi z taką samą skutecznością, jak Arnold Schwarzenegger robił to z ludźmi.

– Cel.

Tym razem w czeluściach działa zniknął kumulacyjny M830A1 HEAT-HP.

Strużka potu spływająca po karku nie pozwalała dowódcy dostatecznie się skoncentrować. Uspokoił się, gdy krzyż celownika spoczął na pojeździe.

– Wystrzał.

Przestał zajmować się Terminatorem w tym samym momencie, gdy huknęła armata. Choć wóz posiadał kadłub czołgu, ich pocisk pokona go z łatwością.

Przesunął wizjer na prawo. Wśród drzew mignął zabłąkany BTR. Obiekt w sam raz do poszatkania przez Bushmastery Bradleyów.

Od wieży Abramsa odbiła się seria z działka. Łoskot był nieprzyjemny, aż ciarki przechodziły po plecach.

Ponad czubkami sosen dostrzegł Mi-28 kopącego z jednego silnika. Śmigłowiec spadał jak suchy liść. Pilot próbował wyprowadzić maszynę z zasięgu broni Polaków, lecz widać było, że nie da rady. Niekontrolowane znosy stawały się coraz gwałtowniejsze. W jakiś sposób lotnik wyrównał tuż nad ziemią. Koła dzieliło od podłoża zalewie parę metrów i właśnie wtedy w śmigłowiec uderzyła seria pocisków z działka 30 milimetrów. Kontrolowane awaryjne przyziemienie zmieniło się w katastrofę. Rozpruty Havok grzmotnął o łąkę. Łopaty rotoru siekły naokoło kawałkami kompozytu.

Maciejewski ponownie skoncentrował się na tych, którzy jeszcze byli żywi. Obserwując starcie z wnętrza bezpiecznego kokonu Abramsa, nie potrafił zrozumieć, dlaczego przeciwko nim nie wystawiono czołgów. Rosjanie słynęli ze swych sił pancernych. Niemożliwe, by wszystkie T-72, T-80 i T-90 zostały rozbite w dotychczasowych walkach. Widział szturmowe helikoptery, trochę sprzętu zmechanizowanego i piechotę, lecz żadnych BMP i cięższych jednostek. Nie widział, co nie znaczy, że ich tam nie było.

– Rydwan Jeden, co u was?

– Nie jestem pewien.

Stefański przez sekundę trawił odpowiedź.

– Rydwan Jeden, co to znaczy?

Maciejewski się zawahał. To było przecucie, nic konkretnego, jakiś fragment niepasujący do całości. Rozbili grupę bojową, tak jakby ta została specjalnie wystawiona na pożarcie. Jeżeli już, to należało spodziewać się co najmniej pułku, i to ciężkiego, a nie wzmocnionej kompanii.

– Opór jest... niewielki.

Brzmiało to idiotycznie. Jakiej siły potrzeba do zatrzymania batalionu pancernego? Na pewno dużo więcej niż tych kilku desperatów.

– To źle?

– Mam wrażenie, że to zaledwie wstęp – odparł zgodnie z przekonaniem.

– Prawdopodobnie masz rację.

– Szykują się do natarcia? – zapytał z niepokojem.

– Możliwe. Drugie rozwiązanie jest prostsze. Od tej pory każdy następny kilometr spróbują zamienić w piekło.

– Mnie bardziej martwi ta luka pomiędzy nami a angolami.

– Tym się nie martw.

– Chciałbym, ale nie potrafię.

– II Korpus otrzyma wsparcie – zapowiedział Stefański.

– Jak tu się nie cieszyć.

– 10 ze Świętoszowa i 6 Desantowa, do tej pory pilnująca Królewca, oraz 12 Szczecińska i 17 Wielkopolska, a także pułk rozpoznawczy z Hrubieszowa – kontynuował kapitan.

– Toż to prawie cała nasza armia – zdumiał się Maciejewski.

– Nie ja prowadzę politykę zagraniczną – zastrzegł Stefański. – Od północy nadciągają marines i kolejna ciężka dywizja Amerykanów. Podobnie na południu.

– A dokąd to wszystko zmierza?

– Nie wiem, ale pewnie niedługo się tego dowiemy – szczerze odpowiedział Stefański.

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 28 maja, godzina 14:02

– Nie jestem przekonany do tego rozwiązania. – Sekretarz stanu splótł palce dłoni na wysokości twarzy. – Może powinniśmy poszukać rozwiązań politycznych? Za dużo nas to kosztuje. Najdalej za trzy tygodnie wyczerpiemy nasze siły.

– Z tymi szacunkami byłbym bardziej ostrożny – odparł generał James Wilson, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

– Mówię o budżecie, nie o zasobach wojskowych. Już teraz koszt tej awantury sięgnął trzystu miliardów dolarów. Jak pan myśli: jak długo pociągniemy? W końcu zostaniemy zmuszeni do okrojenia budżetów wielu departamentów. Ludzie pójdą na przymusowe urlopy lub w ogóle wylądują na bruku. Zaufanie do rządu już teraz jest minimalne. Niedługo zniknie zupełnie.

– Chce pan pozostawić wszystko jak jest?

– Nie chcę, byśmy zapędzili się w ślepią uliczkę.

– Wydaje się, że sprawy zabrnęły za daleko.

Prezydent podparł głowę. Widać było jedynie źrenice przesuwające się z jednego rozmówcy na drugiego.

– Mam dość pana insynuacji. Za każdym razem słyszymy jedno: czeka nas kolejny krok, musimy wyczerpać siły... A co będzie, jak nasi rodacy nie będą chcieli dłużej nieść tego ciężaru? Łatwo jest o tym mówić, lecz nie pan podlega wprowadzonym rygorom.

Większość zebranych przy stole osób zastygła. Zmiana frontu Johna Kerry'ego dawała do myślenia. Czyżby sekretarz stanu próbował wykreować się na nowego trybuna ludowego? Przypadek w polityce wcale nie wyjątkowy.

– Chciałbym wiedzieć jedno. – Wiceprezydent pochylił się nad stołem. – Jak rozwija się śledztwo w sprawie przygotowywanego, domniemanego – zastrzegł natychmiast – zamachu na nasz kraj? Czy są jakieś poszlaki kierujące dochodzenie na nowe tory?

Szef Federalnego Biura Śledczego pokręcił głową.

– Nie mam dobrych wieści. Z materiałów, jakie uzyskaliśmy od informatora z organizacji Skokowa, nie dało się wyciągnąć nic więcej. O ile wiem, ten człowiek zginął, a wraz z nim możliwość zdobycia dodatkowych danych. Nie wiemy jak, kiedy i kto. Przetrzęsamy statki, samoloty i potencjalne miejsca przechowywania. Jest to o tyle trudne, że nie mamy pojęcia, czego szukamy. Do tej pory udaremniliśmy przerzut przez granicę co najmniej czterdziestu ton narkotyków z Meksyku, paru transportów broni i ujęliśmy dwustu czterech poszukiwanych przez nas członków mafii oraz organizacji terrorystycznych i rewolucyjnych. Natomiast nie trafiliśmy na najmniejszy trop przygotowywanej przez Rosjan operacji. Osobiście uważam to za bluff Putina.

– Jest pan pewny? – zapytał Joe Biden.

– Jak najbardziej. Przy wysiłku, jaki włożyliśmy w poszukiwania, nie widzę innej możliwości – podsumował James Comey.

– Być może należy poszukać głębiej.

– Jak wszyscy wiemy, nasza sytuacja jest i tak bardzo skomplikowana. Koncentrując się tylko na tym jednym zagadnieniu, tracimy z oczu pozostałe. Byłem zmuszony odwołać większość agentów terenowych od spraw, jakimi się zajmowali. Jak panowie myślą, jaki jest tego skutek? – Comey powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. – Położyliśmy parę dużych spraw, w zamian nie zyskując nic. Zamiast ścigać realnych przestępców, uganiamy się za domniemanymi zamachowcami. Nie wiem, jak panowie – dyrektor rozłożył ręce – ale ja uważam, że gonimy za własnym ogonem. Możemy oczywiście ciągnąć to, tyle że utracimy kontrolę nad paroma równie istotnymi problemami.

– Chyba każdy z nas jest tym tak samo zainteresowany – powiedział prezydent. – Gary, jakie jest twoje zdanie?

Craig obserwował z uwagą Comeya.

– To, że niczego nie znaleźliśmy, wcale nie oznacza, że tego tam nie ma. O ile wiem, specjaliści byli zgodni: projekt jest w realnym zasięgu Rosjan. Jeżeli tak, na pewno spróbują go wykorzystać.

– Działo szynowe też jest realne, choć od lat pracujemy nad rozwiązaniem paru problemów. Pewnie za kilka lat pole bitwy, to, jakie znamy, ulegnie przeobrażeniu – odparł szef FBI. – Są prototypy, ale tylko prototypy. W przypadku „Czarnego Słońca” sam rozwinięty projekt badawczy nie oznacza użycia tego... – Comey nie znalazł odpowiedniego słowa –...tego czegoś jako broni.

– Nie chciałbym zostać niemile zaskoczony – sapnął Gary. – Ma pan oczywiście sporo racji –

zastrzegł. – Na problem powinniśmy spojrzeć z dwóch stron – powiedział głośniejszym głosem. – Bo mnie osobiście wydaje się, że chcemy ugryźć większy kawałek, niż pozwalają warunki. Faktycznie sama konfrontacja z Federacją wysysa nasz budżet jak odkurzacz. Na obecnym etapie w bezpośrednie działania jest zaangażowane przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy naszych żołnierzy oraz drugie tyle z państw koalicyjnych.

Wilson potwierdził prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Nie popełniamy błędów z poprzednich kampanii. To zbyt wielki obszar, by nad nim zapanować, a kontrola jest tu kluczem do sukcesu.

– Gary, o co konkretnie chodzi?

– Jak powiedziałem, możemy zrobić dwie rzeczy – podkreślił doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Dogadajmy się z Putinem, wtedy zamachem w ogóle nie musimy się przejmować, lub już teraz przedstawmy Rosjanom alternatywę. Kogoś, kto obieca wolne demokratyczne wybory, a do tego czasu będzie organizował administrację na obszarach przez nas zajętych.

– Zaraz zostanie okrzyknięty jankieskim psem – odrzekł John Kerry.

– Co nam szkodzi spróbować? Właściwie nie mamy wyjścia.

– Masz kandydata? – zapytał prezydent.

– Sięgnijmy po opozycjonistów. Jak się nie zgodzą, stracą życiową szansę.

– Mówisz o tym blogerze, jak mu tam?

– Nawalnym. – Gary pośpieszył z pomocą.

– Co z nim?

– Siedzi w areszcie domowym, w Moskwie – wyjaśnił dyrektor CIA. – Aż dziw, że nie został przewieziony do więzienia. Nie muszę dodawać, że jest pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Będzie chciał z nami rozmawiać?

– Jeżeli jest rozsądny, to tak. – Gary nie miał wątpliwości. – To co? Spróbujemy go wyciągnąć z tego bajzlu?

– To nie takie proste. Strażnicy szybciej go odstrzelą, niż pozwolą mu zwać.

– Masz swoją demokrację, Gary. – Prezydent po raz pierwszy od początku narady uśmiechnął się pod nosem.

– To nie moja demokracja, tylko Putinowska – zachnął się doradca. – Przynajmniej spróbujmy.

– Dyrektorze, jakie jest pańskie zdanie?

– Przy dobrym planowaniu... – John Owen Brennan nie wyglądał na przekonanego.

– Niech się lepiej uda. Tak będzie wygodniej dla wszystkich – powiedział Craig. – Jeżeli już jesteśmy przy tym: opozycja Nawalnego nie może istnieć w politycznej próżni, potrzebuje wsparcia, nie tylko naszego.

– Na pewno każde z państw biorących udział w koalicji chętnie pośpieszy z pomocą.

– To za mało. Potrzebujemy silnej reprezentacji samych Rosjan.

– Ludzi uczciwych, honorowych i stojących ponad podziałami... Gary, bądź rozsądny, tacy nie biorą się z powietrza. Musimy ich dopiero poszukać.

– Lepiej, jak zabierzmy do tego już teraz.

– Może wstrzymamy się z tym, dopóki nie zajmiemy Petersburga – wtrącił Joe Biden. – Samo miasto jest atutem. Dawna stolica – nowa władza.

– Zrobimy tak, jak zaproponował Gary – zdecydował prezydent.

Craig spróbował pójść za ciosem.

– Nie zapominajmy też o tym, co dzieje się na południu.

– Interesuje cię Kaukaz?

– Średnio.

Nagle stężałe twarze świadczyły, że wdepnął w polityczne łąno.

– Nie mam pojęcia, jak chcesz to ugryźć – zainteresował się Obama. – Zdestabilizowanie Chin

nic nam nie da. Spowoduje raczej rozdmuchanie kolejnej sprawy, nad którą nie będziemy mogli zapanować.

– Zwłoka również nic nam nie da. Umocnią się wszędzie, gdzie dotarli. W końcu posiadają surowce, o których zawsze marzyli. Cały rejon pomiędzy Morzem Kaspijskim a Tybetem znajdzie się pod wpływami Pekinu. Staną się takim samym molochem, jakim jest... a raczej była Federacja. O ile Rosja ciążyła ku Europie, to oni mocno stoją w Azji. Jaki jest ich potencjał demograficzny, sami wiemy. Pod względem militarnym niedługo przestaną nam ustępować, tak jak i pod względem gospodarczym. Jedno, czego im brakuje, to zdeklarowani sojusznicy. Może oprócz Korei Północnej, lecz wcale nie zdziwię się, jeśli i oni będą chcieli uzyskać coś dla siebie.

– Jednym słowem, powstanie nowy twór państwowy, agresywny wobec nas i mający spore ambicje. – Wilson trafnie odgadł, co Gary ma na myśli.

– Choć nie tak od razu. Zajmie im to parę lat. Jeżeli nic nie zrobimy, za mniej więcej dekadę staniemy przed takim samym wyzwaniem jak dzisiaj, tyle że doprawdy nie mam pojęcia, jaka wówczas będzie nasza sytuacja.

– I ten czarny scenariusz ma nas przekonać do natychmiastowego działania? – zapytał sekretarz stanu.

– Czy przypadkiem nie jest tak, że Chiny dążą do konfrontacji z nami już teraz? Okoliczności są dla nich nad wyraz sprzyjające. Nie ma nikogo, kto potrafiłby im zagrozić – wrażliwy przypuszczenie Joe Biden.

– Oczywiście. – Gary przyznał rację wiceprezydentowi. – Ani my, ani tym bardziej Federacja nie jesteśmy w stanie ich od tego odwieść.

– Więc kto?

– Doskonałe pytanie – odparł Craig po chwili milczenia. – A jak powiem, że oni sami są swoim największym wrogiem: struktura społeczna, uwarunkowania wewnętrzne, różnice pomiędzy wsią a miastem i szereg pozostałych czynników?

– Chcesz podburzyć ich przeciwko sobie?

– Nie są tak homogenicznym społeczeństwem, jak się wydaje – ciągnął Gary. – Kryzys ekonomiczny odbija się również na nich. Powstająca klasa średnia chce więcej, a ci na samym dnie, chłopi i robotnicy, obserwują, jak w tym niby bezklasowym społeczeństwie jednym powodzi się doskonale, a im brakuje na miskę ryżu. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielkie wzburzenie panuje na peryferiach miast.

– Nawet jeżeli masz rację, ci ludzie tkwią w marazmie.

– A naszym zadaniem jest ich z niego wyciągnąć – twardo odrzekł Gary.

– Chcesz to wziąć na swoje sumienie?

– Moje sumienie już jest czarne jak smoła.

– Dobrze. – Prezydent wahał się krótko. – Ty się tym zajmiesz. Pan, dyrektorze, udzieli wszelkiej możliwej pomocy. Proszę to działanie potraktować na równi z tym, co dzieje się na terenie Federacji.

– Dobrze. – Szef CIA potwierdził polecenie.

– Co jeszcze?

– Mamy powody przypuszczać, że Rosjanie przygotowują kontrofensywę. Zgromadzili spore siły pomiędzy Twerem a Rżewem. Na południowym skrzydle mamy Polaków. To na nich spadnie uderzenie.

– Dużo ich jest?

– Rosjan oceniamy na trzy do czterech większych związków taktycznych. Polaków na ekwiwalent niepełnej dywizji, ale szybko ściągają posiłki. Niemniej to potrwa.

– Możemy im jakoś pomóc?

– W tej chwili będzie to trudne. Właśnie rozpoczynamy szturm Petersburga. Marines są na przedmieściach. Teraz – Wilson spojrzał na ścienny zegar – Brytyjczycy próbują szerokim

manewrem otoczyć miasto od wschodu. 3 Piechoty wesprze 62 MEU. Kolejna 1 Piechoty, czyli Big Red One, dotrze na front najszybciej za siedemdziesiąt dwie godziny. Pozostają spadochroniarze z 101, ale i oni pójdą na Petersburg.

– Nie ma pan nic na podorędziu?

– Wygospodarujemy jakąś brygadę. Tylko obawiam się, że to będzie za mało.

– Proszę nas nie straszyć, generale. – Joe Bidenowi nie podobał się pesymizm Wilsona. – Otrzymali od nas potężne wsparcie. Dysponują takim samym sprzętem jak my. Muszą wytrzymać do czasu sprowadzenia posiłków.

– Niech Bóg nad nimi czuwa.

– Nie będzie tak źle. – Prezydent spróbował pocieszyć Wilsona.

– Ja nie mówię o Polakach, sir.

– A o kim?

– O tych biednych rosyjskich sukinsynach.

•

Generał James Wilson wyszedł z narady jako pierwszy. Miał ku temu powody. Pierwsze, co zrobił, to chwycił za telefon i zaczął wydawać polecenia.

– Bantz, słuchaj uważnie. – Słowa kierował do dowódcy Dowództwa Europejskiego Stanów Zjednoczonych. – Co robią alaskańscy zwiadowcy?

– Z tego, co wiem, siedzą na dupach.

– Niech ładują się do Ospreyów i za parę godzin chcę ich widzieć na południu.

– Rozumiem.

Myśli generała pędziły jak szalone. Szykował się może nie koniec, ale początek końca. Przynajmniej jeżeli chodzi o Federację. Gdzieś w głębi przełyku czuł narastającą gulę niepokoju. Dostał szansę pobicia wroga w polu, a nie trzymającego się zębami miasta. To, co obecnie Rosjanie wystawili przeciwko siłom koalicji, stanowiło żelazną rezerwę regularnych jednostek. Zmiecienie ich z pola bitwy usunie ostatnią przeszkodę do zwycięstwa. Resztki, jakie pozostaną, w żaden sposób nie wpłyną na wynik wojny. Pytanie, na które należało teraz odpowiedzieć, brzmiało: co nastąpi później? Nowa faza oznaczała wojnę domową, rewolucję czy próby wyrzucenia interwentów z kraju, podobnie jak miało to miejsce sto czy dwieście lat wcześniej. Osobiście przygotowywał się na wszystkie scenariusze.

## ROZDZIAŁ DRUGI

AMDERMA – FEDERACJA ROSYJSKA | 28 maja, godzina 16:16

W normalnych warunkach jesteśmy w stanie śledzić tylko jeden przekaz. Wylewający się z telewizora potok słów obezwładnia nasze zmysły, grając na emocjach i nie pozwalając zebrać myśli. Często, gdy informacja w sposób bezpośredni lub pośredni wpływa na nas samych, czujemy niepokój lub strach, nie mogąc zweryfikować tego, co mówi do nas spiker. Pozostaje nadzieja, że wiadomość jest rzetelna, a mądrzejsi od nas już zabrali się za rozwiązanie problemu.

Praktycznie wszystkie duże koncerty medialne posiadały własne programy informacyjne. Te, które jeszcze o to nie zadbały, szybko nadrabiały zaległości, niejednokrotnie próbując przebić gigantów takich jak CNN czy Fox News. Wszechobecność Internetu pozwalała praktycznie każdemu zostać dziennikarzem. To, z czego rezygnowali giganci, oceniając jako zbyt brutalne czy nieetyczne, momentalnie znajdowało nabywców gdzie indziej, najczęściej było umieszczane w Internecie. Problem z takimi newsami i filmikami był jeden – wyrwane z kontekstu raczej zaciemniały obraz. Człowiek, który to nagrywał i wyemitował, nie orientował się w ogólnej sytuacji, a wiadomość puścił dlatego, że tak mu się podobało.

Generał Seth Holden śledził przebieg wojny na kilku terminalach i chociaż robił to uważnie i od początku, nie był ani odrobinę mądrzejszy. Po wielu godzinach oglądania materiałów filmowych i przebiegania wzrokiem po czerwonych paskach na dole ekranu narastała w nim frustracja i zniechęcenie. Szturm na Petersburg odbijał się w mediach takim samym echem jak strzelanina w Charleston. Po każdej sesji czuł się wypruty emocjonalnie, a obraz, jaki próbował sobie ułożyć, rozpadał się na kawałki.

Stało się to, czego obawiał się najbardziej: ugrzęźli na końcu świata, a jedyne, co im pozostało do zrobienia, to monitorowanie stanu hydratu metanu. Fakt, parę katastrof już zaliczyli i wciąż spodziewano się najgorszego, choć w tej kwestii specjaliści nie potrafili dojść do porozumienia – jedni straszili nadciągającą katastrofą, jakby w ostatnich tygodniach było ich mało, inni proponowali przestać zwracać uwagę na detale i natychmiast uruchomić dawne pola wydobywcze.

Zbiegiem okoliczności stał się nadzorcą wszelkiej maści ekspertów oraz odpowiedzialnym za usuwanie skutków katastrofy, która doprowadziła do obecnej sytuacji. Rejon w promieniu co najmniej pięciuset kilometrów został oczyszczony. Mało prawdopodobne wydawało się niespodziewane pojawienie się sabotażystów, nawet tych z Greenpeace. Nadzór zmienił się w robotę dla żandarmów, a nie Alaskańczyków.

Chłodniejszy podmuch na plecach sprawił, że uniósł głowę.

– Nie wyglądasz na szczęśliwego.

Za generałem przystanął major Niels.

– Nie wiem, czy będziesz, jak dowiesz się, o co chodzi.

Holden przestał śledzić obraz na monitorach i zerknął na zastępcę.

– Dawaj, co masz.

– Przestali przed chwilą.

– Z ALCOM-u?

– Z Pentagonu. Zdaje się, że Wilson maczał w tym palce – oznajmił major, wyjmując z koperty kartkę papieru.

Szyfrogram w zasadzie zawierał wszystko, czego Holden chciał. Wbrew zwyczajowi przeczytał wszystko od początku do końca, starając się nie przegapić szczegółów. Tak, dostał to, czego oczekiwał, a nawet odrobinę więcej. Ponownie stał przed wyzwaniem, tyle że nie o takie zadanie chodziło. Wyszkolił oddział do operacji w niebywale trudnym arktycznym terenie, a przesuwno ich na południe do łatania dziur. Na froncie faktycznie musiało źle się dziać, skoro zadanie, z jakim poradziłyby sobie byle jaki batalion, przydzielono im. Pentagon rozmieniał się na drobne. Przez

głowę przemknęła mu myśl o pociągnięciu za odpowiednie sznurki i próbie odkręcenia tego wszystkiego. Szybko ją odrzucił. Jeżeli polecenie pochodzi z samej góry, decyzje już zapadły. Nieodwołalnie i ostatecznie.

– Dobra. Wiesz, co masz robić.

– Już się tym zajmę – odpowiedział Niels. – Ściągamy ludzi z dalej położonych posterunków i patroli.

– Ile to zajmie?

– Do dwóch godzin. Szybciej się nie da bez ryzyka – dodał, uprzedzając pytanie. – Najdalej zapuścił się Alvarez. Od paru dni są w tajdze.

– Niech znajdą lądowisko. Zabierzemy ich po drodze – zdecydował Holden.

Jeżeli mają być skuteczni, musi zebrać wszystkich. Nie będzie wysyłał jednostki po kawałku. Ostatecznie pod rozkazami generała służyło dwa tysiące ludzi. Skromny batalion przeistaczał się w pełną brygadę z własnym komponentem lotniczym w postaci Ospreyów V-22 i śmigłowców CH-53E Super Stallion.

– Zaopatrzenie też zabieramy?

Holdenowi przypomniały się rzędy palet zalegające nabrzeże i hangar na lotnisku. Do wielu zapakowano sprzęt pozwalający przetrwać w skrajnie trudnych północnych warunkach.

– Amunicja, żywność, środki medyczne. Ile się da. Nie mam pojęcia, co zastaniemy na miejscu.

– Nie odnosisz wrażenia, że to zmierza w złym kierunku?

– Zdaje się, że przed tym nie uciekniemy. – Holden zaczął wygaszać monitory. Najlepiej, jak sam wszystkiego dopilnuje. Niedawno otrzymał awans. Jeśli coś pominie, zrobi fatalne wrażenie, a on uważał się za żołnierza doskonałego.

•

Surowe piękno tajgi przypominało Alaskę. Gdzie nie spojrzął, rosły modrzewie. Na wysokim brzegu rzeki, której nazwy nie znał, widział ciągnący się kilometrami zielony kobierzec. Gdyby nie GPS, już dawno zgubiliby się w tej głuszy. Brakowało punktów orientacyjnych, a niezmierzone przestrzenie najwygodniej pokonywało się łodzią bądź śmigłowcem.

Chorąży Louis „Drzazga” Alvarez przysiadł na zwalonym pniu. Snajperski M110 ułożył troskliwie na kolanach. Przez ostatnie trzy dni on i jego drużyna sprawdzili parę punktów, które zdaniem chorążego tego wymagały. Raczej nie spodziewano się kłopotów, lecz Alvarez nie lubił słowa „raczej”, wolał mieć pewność. Zbyt długo służył w armii, by zdawać się na przypadki. Tych, którzy tak robili, chowano z honorami w Arlington wśród niekończących się rzędów białych nagrobków cmentarza wojskowego.

Właściwie już kończyli. Do sprawdzenia pozostała ta jedna osada zagubiona w głuszy. Wcale nie zdziwi się, jeśli jej mieszkańcy na ich widok wybałuszą oczy. Tu czas biegł innym rytmem. Co tych ludzi obchodzi wydarzenia gdzieś w świecie. A może się mylił? Nigdzie nie brakuje takich, co chcą chwycić za broń i posłać wroga do diabła. Przypadkowa kula to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Przez chwilę pomyślał o wygodniejszym ułożeniu ciała, a przynajmniej o zdjęciu plecaka i odciążeniu ramion. Ze wszystkimi cyfrowymi systemami, jakie na sobie dźwigał, przypominał cyborga i tak właśnie się czuł, a wolał chłonać otoczenie bez tych wszystkich elektronicznych filtrów.

Pisk w uchu obwieścił nadejście nowego przekazu. Na naświetlaczu HUD przeczytał treść. Znalezienie w ciągu godziny miejsca, skąd zostaną zabrani, nie powinno nastęrczać trudności. Bez odpowiedzi na razie pozostanie pytanie o przyczynę takich działań. Nieustający dostęp do sieci pozwalał przynajmniej z grubsza orientować się w sytuacji na froncie. Skoro u nich panuje spokój, najpewniej są potrzebni gdzie indziej. Osobiście stawiał na Petersburg. Majestatyczną tajgę zamieni na miasto, choć może nie tak piękne jak ona i na dodatek zamieniające się w gruzy.

Nie poszedł do wojska dlatego, że lubił wypełniać rozkazy. Raczej szukał nowych doznań i



wyżwał. Po paru latach służby stał się na tyle ważnym trybem w oddziale, że nawet tacy ludzie jak Holden słuchali, co ma do powiedzenia. Ostatecznie mogli wybrać alternatywną opcję, co nie oznaczało lekceważenia. Akurat to konkretne zadanie zupełnie nie podobało się chorążemu. Generałowi pewnie też nie.

Przełączył HUD i wyświetlił mapę terenu. W pobliżu, jakieś trzy kilometry na zachód, znajdowało się obiecujące miejsce. Im szybciej tam dotrą, tym lepiej.

– Wstawać.

Drużyna ustawiła się na ścieżce. Nie chciał ich straszyć, resztą sam niewiele wiedział. Lepiej, jak poczeka na to, co mają do powiedzenia oficerowie.

22 BRYGADA PANCERNA, NA PÓŁNOC OD RŻEWA

– FEDERACJA ROSYJSKA | 28 maja, godzina 18:11

Zbliżał się wieczór. W normalnych warunkach byłoby całkiem przyjemnie. Długie cienie drzew powoli kładły się na trawie, a powietrze wypełniał ciepły zapach nagrzanej ziemi.

Do tego smród tysięcy litrów spalonego paliwa, odór chemikaliów i własnego niemytego ciała. Słońce zachodziło krwawą łuną. Na południe i wschód od nich na przestrzeni wielu kilometrów rozciągała się czarna chmura zwiastująca zaporę nie do przebycia – ktoś podpalił las. Nawet wiedzieli, kto: Rosjanie robili wszystko, żeby utrudnić podejście do swojej stolicy.

Było duszno i parno. Ludzie tracili panowanie nad sobą z byle powodu. Drobne naruszenia dyscypliny stanowiły normę. Na szczęście ucichł drażniący huk turbin i silników czołgów, transporterów i ciężarówek podążających wciąż dalej w głąb Federacji. Nikt już nie liczył, jak daleko wdarli się w głąb terytorium Rosji. Dawną kalkulację zastępowała nowa: ile jeszcze pozostało do Moskwy.

Cel nagle wydał się oczywisty. Może nie wszystkim, lecz tym na czele na pewno. Nikt nie wiedział, jak i kiedy to się stało. Do pewnego momentu zabezpieczali II Korpus. Zwrot nastąpił wtedy, gdy nacisk Rosjan stał się wyraźniejszy. Mogli oczywiście spróbować powstrzymać przeciwnika, cofając się tam, gdzie groziło przełamanie. Równocześnie każdy zdawał sobie sprawę z jałowości takich działań. Powoli wyłaniał się nowy obraz. II Korpus generała Raymonda Coopera operował pod Petersburgiem, a polskie jednostki ciążyły ku południowemu wschodowi. W mediach ten manewr już nazwano Polskim Frontem i tak pozostało. Coraz częściej mówiono o operacji zaczepnej na kierunku moskiewskim, jakby nie zdając sobie sprawy ze stopnia skomplikowania takiego działania. Zdaniem Maciejewskiego wszystko wyglądało na gigantyczną improwizację. Wymysły pismaków to jedno, a rzeczywiste możliwości to drugie. Komputerowe animacje na ekranach telewizorów na pewno przyciągały uwagę. Wszystko piękne, czyste i sterylne. Jedna brygada czy dywizja tu, druga tam. Batalion jeszcze dalej. Wykresy przetykane zdjęciami z poligonów, zniszczonego Gdańska, roztrzaskanych wozów bojowych pod Druskiennikami. Wizja polityków: „Nic się nie martwcie, my czuwamy” objawiła się w pełnej krasie. Łatwo łykać takie obrazki, jak nikt do ciebie nie strzela. Z bliska jest zupełnie inaczej.

Ekipa wymieniająca gąsienicę przy wozie stojącym tuż za Abramsem Maciejewskiego waliła młotami o łom już od piętnastu minut, co działało mu na nerwy. Przyglądał się z oddali, lecz nie interweniował. Z tak błahą usterką muszą poradzić sobie sami. Patrzył to w prawo, to w lewo z nadzieją, że dostrzeże Manicką, lecz od czasu pierwszego spotkania gdzieś przepadła. Szkoda, zawsze to miło pogadać i oko na kimsz zawiesić, zwłaszcza gdy wokół tylko obwiesie z własnej kompanii. Obraz Manickiej rozwiął się, gdy oficer dojrzał czarno-siny horyzont. Podobny obserwował poprzedniej nocy i choć wtedy nie było aż tyle dymu, to czerwona poświata przywodziła mu na myśl najgorsze koszmary.

Przełknął ślinę, starając się zwilżyć spieczone gardło. Tym razem Mini Beryl nie wystarczył, by rozwiać niepokój. Ponad horyzontem dojrzał na niebie smugi kondensacyjne. Białe krechy z

zachodu wskazywały na własne maszyny. Naliczył pięć, gdy tuż nad drzewami ujrzał kolejne dwie. Zachodzące słońce podświetlało je na czerwono. Przechodzące przez turbiny powietrze układało się za odrzutowcem w jeden pas, choć wychodzący z dwóch silników. Stawiał na Eagle lub Super Hornety, z pewnością należące do Amerykanów. Szkoda, że nie z szachownicami na skrzydłach i kadłubie.

Przewiesił automat na bok i poprawił taśmę, zastukał palcem w magazynek. Jak się nie pośpieszy, spóźni się na odprawę do Stefańskiego. Załoga wymieniająca gąsienice ucichła, gdy ją mijał. Może powinien dodać im otuchy? Jakoś nie potrafił się zdobyć na taki gest, za bardzo go drażnili. Wreszcie przełamał niechęć i przystanął.

- Pośpieszcie się, bo nie wiem, co wymyślą w sztabie.
- Tak jest, panie poruczniku. – Starszy sierżant przybrał regulaminową postawę.
- Gdzie „Romeo”? – zapytał o czwartego członka załogi.
- Poszedł do lazaretu. Już wczoraj dostał sraczki.

Fatalnie. Jeżeli czołgistów zaczną dziesiątkować choroby, to i bez interwencji Rosjan batalion straci zdolność działania. Jeden, dwa przypadki to jeszcze nic groźnego, tylko czy przed kolejnym starciem takich jak „Romeo” nie pojawi się więcej? I czy to faktycznie dolegliwość spowodowana niewłaściwym odżywianiem i stresem, czy też może chęć wymiksowania się z oddziału?

Problem dezertorów i samookaleczeń dotyczył wszystkich armii, nawet zawodowych. Rzeczywistość różniła się od oczekiwań, a nawet najlepsze szkolenie jest tylko namiastką prawdziwej bitwy. Wystarczy zapakować kumpla do czarnego worka i odechciewa się wszystkiego.

Jeśli znajdzie parę minut, pogada z medykami i zorientuje się, jak to wygląda z ich punktu widzenia. Brakuje im jeszcze wariatów z bronią robiących sieczkę w obozie. Amerykanom takie przypadki już się zdarzały, im – dzięki Bogu – na razie nie.

Na odprawę zdążył w ostatniej chwili. Wszyscy pozostali dowódcy kompanii przybyli wcześniej, czekano tylko na niego.

– Dobra, możemy zaczynać. – Kapitan wskazał Maciejewskiemu wolne miejsce. – Jak się zapewne domyślicie, dotarliśmy do punktu, w którym możemy iść tylko do przodu. Odwrót oznacza klęskę, a wszystkie starania i ofiary pójdą na marne.

Podporucznik spodziewał się raczej omówienia wypadków kilku ostatnich dni i określenia zadań na najbliższy okres, tak jak to miało miejsce parę ostatnich razy. A tu, zamiast przyjacielsko pogawędzić, Stefański wystrzelił z grubej rury. Sens przemowy sprowadzał się do hasła: „Bóg, Honor i Ojczyzna”, choć ujętego w mniej abstrakcyjne słowa.

- Sztab II Korpusu postawił przed nami nowe zadania.
- Oficerowie zamarli w napięciu.

– Z informacji wywiadu wynika, że Rosjanie skoncentrowali przed nami ekwiwalent czterech pełnych dywizji. Jak sugeruje zwiad, rdzeniem jest 98 Dywizja Powietrznodesantowa i ciężkie brygady z garnizonu moskiewskiego. To w pierwszej linii. Oprócz tego zmobilizowali rezerwy, wojska MSW oraz siły pomocnicze. Niech nikogo nie zmyli określenie „jednostka MSW”. To regularne oddziały zmechanizowane z artylerią, transporterami i bewupami. Noszą miano jednostek specjalnego przeznaczenia. Już wyjaśniam. W tym przypadku nie chodzi o specnaz w klasycznym ujęciu, lecz wojska pacyfikujące całe regiony. Mają w tym spore doświadczenie.

- Więc to nie frontowcy? – wyrwało się porucznikowi dowodzącemu drugą kompanią.

– Mają więcej doświadczenia w walkach niż zwykłe jednostki pierwszoliniowe. Byli przerzucani wszędzie tam, gdzie istniało zagrożenie dla porządku publicznego. Szkołę przeszli na Kaukazie, ale nie tylko. Jak Moskwa przestaje panować nad jakimś miastem z powodu rozruchów, to wysyła tam tych zbirów. Najbardziej sławna z tych formacji to 1 Dywizja im. Feliksa Dzierżyńskiego. Niewykluczone, że przyjdzie się z nimi zmierzyć. Ostrzegam przed lekceważeniem ich.

- Mogę o coś zapytać? – Maciejewski uniósł rękę.
- Proszę.

– Jak są liczni?

– Kiedyś to była jedna dywizja i parę brygad, przeważnie rozlokowanych w dużych miastach. W mniejszych ośrodkach wystarczały kompanie. O ile wiem, do obrony Moskwy ściągnięto wszystkich.

– Stefański przerwał, oczekując kolejnych pytań.

Podkomendni milczeli.

– Jak się zapewne domyślicie, nam przypadło w udziale zadanie rozbicia sił zgromadzonych pomiędzy Rzewem a Twerem.

Maciejewski zerknął na kolegów powoli trawiących informację o dysproporcji sił obu stron.

– Do rana dołączy do nas 10 i 12 Brygada oraz 6 Desantowa. 17 w odwodzie. Rozwiewając wasze wątpliwości, powiem, że 12 i 17 dysponują sprzętem takim jak my.

Na twarzach zebranych pojawiły się pierwsze nieznaczne oznaki odprężenia. Po doszlusowaniu reszty osiągną stan około 400 Abramsów i Leopardów 2 oraz kolejnych kilkuset Bradleyów i Rosomaków. Dla desantowców i chyba pułku specjalnego, choć o nim nie wspomiano, znajdują zajęcie. Aż strach pomyśleć, co zostało zlecone GROM-owcom.

– Wkrótce dołączą do nas kolejne oddziały, zespół bojowy pilnujący do tej pory instalacji na Północy. Na 1 Dywizję Piechoty przyjdzie trochę poczekać.

Amerykańska dywizja to kolejne cztery brygady pancerno-zmechanizowane. Jak dobrze policzył, niedługo osiągną stan dziewięciu brygad. Pod Petersburgiem operowało kolejne trzynaście–czternaście. Dokładnej liczby nie był pewny. Wiedział, że tworzy się front ukraiński czy też południowy, jak nazywali go niektórzy, z podobną ilością wojsk, ale za to ze zdecydowanie słabszym przeciwnikiem.

O wiele bardziej interesowała Maciejewskiego taktyka niż wielka strategia. Akurat w przypadku operacji na terenie Federacji planiści stawali przed niebywale trudnym zadaniem: jak pogodzić cele polityczne i wojskowe? Jedno duże zgrupowanie w centrum czy też mniejsze na skrzydłach?

Jego skromnym zdaniem za długo to wszystko trwało. Próbowano złapać zbyt wiele srok za ogon. Na szczęście armia rosyjska uwikłała się w walki, częstokroć bratobójcze, na terenie całego kraju, od Królewca po Władywostok. W końcu zemściło się olbrzymie terytorium. Ci na Dalekim Wschodzie nie mogli liczyć na pomoc tych z europejskiej części kraju i odwrotnie. Jeśli spojrzeć na wszystko z perspektywy zwykłego czołgisty, zasoby tego kraju i tak wydawały się niewyczerpane.

– Kiedy zaczynamy?

– Powoli. – Stefański wyglądał tak, jakby zmagał się z bólem zęba. – Jest możliwe, że w wyniku przygotowywanej operacji znajdziecie się niedaleko Moskwy.

– Już jesteśmy niedaleko – zauważył dowodzący zwiadowcami oficer. – Co znaczy „niedaleko”? Kilometr, dwa, dziesięć czy dwadzieścia? Chciałbym o tym wiedzieć, zanim przystąpimy do wykonywania planu.

Wzrok Stefańskiego zasugerował, że jeżeli porucznik nie uściśli pytania, może spodziewać się takiej samej odpowiedzi.

– Czy jest jakaś linia, której mamy nie przekraczać? – wypalił w końcu zagończyk.

– Chciałbym, żebyście wiedzieli jedno: nie planujemy zajęcia Moskwy. Krążą słuchy, że po rozbiciu zgrupowania rzewsko-twerskiego może dojść do próby nawiązania stosunków dyplomatycznych. Takie jest oficjalne stanowisko sztabu II Korpusu oraz generała Coopera.

Parsknięcia i posapywania jednoznacznie określały, co podwładni kapitana myślą o postanowieniach sztabowych pierdzistołków.

– Powiedzieć mogę tylko tyle, że w mojej ocenie wypowiedzi oficerów prasowych i decyzje polityczne stoją poniekąd w sprzeczności z rozkazami dotyczącymi zadań bojowych. Rozkazy mówią o zniszczeniu wroga, więc gdzie to nastąpi, ma dla mnie drugorzędne znaczenie.

Każdy z nich z wolna przyswajał informacje. Jaśniej wyrazić tego się nie dało. Jako sojusznicy podlegali pod dowództwo Coopera, gdziekolwiek on teraz się znajdował. Bez niego prawdopodobnie wciąż tkwiliby na pograniczu polsko-litewskim albo tłukli się z Białorusinami

mającymi ochotę na rewanż po konflikcie sprzed paru lat. To niedorzęcznie wroga dało w końcu o sobie znać. Moskwa wtedy szalała, strasząc wszystkich na prawo i lewo. W końcu politycy ulegli, choć i wówczas nie brakowało głosów, że wszystko skończy się podobnie, jak pozostawienie u władzy Saddama Husajna w 1991 bądź rozejm z Niemcami w 1918 – czyli kolejną wojnę.

Mieli rację. Przeciwnik urósł w siłę. Jeżeli teraz nie załatwią sprawy do końca, może już nie być kolejnego razu. O tym wiedzieli wszyscy: od prostego szeregowego po najważniejszych polityków w Warszawie.

Okazja niejako sama pchała się w ręce. Cooper kierował się wytycznymi z Waszyngtonu – jego sprawa. Korpus, którym dowodził, bez Polski, bez szlaków komunikacyjnych przebiegających przez jej terytorium, bezpiecznych baz, lotnisk i jej żołnierzy, w ciągu najwyżej tygodnia przeistoczyłby się z sił manewrowych w jednostki okupujące tę część Federacji, jaką do tej pory zajęł. Zdobycie Petersburga stałoby się co najmniej problematyczne. Armia Rzeczypospolitej niewątpliwie skorzystała na dostawach. Bez setek Abramsów czy Bradleyów nie przedstawiałaby tak dużej siły bojowej. Symbioza prawie idealna. Aż do tego momentu. Nagle może okazać się, że drogi Sojuszu i Warszawy rozejdą się w dwóch różnych kierunkach. Dosłownie i w przenośni: większość sił Coopera w północnej Rosji, a Polacy zmierzają wprost do jej serca. Zresztą nie pierwszy raz.

Dochodzące z oddali odgłosy obozowego życia nie mąciły myśli podporucznika wracającego powoli do swojej kompanii. Ten spokój nie dawał odprężenia, czuło się raczej wiszące w powietrzu napięcie. W ciszy przed burzą brakowało żartów, śmiechów i przekomarzań. Mijał załogi czołgów i drużyny piechoty pochłonięte swoimi sprawami oraz krążące wszędzie patrole. Ekipy remontowe uwijały się jak w ukropie. Po ostatniej potyczce było więcej napraw niż zwykle. Większość żołnierzy, przeczuwając, co się szykuje, poświęcała ostatnie ciche godziny na załatwienie spraw ostatecznych. Zdaje się, że kapelan, którego mijał parę metrów wcześniej, miał dziś więcej penitentów niż na co dzień.

Nim dotarł na stanowiska swej kompanii, przez ciemne już niebo przemknęła seria błysków. Detonacji nie usłyszał. Wszystko rozgrywało się kilkadziesiąt kilometrów dalej. Po pierwszej salwie przyszła kolej na następną. Co sekundę–dwie krótki rozbłysk, po którym następowała przerwa. Obraz, choć groźny, jednak podnosił na duchu, bo znajdował się na osi dalszego marszu, a ci, którzy obrywali, nie należeli do przyjaciół.

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 28 maja, godzina 22:12

Siedzieli w kuchni we czwórkę przy zapalanej świecy. Przerwa w dostawie energii zdarzyła się po raz pierwszy od czasu, gdy miasto osiągnął impuls EMP. Tańczący płomyk na końcu knota nadawał mężczyznom nieco drapieżny wygląd, tylko u Tamary łagodził rysy twarzy. Okna szczelnie zamknięto. Wraz z zapadnięciem zmroku na ulicach robiło się mało przyjemnie. Wędrówka nimi w dzień również nie należała do przyjemności. Miasto pękało w szwach. Uchodźcy gnieździłi się wszędzie: na klatkach schodowych, poddaszach, podwórkach i w piwnicach.

Wprowadzono ograniczenia w dystrybucji żywności. Oficjalnie każdemu przysługiwało dziennie pół bochenka chleba, co oczywiście nie wystarczało, zatem rozkwitł czarny rynek i przestępczość. Gangi napadały na uciekinierów, ci próbowali się bronić. Służby porządkowe okazały się nieskuteczne. Za mało ludzi, za dużo problemów. Moskwa, dotąd i tak jedno z największych miast świata, podwoiła populację, stając się prawdziwym Megalopolis.

Akurat oni czuli się w nim jak ryby w wodzie. Schemat, nad którym się pochylali, mało przypominał plan miasta. Kolorowe linie przecinały się w paru miejscach, układając się w malownicze bazgroły. Jedynym wyróżniającym się elementem był okrąg, w którym naniesiono większość nachodzących na siebie kresek.

– Ten wszyscy znamy. – Leszek Nowakowski, człowiek ryba, jak o nim mówili znajomi, który miał za sobą służbę w jednostce bojowych płetwonurków Marynarki Wojennej oraz kilka bardziej

tajemniczych epizodów życia, na plan moskiewskiego metra nałożył drugi, tym razem nie tak kolorowy, przy okazji pełen dziur i przerywanych linii.

– A to? – zapytał Wirski.

– Tylko się domyślamy. Jeżeli wiemy o tym... – wskazał ołówkiem miejsce pomiędzy stacjami Tulska a Sierpuchowska – ...i o tym... – kolejno wskazywał stacje Leninskij Prospekt i Szabałowska, na zupełnie innym odcinku metra – ...to gdzieś się muszą łączyć. Może to tunele techniczne lub biegną nimi kable energetyczne.

– Jedyne pewne miejsca to te dwa: stacja Majakowska i Park Zwycięstwa. – Mały palec Pawłowski spoczął na kalce.

– Co z tego? Wszystko obstawione przez FSB i oddziały chroniące rząd i prezydenta.

– Tobie się wydaje, że jak stoją tu i tu, to gdzie indziej ich nie będzie? – obruszył się Pawłowski.

– Ten labirynt ma słabe i mocne strony. To trzysta trzydzieści kilometrów tuneli i sto osiemdziesiąt stacji, nieznaną liczbą przejść, dojśćówek i Bóg wie czego. Wiesz, ile kosztowało zdobycie tej mapy?

– Powiedz lepiej, skąd ją mamy? – zapytał Andrzej.

– Trochę powęszyliśmy sami. Zawsze coś wycieknie, trzeba tylko wiedzieć, kogo pytać. Zaczynali z tym w czasach Stalina, gdzieś tak u schyłku lat trzydziestych, ale dopiero pod koniec wojny przyśpieszyli. Po budowie zawsze pozostają plany i ludzie, którym po robocie do piersi przypięto order Lenina w podziękę za zasługi. Są jeszcze pasjonaci lubiący wtykać nos w nie swoje sprawy – Nowakowski wyciągnął trzeci z kolei szkic. – To mam od nich. Przysięgali, że tę część spenetrowali osobiście.

– Prawdę mówiąc, niewiele z tego rozumiem – oznajmił Pawłowski.

– Wcale się nie dziwię. Oprócz linii metra nanieśli na plan wszystko, co znajduje się pod ziemią i jest z czymś połączone. Generalnie większość ciągów, przykro mi to mówić, sprowadza się do kanalizacji.

– Już widzę, jak brodzimy po kostki w gównie.

– Na starość zrobiłeś się delikatny.

Wirskiemu zachciało się śmiać, patrząc, jak ci dwaj skaczą sobie do oczu. Może i nie zdawali sobie z tego sprawy, ale nieświadomie rywalizowali. Raczej nie chodziło o niego, przecież znali się jak łyse konie. Powód siedział obok i co chwila trącał Andrzeja kolanem.

– Tamara, kochanie, bądź tak dobra i nastaw wody.

Jeśli dłużej będzie gapić się tymi swoimi dużymi, ciemnymi oczami to na jednego, to na drugiego, udając z naiwną miną, że chłonie każde słowo z ich ust, ci dwaj durnie gotowi się pobić. Zdaje się, że nie ma nic gorszego, niż kiedy facetom w okolicach wieku średniego namiesza w głowach sporo od nich młodsza kobieta.

Tamara uniosła się z wdziękiem i obdarzając wszystkich promiennym uśmiechem, wyszła do kuchni. Napięcie nieznacznie spadło.

– Z tego, co tutaj widzę – podjął Wirski – mamy cztery tunele metra oraz dwa drogowe.

– Czyżby Putin chciał spieprzać samochodem? – Pawłowski zabębnił palcami po blacie stołu.

– Tunele kolejki są wąskie – wyjaśnił Nowakowski. – W przypadku zagrożenia posłużą się nimi jako schronami. Oczywiście, te rządowe są znacznie szersze.

– O ile?

– Mówi się, że w drogowych spokojnie można ustawić trzy BTR-y obok siebie, a i tak wystarczy miejsca na opancerzony wóz prezydenta. W przypadku blokady sił na powierzchni można tędy przerzucać całkiem spore oddziały.

– Jak głęboko są położone?

– Różnie. Zwykłe tunele metra to dwadzieścia do czterdziestu metrów. Te specjalne czasami są głębiej, do sześćdziesięciu metrów, zdarza się, że przechodzą obok, pod lub nad ogólnie dostępnymi. Są jeszcze schrony. Generalnie każde ministerstwo ma swój ciąg tuneli. Prawdziwe

molochoy należą do Ministerstwa Obrony, zapasowego punktu dowodzenia Sztabu Generalnego i Sił Powietrznych. Podobno mogą pomieścić od dziesięciu do piętnastu tysięcy ewakuowanych. Nieźle, co?

– Do samych schronów wejdzie ze sto tysięcy ludzi. W metrze ukryje się... cholera, mówię, że ile mają długości?

– Trzysta trzydzieści kilometrów, choć nie sądzę, by pakowali wszystkich tam, gdzie ułożono tory.

– Całe podziemne miasto. – Wirski podparł głowę.

– Nas interesuje jeden fragment – uściślił Leszek.

– A mnie dręczy pytanie, dlaczego oni wciąż pozostają na Kremlu. Niedługo wszystko skupi się w tym miejscu. Nie łatwiej uciec do któregoś z tajnych punktów dowodzenia na Uralu czy choćby poza Moskwą? – powiedział Pawłowski.

– Może uważają, że tu jest najbezpieczniej? Może obawiają się przenosin. Nie panują nad własną przestrzenią powietrzną. Wschód jest praktycznie pozbawiony wojsk. Łatwiej tam spotkać dezertersów z armii Republiki Syberyjskiej niż żołnierzy sił rządowych, a tu jest wszystko, co potrzebne do życia i rządzenia. Raczej nie spodziewają się ataku nuklearnego. Nikt przy zdrowych zmysłach nie rzuci bomby na miasto pełne cywili.

– No, nie wiem – sapnął Nowakowski. – Do wielu wydarzeń w ogóle nie powinno dojść, a doszło. Czy pamiętacie, że miesiąc temu ten świat wyglądał zupełnie inaczej? – Były komandos odchylił się do tyłu.

– Jeżeli chcesz, żeby cię potrzymać za rękę i dodać otuchy, to źle trafiłeś – odparł Andrzej.

Sam nie wiedział, czego się spodziewać, gdy otrzymał rozkaz powrotu do Moskwy. Nie lubił stolicy Federacji. Kojarzyła mu się z molochem, z trudem ją ogarniał. Zejście w jej trzewia to jak pokonywanie kolejnych stopni piekła. Zablockowanie podziemnych ciągów komunikacyjnych budziło w nim sprzeczne uczucia. Komu coś podobnego przyszło do głowy? Lubił działać w oparciu o konkret. Tutaj mógł zapomnieć o jakiegokolwiek pewności. Wszystko pozostawało w sferze domysłów. Tym bardziej doceniał starania Nowakowskiego, na którym zagłębienie się w mrok tuneli zdawało się nie robić wrażenia. Pawłowski zachowywał dystans, a on sam najnormalniej w świecie...

Przeciął, modulowany dźwięk syreny alarmowej obwieścił zagrożenie atakiem lotniczym. Powinni udać się do schronu, lecz nikt nie ruszył się z miejsca. To już czwarte takie wezwanie dzisiaj. Moskwianie przestali się nimi przejmować. Bomby i rakiety leciały zresztą z dala od centrum. Podobno parę samosterujących Tomahawków walnęło we Wnukowo, Szeremietiewo i Domodiedowo. W telewizji nie omieszkali pokazać zniszczonych cywilnych Iliuszynów i Tupolewów. Mignął też jakiś Airbus oraz wrak kształtem przypominający Nighthawk F-117. Stojący przy fragmencie skrzydła żołnierze dumnie potrząsali Kałasznikowami. Ujęto pilota, który już siedział w areszcie. W rękach Rosjan znajdowało się kilku innych jeńców, głównie lotników, oraz bliżej niesprecyzowana liczba cywili, którzy nie zdążyli wyjechać. Byli wśród nich Amerykanie, Brytyjczycy, Japończycy, Polacy i Niemcy. Lista ciągnęła się długo i obejmowała mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie powiedziano tego wprost, lecz można się było domyśleć, że przynajmniej część z nich przetrzymywana jest w obiektach mających jakiś związek z administracją lub wojskiem, gdzie może stać się żywymi tarczami. Podobnie postąpiono w Serbii w 1998 roku. Dlaczego tym razem miało być inaczej? Potrząsnął głową. Jak na jeden dzień wystarczy. Jutro zrobią rozpoznanie. W gruncie rzeczy sam był ciekaw, co z tego wyniknie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

22 BRYGADA PANCERNA, NA ZACHÓD OD RŻEWA,

200 KILOMETRÓW OD MOSKWY – FEDERACJA ROSYJSKA | 29 maja, godzina 08:06

Do takich widoków już się przyzwyczaił. Mieszanina sprzętu amerykańskiego z niedawnych dostaw, polskich Rosomaków i ciężarówek nie robiła na nim wrażenia. Abramsy, Bradleye, Rosomaki i Humvee koegzystowały ze sobą na równych zasadach, podobnie jak wiszące na niebie helikoptery AH-64 Apache i W-3W Sokół w zielonym kamuflażu. Zdaniem wielu ta zieleń bardziej nadawała się do pomalowania drzwi garażowych, a nie jako barwa maskująca, lecz zgodnie z instrukcją tak to właśnie miało wyglądać.

Za plecami pozostawili międzynarodową szosę A112, która parę kilometrów dalej przekraczała Wołgę. I zaczynały się problemy.

Jedyny dobry most został wysadzony w powietrze, nie było mowy o naprawie. Całą jezdnię łącznie z betonowymi filarami unicestwiono potężnym ładunkiem.

Zdaniem Maciejewskiego światem rządziły dziwne przypadki. Wojska Układu Warszawskiego, w tym i oczywiście Ludowego Wojska Polskiego pilnie ćwiczyły stawianie przepraw pontonowych. Myślano wówczas o tych wszystkich rzekach przeszkadzających w marszu wyzwolenicznym na Zachód. Kto się wówczas spodziewał, że zdobyte doświadczenie przyda się właśnie nad Wołgą, tak daleko od planowanych przez Armię Czerwoną operacji?

Rzeka na tym odcinku nie imponowała szerokością – ocenił ją na jakieś sto metrów. Może trochę więcej, może mniej.

Spoglądając na zielone brzegi rozrywane setkami kół i gąsienic, nie mógł oprzeć się refleksji, że oto czołgi i wozy bojowe zza oceanu zostały skazane na łaskę technologii, przed którą miały bronić Europy. Raz za razem z platform Starów podjeżdżających tyłem do wody zsuwano elementy mostu pontonowego. Na Wołdze uwijały się motorówki ustawiające stalowe konstrukcje w odpowiednich miejscach. Saperzy w kamizelkach ratunkowych łączyli poszczególne części, spinając je klamrami. Wszystko robiło wrażenie idealnie zsynchronizowanego tańca na wodzie.

Od razu ustawiano dwie przeprawy. Im szybciej znajdą się na wschodnim brzegu, tym lepiej. Jak dalej wszystko pójdzie w takim tempie, skończą w ciągu godziny, a wtedy przyjdzie kolej na brygadę. Zjadą ze skarpy, w której buldożery zrobiły przejazd, i z rykiem silników sforsują rzekę.

Kompania zwiadowców już działała po tamtej stronie. Okolica wyglądała na bezpieczną, co zdaniem Maciejewskiego zupełnie nic nie znaczyło. W tej chwili może i nic się nie dzieje, ale Rosjanie nie pozostawią ich w spokoju – nie pozwolą przekroczyć ostatniej dużej przeszkody przed Moskwą.

Zdaje się, że inni wokół myśleli podobnie. W niebo wymierzono zestawy przeciwlotniczych Gromów, działka i karabiny maszynowe. Dwanaście wozów kompanii podporucznika ustawiono nad rzeką, tak by móc w każdej chwili dać osłonę pracującym na wodzie saperom. Armaty kalibru 120 milimetrów posiadały moc przekonywania wszystkich opornych.

Maciejewski przeniósł spojrzenie z wyświetlacza na pracujących na wodzie ludzi. Choć nikt do nich nie strzelał, uwijali się jak w ukropie. Trudno się dziwić. Pracowali stłoczeni w całkowicie odkrytym miejscu. Jeden szrapnel zrobi z nich sieczkę, a cała robota pójdzie na marne.

Całkiem nieświadomie popędzał umęczonych ludzi do dalszego wysiłku. Gdy oni zmagali się z oporną materią, on zrywał się, dlaczego wszystko idzie tak wolno. Nikt nie lubił podobnych miejsc. Ani się cofnąć, ani pojechać do przodu.

W końcu kilka spiętych elementów sięgnęło wschodniego brzegu. Pierwsza przeprawa została ukończona. Przy budowie drugiej wciąż zmagano się z nurtem. Któryś z żołnierzy potknął się i wpadł do rzeki. Koledzy pomogli mu wygramolić się z wody, ratując przed zmiżdżeniem pchanym przez motorówkę pontonem. Szybko pozbierał się, zdumiony tym, co mu się przytrafiło.

Oficer nadzorujący jeden z mostów zmierzył truchtem cały dystans, sprawdzając wszystko osobiście. Coś tam krzychał do podkomendnych próbujących łomem wbić oporną klamrę.

Na brzeg podjechał Humvee i o mało nie ugrzązł w podmokłym gruncie. Z powodu upałów koryto Wołgi zwęziło się, pozostawiając po obu stronach podmokłe łągi. Jeżeli szybko nie rozwiążą tego problemu, gąsienice Abramsów i Bradleyów tak rozryją ziemię, że uniemożliwi to przejazd wozów oddziałów medycznego, technicznego i logistycznego. Setki ciężarówek, sanitarek i wozów technicznych utkną stłoczone na niewielkim obszarze.

Maciejewskiemu na taką myśl ścierpła skóra. Pozostanie po tamtej stronie bez wsparcia nie mieściło mu się w głowie. Rozwiązanie okazało się prostsze, niż myślał. Dziesiątki stalowych arkuszy pokryło grząski grunt i wyznaczyło podejście do przeprawy. Humvee w końcu wjechał na most i wolno pokonał rzekę. To jeszcze nic nie znaczyło. Abramsy drugiej kompanii ustawione przez saperów regulujących ruch zaczęły posuwać się ku rzece. Pierwszy czołg pełził powoli, nieustannie korygując tor jazdy, a to trochę w prawo, a to natychmiast trochę w lewo. W końcu ustawił się w osi i wtoczył na most, który ugiął się pod jego ciężarem. Wóz stanął, zatrzymany przez kierowcę niemającego pewności, czy tak ma być, czy też masa czołgu nie jest za duża. Dalej poszło już gładko. Turbina Abramsa ryknęła i potwór pewniej potoczył się dalej. Po mniej więcej minucie zjechał ze stalowego podłoża i wgryzł się gąsienicami w grunt, żeby pokonać niewyrównaną jeszcze stromiznę. Kadłub uniósł się do góry pod ostrym kątem. Kierowca dodał więcej gazu. Wozem zakołysało, gdy już pokonał przeszkodę. Po chwili znikł Maciejewskiemu z oczu przysłonięty gęstymi krzakami i drzewami.

Kolejny Humvee czmychnął na przeciwną stronę Wołgi, akurat gdy na drugi z mostów wjechał Bradley kompanii zmechanizowanej. Wysoki na prawie trzy metry wóz bojowy uczynił to z gracją, jakiej brakowało cięższemu Abramsom.

Jeden, drugi, trzeci... wszystko z idealną synchronizacją i precyzją.

Sygnal alarmu zaświergotał w słuchawkach hełmofonu jak złowieszcze memento. A szło tak dobrze...

Spodziewał się wszystkiego – samolotów, śmigłowców i T-80 wyjeżdżających z lasu znajdującego się jakieś tysiąc dwieście metrów od nich. Wbrew oczekiwaniom nic podobnego nie nastąpiło. Panowała cisza – jak przed burzą. Z niepokojem przywarł do wizjera, próbując zorientować się, o co chodzi.

Na trzęsienie ziemi nie był przygotowany. W ułamku sekundy widok cichego nadwoźańskiego krajobrazu znikł. Pocisk manewrujący rozerwał się czterysta metrów od przeprawy na lewo od Maciejewskiego. Fala ciśnienia i trujących gazów rozeszła się na boki. Moc głowicy konwencjonalnej była tak duża, że uśmierciła lub raniła wszystkich, których nie chronił pancierz, w promieniu pół kilometra od epicentrum. Wyrzucone w powietrze drobinki ziemi i wody utworzyły nieprzenikloną zasłonę.

Stojącego na środku mostu Bradleya fala uderzeniowa cisnęła bokiem w odměty. Ten sam los spotkał dużo lżejszego łązika podążającego za BWP-em. Podmuchał ludzi jak marionetkami. Nie ocalał żaden z saperów ustawiających most.

Gdy w końcu Maciejewski otworzył zaciśnięte powieki, po przeprawie zostały tylko porozrywane blaszane moduły wbite w błotniste brzegi rzeki. Szybko obrócił wzrok w prawo. Te kilkaset metrów odległości okazało się na wagę złota. Drugi most wyglądał na cały. Co prawda jakiś czołg zarył w brzeg, lecz elementy konstrukcyjne samej przeprawy chyba nie ucierpiały.

– Żyjecie? – Oderwał się od wizjera, żeby sprawdzić, co z załogą.

Szybko się przyjrzał: wszyscy cali, choć mocno przestraszeni.

– Zostać w wozie. – Jeszcze brakowało, by pętali się po okolicy, próbując wyręczyć ratowników.

– Rydwan Jeden, tu Papa Juliet Jeden.

– Pana Juliet Jeden, słyszę cię.

– Najszybciej jak się da wyjdź na rubież dwa-trzy-zero.



– Wykonuję. Bez odbioru.

Sprawdził wskazane miejsce – trzy kilometry stąd. Zdaje się, że tworzyli przyczółek po drugiej stronie Wołgi, a im jak zwykle przypadł w udziale zaszczyt znalezienia się na pierwszej linii.

– Do przeprawy, gazem!

Kierowca wrzucił wsteczny bieg. Nastąpił zwrot i maszyna zaczęła zbliżać się w stronę niedalekiego zjazdu. Pozostałe wozy kompanii ustawiły się za nimi, co wyraźnie dostrzegł na ekranie. Jak każdy, bardzo chciał wierzyć, że podobne zdarzenie więcej się nie powtórzy. Na okolicę spadły dziesiątki pocisków artyleryjskich i raketowych. Rozrzut był spory. Zdaniem Maciejewskiego strzelano trochę na oślep, na zasadzie: niech co setny dosięgnie wroga, a i tak będzie nieźle. Ostrzeliwano głównie przedpole. Gdy spojrzął w tamtą stronę, zobaczył ścianę ognia. Parę pocisków spadło kolejno do rzeki, wyrzucając w powietrze gejzery wody.

W myślach poganiał Makałę do szybszej jazdy, doskonale zdając sobie sprawę, że najmniejszy błąd kierowcy przyniesie tragiczne skutki.

Jeden z pocisków spadł bardzo blisko, obsypując pojazd błotem i szlamem. Przed nimi przemknął jakiś żołnierz z szaleństwem w oczach. Gnał, jakby go gonił sam diabeł. Inny – zmieniony w żywą pochodnię – skoczył w mętny nurt. Maciejewski nie widział, co stało się z nim później. Nie był w stanie pomóc, więc koncentrował się na zadaniu. Na spokojnej do niedawna tafli wody przetaczały się fale uderzające z łomotem o boki pontonów. Most szarpał się w prawo i w lewo jak żywe stworzenie.

Kierowcy nie drgnęła ręka. Obyło się bez dodatkowych manewrów, co było prawdziwym osiągnięciem, gdyż nikt inny nie mógł ich poprowadzić. Gdy tylko wjechali dalej, chybotliwa platforma pod 62-tonowym obciążeniem przestała wierzeć.

Nawet fontanna wody, która w tym momencie wystrzeliła w górę tuż obok, nie przestraszyła sierżanta. Oby pozostałe załogi posiadały równie wytrawnych kierowców. Jeśli znajdą się w rzece, nikt ich nie uratuje. Nie miał pojęcia, jak tu jest głęboko, i nie chciał wiedzieć. Kolejny pocisk i kolejne strugi wody, tym razem z prawej strony. Ostatnie metry okazały się najtrudniejsze, acz nie z powodu ostrzału, tylko stresu, jaki im towarzyszył. Gdy rozchlapali masy błota na brzegu, Maciejewski poczuł się prawie szczęśliwy.

Pozostała jeszcze jedna, mało przyjemna przeszkoda. Gwałtownie przyśpieszyli, by sforsować ziemny garb. Czołg wyskoczył w górę, poszybował, a podporucznikowi zrobiło się niedobrze, kiedy przez chwilę poczuł stan nieważkości. Mimo że kurczowo zacisnął dłonie na uchwytych, wstrząs o mało nie pozbawił go przytomności. Przekleństwa same cisnęły się na usta, bolała go głowa, kręgosłup i siedzenie.

Czołg stanął, lecz zaraz zerwał się do dalszej jazdy.

– Makała, wyciśnij z niego wszystko, co się da.

Kilkaset metrów łąki pokonali z szybkością bolidu Formuły 1, czyli sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Przy masie czołgu był to doskonały wynik. Na dodatek nie jechali prosto, tylko zygzakiem. Raz o mało nie najechali na pień ukryty w wysokiej trawie. Ktoś tam w górze musiał nad nimi czuwać.

Tuż pod lasem dostrzegł Humvee – tego samego, który jako pierwszy pokonał Wołgę. Samochód wyglądał na cały, tylko załoga gdzieś się zapodziała. Szeroko pootwierane drzwi zapraszały do środka, a Browning zamontowany na dachu mierzył w niebo.

Przemknęli obok, nie zwalniając. Tu, pomiędzy drzewami, przynajmniej tak nie rzucało. Dukt wiódł prosto i miał wrażenie, jakby pokonywali długi tunel, na końcu którego dostrzegał światło.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że pędzą przed siebie bez wsparcia piechoty. Szlag, co też się porobiło. Takie zapieprzanie po omacku nie przyniesie niczego dobrego.

•

Trzy i pół tysiąca metrów ponad głową podporucznika klucz F-15E Strike Eagle otrzymał nowe namiary. Jego pierwotne zadanie było zupełnie inne: wraz z paroma innymi zespołami, głównie F-

16 i F/A-18, choć nie tylko, w barwach USAF, RAF i polskich sił powietrznych, zabierał się za rozbijanie obrony powietrznej okręgu moskiewskiego.

O ile w pozostałych częściach Federacji uporano się z siłami przeciwlotniczymi, to odpowiedzialna za obronę nieba nad stolicą 5 Brygada Obrony Powietrzno-Kosmicznej, która tak fatalnie sprawiła się podczas parady w dniu zwycięstwa, wciąż stanowiła pokaźną siłę.

Moskwę ochraniały pułki wyposażone w zestawy S-300 i S-400 mogące śledzić do sześciu celów naraz w odległości do czterystu kilometrów. Do zwalczania obiektów na tak dalekim dystansie, głównie samolotów typu AWACS, służyły też rakiety 40N6. Arsenał środków obrony uzupełniały rakiety 48N6E3 i 9M96E2 o zasięgu dwieście czterdzieści kilometrów i sto dwadzieścia kilometrów oraz 9M96E o promieniu rażenia do czterdziestu kilometrów. Wreszcie na dystansach do dwudziestu kilometrów mogły działać zestawy artyleryjsko-rakietowe Pancyr-S1.

Za obronę przeciwlotniczą Moskwy odpowiadały cztery pułki: 606 Gwardyjski Pułk Rakietowy Obrony Powietrznej bazujący w Elektrostalu, 93 Pułk Rakietowy Obrony Powietrznej ze Zwinigoroda, 210 Pułk Rakietowy Obrony Powietrznej z Dmitrowa i 390 Pułk Rakietowy Obrony Powietrznej stacjonujący w Nowoje.

To właśnie z rozbudowywaną przez dziesięciolecia obroną rakietową przyjdzie walczyć zespołom Wild Wessel, gdyż z pokaźnej do niedawna liczby samolotów MiG-31B i MiG-29 SMT oraz Su-27 pozostały pojedyncze niedobitki.

Start pocisku manewrującego P-270 Moskita zaalarmował wszystkich. Predatory określiły miejsce, skąd pocisk został wystrzelony, podobnie jak koncentrację środków ogniowych nieprzyjaciela. Najczęściej strzelało pół dywizjonu, a druga połowa – po oddaniu paru salw – natychmiast się przemieszczała, by wznowić ostrzał z innego miejsca. Gdy pierwsza połowa kończyła, do akcji wkraczała druga i tak na zmianę. Wszyscy, i ci na ziemi, i ci w powietrzu, wiedzieli, że liczy się pośpiech.

Klucz amerykańskich Strike Eagle, stanowiących szturmową wersję myśliwskich F-15, znajdował się w niemal idealnej odległości do ataku. Siła rażenia każdej z maszyn wielokrotnie przewyższała to, czym dysponowały bombowce wcześniejszych wersji. W dodatku do kontrataku ściągnięto wszystko, co było w pobliżu – od Raptorów F-22, wykonujących misje na północnych przedmieściach Moskwy, po B-1B, który miał unicestwić ośrodek kontroli ruchu powietrznego i kosmicznego, podobny do placówek NORAD w Ameryce. Obiekt znajdował się na wschód od stolicy i miała to być trzecia próba jego zniszczenia.

W ciągu pół minuty od wystrzelenia rosyjskiego Moskita w powietrzu doszło do gwałtownej bitwy, w której nikt nie potrafił zdobyć wyraźnej przewagi.

•

Ukrytego T-72 nie potrafiłoby dostrzec najbystrzejsze oko. Był konstrukcyjnie dobrze ekranowany, dodatkowo z wyłączonymi silnikami, zagrzebany po wieżę w ziemi i obłożony stertą gałęzi. Dopiero błysk z lufy zwrócił uwagę Maciejewskiego.

– Podkalibrowy. – Choć starał wydać rozkaz pewnym siebie głosem, z gardła wydobył się tylko pisk, niemniej ładowniczy zrozumiał, o co chodzi. Drzwiczki do zasobnika amunicyjnego z tyłu wieży odjechały na bok. Wystarczyło wybrać odpowiedni ładunek i przerzucić do zamka działa. Dobrze wyszkolony człowiek wykonywał pracę z taką samą szybkością jak automat w rosyjskich pojazdach.

Nim wydał rozkaz do odpalenia, spojrzął na monitor. Zdaje się, że Rydwan Sześć wypadł z gry. Teraz dysponował jedenastką czołgów, co oczywiście nie poprawiało samopoczucia.

Sekunda wystarczyła, by idący za nimi Abrams oddał strzał. Maskowanie rozleciało się na wszystkie strony, ukazując maszynę w pełnej krasie.

– Cel.

Tym razem bez pudła.

– Wystrzał.

Armata stęknęła.

Trafili tuż pod lufę. Z odległości niespełna czterystu metrów nie stanowiło to problemu. Po sekundzie, w której wydarzenia zamarty, kopulasta wieżyczka T-72 odleciała efektownie do tyłu. Ze środka buchnął ogień na dziesięć metrów w górę. Konwulsje szarpały stalowym pudłem jak umierającym człowiekiem.

– BRDM na godzinie drugiej – zameldował celowniczy.

– Ładuj HESH.

Na taki drobiazg nie było sensu tracić cennych pocisków kumulacyjnych czy podkalibrowych, wystarczał przeciwpancerno-burzący odkształcalny. Jego plastyczny materiał wybuchowy detonował po rozplaszczeniu się na zewnętrznej powierzchni pancerza trafionego pojazdu. Pod wpływem naprężeń pękały wewnętrzne warstwy pancerza, rażąc jak szrapnele wszystkich, którzy byli w środku maszyny.

– Wystrzał.

Do głuchego echa armat dołączyło wściekłe ujadanie działek. Ten cholery las przestał podobać się podporucznikowi w tym samym momencie, w którym do niego wjechali. Musi wyprowadzić kompanię na otwartą przestrzeń. Wśród tego zielska nie ma szans. Zawsze lubił las, lecz akurat ten w tej chwili doprowadzał go do szału. Nigdy nie nauczył się rozróżniać gatunków drzew i nie wiedział, czy to, co widzi, jest bukiem, jesionem czy klonem. Dałby wszystko za możliwość prowadzenia walki w dystansie.

Do wyznaczonej przez Stefańskiego rubieży pozostało półtora kilometra. Niby niewiele, ale przy takiej szarpaninie to nieskończenie daleko.

Pojedyncze postacie w łaciatych panterkach przemykały między drzewami. Nie potrafił powiedzieć, ile ich było. Co najmniej trzydziestu desantowców waliło w nich ze wszystkiego, co mieli, sami pozostając poza zasięgiem ognia Polaków.

Lufy w tamtą stronę nie obróci. Istniało ryzyko zahaczenia o pień, a wtedy uszkodzi wieżę i narazi załogę. Pozostawał Browning M2 na zewnątrz. Chcąc się do niego dostać, musiałby uchylić właz i wysunąć się do pasa. Przy tym natężeniu ostrzału odstrzelą go, nim odbezpieczy broń.

– Gazu!

Przed nimi rozjazd.

– Dawaj w lewo.

O mało nie staranowali UAZ-a, który wyskoczył z boku jak diabeł z pudełka. Terenówkę odrzuciło na bok. Kierowca wozu jadącego za nimi wjechał w tył samochodu. Olbrzymia masa sprasowała pojazd niczym gigantyczny walec. Nikt, kto w nim przebywał, nie zdołał ująć przeznaczeniu.

– Rydwan Jeden. – W słuchawkach odezwał się dowódca batalionu.

– Słyszę głośno i wyraźnie.

– Musisz przyśpieszyć.

O co znowu chodzi?

– Napotkaliśmy opór przeciwnika.

– Wiem. To szpica 98 Dywizji.

Tyle to i on sam się domyślał.

– Piechota musi oczyścić teren. – Zupełnie nie miał ochoty zostać odcięty tutaj, z dala do swoich.

– Rydwan Jeden... – Dałby głowę, że w głosie kapitana usłyszał irytację. – Musicie przebić się do punktu Echo... Wysyłam koordynaty.

Na ekranie Maciejewski dostrzegł współrzędne naniesione na mapę okolicy. Znajdował się... – jeżeli nikt niczego nie pomieszał – pięć kilometrów od nic mu niemówiącego miejsca. Przedzieranie się dalej równało się samobójstwu. Bez wsparcia, z niepełną kompanią czołgów zapędził się w nierozpoznane rejony. Takie fanaberie to może wyczyniać zwiad. Abramsy nie nadają się do hasania po lasach, dziurach czy bagnach. Te pięć kilometrów pokona w parę minut, tylko czy ryzyko było

tego warte? Z drugiej strony, Stefański nie ryzykowałby utraty kompanii czołgów bez ważnego powodu. Musiał w tym kryć się jakiś sens.

– Makąła, widzisz tę polną drogę? – Dojechali do normalnej szosy. Przez chwilę rozważał pomysł pojechania nią dalej, lecz szybko porzucił tę myśl. Jadąc tędy, zatoczy koło. Na przełaj wyjdzie szybciej, a podobno liczył się czas. – Jazda.

Spod gąsienic wystrzelił piach i żwir. Przeskoczyli utwardzoną nawierzchnię i pomknęli wijącą się łagodnie polną gruntówką. Za nimi wzbiła się chmura szarego pyłu. Gdyby kierowcy czołgów jadących z tyłu kierowali się samym wzrokiem, jazda stałaby się koszmarem, na szczęście wydatnie wspomagała ich elektronika.

– Na prawo, godzina trzecia – zameldował celowniczy przyklejony do przyrządów obserwacyjnych.

Maciejewski próbował zidentyfikować, czym jest lub była sterta pogruchozanego metalu. Wóz bojowy raczej nie. Prędzej kadłub śmigłowca. Zrobił zbliżenie. Faktycznie Mi-8 lub jakaś jego nowsza wersja. Nie dostrzegł znaków przynależności państwowej, wrak mógł więc należeć zarówno do Rosjan, w co gorąco pragnął wierzyć, jak i Polaków. Niektóre rodzaje sprzętu pochodziły przecież z tych samych źródeł. O pomyłkę było łatwo, a oględziny z wnętrza pędzącego Abramsa są mało precyzyjne.

Wjechali na niewysokie wzgórze. Zlustrował horyzont. Nie był pewny, ale zdawało mu się, że coś dostrzegł. Wystarczył rzut oka na monitor, by jego obawy się potwierdziły. To nie zwiad, jaki zostawili za plecami w lesie, tylko rosyjski batalion zmechanizowany.

– Celowniczy. Wozy przeciwnika...

– Dwa tysiące sto metrów.

Jak tylko wyjadą z dolinki, rozpoczną ostrzał. Zostało parę sekund. Sprawdził trasę, jaką podążał przeciwnik. Zdziwił się, bo wszystko wskazywało na to, że i tamci kierowali się do punktu Echo.

Komputer wyraźnie oznaczył miejsce, w którym przecinały się drogi obu formacji.

– Przygotować...

Czołg nagle wyskoczył w górę jak korek z butelki i ciężko opadł na gąsienice.

Przyjrzał się kolumnie. Same BRDM-2, UAZ-y, ciężarówki i trochę BTR-80. Niewiele BMP-2. Niczego cięższego nie widział.

– Cel.

– Gotowe.

– Wystrzał.

Szarżujący Polacy zupełnie zaskoczyli przeciwnika. Pierwszy pocisk z armaty rozbił prowadzący transporter. Żółto-pomarańczowa kula ognia rozbłysła jak miniaturowe słońce.

Maciejewski odrzucił właz do góry. Nie było sensu marnować pocisków na blotki. Wychylił się i przeładował Browninga, mocno trzymając tylce karabinu. Pierwszą serię puścił po ziemi. Wyraźnie widział, gdzie trafiają smugacze. Uniósł broń wyżej. Tym razem przestrzelił ponad kolumną. Jak tak dalej pójdzie, zużyje całą taśmę bez najmniejszego efektu. Skoncentrował się i obrął za cel ciężarówkę z odkrytą platformą. Pociski przeszły całkiem blisko. Nim zdążył uporać się z problemem na dobre, został wyręczony przez lepszego od niego strzelca.

Już wszystkie Abramsy wjechały na wzgórze i otworzyły ogień. Od czasu do czasu stęknęła armata, lecz ostrzał prowadzono głównie z M2HB i karabinów maszynowych. Jak na razie rozbijali wroga na dystans, lecz nie mogło to trwać długo. Droga odbijała w prawo, a Rosjanie nadjeżdżali od wschodu. Jeszcze moment i będą jechali równolegle.

Wywalił kolejną serię. Browning dygotał, gdy iglica uderzała raz za razem w spłonki półcalowych pocisków. Mosiężne łuski wylatywały na bok, tłukąc o pancerz.

Kilka rosyjskich pojazdów próbowało uciekać, jednak nawet najbardziej gwałtowne manewry gąsienicami zawsze pozostawały wolniejsze od padających zewsząd kul. Starcie przeradzało się w

masakrę. Wyrzuty sumienia zaczną go gnębić później, na razie wołał skoncentrować się na robocie, o ile zabijanie ludzi można tak nazwać.

Prawdopodobnie instruktorzy z centrum wyszkolenia broni pancernej czy sam Stefański uznaliby potyczkę za wzorcowy przykład wykorzystania przewagi ogniowej i mobilności. Wroga należało zgnieść, wbić gąsienicami w glebę i pojechać dalej. Nie była to rycerska bitwa na równorzędnych zasadach i przy równych szansach, ale pisanie listów do rodzin poległych stanowiło dla niego jedno z bardziej traumatycznych doświadczeń. Nie widok zabitych czy akty destrukcji sił przeciwnika, lecz właśnie przypominanie sobie twarzy tych z podwładnych, którzy już odeszli do lepszego świata. Każdy z nich miał jakieś plany i marzenia. Większość nie założyła rodzin, choć zdarzali i tacy, którzy zostawiali żonę i dzieci. Jak przekazać wiadomość o śmierci bliskiego, skoro sam znał ich słabo? Nie potrafił wymyślić nic sensownego, tylko parę zdawkowych frazesów. To chyba najtrudniejszy obowiązek związany ze stanowiskiem dowódcy.

Ogarnął spojrzeniem rozbijany batalion. W piersi czuł kamień niepozwalający na najmniejsze wahanie. Jak znał życie, w podobnej sytuacji im nikt nie okazałby litości. Nawet przypadki rozstrzeliwania jeńców zdarzały się często i dotyczyły wszystkich stron. Wojna wypalała sumienia. To, co tak niedawno było złe, obecnie stawało się zaletą lub przynajmniej normą. Ludzkie działania zostały sprowadzone do poziomu najniższych instynktów.

– Przerwać ogień.

Zrobili, co do nich należało. Dalsza rozwalka uciekających do niczego nie prowadziła. Poza tym gonił ich czas. Przynajmniej w ten sposób starał się to sobie wytłumaczyć. Nie wszyscy podzielali opinię dowódcy. Parę wozów wciąż strzelało w stronę samochodów i transporterów. Jak szybko policzył, zniszczyli około czterdziestu pojazdów i wyeliminowali kilkuset żołnierzy, sami nie ponosząc strat.

Powoli się uspokajało, już tylko jeden czy dwa Rydwany huczały ogniem. Ich załogi nie dosłyszały lub nie chciały dosłyszeć polecenia. Jeśli nie powtórzy rozkazu, będą tak strzelać do upadłego. Już zebrał się w sobie, gdy przypomniła mu się przeprawa i własny strach podczas ostrzału. Pies z nimi tańczył.

Choć wydawało się to niemożliwe, kierowca przyśpieszył. Mimo doskonałej amortyzacji podwozia wszyscy objali się o krawędzie urządzeń otaczających stanowisko dowodzenia. Mknęli niezbyt gęstą brzezina. Na upartego, w razie konieczności dadzą radę wjechać w zagajnik. Pieńki grube na parę centymetrów nie zatrzymają napierającej masy. Zostały niespełna dwa kilometry.

– Makąła, zwolnij.

Turbina Abramsa przestała wyć niczym potępiona dusza. Nie wiedział, na co ma się przygotować, a rozjechanie kogoś lub czegoś nie wyglądało na dobry pomysł.

Identyfikacyjny symbol swój/obcy IFF pojawił u dołu monitora. Trzy punkciki podążały ich śladem. Wsparcie – a skoro tak, sprawa wydawała się rozwojowa.

– Rydwan Jeden, tu Hotel Brawo Dwa Pięć.

– Słucham cię, Hotel Brawo Dwa Pięć.

– Bądźcie gotowi na ostrzał.

Więc jednak. Należało się tego spodziewać. Nikt nie wysyła czołgów na rekonesans.

Nim zatrzasnął właz, spojrzął w stronę, skąd nadlatywały. Dwa Apache i Sokół. No, nieźle. Zdaje się, że wszystko zaczynało się na nowo.

– Uwaga. Możliwa obecność przeciwnika.

Odskoczyli od swoich na jakieś osiem-dziesięć kilometrów. Niech to zadanie okaże się warte ryzyka.

Punkt Echo, który powiększył na monitorze, wyglądał na porzucony kołchoz – parę długich, murowanych baraków, budynek administracji i wiaty na sprzęt rolniczy. Na sztab 98 Dywizji Powietrznodesantowej to raczej nie wyglądało. To wrażenie szybko ustąpiło. Na skraju zabudowań płonął BTR. Gęsty dym zwiewało na północ, dlatego na pierwszy rzut oka zabudowania zdawały się

spokojne i opustoszałe.

Wyregulował obraz nadsyłany w czasie rzeczywistym przez Predatora. Wyraźnie widział jedną grupę rosyjskich spadochroniarzy podchodzących od strony sadu. Wspierał ich UAZ z działem bezodrzutowym 106 milimetrów i drugi z wukaemem. Od strony bramy inny BTR pruć pociskami 14,5 milimetra z KPWT. Małe figurki żołnierzy przeskakiwały z jednego ukrycia do drugiego. Jęzory płomieni wylatywały z automatów. Na głównej drodze wiodącej do kołchozu parkowały ZiŁ-y 131, a para BMP-2 próbowała wdrzeć się do kompleksu przez resztki płotu. Broniący się w środku byli w rozpaczliwym położeniu. Za pięć minut zostanie z nich mokra palma.

Pierwsze do akcji wkroczyły Apache. Teraz liczył się czas, więc subtelną taktykę pozostawiono na później. Każda z maszyn odpaliła po przeciwpancernej rakiecie AGM-114 Hellfire i śmigłowce rozeszły się na boki. Pojawienie się helikopterów momentalnie zmieniło układ sił. Każdy z AH-64 posiadał na wyposażeniu po osiem rakiet. Wozów piechoty Maciejewski naliczył cztery, więc każdy z nich zostanie poczęstowany jedną. Na resztę wystarczy 30-milimetrowe działka.

Trochę żałował, że został wyręczony, choć musiał przyznać, że sam lepiej by tego nie załatwił. Przynajmniej nic nie przeszkadzało w obserwacji tańca śmierci w wykonaniu bojowych helikopterów. Do tej sieczkarni na razie się nie włączał, a ostrzałem z Browninga może narobić więcej szkód. W tej chwili szczegóły przestały być istotne. Przełączył się na widok ogólny, przestając zważać na detale. Już wiedział, dokąd gnał zmasakrowany przez niego batalion – mieli pomóc tym, którzy próbowali wdrzeć się do środka zabudowań. Jeżeli Rosjanom aż tak zależało na sukcesie, to kolejne oddziały zapewne już są w drodze. Mała potyczka gotowa przerodzić się w całkiem dużą bitwę.

W miarę jak podjeżdżali bliżej, coraz bardziej się denerwował. Strzelanina znacznie osłabła, co nie znaczyło, że ucichła zupełnie. Nad kompleksem unosił się tłusty, czarny dym. Palił się olej i ropa. Przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy wizjera. Może to i lepiej, że tym razem Apache wykonały za nich całą robotę. Przyszli na gotowe, a właściwie zostali wyręczeni. Maciejewskiemu nie uśmiechało się wymiatanie spadochroniarzy z zabudowań i krzaków. To niemal zawsze oznaczało straty.

AH-64 znikły z pola widzenia, natomiast Sokół podszedł do lądowania i gładko osiadł na sporym placu przed budynkiem administracyjnym, niknąc tym samym podporucznikowi z oczu.

Wydał rozkazy. Nie było sensu pchać się między baraki. Tu, na pagórku, lepiej kontrolował okolicę. Rosnące wszędzie brzozy doprowadzały go do szału. Najlepiej, jak dowie się, o co chodzi, i zabiorą się stąd, zanim Rosjanie po przegrupowaniu nie spróbują skończyć tego, co zaczęli.

Na teren otaczający zabudowania wjechali boczną bramką. Właściwie furtką, której przerdzewiałe zawiasy rozleciały się pod uderzeniem. Lufę odbezpieczonego Browninga wymierzył w górę, na tyle nisko, by w razie nieprzewidzianych komplikacji natychmiast skierować ją w niebezpieczny punkt.

Idący ku niemu mężczyzna przyjaźnie kiwnął lewą ręką. Prawa spoczywała na uchwycie karabinka HK 416. Wyglądał na najemnika. Zamiast hełmu czapka z daszkiem, przeciwsłoneczne okulary, w uchu słuchawka, od której kabelek nikił w kamizelce taktycznej. Luźne piaskowe spodnie i turystyczne buty dopełniały wyglądu. Kilku podobnych do niego kręciło się w pobliżu.

– Porucznik Gulbiński – przedstawił się nieznanemu.

Nie pozostało nic innego, jak wygramolić się z wieży i zeskoczyć na ziemię.

– Podporucznik Maciejewski.

– Miło poznać. – W oczach tamtego zapaliły się wesołe iskierki.

– Nie mogliście się bez nas obyć?

– Tak jakby.

Zdjął hełmofon i rękawem otarł pot z czoła.

– Lubliniec?

Gulbiński pokręcił głową.

– Aha – westchnął czołgista. Komandosów Pułku Specjalnego już kiedyś spotkał na manewrach. GROM-owców nigdy.

– Zapewne zadaje pan sobie pytanie, po co to wszystko?

– No. – Maciejewski wyciągnął papierosa.

– A chętnie. – Gulbiński ostrożnie wziął jednego, zupełnie jakby sięgał po zapalnik ładunku wybuchowego. Dopiero teraz czołgista dostrzegł lekkie drżenie rąk rozmówcy. Nagromadzona w żyłach adrenalina powodowała mimowolne skurcze mięśni. Proszę, proszę, więc i oni mają nerwy...

– Po drodze rozpieprzyli mi jeden wóz. Nie wiem, co z załogą, bo kazano mi się śpieszyć. – Zabrzmiało to jak wyrzut, chociaż wcale tego nie chciał.

– Przykro mi.

– Mnie też. Jak za nami poszła reszta, to nie ma problemu. Gorzej, jeżeli większość została po tamtej stronie Wołgi. Gnaliśmy na złamanie karku, a tu okazuje się, że właściwie jesteśmy zbędni.

– Mogli nie zdążyć. – Gulbiński wskazał na helikopter.

– Bradleye sprawiłyby się równie gracko.

– Ale to do pana kapitan Stefański ma wyjątkowe zaufanie.

Maciejewski omal nie parsknął śmiechem. Pieprzyć takie zaufanie, na co mu ono? Sprowadzało się do zlecenia ryzykownych misji, a nie... no, mniejsza z tym, generałem nie zostanie. Wyjść cało z tego burdelu – to już będzie sukces.

– Ku chwale... – rzucił przez zęby.

– Widzi pan tych ludzi? – Komandos wskazał na postaci wychodzące z budynku administracji. Dwóch w rosyjskich mundurach, jeden po cywilnemu. Rozmawiali z jakimś człowiekiem w kombinezonie bez dystynkcji. Kilku ludzi Gulbińskiego odprowadzało ostro sprzeczących się mężczyzn do śmigłowca. – Miałem... – zaciął się, lecz szybko zdecydował się mówić dalej. – Miałem negocjować z nimi warunki przejścia na naszą stronę jednej z ich brygad skierowanych do obrony Moskwy z Kaukazu. Sami złapali z nami kontakt i zaproponowali współpracę. Chętnych jest podobno więcej. Wolą gadać z nami niż z jankesami czy brytolami. Wie pan, dlaczego? Podobno my nie łamiemy danego słowa, co tamtym zdarza się nagminnie. O sprawie wie, wiedzieli – szybko się poprawił – niewiele osób.

– Sam pan w to nie wierzy.

– Bo ja wiem?

– Nie przypominam sobie, by wywiad czegoś nie spieprzył. – Maciejewski wyglądał na bliskiego wybuchu. Tylko głębokie zaciągnięcie się dymem sprawiło, że zapanował nad sobą. – Czego nie dotkną, zaraz robi się burdel.

– A nie lepiej, jak ruscy wszystko załatwią po swojemu? – odpowiedział Gulbiński. – Lepiej i dla mnie, i dla pana. – Oficer cisnął niedopałkiem na ziemię i przygniótł obcasem. – Pora na mnie.

Łopaty Sokoła zwiększały obroty.

– Będzie padać.

– Co?

– Zaczyna się chmurzyć. – Komandos wskazał na niebo. – To dobrze, nie? Już mam dość tej sauny.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 29 maja, godzina 11:21

Labirynt kusił i niepokoił jednocześnie. Najważniejsze, to połapać się gdzie, co i jak. Oficjalny plan miasta nosił w kieszeni, z tym nie było problemu. Wiedział, którądy wejść i wyjść. Wszystko oznaczone i oświetlone. Zwykle i nudne jak droga z pracy i z powrotem. Tylko odcinki pomiędzy stacjami, tam gdzie mrok rozpraszały pojedyncze lampy, budziły trwogę. Wielu woli nie wyglądać przez okna wagonów metra w obawie, że ciemność wyciągnie po nich swoje szpony. Tacy z radością wychodzą na powierzchnię, pozostawiając za sobą lęk przed nieznanym. Inni wprost przeciwnie, uwielbiają ten dreszcz emocji, kiedy ruchomymi schodami zjeżdżają do bram piekieł. Z początku wszystko rześcicie oświetlone, a dalej czarne korytarze od góry oznaczone tylko ciągnącymi się w dal punktami żarówek.

Coś w tym musi być. Lęki z dzieciństwa dają o sobie znać w najmniej spodziewanych momentach. Gdy tak stał i patrzył w stronę, gdzie nikły światełka odjeżdżającego wagonika, przypomniła mu się studnia. Właśnie tak: zwykła wiejska studnia w gospodarstwie dziadków, dokąd przyjeżdżał na wakacje. Nieużywana od lat, lecz ciągle w dobrym stanie. By do niej zajrzeć, należało odemknąć stalową klapę – wtedy światło dnia igrało na ceglanej cembrowinie najwyżej do połowy głębokości. Lustra wody za nic nie dawało się dostrzec. Nie raz próbował sobie wyobrazić, jak to jest, gdy świadomie bądź przez przypadek ktoś znajdzie się na dnie.

Podobne uczucie dopadło Andrzeja obecnie. Znalazł się na dnie czy też u góry? Tego nie był pewny.

– I co? – Leszek Nowakowski przystanął obok. Jego głowa obracała się w obie strony regularnie niczym wahadło, próbując zlokalizować potencjalne niebezpieczeństwo.

– Nie jestem przekonany.

Na końcu peronu znaleźli więcej miejsca. Akurat tyle, by w spokoju zamienić dwa słowa.

Sieć moskiewskiego metra przestała być idealnie funkcjonującą strukturą, jaką była przed wojną. Zmiany zachodziły powoli, biorąc swój początek gdzieś na końcowych stacjach i stopniowo przenosząc się w kierunku linii okrężnej i centrum. Przybywało bab i dzieciaków niemających gdzie się podziać. Tu chociaż znajdowały się toalety, a litościwi ludzie dzielili się kawałkiem chleba. Wyganianie na zewnątrz nie przynosiło rezultatu. Uchodźcy wracali, i to w coraz większej liczbie. Jedna, dziesięć, w końcu sto rodzin koczowało na betonie, obrastając pierzynami i kartonami. Jedna zdecydowana próba usunięcia bezdomnych skończyła się zamieszkami i wstrzymaniem ruchu. Problem narastał i nikt już nie potrafił sobie z nim poradzić.

Na Kijewskiej, gdzie akurat stali, nie było najgorzej. Spokojnie dawało się przejść z jednego końca stacji na drugi, nie potrącając przy okazji miednic, wiader i garnków. Wszelako stacja i tak powoli przemieniała się w noclegownię. Im bardziej przybliżał się front, tym więcej moskwian schodziło na dół, mieszając się z uciekinierami. Ci pierwsi traktowali pobyt tu jako tymczasowy. Martwili się o pozostawiony na górze dobytek i co rusz wyskakiwali na parę godzin, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Idziemy.

Krawędź peronu znajdowała się parę kroków dalej, tam gdzie betonowe schodki wiodły na torowisko. Dziesięć metrów w głąb tunelu spodziewali się stalowych drzwi. Za nimi podobno było wejście do magazynku gospodarczego i tunelu na światłowody. Co tak naprawdę się za nimi kryło, na razie stanowiło zagadkę. Równie dobrze mogą trafić na składzik z miotłami, jak i na kilku agentów Federalnej Służby Ochrony pilnujących przejścia.

Nowakowski ostatni raz obejrzał się za siebie. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Noga Wirskiego spoczęła na pierwszym stopniu. Trzask rygła zabrzmiał jak wystrzał. Cofnęli się o parę kroków. W ustach Wirskiego zabrzmiało przekleństwo. Jeszcze nie wiedział, kto opuścił tunel za stalowymi



drzwiami, a już ścierpła mu skóra na plecach. Słyszał głosy, więc nie jeden. Co najmniej dwóch albo i więcej. Nie śpieszyli się, skubańcy. Żartowali i śmiali się, opowiadając sprośne dowcipy o żonie komendanta moskiewskiej policji, kobiecie, bądź co bądź, w wieku mocno dojrzałym.

Śmiech ucichł, gdy pierwszy z nich pojawił się w polu widzenia. Wywinięta do góry czapka od wyjściowego munduru robiła z policjanta znacznie wyższego, niż był w rzeczywistości. Raczej tęgi, szara kurtka i AKMS na ramieniu. Drugi szczuplejszy, również w mundurze. Trzeci wyglądał na pracownika technicznego i trzymał się za plecami kolegów.

Andrzej zrobił głupkowatą minę. Prawa nie naruszyli, wciąż znajdowali się w strefie ogólnodostępnej, jednak wzrok funkcjonariusza stał się podejrzliwy. Wymacał automat i przesunął go do przodu.

– Dokumenty.

Wirski sięgnął za pazuchę, gdzie trzymał komplet papierów. Wyjął, co trzeba, i podał mundurowemu. Sturublowy banknot spłynął na podłogę jak niepotrzebny nikomu świstek papieru.

Niedobrze. Nieprzekupny glina to zły glina.

– Skąd jesteście?

– Ja z Pitra – odpowiedział Andrzej niezbyt pewny, co Nowakowski ma wpisane w bumagę.

– Daleko cię zaniósł.

– Eee...

– Mówić nie potrafisz?

– Tak, panie oficerze.

– Nazwisko?

Andrzejowi zrobiło się gorąco. Posługiwał się już tyloma fałszywymi nazwiskami, że znalezienie tego właściwego zajęło mu dłuższą chwilę. Policjant już otwierał usta.

– Sazonow Andriej Iwanowicz – wydukał w końcu.

– Sprawdź. – Rosjanin podał papiery koledze.

No, poczekajmy, co się wydarzy. Wolał nie zgrywać głupka ani nie przekonywać o własnej niewinności. Na wszelki wypadek zerknął wzdłuż peronu, na który wtaczały się wagony kolejnego składu. Setki podróżnych przemieszczały się z miejsca na miejsce, nie zauważając koczujących. Ludzie przemieszkujący na materacach, ławkach czy w kartonach nie zwracali uwagi na pędzące tłumy. Już przywykli do łomotu i podmuchów powietrza. Spotkanie dwóch mundurowych i trzech cywili gdzieś z boku peronu nie wzbudziło niczyjego zainteresowania. Z tymi dwoma strażnikami poradzą sobie bez problemu, cywil w tym równaniu zupełnie się nie liczył. Tylko czy zniknięcie patrolu nie postawi na nogi reszty ochroniarzy? Na pewno. Po drugie – w pobliżu kręciło się więcej patroli. Już nawet nie chodziło o tych stojących przy schodach i spacerujących po peronach. Pomysł spenetrowania korytarzy rządowych na stacji Kijowska okazał się całkowicie chybiony. Obecność na peronie dawało się wytłumaczyć, przed wejściem do schowka już nie.

Przepytujący zabrał Nowakowskiemu dokumenty i od niechcienia podał koledze próbującemu przez radiotelefon nawiązać kontakt z kimś mającym dostęp do bazy danych. Sapał przy tym do mikrofonu, przeciągając słowa. Przy okazji odwrócił się bokiem, jakby próbując zyskać odrobinę prywatności.

– Przecież mówię... Sazonow. Tak... ehe... a bodaj was...

Wirskiemu wydawało się, że minęły wieki, zanim policjant wyartykułował ostatnie słowa.

– Nie ma takich – oświadczył gliniarz, gdy konsultacje dobiegły końca.

– Jak to nie ma? – Tęgi rozdziawił usta.

– Jeden jest z Pitra, drugi z Rybińska. Brak meldunku w Moskwie.

– Jestem... – Nowakowski próbował znaleźć usprawiedliwienie.

– Na posterunku będziesz się tłumaczył. Tam już sprawdzą, coś za jeden.

– Towarzysze, na pewno się dogadamy.

– Ty! Z towarzyszem ty mi tu nie wyjeżdżaj!

Zostali popchnięci i chcąc nie chcąc, powlekli się w stronę wyjścia. Jak teraz dadzą nogę, będą spaleni. Jeśli nic nie zrobią, ponownie trafią w tryby systemu. Pierwszy lepszy śledczy z dostępem do sieci dowie się, kim jest Andriej Iwanowicz Sazonow. Podjął decyzję, porozumiewawczo zerknąwszy na Leszka. Szybka akcja i w długą.

Pomysł zniweczyło pięciu OMON-owców nadchodzących z przeciwka. To zdecydowanie za dużo jak na dwójkę Polaków. Dalej ruszyli w większej asyście. Z każdą następną chwilą robiło się mniej przyjemnie. Po jezdni akurat przewałała się kawalkada policyjnych autobusów i wóz z działkiem wodnym do rozpędzania demonstracji. Przy nieznośnym ukropie groźba użycia polewaczki zakrawała na absurd, ale opancerzony BTR już nie. Koncentracja tak dużych sił porządkowych świadczyła o tym, że władza przygotowuje się do nasilonych zamieszek. Może do rozruchów głodowych, bo do mniejszych lub większych wystąpień anarchistów dochodziło niemal codziennie.

Andrzej przystanął. Gliniarze za jego plecami naradzali się, co dalej. Iskierka nadziei zgasła tak samo szybko, jak się pojawiła. Punkt dowodzenia akcją specjalną znajdował się zaledwie parę kroków dalej. Sierżanci poganiaли ciężko uzbrojonych funkcjonariuszy. Obstawiono ulice i przyległości. Z przodu do uszu Wirskiego dobiegł gniewny pomruk tłumu. Niewiele widział, ale takiego odgłosu nie pomyliłby z żadnym innym. Jakiś lejtnant zbył ich machnięciem ręki. Nie teraz. Widzicie, co się dzieje – nerwowe rozkazy poganiały opieszających. Kolejny zareagował podobnie. Kompania OMON-u przebiegła w pobliżu, miarowo tłukąc butami o bruk. Zamiast w zwyczajowe tarcze i pałki, wyposażeni byli w długą broń z nasadzonymi bagnetami. Idealny sprzęt, by przemówić do rozumu zgrai wywrotowców.

Zaraz trafią do więźniarki jako pierwsi zatrzymani w burdach ulicznych. To niewiele lepsze od próby penetracji tajnego systemu korytarzy.

Punkt dowodzenia przy radiowozie wydawał się ostatnim spokojnym miejscem w okolicy, a oficer dowodzący starym wygą.

– Stać.

Burta ciężarowego Ził-a dawała cień, schronili się więc za nią w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Starszyna z eskorty złożył meldunek. Drgnięcie ramion, obrót głowy, zaciekawione spojrzenie. Coś powiedział OMON-owcowi, zanim ten odbiegł truchtem do reszty grupy, lecz słów Andrzej już nie dosłyszał.

– Dawać ich.

Wirski zaklął, bo facet odbiegał od wizerunku typowego dowódcy, krzykiem i szykanami ustawiającego podwładnych. Inteligentna twarz i nieludzko zmęczone oczy ponad zapadniętymi policzkami. Fryzury pod czapką nie widział. Spojrzał na dystynkcje. Major. Szlag. Zdaje się, że wpadli z deszczu pod rynnę.

Rosjanin nieśpiesznie przewertował dokumenty, wyduł usta i chicho westchnął. Stali z Nowakowskim naprzeciw niego, czekając na pierwsze słowa.

– I co ja mam z wami zrobić? – padło nieoczekiwane pytanie.

– To zależy od tego, co pan major chce w życiu osiągnąć. – Zdanie, jakie przyszło Wirskiemu do głowy, może i nie stanowiło szczytu elokwencji, lecz łączyło w sobie pozorny brak treści dla mało bystrych i potencjalny punkt zaczepienia rozmowy, gdyby policjant okazał się taki, jak Wirskiemu przez chwilę się zdawało.

– Interesujące.

Wasilij Szczerkow, jeden z filarów moskiewskiej policji, widział, słyszał i robił niejedno. Przez całe życie stykał się z mordercami, bandytami, gwałcicielami i chuliganami, parę razy sam znalazł się w nieodpowiednim czasie i nieodpowiednim miejscu – ledwo unosząc z tego cało głowę. Lata pracy nauczyły go przygotowywać się na wszelkie ewentualności i wyłapywać najmniejsze odchylenia od normy. Ci stojący przed nim ludzie właśnie niepokojąco odstawiali od przeciętnej. Zwłaszcza ten blondyn z napiętą, czujną twarzą i postawą pewnego własnych racji człowieka.

Szczerkow przyjrzał się garderobie, dłoniom i oczom zatrzymanych. Zewnętrznie wszystko bez

zarzutu, lecz instynkt podpowiadał, że nie są rodakami. Każdy Rosjanin przy kontakcie z władzą gapi się w ziemię lub na boki. Tak został wychowany, a wychowanie to pogłębiła tresura w wojsku, gdzie przełożony jest bogiem, panem życia lub śmierci. Zbyt pewni siebie – ocenili na wstępie. Ich woli nie złamały szykany i obcowanie w patologicznym systemie. Czyżby niespodziewanie natrafił na odpowiednich ludzi?

– Major Wasilij Szczerkow – przedstawił się. Nic tym nie ryzykował. Ciekawe, co odpowiedzą?

– Jesteśmy... – na ustach blondyna zagościł uśmiezek – ...z daleka.

– Tego sam się domyśliłem.

Dalszą konwersację przerwało pojawienie się młodzika w wyjściowym mundurze zupełnie nieprzystającym do okoliczności.

– Towarzyszu majorze, generał Maszkin pyta, jak przedstawia się sytuacja.

– Powiedźcie, że wszystko pod kontrolą.

– Ale...

– Jak chcesz służyć dalej, musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Chłopak oddalił się niepewnym krokiem, nie do końca rozumiejąc, co major chciał powiedzieć.

– A wracając do naszych spraw: coście robili na Kijowskiej?

– Szukaliśmy drogi.

– Dokąd? – zapytał.

– A jak pan myśli?

Pan. Nie towarzysz, obywatel czy wprost po imieniu, tylko „pan”. Zdaje się, że zrobi krok w dobrym kierunku. Szczerkow zacisnął zęby. Przez głowę przewalał mu się huragan myśli. Właściwie niczym nie ryzykował. Może ich z powodzeniem puścić, niech idą w swoją stronę. Nikt mu nie udowodni złych intencji – przepytał, sprawdził i nie znalazł powodów, by im nie wierzyć. O ile wiedział, żadna służbowa notatka nie została sporządzona, a nawet jeśli, to dowodząc akcją zaprowadzania porządku, miał prawo pozbyć się osób legitymowanych w sposób, jaki uznał za stosowny. Jeżeli natomiast byli tymi, za których ich wziął, dostał od losu niepowtarzalną szansę.

– Strasznie tu gorąco – sapnął, próbując zyskać kilka dodatkowych informacji.

– Możemy spotkać się w bardziej sprzyjających okolicznościach – powiedział milczący do tej pory szatyn.

– Jak was zapakuję do Lefortowa, inaczej zaczniecie śpiewać.

– I po co te nerwy?

Lepiej, żeby nie zwiodła go wyobraźnia. Obowiązki wzywały.

– Następnym razem... – wręczył każdemu dokumenty, więcej do nich nie zaglądając – ...nie łażcie więcej tam, gdzie niczego nie ma.

Nowakowski zbierał się do odejścia, lecz Wirski wciąż przyglądał się policjantowi.

– O co chodzi? – warknął Szczerkow. – Jestem za łaskawy, a może chcesz mi coś powiedzieć?

– Owszem, ale nie tu i nie teraz – padło długo oczekiwane zdanie.

– Więc gdzie?

– O osiemnastej w Parku Aleksandrowskim. Jak nie wypali, to godzinę później. Jak i z tego nic nie wyjdzie, to jutro w tych samych godzinach.

– Będziesz sam?

– Nie. Zabiorę kolegę. – Wirski wskazał na kumpla stojącego parę kroków dalej.

– Postaram się... – Szczerkow już nie dokończył. Brzdęk tłuczonych witryn zabrzmiał jak salwa.

– Co się tam dzieje?!

– Proszę na siebie uważać.

Uwagę majora pochłonęła grupa demonstrantów rabujących sklepy. Za nic mieli szpaler gliniarzy stojący dwieście metrów dalej. Obejrzał się za siebie. Po zatrzymanych nie było już śladu.

•

– Jeszcze jeden taki rekonesans i po nas – burknął Wirski.

– Sprawdziłem wszystko trzy razy – zirytował się Nowakowski. – Za każdym razem było czysto. Nikt tam się nie kręcił.

– I nagle zaczął?

– Co ja poradzę?

– Zrobiłeś to wczoraj czy w zeszłym tygodniu? – Andrzej maszerował długimi krokami, starając jak najszybciej opuścić niebezpieczny teren.

– Cztery tygodnie temu.

– Nie obraż się, ale to zaczyna trącić amatorszczyznę. – Dyskretnie obejrzał się za siebie, sprawdzając, czy nikt się do nich nie przykleił. Nikogo takiego nie dostrzegł, co jeszcze nic nie znaczyło.

– Kijowska wydawała się najlepsza.

– Wszystko rozumiem, ale sam przyznasz, że tym razem mieliśmy sporo szczęścia.

– A ten glina?

– No?

– Pójdiesz?

Wirski nie odpowiedział od razu. Majorowi uczciwie patrzyło z oczu. Mógł z nimi zrobić wszystko, a jednak puścił wolno w zamian za mglistą obietnicę spotkania. Co chciał wytargować? A może to początek jakiejś gry? Bystrzak domyślił się, że złapał koniec nitki. Sprzeda temat FSB lub sam spróbuje dojść do kłębka. Nie, to bez sensu. Awans lub nagroda, podczas gdy wokół stolicy zaciska się pętla? Śmiechu warte. Z drugiej strony, coś za szybko to poszło. Facet od początku wyglądał na takiego, co nie robi im krzywdy. To wystudiowane wahanie, niedopowiedzenia, półśłówka. Cholera, coś tu było nie tak. Odczytywanie subtelnej mowy ciała nie było mocną stroną Wirskiego. Żaden z niego psycholog. Z Nowakowskiego również, jeżeli chodzi o ścisłość. Doszło do tego, że sam zaproponował kontakt. Tamten był czysty. Spławił ich. Całkiem miły gest.

– Słuchaj. – Leszek zwolnił, by po chwili się zatrzymać.

– Kolejny genialny pomysł?

– Stawimy się na spotkanie, choć nie będziesz to ty ani ja.

– A kto?

– No, sam pomyśl.

•

Te parę wyasfaltowanych alejek parku przylegającego do czerwonych murów Kremla po jego zachodniej stronie można pokonać w parę minut. Przed sobą widział sznur samochodów wylewających się z Nabrzeża Kremłowskiego i Wielkiego Kamiennego Mostu wprost na plac Borowicki. Rozgardiasz miał w sobie jakąś magię. Miasto żyło, choć z wolna pograżało się w destrukcji. Zdaniem Szczerkowa nie było niczego gorszego od pustych ulic i prospektów, gdzie ludzkie cienie chyłkiem przemykały się od jednej jasnej plamy latarni do drugiej. Obecny bałagan jest sto razy lepszy od martwoży, którą widział po EMP.

Zszedł ze służby po raz pierwszy od... od dawna. Wykręcił się bólem pleców, zrobił małą awanturę w kadrach i zapowiedział powrót po paru godzinach. Nic się nie stanie, jeśli wyciągnie się na kanapie, prześpi parę godzin i zmieni bieliznę. W końcu istniały telefony. Jak oświecić kadrową, to takie urządzenie służące do wymiany informacji w obie strony, a nie jedynie do przyjmowania poleceń. Wszyscy tak robili, więc i jemu się należy.

Wbił się w ciemnoszary garnitur, pod szyją zawiązał krawat i stawiał się na spotkanie kilkanaście minut przed czasem. Krótki spacer powinien ukoić nerwy. Dawno nie miał ku temu okazji, a przecież należy pielęgnować dobre nawyki. Szybko zrezygnował z elegancji – zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Wbrew nikłej nadziei wieczór nie przyniósł ukojenia. Pot lał się z majora strumieniami. Zerknął na zegarek: za dziesięć osiemnasta. Zdaży przejść przez ulicę, kupić kwas u babuszki w kiosku na rogu i wrócić na miejsce. Gdzieś w głębi duszy wołał, by wszystko okazało się żartem. Na co mu dodatkowe kłopoty, swoich miał aż nadto. Przebiegł truchtem przez jednię. O

mało nie zahaczył o białe Żyguli, którego kierowca, co rusz naciskając na klakson, próbował wymusić przejazd.

No zatrąb jeszcze raz... – Szczerkow najchętniej sięgnąłby po Makarowa tkwiącego w kieszeni. Zatrzyma nerwusa, a lufę pistoletu wetknie mu w usta, przy okazji wyłamując parę zębów. Policyjna legitymacja dawała poczucie bezkarności. Czasami trzeba nagiąć prawo, żeby osiągnąć sukces. W tym kraju inaczej się nie da, chociaż pewnie gdzie indziej jest podobnie. Człowiek zawsze pozostanie człowiekiem – złą i ułomną istotą kierującą się egoizmem. Przez wiele lat pracy ukuł na ten temat własne zdanie: dobrym ludziom nie zdarzają się dobre rzeczy. Po prostu tak jest i już. Nigdy nie wygra kumulacji w totka, ba... co tu mówić o grach liczbowych – w zwykłej loterii zawsze wyciągnie nie ten los, co trzeba. Nie pojedzie na wycieczkę do Egiptu, co najwyżej na wczasy do Soczi. Nikt nie doceni jego wzorowej postawy i nie wyrazi wdzięczności nagrodą państwową czy chociażby resortową. Nie znajdzie worka z milionem dolarów, po który nikt się nie zgłosi. Ewentualnie może wziąć w łapę od mafiosa liczącego na właściwe załatwienie sprawy. Dobry człowiek co najwyżej złamie nogę, wynosząc śmieci, czy też zostanie potrącony przez samochód. Sława, nagrody i odznaczenia nie dla niego. Tak jest i tak będzie. Życie jest ciężkie, a potem się umiera.

– Co podać, synku? – Babcia w chuście na głowie wydawała się niewrażliwa na panujący upał.

– Kwasu, mateczko. – Wysuptał pięć rubli i nie czekając na resztę, wypił chłodny, cierpki napój jednym długim pociągnięciem.

– Jeszcze raz – zadysponował.

– Już niedługo.

– Proszę? – Zerknął przez ramię.

– Podobno idzie zmiana pogody, tak mówili w telewizji.

Panienka, a raczej młoda kobieta, wyglądała na rezolutną. Ciemne włosy spływały kaskadą na plecy, a szare oczy patrzyły z ironią. Szczerkow rozejrzał się na boki. Tych dwóch, z którymi się umówił, nigdzie nie było widać. Zakładał, że pojawi się tylko jeden z nich. Przyjdzie, pogada, a on zastanowi się, co robić dalej. Być może umówią się na kolejne spotkanie i tyle. Jeżeli okażą się godni zaufania, być może nawiąże współpracę, wymienią informacje i wszystkim zrobi się lepiej.

– Przejdziemy się? – zaproponowała.

– Dokąd?

– A tu, niedaleko. – Ujęła Szczerkowa pod ramię i pociągnęła w stronę pobliskiego nabrzeża. – Jesteście zaskoczeni?

– Bynajmniej.

Jak każdy zdrowy facet, Szczerkow lubił kobiety. Zwłaszcza młode i ładne.

– Nie pomyliłaś mnie z kimś?

– Czy moja obecność wam przeszkadza?

– No co też...

Tracił kontrolę nad wydarzeniami. Po to został wyszkolony, by samemu nadawać im bieg. Jeszcze ta drobna dłoń spoczywająca na przedramieniu... Prawie zapomniał, jak to jest. Wyprostował plecy, a jego krok stał się bardziej zdecydowany. Z ukosa zerknął na dziewczynę. Wydawała się spokojna, a przynajmniej zachowywała się naturalnie, w przeciwieństwie do niego. Albo była doskonałą aktorką, albo po mistrzowsku panowała nad nerwami.

– Trochę się martwiliśmy.

– Tak?

– Czy przyjdziecie.

– Prawdę mówiąc, miałem wątpliwości. – Nie dodał, że ma je do tej pory. – Moskwa przestała być dobrym miejscem. Całe życie jestem gliną i choć na starość chciałem zobaczyć efekt moich starań. Nagle okazało się, że wszystko jest nic niewarte. Człowiek żyły sobie wypruwa, a słyszy tylko, żeby zamknął gębę i siedział cicho. – Kottujące się w nim wzburzenie znalazło ujście.

– Proszę mówić. – Dziewczyna bezbłędnie odczytała jego stan ducha.

– Ktoś z moim stażem nie powinien dawać sobą aż tak pomiatać. Czasami odnoszę wrażenie, że całą czarną robotę spychają na mnie.

– Może uważają was za niezastąpionych.

– Raczej za idiotę.

Uścisnęła mocniej jego ramię, jednocześnie kładąc swoją lewą dłoń na prawej. Wyglądali teraz na parę, co pochlebiało Szczerkowowi.

– Proszę tak nie mówić.

– Ale to prawda – zająknął się.

– I co z tego? Nie każdy może robić, co chce.

Zeszli nad samo nabrzeże, skręcili w lewo i znaleźli się w cieniu mostu. Od kamiennych płyt buchały fale gorąca. Szare, brudne wody rzeki Moskwy przypominały zupe. Jak tak dalej pójdzie, lada moment pojawią się ławice śniętych ryb. Także zabudowania po drugiej stronie rzeki wydawały się majorowi nad wyraz ponure. Szare, betonowe gmachy przytłaczały skąpane w upale miasto. Daleko nad Dorogomiłowem dostrzegł dym. Trudno, nie jego sprawa. Odkąd do stolicy zjechali uciekinierzy z połowy kraju, coraz bardziej dziwił się, dlaczego obywatele wciąż jeszcze sami nie wzięli spraw w swoje ręce. Łącznie liczbę mieszkańców i uchodźców oceniano na dwadzieścia milionów. Kontrola nad taką masą ludzi jest iluzoryczna, o tym wie nawet dziecko.

– Na mnie pora – oświadczyła niespodziewanie.

– A ja? – zapytał zaskoczony.

Wskazała głową ukrytego w cieniu mężczyznę, który opierał się o ścianę.

– To chyba z nim chcieliście porozmawiać.

Znikła tak samo niespodziewanie, jak się pojawiła.

– Proszę nam nie mieć za złe tej małej maskarady.

– Gdybym wiedział, jak to się zacznie, przyszedłbym godzinę wcześniej – odparł szczerze Rosjanin. – Czy to z nią będę utrzymywał kontakt?

– Jej facet jest strasznie zazdrosny.

– Aaa... już rozumiem. – Szczerkow przyjrzał się Andrzejowi. – Nie miałem nic złego na myśli. A gdzie kolega?

– Szedł za wami.

– Jak już mamy współpracować, przydałoby się więcej zaufania.

Wirski przytaknął.

– Więc co pan proponuje?

– Ja się przedstawiłem. Teraz chciałbym wiedzieć, kim wy jesteście.

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH, MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 29 maja, godzina 19:09

– Sir... – Generał James Wilson, na barkach którego spoczywało dowodzenie siłami zbrojnymi najpotężniejszego państwa świata, sztywno ukłonił się prezydentowi. – Obawiam się, że w zaistniałej sytuacji nie mogę pełnić funkcji, jaką mi pan powierzył. To, co się stało, podkopuje mój autorytet. Zresztą, nie tylko mój. Przynosi hańbę – nie tylko mnie, ale i sprawie, którą reprezentuję.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama jeszcze panował nad emocjami, ale wyraźnie widać było narastające wzburzenie.

– James, proszę... – Normalnie jako prezydent nie prosił nikogo. Nie po to został wybrany na przywódcę supermocarstwa.

– Panie prezydencie...

– Tak, Gary?

– Generał ma rację. Najłagodniejsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy, to prowokacja. Tak

właśnie: prowokacja! – zagrział doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Twoją opinię przyjąłem do wiadomości.

– To nie wszystko. Ja również składam rezygnację. – Gary Craig spokojnie dokończył, co miał do dokończenia, i opadł w głąb fotela.

Zanosilo się na największy kryzys na szczytach władzy, a on właśnie dorzucił do ogródka parę kamyków.

– Kto jeszcze?

– Generałowie Lovell i Preston oraz admirał Collins. Decyzja była wspólna – powiedział Wilson.

– W obecnych warunkach pańskie postępowanie ociera się o zdradę. – Wiceprezydent Joe Biden zazgrzytał zębami.

– Owszem, możemy mówić o zdradzie i o tym, kto się jej dopuścił – uciął Craig. – Jak również o wybujałych ambicjach, zachwianej karierze i upadku...

– Zniszczę cię! – zaryczał wiceprezydent. Oczy Bidena ziały czystą nienawiścią.

– Możesz mi co najwyżej obciągnąć, a i to nie. Znam lepszych od ciebie. – Gary wstał i złożył dokumenty. – Moja rezygnacja za pięć minut znajdzie się na pańskim biurku, sir.

Wilson zrobił to samo. Na końcu długiego konferencyjnego stołu podobnie postąpiły kolejne dwie osoby: dyrektor Federalnego Biura Śledczego i jego zastępca. Czyżby oni również czuli się współodpowiedzialni za ostatnie wypadki? Nim reszta zdążyła zrobić choć krok, ponad rozgardiasz wzbił się głos Baracka Obamy:

– Panowie, bardzo was proszę... bez demonstracji.

– Niech idą.

– Nikt tu, kurwa, o nic ciebie nie pyta – warknął Obama.

Wielu politycznych komentatorów, mających prezydenta za skończonego pierdołę, na te słowa zareagowałyby zachwytem. Craig, Wilson i Comey porozumieli się wzrokiem. Wygląda na to, że osiągnęli zamierzony efekt.

– Lepiej zastanówmy się, jak to wszystko odkręcić. – Po twarzy prezydenta przebiegł nerwowy tik.

– Polacy wypną się na nas przy pierwszej okazji. – John Kerry, poszarzały od emocji, wyłamywał palce. – Tak się po prostu nie robi.

– Nic się nie stało – spróbował wtrącić Biden.

– Już lepiej nic nie mów. Jeżeli myślisz, że to się nie wyda, jesteś w grubym błędzie. Ich wywiad już szpera. Podobno paru ludzi ostro się u nich wkurwiło. Była szansa opanować sytuację przed końcem maja. Z powodu idiotycznych uprzedzeń szanownego pana jesteśmy tak samo daleko od zakończenia konfliktu jak przed miesiącem.

Pierwsze niejasne pogłoski o specjalnej akcji CIA rozeszły się wśród zainteresowanych około południa. Co dziwne, nawet nie próbowano jej tuszować czy trzymać w tajemnicy. Zdaniem wielu, w tym i wiceprezydenta, na polecenie którego w ogóle doszło do przecieku, nie stało się nic nadzwyczajnego.

Można to było zrozumieć. Dziwnym trafem Polakom udało się to, co Amerykanom przychodziło z wielkim trudem – potrafili szybciej znaleźć odpowiednich ludzi i przeciągnąć ich na swoją stronę niż specjalnie szkoleni agenci z CIA i sekretariatu stanu. Sukces wydawał się pewny, co oczywiście nie mieściło się w głowie – jak podrzędne państewko może osiągnąć więcej od supermocarstwa? Zajęcie Moskwy i ujęcie Władimira Putina gwarantowałyby Polakom zupełnie nowy status. Już nie Waszyngton byłby głównym rozgrywającym, lecz jacyś ludzie o nazwiskach trudnych do wymówienia, na dodatek niepałający nadmierną miłością do braci nad Potomakiem.

Należało działać, i to szybko. Z dwojga złego uznano, że zdradzenie szczegółów spotkania agentom FSB przyniesie więcej korzyści od pozostawienia wszystkiego w rękach Polaków. Decyzję aprobował wiceprezydent Joe Biden, do którego w tej sprawie zwrócił się zastępca dyrektora CIA. W końcu to na wiceprezydencie spoczywało wiele spraw mających na celu wyłonienie

odpowiedniej reprezentacji ludzi, którzy powinni przejąć kierowniczą rolę w strukturach Federacji Rosyjskiej. Tacy próbujący dogadać się z inną opcją do niczego nie byli potrzebni. Sprawę załatwiono po cichu, bez szumu, ale też bez nadmiernej ekscytacji. Należało to zrobić i tyle. Może być tylko jeden rozgrywający, nie dwóch, a to, że Warszawa była sojusznikiem, kompletnie nic nie znaczyło. Niech lepiej zna swoje miejsce w szeregu. Zwłaszcza po tym, co dla niej zrobiono.

Nie przewidziano jednego – oporu części urzędników i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Zamiast podjąć próbę podłączenia się do rokowań, od razu przywalono z grubej rury. Argumentu, że Polacy na razie do niczego się nie przyznawali, nikt póki co nie podniósł. Za parę dni można by im wytknąć nielojalność. Obecnie to raczej Amerykanie stali się pariasami.

Ta decyzja wiceprezydenta spowodowała kryzys, i to w momencie najgorszym z możliwych. Nawet jeżeli chciał dobrze, to skutek okazał się odwrotny od zamierzonego. Wszyscy obecnie zgromadzeni w gabinecie wiedzieli, że w ciągu najbliższych minut zapadnie kluczowe rozstrzygnięcie – kto zostanie, a kto pożegna się ze stanowiskiem. Jedna strona pokazała, na co ją stać. Biden wydawał się przegrany z kretesem. Odsunęli się od niego wszyscy stronnicy.

– Joe, masz coś na swoje usprawiedliwienie?

Obserwowanie wiceprezydenta wydało się Gary’emu nawet zabawne. Wszechmocny do niedawna polityk wyglądał na zszokowanego. We własnym mniemaniu był przecież niewinny – wszystko robił dla dobra własnego kraju. Zarzuty wydawały się wręcz absurdalne i nie na miejscu. Kto jak kto, ale on wiedział, jak prowadzić politykę. Przecież pomysł stref bezpieczeństwa został zaakceptowany, a plan dogadania się z Nawalnym był bliski realizacji. I tylko ci wredni Polacy musieli narozrabiać w najmniej odpowiednim momencie. Zamiast skomleć na tylnych łapkach, mieli czelność prowadzić własną politykę, nie do końca zbieżną z jego programem.

– Joe, ja czekam.

– Panie prezydencie... – Biden zawiesił głos i rozejrzał się po zebranych, ale jakoś nikt nie próbował udzielić mu wsparcia. Polityczne przetrwanie miało swoją ceną. – Zawsze działałem dla dobra nas wszystkich.

– Wiemy. – Powściągliwe słowa Baracka Obamy nie były w stanie zamaskować kryjącej się za nimi wściekłości.

– Jeżeli tego wymaga ode mnie dobro kraju... – Wstał i dopiął guzik marynarki na wydatnym brzuchu. Gdy wychodził, wzrok wbił w przestrzeń, nie zauważając nikogo. Młodszy urzędnik Departamentu Stanu otworzył przed nim drzwi.

Cholera, to nie musiało się tak skończyć. Nikt z nich nie spodziewał się, że dojdzie do czegoś podobnego. Jaki by nie był, to Joe Biden stanowił fundament stabilności. Kogoś takiego trudno będzie zastąpić. Niewielu urzędników posiadało odpowiednie kwalifikacje. Kto za niego?

– Gary?

– Tak, sir?

– Przyczyniłeś się do odejścia dotychczasowego wiceprezydenta, teraz poniesiesz konsekwencje.

– Oczywiście.

Należało się tego spodziewać. Z drugiego szeregu łatwo wpływało się na wydarzenia, lecz zdaje się, że zbyt urosł w siłę. Stał się zagrożeniem dla niektórych. Silna osobowość mająca wpływ na prezydenta – niewielu potrafiło to przełknąć. Co dziwniejsze, poczuł ulgę. W końcu z czystym sumieniem będzie mógł zająć się tym, co lubi. Tylko co on lubi? Przez lata sprawowania urzędu nie interesowało go nic poza polityką. Niemniej uwolnienie go od ciężaru doradzania Obamie wyjdzie wszystkim na zdrowie. Przyjdzie ktoś z nowym spojrzeniem, ktoś, kto będzie potrafił dostrzec rozwiązanie tam, gdzie on widział jedynie pustkę lub niechęć. Po raz drugi w ciągu kilku ostatnich minut zbierał się do wyjścia.

– A ty dokąd?

– Sam pan powiedział...



– Zostaniesz wiceprezydentem. Moje słowo coś tu chyba znaczy?

– Nie. To znaczy...

– Tak. Doskonale orientujesz się we wszystkich zagadnieniach, masz autorytet, ludzie cię lubią i szanują, a naszych sojuszników i wrogów znasz jak mało kto.

– Doprawdy, nie wiem...

– Zaproponuj kogoś na swoje miejsce. Kogoś, kto jest wprowadzony w szczegóły. Kandydata chciałbym poznać przed północą.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie prezydencie.

Gary podchwycił spojrzenie Wilsona. Jego wzrok mówił wszystko: sam tego chciałeś.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Gary Craig – to brzmiało nieźle.

Choć wewnątrz buntował się jeszcze, wyszukując argumenty przeciw przyjęciu stanowiska drugiej osoby w państwie, to równocześnie czuł się wyjątkowo. Do niedawna myślał, że osiągnął wszystko. Dalsza ścieżka kariery wydawała się zamknięta. Zresztą, i tak nie chciał dłużej realizować się w polityce. Ileż można? Niekiedy dopadało Gary'ego obrzydzenie do samego siebie – te wszystkie kompromisy i układy... Wydawało się, że widział już wszystko, a teraz, gdy wspiął się o parę szczebli wyżej, na wszystko przyjdzie spojrzeć z odrobiną innej perspektywy. Wśród wielu niewiadomych akurat kwestia jego następcy była oczywista. Nawet nie będzie jej pytał o zdanie. W końcu ile osób stawało w życiu przed perspektywą dostania takiej fuchy?

– Jak pan myśli, generale, czy to niefortunne zdarzenie będzie miało wpływ na dalszy los kampanii? – Barack Obama nie pozwolił na zbyt długą przerwę.

– Trudno powiedzieć. W obecnym układzie... powiem tak: na razie współpraca układa się znakomicie. Bez wzajemnego wsparcia nie osiągnęlibyśmy tych sukcesów i nie w takim tempie. Mając na uwadze to zajście, jak też zróżnicowanie celów, które mamy osiągnąć, zdecydowałem o zmianie w strukturach II Korpusu. Pod dowództwem generała Coopera pozostaną te jednostki, które operują pod Petersburgiem...

– Kiedy miasto znajdzie się w naszych rękach?

– Pośpiech nie jest w tym przypadku wskazany. Odradzam szturm. To nie Bagdad, Faludża czy Tikrit. Tam mieliśmy do czynienia najwyżej z paroma tysiącami bojówkarzy uzbrojonych w broń lekką. Aglomeracja petersburska przewyższa wszystko, z czym przyszło nam zmierzyć się wcześniej. W przypadku szturm prawdopodobne straty własne oceniamy na dziesięć do piętnastu tysięcy żołnierzy, czyli dwa razy więcej, niż straciliśmy na froncie do tej pory.

– Co w takim razie pan radzi?

– Poczekajmy na to, co stanie się pod Moskwą. Właśnie. Wszystkie formacje tam operujące automatycznie przechodzą w struktury III Korpusu. Ponieważ większość z tych oddziałów to jednostki polskie oraz... – Wilson powoli wypuścił powietrze z płuc – ...ze względu na zaistniałe okoliczności, racjonalne wydaje się, by dowództwo objął ktoś z ich generalicji. Ten kurtuazyjny gest powinien ich udobruchać.

– Nie odbiorą go jako naszej słabości?

– Będzie gorzej, jeżeli zaczniemy udawać, że nic się nie stało.

– Generale, to zdaje się nie jest takie proste, jak pan myśli – wtrącił się John Kerry. – Zasadniczy problem sprowadza się do pytania, czy ten III Korpus będzie w stanie zająć Moskwę, czy też nie. Jeżeli tak, to cała zasługa przypadnie Polakom. Nam pozostanie na otarcie łez Petersburg. Czy nie tak?

– Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem. Dla mnie liczy się skutek. Rozumie pan? Nieważne, kto zajmie stolicę Federacji, jeżeli dzięki temu uratujemy życie tysięcy naszych żołnierzy. Zresztą zajęcie paru dzielnic mieszkaniowych o niczym jeszcze nie przesądzi. O sukcesie zadecyduje kombinacja paru wypadkowych. Po pierwsze, zajęcie miejsc decydujących o funkcjonowaniu miasta. Dopóki jest woda w kranach i prąd przez parę godzin dziennie, wszystko gra. Podobnie ma się rzecz z terminowymi dostawami żywności. Ten problem uważam za najtrudniejszy do

rozwiązania. Oceniamy, że z powodu głodu umierać może od jednego do dwóch tysięcy ludzi dziennie, głównie dzieci i osób starszych. Na prowincji nie będzie lepiej wskutek prowadzonych działań wojennych. W tej chwili trudno powiedzieć, jak wypadną zbiory. Niektóre rejony rolnicze mało ucierpiały, lecz z powodu napięć etnicznych ludność słowiańska rozpoczęła eksodus z Uralu na północ. Panowie. – Rozejrzał się i uznał, że niezbędnym jest przybliżenie tematu. – Najlepiej, jak od razu wyjaśnię parę spraw. Jeszcze miesiąc temu Moskwę oficjalnie zamieszkiwało od czterech do pięciu milionów muzułmanów. Ilu ich było realnie – nikt nie wie. Przy ogólnej liczbie ludności Federacji wynoszącej sto czterdzieści dwa miliony osób Rosyjski Urząd Statystyczny oceniał muzułmanów na piętnaście procent ogółu. Są to wyjątkowo ostrożne szacunki. Daje to jakieś dwadzieścia dwa miliony. Tamtejsze MSW utrzymuje, że to liczby niepełne i być może jest to nawet trzydzieści milionów mieszkańców. Co z tego wynika? Tam nie trzeba wojny, demografia załatwi wszystko o wiele skuteczniej. Jeżeli nawet w tej chwili przerwiemy działania wojenne, wycofamy wszystkie oddziały i zagwarantujemy Putinowi bezkarność, to dla Federacji jest za późno. Na Kaukazie już przestała stanowić dominującą siłę. Niedługo to samo stanie się z rejonem Powołża. Rosjanom grozi stanie się mniejszością narodową w Rosji. I wcale nie jest to pomysł wzięty z powieści fantastycznych.

– Gary, co w sprawie Chin? – Barackowi Obamie przypomniało się wcześniejsze spotkanie.

– Pracujemy nad tym. Poproszę o jeszcze kilka dni.

– Dostaniesz, co będziesz chciał, tylko zrób... – Słowo „porządek” było jednak przeciwieństwem tego, co chciano osiągnąć. „Chaos” za to pasował idealnie. – Więc co z tą Moskwą, generale?

– Wygra ten, kto pierwszy dogada się z Putinem lub postawi go przed sądem. Zresztą sam Władimir Władimirowicz obecnie jest raczej tłem. O wiele ważniejsi są ci, którzy za nim stoją. – Wilson otworzył skórzaną teczkę spoczywającą przed nim na stole. – Pozwoliłem sobie przygotować listę 152 nazwisk. Rozdamy ją żołnierzom sił specjalnych. W Iraku sprawdziło się to doskonale.

– Trochę pokażna ta talia kart – ocenił sekretarz stanu, nawiązując do podobnej operacji wyłapywania najważniejszych współpracowników Saddama Husajna.

– To i tak sama góra. W rzeczywistości zależy nam na zatrzymaniu prawie pięciu tysięcy urzędników, wojskowych i naukowców pracujących przy kluczowych projektach. Oczywiście numerem jeden jest sam Putin, dwa to Ławrow i tak dalej.

– Mamy już kogoś z tej listy? – zainteresował się prezydent.

– Jakiś dwadzieścia nazwisk. Innych sukcesywnie wykreślamy.

– Wykreślamy?

– Ponad sto osób poniosło śmierć. Należy do nich admirał Michaił Lipatow i szef projektów specjalnych Rostechologii. Oczywiście tych, którzy zginęli na „Valkirii”, nie braliśmy pod uwagę.

– Z tego, co pan wcześniej powiedział, wynika, że ten nowy III Korpus opiera się głównie na Polakach. Czy w takim razie te jednostki, które ich wspierają, myślę o... proszę mi przypomnieć.

– 1 Dywizja Piechoty – podsunął przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

– Czy jedna dywizja to nie za mało?

– W sumie będzie tego znacznie więcej. Wystawimy dwie pełne dywizje oraz wiele oddziałów sił specjalnych, poczynając od 75 Pułku Piechoty, czyli Rangersów, po 160 Pułk Lotniczy Operacji Specjalnych i oddziały walki psychologicznej. Ponadto wsparcie artylerii i śmigłowców.

– Mimo wszystko... – Prezydent wyglądał na zafrasowanego.

– Mamy w zapasie parę niespodzianek – odpowiedział Wilson. – Nazwa korpus jest tu myląca. To w rzeczywistości machina, której trudno będzie sprostać. III Korpus stanie się najbardziej niszczycielską siłą w historii wojen.

– Jest pan pewny?

– Najzupełniej – potwierdził z kamienną twarzą Wilson.

– Ale z tym przejściem naszych jednostek pod obce dowództwo to pan przesadził.

- Nie przywiązywałbym do tego nadmiernego znaczenia. Wszystkie decyzje i tak muszą konsultować z nami.
- Skoro tak... Proszę robić, co pan uzna za stosowne.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

22 BRYGADA PANCERNA – NA ZACHÓD OD WOŁOKOŁAMSKA,

110 KILOMETRÓW OD MOSKWY – FEDERACJA ROSYJSKA | 30 maja, godzina 08:53

Ta chwila w końcu musiała przyjść i przysła. Szkoda, że tu i teraz.

Pierwsza fala mdłości napłynęła niespodziewanie. Nie zdążył się na nią przygotować, co spowodowało, że cała zawartość żołądka ozdobiła gąsienicę przy prawej burcie. Chwilę trwało, zanim powrócił do jako takiej równowagi. Przynajmniej tak się wydawało. Zdążył głębiej odetchnąć i pomyśleć, że najgorsze już za nim, kiedy skurcz żołądka wycisnął z niego resztki życia. Torsje wcale nie były najgorsze. Najgorszy okazał się wzrok załogi i tych, którzy znaleźli się w pobliżu. Jeżeli już musiał, to dlaczego nie rzygał w ustronnym miejscu, tylko przy wszystkich?

– Pan porucznik źle się czuje?

– Odczep się, Makała.

– Może zawołam medyka?

– Już nie...

Dwie minuty później szkliste spojrzenie spoczęło na kierowcy.

– Co się tak gapisz? Przecież powiedziałem...

– To ta wczorajsza kolacja. Mnie też wierci w bebechach.

Wyjaśnienie kierowcy całkowicie pokrywało się z oceną Maciejewskiego. Wystarczyło spojrzeć na jego buty.

– W trzeciej kompanii powaliło czterech.

– Tak? – wyraził ostrożne zainteresowanie. Przynajmniej nie skompromitował się na amen.

Okazuje się, że takich jak on jest więcej.

– I co?

Makała wzruszył ramionami.

– Już im przeszło.

– Doskonale.

Po w miarę spokojnym poranku kompanię Abramsów Maciejewskiego ponownie wysunięto do przodu. Nie bez powodu. Objazd pod Nazariem okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Jeden z Bradleyów już nadawał się na złom, drugi do długotrwałego remontu. Do tego kołowy pojazd rozpoznawczy BRDM-2M96 zwany pieszczotliwie Szakalem przez zwiadowców z 2 Pułku wraz z trzyosobową załogą... Wóz wciąż płonął. Do kompletu doszedł mocno pokiereszowany czołg drugiej kompanii. Naprzeciw trzy T-80 i jeden BMP-2. O ile czołgi jeszcze dymiły, to bojowy wóz piechoty był zimny jak trup i właśnie z niego nad okolicą rozchodził się upiorny odór. Roje much kłębiły się przy otwartych do połowy drzwiach desantowych. Nawet nie trzeba było bardziej otwierać włazów, by poczuć obezwładniający smród. Rozkaz zatrzymania kompanii właśnie tutaj wystarczył do przekłęcia sztabu i wszystkich sztabowych zupaków kierujących bitwą z klimatyzowanych pojazdów dowodzenia.

– Panie poruczniku.

– Makała, źle się czuję. – Nie skłamał. Faktycznie, coś tam w żołądku musiało przetrwać, a teraz uporczywie usiłowało wydostać się na zewnątrz.

– Zaopatrzenie jedzie.

– Co?! Dlaczego nie meldujecie? – Zajęty sobą, nie dostrzegł ciężarowych Starów 266 posuwających się na czele kolumny.

Spojrzał w dół, czy przypadkiem kombinezonu nie szpecą kompromitujące plamy. Usta przepłukał wodą z manierki i wyciągnął papierosa. Zdążył przypalić. Akurat w porę. Z szoferki pierwszej ciężarówki wyskoczyła Manicka. Jej uśmiech zgasł momentalnie. Zasłoniła nos rękawem kurtki. Hełm i kamizelka nie odbierały jej atrakcyjności.

- Chciałaś zobaczyć, jak wygląda front? – Poprowadził dziewczynę na tyły kolumny Abramsów.
- Miłe powitanie.
- Tu nigdy nie jest miło.

Cieszył się na jej widok, a wygadywał głupstwa. Kompletny idiota z niego.

- Pan porucznik zawsze taki zasadniczy?
  - Robię, co mogę. Chcesz zapalić? Pomaga. Podobno.
- Pokręciła głową.

- Nie wiesz, dlaczego stary kazał nam stanąć?

– Zostaniecie zlurowani. – Odetchnęła głębiej. Zupełnie niepotrzebnie. Nawet w odległości pięćdziesięciu metrów z wraku waliło trupiarnią. Kaszlnęła. – Daj tego papierosa.

Błysnęła zapalniczka. Zaciągnęła się, i to głęboko.

- Nie paliłam od matury.

Maciejewskiego zawsze bawiły kobiety z papierosem. Te wystudiowane gesty, ruchy i mrużenie oczu. Tym razem też nie było inaczej.

- To całkiem niedawno? – wypalił.

- Dzięki za komplement.

– Przynajmniej tak mogę odwdziżyć się za prezenty. – Wskazał na kartonowe pudła, które znikaly we wnętrzach czołgów.

– Część poszła do kantyny, ale sporo zostało. Wiesz, w kraju ludzie robią zrzutkę na paczki dla was. Fajki, słodycze, gry...

- Na gry to my tu raczej czasu nie mamy. Gorzały nie ma?

Rozpięła boczny suwak kurtki. Obły kształt zmienił właściciela. Zdążył wymacać, że butelka nie imponowała rozmiarami.

- Przyjedź na tyły, dostaniesz więcej.

- Brzmi obiecująco.

Wojna nie dała o sobie na długo zapomnieć. Pierwszego Leoparda 2A5 poprzedzał terenowy Mercedes-Benz. Pod ciężkim pojazdem drżała ziemia. Za wozami posuwało się na gąsienicach ruchome stanowisko dowodzenia M577. Tkwiący w wieżyczkach pancerniacy spoglądali przed siebie, mając pod ręką na wszelki wypadek MG-3. Maciejewski naliczył ponad dwadzieścia Leopardów, zanim pojawiły Bradleye, i tak... to chyba były Strykery. Przedziwny konglomerat sprzętu niemiecko-amerykańskiego przetykany niekiedy polskim pojazdem gnał na wschód. Batalion wyglądał imponująco, prawie tak samo jak jego własny. Z tyłu Humvee ze strzelcami w oszklonych i opancerzonych stanowiskach lub z rurami przeciwpancernych pocisków kierowanych TOW oraz bateria ośmiu samobieżnych Krabów 155 milimetrów. Huk wysokoprężnych silników był ogłuszający. Aż trudno uwierzyć, że miało się do czynienia z polską armią.

Pożegnał się z Manicką i pognął do własnego Abramsa. Zdążył we właściwym momencie.

- Rydwan Jeden-Jeden. – W słuchawkach zatrzeszczało wezwanie. – Zadanie bez zmian.

- Tak jest.

Widział na monitorze każdą z maszyn, jaka poprzedzała pierwszą kompanię 22 Brygady. Zwiększył skalę. Nic. Jeszcze. Obraz stał się w miarę klarowny, a na skraj ekranu załapało się miasto.

- Dobra. – Przez chwilę siedział bez ruchu. – Dawaj za nimi.

- W końcu ktoś inny odwali całą brudną robotę – mruknął Makała.

– Nie jestem tego pewien. – Podporucznikowi przypomniało się, jak w dzieciństwie w domowej biblioteczce natrafił na książkę w zielonej okładce, na której widniał drogowskaz i niemiecki hełm. Dzieło nosiło wielce wymowny tytuł „Szosa Wołokołamska”.

Historia 316 Dywizji, tak zwanych Panfilowców, wywarła na nim wielkie wrażenie. Nie miało znaczenia to, że – jak dowiedział się później – większość opisanych wydarzeń to wymysł autora Aleksandra Beka.

Obecnie sam znajdował się na tym kierunku. Jeżeli ci przed nimi choć w części okażą się

spadkobiercami tamtych żołnierzy, to ma przerąbane.

Dyrektywa naczelnych władz brzmiała jasno: dalej nie ustąpimy ani o krok. Kolportowano ulotki, zaś agitatorzy w poszczególnych kompaniach starali się za wszelką cenę podnieść morale. Właśnie w tym celu rozstrzelano dziesięcioosobową grupę malkontentów i defetystów. Pozostali powinni się cieszyć, że nie dwudziestu czy wręcz pięćdziesięciu. Oddziały FSB i MSW pod tym względem stały się bardzo operatywne. Sprawdzonym zwyczajem każdemu dowódcy od szczebla kompanii wżwyż dodano politycznego pomocnika. Wszystkie rozkazy musiały zyskać jego aprobatę. Kwitło donosicielstwo na niespotykaną skalę. Należało uważać na to, co się mówi, słucha i czyta.

Jura Gorczakow, niski dwudziestoosmioletni kapitan wojsk pancernych, spojrział spode łba na stukacza. Ten do czołgu zupełnie się nie nadawał. Chłopisko wysokie na prawie dwa metry miało w sobie jakąś niezdarność, co nie przeszkadzało mu nosić na pagonach dystynkcji porucznika. Powolny i niekumaty to on jest tylko w czołgu – ocenił Gorczakow – lecz pod każdym innym względem nadawał się do swojej roli. Brutalny i bezwzględny, bo tylko tacy trafiali do oddziałów specjalnych Federalnej Służby Bezpieczeństwa. No i jeszcze całkowicie oddany sprawie.

Gdzie on ma go wsadzić? Załogi T-90 i BMP-3 skompletowano w stu procentach. Pewnie przy sekcji dowodzenia... Będą się mieli nawzajem na oku. Jak zacznie się wtrącać w dowodzenie, gotów rozłożyć cały plan, chociaż na coś podobnego był raczej za mądry.

– Podporuczniku Niekrasow.

Olbrzym drgnął, słysząc, jak Gorczakow się do niego zwraca.

– Wasz wcześniejszy przydział?

– Wszystkie informacje są objęte tajemnicą. – Głos zabrzmiał jak z głębi studni.

– Aha.

AK-2 wyglądał w rękach komisarza jak zabawka. Większe wrażenie robił nóż komandoski przy boku. Co on takim scyzorykiem chce zrobić w T-90? Niech nim sobie podłubie w zębach, taka jego mać...

Pozycje obronne składały się z dwóch pasów umocnień – rowów, skarp, punktów umocnionych i pól minowych – rozciągniętych na dziesięć kilometrów w głąb, i z pozycji głównej przebiegającej przez miasto i rozchodzącej się na południe i północ od Wołokołamska. W wybranych punktach skoncentrowano bataliony pancerne i silne zgrupowania piechoty, artylerii oraz środków przeciwlotniczych.

Takie umocnienia świetnie sprawdzały się podczas wojny Iranu z Irakiem. Uderzenia regularnych oddziałów i formacji strażników rewolucji grzęzły w kolejnych liniach, ofensywa się załamywała, a Irakijczycy odzyskiwali teren. Jeżeli taka obrona sprawdzała się wśród rozlewisk Eufratu, gęstych gajów palmowych i na pustyni, to zdaniem wielu rosyjskich dowódców zda egzamin na łąkach, polach i w sosnowo-jodłowych lasach na zachód od Moskwy. Jeżeli uda się wykrwawić przeciwnika w uporczywych walkach obronnych, to straci on inicjatywę. Przewlekłe walki doprowadzą do impasu, a wtedy łatwiej będzie o kompromis i jakąś formę układu. Kreml rozpaczliwie potrzebował czasu i chwycił się wszelkich dostępnych środków.

Taktyka wypracowana trzydzieści lat wcześniej zdaniem sporej części generalicji trąciła umysłową aberracją. Po pierwsze: wtedy umocnienia tworzone miesiącami, tu przygotowanie wszystkiego zajęło parę dni. Po drugie: przy zdecydowanym panowaniu w powietrzu niewiele dawało się ukryć. Jedni przywoływali przykład Kurska, inni zaś linii umocnionych przełamanych z marszu.

W końcu po paru burzliwych naradach zdecydowano się cofnąć większość sił manewrowych dalej na wschód, wchodząc już w granice miasta.

Przeprowadzona pod osłoną nocy operacja początkowo przebiegała bez zakłóceń. Szklane oczy kamer i dronów śledziły każdy ruch z mechaniczną nieustępliwością. Taka okazja mogła więcej się

nie powtórzyć. Na wojnie wygrywa ten, kto dopuści do mniejszej liczby błędów, a Stawka właśnie popełniła niewyobrażalny. Obraz na termowizorach mienił się intensywnie barwą czerwoną, żółtą i białą. Nim nastał ranek, spora część sprzętu bojowego została rozbita. Faktycznie było jak pod Kurskiem, tylko chyba nie o to chodziło.

Z każdą kolejną godziną naloty stawały się intensywniejsze. Rosjanie próbowali odpowiadać tym samym. Przetrzebione formacje Suchojów i MiG-ów ścierały się z Raptorami, Super Hornetami, Falconami i Jastrzębiami w obłądnych spiralach, unikach i zwrotach. Najłatwiejsze do zestrzelenia okazywały się drony – duże i małe. Predatory i rosyjskie Forposty i tak wypełniły swoje zadanie. W ich wrakach nikt nie ginął. Ostatecznie to jedynie aluminium i kompozyty wypełnione całą masą elektroniki. Piloci to zupełnie inna kategoria. Na Polaków, Brytyjczyków, Kanadyjczyków i Amerykanów urządzano istne polowania. Grupy wojsk wewnętrznych Federacji tropiły zestrzelonych lotników z wyjątkową zaciekłością. W tych warunkach to jedyne, co im pozostało.

Batalion Leopardów odszedł bardziej na północ. Maciejewski widział wyraźnie, jak zmienili kierunek jazdy i pruli dalej pełną mocą silników. Przestał się nimi zajmować w chwili, gdy wyrosła przed nimi ściana ognia. Podporucznikowi wydawało się, że nic nie jest w stanie przedrzeć się na drugą stronę. Masy ziemi wylatywały na kilkanaście metrów w górę. Widok tyleż piękny, co przerażający. Siła rosyjskiej artylerii objawiła się w pełni.

Sugestia Manickiej o mającym nastąpić przegrupowaniu okazała się zwykłą plotką. I nie chodziło tylko o kompanię Maciejewskiego, lecz o całą 22 Brygadę.

Za parę chwil nawała powinna przycichnąć, a wtedy ruszą przez zryty pociskami teren, rozbijając poszczególne punkty oporu. W gardle czuł dławiący strach – co stanie się, jeżeli lotnictwo i własne środki ogniowe nie zdławią oporu Rosjan? Jeden ciężki ładunek rozbije Abramsa niczym młot skorupkę jajka. Im dłużej przyglądał się widowisku, tym większa ogarniała go zgroza.

Już wydawało się, że to się nigdy nie skończy. Choć siedział we w miarę bezpiecznym wnętrzu, wibracje wywoływane rozchodzącymi się falami ciśnienia raz za razem przeszywały Abramsa. W końcu po niewyobrażalnie długich minutach natężenie ostrzału zaczęło maleć, a on został postawiony przed kolejnym dylematem – obszar, po którym miał się poruszać, był upstrzony setkami lejów. Za nic w świecie nie poprowadzi tędy natarcia. Ugrzęzną na pierwszych metrach. Coś, co na początku wyglądało na idealny teren dla czołgów, po ostrzale zmieniło się nie do poznania. Co z tego, że intensywność ognia zmalała prawie do zera, skoro pierwotny plan został pogrzebany pod tonami ziemi?

– Rydwan Jeden-Jeden, na co czekacie? – Pytanie ledwo przebiło się przez szum i zagłuszenie. Jeszcze słyhać było echa pojedynczych detonacji.

– Nie ma mowy, bym przejechał po tym ugorze.

– Nie rozumiem.

Wyłumaczył najprecyzyjniej, jak potrafił.

– Zaczekajcie.

Ten pomysł również wyglądał na chybiony. Im dłużej zwlekał, tym bardziej realne stawało się niebezpieczeństwo namierzenia przez wroga. Oberwą z dalekonośnych dział lub jakiś samolot wywali na nich swoje bomby. Alternatywa tak samo beznadziejna jak jazda przez doraźnie ostrzeliwany rejon.

Po chwili, która wydawała się nie mieć końca, otrzymał nowe współrzędne. Sprawdził wszystko dokładnie na wyświetlaczu, analizując obszar, na jakim będzie się poruszał: plątanina zagajników, opuszczonych zabudowań i umocnień wyglądała trochę jak szachownica. Zamiast wykorzystywać siłę ognia i manewrowość, w niektórych miejscach będą przechodzić pomiędzy punktami oporu, o których niewiele wiadomo. Owszem, zrzucono tam masę pocisków i przeorano wszystko rakietami, teoretycznie więc nic nie mogło ująć z takiej masakry, ale w panującym zamieszaniu wszystko jest możliwe. Spore grupy Rosjan zaczną wycofywać się na wschód, lecz będą i tacy, co

spróbują walczyć do końca. Chaos pochłonie wszystko i wszystkich.

– Co mam robić, panie poruczniku? – Kierowca się niecierpliwił.

– Jedziemy. – Maciejewski obserwował teren przez wizjer. – Do wszystkich: za mną. – Rozkaz ledwo przeszedł przez ściśnięte gardło.

Abrams zerwał się do biegu, za nim poszły czołgi pierwszej kompanii i Bradleye. Wiele oddziałów miało niepełny stan. Czasami straty sięgały pięciu, a czasami dwudziestu procent stanów wyjściowych. Straty rosły szybciej od uzupełnień. Rydwan Sześć wciąż pozostawał w remoncie, a zapowiadało się na prostą usterkę. Po bitwie, którą właśnie rozpoczęli, wielu opuści szeregi na zawsze.

We wnętrzu utrzymywała się stała temperatura 20 stopni, a mimo to przez jego ciało przebiegały dreszcze. Zupełnie nie potrafił nad tym zapanować. Tak jakby wyszedł z zimnej wody.

Nadpalone kikuty drzew wyrastały ze spalonej do cna ziemi. Wszystko pokrywał czarny i szary popiół. Jeszcze niedawno wiodła tędy śródleśna droga, obecnie wszystko zniknęło pod grubym kożuchem popiołu. Gdy przyjrzał się poboczu, dostrzegł powyginane resztki korzeni. Nie, to nie korzenie, tylko surrealistycznie poskręcane ręce. Jak w obłądnym tańcu. Zwłok było więcej. Na przebiegającą tędy trasę i ukrytych w niej ludzi zrzucano napalm. Od razu kilka ton. Okop ciągnął się dalej w głąb cmentarnej scenerii, a ciała leżały pokotem całymi setkami. Dobrze, że adrenalina buzowała w żyłach, inaczej żołądek odmówiłby mu posłuszeństwa na dobre.

Za pierwszymi umocnieniami ciągnęły się kolejne takie same. Jedynie powyginane blachy UAZ-ów i Ził-ów odcinały się od koszmarnego krajobrazu. Lufa szerniałego BMP sterczała wycelowana prosto w nich. Wóz był tak samo martwy jak jego załoga. Dobrze, że w Abramsie panowało naciśnienie, nie dopuszczając zapachu z zewnątrz.

Niewiarygodne, że można wypalić aż tyle lasu. Gdzieniegdzie wciąż się dymiło, zwłaszcza z tych miejsc, gdzie rosły ogromne buki i dęby, a żar wciąż w nich się tlił.

Wzbijany gąsienicami pył osiadał na wszystkim. Idące za nimi wozy pokrywała gruba warstwa sadzy, a iskry tańczyły na pancerzach. Abramsy batalionu wyglądały jak zjawy z piekieł. Przyjrzał się wyświetlaczowi, lecz ten był tak samo martwy jak wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie pancerza. Zdaniem wielu, mogli tak jechać do samej Moskwy.

Nie wiedział, jak daleko wdarli się w głąb umocnień. Bał się oberwać nie tylko od Rosjan, ale i od swoich. Systemy rozpoznawania IFF potrafiły zawieść w najmniej odpowiedniej chwili. Od przyjacielskiego ognia ginęło wielu żołnierzy. Źle rozpoznany obiekt natychmiast stawał się celem, a często nie było w ogóle czasu skorygować automatycznych działań systemów obronnych. Nie dotyczyło to tylko pilotów helikopterów szturmowych czy samolotów. Im samym również mogło się to przytrafić. Armata Abramsa rozwali każdy pojazd, obojętnie – T-80, T-90, Leoparda czy Bradleya. Brak odpowiedniego sygnału i sprzęt wart miliony zmienia się w złom. Z sojuszniczą załogą w środku.

Meandrującą na skraju lasu rzeczkę minęli bez zwalniania. Nurt półmetrowej głębokości nie stanowił żadnej przeszkody, rozchlapali tylko wodę, nabierając szybkości przed wjazdem na niewysoki pagórek. Jeżeli ktoś wędrował tędy dwa tygodnie temu, obecnie miałby trudności z rozpoznaniem terenu. Przez łąkę biegł zygzakowaty rów, a za nim wznosiła się wysoka na trzy metry skarpa. Gdzieś z boku buchał w niebo jasny płomień. Szybko zorientował się, co to było. Na okopane po wieżę czołgi polował A-10, rozbijając unieruchomione wozy z obrotowego siedmiolufowego działka GAU-8/A Avenger kalibru 30 milimetrów. Zielono-szary cień pojawiał się i znikał. Jego solidna konstrukcja opierała się pociskom karabinowym, a dział czy rakiet jak na razie nie użyto. Zresztą i tak pilot Warthoga odpalał pułapki termiczne, które wachlarzem rozchodziły się na boki za ostro manewrującą maszyną.

Szturmowiec położył się na skrzydło i z wysokości dwustu metrów przystąpił do kolejnego nalotu. Przdół maszyny rozbłysł płomieniem, a biały obłoczek dymu skrył część kadłuba. Chodziły pogłoski, że odrzut działka jest prawie taki sam jak ciąg dwóch silników General Electric TF34-GE-



100E. W takim razie Thunderbolt II musiałby się zatrzymać w locie, co oczywiście było bzdurą.

Wszystkie te niuanse nie miały większego znaczenia. W tej chwili istotne było jedno: samolot oczyszczał podejście do skarpy z morderczą skutecznością. Pociskom ze zubożonego uranu nie był w stanie sprostać najlepszy pancerz.

Kolejny czołg wyleciał w powietrze na oczach Maciejewskiego. Ten taniec śmierci nie potrwa wiecznie. Ograniczony zapas amunicji wystarczał Warthogowi tylko na parę podejść, potem koniec.

W ziemnym wale podporucznik dojrzał przejazd, a przynajmniej tak mu się zdawało. Zrobił zbliżenie, ale widok zasłaniał gęsty dym z rozbitego T-90.

– Daj do przodu – rozkazał kierowcy.

Abrams niezgrabnie nabrał rozpędu, kolebiąc się na wykrotach. Obraz od razu zrobił się wyraźniejszy. Nie mylił się. Szaniec nie ciągnął się jednym długim usypiskiem, lecz co pięćset metrów zostawiono w nim wylot drogi umożliwiający wyjazd na przedpole ciężkiego sprzętu. Na szanćkach dawało się dojrzeć maleńkie postacie rosyjskich piechurów. Wypalił do nich ze sprzężonego z działem karabinu maszynowego. Figurki skłębity się i znikły jak zdmuchnięte. Nie potrzebował obserwatorów.

Trochę z boku waliło w nich jakieś działko. Nie zawracał sobie nim głowy, zastanawiając się, co robić dalej. Na skarpe nie wjedzie – prawdopodobnie w sporej części była zaminowana. Pozostawał przejazd, tyle że skanalizowany ruch również stanowił niebezpieczeństwo. Zamaskowana armata czy wyrzutnia przeciwpancernych pocisków kierowanych zrobi z nich kotlety.

Gorączkowo starał się znaleźć wyjście z sytuacji. Jeszcze raz wpatrzył się w monitor. Z góry wszystko wyglądało na łatwiznę, tylko snujące się nad polem dymy nie pozwalały dojrzeć szczegółów.

– Rydwan Jeden-Jeden, potrzebujesz pomocy? – To nie był nikt od nich.

– Kto mówi?

– Czerwona Ważka, do usług.

Thunderbolt II znikł. Zamiast niego pojawił się klucz czterech szturmowych Apache'ów.

– Możesz mnie poprowadzić?

– Jasne.

Teraz albo nigdy.

– To jazda.

Matko Przenajświętsza, żeby tylko nie wjechali na minę.

– Rydwany, za mną.

Emocje znikły zastąpione chłodną kalkulacją. Jak to mówili Francuzi – naprzód, naprzód, zawsze naprzód.

Grzebieniem hełmofonu uderzył we właz. Już nie drżał. Teraz zrobiło mu się gorąco.

– Ładuj podkalibrowym.

Na trzydzieści metrów przed zagłębieniem się w oszańcowany tunel wytrysnął przed nimi ogień. Nie detonował jeden pocisk czy mina. To była ściana ognia wysoka na kilkanaście i długa na kilkaset metrów.

Zatrzymali się. Przecież nie wepchną się w rozwartą gardziel piekła.

– Co mam robić? – wychrypiął kierowca.

W przeciwieństwie do Makały od razu zorientował się, czego stali się świadkami. Kanał wypełniono ropą lub olejem napędowym i w odpowiednim momencie podpalono. Zdziałało znakomicie. Zrobiło się ciemno. Termowizja oślepta. Niewiele brakowało, by kompletnie stracili orientację. Jazda przed siebie zakrawała na szaleństwo.

– Żyjecie? – Czerwona Ważka wciąż była w pobliżu.

– Wszystko w porządku.

W przeciwieństwie do śmigłowców nie przeskoczą nad buchającymi płomieniami. Zawiodł. Może nie było w tym jego winy, niemniej zawiodł. W zwartej ścianie ognia nie dostrzegał żadnej

szczeliny. Cały cholerny wysiłek na nic. Im szybciej nawiąże łączność ze Stefańskim, tym lepiej. Najwyżej wykonają objazd. Co więcej mogą zrobić?

- Rydwan, jak samopoczucie?
- Bywało lepiej.
- Na wprost jest przejazd. Z tego, co widzę, nie jest szeroki, ale powinniście się zmieścić. Co on pieprzy? Jaki przejazd? On dostrzegał jedynie morze szalejących płomieni.
- Ważka, wskaż miejsce. – Przyglądał się przedpolu bez większych nadziei.
- Rozpędź się i śmigaj przez zaporę. Będzie dobrze.
- Akurat. Rzykował on, a nie ten nadęty i pewny siebie pilot.
- Makała, często się modlisz?
- Przestałem, jak wstąpiłem do armii.
- Odśwież pamięć i poproś o wstawiennictwo jakiegoś świętego.
- Mam się tam pchać? Usmażymy się.
- To rozkaz.
- A w...
- Co tam mamroczesz?

Nic nie widzieli. Jak na razie nieprzenikniona zasłona wzbijała się prawie idealnie w niebo i zdawała się nie mieć końca. Chyba stracił rozum, pchając się w coś takiego. Irracjonalnie przed zagłębieniem się w ciemności przymknął oczy. Człowieku, co ty robisz?! Bał się, że spadną prosto w fosę, gdzie pozostaną na wieki. Czy był aż tak zły, że trafi do piekła za życia?

Wbrew oczekiwaniom nie zapadli się pod ziemię i trzęsło nie bardziej niż do tej pory. Każdy z nich coś tam szeptał pod nosem. Wszystko trwało najwyżej sekundę lub dwie. Z prawa i lewa wyrosły belkowane ściany. O pancierz uderzyły serie z broni maszynowej.

- Makała, gazu.

Nerwowo przywarł do wizjera, poszukując miejsca, skąd do nich strzelano. Gdzieś po bokach śmigały cienie rosyjskich żołnierzy i nikły równie szybko, jak się pojawiały. Ważki nad ich głowami nie próżnowały.

- Rydwan, prosty odcinek, trzysta metrów – poinformował pilot jednej z nich.

Niespodziewanie drogę zagroziła im samochodowa cysterna. Na jej burcie wymalowano cyrylicą napis: „Ostrożnie z ogniem”. Kierowca wyskoczył z szoferki pomiędzy ułożone tuż obok worki z piaskiem. Czołg wbił się w pojazd z ogłuszającym hukiem. Gąsienice darły metal, wbijając w ziemię ramę podwozia i zbiornik. Cysterna okazała się pusta.

Ulga nie trwała długo. Podczas zderzenia przywalił nosem w uchwyt. Bolało jak jasna cholera. Dalej.

Krążące nad nimi Apache nie dały szansy na ucieczkę tym piechurom, którzy pojawili się na grzbiecie usypiska, strącając ich w niebyt krótką serią. Zdaje się, że jeden z ich niósł granatnik, a może to była ręczna wyrzutnia przeciwlotnicza? Szczegółów w tym zamieszaniu nie dawało się dojrzeć. Chyba nie wyczerpali limitu szczęścia do końca. W głowie się nie mieściło, że przeszli przez to wszystko – nawet artyleryjską i ostrzał z punktów ogniowych. Zdaniem podporucznika nic nie mogło trwać wiecznie. Ile razy można wyrzucić szóstkę w kości?

- Armaty. – Wieża Abramsa już obracała się we właściwym kierunku. Kilka haubic D-30 kalibru 122 milimetrów okopano zgodnie z regulaminem rodem z lat osiemdziesiątych. Piękne stanowiska wzmocnione drewnianymi balami, w sam raz na wizytację generała, ciągnęły się z prawej strony – cała bateria. Gardziele luf mierzyły w niebo. Nikt z nich nie strzelał, a okopy obrabiała działka Ważek i niekierowane pociski raketowe.

D-30 to znakomita broń, prosta jak automat Kałasznikowa. Sprawdzona w wielu konfliktach, tania i skuteczna. Posiadała wszelako jedną wadę: do jej transportu potrzebny był ciągnik bądź ciężarówka. Siła mięśni artylerzystów do tego nie wystarczała. W przeciwieństwie do samobieżnych Goździka i Akacji, mogących nadążyć za postępującym lub cofającym się frontem, D-30 to jednak

nieruchawy kawał złomu – lufa, koła, łoże.

Na wszelki wypadek dorzucił parę serii od siebie i pomknęli dalej. Ziemne wały po obu stronach drogi obniżały się stopniowo, na tym odcinku miały najwyżej półtora metra. Widział wszystko, co dzieje się za nimi. Jak na razie nie znajdował celów godnych zniszczenia. Rząd kilku ciężarówek, tym razem po prawej stronie, wydawał się drzemać w majowym słońcu. W pobliżu pusto. Dalej. Lekko pofałdowany teren za umocnieniami kuśił spokojem. Wiedział, że to złudzenie.

– Makąła, uważaj.

– Widzę, widzę.

Stertę pospawanych szyn kolejowych mających zatrzymać pancerną nawałę porzucono na poboczu. Najwyraźniej obrońcy nie zdążyli ich ustawić. Samobieżny żuraw tkwił tuż obok. Trudno powiedzieć, ile kozłów leżało tuż przy drodze. Na pewno były tego setki sztuk. Na ile mógł, przyjrzał się dokładnie instalacji. Nic.

– BWP na pierwszej – zameldował celowniczy.

– Cel.

– Namierzony.

– Wystrzał.

Manewrujący na wstecznym biegu BMP-2 przestał im zagrażać. Jeżeli to było wszystko, na co stać Rosjan, to nie taki diabeł straszny.

Entuzjazm zaczął napływać falami. Tylko tak dalej, a wieczorem znajdą się na przedmieściach Moskwy. Nic ich nie powstrzyma, zmiażdżą każdego, kto stanie im na drodze.

Wszystko posypało się niemal w tym samym momencie, gdy już chciał nakazać rozwinięcie kompanii do ataku na resztki nieprzyjacielskiego zgrupowania ukrywającego się w leśnym kompleksie pomiędzy wsiami Pagubino i Rukowskoje.

Szyłka przyczajona za tak beztrasko potraktowanym złomowiskiem, korzystając jedynie z optycznego celownika, zaczęła kosić nadlatujące Apache jeden za drugim. Dystans nie przekraczał 350 metrów. Załoga pierwszej Ważki nawet się nie dowiedziała, co ją zabiło. Pociski przebiły oszklony kokpit i uszkodziły wirnik. Śmigłowiec zwałił się na ziemię niedaleko baterii haubic D-30, którą tak skutecznie obezwładnił. Drugi ze szturmowców oberwał sekundę potem. W diabły poszedł ogon i tylny wirnik. Maszyna gruchnęła o łąkę z wysokości trzydziestu metrów, tuż przy ziemnym wale, niknąc tym samym celowniczemu działa z oczu. Szyłka wyrwała do tyłu. Załoga zrobiła już dość, a na pewno więcej niż kilka setek jej kolegów.

Maciejewski nieświadom tego, co się za nim dzieje, ocknął się dopiero, jak usłyszał w słuchawkach okrzyki lotników. Nim zdążył namierzyć cel, któryś z czołgów jadących za nim rozwalił sukinsyna. Wstyd natychmiast zastąpił przedwczesną euforię. Kolejny raz ktoś ich zaskoczył. Przez niego zginęli ludzie. Uderzył zaciśniętą pięścią w obudowę wizjera, mając przekleństwo na końcu języka. Nim zdążył je wypowiedzieć, Abramsem rzuciło, a przesywający ciało i umysł wstrząs był nie do wytrzymania.

•

Panującego rozprężenia w żaden sposób nie dawało się zahamować. Panika ogarniała zwykłych żołnierzy, zarówno kontraktowych, jak i oficerów różnego szczebla.

Nie dalej jak przed godziną patrol FSB dorwał jakiegoś majora z dala od jego własnej jednostki. Nieszczęśnik tłumaczył się pilnym wezwaniem do sztabu dywizji. Rozbiegane oczy człowieka w ciężkim szoku błędziły po twarzach spadkobierców tradycji Czeka. Należało to powiedzieć jasno i wyraźnie: od początku był bez szans. Obyło się bez zawiązywania oczu, choć nie bez pewnego rytuału – tak na wszelki wypadek, by ofiara zdała sobie sprawę z winy. Sprawę załatwiono w trzy minuty. Sąd nad chuderlawym poborowym, który nawinął się chwilę później, zajął najwyżej minutę. Co za przyjemność rozwalać osiemnastoletniego rekruta, który najwyraźniej nie wiedział, co tu robi i gdzie jest. Dyscyplina ważna rzecz. Bez niej stawali się zwyczajną zbieraniną mężczyzn w zielonych uniformach.

Porucznik Niekrasow okazał się kompetentnym oficerem. W sumie nawet dawał się lubić. Nikogo nie postawił pod drzewem, tylko raz tak sieknął w zęby pewnemu malkontentowi z intendenty, że tamten padł zamroczony. Od tamtej pory komisarz cieszył się zasłużoną sławą.

Batalion Gorczakowa wciąż oczekiwał na rozkazy. Z hałasu panującego w eterze wywnioskował, że zgodnie z prawem Murphy'ego wszystko, co mogło pójść źle, tak właśnie poszło. Całą starannie opracowaną taktykę szlag trafił. Durnie w generalskich mundurach myśleli, że za pomocą okopanych czołgów i umocnień powstrzymają natarcie sprzymierzonych. Błędne kalkulacje towarzyszyły im od początku. To, co pozostało z największej armii świata, było obecnie masakrowane za pomocą wszelkich dostępnych środków. Tryby wielkiej, skomplikowanej maszyneryi rozgniatały ich na miazgę, a wyplute resztki zaściełały pola i lasy. Obojętnie, w jakim kierunku nie spojrzął, wszędzie widział to samo – kompletny upadek.

Od paru minut nie potrafił nawiązać łączności z dowództwem. Całkiem prawdopodobne, że sztab przestał istnieć, a wraz z nim decyzje, co robić dalej. Ludzie się niecierpliwiili. Widział to w postawie i w tym, jak wykonywali polecenia.

– Poruczniku Niekrasow.

Komisarz pojawił się natychmiast.

– Lepiej przygotowani nie będziemy.

– Proponujecie atak?

– Nic innego nam nie pozostaje. – Zdanie zabrzmiało jak frazes, choć w rzeczywistości zależało od niego życie ich wszystkich.

– Jaki plan?

– Zaczajmy się w tym miejscu. – Wskazał na mapie las nieopodal głównej szosy. – Wygląda na to, że główny atak idzie bardziej od południa. – Niekrasow wyciągnął rękę, pokazując część horyzontu naznaczoną niezliczonymi dymami. Wszędzie było ich pełno, ale z tej strony szczególnie dużo.

– Może uda się wbić klin pomiędzy ich zgrupowania.

Niekrasow przytaknął. Był tak samo zdeterminowany jak Gorczakow. Może odrobinę bardziej – w Moskwie zostawił rodzinę. Żonę i syna.

•

Takiego dziwadła jeszcze nie widział. To znaczy widział w filmach science fiction. Ten o Robocopie byłby tu jak najbardziej na miejscu. Egzoszkielet mający ułatwić przenoszenie dużych ciężarów i poruszanie się na dalekich dystansach został dodatkowo wyposażony w parę usprawnień. Właściwie to już nie był szkielet, tylko cały... skafander czy może raczej współczesna zbroja, we wnętrzu której znajdował się człowiek. Od dołu do góry każda część ciała była chroniona przez nachodzące na siebie elementy. Głowa tkwiła w hełmie zbliżonym wyglądem do tych, jakich używają piloci lub raczej futboliści.

Zdaniem chorążego Louisa Alvareza wszystko ważyło co najmniej ćwierć tony. Oczywiście, mógł się mylić. Technologia zaszła już tak daleko. Do zestawu dochodziła giwera – skrzyżowanie granatnika i karabinu maszynowego w futurystycznym kształcie.

Projekty DARPA potrafiły zadziwić. Jeżeli ten cudak uniesie się w powietrze, to „Drzazga” był gotów poprosić o nowy przydział.

W dalszym obserwowaniu techników i żołnierzy przeszkodziło mu wezwanie do zajęcia miejsca w helikopterze. Zdaje się, że przyszło im działać na styku alaskańskich zwiadowców z formacją polskich Leopardów.

Zajął miejsce na małym brezentowym krzeselku. Do środka zapakował się cały pluton wraz z wyposażeniem. Można startować. Silniki grzmiały pełną mocą, tylko nie wiedzieć czemu wciąż tkwili na ziemi.

– O, w mordę... – Kapral Stanton trącił chorążego w ramię.

Do wnętrza Super Stalliona wskoczyła para cyborgów. Więc jednak latanie znajdowało się poza

ich zasięgiem. Już nie lśnili srebrzyście jak wcześniej. Panczerze spowijała szarość i czerni. Czyżby powłoka dopasowywała kolor do otoczenia?

CH-53E poderwał się do góry jak spłoszony ptak. Manewr przyszedł tak gwałtownie, że krew odpłynęła Alvarezowi z twarzy. Mimo pasów szarpało nim na prawo i lewo. To jeszcze nic – wznosy i opady znosił o wiele gorzej.

– Te skurwysyny chcą nas pozabijać. – Stanton był takiego samego zdania o wyczynach pilotów jak chorąży. To bladł, to zieleniał. Tylko raz rzucił okiem przez ramię, starając się dostrzec, jak wygląda teren pod nimi. Nie zobaczył wiele, bo wszystko przykrywały ciemne plamy smrodliwej zawiesiny.

Podejście do lądowania wyglądało podobnie jak start. Niemal zatrzymali się w miejscu i gruchnęli o glebę. Alvarez obrócił się dosłownie na sekundę, mocując się z oporną klamrą pasa, i zanim zdążył wstać, obu superżołnierzy już nie było. Rozwiali się jak opar.

Tego momentu w desancie nie lubił najbardziej. Na dobrą sprawę byli bezbronni. Cenne sekundy upływały jedna po drugiej. W końcu cały pluton opuścił śmigłowiec. Jako ostatni musiał już skoczyć z półtora metra, bo piloci podrywali transportowiec do góry. Żałosne patałachy. Nim zdążył poprawić hełm, obok przemknął Humvee na pełnym gazie. A wydawało się, że w pobliżu nie ma swoich.

Znaleźli się dwieście metrów od miejsca, które powinni zająć. Pogonił ludzi. W jednej ręce miał M110, na ramieniu zasobnik z AT-4. Ruszyli biegiem w kierunku przeciwnym do tego, w jakim oddalił się samochód. Gdzieś za plecami mocno grzmotnęło. Nie obejrzał się za siebie, skoncentrowany na utrzymaniu odpowiedniego tempa. Na ostatnim odcinku solidnie się zmachał. Dał w końcu nura w jakiś wykrot i zrzucił zasobnik. Przyjrzał się otoczeniu przez celownik M110. Zupełnie pusto. Ustawił wyświetlacz HUD tak, by ogarnąć znacznie większy obszar. W promieniu trzystu metrów od nich nie było nikogo. Pięćset – to samo. Kiwnął na znajdującego się w pobliżu Stantona.

– John, obsadzisz skraj zagajnika. – Punkt ten znajdował się niedaleko wraku rozbitego we wcześniejszych bojach transportera MTLB. Biegnąca w pobliżu polna droga prowadziła na tyły. Nie trzeba być wielkim strategiem, by zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi. Zdaniem Louisa dowództwo łątało front, czym mogło. Generalnie Rosjanie znajdowali się w odwrocie, ale nie wykluczano kontrataku, a skoro tak, to sytuacja może wcale nie wyglądać tak różowo. – Ruszaj – ponaglił kaprała.

Jeden pluton to trochę mało – Alvarez splunął na ziemię. W przypadku zagrożenia niewiele działają. Co najwyżej zawiadomią sztab. Obrona nie miała sensu, to zadanie dla kompanii, batalionu lub jakieś grupy bojowej, a nie trzydziestu ludzi z lekkim sprzętem.

Kolejne pytanie, jakie równie mocno nurtowało chorążego, sprowadzało się do następującej kwestii – na kogo mogą liczyć i gdzie są swoi? Dookoła trwała bitwa, a on znalazł się w głuszy. Następny pojazd, jaki nadjedzie tą cholerną drogą, może należeć do Rosjan. Parę odpalanych z ramienia granatników przeciwpancernych AT-4 i jeden TOW znaczą tyle co nic.

Zawzięte odgłosy kopania dochodziły ze wszystkich stron. Zwiadowcy tak samo skutecznie posługiwali się saperkami, jak i bronią osobistą. Problemów przysparzał jedynie kamienisty grunt i splątane korzenie cięte z zawziętością i determinacją. Nikt się nie oszczędzał. Zdaje się, że w tej chwili tylko jego nie chronił ziemny wał.

Poszukał odpowiedniego miejsca, co jak na złość okazało się trudne. Gdy tak się rozglądał, na wyświetlaczu pojawił się czerwony punkt. Nie musiał nic mówić. Każdy zwiadowca z włączonym systemem zobaczył to samo. Parę stęknień, przekleństw i wszyscy znaleźli się w dołkach. Kopanie ucichło. Gdzieś daleko waliła artyleria, znacznie bliżej ktoś strzelał z karabinu maszynowego, lecz na tej przesiece panował niemal idealny spokój, który coraz mocniej zakłócały silniki wysokoprężne. To nie czołgi, ocenił Alvarez. W każdym bądź razie nic gąsienicowego.

Obraz na wyświetlaczu zaczynał śnieżyć. Z czymś podobnym spotkał się kilkakrotnie.

Wystarczyło poczekać i wszystko wróci do normy. Położył się na miękkiej ściółce i odbezpieczył karabin. Przytulił policzek do chłodnej kolby. Gęste leśne poszycie przeszkadzało w celowaniu. Widział same zielonkawe plamy. Wstał, zrobił parę kroków i przyklęknął za pniem klonu. Znacznie lepiej. Za ledwie parę metrów dalej las przechodził w polanę, przez środek której biegła droga. Dopiero teraz zorientował się, że są na szczycie niewielkiego pagórka.

Trzy BRDM-y i jeden wielozadaniowy amfibijny pojazd terenowy Wodnik poruszały się nad wyraz ostrożnie. Rosyjscy zwiadowcy woleli nie ryzykować. W słabo opancerzonych pojazdach, których blachy mogły chronić jedynie przed lekką bronią maszynową i odłamkami, byli niemal bezbronni. Ich atutem była amfibia mogąca przewieźć drużynę zwiadowców. Co jak co, ale nikt z nich nie miał ochoty wdawać się w przewlekłe starcie.

•

– Co melduje zwiad?

– Nie napotkali przeciwnika.

Jura Gorczakow uniósł brwi. Nie sądził, że pójdzie aż tak łatwo. Wystarczył mały wysiłek i znaleźli lukę.

– Gdzie są?

– Minęli rozjazd na Litwinowo i poruszają się dalej.

Jednym batalionem, nawet składającym się z T-90, nie zmieni przebiegu bitwy, ale może sporo namieszać.

– Jak myślicie, poruczniku, uda się nam? – zapytał Niekrasowa.

– Musi. – Komisarz wyglądał na bliskiego zatarcia rąk.

– I mnie się tak wydaje.

•

Najbardziej irytował Alvareza brak jednoznacznych poleceń. Próbować ich zatrzymać czy przepuścić? Gdy padły systemy komunikacji, niemal ogarnęła go panika. Obraz na wyświetlaczu znikł zupełnie, a ze słuchawek dobiegał jedynie jednostajny szum. Pierwsza myśl o braku zasilania nie znalazła potwierdzenia. Akumulator był naładowany, działał, co potwierdzała zielona dioda. Jeżeli to nie była usterka ich sprzętu, to w takim razie co? Albo Rosjanie sprzątnęli z nieba wszystkie drony i samoloty rozpoznania elektronicznego, na dodatek posyłając do diabła satelity, albo dysponowali takim systemem zagłuszania, o jakim oni nie mieli pojęcia. Tak czy owak, w niespełna pół minuty cudowne wynalazki zmieniły się w szmelc, cofając ich o co najmniej dwadzieścia lat, jeśli chodzi o metody prowadzenia walki.

Kapral Stanton był dość blisko. Alvarez podczołgał się do niego, obserwując przy tym BRDM-y i GAZ-a 3937.

– John, mamy problem.

– Zauważyłem. – Kapral był tak samo niespokojny jak jego przełożony. – U chłopaków to samo.

– Zwiadowca zacisnął usta. – Impuls?

– Cholera wie.

Rosjanie przejeżdżali niespełna trzydzieści metrów od nich. Co najmniej dwa KPWT mierzyły w tę stronę lasu, gdzie ukrywali się ludzie „Drzazgi”, więc pociski kalibru 14,5 milimetra przeorają stanowiska Amerykanów tej samej chwili, w której ci otworzą ogień. Ale Rosjanie ich nie widzieli albo nie chcieli dostrzec. Inna sprawa, że ludzie kaprała Alvareza zalegli za wielkim zwałonym bukiem i w głębokim wykrocie po wyrwanych korzeniach. Wyraźniejsze oznaki kopania były widoczne od strony polany.

– Pies wam mordę... – mruknął chorąży, gdy ostatni pojazd przejechał obok niego.

Bez elektronicznego rozpoznania cała ich przewaga przestawała istnieć. Obecnie wiedzieli tylko tyle, co sami potrafili dostrzec i usłyszeć.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że tak się stanie – pieklił się Stanton. – Ja pierdolę, co my teraz zrobimy?

W jednym zdaniu kaprala kryło się wszystko: niepokój, rozczarowanie i chęć znalezienia się jak najdalej od tego miejsca.

- Przestań panikować.
- Wcale nie panikuję.
- Fakt, to nie panika, tylko strach.

Kapral zamilkł urażony, dając Alvarezowi chwilę spokoju.

Awaria zdarzyła się w najgorszym możliwym momencie – w trakcie bliskiej styczności z nieprzyjacielem. Rosjanie w jakiś niepojęty dla niego sposób zaczęli przenikać na ich tyły, a on nie dysponował niczym mogącym im w tym przeszkodzić. Ślepy i głuchy. Gorszą sytuację trudno sobie wyobrazić.

Warkot wysokoprężnych silników wychwytił, nim większość Alaskńczyków zorientowała się, o co chodzi. Przecież to jasne, że ruscy nie zostawią ich w spokoju. Za zwiadem pójść kolejne oddziały, tym razem piechota i czołgi. Wobec nich byli bez szans. Ostatnia chwila, by wiać, gdzie pieprz rośnie. Zrobiło się nad wyraz nerwowo. Sam nie wiedział dlaczego, ale zwlekał – ucieczka bez walki nie mieściła się w głowie chorążego.

Nagle usłyszał dźwięk, którego nie był w stanie rozpoznać. Na tle monotonnego warkotu motorów brzmiał on jak wizg miksera lub ciąg wyładowań elektrycznych. Wszystkie wozy BTR-90, które znalazły się w jego polu widzenia, detonowały jeden po drugim.

Alvarez rozejrzał się na wszystkie strony. Nie dostrzegł śmigłowców ani samolotów, jego ludzie również nie strzelali. Na artylerię to nie wyglądało, więc w takim razie kto wszczął walkę?

Nieskładny łomot z broni maszynowej świadczył o tym, że Rosjanie próbowali się bronić. Tyle że nie przed nimi. Ktoś tam nacierał, wyrzynając wroga bez ich udziału. Wszystkie elektroniczne systemy odblokowały się w ułamku sekundy. Zostali niemal zalani strumieniami danych. To, co mrowiło się przed nimi, wyglądało na sporą jednostkę. Każdy pojazd został oznaczony odpowiednim kodem alfanumerycznym. Na obrzeżach uwijały się pojedyncze punkty.

- „Drzazga”, wiesz, o czym myślę? – spytał Stanton ochryłym głosem.
- Boję się zapytać.
- Nawet przez chwilę nie byliśmy tu sami.

•

Na pierwszy ogień poszły słabiej opancerzone transportery. Każdy z dwunastu żołnierzy w nowych skafandrach bojowych wycelował w jeden pojazd. Wyeliminowanie kompanii zajęło pięć sekund. W jednym przypadku broń uległa awarii – akumulator nie potrafił wytworzyć odpowiedniego napięcia, by wyrzucić mały pocisk z odpowiednią energią. To, czego nie wykonał jeden z nich, natychmiast poprawił drugi. Odgłosy zwykłych strzałów karabinowych zastąpił trzask generatorów. Broń ta posiadała jedną wadę – nie można było z niej strzelać w trybie automatycznym – lecz pewnie w następnych modelach niedogodność zostanie usunięta. Za to dla ładunku opuszczającego lufę nie istniało zbyt wiele przeszkód. Trafiony nim nieszczęśnik nie miał szans na przeżycie. Równie dobrze mógł oberwać pociskiem z działka 20 milimetrów.

Przed akcją jammery sparaliżowały całą elektronikę, przy okazji zasięgiem zagłuszania obejmując ludzi Alvareza. Cóż, technologia nie była jeszcze dopracowana. Żaden system optyczny ani elektroniczny nie był w stanie zlokalizować miejsc, skąd wylatywał grad śmiertelnych ładunków. Nikt nie widział rakiet ani bomb, a tym bardziej amerykańskiej czy polskiej piechoty. Rosjanie poszli w rozsypkę.

Po transporterach przyszła kolej na BMP i T-90. O ile wóz piechoty łatwo było rozwalić, strzelając w bok lub tył kadłuba, to z czołgami sprawa nie wyglądała tak prosto. Dawało się uszkodzić co najwyżej układ jezdny, wieży ani kadłuba nie sposób było przebić.

Niemniej zamieszanie, jakie spowodowali żołnierze przyszłości, wystarczyło, by idealny plan kapitana Gorczakowa nie wypalił. Gdy nad znękany batalionem pojawił się A-10, Rosjanom nie pozostało nic innego, jak ruszyć śladem reszty armii.

Pluton Alvareza zgarnął więcej jeńców, niż był w stanie upilnować. Nie oddali ani jednego strzału, a zostali zwycięzcami. Ci faktyczni rozpłynęli się, zanim ktokolwiek zadał im pierwsze pytanie.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

KREML, MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 30 maja, godzina 16:49

– Co się stało? Przecież mówiłem. Nie, nie i jeszcze raz nie. Teraz to na was opiera się cała obrona. – Minister obrony Siergiej Szojgu wydawał polecenia, jedną ręką zatykając lewe ucho, a do drugiego mocno przyciskając słuchawkę. – Na pewno tak. Macie co do tego wątpliwości? To dobrze. Obejdzie się bez rad. Niedługo się odezwę.

Nim na dobre skończył jedną rozmowę, od razu rozpoczynał kolejną. Ta trwała jeszcze krócej niż poprzednia. Ograniczył się do zaledwie paru zwrotów:

– Dobrze wam radzę. Jeżeli nie, to wiecie... Sprawdzę osobiście.

Na twarzy Tuwińca lśniły kropelki potu, kark zrobił się czerwony, a podkrążone oczy świadczyły o permanentnym braku snu.

Władimir Władimirowicz Putin krążył niespokojnie po korytarzach centrum dowodzenia ulokowanego kilkanaście metrów poniżej Placu Czerwonego i Kremla. Nie mógł usiedzieć w jednym miejscu. Kolejny, zadawałoby się, doskonały plan walił się z łoskotem, a pierścień wokół stolicy przypominał stalową obręcz.

Minister opuścił centrum łączności. Prezydent już na niego czekał.

– Mamy jeszcze szansę?

Pytanie zaskoczyło Szojgu. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, jak to wszystko się zakończy, jeśli nie zdarzy się cud – nie odpowiedział więc od razu. W pobliżu znajdowało się dostatecznie wielu oficerów średniego i niższego szczebla gotowych wziąć sprawę w swoje ręce. Skierowali się do sali konferencyjnej, która obecnie świeciła pustkami.

– Od razu muszę zaznaczyć, że uzyskanie pełnego obrazu sytuacji jest niebywale trudne. Zbyt wiele się dzieje, a niektóre informacje są nieaktualne zaraz po ich nadaniu. – Minister stanął przy wielkiej mapie okręgu moskiewskiego. – Wołokołamsk padł już parę godzin temu. Stawiamy jeszcze opór na odcinku od Chismenia po Nowopietrowskoje, ale na dobrą sprawę tam sytuacja wygląda beznadziejnie. Na południu podobnie. Zdaje się, że polskie oddziały pancerne próbują przejść zagonem przez Kubinkę na Naro Fomińsk, żeby odciąć nas od południa kraju.

– Ile im to może zająć?

– Ich spadochroniarzy widziano już w Podolsku. Nie będę zdziwiony, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin podejną pod Domodjedowo. Amerykanie wykonują podobny manewr na północy.

– Czterdzieści osiem godzin? – wychrypiął prezydent. – Tyle nam dajesz?

– Wojna ma niewiele wspólnego z naukami ścisłymi. – Nie chciał już dodawać, że technologicznie są jakieś dwadzieścia lat za sprzymierzonymi.

– Jak są liczni?

– To III Korpus – wyjaśnił minister. – Połączone siły z wyraźną przewagą wojsk polskich. I jest ich dość. W oddziałach lądowych dysponujemy co prawda przewagą, ale co z tego, skoro w powietrzu jesteśmy bezbronni.

– Przecież...

– W okolicach Petersburga operują głównie Anglicy, Szwedzi i reszta Skandynawów przy sporym udziale jankesów. Na południu Turcy. Irańczycy...

– Kto?

– Oprócz nich Rumuni i Włosi. – Szojgu na razie zignorował to pytanie. – Front centralny to domena US Force i polskich jednostek powietrznych. W konsekwencji już dawno utraciliśmy inicjatywę. Lotniska są atakowane po parę razy dziennie. To samo dotyczy pasów zastępczych i odcinków drogowych, które próbujemy wykorzystywać. Na całym obszarze straciliśmy do osiemdziesięciu procent sprzętu latającego. Nie mamy już sił do przeprowadzenia uderzenia odwetowego. Stanowiska rakiet balistycznych są atakowane przez siły specjalne lub zespoły

samolotów.

– Nasze siły strategiczne?

– Ostatni nasz okręt z rakietami balistycznymi został wytropiony dzisiaj. Oczywiście nie muszę mówić, co się z nim stało. Większość rakiet w silosach rozbito bez naszego zdecydowanego oporu lub w wyniku działań komandosów. Dysponujemy paroma mobilnymi kompleksami w okolicach Niżnego Nowogrodu, lecz to najwyżej dziesięć procent sił, jakich mieliśmy użyć w razie akcji odwetowej. – Przygnębienie Putina udzieliło się ministrowi.

– W którym miejscu spieprzyliśmy sprawę?

– Zaraz po tym, jak wpuściliśmy ich na nasz teren.

– Myślisz, że to wszystko było ukartowane?

– Nie wiem – odrzekł Szojgu. – W końcu sami poprosiliśmy o pomoc. Być może tylko skorzystali z okazji.

– Akcja ratunkowa – parsknął prezydent.

– Właśnie. Od tego się zaczęło. Walnęli nam pięścią w zęby. Zabrakło...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. To moja wina – niespodziewanie wybuchnął Putin. Gdyby wtedy zdobył się na odwagę, nie musiałby dzisiaj ukrywać się jak szczur.

Tylko kto mógł wtedy wiedzieć, jak się to wszystko skończy? Zapewnienia zachodnich polityków, jakie wówczas usłyszał, pozwalały na niewielką swobodę decyzji. W końcu nieszczęście dotknęło wiele państw. Na „Valkirii” znajdowali się ich obywatele, więc to nie była jedynie wewnętrzna sprawa Rosji, jak początkowo starano się ją przedstawić, lecz całego świata. Akcja ratunkowa, pomoc dla ofiar katastrofy. Krok za krokiem i sam założył sobie pętlę na szyję. Miesiąc później Federacja broniła się resztkami sił, a jej przywódca ukrywał się w podziemnym bunkrze. Zupełnie jak Hitler – to porównanie przyszło Putinowi do głowy już wcześniej i co jakiś czas wypływało na powierzchnię wzburzonego umysłu. A przecież nie zrobił nic złego. Dobrego zresztą też nie. Należało raczej pomyśleć, jak to wszystko zakończyć. Nie chciał dać się wystawić i zostać osądzonym przez międzynarodowy trybunał. Zresztą do tego i tak nigdy nie dojdzie. Szybciej zginie zgładzony przez ekipę, która spróbuje zająć jego miejsce. Za dużo wiedział, a jako przywódca – były czy obecny – był niewygodny. Sam się sobie dziwił, że potrafił funkcjonować przez ostatnie parę tygodni w tak potwornym stresie. Wszystko, czego się nie tknął, doprowadzał do ruiny. To niewiarygodne, jak szybko rozpadło się tak potężne do niedawna państwo. Co prawda po każdym wcześniejszym najeździe Rosja odradzała się – i to silniejsza. Obojętnie, kto był najeźdźcą – Tatarzy, Polacy, Francuzi, Szwedzi czy Niemcy. Wciąż powtarzał się ten sam schemat: zrujnowane i słabe państwo po katastrofie stawało się jeszcze potężniejsze. Szczytowy okres to oczywiście czasy komunistów. Niewielu potrafiło im sprostać. Pamiętał doskonale ten okres, rozpoczynał wtedy służbę jako młodszy oficer KGB w Dreźnie. Potem też nie było źle. Petersburg wciąż wspominał mile. Tam rozpoczął wielką karierę, stopniowo wspinając się po szczeblach hierarchii państwowej: zastępca mera, premier, w końcu namaszczony przez Jelcyna sukcesor i dwie trudne kadencje. Dopiero z perspektywy czasu dostrzegał błędy, które wówczas popełnił. Koncentrował się na umocnieniu władzy, a projekt modernizacji kraju spychał na kolejne lata. To wówczas zaprzepaścił największą szansę. Wysokie ceny surowców i światowa koniunktura gospodarcza sprzyjałyby temu przedsięwzięciu. Pierwszą falę kryzysu mimo ostrzeżeń zignorował. Istotne było jedno – kto zostanie następcą w kolejnych wyborach prezydenckich i po paru latach odejdzie ze stanowiska, żeby umożliwić mu powrót. Miedwiediew okazał się idealnym kandydatem, który we właściwym czasie ustąpił bez wahania. Okres premierowania niewiele różnił się od tego, gdy był prezydentem. Wszyscy i tak wiedzieli, kto rozdaje karty. Pierwsza kadencja nowego rozdania to same kłopoty i niewiele przyjemności. Już sam początek wyglądał mało zachęcająco. Protesty tak zwanych demokratów drażniły. Wszyscy zastanawiali się, co robi, więc postanowił przeczekać. Z każdą kolejną manifestacją przychodziło coraz mniej ludzi. W końcu grupkę krzykaczy jak zwykle zaczął pacyfikować OMON. Niestety, czasy przykręcania śruby skończyły się bezpowrotnie. Co chwila

wyskakiwał ktoś nowy – a to Litwinów ze swoimi nacbolami, a to ekstremistki z Pussy Riot. Udawał, że jest ponad całe to zamieszanie. Niewiele osób wiedziało, jak bardzo przeżywał te wszystkie sprawy. Następujące po sobie przykrości i ataki na jego osobę – drobne, lecz nieustające. Nacjoniści i geje. Oszaleć można. W końcu ta katastrofa na Morzu Karskim i wszystko, co po niej nastąpiło. Stało się to, czego nie przewidział, a powinien.

– Jak długo możemy kontynuować opór? – zapytał ministra zaniepokojonego przedłużającym się milczeniem.

– Myślę, że długo. Wykrwawimy ich w bitwie o Moskwę. Zrobimy im taką rzeźnię, że popamiętają na zawsze.

– Jesteś pewny?

– Najzupełniej. Przejdziemy do działań nieregularnych. W tym jesteśmy mistrzami. W 1812 Kutuzow też opuścił stolicę i wiemy, jak się to skończyło. Proponuję postąpić podobnie. Zaminujemy większość gmachów publicznych, a obroną zajmie się FSB i wojska MSW.

– Mamy liczyć wyłącznie na nich?

– Nasz armia opiera się na poborze. Chłopców daleko do zawodowców, za to jest ich dostatecznie dużo, by uzupełnić szeregi. Jeżeli uda się skierować znaczną część wojsk koalicji do zdobycia i okupacji Moskwy, my zyskamy czas, który pozwoli wystawić kolejne oddziały. Rejon Przeduralu stanie się naszym zapleczem. W rezerwie strategicznej mamy dostatecznie wiele sprzętu do sformowania kolejnej armii.

– A co stanie się, jeśli nie dadzą nam spokoju? Może Moskwa nie jest dla nich aż tak atrakcyjna? Zamiast grzęznąć w niewiele znaczącym miejscu, spróbują unicestwić nas do końca...

– Mimo wszystko Moskwa to symbol – powątpiewał Szojgu.

– Nie możemy kierować się sentymentem. O istocie danego miejsca decyduje ten, kto sprawuje nad nim kontrolę. Jak nas zabraknie...

– Nie mogę zagwarantować, że jakieś formacje wroga nie podejmą dalszego marszu, choć realnie patrząc, dla wielu Rosja kończy się właśnie tutaj. – Palec ministra wskazał na podłogę. – Wszystko, co znajduje się dalej na wschód, jest dla nich nie do ogarnięcia.

Złudzenia Tuwińca wprawiały w zdumienie. Czy jemu naprawdę się wydaje, że reszta świata wciąż tkwi mentalnie w XX wieku? Przy tak zaawansowanych środkach transportu, jakimi obecnie dysponują, w godzinę można pokonać dystans, którego przebycie mongolskiemu łucznikowi zajęłoby całe lata. Może ministrowi wydawało się, że Amerykanie i Polacy opuszczą wnętrza wozów opancerzonych i przesiądą się na konie, a siła piechura objawi się w tym, ile kilometrów przejdzie na własnych nogach w ciągu doby? Mniej więcej wiedział, co Szojgu ma na myśli, wszelako ta granica, której przeciwnik nie zdecyduje się przekroczyć, znajdowała się w głowie ministra i pochodziła z nieuzasadnionej wiary w honorowe postępowanie Warszawy i Waszyngtonu. Zajęliśmy Moskwę i koniec. Nie, przyjacielu, tak nie będzie. Wojna potrwa tak długo, dopóki on będzie zdolny do kierowania tymi resztkami terytorium, jakie pozostały mu w ręku.

Tylko w jednym przyznawał ministrowi rację – im wcześniej wyniesie się z tego przeklętego miejsca, tym lepiej. Komandosi wroga już krążyli po przedmieściach, podobnie jak szturmowe i transportowe śmigłowce. Samoloty nieprzyjaciela raz za razem naruszały przestrzeń powietrzną nad miastem, a drony wisały nad Moskwą całymi stadami. Podobno zestrzelowano je dziesiątkami i wciąż nadlatywały nowe.

Obraz z kamer monitorujących ulice przekazywał kolejne symptomy upadku. Wraz z rozpoczęciem bitwy pod Wołokołamskim wśród moskwiaków i uchodźców wybuchła panika. Dworce kolejowe Kazański i Kurski stały się obiektem starć. Szerzyły się rabunki i podpalenia. Anarchiści i – jak twierdziła policja – zorganizowane grupy islamistów urządzały strzelaniny z siłami bezpieczeństwa.

Niektóre rejony już przypominały strefę działań wojennych. Nie było dostępu do wielu kwartałów ulic zamieszkiwanych przez muzułmanów. Kiedyś, podczas starannie wyreżyserowanego

spotkania, powiedział, że dorwie terrorystów nawet w kiblu. Minęły lata i sytuacja zdawała się odwracać. Jak nie wyrwie się z matni, to sam skończy utopiony w porcelanowej muszli.

– Jest parę spraw, które wciąż wymagają waszej decyzji – powiedział Szojgu.

– Mianowicie?

– Jakie miasto wybierzemy na zapasową siedzibę rządu?

– Sami zdecydujcie. – Nie miał do tego głowy.

– No, niezupełnie. Ja optuję za Sarańskiem, ale premier woli Koświńskij. W obu tych miejscach posiadamy centra dowodzenia ukryte w głębokich schronach. Jamantau jest zbyt wysunięte na południe i choć jeszcze znajduje się pod naszą kontrolą, w krótkim czasie spodziewamy się tam Amerykanów.

– Dziwne, że ich jeszcze nie rozwalili.

– Bo to nie takie proste – ożywił się minister. – Wydawałoby się, że najskuteczniejsze są bomby atomowe, ale to nie jest prawdą. Będące w posiadaniu Amerykanów tak zwane bunker bustery, czyli bomby B61, mają główce o mocy regulowanej od 0,3 do 340 kiloton. Generalnie niszczą wszystko do głębokości sześciu metrów.

Prezydent uniósł brwi.

– Zgadzam się, że to niewiele. Skuteczniejsze są GBU-28. Te z kolei penetrują beton i skały do głębokości siedmiu metrów. Ostatecznie pozostają BLU-118/B, czyli ładunki termobaryczne. – Szojgu wyrzucał z siebie zdania z prędkością pistoletu maszynowego. W końcu nie musiał się z niczego tłumaczyć. Przedstawiał suche fakty i w tym wypadku najlepiej. – Zatem to oczywiste, że podziemne umocnienia, zwłaszcza te projektowane w ostatnich dekadach, są niebywale odporne na działanie broni ofensywnych. Jest to spowodowane tym, że siła eksplozji rozprasza się na powierzchni, a nie przenika w głąb skorupy ziemskiej.

– Mają tylko jedną wadę. – Prezydent pozostawał sceptyczny. – Nie prowadzimy wojny atomowej. Obojętnie, ile betonu zostało wylane i ile ton skał znajduje się nad głową, Amerykanie i ich sojusznicy w końcu znajdą sposób, by się nam dostać do tyłka, lub po prostu zawał wszystkie wyjścia. Parę tysięcy ludzi uwięzionych w supernowoczesnych trumnach. Jeśli grzecznie poprosimy, może uwolnią nas z pułapki. Czy nie tak?

– Na obecnym etapie wydaje się, że to jedyne wyjście.

– To nie wyjście, tylko przedłużenie agonii.

– Przykro mi to słyszeć. – Minister nie miał nic więcej do dodania.

Władimir Władimirowicz oderwał się od stołu zaścielonego mapami. Wymiana Szojgu na kogoś bardziej kompetentnego niczego nie zmieni. Wszyscy zdolni generałowie prowadzili oddziały do walki. Jeden czy dwóch sprawdzało się jako dowódcy zgrupowań większych niż dywizja czy korpus, lecz postawienie ich na czele całej armii niczego nie gwarantowało. Paru innych poległo. Niedługo znajdą się młodzi, zdolni, może sprawdzą się na wyższych stanowiskach, bo jak do tej pory większość generalicji wydawała się przyspawana do stołków. Myśleli wyłącznie o przywilejach wynikających z przynależności do elitarnego grona, co odbijało się na ich pracy.

– To chyba nie wszystko, co mieliście do powiedzenia?

Szojgu nie szukał spojrzenia prezydenta.

– W armii zawiązał się spisek.

– I dopiero teraz racycie mnie o tym poinformować?

Szojgu spodziewał się prawdziwego wybuchu wściekłości, a nie jedynie pytania wypowiedzianego lodowatym tonem.

– Zostałem już o tym powiadomiony – powoli wycedził prezydent. – Byłem tylko ciekaw, kiedy wy mi o tym wspomnicie.

Nieprzyjemny wzrok prezydenta uświadomił ministrowi, że jego życie wisi na włosku.

– Od początku działamy zdecydowanie. Kiedy tylko napłynęły pierwsze, niepotwierdzone jeszcze plotki – starał się mówić spokojnie i wyraźnie – poprosiłem oficerów wywiadu wojskowego

o dokładne sprawdzenie tych doniesień. Szybko wyszło na jaw, że malkontenci pochodzą z 10 Górskiej Samodzielnej Brygady do Zadań Specjalnych oraz 15 Brygady Zmechanizowanej. Przynajmniej w tych dwóch jednostkach udało się zidentyfikować ich większe grupy. Kilku spiskowców znalazło się w naszych rękach. Paru uciekło.

– I to ma być zdecydowane działanie?

– Jesteśmy pod presją – wyjaśnił minister. – Okoliczności zmuszają nas do dyskrecji. Co by powiedzieli żołnierze, gdyby sprawa została nagłośniona? Gotowi pomyśleć, że dowodzą nimi zdrajcy.

– Bo tak właśnie jest! – huknął w końcu Putin.

– Jeżeli na parę godzin przed bitwą zamkniemy większość oficerów, wartość bojowa jednostki dramatycznie spadnie. Mówimy tu przecież o kadrze, bo to ona decyduje o wszystkim, a nie o zwykłych szeregowych i podoficerach. Ci w większości wypełniają obowiązki bez zarzutu. – To ostatnie zdanie Szojgu wygłosił z pełnym przekonaniem, lecz bez entuzjazmu. Może i wypełniają obowiązki, lecz giną przy okazji całymi tysiącami. Pożytek z nich niewielki. Formacje, gdzie odsetek żołnierzy był większy lub uważane za elitarne walczyły z większym zaangażowaniem. Nie znaczy to wcale, że dłużej. Po prostu ginęły ich mniej, bo w porę potrafili wyczuć niebezpieczeństwo i albo poddawali się, albo zrzucali mundury i szli do domu. Oczywiście, wciąż znajdowało się wielu takich, którzy bili się do końca. Ci stanowili prawdziwą chlubę armii.

Utrwalone przez wieki przekonanie o praktycznie niewyczerpanych zasobach ludzkich, które mogą bez końca zasilać szeregi rosyjskiej armii, właśnie teraz, w godzinie najcięższej próby, przestało być aktualne. Ludzie, owszem, byli, lecz na terenach zajętych przez wroga albo w ogóle nie chcieli walczyć. Zapędzeni siłą do szeregu robili wszystko, żeby wyrwać się z powrotem do cywila. Kiedy ta patologiczna sytuacja ulegnie zmianie, a oddziały zasilą świadomi własnej wartości obywatele? Na to pytanie minister nie znał odpowiedzi.

– W takim razie możecie mi powiedzieć, jak sprawują się brygady, o których wspomnieliście?

Szojgu przytknął do ust zaciśniętą pięść i chrząknął.

– Słucham?

– Brak...

– Tak?

– Zdaje się, że 15 Gwardyjska cofa się na Zwenigorod, a z 15 Zmechanizowaną nie możemy nawiązać łączności.

– Niebywałe.

– No właśnie, niebywałe – przytaknął minister, zachodząc w głowę, co też stało się z 15 Brygadą Zmechanizowaną.

•

Wspomnienie tamtej chwili będzie go prześladować do końca życia. Sam moment uderzenia Maciejewski zapamiętał jako falę bólu przeszywającego całe ciało. Stracił zupełnie orientację, czuł się tak, jakby znalazł się w nieprzeniknionej wodnej toni, do której wrzucono kabel pod napięciem. Nadludzkim wysiłkiem odrzucił klapę włazu i wydostał się na zewnątrz wraz z kłębamii dymu z płonącego wyposażenia. Zacerpnął świeżego powietrza i narodził się na nowo. Nawet nie zauważył, że nie oddycha. Wnętrze czołgu przypominało wrzący kocioł. Wyciągnął nogi na zewnątrz i przyklęknął na wieży, ignorując wściekłe bzyczenie kul karabinowych. Uszkodzony Abrams przyciągał je jak magnes. Obsługa armaty wyskoczyła sama, jedynie kierowcy nie dawało się dostrzec.

– Żyjesz?! – próbował krzyknąć, pochylony nad wulkaniczną czeluścią, lecz tylko natykał się dymu.

– On tam jest. – Kapral przerzucający ładunki z zasobnika do zamka gotował się do zejścia w gęsty mrok.

– Zaczekaj, ja to zrobię. – Maciejewski zebrał w sobie całą odwagę. Zacerpnął haust powietrza

i wskoczył do wnętrza. Tyle razy wykonywał ten manewr, że doskonale wiedział, co robić, żeby nie wpaść na któryś z elementów wyposażenia. Macał wokół siebie jak szalony. Wszystko pokrywał środek z instalacji przeciwpożarowej. Nieludzki krzyk rozsadzał bębunki w uszach. Sam zaczynał się dusić. Odruchowo kaszlnął i przy okazji nabrał zawiesiny do płuc. Wcześniejsze mdłości były niczym w porównaniu z tym, co teraz poczuł. Zaczynał tracić przytomność.

Ocknął się kwadrans później. Pierwszym widokiem było poważne oblicze medyka pochylonego na nim.

– Leż i się nie ruszaj.

Spróbował powiedzieć parę słów, lecz przeszkadzała mu w tym maska tlenowa na twarzy.

– Wszyscy żyją – uspokoił go sanitariusz.

Zamiast słów z ust podporucznika dobiegł bełkot.

– Zaraz wracam, a ty zachowuj się grzecznie.

Począł, aż ratownik odejdzie na parę kroków, i spróbował usiąść. Kręciło mu się w głowie, ale poza tym nie odniósł większych obrażeń. Zsunął maskę na brodę.

Black Hawk z czerwonym krzyżem na burcie właśnie zrywał się do lotu. Obserwował, jak maszyna nabiera wysokości. Skoro go nie wzięli, to chyba wszystko było z nim w porządku. Wstał, jęcząc i przeklinając. Oparł dłonie o kolana i tkwił tak przez dłuższą chwilę.

– Wszystko gra?

– Prawie.

– Mieliśmy sporo szczęścia.

– Tak myślisz?

– Na pewno. – Ładowniczy najwyraźniej wrócił do formy. – Technicy już robią przegląd. Nie wyglądają na zachwyconych, ale z nimi tak zawsze. To była mina przeciwpancerza. Jedna z tych wielkich piguł...

– Tyle się domyśliłem.

Abrams tkwił niedaleko. Już nie kopcił, co niewiele zmieniało, bo i tak wyglądał jak wrak. Szkoda, sporo na nim przeszli. Wokół niego uwijała się drużyna remontowa. Może nie zostanie skasowany. Takich maszyn nie kierowało się do hut tak po prostu, choć bez generalnego remontu raczej się nie obejdzie.

Wśród mechaników wyróżniał się jeden. Kłócił się i obrzucał obelgami każdego, kto znalazł się w pobliżu.

– Makąta, do jasnej cholery, co wy wyprawiacie?

– Przykro mi to stwierdzić, panie poruczniku, ale na tej ślicznotce dalej nie pojedziemy. – Dłonie i twarz Makąty pokrywała gruba warstwa żelu.

– Myślałem...

– Przypiekło mi dupę. – Mechanik lekceważąco machnął ręką. Zdaniem Maciejewskiego postarzał się o dziesięć lat, ale poza tym wyglądał na całego. – Sam pan wie, jak to wyglądało.

– Niestety.

– Przy najszczęśliwszych chęciach remont w polowych warunkach jest niemożliwy. Warsztaty są przeciążone, a to musi trochę potrwać. Rozwaliło nam przekładnie i cały układ jezdny. – Makąta poprowadził Maciejewskiego na drugą stronę Abramsa. Tu fala wybuchu poczyniła największe szkody. Zerwane zostało parę pierwszych kół jezdnych, a koło napędowe wyrwało z łożyska. O gąsienicach nawet nie było co mówić.

– To wszystko trzeba rozmontować i złożyć na nowo. Dopiero jak zajrzemy do środka, zobaczymy, jak to wygląda z bliska. No i cała instalacja elektryczna. Samo ustawienie celowników...

– Zrozumiałem. – Zaczął pokasywać. Jego powrót do formy wydawał się tak samo odległy jak naprawa rozbitego pojazdu.

Żyli, a to najważniejsze. Wszelkie poprzednie problemy zbladły i rozwiały się jak dym na wietrze. Zobaczywszy tę pokruszoną i osmaloną skorupę, która do niedawna była ich domem, nie

mógł wyjść ze zdumienia, że wyłgali się z opresji kosztem paru siniaków, bąbli i otarć. Nikt z nich nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Czoło ataku przetoczyło się po okolicy jak żelazny walec. Postępujące za nimi oddziały karmiły demona zniszczenia. Po drodze sunęły wozy wsparcia, pojazdy z amunicją i sanitarki. Uszy drażnił huk dziesiątek silników i tylko im nigdzie się nie śpieszyło. Kawalkada wywoływała w nim poczucie winy i ulgę jednocześnie. Już nigdy więcej nie chciał znaleźć się w samym środku bitwy. I nie znał nikogo, kto by za tym tęsknił. Co za przyjemność oglądać okaleczone zwłoki, które setkami zalegały miejsca starć? W Moskwie liczba zabitych sięgnie tysięcy. Mówiło się o tym od paru dni. Przy twardej obronie całe dzielnice zamienią się w gruzy. Trudno powiedzieć, co gorsze – jeden taktyczny ładunek nuklearny czy systematyczne unicestwienie miasta za pomocą środków konwencjonalnych.

Ta druga opcja może oznaczać o wiele więcej ofiar.

– Panie poruczniku. – Młody łącznościowiec przystanął przy Maciejewskim. – Kapitan Stefański chce z panem rozmawiać.

– Dobrze, już idę.

Wóz techniczny stał zaparkowany zaledwie parę kroków dalej.

– Ja... – W tej chwili uzmysłowił sobie, że już nie jest Rydwanem Jeden. – Zgłaszam się.

– Ciężko cię znaleźć. Poczekaj chwilę...

Wyglądało na to, że batalion wciąż ścierał się z ustępującymi Rosjanami.

– Dobrze, już możemy... – Kilka szybko wypowiedzianych, przytłumionych zdań nie było skierowanych do niego. Usłyszał jedną groźbę gwałtownego usunięcia nóg, w razie gdyby ktoś nie dotarł w ciągu najbliższej godziny do jakiegoś skrzyżowania, oraz skierowaną do kogoś innego opinię o zbytnim certoleniu się, cokolwiek to miało znaczyć.

Teraz chyba jego kolej.

– Kiedy możesz dołączyć? – Wyraźnie podenerwowany Stefański nie bawił się w subtelności.

– Jak tylko dostanę nowy wóz.

– A ten, który dostałeś?

– Remont. I to długi. Tak twierdzą technicy.

– Zaraz się tym zajmę.

Chyba jednak wszystko zaczyna się od początku.

– Jak zdążysz, zajmiesz się eskortą kolumny zaopatrzeniowej.

– Zrozumiałem.

•

Nowy M1A2 nie przyjechał prosto z fabryki, nie lśnił nowością i nie roztaczał przyjemnego zapachu skórzanych foteli. Owszem, roztaczał woń, tyle że rozkładu. Szybko zorientowali się, w czym rzecz. Ten Abrams został trafiony w jakiejś wcześniejszej potyczce i po naprawie ponownie wchodził do służby. Był w pełni sprawny. Elektronika i wszelkie systemy, w tym celowniczy, działały bez zarzutu. Pod tym względem wszystko było w porządku.

Gdy zsunął się na krzeselko dowódcy, dostrzegł czarne plamy na białych powierzchniach. Rozmazał je palcem. To nie sadza, tylko zaschnięta krew. Podobne zacieki widział wszędzie i reszta też je zobaczyła. Natychmiast zrobili się czujni jak myśliwskie psy.

– Kurwa, co tu się stało? – Ładowniczy nie krył obrzydzenia.

– Cholerny syf. – Do narzekań włączył się celowniczy.

– Zamknąć jadaczki. – Głupie uwagi zaczynały wkurzać dowódcę. – Makąta...

– Już się robi, panie poruczniku.

Turbina zaskoczyła i zaraz zgasała. Przy drugiej próbie wszystko poszło gładko. Wnętrze, choć identyczne jak w starym dobrym Rydwanie, wcale nie wydawało się przytulne. Czuli się w nim obco jak intruzi, którzy zajęli cudze miejsca.

Gogle, które zwędził z wozu techników, zsunął teraz na oczy, dzięki czemu mógł wystawić

głową na zewnątrz. Za jego czołgiem ustawiono się kilka ciężarowych Jelczy i jeden potężny Oshkosh. Kolumnę jakieś trzysta metrów dalej zamykał Rosomak z sekcją piechoty.

Maciejewski wydał rozkazy. Było już późne popołudnie, a on znajdował się kilkanaście kilometrów od swojej jednostki. Na polu porannej bitwy nastał względny spokój. Przewaliła się już fala oddziałów drugiego rzutu. Jakiś patrol saperów sprawdzał umocnienia ziemne, co chwila detonując zgromadzoną i nikomu już niepotrzebną amunicję. Właśnie ruszali, gdy okolicą targnęła kolejna eksplozja.

Słońce przestało już doskwierać tak jak przez ostatnie tygodnie, chociaż ciemna chmura na horyzoncie równie dobrze mogła oznaczać ulewę, co i odległy pożar. Gdyby wreszcie popadało, powietrze oczyściłoby się z wszechobecnego pyłu.

Po obu stronach drogi widać było ślady prowadzonych walk. Nie tak dramatycznych jak podczas porannego starcia, lecz kopcące czołgi i transportery nie pozwalały zapomnieć o niedawnych wydarzeniach.

Minęli wieś, w której połowa chałup została spalona do fundamentów. Mimo że druga połowa nie odniosła uszczerbku, nie widać było żadnych ludzi oprócz paroletniej dziewczynki za sztachetami drewnianego płotu. Z domu za nią pozostał jedynie poczerniały komin, a budynek gospodarczy zmienił się w stertę belek. Życie sprowadzało się do psów i kotów pierzchających z daleka na ich widok. Maciejewski przyglądał się dziecku, a ono jemu. Przemknęli dalej, nie zwalniając. Przy podobnych okazjach wstydził się, że jest, kim jest.

Próbował zachować czujność, co przychodziło mu z wielkim trudem, i z każdym kilometrem drogi coraz częściej odpywał, błędząc myślami gdzieś daleko.

Brak rosyjskich żołnierzy na widoku wcale nie znaczył, że ich tu nie było. Linia frontu to nie kreska na mapie. Poszczególne jednostki wciąż przeplatały się ze sobą w śmiertelnym korowodzie. Brygada Maciejewskiego na pewno wyprzedziła część sił przeciwnika, które teraz będą próbowały dołączyć do swoich lub wyjść poza kordon. Jeszcze nic nie zostało przesądzone.

Gruntowa droga przecięła asfaltową szosę obok ruin stacji benzynowej Łukoil, gdzie parę osobówek nie zdołało ująć przed pożarem. Biały dym pomiędzy drzewami mieszał się z tłustymi, czarnymi kłębammi znad płonącego UAZ-a.

– Zwolnij.

Opadł na siedzenie i zrobił zbliżenie. Paru ludzi w rosyjskich mundurach ostrzeliwało świerkowy zagajnik. Na widok Abramsa nawet się ucieszyli. Jeden pomachał ręką, kryjąc się za rozwaloną terenówką. Dwóch kolejnych stało, waląc z automatów równymi, mierzonymi seriami. Ostatnia, czwarta postać leżała na plecach pomiędzy samochodem a skrajem lasu. W pierwszym odruchu chciał do nich wygarnąć z karabinu maszynowego. I pewnie tak by zrobił, gdyby nie ich irracjonalne zachowanie. Przecież musieli dostrzec, kto nadjeżdża. Abramsa trudno pomylić z jakimkolwiek z rosyjskich czołgów.

– Panie poruczniku...

– Widzę.

– Co mam robić?

– Stój.

Czołg zatrzymał się z cichym zgrzytem, a Maciejewski intensywnie starał się podjąć właściwą decyzję. Był w tym zdany wyłącznie na siebie. Strzelać jak popadnie, a pytania zadawać później, czy też spróbować przeczekać i zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja? Wydarzenia zadecydowały za niego. Już po chwili do ich uszu dobiegł dźwięk pocisków odbijających się od pancerza.

– Ognia.

Smugacze pomknęły pomiędzy drzewa, momentalnie gasząc kilka płomieni wylotowych z luf AK. Odrzucił wąż do góry i przeładował Browninga. Wycelował raczej nisko, mając na uwadze wcześniejsze doświadczenia. Uchwycił mocno tylce broni. Cekaem ożył w jego rękach. Miniaturowe fontanny piachu wystrzeliwały w miejscach, gdzie półcalowe pociski uderzały w ziemię. Najchętniej



nie odrywałby palców od spustu aż do opróżnienia całej 250-nabojowej taśmy. W strzelaniu było coś, co pozwalało zapomnieć o niebezpieczeństwie. Zwłaszcza w strzelaniu z tak potężnej broni. Z wielkim wysiłkiem ograniczał się do krótkich serii.

Zamykający do tej pory kolumnę transporter wysunął się do przodu. Jego działko zajazgotało, gdy tymczasem sześciu piechurów wyskoczyło z wnętrza. To przeważało szalę. Wróg odpuścił. Jedna, druga, trzecia postać opuszczała stanowiska i uciekała w głąb lasu goniona strzałami Polaków.

– Przerwać ogień.

Powoli się uspokajało. Padły ostatnie, pojedyncze strzały i nastała cisza. Ogarnął wzrokiem teren potyczki. Im się upieкло, tym ukrytym za UAZ-em już nie. Jeden oberwał wcześniej, a z pozostałej trójki kolejny osunął się na ziemię.

– Sanitariusz.

Choć wcale nie miał na to ochoty, podążył za medykiem.

Ten, który leżał na plecach, miał dystynkcje pułkownika. Pochylał się nad nim major próbujący kawałkiem gazy wytrzeć ranę wlotową. Wystarczyło jedno spojrzenie medyka.

– Umrze najdalej za godzinę, jeśli nie znajdzie się na stole operacyjnym. Ma pocisk w płucach.

Twarz pułkownika z kimś mu się kojarzyła. Już kiedyś się spotkali, nie potrafił tylko powiedzieć, kiedy i gdzie. Równie dobrze mógł to wszystko wymyślić pod wpływem zmęczenia i stresu.

– Wezwać śmigłowiec? – zapytał sanitariusz.

– Spróbuj.

Już chciał się wycofać, gdy rosyjski major znalazł się obok niego.

– Słucham.

– Wy tu dowodzicie?

Forma „wy” mierzyła Maciejewskiego. Ten zwrot narodził się przed I wojną światową, kiedy bez mała wszyscy rekruci w rosyjskiej armii pochodzili ze wsi. Ich dowódcami byli ludzie wywodzący się z ziemiaństwa lub arystokracji, walący pięścią w zęby w razie najmniejszej niesubordynacji. Na fali przemian społecznych upokarzające zwracanie się po imieniu zastąpiono uprzejmą i bezosobową formą „wy”, co było pierwszym krokiem w stronę należytego traktowania żołnierzy. Minął wiek, a forma pozostała.

– Sierzancie. – Skinął na najbliższego stojącego piechura – Zabierzcie im broń.

Cholera wie, z kim miał do czynienia. Uratował im dupską, ale to jeszcze niczego nie gwarantowało.

Przez twarz majora przebiegł bolesny skurcz. Wydawało się, że zaraz wybuchnie. Grubokościsty, średniego wzrostu mężczyzna przed czterdziestką. Według Maciejewskiego ani przystojny, ani brzydki, raczej przeciętny – lecz nie jemu wyrokować o męskiej urodzie.

– Robicie błąd – odezwał się Rosjanin po angielsku z silnym wschodnim akcentem.

Maciejewski nie silił się na podobne sztuczki.

– Jako oficer powinniście zrozumieć – odparł po polsku. – Nie zostawię za plecami kogoś, do kogo nie mam zaufania. – Skrzyżował ręce na piersi, czekając, co zrobi tamten.

– To nadzwyczajna sytuacja.

– Jesteśmy na wojnie, tu wszystkie sytuacje są nadzwyczajne – odpowiedział ostrzej, niż zamierzał. – Oczekuję odpowiedzi na parę pytań.

Rosjanin przechylił głowę, wpatrując się w Maciejewskiego małymi oczkami. Milczał.

Nie chcąc prowokować majora, ponownie przyjrzał się leżącemu. Przy każdym oddechu ściągniętą bólem twarz wykrzywił dodatkowy grymas cierpienia. Powoli jednak zmieniała się ona w śmiertelną maskę. Parsknął. Kompletny z niego dureń. Widział obu Rosjan zaledwie dzień wcześniej. To ich obserwował podczas rozmowy z tym wysokim komandosem.

– Co z tym śmigłowcem?

– Przyślą, jak tylko któryś będzie dostępny. – Sanitariusz wkłął igłę kroplówki w żyłę rannego.

– Dobra. Teraz to ja z nimi pogadam.

Wskoczył do Abramsa, który za cholere nie stał się ani odrobinę przytulniejszy.

– Poczekajcie na zewnątrz. Wszyscy – zarządził.

Nie próbując z nim dyskutować, załoga wygramoliła się z czołgu i zeskoczyła na ziemię. Jako ostatni rozkaz wykonał Makała, trzaskając, czym się dało. Dezaprobaty nie dało się wyrazić jaśniej. Jedną osobą, z którą Maciejewski mógł szczerze porozmawiać, był Stefański. W końcu to on skierował kompanię na pomoc osaczonym GROM-owcom. Jeżeli ktokolwiek potrafił znaleźć wyjście z tej sytuacji, to właśnie kapitan. Ustawił częstotliwość i wywołał sztab batalionu.

– Jest problem – oświadczył na wstępie.

– Możesz swobodnie mówić?

– Tak.

Wyłuszczył problem, nawiązując do ostatnich wypadków.

– W jakim jest stanie?

– Ciężkim. Długo nie pociągnie. Proszę o natychmiastową ewakuację.

Zupełnie przypadkiem otarł się o sprawę, która interesowała o wiele wyższe czynniki niż on czy nawet Stefański. Wszystko rozgrywało się na styku polityki i wywiadu, czyli w miejscach, o jakich nie śnił. Co zwykły dowódca kompanii może o tym wiedzieć?

– Rydwan...

– Tak?

– Poproś majora do radia.

Robiło się coraz ciekawiej. Chcąc nie chcąc, wygramolił się na zewnątrz i skinął na Rosjanina. Major nie wyglądał na zaskoczonego, a gdy się mijali, obdarzył Polaka wymownym spojrzeniem.

Mając chwilę, Maciejewski podreptał w stronę piechociarzy myskujących na poboczu.

– Tego pan widział? – Jeden z nich poprowadził Maciejewskiego w stronę spoczywających niedaleko ciał.

Najbliższe zwłoki należały do potężnego mężczyzny. Zielona bandana, połowy woodland na grzbiecie i wyraz bezgranicznego zdumienia w oczach. Czaszki, kosy i demony zdobiły przedramiona.

– Co za jedni?

– Specnaz, panie poruczniku. Jego koledzy wyglądają podobnie. Doliczyliśmy się pięciu ciał. Być może oberwał jeszcze któryś, ale tam nie będziemy wchodzić. – Żołnierz wskazał na gęsty las.

– Racja. Próbowaliście ich przeszukać?

Z pewnym wahaniem szeregowy obmacał kieszenie. Brzydził się, to Maciejewski dostrzegł wyraźnie. W końcu pokrwawiona legitymacja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Federacji Rosyjskiej znalazła się w dłoniach podporucznika.

– No, ładnie.

To na pewno nie był zbieg okoliczności. Na uratowanych przez niego ludzi polowano. Raz się nie udało, więc należało próbować do skutku. Cholera, mało miał własnych problemów? Wpieprzył się po uszy w cudze kłopoty, zamiast gonić własną jednostkę. Przyjął papierosa, którym go poczęstowano, i zawrócił do wozu. Kolumna stała, wszyscy oczekiwali rozkazów.

Oblicze pułkownika pokryło się kredową bielą. Gdy oni tak tutaj gawędzili i spacerowali, Rosjanin umierał. Tyle tylko, że niczego nie czuł, wyzwolony z mąk przez morfinę. Przynajmniej to udało się dla niego zrobić.

Dziesięć minut później na przecince zaroilo się od ludzi ze służb – nie tylko ratunkowych. Z Black Hawka spuszczonego kosz, do którego załadowano pułkownika. Jeszcze żył, choć do końca niewiele mu brakowało. Tyle co brudu za paznokciem.

Cała reszta tych, którzy zjechali z drugiego śmigłowca, dzieliła się na mundurowych i tych bez mundurów, ale to polecenia tych drugich wszyscy wykonywali natychmiast. Im dłużej Maciejewski przyglądał się zamieszaniu, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wdepnął w bagno. Ludzie

z wywiadu, przeświadczeni o swojej wyższości, wszystkich wokół traktowali protekcyjnie. Tym cholernym idiotom wydawało się, że to oni kręcą światem, kiedy w rzeczywistości byli jedynie trybikami w maszynerii. Nie myślał o nich inaczej jak o kmiotach, którym brak poczucia zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Major zdobył się na mały gest wdzięczności – uściśnił sobie dłoń. Jako frontowcy znali życie lepiej od tych, którzy spędzali czas przed monitorem komputera i w zacisznych salach konferencyjnych, myśląc, że od nich zależą koleje wojny.

Dwa razy uratował życie majorowi. Chciał, by za trzecim razem role się odwróciły.

CZĘŚĆ CZWARTA  
WROGOWIE I PRZYJACIELE

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### URUMCZI, TURKIESTAN WSCHODNI

– CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA | 31 maja, godzina 07:17

Gniew narastał od dawna. Na ulicach, placach i w fabrykach, gdzie hasła komunistycznej propagandy głośniły idee równości, braterstwa i bezklasowego społeczeństwa, każdy w miarę bystry obserwator dostrzegał mikroskopijne pęknięcia w jednolitej z pozoru masie sponiewieranych obywateli. Na skrzyżowania i w newralgiczne punkty ściągnięto wojsko. Nic się nie działo, lecz wyżsi urzędnicy Chińskiej Partii Komunistycznej wiedzieli, że szykują się kłopoty. Na pograniczu zawsze było niespokojnie, a od czasu gdy armia wkroczyła do dawnych poradzieckich republik środkowoazjatyckich, wybuch wydawał się nieunikniony. Gniewne pomruki dochodziły z miejsc, gdzie dominował żywioł muzułmański. Bazary, tanie jadłodajnie i nielegalne palarnie opium pełne były ludzi chcących wyrównać rachunki. Potrzebny był pretekst.

Ujgurom zamieszkującym prowincję daleko było do Chińczyków. Nie czuli z nimi najmniejszego pokrewieństwa. Obie nacje różniło wszystko – kultura, pochodzenie, a przede wszystkim wiara. Ich przodkowie najeżdżali Chiny, wielokrotnie pustosząc tę najstarszą wschodnią cywilizację, jak tylko koczownicy potrafią. Później jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu wszystko uległo zmianie. Niewolnicy zostali panami, a traktowani jak bydło i spychani na margines życia społecznego Ujgurzy – mniejszością. Pociągi codziennie wypluwały ze swojego wnętrza wciąż nowe rzesze osadników. Przemysłana strategia sprawdzała się równie dobrze w Tybecie, jak i Turkiestanie. Tureckojęzyczni mieszkańcy, tak samo jak buddyści, wiedzieli, jak skończą: w niedalekiej przyszłości nie pozostanie po nich ślad. Stracą tożsamość, a co za tym idzie, rację do posiadania własnego zdania.

Bomba wybuchła przed siedzibą lokalnego komitetu partii, w chwili gdy pierwsi jej pracownicy kierowali się do pracy. Zginął policjant i dwie postronne osoby. Natychmiast odcięto okolice i rozpoczęto śledztwo. Ekipa dochodzeniowa z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego znalazła się na miejscu niedługo potem. Do zadania skierowano najzdolniejszych śledczych, bo sprawa przedstawiała się poważnie. Winnych zbrodni należało jak najszybciej znaleźć i przykładowo ukarać, co oczywiście sprowadzało się do jednego – kuli kalibru 7,62 milimetra z AK prosto w potylicę.

Gapiów zepchnięto na boczne ulice. Nie należy się obnosić ze śladami krwi przed siedzibą władz.

Osobowy nieoznakowany VW Santana, najpopularniejszy model samochodu policyjnego, pojawił się w kawalkadzie innych pojazdów. Kierujący nim mężczyzna w przepisowym mundurze przejechał obok szpaleru funkcjonariuszy i wolno manewrując, podjechał ku grupie wyższych oficerów kierujących akcją. Nie zważał na gniewne okrzyki policjantów, próbujących odesłać go na znajdujący się tuż obok parking. Za każdym razem powoływał się na otrzymane instrukcje. Nie pytano o więcej. Wiadomo, z rozkazami się nie dyskutuje.

Mężczyzna zmówił krótką modlitwę i nacisnął zapalnik. Wyładowany 500 kilogramami materiału wybuchowego samochód detonował z ogromną siłą.

KASZGAR – CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA | 31 maja, godzina 07:31

Kaszgar, leżący na dawnym Jedwabnym Szlaku, przez wiele lat stanowił wysunięty daleko na zachód punkt chińskiej dominacji nad tym regionem, a obecnie pełni też funkcję ważnego ośrodka logistycznego, skąd ekspediowano wojska i zaopatrzenie w stronę Kirgistanu. Dochodząca do miasta linia kolejowa stała się główną arterią komunikacyjną, bez której prowadzenie działań ofensywnych na tym kierunku operacyjnym było niebywale trudne. Wszystko, co szło dalej na zachód, przewożono ciężarówkami lub transportem lotniczym.

Kiedy tuż po siódmej trzydzieści rano seria eksplozji targnęła boczną koleją, gdzie stało

czterdzieści wagonów z amunicją, wszyscy mieszkańcy Kaszgaru ujrzeli czarny słup dymu unoszący się nad północno-wschodnimi dzielnicami miasta. Fala uderzeniowa unicestwiła też ustawiony tuż obok rząd wagonów z oddziałami 26 Dywizji Piechoty przygotowującymi się właśnie do rozładunku.

Pożar szalał do późnego popołudnia. Wysiłki ratowników niweczyły wciąż nowe wybuchy i setki wagonów znajdujących się w pobliżu. Tylko najdalsze składy dało się odciągnąć. Większość wagonów znajdujących się na obszarze węzła przeładunkowego wykoleiła się i z akcją usuwania zniszczeń należało poczekać, aż ostatnia skrzynka z amunicją nie wyleci w powietrze.

W przeciwieństwie do zamachu w Urumczy, gdzie winę można było zrzucić na terrorystów, tu dokonano sabotażu, i to sabotażu na niewyobrażalną skalę.

Dla władz centralnych w Pekinie nie była to ostatnia zła wiadomość tego dnia.

CENTRUM DZIAŁAŃ KRYZYSOWYCH, MOUNT WEATHER,  
WIRGINIA – USA | 31 maja, godzina 09:07

Trema zżerała ją od środka. Nie chodziło tu bynajmniej o coś tak banalnego jak publiczne wystąpienie, ale o debiut w zupełnie nowej roli. Była idiotką, myśląc, że wszystko przejdzie bez echa. Pośpiech, z jakim objęła stanowisko prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, rozpętał burzę w mediach – spekulowano na każdy temat: jej życia osobistego, kompetencji i rzeczy tak błahych jak wybory miss balu maturalnego. Świat już naprawdę schodzi na psy, skoro zajmują się takimi błahostkami, uznała zaraz po obejrzeniu programu z TV Fox Life, w którym wypowiadali się jej szkolni koledzy i najlepsze przyjaciółki, obecnie nienazywające jej inaczej niż podłą żmiją lub dosadniej – suką.

Szczotka zaczęła się elektryzować. Szczególnie wspomnienie jednej zdziwy sprawiło, że spokojne ruchy, którymi rozczesywała swoje długie włosy, zastąpiła gwałtowna szarpanina. Jej życie osobiste zostało wywleczone na widok publiczny. Przy okazji wyraźnie zasugerowano romans z obecnym wiceprezydentem Garym Craigiem. Jemu naprawdę się dostało. Parę stacji zachowało powściągliwość, lecz te, które walczyły o widza za pomocą wszelkich sposobów, i tym razem nie przebierały w metodach. Gary podczas zamieszek ulicznych w Chicago, Gary podczas narodowej konwencji partii demokratycznej w 1968 roku szarpiący się z policjantami, Gary ściskający dłoń kandydata na prezydenta Jimmy'ego Cartera podczas inauguracji kampanii wyborczej, Gary – nieprzejednany obrońca swobód obywatelskich za Ronalda Reagana, Gary na raucie, na premierze i w rynsztoku... Ta wpadka zdarzyła się faktycznie, tyle że niezupełnie chodziło o Gary'ego. Ten, jak każdy prawy członek szanowanej uniwersyteckiej społeczności, chciał tylko pomóc koledze. Zrobił to tak niefortunnie, że sam się wywalił. Zrobiona wówczas przypadkowo fotografia wydawała się zabawna: dwóch facetów w średnim wieku na czworakach próbuje wrócić do pionu. Po latach takie zdjęcie stało się dowodem na rozwiązły tryb życia i alkoholizm. Oczywiście, gdyby był homoseksualistą, nie byłoby w tym nic nagannego. Niestety Gary lubił kobiety, a był kawalerem. Lubiał też whiskey i długie przemowy. No i niektórych spraw się nie zapomina. Wolta, jaką wykonał – od lewicującego działacza po głównego ideologa Pentagonu – wielu się nie podobała. Porównywano Gary'ego do Rumsfelda i Wolfowitza z czasów George'a W. Busha. Niektórzy posuwali się odrobinę dalej: „Goebbels światowego imperializmu” – głosiły komentarze tych światowych koncernów medialnych, którym podejrzanie blisko było do liberałów. „Co ten człowiek robi w ekipie Obamy?” – głośno zastanawiali się inni, wieszcząc szybki upadek lekko przyblakłej gwiazdy administracji rządowej.

Oczywiście spokoju nie dano też Joe Bidenowi, lecz jemu odejście raczej się przysłużyło. Dzienniki pod niebiosą wynosiły jego nieugiętą postawę i szereg sukcesów nie całkiem będących jego zasługą. W notowaniach sondażowych stał wysoko, niemniej wiek dyskwalifikował niedawnego wiceprezydenta z udziału w kolejnych wyborach. Nominację partii pewnie by dostał, ale po słabych kadencjach Obamy, niemogącego sprostać wyzwaniom w polityce międzynarodowej

i wewnętrznej, to republikanom dawano większe szanse na wygraną.

Wojna z Federacją Rosyjską spowodowała rozłam w szeregach samych demokratów. Słupki poparcia raz spadały, a raz podskakiwały. Trudno było mówić o jakiejś stałej tendencji. Wszystko zależało od sytuacji na froncie. Większe straty, jak zatopienie lotniskowca na Morzu Norweskim – poparcie spadało. Zajęcie Archangielska i odparcie rosyjskiej ofensywy – poparcie rosło. Prowadzenie polityki według tych wskazań do niczego by nie prowadziło. Ujawniła się natomiast cała masa innych opinii. Paradoksalnie to sami wojskowi nie akceptowali wysokiego wskaźnika strat bojowych, co nie raz sugerowali opinii publicznej. Zwykli obywatele bardziej byli skłonni zaakceptować śmierć własnych żołnierzy czy ich rany. W końcu to nie cywile przeżywali dramat wojny, co najwyżej oglądali ją w telewizji.

Skończyła z fryzurą, niezbyt zadowolona z efektu, i zajęła się ustami, podkreślając je delikatnym różem. Co chwila nerwowo zerknęła na zegarek. Na chciała spóźnić się na pierwsze zebranie u prezydenta.

Tyle dobrego, że przynajmniej otrzymała własny apartament, więc z nikim nie musiała dzielić się łazienką. Momentalnie odczuła, jak wzrósł jej prestiż – przestała być anonimową urzędniczką, a stała się figurą na szachownicy światowej polityki.

Z dawnego personelu Gary zabrał ze sobą paru ludzi. Kilku następnych ściągnięto w trybie natychmiastowym, gdyż ci bezwzględnie lojalni wobec Joe Bidena musieli odejść. Czystkę przeprowadzono szybko i skutecznie.

Dylematu, kto stanie się jej asystentem, nie potrafiła rozwiązać do tej pory. Przez chwilę myślała o Helen Lomax, lecz szybko dała sobie z tym spokój. Pewnie podołałaby obowiązkowi, w końcu pracowała dla Gary'ego, chodziło wszakże o coś innego – wszystkim im brakowało biednego Cyrila.

Jej na dodatek brakowało jeszcze kogoś. Komórka CIA w Petersburgu utraciła kontakt z Andrzejem przed paroma dniami. Co się z nim obecnie dzieje, nie wiedział nikt – no, może oprócz jego bezpośrednich przełożonych. Kusiło ją, by poprosić o informacje. Jej przecież nie odmówią. Niech przynajmniej wyciągną go ze środka tej jatki. Polacy już byli na przedmieściach Moskwy.

Dosłownie sekundy dzieliły ją od zupełnego rozklejenia się. Łzy zalśniły w kącikach oczu. Jeszcze rozmaże makijaż i wszystko będzie musiała zaczynać od początku. Odetchnęła i zebrała się w sobie. Prezydent nie będzie na nią czekał w nieskończoność.

•

Z wielkiego ekranu zgromadzonych atakowały obrazy destrukcji. Walące się budynki, przerażeni ludzie uciekający w panice i szokowane oblicza ratowników. Cyferki wyświetlające się u dołu monitora wskazywały na liczbę ofiar – Urumczy, w wyniku podwójnego zamachu: 157, Kaszgar, sabotaż na kolejowej bocznicy: na razie 62 zidentyfikowanych. Wybuch gazu w Guangzhou: 218. Tu też opierano się na wstępnych szacunkach. Należący do marynarki wojennej magazyn amunicji w Fuzhou: jak na razie 19 ofiar. Zapasy rakiet krótkiego i średniego zasięgu stanowiących wyposażenie dywizjonów morskich floty w wyniku tego jednego działania uszczuplały o jakieś trzydzieści procent. Zderzenie promu z barką na Chang Jang opodal Wuhan: 400 do 500 osób. O paru mniejszych katastrofach nie było co wspominać.

– Gary, to twoja robota? – zapytał Barack Obama z wyraźną dezaprobatą w głosie.

– Niczego nam nie udowodnią – odpowiedział wiceprezydent, poprawiając marynarkę.

– To jest ten plan? Uśmiercenie paru setek cywili niczego nie zmieni.

– Czyżby? – obruszył się Gary. – Parę razy mocno ugodziliśmy w ich infrastrukturę. – Palcem wskazał na ekran. – Nasz udział jest bezsporny tylko w dwóch. W Fuzhou i Kaszgarze.

– A cała reszta?

– To opozycja.

– Jaka opozycja? Tam nie ma opozycji.

– Już jest. – Craig, pewny swoich racji, uśmiechnął się pod nosem.

– O czym ty mówisz? – Barack Obama wyglądał na zaniepokojonego. – Chcesz stworzyć grupę terrorystyczną dążącą do wywołania wojny domowej? Gary, zlituj się. To druga największa gospodarka świata. Obecny kryzys wywoła kolejną falę recesji. Eksperci są co do tego zgodni.

– Osobiście nie widzę innej metody na pozbycie się ich z Kazachstanu i Kirgistanu i gdzie tam jeszcze się wpakowali. Paru grupom Ujgurów pokazaliśmy tylko cel i daliśmy know how. Nam nie chodzi o stworzenie jakiejś tajnej armii mającej obalić komunistów, lecz o to, by Xi Jinping i jego klika myśleli, że tak się jednak stało. Im większy chaos w kraju, tym słabsza chęć podbojów.

– Chyba że wszystko potraktują na odwrót – wtrąciła Ashley. – Chcąc odwrócić uwagę od spraw wewnętrznych, tym bardziej skoncentrują się na podbojach.

Spoczęły na niej zaciekawione spojrzenia ze wszystkich stron. Ładna i inteligentna – niebezpieczna mieszanka. Gary zaś popatrzył na nią zdumiony.

– Przepraszam, ale takie jest moje zdanie. Tak naprawdę nie do końca wiemy, jak postąpią. Pomysł organizacji-widma, jaki został zaproponowany, jest dobry, zwłaszcza przy ograniczonych środkach, jakimi dysponujemy. Islamski Ruch Turkiestanu Wschodniego nie obali reżimu, lecz ich działania niosą spore niebezpieczeństwo. Nie tylko dla rządu w Pekinie. Już parę razy pomagaliśmy ruchom społecznym będącym na podobnym etapie co oni teraz.

– To nadzwyczajna okoliczność – powiedział Gary.

– Zgadzam się z tobą całkowicie. Tyle że w Afganistanie na początku było tak samo: Imperium Zła i ludzie chcący je obalić. Imperium zostało obalone, a muzułmanie nie poczuli do nas ani odrobiny sympatii. Później przez lata nie potrafiliśmy im dokopać. Było blisko, to fakt bezsporny, lecz gdy w końcu opuściliśmy Afganistan, sprawy bynajmniej nie ułożyły się po naszej myśli. Tym razem może być podobnie.

– Jakie jest tego prawdopodobieństwo? – zapytał Obama.

– Ja oceniam je na pięćdziesiąt procent.

– I co, Gary? Podtrzymujesz swoje zdanie?

Ledwo objął nowy urząd, a już został zapędzony do narożnika. I to przez kogo? Mimo to paradoksalnie ucieszył się, że nie mylił się co do Ashley. Biła mocno i celnie, a co najważniejsze, rzadko myliła się w swoich sądach.

– Faktycznie jest w tym sporo racji.

– Gary, co im daliśmy?

– Środki łączności, troszeczkę broni i materiałów wybuchowych. Nie dotyczy to zresztą samych muzułmanów. Udało nam się dotrzeć do paru grup desperatów, najczęściej trzy-czteroosobowych.

– Ten prom jest ich sprawką?

– Raczej tak.

– Jezu. Niby do czego ma nas to doprowadzić? Widzisz w tym jakiś cel? – zapytał prezydent. – Bo ja nie.

– Tego nie mogliśmy przewidzieć. Sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Cholerni popaprańcy.

– Trochę ich poniosło. – Gary skrzywił usta.

– Trochę? To według ciebie jest trochę? A to dopiero początek.

– OK. Tu mogliśmy się mylić. Jednakowoż generalnie uderzono w struktury siłowe państwa.

– Dostali rakiety przeciwlotnicze, te ręczne wyrzutnie? – sprecyzował John Kerry.

– Kilka. Ale wszystkie rosyjskiej produkcji. Nie patrzcie na mnie z wyrzutem. Wcześniej czy później tak musiało się stać. Jeżeli nie my będziemy kontrolować tę zgraję, z ochotą uczynią to Turcy.

– Może tak należy zrobić? – powiedziała Ashley.

– Proszę mówić – zainteresował się prezydent.

– Muzułmanie na Kaukazie już korzystają z pomocy Ankary. Wojskowej, technicznej, logistycznej i finansowej. Bez niej Umarow dalej siedziałby w ziemiance, starając się tylko przeżyć



kolejny dzień. Obecnie jest niekwestionowanym liderem wszystkich islamistów w regionie. Jestem pewna, że Turcy do spółki z Iranem chcą położyć łapę na wszystkim, co znajduje się na północ od Amu-darii. Te plany pokrzyżowali Chińczycy. I Teheranowi, i Ankarze to nie w smak.

– Jak te trzy strony wezmą się za łby, kto na tym wygra?

– Na początku nikt. To musi trochę potrwać. W konsekwencji zwycięzca i tak nie będzie na tyle silny, by przejąć cały obszar. Co najwyżej małe skrawki. Oslabimy regionalne potęgi i przywrócimy mniej więcej status quo ante.

– Dosyć karkołomna taktyka... – Zamyślony Obama zmarszczył brwi.

– Zaprosić dwóch dodatkowych zawodników do walki, gdy już z jednym mamy problemy? Ten pomysł jest nie do przyjęcia. – Gary starał się podważyć pomysł Ashley. Nie pozostawiła mu wyboru.

– Lepšie to niż nasze zaangażowanie – odparła. – Musimy sobie zadać pytanie, czy naszym celem jest obalenie reżimu komunistycznego w Chinach, czy też utrzymanie dotychczasowej chwiejnej równowagi. Do niedawna opowiedziałabym na nie bez wahania. Obecnie, wobec tego, co się dzieje na terenie Federacji, jestem daleka od nawoływania do konfrontacji, obojętnie na jakim poziomie. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że ona musi nastąpić, i to prawdopodobnie nie na naszych warunkach, tylko wskutek wzmagającej się presji czynników niezależnych. Same działania CIA, mimo ich dokuczliwości, uważam za niewystarczające.

– Z Ankarą jesteśmy w stanie zimnej wojny. Ignorujemy ją, na ile pozwalają okoliczności. Obecnie to Teheran jest nam bliższy.

– Może dla naszego wspólnego dobra powinniśmy zrobić kolejny krok do przodu? Kiedyś Chiny obróciliśmy przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Może teraz przyszła pora na sojusz z muzułmańskim Iranem wymierzony przeciw komunistom w Chinach? Nie musimy się z tym obnosić, wystarczy kolejne delikatne ocieplenie.

– Izrael nam tego nie daruje – powiedział Kerry.

– Chrzanić Izrael – odparł Gary. – Już nas nienawidzą.

– Arabia Saudyjska, Katar i pozostali też. Dla nich wzrost potęgi Iranu jest nie do przyjęcia.

– Podobnie jak dla nas obecność Chińczyków w Kazachstanie – odparował Craig.

– Obawiam się, że taki układ może nam stanąć kością w gardle. – Kerry nadal był sceptyczny.

– Dobrze. A jeżeli tego nie zrobimy, to co nam pozostaje? – zapytał prezydent.

– Indie – odpowiedziała Ashley. – Choć to wiąże się z innymi niebezpieczeństwami. Mają z Chinami niezłatwione sprawy od roku 1962, gdy Chińczycy zaczęli okupować rejon o nazwie Aksai China. Uważają, że indyjski stan Arunachal Pradesh jest częścią Tybetu, a zatem powinien należeć do nich. Z kolei New Delhi uznaje obszar Aksai China za część Kaszmiru. Do tego dochodzi sprawa Nepalu, gdzie maoiści posiadają znaczne wpływy, i Bhutanu – oficjalnie neutralnego i trzymającego się na uboczu, choć de facto na pasku Pekinu. Chińskie bazy w dawnej Birmie oraz sojusz z Islamabadem działają na Hindusów jak płachta na byka. Całkiem słusznie czują się zagrożeni. Ale – mimo zewnętrznych oznak potęgi – Chiny wcale nie są takie mocne, jak się wydaje. Są na pewno słabsze od Rosji sprzed jeszcze paru tygodni.

– Na kogo mamy postawić?

– Większe szanse mają muzułmanie. Przede wszystkim są mniejszością w Chinach, i to dosyć liczną.

– To znaczy?

– Trochę ponad dwadzieścia milionów, dosyć dobrze poruszających się w tamtejszej przestrzeni publicznej. Hindusów się tam nie uświadczy. Alternatywa jest taka, że to my będziemy musieli wziąć na swoje barki większość działań wojskowych i wywiadowczych, a wtedy przyjdzie nam działać na wspólnym obszarze Eurazji...

Gary poruszył się niespokojnie. Nikomu nie spieszyło się do wypuszczenia dzina z butelki.

– Panie generale. – Obama wywołał Wilsona. – Jak pan to widzi?

– Jedyne, na co nas stać, to punktowe ataki na bazy lotnicze i instalacje o charakterze nuklearnym, co oczywiście nie przyniesie rozstrzygnięcia, a jedynie rozdrażni Chińczyków. Należałoby się wówczas spodziewać działań o charakterze odwetowym, na co nie możemy sobie pozwolić. Podobnie źle się stanie, gdy Moskwa poprosi o pomoc wojskową.

– Chce pan powiedzieć...

– Rozważamy taki scenariusz. Chińczycy raczej nie wezmą udziału w obronie Moskwy. Jest na to za późno. Większe niebezpieczeństwo wiąże się z przekroczeniem granicy Kazachstanu z Federacją. 50–60 tysięcy żołnierzy, głównie z sił specjalnych lub jednostek desantowych, to nie lada wyzwanie. Raczej nie liczyłbym na falowe ataki ludzką masą jak w Korei. Wiele ich oddziałów nie odbiega wyszkoleniem od naszych. Nie wiemy, czy tak się stanie, jednak już dziś należy zastanowić się nad krokami zaradczymi.

– Jakież sugestie?

– Całą rezerwę, jaka nam jeszcze pozostała, to jest 82 Dywizję Powietrznodesantową i 10 Górską wysłać w rejon Samara – Kazań – Ufa i utworzyć południowe zgrupowanie wojsk.

– A Ukraina?

– Niech się tym zajmą Polacy.

– Już opanowali Lwów i posuwają się na wschód – mruknął Kerry. – Na naszym sprzęcie i za naszym pozwoleniem. Najgorzej, że sami wyhodowaliśmy tego potwora.

– Ja raczej dziękuję Bogu za wszystko, co dla nas zrobili. Musimy to powiedzieć wyraźnie: bez nich byłoby ciężko – odpowiedział Wilson.

– Pan, generale, ma jak zwykle tendencje do przesady.

– Fakty mówią same za siebie.

– Panowie, ta wymiana zdań do niczego nie prowadzi. – Prezydent przywołał obu adwersarzy do porządku. – Domyślam się, że te wyprzedzające działania mają zniechęcić Chińczyków do wejścia na europejski teatr działań wojennych.

– Nie tylko. Uprzedzimy w ten sposób odwrót wojsk rosyjskich dalej na wschód.

– Po tej operacji, o której pan wspominał ostatnim razem, coś z nich jeszcze zostanie?

– Oni już to robią, sir. – Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów splótł dłonie przed sobą. – Obserwujemy, jak wiele formacji, nawet bez wchodzenia w kontakt bojowy z grupami uderzeniowymi III Korpusu, odchodzi na wschód.

– Uciekają? – ucieszył się Gary.

– Nazwałbym to strategicznym odwrotem.

– Obojętnie, jak to nazwiemy.

– Do końca sporo brakuje.

– Jakie środki są potrzebne do przerwania tej grupy, o której pan wspominał? – zainteresowała się Ashley.

– Nie chodzi o samo przerwanie, lecz o utrzymanie z nimi kontaktu i stałe dostawy.

– To kolejna potężna operacja wojskowa. – Prezydent ciężko westchnął. – Mam obawy co do jej powodzenia. W końcu chcecie przetransportować jakieś...

– Trzydzieści tysięcy żołnierzy – odpowiedział Wilson.

– Właśnie. Trzydzieści tysięcy żołnierzy kilkaset kilometrów dalej. Co się z nimi stanie, jak Rosjanie czy też Chińczycy odetną ich daleko od najbliższych jednostek III Korpusu? Wyobraża pan sobie odwrót w takich warunkach?

– Raczej nie, sir. Jeżeli coś się nie uda, obie jednostki pójdą w rozsypkę.

– Otóż to. Czy chcemy poświęcić trzydzieści tysięcy Amerykanów w akcji, która może się nie powieść?

– My nie chcemy, panie prezydencie, my musimy. Chyba nikt z nas nie chce, byśmy wrócili do punktu wyjścia. Wtedy może się okazać, że wszystkie wcześniejsze ofiary były daremne.

– Z drugiej strony... – Kerry przyłączył się do chóru malkontentów.

– Rozumiem, co chce pan powiedzieć... – Generał nie pozwolił mu skończyć. – W samym Kolegium mamy co do tej operacji mieszane uczucia. Ilość środków, jakie musimy wydzielić, postawi logistykę na głowie. Powodzenie zależy w głównej mierze od opanowania paru lotnisk, wokół których zbudujemy całą strukturę, łącznie z jednostkami śmigłowców bojowych i samolotów wsparcia.

– Tylko czy zdążymy? Sytuacja zmienia się bardzo szybko.

– Planiści pracują non stop – przytaknął Wilson. – Wcześniej w opracowaniach studyjnych określaliśmy zasięg i koszty takiego przedsięwzięcia, acz przygotowując do zadania co najwyżej brygadę. O dwóch pełnych dywizjach i jednostkach wsparcia nawet nie myśleliśmy.

– Co jest największą trudnością?

– Stworzenie sieci punktów tranzytowych, opartych oczywiście o bazy sił powietrznych znajdujących w niedalekiej odległości od siebie.

– Macie już określone te punkty?

– Myślimy nad dwoma kierunkami. – Wilson wyglądał jak buldożer pracy do przodu i niwelujący teren pod planowaną operację. – Archangielsk – Petersburg – Moskwa oraz drugi: Warszawa – Lwów – Kijów. Oczywiście nie chodzi o same miasta, choć te są ważnymi punktami logistycznymi jako połączone siecią transportu drogowego i kolejowego. Nie muszę chyba mówić, że lepiej działać z dużych ośrodków niż z pipidowy bez odpowiedniej infrastruktury.

– Dopiero teraz poczułem się naprawdę zaniepokojony – powiedział Kerry. – Przecież co najmniej kilku z tych miast nie kontrolujemy.

– Nie, ale niedługo będziemy.

– Jest pan tego taki pewien?

– Nie mamy innego wyboru.

– Sam pan przyzna, że podstawy, na których opiera pan działanie, są dość kruche.

– Rzecz wygląda inaczej, gdy przyglądamy się jej, rozmawiając w tym gabinecie, a inaczej z punktu widzenia sztabu generała Coopera czy też dowódców którejs dywizji na froncie. Transport na dalekich odcinkach przerabialiśmy wielokrotnie w ciągu ostatnich paru lat. Afganistan też wydawał się daleko położony.

– Wtedy mieliśmy poparcie ONZ i prawie wszystkich państw. Nie muszę wspominać, jak jest teraz.

– Dobrze – przerwał Barack Obama. – Znamy opinię wojskowych, a co ty o tym myślisz, Gary?

– Interesujące.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Oczywiście, że nie. – Wiceprezydent spróbował wstać, lecz w porę zorientował się, że nie wypada. – Jestem oczarowany śmiałością całej koncepcji. Widzę w niej parę słabych punktów, ale która z wielkich operacji wojskowych ich nie miała?

– Mnie kojarzy się z tym desant Montgomery’ego – powiedział sekretarz stanu. – Wylądowali wówczas w Holandii i spaprali sprawę całkowicie.

– Mówi pan o „Market Garden”?

– Tak.

– Oglądał pan film?

– Oczywiście. Doskonały obraz.

– Już sam tytuł jest idiotyczny – powiedział Gary Craig, siląc się na obojętność. – Jest po prostu tak głupi, że brak mi słów. – Z każdym słowem rosła w nim pasja. – Jakoś nikt nie zauważył jednego szczegółu: gdyby Montgomery’emu się udało, byłaby to najbardziej spektakularna operacja w historii wojen, a feldmarszałka wynoszono by pod niebiosa. Pod względem rozmachu i śmiałości nie miałyby sobie równych. Twierdzenie, że zakończyła się klęską, jest policzkiem dla wszystkich biorących w niej udział żołnierzy.

– Gary, nie wiedziałem, że tak pasjonujesz się historią. – Prezydent wydawał się autentycznie

zainteresowany.

– Po prostu lubię mieć własne zdanie.

– Rozumiem, że te mosty, o których wcześniej była mowa, teraz zmieniły się w miasta. – Kerry nie chciał pozostać na uboczu dyskusji.

– Można tak powiedzieć.

– Ile z nich jest w naszych rękach?

– Niedługo będziemy trzymać wszystkie.

– W takim razie co robimy z Chińczykami? – Gary'emu przypomniało się, od czego zaczęli naradę.

Tym razem nikt nie spieszył się z odpowiedzią, czekając na to, co powie prezydent.

– Zdaje się, że nie mamy wyboru – powiedział Obama po dłuższej chwili milczenia. – Jeżeli inaczej się nie da – widać było, że tę decyzję podejmuje z trudem – działajmy. I niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece.

62 MEU, PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 31 maja, godzina 13:06

Mieszkańcowi środkowego wschodu Stanów Zjednoczonych nie mieściło się w głowie, że ktoś chciałby żyć w bloku wybudowanym z wielkiej płyty, a właśnie dwa takie betonowe molochy wysokie na dziesięć pięter i z kilkoma osobnymi klatkami schodowymi znajdowały się na wprost niego. Za nimi dostrzegał parę wieżowców z szarego betonu i trochę wolnej przestrzeni pomiędzy nimi.

Przyzwyczajony do przestrzeni i swobody kapitan nie potrafił wyjść ze zdumienia, że ktoś chciałby w ogóle do czegoś podobnego wejść. Owszem, na Zachodzie kiedyś też powstawały blokowiska, lecz generalnie znajdowała tam przystań biedota i kolorowi.

Z wycieńnień Walsh'a wychodziło, że w jednym mrówkowcu mogło być kilkaset mieszkań. Jeśli pomnożyć to przez liczbę domowników, to wyjdzie nieprawdopodobnie wielka liczba ludzi. Już nie chodziło o wizję rosyjskich żołnierzy przyczajonych gdzieś wśród balkonów, piwnic i dachów, tylko o zwykłych cywili, którzy jakby na przekór toczącym się działaniom wciąż przebywali w mieszkaniach.

Przez lornetkę widział kobietę ściągającą pranie i co najmniej jedno dziecko płaczące się jej pod nogami. Starszy mężczyzna wychylał się przez okno, pokrzykując do drugiego znajdującego się na chodniku. Inni ładowali do samochodów dobytek. Ci przynajmniej posiadali trochę oleju w głowie, ale reszta? Gdzie oni mieli rozum?

Jak przystało na dobrze wyszkolonego snajpera, kapitan pozostawał w bezruchu od co najmniej pół godziny. Kilkoro jego ludzi znajdowało się w pobliżu, choć by ich zlokalizować, musiałby się dobrze rozejrzeć. Już nie przemierzali Rosji w transporterach. To cholerne wielkie miasto przyjdzie im szturmować blok po bloku, do czego oczywiście nie palił się ani on, ani żaden marines.

Walsh przyjrzał się górnym piętrům. W niektórych ramach nie było szyb. Albo je wyjęto, albo wytłuczono. Z trudem dostrzegał kształty przedmiotów znajdujących się wewnątrz. Zdecydowanie za dużo tych otwartych na oścież okien i w gruncie rzeczy było za spokojnie.

Mężczyzna w podkoszulku na ramiączkach znikł, podobnie jak kobieta z praniem. Ktoś tam jeszcze przemykał pomiędzy śmietnikiem a trzepakiem, ale oprócz nich nie było nikogo innego. Wojska też nie, a przecież to miejsce wręcz stworzono do obrony.

Po bitwie o Gaczynę spodziewał się najgorszego – płonących barykad, dziesiątek czołgów i twardej obrony każdego skrawka terenu. Tymczasem do tej pory 62 MEU stoczyła tylko parę pomniejszych potyczek na przedmieściach. Jeden z batalionów znajdował się na skraju lotniska Pułkowo, lecz nikt nie wiedział, co ich czeka dalej.

Zator, na jaki natknęła się kompania Walsh'a, składał się z kilku tirów ustawionych jeden obok drugiego na trzypasmowej szosie wjazdowej. Przeszkodę wyminęli poboczem. Im szybciej je ściągną na bok, tym lepiej. Znajdujący się w odwodzie M1A2 znaczył więcej od broni, jaką sami

dysponowali.

Petersburg, który wyobrażał sobie jako ogromne, bezduszne blokowisko, jak na razie przypominał przedmieścia normalnego miasta. Skąd w jego głowie wzięło się tamto wyobrażenie? Rosja już dawno się zmieniła. Przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy. Jak jest gdzie indziej – nie jemu o tym sądzić. Nie był, nie widział. Przyjdzie pora, a wszystko stanie się jasne.

Jego cierpliwość w końcu została wynagrodzona. W głębi jednego z pomieszczeń dostrzegł ruch. W środku na pewno ktoś się znajdował. Dałby głowę, że to strzelec wyborowy. Z tej kryjówki roztaczał się niezły widok. Jeśli miał dobry karabin, to kontrolował spory obszar, i to przy jednej z głównych dróg wiodących do centrum.

Skoro był jeden, Walsh spodziewał się następnych.

– Druga klatka z lewej, szóste piętro – usłyszał w słuchawkach głos obserwatora.

– Widzę.

– Kolejny: otwór piwniczny tuż na rogu z prawej. Moim zdaniem cwaniak z RPG.

– Jeszcze gdzieś?

– Dach trzeciego wieżowca z tyłu. Co najmniej zespół. Słabo wyszkoleni. Ciągłe zmieniają pozycje.

– Dobra. Zrozumiałem.

Gdzieś zupełnie niedaleko potężnie grzmotnęło. Zerknął w prawo i w lewo, starając się określić, co to było. Na swoim odcinku nie dostrzegł niczego niepokojącego. Należało pomyśleć, jak wykurzyć Rosjan z ich nor. Już samo wypełnienie na otwartą przestrzeń pomiędzy blokami równało się śmierci. Nawet gdy pokonają niebezpieczny odcinek, na resztę dnia ugrzęzną w tym mrówkowcu, przeczesując poszczególne piętra i mieszkania. Metody stalingradzkiej – granat, seria, granat – zupełnie nie brał pod uwagę. Walka na dystansie paru metrów zawsze wiązała się z ogromnymi stratami. Tu liczył się czas, a on jeszcze przed wieczorem chciał dotrzeć do Ermitażu. Już nie myślał o przejściu się po salach, lecz chciał przynajmniej rzucić okiem na gmach muzeum. Jak nie Ermitaż, to chociaż zabytki w centrum – kamienice i sobory, nie mówiąc o mostach spinających oba brzegi Newy. Musiał zatem się sprężyć i zastosować zdecydowanie bardziej radykalne środki.

Sprawdził, jakimi dysponuje możliwościami – Abrams, Apache i ciężka broń piechoty. No dobra, nie płacą im za leżakowanie.

Wszystkie zlokalizowane przez obserwatorów punkty zostały naniesione na mapę cyfrową. Po pierwsze: obrona przeciwlotnicza na wieżowcach. Tym zajmą się szturmowe AH-64.

Para maszyn, do tej pory lecąca tak nisko, że kołami niemal ocierała się o asfalt, wzbiła się w powietrze. Nim rosyjski operator zdążył zareagować, pomknęła ku niemu seria niekierowanych rakiet, które zmieniły czarną i gładką płaszczyznę dachu w ognistą kipieli.

Ta akcja wywołała odpowiedź ukrytego w blokowisku przeciwnika. Jedna, druga i trzecia niecelna seria z karabinów maszynowych przeszła pomiędzy śmigłowcami, które jednak już rozchodziły się w przeciwne strony.

– Widzisz ich? – Walshowi wydawało się, że cały budynek ożył.

– Pewnie – odpowiedział żołnierz z laserowym wskaźnikiem.

Odłożył lornetkę. Na razie nie będzie potrzebna. M110 z celownikiem optycznym do tej roboty nadawał się lepiej od standardowego M4 piechoty. Dystans jakieś czterysta do czterystu pięćdziesięciu metrów. Wyregulował parametry. Wszystko robił powoli. Jeżeli po przeciwnej stronie ukrywali się dobrze przygotowani strzelcy ignorujący popisy śmigłowców, to jakikolwiek ruch na pewno zwróci ich uwagę.

Walsha nie interesowały miejsca zajmowane przez zwykłych piechociarzy ani nawet te, gdzie czaili się żołnierze z pancernicami czy erkaemami. Jemu chodziło o snajperów. Z każdym innym celem się uporają. Jeżeli chodzi o dobrze ukrytego człowieka zmieniającego pozycję po każdym strzale, sprawa przedstawiała się dużo gorzej.

Mijały sekundy. Zaczynał się niecierpliwić. Jego uwagę przykuwało jedno miejsce. Nie był

pewien, lecz... Blokiem zatrzęsło, gdy armata Abramsa rozbiła stanowisko w piwnicy.

Drobinki pyłu i kurzu przysłoniły widok. Po drugim strzale z mieszkania na szóstym piętrze zaczął wydobywać się dym, lecz pudełkowa konstrukcja ze zbrojonych płyt betonowych okazała się wyjątkowo odporna. Wieżowiec wręcz falował, gdy przyjmował cios za ciosem, lecz wcale nie rozpadał się na kawałki, jak należało się spodziewać.

Wrócili Apache, obsypując fasadę ogniem z działek. Pociski wpadały do środka, wywołując kolejne pożary. Mieszkania kobiety z dzieckiem nie było widać. Wszystko zasłaniały kłęby czarnego dymu. Życzył jej jak najlepiej, choć widząc, co się dzieje, zdawał sobie sprawę, jaki będzie jej koniec. Dlaczego nie uciekła wcześniej, tylko ryzykowała życiem swoim i dziecka? A może nie pozostawiono jej wyboru i musiała odegrać rolę do końca?

Czasami nienawidził siebie za to, co robił.

RUCHOME STANOWISKO DOWODZENIA SZTABU II KORPUSU,  
PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 31 maja, godzina 14:10

Generał Raymond Cooper, dowódca II Korpusu, wsłuchał się w rytm odpalanych ładunków artyleryjskich. Sekwencja wydawała się dobrze znana – salwa zlewająca się w jeden ogłuszający huk, parę sekund przerwy potrzebne na załadowanie i nim pierwszy ładunek zdąży spaść na nieprzyjaciela, szarpący nerwy dźwięk rozlegnie się ponownie. Samobieżne haubice 155 milimetrów M109 wgniatały w ziemię wszystkich stawiających opór. Niestety, nie była to gra do jednej bramki. Rosjanie odgryzali się, jak mogli. Starcia przybierały na sile. Nie dalej jak przed godziną wybili niemal całą kompanię zaopatrzeniową, a z oddziałem remontowym nie dawało się nawiązać kontaktu do tej pory.

Za szybko szli do przodu, wiedział o tym doskonale. Cała brygada ze 101 Spadochronowej, żandarmeria i wydzielone grupy z 3 Dywizji Piechoty wciąż uganiały się za dokuczliwymi niedobitkami. Przynajmniej Estończykom i Łotyszom udało się oczyścić teren. Do granicy z tymi państwami zaopatrzenie docierało bez problemów. Dopiero dalej zaczynał się logistyczny horror. Kolumny raz za razem wpadały w zasadzki, zupełnie jak Rosjanie w trakcie przekraczania tunelu Salang w Afganistanie.

Straty zbliżały się do stu pojazdów, z których większość przewoziła amunicję, żywność, medykamenty i paliwo. Zresztą z paliwem działy się najróżniejsze rzeczy. Wielu prywatnych właścicieli cystern na własną rękę podążało za oddziałami wojskowymi, sprzedając im olej bądź ropę z wielokrotną przebitką. Od Narwy, gdzie się zaopatrywali, wcale nie było tak daleko.

Kolejna sprawa, z którą próbowali uporać się jego sztabowcy, była również ważna. Wszystkie szpitale na zapleczu pękały w szwach. Wielu przyjmowały placówki w Helsinkach i Sztokholmie. Personel medyczny dwoił się i troił, lecz poszkodowanych wciąż przybywało.

Nie mogąc znieść nawału pracy, w końcu wyrwał się na front. Dopiero tutaj ponownie poczuł się żołnierzem.

Następna salwa oderwała Coopera od przygnębiających myśli. Wnętrze wozu dowodzenia wydawało się zbyt ciasne. Wyszedł więc na zewnątrz rozprostować nogi. Skrzywił się, gdy wiatr przyniósł ze sobą smród palonej gumy. Jeśli chciał zaznać spokoju, to nie tutaj i nie o tej porze.

– Nat...

Stojący parę metrów za nim szef sztabu II Korpusu generał Nathaniel Henderson cierpliwie czekał, co powie Cooper.

– Są wieści od... – przerwał, nie mogąc złapać tchu. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie wciskał się ten odór zatykający krtań i utrudniający oddychanie.

– Co to tak...

– Palą opony, żeby utrudnić nam obserwację z powietrza – wyjaśnił Henderson.

Faktycznie. To, co wcześniej wziął za pożary, sprowadzało się do oblanych benzyną i

puszczonych z dymem stert samochodowych opon. W rezultacie powstawała dość prymitywna zasłona, zdecydowanie bardziej przeszkadzająca samym obrońcom. Nie chodziło nawet o wiatr, który akurat zwiewał wszystko w stronę centrum i zatoki, lecz o trwałość takich przeszkód. Jeżeli Rosjanie myśleli, że w ten sposób spowolnią szturm, byli w błędzie.

– Jak sobie radzą marines?

– Prawie zajęliśmy Pułkowo. Wymiatamy resztki wojska i sił pomocniczych z terminalu. Oporu nie nazwałbym twardym. Starają się, to prawda. Widzę, jak imają się wszelkich sposobów, ale średnio im to wychodzi.

– Ilu ludzi mogą wystawić? Wiem, to głupie pytanie, ale chcę wiedzieć.

– Naprawdę nie mam pojęcia, Ray. Równie dobrze pięć, jak i dwadzieścia tysięcy. Wywiad dopuszcza nawet do trzydziestu tysięcy.

– A jakie jest twoje zdanie?

Twarz Hendersona pozostała nieruchoma.

– Jeżeli już muszę odpowiadać, zaryzykowałbym twierdzenie, że najwyżej dziesięć, przy czym połowa z tego to naprędce rzućni do walki rezerwiści. Potrafią strzelać i wymieniać magazynki. Więcej po nich bym się nie spodziewał.

– Wystarczy i tyle.

Każdy człowiek z Kałasznikowem stawał się niebezpieczny. Mając za dowódcę rozsądnego sierżanta, kilku takich potrafi zatrzymać czołg. Wyszkolenie było ważne, ale motywacja stanowiła tu czynnik decydujący.

– Większość regularnych jednostek rozbiliśmy wcześniej. Jeśli uda się namierzyć miejsce, z którego koordynują działania, to i tutaj pójdzie szybciej – dokończył szef sztabu.

– Wiesz, czego nie znoszę, Nat? Tego poganiania. Czy tym na górze wydaje się, że nam wszystko przychodzi bez trudu? No, powiedz sam. Przez lata ćwiczyliśmy różne warianty. O mało nie wysłano nas do Syrii...

– Ja szykowałem się do Jemenu.

– Wiesz, co chcę powiedzieć. Wenezuela, Meksyk czy Daleki Wschód. Ale Rosja? Do czego to doszło?

– Jak do mnie dotarło, gdzie chcą nas rzucić, myślałem, że się przestyszałem. – Henderson przyznał rację Cooperowi.

– Sam widzisz. Ja rozumiem: chcą mieć miasto. To znakomity punkt do dalszej ekspansji.

– Zdaje się, że trafiłeś w sedno, Ray.

– Nie myślałem o tym wcześniej – zadumał się Cooper. – Brałem pod uwagę różne możliwości. Najczęściej te sugerowane przez biuro sekretarza stanu. Sporo mówiło się o nowym rządzie.

– Może Irak ich czegoś nauczył.

– Mianowicie?

– Zamiast odstrzelić Putina, lepiej się z nim dogadać. Im jest słabszy, tym ma mniejsze pole manewru. Inaczej nie widzę sposobu na doprowadzenie wszystkiego do szczęśliwego końca. Pomyśl, Rosjanie niedługo ockną się z letargu. Na razie są w szoku. Sporo na nich spadło...

Równocześnie unieśli głowy do góry, usłyszawszy wizg silników odrzutowych. F/A-18 Super Hornety, małe, ciemne punkciki na niebie, zrzucały ładunek bomb na cel, którego obaj generałowie nie potrafili dostrzec.

– Wiesz, jak jest. – Henderson podjął przerwany wątek. – Są zdezorientowani, ale to minie i raczej nie zaakceptują gotowych rozwiązań. Jeżeli nie znajdziemy sensownej alternatywy, utkniemy tu na lata.

– Więc co mamy robić? – zapytał cicho Cooper.

– Zajmijmy to parszywe miasto, a potem niech nas Bóg strzeże.

Zdążył wpakować do ust parę sucharów i popić wodą, solidniejszy posiłek musiał poczekać.

Wezwanie dowódcy batalionu do „ostatniego wysiłku” przyjął spokojnie. Zawsze tak mówiono przed starciem, w którym zwycięstwo przyjdzie okupić wysoką daniną krwi.

Początkowo wszystko szło doskonale. Koła Strykerów cicho szumiały, pokonując wysoką estakadę ZSD prowadzącą na północ. Ta przejażdżka wydawała się snem. Z każdą upływającą chwilą znajdowali się bliżej centrum. I to bez oporu przeciwnika.

Walsh przesunął palcem po ekranie tabletu. ZSD w pewnym momencie skręcała pod kątem prostym w lewo. Kilkaset metrów dalej ponowny skręt, tym razem w prawo, a jadąc nią do końca, docierało się w okolice portu. Dobrze pomyślane, lecz im nie o to chodziło.

Odpowiednio wcześniej musieli znaleźć zjazd, skręcić w prawo i poszukać prospektu Moskiewskiego, który zaprowadzi ich do celu. Siatka ulic wskazywała, że to nic trudnego. Dobra. Prospekt Moskiewski numer 132A. Zabezpieczyć jakieś ruiny. To chyba żart?

Gmach FSB, budynek dowództwa floty, instalacje wojskowe, chociażby siedzibę mera, ale stertę gruzów? Kogo obchodzi jakiś instytut, tym bardziej że niewiele z niego pozostało? Nieszczęśliwie wymagające zajęcie. O ile oczywiście tam dotrą.

Punkt znajdował się w sercu miasta. Jak już zdążył się zorientować, po opuszczeniu ZSD będą poruszali się pomiędzy kilkupiętrowymi budynkami, czyli wśród tysięcy potencjalnych miejsc na zasadzkę.

Podskoczył, gdy małokalibrowy pocisk uderzył w Strykera, ale dźwięk już się nie powtórzył.

Jeżeli te ruiny przedstawiały jakąś wartość, może należało skierować tam rangersów? Niech się desantują ze śmigłowca i sprawdzą, co i jak.

– Nie rozumiem, co pan mówi, kapitanie. – W głosie kierowcy kaprała Ezry Burke’a pobrzmiwała ledwo skrywana pretensja.

– Nic nie mówiłem – odpowiedział Walsh zły na siebie.

– W kółko słyszę tylko... o, cholera!

Transporter przy prędkości pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę wykonał gwałtowny manewr w lewo, a zaraz potem w prawo.

– Co to było? – zaniepokoił się kapitan.

– Miny. Leżały tuż przy tym rozwalonym gracie, dlatego nie dostrzegłem ich wcześniej.

– Zwolnij.

Kolejny rządki wyglądających jak odwrócone talerze min ułożono w poprzek jezdni. Stryker gwałtownie wytracił prędkość.

– Nie wyminę.

– Czekaj... Clark, zobacz, co można z tym zrobić.

Drużyna zwiadowców opuściła pojazd i zajęła pozycje po obu stronach transportera.

Jeżeli Rosjanie pomyśleli o zdalnym odpaleniu, to zaraz flaki Clarka ozdobią okolicę. Saper przeżył Irak i Afganistan, ciekawe, jak poradzi sobie w Petersburgu. Dla sporej grupy z nich to już trzecia wojna w ostatnich latach. Większość zaciągnęła się, by walczyć z islamistami. Obszar Federacji już dawno przestał być brany pod uwagę jako miejsce kolejnej wojny.

Walsh widział jedynie plecy Clarka klęczącego na asfalcie. W niczym mu nie pomoże, więc zamiast saperowi, zaczął przyglądać się wieżowcowi z betonu i szkła wystającemu ponad barierkę estakady. Biurowiec stał za daleko na oddanie skutecznego strzału. O wiele bardziej nadawał się jako punkt obserwacyjny.

– Skończone.

Tylko to chciał usłyszeć.

– Do wozu.

Burke powoli ruszył. Ładunek pozbawiony zapalników spoczywał obok krawężnika. Przyśpieszyli.



Zjazd powinien znajdować się niedaleko.

– Tutaj? – zapytał kierowca.

– Tak – potwierdził Walsh.

Tym razem obyło się bez nerwowych ruchów. Delikatny zwrot i obrali nowy kierunek.

Kolejna przeszkoda okazała się znacznie trudniejsza do pokonania. Kilka porzuconych samochodów blokowało przejazd.

– Co teraz?

– Wymiń.

Ważąca osiemnaście ton maszyna bojowa uderzyła w tył czerwonej Corsy, odrzucając osobówkę na bok. To samo spotkało jakiegoś SUV-a, który oberwał w przedni zderzak.

Skrzyżowanie ze światłami. Jeszcze nie tutaj. Na lewo od nich się zakotłowało. Za prymitywną barykadą przyczaili się obrońcy. Granat RPG, ciągnąc za sobą białą smugę, poszybował ponad nimi. Seria z działka natychmiast skosiła nieostrożnego operatora. Przy okazji oberwała znajdująca się w pobliżu grupa ludzi. Walsh nie dostrzegł, czy byli to wojskowi, czy cywile, tak szybko przemknęli obok.

– Uważaj...

Wyjeżdżający zza rogu BMP-2 wyrzucał w powietrze kłęby czarnych spalin. Na burcie białą farbą nagryzmołono jakiś napis. Nie znał cyrylicy, a czy to była jakaś nazwa, czy hasło, niewiele go obchodziło. Działo kalibru 105 milimetrów pojazdu przeciwpancernego jadącego za maszyną dowódcy szczęknięto ułamek sekundy wcześniej niż rosyjska armata 30 milimetrów, lecz i tak łoskot rykoszetu rozsadał bębunki w uszach. Strykerem zatrzęsło. W zasadzie już powinni nie żyć, pancierz nie zapewniał ochrony przed taką amunicją. Rosjaninowi musiała drgnąć ręka. Z kolei BMP przemienił się w supernową. Detonowała amunicja i paliwo. Burke wyminał płonący wrak w ostatniej chwili. Chryste Panie, znów się udało. O mało nie przegapili prospektu Moskiewskiego. Siła odśrodkowa cisnęła Walshem w prawo. Przy okazji boleśnie stłukł łokieć. Zaklął. Działko waliło krótkimi seriami, a kierowca lawirował pomiędzy poustawianymi bez większego sensu samochodami. Tu jeszcze do niedawna musiał odbywać się normalny ruch. Inaczej nie potrafił tego wytłumaczyć. Kolejne skrzyżowanie. Minęli jakiś gmach z wydłużoną iglicą, wywrócony trolejbus, sklep, aptekę, jakiegoś gościa powiewającego czarną flagą – kurwa, co tu się wyprawia? – i żółtą taksówkę cofającą się gwałtownie w bramę. Wszystko wirowało jak w kalejdoskopie. Gdzie jest ten cholerny numer? Łypał wzrokiem na tablet, starając się zorientować, gdzie są.

Jakiś człowiek wychylił się do połowy z okna, siejąc ku nim długą serią z automatu. Nim zdążył wystrzelać cały magazynek, strzelec i spora część fasady znikli w dymie i ogniu. Chłopaki z wozu za nimi nie próżnowali.

Szaleńcza jazda zdawała się nie mieć końca. Ulica ciągnęła się jak senny koszmar. Płonącą barykadę rozbili gwałtownym uderzeniem. Opony, drewniane palety i jakieś graty rozleciały się na wszystkie strony.

Już prawie byli na miejscu. Jakiś plac. Butelka z benzyną rozbiła się o pancierz. Ostatni skręt i... skosili uliczną latarnię. Podskoczyli na krawężniku, aż w końcu się zatrzymali.

– O mało go nie przejechałem – wyjącał kierowca.

Skąd te skrupuły? Gnojek sam się o to prosił.

Walsh opuścił Strykera i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego tylko cudem nie wprasowali w asfalt. Walsh wycelował w niego broń, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, tamten odezwał się pierwszy.

– Już myślałem, że się was nigdy nie doczekam.

– Amerykanin?

– Tak.

– Coś za jeden?

– Mów mi Nort, człowieku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 31 maja, godzina 20:16

– Tu?

– No.

Zatęchła, śmierdząca dziura nie wyglądała zachęcająco.

– Jeżeli mi nie wierzycie...

– Daj już spokój. – Wirski machnął ręką, powstrzymując dalsze wywody Szczerkowa.

Major moskiewskiej policji nerwowo oblizał usta. Wyglądał na tak samo przejętego całą eskapadą jak reszta drużyny. Właściwie to nawet bardziej, bo Nowakowski ziewał, a Pawłowski dłubał wykałaczką w zębach, maskując w ten sposób zdenerwowanie. Tylko Wasilij nie potrafił ukryć emocji.

Wirski wskazał palcem na ziejący w ziemi otwór.

– Co wy na to?

– Wygląda obiecująco – zakpił Nowakowski. – Dobra, ja zaczynam...

– Powoli.

Mocny snop światła omiótł wnętrze. Co najmniej dziesięć metrów dzieliło powierzchnię od dna. Do ceglanej obmurówki przymocowano stalowe pręty w charakterze szczebli.

Wszyscy czterej w szarych kombinezonach i butach na grubej podeszwie wyglądali na robotników-konserwatorów, powinni więc pasować do zapuszczonych miejsc moskiewskiej sieci metra. W plecakach wśród niezbędnych narzędzi ukryli środki mogące im pomóc w przedostaniu się do Metra 2, a przynajmniej do miejsc mających dla reżimu strategiczne znaczenie.

Odgałęzienie tunelu niedaleko stacji Park Zwycięstwa, do którego doprowadził ich Szczerkow, wyglądało zachęcająco. To już nie było błądzenie po omacku. Pod tym względem pomoc majora okazała się nieoceniona. Co prawda Szczerkow nie stał wysoko w hierarchii – w ocenie Wirskiego robił w charakterze faceta od najbardziej niewdzięcznych zajęć, jakie mogą stać się udziałem stołecznego policjanta, czego przykład mogli zobaczyć sami – niemniej długie lata pracy sprawiły, że posiadał informacje o sprawach, których rozpracowanie im zajęłoby tygodnie. System bywał nad wyraz szczelny.

Sprawdzenie samego majora okazało się trudniejsze, niż przypuszczali. W bazie danych, do jakiej posiadali dostęp, nie było o nim zbyt wielu informacji. Wyłącznie same podstawowe fakty – gdzie się urodził, jaką szkołę skończył i kiedy podjął pracę. Cała reszta pozostawała w sferze domysłów. Nie znali jego poglądów, ale przecież nie mogły one być sprzeczne z linią rządu. Jeżeli już zdecydował się przejść na drugą stronę, to jaki był tego powód? Z tych paru krótkich spotkań trudno było cokolwiek wywnioskować.

Wirski poskrobał paznokciem po zardzewiałym szczeblu.

– Ktoś tego w ogóle pilnuje?

Rosjanin nie zareagował na przytyk.

– I niby dokąd się tędy dostaniemy?

– Pomocnicze odgałęzienie tuż przy linii rządowej numer cztery.

– Znaczą się technicznie?

– Jak zwał, tak zwał – odparł Szczerkow.

Andrzej potarł nos grzbietem dłoni.

– Dawaj. – Machnął na Nowakowskiego.

Nie obyło się bez sapania – ręce na uchwyt i nogi znikają wewnątrz studni. Były pletwonurek zespołów bojowych Marynarki Wojennej zsuwał się z gracją, zawsze mając oparcie w trzech punktach. Najwyraźniej skorodowana stal i bijący gdzieś z boku wilgotny zaduch nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Andrzej, obserwujący przyjaciela z góry, wyraźnie widział, jak tuż przed zeskokiem Leszek wyciąga pistolet, by w razie potrzeby wypalić jako pierwszy. Cichy odgłos uderzenia butów o beton i szybkie ruchy w prawo i w lewo.

– Czysto.

Wskazał na Szczerkowa.

– Ośniamy.

Rosjanin poszedł w ślady Nowakowskiego z wyraźnie mniejszym zapałem.

Łomot mknącego niedaleko kolejowego składu odbił się od ścian tunelu. Instynktownie przygasili latarki. Szczerkowowi musiała wystarczyć czołówka osadzona tuż nad brwiami. Z ciemności dobiegło soczyste przekleństwo.

– Żyjesz?

O odpowiedzi usłyszeli przytłumioną wiązankę.

– Zdaje się, że nasz kolega uległ wypadkowi – powiedział Pawłowski.

– Dobrze, że nie spadł na dupę. Kto go stamtąd wyciągnie? Właź.

Wyciągnął z kieszeni telefon. Tu jeszcze był zasięg. Pomyślał o Tamarze, którą zostawili na straży. Według Szczerkowa znajdujący się tu wyjazd miał połączenie z ogólnodostępną siecią kolejową. Nie bez powodu w pobliżu czuwało paru typów na kilometr śmierdzących Federalną Służbą Ochrony. Tamara jak mało kto potrafiła wtopić się w otoczenie. Zresztą przy tej liczbie uchodźców przewalających się przez ulice nie było to szczególnie trudne. Mając na widoku ten newralgiczny punkt, przynajmniej będą wiedzieli, co dzieje się lub działo na górze. Oni sami pod ziemią zdobędą cenne informacje. To, czy uda się je wykorzystać, stanowiło osobną kwestię. Ostatni raz rozejrzał się dookoła, wsunął latarkę za pasek, a stopą wymacał pierwszy szczebel.

Od razu pożałował, że nie założył rękawic. Skorodowany metal wrzynał się w palce. Już nie dziwił się narzekaniom i przekleństwom Szczerkowa. Sam miał kilka na końcu języka. Z ulgą zakończył parometrową przeprawę. Sapnął, starając się przebić wzrokiem zalegający wszędzie mrok.

– Jakież pomysły?

– Tędy. – Rosjanin pewnie wskazał kierunek, zdaniem Wirskiego równoległy do tunelu znajdującego nad nimi, tyle że dobre dziesięć metrów niżej.

Z torby wyszperał jeden z dwóch noktowizorów znajdujących się w ich posiadaniu. Niestety, nie najnowszy model znacznie odbiegał od standardów, do jakich przywykł. Był toporny, ciężki, a uzyskany obraz pozostawiał wiele do życzenia. Niemniej lepsze to od mocnego snopu reflektorów zalewających wszystko białym światłem. Drugie takie samo urządzenie założył Nowakowski. Pozostali byli skazani na mdły promień ołówkowej latareczki.

Wyciągnęli broń. Trzask przeładowywanych pistoletów odbił się od betonowych ścian. Obecności w tym miejscu nie byłoby w stanie niczym usprawiedliwić. W zupełnym milczeniu ruszyli przed siebie. Początkowo szło się dobrze. Podłoże było równe i suche. Kłopoty zaczęły się tam, gdzie z bocznego owalnego korytarzyka mniej więcej metrowej wysokości do ich tunelu wylewała się strużka cieczy, tworząc szeroką i głęboką na parę centymetrów kałużę.

Stanęli przy dochodzącym tunelu i zajrzeli do środka. Korytarz wyglądał na wydrążony znacznie wcześniej niż reszta. Dno pokrywał szlam, a zielonkawa-rdzawa grzybnia tworzyła secesyjne kompozycje na ściankach i suficie.

– Ścieki? – zapytał Pawłowski.

Andrzej powiódł wzrokiem z dołu do góry.

– Raczej nie.

– A co?

– Bo ja wiem...

Wilgotny i ciepły powiew kojarzył mu się z czymś cierpkim.

– Tak jakby...

– No, dokończ... – zachęcił Wirski.

– Sam nie wiem. – Pawłowski nie potrafił zdobyć się na szczere wyznanie. Jemu to wyglądało na najniższy poziom mleczarni. Ten sam słodkawy odorek.

– Wasilij, a jakie ty masz zdanie?

– Stawiam wypłatę, że dojdziemy tędy do rzeki – odparł policjant zdecydowanym głosem.

– Jesteś pewny?

– Chcesz sprawdzić?

– Nie o to chodzi. – Wirski przykucnął, starając się nie zamoczyć do nogawek. – Sam powiedziałeś, że znasz tylko główne ciągi, a i to ze słyszenia. Może to nasza droga ewakuacji.

– Całkiem prawdopodobne – potwierdził Szczerkow.

– Nie pamiętasz, czy w tych twoich szkicach było coś podobnego? – Wirski zwrócił się do Nowakowskiego.

– Jasne. To i parę następnych. Myślisz, że zapamiętałem? – zirytował się Leszek.

– Masz przy sobie któryś z tych planów?

Nowakowski nie byłby sobą, gdyby nie zabrał zdobytych mapek. Sprawdzili. Nic nie pasowało, ewentualnie od biedy jeden czy dwa szczegóły można było dopasować.

– Genialne – mruknął Pawłowski, obracając kartkę na wszystkie strony. – Moim zdaniem nie ma tutaj nawet tego głównego ciągu, no chyba że to ten. – Wskazał na szkicu linię przebiegającą pod Parkiem Zwycięstwa i obok niego. – W takim razie... – kartka została po raz kolejny przekręcona do góry nogami – ...ten korytarz jest z tamtej strony.

Obrócili się za siebie, gdzie oczywiście znajdowała się gładka ściana głównego tunelu.

– Sam widzisz. To bez sensu.

Zły Nowakowski przestał zaglądać do korytarzyka i odwrócił się do nich plecami.

– Tracimy czas.

– Chyba tak – potwierdził Andrzej, złożony szkice i wsunąwszy je do kieszeni. Tu się do niczego nie przydały, ale w innym miejscu mogą pasować doskonale.

Następne minuty upłynęły w milczeniu. Przemierzali puste przestrzenie, nie natrafiając na nic godnego uwagi. Korytarz to schodził głębiej, to lekko się podnosił, lecz stale wiodł w tym samym kierunku. Do rozjazdu w kształcie litery T dotarli po kwadransie nieśpiesznego marszu.

Wirski skonfrontował to miejsce ze szkicem. Podobne zostało umieszczone na planie, z tym że lewa odnoga wiodła dalej, a tu po dwudziestu metrach drogę przegradzała ściana, po której spływała strużka wody. Pozostało odgałęzienie wiodące w prawo. W kompletnej ciszy zalegającej podziemia słychać było krople wilgoci spadające na ziemię i odległy, przytłumiony szum jeżdżących wagoników metra.

– Czujecie? – zapytał Szczerkow.

– Co?

– O to chodzi, że nic. Tu gdzieś powinny znajdować się wentylatory.

– Chyba że to wentylacja grawitacyjna, wtedy ciąg może być niewyczuwalny.

– Może...

– I tak śmierdzi tu jak w klozecie.

– Przestańcie marudzić, idziemy dalej.

Pierwsze niepowodzenia popsły nastroje w grupie. Ponieważ trudne i niebezpieczne zadanie okazało się nudną przechadzką, ostrożność zaczęła ustępować poirytowaniu. Miary rozgoryczenia dopełniła kolejna przeszkoda. Po jakichś osiemdziesięciu metrach dotarli do końca tunelu. Rozgałęzienie było ślepą uliczką.

Skonsternowani przyglądali się ścianie. Za żadną cholere nie chciało się w niej otworzyć tajemne przejście. To zresztą nie ta bajka.

– Szlag by to trafił.

– Zaraz zaleje mnie krew. – Narastająca w Wirskim złość nie potrafiła znaleźć ujścia. – Przeklęty

pech.

– Co robimy? – zapytał Szczerkow.

– Wracamy – postanowił Andrzej. – Drugie podejście i kolejna kłapa.

– To fakt. Nie mamy szczęścia. – Pawłowski splunął na ziemię. – Słuchaj, Wasilij, skąd w ogóle pomysł, że jest tu jakieś przejście?

– Bo jest. – Policjant wyglądał na najbardziej rozgoryczonego niepowodzeniem. W końcu to on ich tu przyprowadził. Chciał się wykazać, a wyszedł na durnia. A przecież dobrze pamiętał rozmowę w komendzie sprzed paru tygodni, kiedy to wszyscy zastanawiali się, co zrobi prezydent, kiedy przyjdzie ewakuować Kreml. Wtedy kolej wydawała się logicznym rozwiązaniem.

Wejść i wyjść z Metra 2 było kilka. O niektórych mówiły pogłoski, lecz te z okolic Parku Zwycięstwa były znane większości funkcjonariuszy. Przecież nie pilnowano by zupełnie zbędnych torowisk. Tajna sieć musiała znajdować się w pobliżu, lecz jak na złość nie umiał do niej trafić.

– Nic tu nie wymyślimy. – Wirski przesunął noktowizor na czoło i oświetlił przestrzeń latarką punktową. – Następnym razem przygotowujemy się lepiej. Prawda, Wasilij?

– Prawda, prawda.

Zawrócili, posuwając się takim samym tempem jak poprzednio. Szybko dotarli do rozgałęzienia, a zaraz potem do bocznego korytarzyka.

– A może by tak... – zaproponował Rosjanin, próbując za wszelką cenę pomóc.

– Może coś pokręciliśmy? – Nowakowskiemu najwyraźniej też nie było śpieszno na powierzchnię. – Masz te moje szkice?

Pochylili się nad papierem, prawie zderzając się głowami.

– Jak mówię? Wszystko pasuje, lecz jest z drugiej strony.

– Taa...

Leszek uważnie przyjrzał się ścianie naprzeciwko korytarza. Pawłowski poszedł w jego ślady.

– Jak dla mnie...

– I ja tak myślę.

Wirski podszedł bliżej.

– Co tam macie?

– Sam popatrz.

Chropowata struktura betonu bynajmniej nie była jednolita. Przy bliższych oględzinach dało się w niej odróżnić co najmniej dwie warstwy. Pierwsza, starsza, wykonana mniej starannie, ciągnęła się na całej długości. Na drugiej, z wyglądu późniejszej, odcisnęły się elementy szalunku.

– Jesteś geniuszem.

– To przecież oczywiste. – Nowakowski pokraśniał z dumy.

– Pozostaje jeden problem: mur może mieć równie dobrze dwadzieścia centymetrów, jak i metr grubości. Młotkiem i przecinakiem nie rozkruszymy żelbetu za żadne skarby.

– No dobra, panowie, każdy wie, co ma robić.

Półtora kilograma plastycznego materiału wybuchowego, spłonki i kilkadziesiąt metrów zwykłego kabla. Z braku zapalarki musiała wystarczyć dziewięciowoltowa baterijka. Z robotą uwinęli się w pięć minut. Pierwszy ładunek ograniczyli do zaledwie dwudziestu gramów. Otwór lepiej wykonać małymi kroczkami, niż od razu zmarnować cały zapas. Poza tym cholera wie, co znajdowało się po drugiej stronie. Co i kto.

Skryli się za załomem korytarza.

– Gotowi? – zapytał Leszek.

– Dawaj.

Nowakowski zetknął końcówki drutu. Walnęło potężnie. Huk zaskoczył nawet Wirskiego, który sądził, że jest nań przygotowany. Tu, w zamkniętej przestrzeni, wszystko było bardziej odczuwalne niż na otwartym terenie.

Odczekali chwilę, aż chmura pyłu opadnie i pozwoli ocenić efekt detonacji.

– Jeszcze raz tak pierdyknie, a będziemy tu mieli pół kompanii z ciężką bronią – zauważył Pawłowski.

– Miejmy nadzieję, że mają ważniejsze sprawy na głowie.

Ich nadzieje spełniły się przynajmniej częściowo. Szkice nie kłamały, czego wyraźny dowód mieli przed sobą. Mur okazał się ścianką parocentymetrowej grubości. W otwór już teraz można było wsunąć zaciśniętą pięść.

– Powtórka?

– Momencik.

Wirski wsadził latarkę w dziurę, starając się przebić wzrokiem ciemność i wirujący w powietrzu kurz.

– Widać coś?

– Na razie nic. – Wszystko tonęło w mgławicy unoszących się drobin. Dmuchanie nic tu nie pomagało, a wręcz przeciwnie.

Wyteżył słuch. Jeżeli gdzieś tam znajdowała się ochrona, to nie zdążyła jeszcze zareagować. Szczerze mówiąc, bał się powtarzać wszystko od początku. Jedna eksplozja to aż nadto. Z drugiej strony, ręczne powiększanie otworu zajmie pół godziny, a może i całą. Dziura musiała być na tyle duża, by zdołał przecisnąć się największy z nich. Utknięcie w murze groziło najgorszym.

– Tak czy inaczej wejdziemy tędy – zdecydował. – Wybijemy większą dziurę, lecz przejdziemy za parę godzin.

– A jak tam nic nie ma?

– To zamelduję o niepowodzeniu misji. Wszystko biorę na siebie.

– Jak chcesz.

•

Park Zwycięstwa wraz z Pokłonną Górą stanowił do niedawna jeden z ostatnich cichych zakątków stolicy Federacji. Do niedawna, bowiem zupełnie nieoczekiwanie w pobliżu zaczęło się robić tłoczno. Jako że punkt ten wyrastał ponad niżej położone dzielnice, wręcz idealnie nadawał się na stanowisko obrony przeciwlotniczej, z którego łatwo było namierzyć pojawiające się raz za razem samoloty sojuszu.

Na samym szczycie, wśród kompleksu dydaktyczno-wychowawczego i niewielkiej ekspozycji niemieckiego sprzętu bojowego z okresu II wojny światowej, kręcili się żołnierze obsługujący mobilne zestawy przeciwlotnicze S-300 i systemu Tor.

Upatrzone przez Tamarę miejsce, szczególnie dogodne do obserwowania ruchu na przebiegającym obok odcinku kolejowym, przestało być bezpieczną enklawą. Oprócz żołnierzy wojsk przeciwlotniczych pojawili się również saperzy i funkcjonariusze OMON-u. Parę zaczepek zbyła uśmiechem. Jednak ktoś w końcu zażąda dokumentów, więc lepiej było gdzieś się stąd usunąć.

Spróbowała dotrzeć bliżej magistrali, lecz nim na dobre zbliżyła się do płotu oddzielającego park od torów, wypatrzyła co najmniej dwudziestu ochroniarzy FSO tworzących żywy łańcuch. Zawróciła, zanim się nią zainteresowali.

Myśl o wpadce grupy co prawda przeszła jej przez głowę, choć wtedy na pewno nie obyłoby się bez rozwiązania siłowego. Nie chodziło więc o to. Zwolniła, zerkając przez ramię. Słyszała wyraźnie stukot kół na rozjazdach. Obserwację utrudniał płot i gęsto rosnące drzewa i krzewy. Sprawdziła komórkę: brak wiadomości. Jak na razie nikt nie wykazywał nią zainteresowania.

Ciężarowy Ził znikł za zakrętem. Sierżant siedzący na pace wciąż obsztorcował pluton – jego ochryple głos dolatywał aż do niej. Robota koncentrowała się bliżej szczytu, niżej na razie panował spokój.

Skręciła w stronę gęstych krzaków i przedzierając się przez zieloną gęstwinę, dotarła bliżej torowiska. Skład był już niedaleko. Przez najwyższej centymetrowej szerokości szparę pomiędzy betonowymi płytami płotu dostrzegła potężną szarą lokomotywę i rząd wagonów bez okien, za to z

wieloma antenami sterczącymi z dachu. Nie wyglądały ani na towarowe, ani na pasażerskie. Raczej jak ruchome centrum dowodzenia.

W tym momencie odezwała się komórka.

– Gdzie jesteś?

– A wy?

– Wyszliśmy się przewietrzyć.

– Zaraz dołączę. – Wcisnęła klawisz i zakończyła połączenie, nie zaprzestając obserwacji.

Po torach sunął kolejny pociąg. Tym razem wagony nie były tak nowoczesne. Uznała go za zwykły skład pasażerski, utworzony z pięciu wagonów. Wyglądał na pusty. W oknach nikogo, tylko przy drzwiach do każdej z salonek stał ochroniarz z automatem na ramieniu. Ciekawe, ciekawe. Musi o tym wspomnieć Andrzejowi.

Najciszej, jak potrafiła, wycofała się do głównej alejki. Ekipa już czekała w umówionym miejscu.

– Jak poszło?

Po kwaśnych minach domyśliła się, że nie najlepiej.

– Trudno powiedzieć. Mamy obiecujący trop, ale musimy poczekać – wyjaśnił Wirski.

Tym razem odezwał się telefon Szczerkowa. Odebrał go z ciężkim sercem.

– Tak...

Nikt nic nie mówił. Przyglądali się tylko Rosjaninowi, jak smętnie przytakuje, odpowiadając monosylabami.

– Koniec urlopu. Wszyscy mają stawić się na komendzie – powiedział, gdy już skończył rozmowę. – Jak nie pójdę, uznają mnie za dezertera. Pierwszy lepszy patrol, jaki się napatoczy, i po mnie.

– I tak już dosyć zrobieś.

– Temu bydlakowi Maszkinowi wydaje się, że jest samym prezydentem.

– Jak trafi się okazja, przyprowadź go do nas – zażartował Nowakowski. – Już ja sobie z nim pogadam. Wiesz, że mam dar przekonywania.

– Jego nie trzeba przekonywać. Jego trzeba powstrzymać.

– To poza naszym zasięgiem.

– Lepiej, jak już będziesz miał go na oku – poradził Wirski. – Zanim nadejdzie koniec, przeleje sporo krwi.

– Zupełnie niepotrzebnie.

– I ja tak sądzę.

Uścisnęli sobie ręce.

– Znajdziemy cię. Tylko uważaj na siebie i nie rób niczego głupiego.

– Żałuję, że tak mało działałem.

– Nie martw się. Bez twojej pomocy niewiele byśmy wskórali.

Do kolejnego spotkania, o ile zobaczą się w tym samym gronie, dojdzie już w zupełnie nowych warunkach. Wszyscy mieli tego świadomość.

– Twardy z niego gość – powiedział Pawłowski, gdy policjant oddalił się na kilkadziesiąt metrów.

– Szkoda, że tak mało jest myślących podobnie do naszego przyjaciela. – Andrzej objął Tamarę.

– Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

– A mnie do której grupy zaliczysz?

– No, wiesz...

– Mów szczerze. – Dostał szturchańca w bok.

– Nie rób mu krzywdy, bo zostaniemy bez szefa – zaśmiał się Nowakowski.

– Jeżeli chodzi o ciebie, to należysz do wyjątków pod każdym względem.

Stąd było już naprawdę niedaleko. Na przestrzeni paru ostatnich kilometrów zaczęły dominować tereny zabudowane, a nie jak do tej pory pola, lasy i bagna. Zrobiło się też bardziej ponuro i niebezpiecznie. Pierwsze nieśmiałe krople deszczu już spadły, lecz na prawdziwą nawałnicę dopiero się zanosilo. Gdzie nie spojrzeć, niebo zasnuwały dymy pożarów. Obecnie dołączyły do nich chmury kurzu i pyłu wzbijane przez porywiste podmuchy wiatru. Zanosilo się na ciężką noc. Im co prawda zamoknięcie nie groziło, ale wypadało współczuć wszystkim tym, którzy w najbliższych godzinach zostaną wystawieni na działanie żywiołów. Kto ma nadzieję, że opór z powodu pogody osłabnie, raczej się pomyli. Maciejewski odnosił wrażenie, że obrona tężeje.

Ich Abrams już wcześniej przeszedł remont. Wymieniono sporo podzespołów, ale nie lufę. Od kiedy ruszyli w bój, oddali tyle strzałów, że przekroczyli wszelkie normy, a w ogniu szaleńczej bitwy nowego wozu na pewno nie dostaną. Jedyne rozwiązanie – celowanie pod nieco większym kątem – wypróbowali niedawno podczas potyczki z trzema T-90. Jednego rozwalili od razu, drugiego unicestwiła rakietą Hellfire z AH-64, który szybko odleciał, a z trzecim przyszło się trochę potrudzić.

Dowódca tamtej maszyny, widząc, co się święci, wołał cofnąć się, niż pchać na pewną zgubę. T-90 skrył się za domem mieszkalnym. Pocisk wystrzelony z Abramsa przebił ścianę, wyrwijąc w fasadzie sporą dziurę. Przez wizjer Maciejewski widział koniec armaty rosyjskiego czołgu i prawy fartuch nad gąsienicami. Po sekundzie te części znikły jak duch.

Zapas amunicji był zbyt cenny, by marnować go na niewidocznego przeciwnika. Z drugiej strony, nie ruszy, mając gdzieś w pobliżu przyczajonego wroga.

Przyglądał się miejscu, gdzie stał T-90, i wciąż nie potrafił podjąć decyzji. Wszystko wyglądało na grę nerwów. Ten, kto okaże więcej zimnej krwi, wygra. Oczywiście, jak wezwie pomoc, bateria haubic zrówna okolicę z ziemią. Na takie rozwiązanie jednak nie pozwalała mu ambicja. W końcu miał środki do likwidowania podobnych zagrożeń.

Obok murowanego domu stała drewniana stodoła.

– Ładuj HESH.

Odkształcalny ładunek znikł w komorze zamkowej.

– Wystrzał.

Mimo zabezpieczeń, słuchawek i przedmuchiawca każde kolejne odpalenie przyjmował z niechęcią. Dość już natykał się smrodu i trujących wycieków. Mimowolnie kurczył się w sobie, gdy tylko wewnątrz czołgu przeszywał dźwięk wyrzucanego z lufy pocisku.

Zgodnie z przewidywaniami ze stodoły pozostały płonące szczątki. Jest, sukinsyn... Szybko nakierowali działo, nie pozwalając Rosjanom na kolejny odwrót.

– Wystrzał.

Ponownie dźwięk, od którego mdliło, i... spudłowali. Co za cholerny pech.

Irytujący trzask rozsuwanej zasłony przeciwybuchowej. Lśniące, wielokolorowe pociski ułożono według parametrów. Najwyżej przeciwpancerne. Odłamkowe na samym dole. Mechanicznie powtarzane ruchy. Ładowniczy niczym automat wykonywał wszystko z bezduszną precyzją.

– Gotowe.

Tym razem szybciej wystrzelili tamci. Maciejewski zdrętwiał, przygotowany na najgorsze. Dystans ośmiuset metrów pocisk pokonywał w sekundę. Żegnajcie, plany i marzenia. Czekał, aż życie zgodnie z opowieściami przewinie mu się przed oczami od początku do końca. Chyba już na to czas. Nic podobnego nie nastąpiło. Podporucznik ocknął się i rozejrzał. W duszy grała radość. Więc to jeszcze nie ta chwila. Widok Bradleya M2, którego trafili Rosjanie, wywołał w nim poczucie winy. Pojazd musiał wjechać na linię ognia prawdopodobnie przez przypadek. Na linii walki kręciło się sporo wozów. Być może załoga T-90 wybrała cel o wiele wyraźniejszy od Abramsa. Bradleye mające prawie trzy metry wysokości dawały się dość łatwo namierzyć.



Obojętnie, czym się kierowali, dalszych szkód już nie poczynią. Kolejny pocisk Abramsa trafił i przez włązy T-90 wystrzelił ogień. Gdy przejeżdżali obok, z jednego z nich sterczała poczerwiała sylwetka czołgisty, który spalił się żywcem. Na szlachetne odruchy nie było już miejsca, żadnemu z nich nie drgnęło serce.

Do Krasnoznamieńska został tylko kilometr. Granica miasta przebiegała tuż za jednym z ważniejszych skrzyżowań w okolicy i na południe od Szosy Mińskiej. Nawet jeżeli gdzieś tam organizowano obronę, obecnie nie miało to już żadnego znaczenia. Na linię umocnień znajdującą się na prawo od nich zrzucono z nieba takie ilości napalmu, że nie było szansy, by ktoś lub coś tam ocalało. Długa ognista krecha ciągnęła się przez pięćset metrów. Potęgę sojuszniczego lotnictwa widzieli już wcześniej, lecz za każdym razem patrzyli z podziwem przemieszonym ze zgrozą.

– Matko Przenajświętsza...

– Co ci się zebrało na lamenty, Makafa?

– Ja tylko tak.

Kierowca wyraźnie przechodził wewnętrzną przemianę. Kiedyś liczyła się dobra zabawa, obecnie raczej modlitwa. Maciejewski już niczemu się nie dziwił. Widział rzeczy, od których włos się jeżył na głowie. Sam parokrotnie cudem uniknął śmierci. Za każdym razem wydawało się, że to koniec, a jednak wciąż żył i wykonywał robotę najlepiej, jak potrafił.

Gdy tylko dołączyli do batalionu, ponownie znaleźli się w niezłym kołowrocie. Każdy chyba marzył o złuzowaniu. Czyżby w kraju nie pozostał ani jeden żołnierz? Z mało precyzyjnych informacji nie potrafił sklecić spójnego obrazu. Podobno... określenie „podobno” było jak najbardziej na miejscu, gdyż oddziały Wojska Polskiego zostały rozrzucone wachlarzem od centralnej Rosji po Ukrainę. Sam dotarł na przedmieścia Moskwy, więc newsy o zajęciu Lwowa, Łucka i Równego wcale go nie dziwiły.

Większość żołnierzy walczących na froncie nurtowało pytanie: kiedy będą musieli się stąd wycofać? A może taka konieczność wcale nie zaistnieje? Wbrew temu, co się mówiło, granice państwowe nie zostały ustalone raz na zawsze. Do ich rewizji dochodziło często, nawet w ostatnich latach, choć tym razem nie szło o drobną korektę.

Rozkaz o wstrzymaniu dalszego marszu zaskoczył podporucznika. Dopiero gdy przyjrzał się wskaźnikom poziomu paliwa i amunicji, uświadomił sobie, w jak trudnym położeniu się znaleźli. Zdecydowanie lepiej uzupełnić zapasy teraz, a nie wtedy, gdy znajdą się w mieście.

Czuł, że szykuje się niespokojna noc przed ostatecznym szturmem.

•

Stefański w niczym nie przypominał tego energicznego oficera, jakim go Maciejewski zapamiętał. Rzuciło się w oczy, że posiwiiał, a entuzjazm uchodził z niego wraz z każdym upływającym dniem na froncie. Dowodzenie batalionem pancernym wysysało siły z nieprawdopodobną szybkością.

W sztabowym wozie dowodzenia M577 zrobiło się ciasno. Wśród sprzętu komputerowego, ekranów, niewielkiego rozkładanego stolika i porozrzucanych paru gratów z trudem mieścili się oficerowie dowodzący kompaniami.

Pomiędzy zgromadzonymi Maciejewski nie dostrzegł kumpla z trzeciej kompanii. Zamiast niego oddział reprezentował jakiś nowy porucznik, trzymający się prosto, jakby kij połknął, w mundurze roztaczającym mdłą woń pralni. Obok, wciśnięty pomiędzy Stefańskiego a radiostację, stał ponury major z ciemnymi obwódkami wokół oczu, szarą szczeciną niegolonego zarostu i spadochroniarską naszywką na ramieniu. Więcej nie było widać w czerwonym świetle żarówki.

– Poznajcie... – Stefański oparty o krawędź stolika zaścielonego mapami wskazał na nowego – ...porucznik ...porucznik Eberbach.

– Eberhart – poprawił nowy.

– Tak, oczywiście. Przepraszam – przytaknął kapitan. – Porucznik obejmie komendę nad trzecią kompanią. Jak już zapewne niektórzy z was wiedzą, jej dotychczasowy zwierzchnik, podporucznik

Galica, zginął śmiercią żołnierską dzisiaj rano.

– Jak? – wyrwało się Maciejewskiemu.

– Lokalny kontratak sił rosyjskich. Sztab zarządził taktyczny odwrót, Galica osłaniał. Co więcej powiedzieć? Gdy wróciliśmy na to miejsce, z jego Abramsa niewiele pozostało. Decyzją naszych przełożonych z dniem dzisiejszym pośmiertnie zostanie awansowany do stopnia porucznika.

– A co to da?

– Rodzina otrzyma wyższą rentę.

– Akurat.

– Mnie też jest przykro.

W Maciejewskim pękła jakaś struna. Nie potrafił tego nazwać. Rozgoryczenie zatruło myśli i emocje. Po co się tak narażają? Gdy zostanie rozerwany czy spalony, nikt go nawet nie wspomni. Był zbyt małym trybikiem w maszynie. Opanował się z największym trudem. Cofnął się o ćwierć kroku, lecz znajdująca się za plecami aparatura nie pozwalała na bardziej zdecydowany ruch.

– To pierwsza ze spraw, jakie chciałem poruszyć. – Widać było, że Stefański nie ma ochoty dalej rozwodzić się nad losem Galicy. – Przed nami postawiono nowe zadanie. – Zdjął łokieć ze stolika, odsłaniając plan z naniesioną siatką ulic. Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, jakiego miasta to mapa. – Będziemy ściśle współpracować z grupą bojową majora Kani.

– Dlaczego?

– Jak zapewne się domyślacie, sama 22 Brygada jest zbyt słabym związkiem taktycznym, by wykonać powierzone zadanie.

– Jak do tej pory doskonale dawaliśmy sobie radę bez niczyjej pomocy.

– Lecz tym razem nie chodzi o zajęcie jakiegoś miasteczka czy skrzyżowania – cierpliwie tłumaczył Stefański.

– Przyglądając się temu z boku, dziwię się, że dotarliśmy aż tutaj.

– Wszyscy wiemy, jak jest. Jeżeli nie skoncentrujemy się... ofiary stracą sens... Tak... Pan major ma na ten temat parę uwag – zakończył szybko i niezgrabnie.

– Musimy pamiętać, że nie jesteśmy sami – rozpoczął wywód zwierzchnik grupy bojowej. – Mimo wielu deklaracji ze strony naszych sojuszników, najwyższe władze państwowe zdają sobie sprawę, że ten, kto opanuje kluczowe rejony Moskwy, znajdzie się w lepszej pozycji do przyszłych rokowań. Wpływa na to wiele kwestii, od tych prestiżowych poczynając, na przyszłej polityce zagranicznej Rosji i bezpieczeństwie naszej ojczyzny kończąc. Panowie, dobrze wiecie, że tu nie ma sentymentów.

Zapadło kłopotliwe milczenie, lecz nie trwało długo.

– Przypadek sprawił... – Stefański spojrzał na Kanię. W odpowiedzi ten nieznacznie skinął głową. – No dobrze, to nie przypadek. Wyciągnęliśmy wnioski z przeszłości. Również i dla was nie jest tajemnicą, że nie do końca możemy ufać naszym sojusznikom. Jankesi zawsze gotowi się dogadać za naszymi plecami, jeżeli tylko uznają, że jest to dla nich korzystne. Do tego nie możemy dopuścić. Przeciwnik nierzucony na kolana jest bardziej niebezpieczny od wściekłego psa. Nasze ciśnienie w kierunku Moskwy szybko zostało dostrzeżone, stąd pomysł Pentagonu utworzenia III Korpusu. Pewnie dla większości z was wyglądało to na pośpieszne działanie. Zaangażowanie Amerykanów pod Petersburgiem to tylko jedna z przyczyn. W tym przypadku mogliśmy zapomnieć o odegraniu decydującej roli. Sprowadzono by nas do roli partnera o drugorzędnym znaczeniu. A my mamy szansę i własne plany.

W końcu dobrnęli do najistotniejszych zagadnień, czyli wyznaczenia przyszłych celów. Przemowa, którą usłyszeli, choć nieskładna, to jednak wiele wyjaśniała. Mimo to na razie ta cała gadka o priorytetach na Maciejewskiego nie działała. Wydumane pomysły polityków i sztabowców raczej go irytowały. Jedna sprawa siedzieć w zacisznym gabinecie czy schronie i snuć wizje przyszłości, a inna nadstawiać głowę.

– Po pierwsze, lotnisko Wnukowo. Jest tylko pięć kilometrów stąd. To ważny punkt dla całego

zachodniego odcinka – zaznaczył Kania. – Z rozpoznania wiemy, że jest silnie bronione. Podejrzewamy, że właśnie tamtędy Rosjanie mogą ewakuować część personelu i wyższych oficerów, dlatego tak nam zależy na szybkim uchwyceniu obiektu. Domodiedowo i Szeremietiewo znajdują się pod ostrzałem artylerii...

– Czy nasze haubice nie mogą zrobić tego samego? – wtrącił mało uprzejmie Eberhart.

– Mogą, oczywiście, że mogą. Wolimy jednak, by na wstępie nie zaczynać od usunięcia sterty gruzu z terminalu – wyjaśnił Kania.

– Tylko jak to się ma do tej twardej obrony, o której pan wspomniał? – Więc jednak młody potrafił się postawić. Pozostali dowódcy kompani przyjrzeni mu się z zainteresowaniem. Zyskał ich sympatię, a jak dobrze pokieruje oddziałem, zyska szacunek.

– Już to wyjaśniam.

Wyraźnie dostrzegli poirytowanie majora.

– Wspomniałem o ewakuacji, jaką prowadzą Rosjanie. Naszym... to znaczy panów zadaniem będzie schwymane jak najliczniejszej grupy. Oczywiście, z czołgu tego się nie da zrobić. Stąd moja obecność. Grupa, którą dowodzę, przejmie wszystkich figurantów, których się da, i wyeliminuje zbędnych.

Na zewnątrz ulewa z nową mocą spadała na wóz sztabowy, tłumiąc na chwilę wszystkie pozostałe odgłosy.

– Ruszamy o godzinie 00:30 – oznajmił Stefański. – Są jakieś pytania?

Nikt nie wyrwał się z uwagami.

– Jeżeli wszystko jest jasne, przejdźmy do szczegółów.

## ROZDZIAŁ TRZECI

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 1 czerwca, godzina 00:21

- Jaki mamy plan? – zapytał Nowakowski.
- Ten sam, co zawsze. – Wirski oświetlił wyrwę w ścianie niewielką latarką.
- To znaczy?
- Wejść do środka i wyłuc wszystkich, którzy staną nam na drodze.
- Mało wyrafinowane. Myślałem, że stać nas na więcej.
- Kiedyś też mi się tak wydawało.

Mrok po drugiej stronie muru wydawał się gęsty jak zupa. Cząsteczki pyłu wirowały w powietrzu podrywane do góry za każdym razem, gdy zmieniali pozycje. Tym razem nikt nie zgłaszał się na ochotnika. W dodatku na powierzchni zrobiło się nerwowo, kiedy od strony przedmieść nasiliło się echo nieustającej kanonady. Daleki pomruk brzmiał jak burza i właściwie był nie do odróżnienia od grzmotów i błyskawic nawałnicy, która rozpętała się nad Moskwą.

Ludzi dosłownie związało z ulic. Kto mógł, chował się w schronie, piwnicy czy metrze. Pozostawali nieliczni nieszczęśnicy przygotowujący obronę. Przynajmniej lotnictwo ograniczyło ataki, dając moskwanom parę godzin wytchnienia. Można więc powiedzieć, że grupa Wirskiego z ulgą zesza pod ziemię.

Wirski pochylił się i precyzyjnie na drugą stronę otworu. Nie wykluczał co najmniej kilkunastu funkcjonariuszy Federalnej Służby Ochrony czyhających na każdego, kto zbliży się do wyłomu. Jeżeli sieć tajnych tuneli faktycznie znajdowała się pod szczególnym nadzorem, tak właśnie powinno być. To potwierdziłoby też wartość ich szkiców, a tak wciąż obracali się w sferze domysłów.

Już tyle razy przyglądał się wykresom, że znał je na pamięć. Wystarczyło przymknąć oczy, a widział całą siatkę mniej lub bardziej hipotetycznych korytarzy z najmniejszymi detalami. Jeśli te rysunki choć w połowie są wiarygodne, to wkrótce się o tym przekonają.

Zrobił parę kroków i przepuścił pozostałych. Następna precyzyjnie się Tamara, a jakże. Jako najdrobniejsza z nich zrobiła to najsprawniej.

Wirski zabrał ją z największą niechęcią. Na górze nie mogła zostać, a od bezpiecznego lokum dzieliła ich połowa miasta. Zresztą za nic w świecie nie dałaby się odprawić. Czy tu, czy też na ulicach, szanse na przeżycie wyglądały podobnie.

Wbrew przypuszczeniom nie znaleźli się w kolejnym korytarzu, lecz w czymś w rodzaju komory. Pomieszczenie było wyższe, a boczne ściany znajdowały się w odległości co najmniej dwudziestu metrów od siebie. Idealna cisza i idealna ciemność. Zmysły zaczynały wariować. Gdyby nie to, że Tamara przytrzymała się rękawa jego kurtki, umysł nie znalazłby najmniejszego oparcia. Stąd już tylko krok do osunięcia się w szaleństwo.

Za jego plecami ktoś chrząknął, przygnębiony przedłużającą się ciszą. Po charakterystycznym dźwięku dołączył do pozostałych.

- Znowu pudło – oświadczył Pawłowski z rezygnacją.
- Dlaczego tak myślisz?
- To jakiś pieprzony schron. Na dodatek pusty.
- Na szczęście pusty – poprawił przyjaciela Leszek.
- Może to nie schron, a magazyn?

Dłuższe stanie w jednym miejscu nie pomagało w rozwiązaniu zagadki. O ile potrafił dostrzec szczegóły, komora faktycznie wyglądała na pustą. Żadnych skrzyń, pakunków czy jakiegokolwiek wyposażenia. U góry znajdowały się gniazda lamp, lecz trudno zgadnąć, czy są sprawne. Im dalej zagłębiali się w mrok, tym większe czuli przygnębienie. Chropowata struktura betonu chrzęściła pod stopami. Tu naprawdę od bardzo dawna nikt nie zagłębiał.

Dobrnęli w końcu na przeciwległy kraniec. Już wiedzieli, dlaczego nikt nie zareagował na

ekscesy odbywające tuż pod nosem ochroniarzy z FSO. Marszu nie można było kontynuować. Grube stalowe drzwi otoczone gumową uszczelką blokowały dostęp do dalszej części labiryntu. Szara, łuszcząca się farba odłaziła całymi płatami. Spod niej wyzierała warstwa rdzy. Dwie wajchy z prawej strony dociskały wierzeje do zabetonowanej futryny.

- Ja pierdolę... – wyrwało się Pawłowskiemu. – Ty i te twoje pomysły.
- Chciałem dobrze.
- A wyszło jak zwykle.
- Mogłeś sam pokombinować.

Sprzeczką nabierała rozmachu, tymczasem Andrzej przyjrzał się zetłalej uszczelce. Od dawna nikt jej nie wymieniał. Nożem naciął fragment i szarpnął, urywając parocentymetrowy pasek. Uwiesił się na górnym uchwycie i mocno pociągnął w dół. Trochę puściło, ale miał nadzieję, że pójdzie więcej. Spróbował tego samego z dolną dźwignią, ze skutkiem jeszcze mizerniejszym.

- Nie idzie?
- Sam spróbuj. – Wirski odstąpił, otrzepując dłonie.

Jak już komuś może się udać, to jedynie Nowakowskiemu. Andrzej nie znał wielu, którzy dorównywaliby Leszkowi siłą ramion.

Ten, podobnie jak poprzednik, rozpoczął działanie od oględzin. Poluzowaną już górną dźwignię popchnął z powrotem, dociskając zamknięcie, a następnie mocnym ruchem skierował ją ku dołowi. Uzyskali kolejne parę centymetrów. Parokrotnie powtórzył operację, aż w końcu sztaba puściła. Wymownie spojrzął na widzów, oczekując aplauzu.

- Teraz druga – zachęcił Wirski.

Nowakowski zaparł się nogami i całym ciężarem nacisnął na wajchę. Ani drgnęła.

- Nie idzie... – oznajmił wściekłym głosem.
- Próbuj dalej.

Tym razem na czole Nowakowskiego wyskoczyła żyła. Raz pchał, a raz ciągnął za uchwyt z całą siłą, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Mocowanie w końcu ustąpiło. Rozległ się zgrzyt i było po wszystkim. Przynajmniej tak im się wydawało. Zardzewiałe zawiasy trzymały mocno. Dopiero zaparcie się nogą o ścianę pozwoliło uporać się z problemem. Przez powstałą szczelinę można było precyzyjnie przycisnąć co najwyżej łokieć.

- Dziadostwo. – Leszek oparł dłonie o kolana i ciężko oddychał.
- Dobra. Teraz my spróbujemy.

Metodą podobną do tej, której użył Nowakowski, po paru minutach konsekwentnej pracy udało się poszerzyć wejście. Z trudem, bo z trudem, pierwszy przycisnął się Wirski.

- Jeszcze odrobinę. – Tym razem pchał, a pozostali ciągnęli.
- Wystarczy.
- Na więcej nie liczę.

Powstała przestrzeń na tyle duża, że dało się swobodnie przejść w obie strony.

- Przyjrzyjmy się, co tu mamy.

Po obu stronach korytarza znajdował się ciąg niewielkich pomieszczeń. Toaleta, wartowania, magazynek na broń, tak to mniej więcej wyglądało. Niekiedy przeznaczenie betonowych cel stanowiło zagadkę, niekiedy było oczywiste. Tylko w jednej znaleźli leżący na boku drewniany taboret. Poza tym wszędzie świeciło pustkami. Od dawna nikt tu się nie kręcił. Magazyn porzucono jakieś parę dekad wcześniej. Po kilku następnych metrach tunel zwężał się w kolejny anonimowy korytarz, którego odległy kraniec ginął w idealnej czerni.

•

Mimo wszystkich udogodnień, jakimi dysponowali, nocna walka nie należała do ulubionych zajęć Maciejewskiego. W grę wchodziło zbyt wiele zmiennych. Już teraz na ekranie widział dziesiątki pojazdów szykujących się do ataku. Czołgi, transportery, wozy piechoty i zabezpieczenia technicznego. Gdzieś tam przebiegali żołnierze. Jakaś drużyna przesiadała się z jednego

Rosomaka do drugiego, a inna przemieszczała się na prawym skrzydle. Czego tam szukała, nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Jeżeli to ludzie Kani, to w pobliżu czekały na nich Black Hawki. Może to zresztą sam major próbuje dotrzeć do oddziału szturmowego, który miał poprowadzić do ataku? Wszystko jedno. Przeżyć tę ostatnią noc, a potem niech go pocałują w dupę.

Krasnoznamieńsk powoli zostawał za nimi. Jeżeli wśród ruin toczyły się jakieś starcia, dla jego batalionu nie miały większego znaczenia. Obrońcy w większości zostali przemieleni przez wojenną maszynę lub uciekli. Pozostali co najwyżej snajperzy ułatwiający odwrót kolegów i obserwatorzy. Przyjęcie na kolejnej linii obrony może okazać się gorące.

Z powodu szalejącej nawałnicy wsparcie z powietrza ograniczono do minimum. Główny atut sprzymierzonych – miażdżąca przewaga lotnicza – akurat w tym kulminacyjnym momencie zniknęła. Łatwo przywykli do asekuracji. Wezwana na żądanie osłona spadała na przeciwnika z siłą kowalskiego młota, krusząc obronę i wybijając z głowy myśli o walce do ostatniego człowieka. Teraz wszystko na ich głowie. Od tej pory każdy punkt oporu, stanowisko czy barykadę trzeba będzie niszczyć ogniem bezpośrednim. Jednemu czy drugiemu desperatowi w końcu uda się podejść dostatecznie blisko i zrobić z Abramsa tarczę strzelniczą. Wystarczy, że zostaną unieruchomieni, dalej wszystko pójdzie już szybko. Granaty z RPG-ów zaczną się rwać na pancerzu i zrobią z niego rzeszoto.

Doświadczenie bojowe pozwalało mu dosyć precyzyjnie uchwycić chwilę, kiedy niewiele znacząca frontowa kanonada przechodziła w kolejną fazę walki. Może sprawiała to artyleria i wzrastające tempo ostrzału, a może wewnętrzny zegar podpowiadający Maciejewskiemu, że już czas.

W panujących ciemnościach z trudem dawało się odróżnić ziemię od nieba. Dziesiątki detonujących pocisków rozbłysło na horyzoncie w jednej straszliwej sekundzie. Wszystko, co znajdowało się w polu rażenia, musiało ulec zagładzie. Kotary śmierzącego dymu rwały się wraz z mocniejszymi podmuchami wiatru. Wybuchło parę pożarów. Pomarańczowy blask rozjaśniał poszczególne punkty. To na pewno nie obiekty otaczające Wnukowo, tylko coś leżącego znacznie bliżej nich.

Batalion ruszył. Na czele czołgi, za nimi cała reszta drobnicy. Od tej chwili wyćwiczone odruchy wyparty rozmyślenia nad sensem działań. Wewnętrznie się sprężył. Na ekranie obserwował, jak kompania rozwija szyk. Poszczególne pojazdy zajmowały wyznaczone miejsca, stopniowo nabierając prędkości.

Pierwsze ciała dostrzegł trzysta metrów dalej. Co przykre, wcale nie należały do Rosjan. Leopard 2 stał nieruchomo jak wartownik na zapomnianym posterunku. Wieża z pękatą armatą sterczała pod dziwnym kątem na prawo od osi wozu. Spod maskującej płachty wystawały buty. Dwie pary, a nie cztery, jak należało się spodziewać.

Nad ciałami stał grabarz i palił papierosa. Całą postawą wyrażał dojmujące znużenie. Skąd się tu wziął, dla Maciejewskiego stanowiło zagadkę. Jeszcze parę minut wcześniej wydawało mu się, że był w czołowce natarcia.

Seria kilku następujących po sobie błyskawic rozświetliła okolicę. Wszystko utonęło w upiornym blasku. Oślepiony zamknął powieki. Gdy je otworzył, grabarza już nie było. Martwi pozostali, lecz ich anioł stróż rozmył się w deszczu i mgle.

– Widzieliście?

– Czwórka nieco odstaje, panie poruczniku. Z nimi tak zawsze. Pucują i rychtują tę kupę złomu, a jak przyjdzie co do czego... – zajazgotał kierowca.

– Ja nie o tym.

– A o czym?

– Tam stał jakiś... – Nierealność sytuacji dopiero teraz dotarła do Maciejewskiego.

– Nikogo nie było. Dam sobie rękę uciąć. Przecież widziałbym.

– Mąkała, ja nie żartuję.

– Ja też nie, panie poruczniku. Po co miałbym to robić?

Spojrzał na ładowniczego, który wlepił w dowódcę przerażone oczy.

– A ty?

– Niech skonam.

– Lepiej się nie zarzekaj. – Gadka z nimi nie miała sensu. Jak to możliwe, że pozostawali ślepi, a on dostrzegał wszystko z najdrobniejszymi szczegółami? Dalsze upieranie się przy swoim zdaniu groziło zdjęciem go ze stanowiska. Gotowi go uznać za wariata. A tak w ogóle to skąd się tu wziął Leopard? 10 Brygada Kawalerii Pancerniej operowała na zupełnie innym kierunku. Tego czołgu nie powinno tu być. Spróbował odwrócić głowę i rozejrzeć się jeszcze raz, lecz tamto miejsce pozostało daleko za nimi. Jak zacnie przez radio prosić o potwierdzenie, Stefański dostanie szafu. Zresztą całkiem słusznie. Szybko przypomniał sobie, że ma prowadzić natarcie, a nie zajmować się nieistniejącymi... no właśnie, czym? – czołgiem widmem, upiorami czy własną, błędną oceną wypadków?

– Cel na jedenastej.

– Ładuj.

Przywarł do wizjera z rozpaczliwą determinacją. Być może teraz nie ulegnie przewidzeniom.

Lotnisko Wnukowo znajdowało się tylko trzy i pół kilometra dalej.

•

W końcu usłyszeli to wyraźnie. Miarowy odgłos toczącego się składu dochodził gdzieś z ciemności. Andrzej dałby głowę, że słyszy rozmowy, krzyki i popędzanie. Wszystko wskazywało na to, że faktycznie trafili do rządowej sieci metra. Weszli do niej jakimś bocznym kanałem. Tylnymi drzwiami, by tak rzec. Obojętnie, liczył się fakt, a nie sposób.

– Stójcie – powiedział szeptem.

Jeżeli kawałek dalej znajdowali się Rosjanie, nie było sensu pchać się im w łapy całą grupą. Przecież nie wdadzą się z nimi w strzelaninę ani nie spróbują wysadzić składu. Na pewno nie we trzech – bo Tamary w tym równaniu nie brał pod uwagę.

O ile sobie przypominał, należało znaleźć strategiczne łącza. Ewentualnie dać cynk tym na zewnątrz o rozpoczynającej się ewakuacji najwyższych władz. Na razie trafili dopiero na pierwszy jej ślad. Gdy tylko uzyskają potwierdzenie, należy jak najprędzej wynieść się z podziemi. Nie ma siły, wcześniej czy później wpakują się na jakiś patrol. To cud, że się tak nie stało do tej pory.

– Zostajecie. – Skinął na Tamarę i Nowakowskiego.

Nic nie powiedzieli, choć widać było, że Nowakowskiemu to nie w smak.

Razem z Pawłowskim ostrożnie ruszyli dalej. Cały czas zastanawiał się, jaką pokonali odległość. Stacja Park Zwycięstwa, a właściwie boczne techniczne zejście, potem dojściówka, najwyżej sto metrów. Następnie ten tunel, po którym kluczyli razem ze Szczerkowem. Od początku do wysadzonego otworu kolejne sto pięćdziesiąt metrów, może dwieście. Komora, czy raczej magazyn wielkości średniej sali gimnastycznej długością nie imponował. Wartownia i pusty korytarz najwyżej... W panującym mroku strasznie trudno było określić długość pokonanej trasy. Miał wrażenie, że tunele ciągnęły się bez końca, gdy tak naprawdę pewnie pokonali jakieś kilkadziesiąt metrów. Złudzenie niekończących się ciągów, przejść i korytarzy przygnębiało i wpływało na percepcję. Jego skromnym zdaniem znajdowali się najwyżej pół kilometra od stacji. Tak podpowiadała logika. Na intuicję nie chciał się teraz zdawać.

Dojściówka kończyła się większym tunelem, biegnącym prostopadle. Po raz pierwszy w tej części podziemnej sieci dostrzegł szyny kolejowe. Wyglądały na wąskotorówkę, szły na prawo i lewo.

Ostrożnie wyjrzał zza rogu. Korytarz na lewo skręcał w mrok. Ten po prawej stronie kończył się jakieś dwadzieścia metrów dalej. W zielonkawej poświacie noktowizora widział wylot tunelu, a za nim całkiem spory fragment wagonu. Od razu przypomniał sobie relację Tamary. Jeżeli to jest ten sam, to już wiedzieli, co się z nim stało. Palcem wskazał Pawłowskiemu kierunek. Ten wysunął

głową, lecz szybko ją cofnął, gdy za wagonem pojawiło się parę wkurzonych postaci. Krzyczeli i gestykulowali, klnąc przy tym niemiłosiernie. Jeden domagał się odjazdu, drugi upierał się przy rozkazach. Znikli równie szybko, jak się pojawili.

Kolejne szybkie spojrzenie i równie gwałtowny odwrót. Tym razem wartownik z automatem na ramieniu zrobił parę kroków, jak się zdawało, w ich stronę. Mało prawdopodobne, by w panujących ciemnościach zostali dostrzeżeni, niemniej serce podjechało Wirskiemu do gardła. Pawłowski wyglądał na tak samo sparaliżowanego strachem. Na wszelki wypadek wyjął pistolet. Wolał strzelać pierwszy, niż czekać na nieuchronną katastrofę.

Zamiast wystrzału usłyszeli szum ściekającej cieczy.

Wirski zaryzykował. Wystarczyła sekunda. Już wiedział, co jest grane. Ten cholerny złamas łał parę metrów od nich. Zdaje się, że twórcy tego cudu podziemnej techniki zapomnieli o paru drobiazgach, jak na przykład toalety. A może wartownikowi nie chciało się drałować kilometr dalej albo kible były tylko dla oficerów lub chorował na pęcherz? Jak tak dalej pójdzie, utoną w szczynach. W podziemiach znajdowały się tysiące funkcjonariuszy. Ten po prostu postanowił sobie ulżyć w przypadkowym miejscu. Zdechną od samego fetoru.

W tym momencie sam poczuł parcie na pęcherz. Chłód, nerwy i to, co wypił przed zejściem, w końcu dały o sobie znać. Przecież nie był już taki młody. Wiek ma swoje prawa.

Po odgłosie ciężkich kroków zorientowali się, że Rosjanin odszedł. Pokusa podkradzenia się bliżej okazała się silniejsza od zdrowego rozsądku. Wirski wychylił się i zlustrował korytarz. Nikogo. Jakieś cienie skakały po suficie, lecz domyślał się, że ludzie są po drugiej stronie wagonów. Obrócił się na stopie, podpierając lewą nogą. Jeżeli ma tego dokonać, to tylko teraz.

•

– Reasumując... – Minister obrony potoczył mało przytomnym wzrokiem po zebranych i zanim zabrał się za odczytywanie dalszych meldunków, ciężko westchnął. – Na odcinku od Radiszewa po Oziorsk zwiększa się nacisk 2 Brygady 1 Dywizji Piechoty. To amerykańska elitarna jednostka wojskowa. Brała udział w walkach na Sycylii w 1943, lądowała w Normandii i przekroczyła Ren.

– A teraz do listy chwały dopisze wzięcie Moskwy – dopowiedział szef FSB Aleksandr Bortnikow.

– Historyczne wykłady proszę pozostawić na inną okazję – warknął Władimir Władimirowicz. – Same konkrety.

– Tak. Oczywiście.

Prezydent zacisnął zęby. Szojgu wyglądał na takiego, któremu jest już wszystko jedno. W ciągu miesiąca wypalił się zupełnie. Wyglądał jak wrak człowieka, a nie minister obrony. Przecież zupełnie niedawno tryskał pomysłami – ten plan z przedłużeniem oporu i wycofaniem się dalej na wschód spodobał się wszystkim. Nie mieli już nic do stracenia. Właściwie pozostało pozamiatać i wynieść się z Moskwy, inaczej ci parszywi jankesi i ich polscy pomocnicy gotowi postawić cały rząd przed międzynarodowym trybunałem lub wymyślić coś równie upokarzającego. Nie, nie, nie. Do tego nie można dopuścić.

Zabębnił palcami po biurku. Głędzenie ministra działało mu na nerwy. Gdy tylko wydostaną się z pułapki, zastąpi Szojgu kimś energiczniejszym. Kandydatur nie brakowało. Może dotychczasowy szef sztabu generał Nikołaj Makarow lub Władimir Szamanow z wojsk powietrznodesantowych? Ewentualnie ktoś z drugiej linii, łatwy do kierowania, o niewygórowanych ambicjach, za to obeznany w temacie. Ktoś na miarę Żukowa, Koniewa czy Czujkowa. Ech, jak to się stało, że podczas Wielkiej Ojczyźnianej nie brakowało odpowiednich osób, a teraz jak najbardziej?

– Kolejną formacją, jaką dało się zidentyfikować, jest 62 Jednostka Ekspedycyjna Piechoty Morskiej – niezmordowanie ciągnął Szojgu.

– Już kiedyś o niej słyszałem – zainteresował się Bortnikow.

– To ci sami, którzy zajęli Amdermę na samym początku.

– Czyli koń trojański, którego udało się wprowadzić Amerykanom na naszą ziemię pod



pozorem akcji ratunkowej.

– Jeżeli mnie pamięć nie myli, decyzję podjęliśmy wspólnie. – Szojgu doskonale wiedział, o co chodzi szefowi FSB. W tym stadzie walka o władzę i wpływy toczyła się nieustannie. Nieważne, że wróg u bram. Liczyły się najbliższe godziny. Albo ja ciebie, albo ty mnie.

– Nawet jeżeli tak, to kontrola nad nimi spoczywała na armii.

– A mnie się wydaje, że służby bezpieczeństwa w tej kwestii miały równie dużo do powiedzenia. – Szojgu otrząsnął się z apatii i szybko zmieniał w rosyjskiego niedźwiedzia.

– Robiliśmy, co w naszej mocy.

– Za każdym razem, kiedy słyszę takie słowa, mam wrażenie, że mają one przysłonić niekompetencję – kwaśno uśmiechnął się minister. – Jedyne, na co was stać, to nieprzemysłane prowokacje. Zabieracie się za robotę, o której nie macie pojęcia.

Ołówek w dłoniach Bortnikowa pękł na pół. Był wściekły. On zajmuje się prowokacjami... on?... Co za tupet! Tyle lat wiernej służby i oto, co go spotyka. Najbardziej rozczarowywał go brak reakcji Putina. Prezydent wyglądał na osobę błędzącą myślami gdzieś daleko.

– Jeżeli jest w istocie tak, jak twierdzi minister obrony, to skąd wzięła się ta cała hołota pod naszymi drzwiami? To wy ich tu wpuściliście. Nikt inny, tylko wy. – Palec Bortnikowa oskarżycielsko wskazał na Szojgu. – My... – Ten sam gest, tylko w drugą stronę, miał świadczyć o zaangażowaniu. – Nigdy nie zawiedliśmy. Tylko dzięki nam jeszcze nie wisimy wszyscy na latarniach. Co, myślicie, że nasi kochani współobywatele nie mają chęci nas powiesić? Mają. I to wielką. Kochają nas, bo się nas boją. Nie mają alternatywy. To my zapewnialiśmy spokój i bezpieczeństwo.

– Lecz nie zabezpieczyliście nas przed inwazją. – Minister rozwoju gospodarczego Andriej Bierioza wyprostował plecy.

– Powtarzam ponownie. – Bortnikow wyraźnie akcentował słowa. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Bez działań podległych mi organów już dawno zostalibyśmy wyrzuceni na śmietnik.

– O ile mi wiadomo, w żaden sposób nie zapobiegliście przejęciu wyrzutni przez terrorystów – wypalił Bierioza. – Ja też mam dobrą pamięć i wiem, od czego się to wszystko zaczęło. Skoro tak dobrze inwigilowaliście społeczeństwo, to jak to się stało, że nie przeszkodziliście w przeprowadzeniu największego zamachu w historii ludzkości? Ciekawe, co?

Twarz Bortnikowa poczerwieniała. Wydawało się, że jeszcze chwila, a padnie trupem. Nawet parę głębszych oddechów nie pomogło. Co gorsza, oskarżenia trafiły w punkt. Tak, w każdym wypowiedzianym przez Bieriozę słowie tkwiła przykra prawda. Ten zamach nie miał prawa się zdarzyć. W tej chwili bez znaczenia był fakt, że operacja miała charakter ściśle wojskowy. Co z tego? Odbyła się na terenie Federacji, pod nosem podległych mu służb, a co gorsza, sprawcom udało się uciec. Śledztwo, które później wdrożyli, to pasmo niedociągnięć, niechlujstwa i zwykłej niefrasobliwości, jakby wszyscy z góry zakładali jedno – ten kraj już długo nie pociągnie. To przekonanie niestety sprawdziło się co do joty. Kogo teraz obchodzą sprawcy i ci, którzy to wszystko wymyślili? Nic, są bezkarni. Już nikt im nic nie robi, a na pewno nie on. Ręce FSB tym razem okazały się za krótkie.

– Jeżeli w coś uchybiłem, jestem gotowy ponieść konsekwencje.

– Szkoda, że tak późno zdecydował się pan na dymisję – parsknął Bierioza.

– Lepiej późno niż wcale. – Bortnikow nie cierpiał, gdy się nad nim pastwiono.

Decyzja należała do prezydenta, ten jednak nie śpieszył się z jej podjęciem.

– Ta sprawa może poczekać – zdecydował w końcu Władimir Władimirowicz.

Twarz Bortnikowa nie wyrażała najmniejszych emocji. Wypomną mu błędy, gdy tylko komus nadejnie na odcisk. Będą najłatwiejszą formą obrony, czymś w rodzaju usprawiedliwienia: może i jestem winny, ale wasze grzechy są o wiele większe. W końcu presja stanie nie do wytrzymania i skończy z kulą w głowie, tym razem oddaną z ręki własnej, a nie egzekutora.

– Proponuję skoncentrować się na aktualnych zagadnieniach. – Tym jednym zdaniem Putin przywołał zgromadzonych do porządku. Obyło się bez krzyków i rugania co krnąbrniejszych

ministrów.

– Jeszcze nie wiemy tego na pewno, lecz jest to prawdopodobne: sprzymierzeni szykują kolejną operację – grobowym głosem oświadczył Szojgu, wywołując poruszenie.

– Nie bardzo rozumiem. – Nawet prezydent wyglądał na zaskoczonego. – O co im jeszcze chodzi? Przecież prawie dopięli swego.

– Może wcale nie chodzi o nas – zasugerował Bierioza.

– Chciałbym, żeby tak było.

– Co na to wywiad?

– Do tej pory wszystkie nasze przewidywania opierały się na założeniu, że sprzymierzeni zatrzymają się po opanowaniu Moskwy. Teraz już nie jesteśmy tego tacy pewni.

– No to ładnie.

– Jak powiedział klasyk: nie ma już dokąd spierdalać – wyrwało się komuś z końca sali.

Określenie, choć komiczne, trafiło w sedno. Jeżeli pogłoski się potwierdzą, zostaną zapędzeni na pustkowie i tam litościwie dobici przez własną ochronę. Historia zna podobne przypadki. Władimir Władimirowicz poczuł kolejne ukłucie niepokoju w piersi. Wcześniej nie doświadczał czegoś podobnego. Czyżby zaczynał się bać? Przecież taki twardeł jak on nie zna podobnego uczucia. Wiedział, że sam wykreował taki wizerunek siebie, ale uwierzył w niego całą duszą.

– Jeżeli nie chcemy zamieniać Moskwy w twierdzę, to ostatni moment na ewakuację... ehyyy...

– W końcu Szojgu powiedział najważniejsze. – Każdy kolejny dzień zmniejsza nasze szanse na...

– Na co właściwie liczymy? – przerwał mu Bortnikow. – Jeżeli komuś wydaje się, że rozciągnięcie linii zaopatrzeniowych sprzymierzonych da nam okazję do przypuszczenia kontrofensywy i wygrania wojny, to przypominam: to nie rok 1812 czy 1941. Nasze lotniska staną się punktami logistycznymi dla planowanych desantów.

– Szeremietiewo leży w gruzach. Domodiedowo podobnie.

– A Wnukowo?

– Eee... zdaje się, że w pobliżu są już Polacy.

– Jak to możliwe? Dlaczego dowiaduję o tym dopiero teraz?! – Cały gniew Putina skupił się na ministrze obrony.

– Już wcześniej informowałem... – Usprawiedliwienie wypadło mało przekonująco.

– Czy wszystko przygotowane?

– Tak.

Chyba zbyt długo zwlekali. Dał się uśpić gładkim zapewnieniom o panowaniu nad wydarzeniami i gdyby nie pytanie Bortnikowa, dalej prowadziliby to nieprzyjemne zebranie.

– Jak czas, to czas. – Putin wstał, a właściwie zerwał się z fotela.

Siedząc w podziemnym bunkrze, na niczym nie zyskiwał. Już lepiej przenieść się w inne miejsce i przygotować kolejny ruch. Jakaś forma rozejmu w tych okolicznościach wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Zaproponuje układ pozwalający wszystkim wyjść z twarzą. Obama pod wpływem Kerry'ego powinien się zgodzić. Na szczęście odsunięto Bidena, a co do tego nowego, Craiga, to słyszał o nim wiele pochlebnych słów. Podobno liberał, taki ukryty socjalista, lubiący powarczeć po kątach, lecz tak naprawdę mający odpowiednie podejście. Szybko znajdą z ławrowem wspólny język. Zdaje się, że wymieniono jeszcze kogoś? Już sobie przypominał. Chodziło o doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, jakąś Ashley Austin. Pierwsze słyszał. Nikt taki wcześniej nie przewijał się w rozmowach, ale skoro dochrapała się takiego stanowiska, musiała być niezła. Widział jej zdjęcie: faktycznie była. W życiorysie nie znalazł nic interesującego. Właściwie wyskoczyła jak diabeł z pudełka od razu na jedno z najważniejszych stanowisk. Skoro tak, to oznaczało brak jedności w waszyngtońskiej administracji. Ten stary drań Wilson słabł, choć nie tak szybko, jak by sobie tego można było życzyć. Ktoś go jeszcze popierał, lecz wraz z końcem działań bojowych wojskowi zostaną odsunięci na boczny tor. Politycy z natury są bardziej rozsądni. Cały problem w tym, czy zechcą rozmawiać. Piłka znajdowała się po ich stronie. Mając wszystkie atuty w ręku,

mogą zignorować takiego gołodupca jak on. Praktycznie wyprztykał się ze wszystkiego, bo niby czym dysponował? Armia w rozsypce, podobnie jak struktury bezpieczeństwa. Już niczego nie potrafił zagwarantować. Ostatnia szansa sprowadzała się do postawienia sprawy następująco: gdy zabraknie jego, kraj rozleci się na dziesiątki rywalizujących ze sobą frakcji, grup i stronnictw. Zacznie się prawdziwa wojna domowa, taka jak w Syrii, chociaż ta paralela może nie jest dobra. Tu skala będzie bez porównania większa, podobnie jak wszędzie tam, gdzie w grę wchodziły kwestie etniczne, religijne i społeczne. Wszystko potrwa lata. Nawet te jankeskie przygłupy muszą zdawać sobie z tego sprawę. Pewnie rozważali ten problem nie raz i nie dwa. No i kto wie, czy już kogoś nie przygotowali na jego miejsce.

Mimowolnie się uśmiechnął, czym wzbudził zaskoczenie zebranych. Na taką okoliczność przygotował się już wcześniej. Wentyl bezpieczeństwa, a w istocie dubler w postaci Aleksieja Nawalnego, znajdował się pod ręką. Bloger i samozwańczy obrońca swobód obywatelskich przebywał w areszcie domowym. Nic uciążliwego. Pilnowało go dwóch policjantów, właściwie dla dekoracji. Gdy przyjdzie odpowiednia chwila, odwróci głowy w przeciwnym kierunku, pozwalając Nawalnemu oddalić się z nowymi przyjaciółmi. Jeżeli ktokolwiek był w stanie wziąć pyskówki Aleksieja na poważnie, to tylko ci idioci znad Potomaku. Tyle że wybór Nawalnego to tylko część sukcesu. On też chciałby mieć coś do powiedzenia w nowej rzeczywistości.

Większość ministrów stała, ponieważ stał prezydent. Wciąż nie padł sygnał do ewakuacji, a przecież nie chodziło tylko o nich. Żony, dzieci, kochanki i tobołki też czekały na wywiezienie. Bez jednoznacznie brzmiącego rozkazu nie zrobią pierwszego kroku. Jedna z niewielu chwil, gdy wszystko zależało od jednego słowa przywódcy, przyszła właśnie teraz. Chcieli być już daleko stąd, a tkwili jak kołki, tłocząc się przy wyjściu.

– Możecie odejść – zgodził się łaskawie Władimir Władimirowicz Putin. – Ministra obrony i szefa FSB poproszę jeszcze na chwilę.

To, o czym miała do pogadania ta trójka, kompletnie nie interesowało pozostałych dygnitarzy. Myślami byli już daleko. W tych wyjątkowych minutach brakło im dostojęstwa. Każdy uważał się za najważniejszego, więc uznawał, że ma prawo precyzyjnie się pierwszy. W konsekwencji wyglądali jak podstarzała drużyna rugby próbująca uzyskać przyłożenie. Brakowało tylko pracujących na boki łokci, bo stęknąć i soczystych przekleństw było aż nadto.

– Idioci – mruknął Bortnikow na tyle głośno, że usłyszeli to prezydent i Siergiej Szojgu.

Ludzie, którzy faktycznie byli niezbędni, już dawno opuścili Moskwę. Większość oficerów wojska i służb bezpieczeństwa wyjechała wraz z rozpoczynającą się inwazją. Objęli odpowiednie placówki i wdrożyli procedury. Cały zastępczy aparat państwa działał pełną parą. Ściągano podatki i powoływano rekrutów, zakłady przemysłowe przechodziły na tryb wojenny. Produkcję, choć w niewielkim stopniu, udało się utrzymać. Gromadzono materiały strategiczne, środki walutowe, uzupełniano zapasy żywności i materiałów pędnych, a nade wszystko wdrożono rygor stanu wojny. Wszelkie uchybienia karano szybko i z całą surowością. Odpowiedzialne za to zespoły dokonywały tysięcy zatrzymań i przeprowadzały setki egzekucji na niezadowolonych. Na podległym im terenie musiał panować porządek.

Gdyby teraz Amerykanie zostawili ich w spokoju, mieliby szansę przetrwania najtrudniejszego okresu. Za jakiś czas świat mógłby wyglądać zupełnie inaczej. Ale nie, sprzymierzeni nie potrafili zadowolić się tym, co już posiadali. Nawet Hitler nie był tak pazerny. Należało działać. I to szybko.

Gdy na zewnątrz znikli ostatni dygnitarze, ilość testosteronu w powietrzu spadła o połowę. Szojgu i Bortnikow obrzucali się niechętnymi spojrzeniami, lecz doskonale zdawali sobie sprawę z jednego – muszą współpracować.

– Sami musicie przyznać, że nie zostało nam zbyt wiele atutów – stwierdził Putin.

– To prawda – niechętnie potwierdził Szojgu.

– Dlatego... – prezydent zawiesił głos – ...wstrzymuję dalsze etapy operacji „Czarne Słońce”.

Ulga była większa, niż się spodziewał.

– Nie wiem, czy jest to możliwe. – Minister obrony w myślach rozważał implikacje. – Wiele posunięć przygotował generał Skokow. Tylko od niego zależało...

– Wyciśnijcie wszystko z tych, którzy mogą coś wiedzieć. Pomogą wam w tym śledczy ze służb bezpieczeństwa. Musimy powstrzymać operację za wszelką cenę. Nieodwołalnie.

– Czy aby nie za szybko rezygnujemy z możliwości, jakie daje? – powątpiewał Szojgu. – Przecież w niej upatrywaliśmy szansy na powstrzymanie Amerykanów. Niech poznają sami, jak smakuje wojna.

Władimir Władimirowicz sceptycznie pokręcił głową.

– Nie sądzę. Szybciej zetrą nas na proch, niż ustąpią. Jeżeli przedstawimy dowody naszej dobrej woli, być może zaistnieje szansa na porozumienie.

Niebywałe, że to ostatnie słowo przeszło mu w końcu przez gardło. Szojgu i Bortnikow wyglądali na zaskoczonych. Do tej pory mówiło się wyłącznie o walce na śmierć i życie. My albo oni. Pośredniej drogi nie było, lecz – jak widać – nawet najtwardsi ulegają presji wydarzeń. Co więcej, determinacja prezydenta słabła. Paradoksalnie zagrywka, którą proponował, mogła się udać. Ujawniając asa w rękawie, udowodniał dobrą wolę. Waszyngton powinien docenić ten gest. Przynajmniej powstanie platforma do rozmów. Co prawda wy nas ściskacie za gardło, ale my was trzymamy za jaja. Coś w tym rodzaju.

– Kto się tym zajmie? – zapytał Bortnikow.

– Ławrow – odparł Putin. – Innej kandydatury nie widzę.

Premier nadawał się do tej roli jak mało kto. Doświadczeniem w dyplomacji przerastał ich trzech razem wziętych. Wyrachowany i śliski jak glista, posiadał niezbędne kontakty, a na sukcesie zależało mu tak samo jak i im. W tej ostatniej rozgrywce musiał postawić na szali cały swój wdzięk.

– W ciągu paru godzin ma znaleźć się w Genewie. Dostanie wszelkie pełnomocnictwa i lepiej niech nakłoni Amerykanów do ustępstw.

– To jest ta łatwiejsza część – zastrzegł Szojgu.

Coś w nim burzyło się na myśl o wstrzymaniu operacji. Dla niego zalatywało to zdradą. Jeżeli wykonawcy nie dostaną wiadomości i nie prześlą potwierdzenia, jedynym sposobem na zatrzymanie procedury będzie przekazanie tym jankeskim świniom wszystkiego, co sami wiedzą. Tyle roboty pójdzie na marne! Ze wszystkich operacji dywersyjnych ta była jego ulubioną, prawdziwym majstersztykiem. Skokow i jego zespół wzbili się na wyżyny. Pod względem technologii i planowania nie mieli sobie równych. I co się stało? Jeden cholerny pocisk rozpieprzył wszystko, a pozostałości przyjdzie zlicytować na wyprzedaży. Za wszystko odpowiadał Skokow. Skoro jego zabrakło, pozostałym przyjdzie pożegnać się z dorobkiem generała bez sentymentów.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

– Tym razem bez fuszerki.

Aż ciarki przechodziły mu po plecach na myśl, co się stanie, gdy Waszyngton wyciągnie do nich rękę, a oni przywalą ze wszystkich rur. Jeden mały prztyczek i trach... pozamiatane. Dla wielu osób w Ameryce Północnej ranek okaże się powrotem do przeszłości. I to odległej. Nie ma radia, telewizji ani samochodu. Rachunku w banku też nie, podobnie jak ubezpieczenia. Wróci XIX wiek. Wiele osób bardzo się wkurzy. Kto będzie temu winny? Oczywiście ci źli, podli Rosjanie namawiający do ugody, a potem zadający cios w plecy.

– Zrobimy tak – zapowiedział prezydent. – Porozmawiam z Ławrowem i wydam mu odpowiednie instrukcje. Najdalej w ciągu czterdziestu minut będziemy mogli ruszać.

Doskonale.

Jak się poniewczasie okazało, mimo doskonałego wyposażenia prezydencka salonka nie dysponowała najnowszymi systemami łączności. Tak naprawdę nikt już nie brał na poważnie takiego sposobu ewakuacji. Samolot, śmigłowiec – owszem, jak najbardziej. Lecz pociąg? Na dodatek skład należało przetoczyć trochę bliżej centrum dowodzenia, bo w części rządowych tuneli panował spory ruch. Ewakuowano równocześnie kilka ważnych obiektów. To, czego nie da się

wywieźć, należy zniszczyć. Tony papierów czekały na przepuszczenie przez niszczarkę lub przez komin. Mściło się teraz oszczędzanie na digitalizacji zasobów. Dobrze, że brakowano akta zgodnie z harmonogramem lub nawet trochę go naginając, inaczej utonęliby w papierach. Czego tam nie było? Od Lee Harveya Oswalda po haki na światowych przywódców. Zagadka niejednej tajemniczej katastrofy w końcu znalazłaby wyjaśnienie, tak jak i sprawy, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Głowa puchła od samego przeglądania spisów treści. Żal, naprawdę żal, że większość tych cennych trofeów uleci z dymem, chociaż mówią, że nie szkoda róż, gdy płoną lasy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 1 czerwca, godzina 01:23

Parę pierwszych kroków nie było trudne. Problemy zaczęły się później. Poruszali się od jednej ciemniejszej plamy do drugiej, szybko omijając miejsca, gdzie światło z żarówek ukrytych za grubym zbrojonym szkłem w drucianych oprawach było najjaśniejsze. Czasami wystarczał załom ściany, a czasami niewyraźny cień na ścianie.

Spojrzenie wbił w łukowaty wylot bocznego korytarza uchodzący do głównego tunelu. Krok, dwa, potem przystanek i przysłuchiwanie się odgłosom. Obiecywał sobie, że tylko sprawdzi, jak to wygląda. Rzuci okiem na skład, zorientuje się, gdzie stoi ochrona i czy przypadkiem ta reszta środków wybuchowych, jakimi dysponowali, nie wystarczy do sporządzenia improwizowanego ładunku, by posłać wszystko w diabły. Skoro los zesał im prezent w postaci osobistego składu wodza, to grzech tego nie wykorzystać. Lecz nim do tego dojdzie, muszą podejść dostatecznie blisko.

Przesunął stopę o kolejne pół kroku, pochylił się i sprawdził, czy nie ma nikogo po drugiej stronie składu. Czysto. Wyczuwał słabą woń dymu papierosowego, chociaż tu palili wszyscy. Wystarczyło spojrzeć pod nogi, by dojrzeć wyrzucone kiepy, w większości efekt paru ostatnich nerwowych dni.

Następne dziesięć metrów wydawało się najtrudniejsze. Przez plecy przebiegł mu dreszcz. Nie wiedział, czy to z zimna, czy z emocji. Nieważne. Wagony były prawie na wyciągnięcie ręki. Zerknął w prawo. Był durniem, że tego nie dostrzegł. Obłoczek wydmuchiwanego dymu wyraźnie odcinał się na tle rześcicie oświetlonego głównego tunelu. Usłyszał kroki i postękiwanie. Zamarł. Pawłowski wpadł na jego plecy. Wirski wciągnął powietrze przez zęby. Stali tam jak dwaj idioci, kiedy z boku wyszedł starszy mężczyzna w robociarskiej czapce i poplamionym, poprzecieranym waciaku. Ponieważ stali nieruchomo, w pierwszym momencie zignorował ich. Dopiero jakiś impuls kazał mężczyźnie spojrzeć w ich stronę.

– Czego się tak skradacie?

Pistolet, który Wirski przyciskał do biodra, pozostał na miejscu.

– Jesteście od Wasylki?

– Tak – na wszelki wypadek potwierdził Andrzej.

– Czekam już dziesięć minut. – Robotnik był zniecierpliwiony. – Czy ten osioł nie wie, jakie to ważne?

Myśli Wirskiego galopowały jak szalone. Rosjanin wziął ich za kogoś innego. I nie dziwota, ubrani byli w te same kombinezony co podczas pierwszego zejścia do podziemi. W dodatku poruszali się w rządowej sieci metra, więc kim niby mieli być – dywersantami? Takie przypuszczenie pewnie nie mieściło się w głowie mężczyzny.

– Czego tam szukaliście? – Ręką Rosjanin wskazał tunel, którym przyszli. – Myślałem, że brygada pracuje na Kutuzowskiej.

– A owszem. – Andrzej zamrugał, gwałtownie próbując wymyślić najbardziej prawdopodobne kłamstwo.

– Część tam, część przy Parku Zwycięstwa, a nas posłali... – z pomocą pośpieszył Pawłowski.

– Dobra. Idziemy.

Wirski wsunął pistolet do kieszeni, maskując charakterystyczny kształt torbą. W ostateczności mógł zastrzelić robotnika, tylko co to da? Odwrót trasą, jaką się tu dostali, a przy wyjściu komitet powitalny. Chciał wszystko dokładnie obejrzeć. Właśnie otrzymał taką szansę, choć niezupełnie o to chodziło.

Główny korytarz robił wrażenie. Szerszy i wyższy od tych, jakie spotkali do tej pory. W twierdzeniu Nowakowskiego nie było krzty przesady. Tu faktycznie można ustawić obok siebie dwa

transportery opancerzone lub nawet trzy, a jeszcze zostałoby trochę miejsca. Tory były wpuszczone między betonowe płyty. Gdy tylko skład odjedzie, nic nie stanie na przeszkodzie, by przerzucić tędy batalion czy nawet dwa. Wagon dalej stał wartownik. To chyba ten sam, który wcześniej napędził im większego strachu. Popatrzył na przechodzącą trójkę i dalej dłużył w nosie.

– Towarzyszu...

– Jaki ze mnie towarzysz, Kostienko jestem. Wy, zdaje się, nowi?

– Wiecie, jak to jest. – Andrzej starał się przypodobać majstrowi. – Raz tu, raz tam. Ciężko zahaczyć się na dłużej.

– Też chciałem zięcia wcisnąć na państwową posadę. Co się nachodziłem... A i tak nic to nie dało. Zaświadczenia o niekaralności chcieli. To na początek. A chłopak dobry, tylko siedział pół roku. Nie więcej, właściwie to go wrobili.

– Sami widzicie.

– Skoro przyjęli was do roboty, to też przechodziliście przez tę całą... procedurę. – Przy ostatnim słowie splunął na beton.

Doszli do lokomotywy. Rosjanin załomotał w stalowe drzwi.

– Otwieraj, Łysenko! Gości masz.

Nim zostali zaproszeni do wejścia, Wirski rozejrzał się na boki. Z tyłu spokój. Natomiast z przodu zamajaczyły ludzkie sylwetki. W kamizelkach kuloodpornych i sferycznych hełmach wyglądały trochę jak przybysze z obcej planety. To nie była drużyna czy pluton. Głuchy łomot ciężkich buciorów narastał z każdą chwilą. Szybciej. Jeśli nie zdążą skryć się w lokomotywie, nie obejdzie się bez inwigilacji, a papiery mieli cieniutkie, oj, cieniutkie. O pistoletach nie wspominając.

W końcu zgrzytnęły zawiasy, a drzwiczki otworzyły się na całą szerokość. Schylony w nich maszynista skojarzył się Andrzejowi z dawnym mistrzem świata w boksie wagi ciężkiej Nikolajem Wałujewem. Imponujących rozmiarów postura i ponure oblicze. Za nic w świecie nie chciałby spotkać takiego w ciemnej alei. Przyglądając się tej górze mięśni, doszedł do wniosku, że Łysence nie jest potrzebna jakakolwiek broń. Grozę siał samym wyglądem.

– Długo to trwało – zrzędził Kostienko, przytrzymując się uchwytów ułatwiających wspięcie się dwa i pół metra do góry na poziom kabiny. Wirski machnął na Pawłowskiego. Ten migiem znalazł się na górze. Teraz on. Kątem oka kontrolował nadchodzących. Niech to nie wygląda na ucieczkę. Z całą nonszalancją, jaką zdołał z siebie wykrzesać, podciągnął się w ślad za resztą, zatraskując przy okazji wejście. Kabina maszynisty wydawała się całkiem spora. Z boku dochodził korytarz umożliwiający przejście do takiego samego pomieszczenia na tyłach pojazdu. Od razu zorientował się, że lokomotywa nie stanowiła szczytowego osiągnięcia światowego kolejnictwa. Brakowało tych wszystkich elektronicznych cudeniek, cyfrowych wyświetlaczy i systemów ułatwiających prowadzenie, jakie widywał na zdjęciach. I zdaje się, że o to właśnie chodziło. Znaleźli się w zwykłej, może odrobinę podrasowanej lokomotywie, która nie zawodzi w najcięższych warunkach. Na kolejowych szlakach Federacji solidność to podstawa. Dobrze traktowana zapewne rzadko zawodziła. Wsiądziesz do pociągu ciągniętego przez taką maszynę i bez problemów dojedziesz choćby do Władywostoku czy gdzie tam potrzeba.

– Igor znów nie przyszedł. – Maszynista wycierał olbrzymie dłonie w poplamioną szmatę.

– Co? – Kostienkę zatkało.

– Miał stawić się w dyspozytorni wczoraj rano. Dzwonił, że coś mu wypadło.

– Łach. Co teraz? – wyraźnie zafrasował się nowy znajomy Wirskiego.

– Kazano wytoczyć skład. Szarpię się tak już kolejną dobę. Sam, bez pomocy.

– Mówiłeś komuś?

– Ci z ochrony dostaną szału.

– Bez zmiennika nie dasz rady. – Kostienko podrapał się po szyi. – Ci też ledwo zdążyli. – Wskazał na Andrzeja i Arka. – Co się tak gapiacie? Sam wszystkiego nie zrobię. Ech... z młodymi tak zawsze... – Machnął ręką, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Podrzucisz nas na Rublewską?

Łysenko kiwnął głową.

– Co tym razem?

– Spieprzyli elektrykę, to teraz mają. Pięta awaria w trzy tygodnie, a wszystko chcą mieć na wczoraj.

Wirski patrzył, jak Łysenko uruchamia maszynię. Do głowy by mu nie przyszło, że pojedzie pociągiem przez tę legendarną sieć tuneli. Na skutek zupełnie nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności trafi tam, gdzie ani mu się śniło znaleźć.

Problem był jeden – jak długo uda się utrzymać mistyfikację? W końcu dwóch zdezorientowanych elektryków zamelduje gdzie trzeba o nieobecności Kostienki w umówionym miejscu. Rozwiązanie łamigłówki nie zajmie służbom ochrony zbyt wiele czasu. Tego majstra chyba wszyscy tu znali. Być może sam zgłaszał, gdzie się znajduje i co robi.

Podobno nie ma sytuacji bez wyjścia. Tym razem, za sprawą swojej niecierpliwości, wpakował się w gigantyczne szambo. Z każdą upływającą minutą brnęli wciąż dalej i dalej. Wiele przeżył, ale coś podobnego zdarzyło mu się pierwszy raz. Wyrwał się z łap Federalnej Służby Bezpieczeństwa niemal cudem, a teraz pada sam siebie na tacy.

Martwił się o Tamarę. Przy Nowakowskim teoretycznie powinna być bezpieczna. Jak nie wyleżą z ukrycia, wszystko skończy się dobrze. Chociaż... Wirskiego załapała fala niepokoju. Tu nikt nie był bezpieczny.

Skład powoli ruszał. Toczyli się teraz z prędkością najwyżej pięciu kilometrów na godzinę. Tunel prowadził niemal prosto. W nieregularnych odstępach odchodziły na boki mniejsze korytarze podobne do tego, którym przedostali się do Głównej Drogi Ruchu. Ten odcinek wcale nie został oświetlony. Pojedyncze żarówki nie rozpraszały skutecznie mroku, w przeciwieństwie do trzech reflektorów lokomotywy. Ich blask wyławiał z ciemności pojedynczych ludzi i całe oddziały przemieszczające się podziemnym labiryntem.

Trasa, którą przemierzali, nie przypominała znajdującej się tuż obok sieci metra. W kieszeni przy pistolecie tkwiły szkice Nowakowskiego. To on był specjalistą w tej materii, pewnie bez problemu wskazałby punkt, w którym się znajdowali. Tylko co z tego? Zrzędzeniem losu Leszek został przy dawnym magazynie, a oni podążali w głąb podziemi.

•

Po nieskończeniu długiej męce to była prawdziwa przyjemność. Ustawione na pasie stado pasażerskich samolotów Ił, An i Tupolew stanowiło wyśmienity cel. Gdzieś na skraju pasa startowego przycupnęło parę uszkodzonych MiG-ów. Takiego nagromadzenia sprzętu nie spodziewali się w najśmielszych marzeniach. Z dziką satysfakcją kompania Maciejewskiego przystąpiła do kasowania wszystkiego, co nie zdążyło odlecieć. Nadzieja Rosjan na ewakuację tą drogą rozwiewała się jak dym. Spokojnie mogli oszczędzić armaty. Półcalówki Browninga sprawdzały się znakomicie. Jadące za nimi Bradleye włączyły się do wyścigu. Jeden z M1A2 staranował Jaka-40, zostawiając za sobą tylko zgniecioną blachę. Było to o tyle łatwe, że samolot stał mocno przekrzywiony. Prawa podskrzydłowa goleń podwozia już wcześniej uległa uszkodzeniu. Nic prostszego, jak wjechać na skrzydło i wprasować resztę w pas. W całym tym zamieszaniu musieli uważać na własne Black Hawki zespołu bojowego. Pojedyncze punkty oporu znajdujące się poza zasięgiem Abramsów i działek bojowych wozów piechoty kasowały właśnie śmigłowce. Fontanny ołowiu wypływane przez sześciolufowe Miniguny M134 roznosiły obrońców na strzępy. Rozlatywały się nieliczne wielkie, szklane witryny, które do tej pory dotrwały w całości. Parę Apache'ów, które włączyły się do walki równocześnie z początkiem szturmów oddziałów lądowych, eliminowało cięższy sprzęt za pomocą przeciwpancernych Hellfire'ów. Na podjeździe przed głównym wejściem płonęło kilka BTR-ów i BMP. Jeden z transporterów wściekle się ostrzeliwał. Widać było, jak załoga próbuje wycofać pojazd w bezpieczne miejsce, lecz takiego tu już nie było. Obiektywnie trzeba przyznać, że się starali. Kierowca do perfekcji opanował technikę jazdy ośmiokołowcem. Transporter raz za razem uderzał w barierki ochronne i porzucone samochody.



Wóz należał do wydzielonej grupy z Dywizji Specjalnego Przeznaczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Federacji z koszar w Rieutowie, znajdujących się na wschód od Moskwy. Reszta oddziału albo została zmasakrowana, albo prowadziła zacięty ostrzał, próbując powstrzymać napierających Polaków. Niewiele brakowało, aby udało mu się wyrwać z matni, staranować płot i z prędkością odyńca uchodzącego przed obławą pomknąć w kierunku nieodległych zabudowań.

– BTR – rzucił Maciejewski.

– Widzę.

Transporter ukazał się w wąskiej szczelinie pomiędzy hangarem a wyrzucającym w powietrze pióropusze czarnego dymu Tu-204. W końcu Wnukowo stanowiło bazę specjalnej rządowej eskadry lotniczej.

– Cel.

Odległość niespełna osiemset metrów. Niby niewiele, ale ze zwichrowaną armatą i w strugach zacinającego deszczu nic nie jest pewne.

– Wystrzał.

Jeśli mu się nie przywidziało, to BTR podskoczył do góry. Jego kierowca musiał szaleńczo manewrować, co nie było łatwe, bo koła straciły przyczepność. W ułamku sekundy wóz opadł i ponownie odbił się od nawierzchni, by po kilkukrotnym koziołkowaniu zwalić się na lewą burtę.

Maciejewski przestał zajmować się wrakiem w momencie, gdy tylko dostrzegł skutki trafienia. W pobliżu nadal było wiele potencjalnych celów. Im szybciej je wyeliminują, tym szybciej... Właściwie co? Czy chciał powtórzyć wyczyn 10 Pułku Huzarów Księstwa Warszawskiego, którzy pod dowództwem pułkownika Jana Nepomucena Umińskiego 14 września 1812 roku wkroczyli do Moskwy jako straż przednia Wielkiej Armii?

Przypis w podręcznikach historii na pewno poprawiłby jego samopoczucie, lecz na razie nie ma co o tym myśleć. Lepiej niech to wszystko się już skończy.

Jak na razie czołgi zrobiły, co do nich należało. Przyjrzał się bliżej terminalowi. Część grupy uderzeniowej majora Kani już operowała w środku. Pozostali desantowali się ze śmigłowców. Walczącym w korytarzach, halach i biurach szturmowcom nie miał jak pomóc. Każdy z nich był zdany na umiejętności swoje i kolegów z drużyny.

Podporucznik przesunął palcem po ekranie. Pomiędzy głównymi zabudowaniami lotniska a blokiem po lewej zauważył wolną przestrzeń. Na jego rozkaz kompania ruszyła w stronę znajdującej się tuż obok Szosy Kijowskiej. Kawątek dalej powinno być skrzyżowanie. Widział podmiejskie osiedla sąsiadujące z leśnymi kwartałami, kompleksami przemysłowymi i ośrodkami naukowymi. Właśnie uświadomił sobie, że w tym mieście żyła jedna trzecia populacji Polski. Z trudem potrafił sobie to wyobrazić. Niech tylko ułamek procenta z tych ludzi chwyci za broń lub stawi chociaż bierny opór... Walka w terenie zurbanizowanym to zawsze czysty koszmar, a dla ludności niewyobrażalna udręka. Od początku kampanii czytał wszystkie komunikaty. Wiedział z nich, że władze Federacji nie wydadzą ochotnikom broni. Pewnie obawiały się, że to źle się skończy dla samych rządzących.

Problemem zatem pozostawała wielkość aglomeracji. Do tej pory najważniejszą sprawą było dotarcie aż tutaj. Szturmem na Wnukowo otwierali nowy etap. MKAD, zewnętrzna obwodnica Moskwy o obwodzie ponad stu kilometrów, była niemal na wyciągnięcie ręki. Wewnętrzny ring – Sadowoje Kolco, czyli Pierścień Sadowy – niewiele dalej. W porównaniu z odległościami, jakie już pokonali, to prawie meta.

Otrząsnął się z przygnębienia. Zasygnalizowano obecność snajpera w jednym z okien terminalu. Wieża Abramsa obróciła się w lewo, zrobił zbliżenie. Niczego nie dostrzegł. Nawet jeżeli Rosjanin znajdował się we wskazanym miejscu, na razie nie zdradził swojej obecności. No rusz się, sukinsynu. Dobrze wyszkolony strzelec potrafił wytrzymać w bezruchu godziny. Zdradzi swoją obecność dopiero strzałem, a oni nie mieli aż tyle czasu. Jeżeli wygarnie z armaty bez upewnienia się, może trafić swoich. Pod tym względem sumienie miał dotąd czyste i bardzo chciał, żeby tak

zostało.

Dylemat – czekać, aż się upewnią, czy jednak strzelić, rozwiązał się sam: w środku biura błysnęło. Niczego więcej nie potrzebował.

– Wystrzał.

Detonacja zatrzęsa terminalem. Przez wielki otwór okienny wymiotło elementy konstrukcji, szkło i fragmenty wyposażenia. Mógłby przysiąc, że widział okaleczony tułów szybujący w powietrzu, ale to znowu mógł być majak.

•

Zielono-brązowa pasta maskująca na twarzy kapitana Cooka w ogóle do niego nie pasowała. Jako oficer wywiadu – zresztą całkiem niezły – mógł spokojnie zrezygnować z kamuflażu. Nikt go przecież nie wysyłał na pierwszą linię z rozkazem szturmowania rosyjskich umocnień. Od tego byli inni. Cooka wyszkolono do zgoła czegoś innego. A jeszcze ten karabinek M4, kamizelka taktyczna oraz granaty i dodatkowe magazynki poupychane w kieszeniach... Zdaniem Alvareza kapitana poniosło, chyba że jednak wybierał się na pierwszą linię, chcąc udowodnić sobie i pozostałym, jakim jest dzielnym żołnierzem. Szybko okazało się, że przyczyny są zupełnie inne.

– Otrzymaliśmy pewne zlecenie – rozpoczął Cook zboliałym głosem.

Oho, zaleciało Agencją. Za każdym razem, gdy CIA wtrącała się w nie swoje sprawy, robił się smród nie do wytrzymania.

– Słuchaj, „Drzazga”, nie będą owijał w bawełnę: to trudne i niewdzięczne zadanie, niemniej potrzebują najlepszych, a tak się składa, że to właśnie wy spełniacie większość kryteriów w tym zakresie.

– Takich jak ja znajdzie się jeszcze paru.

– Nie musicie być tacy skromni. – Cook próbował się uśmiechnąć, lecz nie za bardzo mu to wyszło.

Alvarez puścił pochwałę mimo uszu. Kolbę M110 oparł o ziemię, lufę trzymając obiema dłońmi. Gdy tak stał nieruchomo w lekkim rozkroku, wyglądał jak manekin z gabinetu figur woskowych. Naiwne wyobrażenie żołnierza doskonałego.

– Nie muszę chyba mówić, że operacja należy do kategorii „tajne specjalnego znaczenia”. – Cook zrobił krok w stronę chorążego. – Sprawy mają się tak: w pewnym miejscu władze przetrzymują ważnego dla nas człowieka, to opozycjonista. Mamy go przechwycić i dostarczyć wystannikom sekretarza stanu.

– On oczywiście o niczym nie wie?

– Raczej nie, chociaż... – Cook przekrzywił głowę. – Jest dość znany, pyskował Putinowi. Naszym wydaje się, że mogą się z nim dogadać. On, z takimi referencjami, raczej wie, co go czeka.

– A co go czeka? – zapytał Alvarez.

– Kula w łeb, jeżeli się nie pośpieszymy. Alternatywą jest przywództwo tego kraju. On pewnie już wybrał.

– I oczywiście nie jest sam.

– Pilnują go. Tego jesteśmy pewni, jak i tego, gdzie przebywa – westchnął Cook. – Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, dostaliśmy tę robotę przypadkiem. Ekipa, która miała dokonać odbicia, rozpieprzyła się w śmigłowcu parę godzin temu. Podobno posiadali wszystko, co potrzeba. Nam przyjdzie poimprovizować. – Uśmiechnął się przy tym niewyraźnie. – Naciski idą z samego Pentagonu. Interweniowano u Holdena, stary się pieklił, aż w końcu wszystko trafiło do mnie.

– Rozumiem.

– Im szybciej to załatwimy, tym lepiej. Jeżeli naszego figuranta przejmą Polacy, pół Waszyngtonu padnie na zawał.

•

Radiotelefon zwisający na prawo od fotela maszynisty zatrzęszczał sygnałem połączenia. Łysenko nadzwyczaj flegmatycznym ruchem sięgnął po urządzenie i uniósł do ust.

– Jestem niedaleko Rublewskiej.

Wirski zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić. Żadnych kodów, hasel czy kryptonimów? Ot, zwykłe „jestem tu, a za kwadrans będę tam”. W całym tym rozgardiaszu kwestie bezpieczeństwa zeszły na drugi plan. Priorytetem stało się dotarcie do wyznaczonego punktu, szybkie przyjęcie uciekinierów i odjazd w siną dal. A skoro tak, to pewnie czołówki pancerne sprzymierzonych szturmowały miasto. Pięćdziesiąt metrów nad nimi musiała się zacząć potworna kotłowanie.

– Aha... Nie jestem pewny. Tak, rozumiem... – Radiotelefon wrócił na poprzednie miejsce.

– Słuchaj, Kostik – odezwał się Łysenko niemal przeprasającym tonem. – Daruj sobie tę usterkę. Nie mogę stanąć na Rublewskiej. Podrzucę was na Centralny, a potem radźcie sobie sami. Jak chcecie, nawet idźcie do domu.

– A co? – wystękał Kostienko, marszcząc brwi.

– Nie jest dobrze.

– Dobrze to nigdy nie było. Chcesz raczej powiedzieć, że to nie ma sensu.

– Czy ja ci kiedykolwiek źle poradziłem?

Skład nieznacznie przyśpieszył. Wtoczyli się na Rublewską, bardzo przypominającą zwykły podziemny dworzec metra, i pomknęli dalej, zostawiając kilkaset osób na peronie. Jeżeli którakolwiek z nich liczyła na transport, to musiała się srodze zawieść. Połowa z oczekujących była cywilami, reszta w uniformach najróżniejszych służb – od prokuratury po policję. Dobrze, że nikt nie wskoczył pod koła, lecz nawet wówczas szanse na zatrzymanie kolejki wydawały się niewielkie. Łysenko nie bez powodu zajmował miejsce maszynisty. Prywatnie pewnie dusza człowiek, idealny kumpel na każdą okazję, lecz gdy otrzymywał rozkaz, przeistaczał się w ślepe narzędzie.

Wirski przyglądał się Łysence z tyłu, zdeprymowany węzłami mięśni prężącymi się pod koszulą. Ten Hulk jedną ręką zmiecie jego i Pawłowskiego na podłogę. O wszelkich sztuczkiach można zapomnieć. Kamienny łeb nie drgnie, nawet gdy walnie się go kilofem. Na emigracji w Stanach zarobiłby fortunę jako wrestler. Tak, przydomek „Kamienny Łeb” pasował do Łysenki idealnie.

•  
– Długo ich nie ma. – Słowa Tamary podszyte były strachem.

– Taa...

Nowakowski próbował wymyślić jakąś inną odpowiedź, lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Od kiedy został sam z dziewczyną, kipiała w nim wściekłość. Dlaczego padło na niego, a nie na Arka? Oczywiście, nie mogli pójść wszyscy, bo szwendanie się taką gromadą po zakazanych miejscach to proszenie się o nieszczęście, szczególnie że Rosjanka, choć ambitna i pomysłowa, żadnego szkolenia nie przeszła. Trudno ją nazywać piątym kołem u wozu, niemniej wołał być z Wirskim, niż zabawiać rozmową jego dziewczynę.

– Co robimy?

– Bo ja wiem... – Lojalność walczyła w nim z obowiązkiem.

Nie wiadomo który już raz rzucił okiem na zegarek. Sekundnik włókt się niemiłosiernie, a minutnik jakby stał w miejscu. Tkwili tu już jakieś... no, niech pomyśli... ponad czterdzieści minut. Co najmniej dziesięć razy zdążył obejść wszystkie dziury i zajrzeć do każdego pomieszczenia wartowni. Przynajmniej wykazywał jakąś aktywność, bo Tamara czekała u wylotu korytarza nieruchomo jak zaczarowana. Nie skarżyła się, choć zimno przenikało ją do szpiku kości. Po prostu siedziała ze wzrokiem wbitym w ciemność.

– Coś im się stało.

To pytanie czy stwierdzenie? Nie potrafił wyczuć.

– Dadzą radę.

– Chciałabym mieć tyle pewności, co ty.

Próbował maskować niepokój na wszystkie sposoby, choć wątpliwości targały nim od samego początku. W końcu podjął decyzję, a co. Najwyżej Andrzej skrzywi usta w tym swoim pogardliwym uśmiechu, albo zeżli się za nieprzestrzeganie rozkazów. Skoro jest taki przewidujący, mógł pomyśleć

o reszcie.

- Pójdę się rozejrzeć.
- Sam?
- Lepiej, jak tu zostaniesz.
- Mowy nie ma.
- Dobra, ale idziesz dziesięć metrów za mną. Jasne?
- Nie musisz krzyżeć.

Zdaje się, że zaczynało go ponosić.

- Przepraszam.
- Nie ma sprawy.

Lepiej, jak nie będzie się plątała pod nogami. Nigdy nie wiadomo, na co natrafią. Gdy już się zdecydował, wszystko wydawało się dużo łatwiejsze. Ruszył przed siebie krokiem tropiciela. Zsunął noktowizor na oczy. Wszystko zajaśniało zielonkawo. Gdy się odwrócił, Tamara wciąż tkwiła w miejscu. Skoro on był wkurzony, to jak ona się musiała czuć? Znalazła się w grupie tylko za wstawiennictwem Andrzeja i w nim znajdowała oparcie. Nieraz widział udrękę na pięknej twarzy. W świetle latareczki wydawała się mała i bezbronna.

- Tamara...
- Tak?
- Lepiej, jak do mnie dołączysz.
- Strach cię obleciał?
- Coś w tym rodzaju.

Doszli do końca korytarza i przystanęli. Nowakowski nieznacznie wysunął się za róg. Irytacja szybko przeszła w dławiającą obawę. Po Wirskim i Pawłowskim nie pozostał najmniejszy ślad. Gdzie oni się podzieli? Zapadli się pod ziemię czy jak? Rosjanie urzędowali parędziesiąt metrów od nich. Wyraźnie słyszał dochodzące z tunelu rozkazy popędzające opieszających. Więc jednak się nie mylił. Znaleźli Główną Drogę Ruchu, a może Linię numer 2 bądź 4. Sam się gubił w domysłach.

Przyjrzał się bliżej ścianom i podłożu, szukając wskazówek, które mogły pomóc w zlokalizowaniu poprzedników. Ślady, owszem, były. W pyle pokrywającym betonową wylewkę odcisnęły się podeszwy butów. Ledwo je widział. Bardziej domyślał się, co znaczą, niż potrafił odczytać, choć jednego był pewny: tropy prowadziły w stronę głównego tunelu. Tym dwóm kompletnie popieprzyło się w głowach.

Ścisnął dłoń Tamary, nie wiedząc, co powiedzieć.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 1 czerwca, godzina 03:52

Wirskiemu wydawało się, że wpadł w korkociąg, nad którym stracił panowanie, i zaraz rozbije się o ziemię. Wszystko działo się trochę obok niego. Zżywał się na elektryka, którego podsunął chyba sam diabeł, i na całą maskaradę, jaka nastąpiła później. Zabrnęli za daleko. Na tym etapie każde rozwiązanie wydawało się idiotyczne. Co najwyżej mogli ciągnąć to aż do momentu, w którym zostaną zdemaskowani. Nieuchronny efekt tej eskapady wydawał się jasny jak słońce.

Minęli kolejną stację. Zdążył przyrzeć się peronom. W przeciwieństwie do poprzedniej stacji na tej prawie nie dojrzał cywili. Nawet jeżeli byli, ginęli w tłumie mundurowych. Ponad nimi najpewniej znajdował się jakiś budynek należący do Ministerstwa Obrony, być może Dowództwo Obrony Przeciwlotniczej lub zapasowe centrum dowodzenia. W tej baśniowej krainie wszystko wydawało się możliwe. Co więcej, przejazd składu nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Tu szykowano się do walki. Setki żołnierzy transportowały spore skrzynie i mniejsze zielone skrzynki do wind. Nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, co zawierały ani co czeka obrońców. Mało prawdopodobne, by ktoś zdobywał gmach piętro po piętrze. Prędzej samosterujący pocisk rozwali cały budynek od razu. Ci wszyscy mężni obrońcy zostaną rozbici na atomy, zanim zdążą wziąć na cel jakiegoś biednego frajera przebiegającego chyłkiem od jednego ukrycia do drugiego.

No chyba że... Jednak nie można wykluczyć drugiej opcji. Mury ponad nimi mogły być pełne tajemnic. Dokumenty, serwery, twarde dyski. Prawdziwy sezam, niewyczerpane źródło informacji. Lata miną, zanim zgłębią choćby część zasobów. Zresztą Ministerstwo Obrony to mały pikus w porównaniu z bazami danych resortu spraw wewnętrznych. Listy agentów rozsianych po całym świecie, operacje już przeprowadzone, będące w toku i te planowane, finansowanie organizacji międzynarodowych, kanały łączności i – co najważniejsze – informatorzy ulokowani w strukturach państw demokratycznych. Chętnych do położenia łapy na tym znajdzie się wielu. Nie znał planów ataku, ale nie zdziwiłby się, gdyby Warszawa i Waszyngton prowadziły wyścig do tych skarbów. Było o co powalczyć. Pawłowski pewnie myślał o tym samym. Wystarczyło zobaczyć jego zaciśnięte pięści i zmrużone oczy.

Stacja zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Skład pomknął mrocznym tunelem. Koła miarowo stukały na łączeniach szyn. Zapuszczali się coraz dalej w stronę Hadesu. Właściwie to już w nim byli, pokonywali kolejne kręgi niczym w piekle Dantego. Skoro znaleźli się w takim miejscu, należało wykorzystać okazję. Mała dywersja? Na pewno. Szkoda, że nie miał łączności z kimś na zewnątrz. Sami z Pawłowskim niewiele zdziałają. Zablokować skład, żeby uniemożliwić ewakuację? To wydawało się najbardziej sensowne. Tylko jak to zrobić? Rozwalić lokomotywę, uszkodzając system sterowania? Dysponowali przecież odpowiednimi środkami. Jak umierać, to z hukiem.

Właściwie nawet się zdecydował. Uwiną się ze wszystkim w minutę. Parę osób krew zaleje, gdy odkryją, co się stało.

Przesunął ciężar ciała na prawą stronę i wymacał rękojeść pistoletu. Arek wyczuł zmianę. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Delikatnym ruchem głowy określili cele. On bierze na siebie maszynistę, a Pawłowski zniechęci do gwałtownych ruchów elektryka i później pomoże obezwładnić Łysenkę. Jak już sobie poradzą z maszynistą... Dalej będą improwizować.

Wirski spiął się, ugiął kolana i sięgnął po broń akurat w momencie, gdy Łysenko zaczął zwalniać. Co się, do cholery, dzieje? Tunel lekko skręcał, a w perspektywie ukazał się rześcicie oświetlony dworzec. To tyle, jeżeli chodzi o sabotaż. Już stąd widział ochronę. No pięknie, wszystko spieprzył własnym niezdecydowaniem.

•

– Jesteśmy gotowi, panie prezydencie. – Pułkownik dowodzący jego bezpośrednią ochroną należał do grupy najwierniejszych z wiernych. Ludzi do zadania dobierał sobie sam. Podobnie jak

agenci Secret Service, ci też szybciej wystawią się na strzał, niż wiedzeni instynktem samozachowawczym schowają się w pierwszą lepszą dziurę. Stanowili część Kremlowskiego Pułku Ochrony Specjalnej, jednostki mającej tylko jeden cel – zapewnienie bezpieczeństwa głowie państwa.

Władimir Władimirowicz należał do tych osób, które nigdy nie lubią tracić kontroli, obojętnie czego dotyczyła. To on decydował, co działo się w każdej minucie jego życia. Za plecami żartowano, że nie podjął tylko jednej decyzji – tej dotyczącej daty śmierci. Istotnie, w tej kwestii wciąż nie potrafił się zdecydować.

Pułkownik w polowym mundurze i z automatem w potężnych dłoniach ustawił się przed nim. Pozostali otoczyli prezydenta ze wszystkich stron szczelnym pierścieniem, przy czym dwóch dryblasów z lewej i z prawej strony ujęło go pod łokcie jak staruszka mającego problemy z chodzeniem. Niemal frunął, gdy ruszyli przed siebie. Spoza pleców, głów i barków ochroniarzy niewiele widział. Po raz pierwszy od nieszczęsnego 9 maja poczuł strach. Pójdzie tam, gdzie go zaprowadzą. Nieistotne, że wszystko działo się dla jego dobra, zgodnie z niezawodną procedurą. Strach dławiał i nic nie potrafił na to poradzić. Do pewnego stopnia zachowanie ochroniarzy wobec niego było upokarzające. Nie postępowano z nim jak z człowiekiem. Skojarzenie z kukielką nasuwało się samo.

Szybkim krokiem opuścili centrum dowodzenia, kierując się do drogi ewakuacyjnej. Stalin – pomysłodawca systemu – mógł być z niego dumny. Sam nie skorzystał z niego ani razu. Nie musiał. Po raz pierwszy sieci użyli puczyści Janajewa w 1991 roku. Za rządów Jelcyna, wbrew krążącym plotkom, dbano o system z taką samą starannością jak wcześniej. Czas na kolejną modernizację przyszedł wraz z jego epoką. I to przedsięwzięcie, jako jedno z nielicznych, zasługiwało na miano sukcesu. Szkoda tylko, że nie można było się nim pochwalić przed szerszą publicznością.

Żarówki ponad głowami zamigotały raz i drugi. Na chwilę wszystko wróciło do normy, ale po kilku sekundach światło znów zaczęło mrugać.

Eskorta ani na moment nie zmyliła kroku. To nie ludzie, tylko automaty – przemknęło przez myśli Putinowi. Dziesięć stopni w dół, skręt w prawo, korytarz, skręt w lewo. Ponad ramieniem pułkownika dostrzegł wartowników stojących przed stalowymi wrotami. Ktoś wcisnął kilka cyfr na tablicy z boku. Nim zdążyli podejść bliżej, parotonowe skrzydło odjechało na bok. Skład właśnie wjeżdżał na jedyny peron podziemnego dworca.

W ciągu godziny wydostaną się poza Moskwę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za sześć godzin znajdzie się w nowym centrum dowodzenia. Musi się udać. Ma przecież imperium do uratowania.

•

W ogólnie dostępnej sieci moskiewskiego metra wiele stacji posiada własny klimat. Nie brak w nich rzeźb, mozaik, obrazów, ozdobnych kandelabrow, a wszystko wykute w marmurze i granicie. Po jednej stronie robotnik wyklepujący młotem sierp, a po drugiej chłopka ścinająca złote kłosa. Na swój sposób były to dzieła sztuki. Socrealistycznej, oczywiście. Peron, który ukazał się oczom Wirskiego, wyglądem zdecydowanie odbiegał od tamtych. Przypominał puste pudełko wciśnięte głęboko pod ziemię. Żadnych ozdóbek czy choćby widocznych elementów konstrukcyjnych. Prostota w skrajnej formie. Łagodne światło przesączające się przez panele w suficie harmonijnie łączyło się z jasnym kamieniem ścian i nieco ciemniejszym czerwonym podłożem.

Efekt estetyczny psuło około pięćdziesięciu żołnierzy rozstawionych wzdłuż peronu. Za nimi kilkudziesięciu cywili w różnym wieku i obu płci.

Może zapomnieć o opuszczeniu lokomotywy i ewentualnym powrocie do domu. Kostienko milczał, podobnie jak Łysenko, choć akurat ten wypatrywał linii ułatwiającej zatrzymanie pociągu w odpowiednim miejscu. Wolno podtoczyli się do końca peronu i stanęli z koszmarnym piskiem hamulców trących o koła.

– Musicie...

Dłoń Wirskiego trzymająca pistolet wyskoczyła z kieszeni, trafiając Łysenkę kolbą w tył głowy.

– O...

Z równym powodzeniem mógłby próbować ogłuszyć spizowy pomnik. Walnął po raz kolejny z podobnym skutkiem. Maszynista zwinął się w fotelu, zaciskając wielkie dłonie na gardle Andrzeja. Upadli na podłogę. Próby założenia dźwigni spełzły na niczym. Walił jak oszalały w twarz Łysenki, co jedynie rozwścieczało Rosjanina. Dobrze, że przed upadkiem zdążył nabrać powietrza do płuc, choć i tak walczył o najmniejszy łyk tlenu. W końcu, zamiast bezproduktywnie uderzać kolbą, spróbował wbić lufę w usta przeciwnika. Nic z tego. Maszynista odwrócił głowę. Jak nie usta, to oko. Kurwa, co za młot mu się trafił! Na szczęście prawa noga pozostawała wolna. W desperackim wysiłku uderzył kolanem. Błąd. Równie dobrze mógłby ukłuć szpileczką. Zwinął się, na ile potrafił, i smagnął podeszwą buta. Tym razem lepiej, uścisk jakby zelżał. Zamiast dalej uderzać, przerzucił nogę ponad głową maszynisty i skręcił ciało. Nogi zawsze są silniejsze od rąk. W teorii. Wygięta noga Wirskiego wcale nie przeszkadzała Rosjaninowi atakującemu z nową furią. Co robi Pawłowski? Śpi czy co?

Kostienko nie wymagał takich starań jak Łysenko. Jedno uderzenie w czoło pozbawiło elektryka ochoty do walki. Osunął się pomiędzy fotel maszynisty a pulpit sterowniczy z cichym jękiem. Do jego świadomości nie dotarło jeszcze, co się stało. Narzędzia z torby rozsypały się na bok. Wśród nich masywny klucz francuski pasujący do hydraulika, a nie elektryka, ale co tam. Ważne, że był, i to pod ręką. Arek złapał za gumowy uchwyt, zrobił zwrot i stalowa głowica spadła na czerep Łysenki. Pawłowski nie był pewny, ale klucz chyba się zgiął.

– Chrrry...

Poprawił, tym razem mocniej. Łysenko całą masą ciała, czyli ważącą jakieś pół tony, zwałił się na Andrzeja.

– Za...

– Co mówisz?

– Zabierz... ze mnie... to cielsko... – wycharczał Wirski.

– I co teraz, geniuszu?

– Daj pomyśleć. – Andrzej stanął na nogi, chwiejąc się przy tym w przód i w tył. – A to skurwiel.

– Odetchnął głębiej i zupełnie nieprofesjonalnie posłał solidnego kopniaka w żebra maszynisty. – O mało mnie nie zabił.

– Narzekania zupełnie do ciebie nie pasują. – Pawłowski przetądował pistolet i stanął przy drzwiczkach. – Spójrz lepiej tam.

Andrzej zrobił krok. Niedobrze. Gardło paliło żywym ogniem, a stopa pulsowała bólem. Kompletnie sponiewierany wyrzwał na zewnątrz. Jakaś kawalkada niczym tornado nadciągała od strony stalowych wrót. Dwudziestu chłopca otaczało mikrusa w pomiętym garniturze.

– Widzisz to, co ja? – zapytał Pawłowski.

– Skądś znam tego typu. – Wirski pomasaował szyję. Czyżby los zsyłał im w ręce samego prezydenta? To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Do ostatniego wagonu już załadowało się kilku najwyższych w tym kraju biurokratów. Reszta cierpliwie czekała na swoją kolej. To nie oni byli tu ważni, tylko prezydent zmierzający szybkim krokiem do salonki pośrodku składu.

Wirskiemu wszystko przewijało się przed oczami jak sen. Nie potrafił się tylko zdecydować, czy to koszmar, czy wniebowstąpienie. Anielskich dzwonów raczej nie słyszał. Wszystko wskazywało raczej na to pierwsze, kiedy dostrzegł żołnierzy kierujących się w stronę lokomotywy. Szli wzdłuż peronu, wybijając rytm podkutymi butami. Tylko ostatni frajer mógłby sądzić, że odjadą bez problemu.

•

Wzbierająca w nim złość w końcu znalazła ujście. Szarpnął się, wrywając łokcie z mocarnego uścisku. Czy tym durniom wydaje się, że jest ubezwłasnowolniony? Bezpieczeństwo bezpieczeństwem, tu chodziło o godność. Nie pozwoli na oczach sporej gromady ministrów dawać sobą pomiatać. Zwolnił. Poprawił krawat, przecesał włosy i z całym sznytem, na jaki było go stać,

zaczął przemierzać peron dostojnym krokiem. Gdzieś z końca tłoczyli się ci, którzy mieli stanowić załóżek nowej administracji: paru urzędasów, sekretarzy, szyfrantów, słowem zaufana ekipa, bez której nie sposób się obyć. Całej reszcie przyjdzie poczekać. Nikt im tego jeszcze nie powiedział, ale mający ich ewakuować skład zostanie podstawiony najszybciej za godzinę. Seria z działka A-10 rozerwała lokomotywę przewidzianą do pociągnięcia wagonów z bliższym i dalszym zapleczem prezydenta. Nowej nie było na podporędku. Należało ją dopiero zorganizować. I tak mają szczęście – nikt im nie każe zostać w bombardowanym mieście.

•

– Otwierać! – Stanowczy rozkaz nie pozostawiał wątpliwości, co za chwilę się stanie.

Pawłowski ciekawie uniósł brwi do góry. Wciąż czekał na propozycje Andrzeja.

– Szybko! – dobiegło z zewnątrz.

– Długo chcesz to ciągnąć? – zapytał Arek.

Myśli w głowie Wirskiego galopowały jak szalone. Dopóki znajdowali się w lokomotywie, byli względnie bezpieczni. Tylko co dalej? Jak długo można opóźniać odjazd?... A może, szlag, może... wcale nie opóźniać. To szaleństwo. Zgoda, lecz jedynie w ten sposób mogli się stąd wyrwać.

Wytrzeszczone ze strachu oczy Kostienki błędziły pomiędzy nimi a wciąż nieprzytomnym Łysenką.

– Pokierujesz tym złomem. – Wycelował broń w stronę elektryka. To było żądanie, a nie propozycja.

– Ja?

– Nawet nie chcę słyszeć, że nie potrafisz.

Kostienko, przytrzymując się fotela maszynisty, dźwignął się do góry. Drżał przy tym jak osika.

– Spróbuję.

– Doskonale.

Rosjanin wgramolił się na siedzenie i oparł o dźwignię. To nie było takie trudne. Tu gaz, tam kierownica – jak w samochodzie, tyle że jechali po torach. Pewnie należało nią kręcić na zakrętach. Trochę wprawy i będzie dobrze.

– Czekaj... – Zatrzymał chcącego ruszać Kostienkę.

– Co znowu? – obruszył się Pawłowski.

Wirski stanął przy drzwiach i odblokował zamek. Przez uchyloną szparę dostrzegł wycelowany w górę lejkowaty koniec automatu.

– Mięliśmy tu mały... – otworzył drzwiczki szerzej – ...problem.

– Naprawdę?

Trzech mundurowych wyglądało na wściekłych.

– Kim ty właściwie jesteś? Gdzie Łysenko?

– Zapił.

– Co?

Wychylił się, lustrując, co dzieje się na peronie. Putin właśnie wsiadł do wagonu. Za nim jakaś kobieta i facet w wyjściowym mundurze z małym czarnym neseserem. Wszystko pod czujnym okiem ochrony. Pierwszy z Rosjan zaczął wspinać się do sterowni. Z zupełnym spokojem, jaki na niego spłynął, rzucił pod adresem Kostienki:

– Jazda.

Cele znajdowały się niespełna metr od niego. Trafił oficera kulką między oczy. Nieznaczny skręt nadgarstka i do kapitana dołączył jego podwładny. Trzeciego zastrzelił Pawłowski. Wszystko trwało mniej niż półtorej sekundy.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, zatrzasnął wejście. Pociąg właśnie nabierał prędkości i zniknął w czarnej czeluści tunelu. Zaskoczenie okazało się zupełne. Nikt z ochrony tak naprawdę nie zorientował się, co zaszło. Przy ruszaniu wszystkie drzwi zatrzasnęły się automatycznie, odcinając część obstawy i personelu biurowego na peronie. Strzelanie miało się z celem. Wszystko, łącznie z



lokomotywą, zostało opancerzone. Zwykłe pociski z broni małokalibrowej co najwyżej odbiłyby się rykoszetem, rażąc stojących na peronie. Kuriozalna sytuacja. Porwano prezydenta, a oni nic nie mogli poradzić. I tylko trzy ciała zwijające się w przedśmiertnych drgawkach stanowiły dowód, że to nie był sen.

Kostienko skulony za deską rozdzielczą wyglądał jak siedem nieszczęść. Wbrew własnej woli podniósł rękę na największą w Rosji świętość. Nigdy sobie tego nie daruje, a co ważniejsze, inni mu tego nie darują. A on chciał tylko żyć. Nawet taki siłacz jak Łysenko nie dał im rady.

Cichy jęk obwieścił powrót maszynisty do świata żywych.

– Co z nim? – Pawłowski stanął nad Rosjaninem – Mam go... no wiesz?

– Zaczekaj.

Zlikwidować zawsze zdążą. Owszem, najprostsze metody są zawsze najskuteczniejsze, ale jak strzelić komuś w potylicę? Przecież nie byli z NKWD. Z drugiej strony, żaden z nich nie miał ochoty na ponowną szarpaninę z siłaczem. A na pewno nie Wirski.

Jak szybko się okazało, nie posiadali niczego nadającego się do skrępowania Łysenki. Stanęło na kłębie miedzianego drutu znalezionego w rzeczach Kostienki. Lepsze to niż nic. Paskiem od spodni związali nogi, a ze sznurowadeł zrobili pętlę, w którą wsunęli głowę maszynisty, odchylając tułów do tyłu. Drugi koniec przywiązali do nadgarstków. Brakowało sporego kawałka przytwierdzonego do kostek u nóg. To, co było, musiało wystarczyć. Nim skończyli, maszynista ocknął się na dobre. Lewa strona twarzy, tam gdzie oberwał butem, zaczęła puchnąć. Oka w ogóle nie było widać. Z drugiego wyzierała mordercza wrogość.

– Spróbuj drgnąć... – nie skończył. Odsunął się, nim czerwona ślina spłynęła mu po twarzy.

– Zawzięte bydło – skomentował Pawłowski, wciskając lufę w kark elektryka. – Dzieci masz?

– Nie.

– A żonę?

– Też nie.

– Szkoda. Nikt nie będzie po tobie płakał.

– Zabiją mnie – wystękał Kostienko.

– Poszukaj kumpli gdzie indziej – poradził Pawłowski. – I bez numerów, bo... zresztą i tak wiesz, co cię czeka.

•

Władimir Władimirowicz drgnął, kiedy usłyszał strzał, bo to musiał być strzał. Takiego dźwięku nie sposób z niczym pomylić. Podobnie prychnął gaźnik, lecz tu nie było samochodów. Instynktownie skulił się, oczekując uderzenia kuli. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu nic podobnego nie nastąpiło. Strach wrócił natychmiast, gdy pułkownik z eskorty skoczył do wyjścia. Prześlizgnął się pomiędzy prezydentem a ścianą, odepchnął ochroniarza i już go nie było.

Wagonami szarpnęło. Specjalnie wzmocnione wejście zatrzęsęło się, odcinając ich od zgiełku panującego na zewnątrz. Jakaś sekretarka pisnęła, ktoś krzyknął, a ktoś przeciskał się do drzwi. Głupiec. Zanim wciśnie kod na panelu sterowania, znajdą się w tunelu i co wtedy zrobi?

Podszedł parę kroków i opadł na kanapę. Właśnie uniknął zamachu na własne życie. Zaczął odczuwać euforię. Żyje i tylko to się liczy. Zaraz, zaraz – jak tym sukinsynom udało się podejść tak blisko? Fakty mówiły same za siebie. Spisek czaił się w najbliższym otoczeniu, a to oznaczało, że nie mógł ufać już nikomu. Absolutnie nikomu. Wszędzie mordercy i dywersanci. Jakich czasów dożył? I co robi ochrona? Niech natychmiast znajdą sprawców. Już on się z nimi policzy. Dopiero teraz zorientował się, że coś jest nie w porządku.

– O co chodzi?

Ci z ochroniarzy, którzy zdążyli wejść do środka, pośpieszyli gdzieś do przodu. Pozostało trzech obstawiających salonkę. Każdy z nich ze słuchawką w uchu i napięciem malującym się na twarzy.

– No, o co chodzi? – powtórzył pytanie.

– Nie możemy nawiązać łączności z lokomotywą.

- I co z tego? Wyślijcie tam kogoś.
- Włączyły się automatyczne blokady. Każdy z wagonów stał się autonomiczną częścią.
- Co wy mi tu pieprzycie?
- Względy bezpieczeństwa. Nie ja je ustalałem.

Bezczelność z głósie ochroniarza przekraczała wszelkie granice. Później się tym zajmie. Poszukał alkoholu w barku obok kanapy. Zawahał się. Za wcześniej, by zaczynać. No, chyba że jeszcze nie skończyła się noc.

Podobno dysponował najbardziej profesjonalną ochroną na świecie. Z tymi bohaterami nikt nie mógł się równać. Szybki do spluwy, walki i szklanki. I co? Wszyscy zostali wyrołowani. Bez wyjątku. On zresztą też. Chyba jednak się napije. Wybrał czystą. W tych okolicznościach tylko rosyjska wódka potrafi ukoić nerwy. Nie wszystko stracone. W końcu ktoś znajdzie sposób i przejmie lokomotywę. Podziemne tunele to może nie najlepszy moment do takich działań, ale gdy już je opuszczą, stanie się to możliwe.

Chociaż... ci, którzy dokonali porwania, też nie byli idiotami. Mają plan, to na pewno. Oczami wyobraźni zobaczył komitet powitalny. Prezydent i spora część rządu wpadnie prosto w łapy wroga. Co też się powyprawiało... Sojgu został w centrum dowodzenia, koordynował działania. Miał dołączyć w sprzyjającym momencie. Bortnikow wybierał się drugim pociągiem, lecz znając szefa FSB, wcale by się nie zdziwił, gdyby ten cwany lis opracował parę sposobów na opuszczenie stolicy sobie tylko znanymi metodami. W każdym bądź razie poradzi sobie bez niego.

Żółć wypełniła gardło prezydenta. Co za hańba. Wpakował się w sidła jak skończony dureń. Zawsze chciał być dwa kroki do przodu, a w konsekwencji nie dostrzegał tego, co miał tuż pod nosem.

•

- Idź do tyłu i sprawdź, czy wszystko gra – polecił Pawłowskiemu.
- Jasne.
- Uważaj.
- Wiesz, że nie pozwolę zrobić sobie krzywdy.
- Dobra, dobra, nie gadaj tyle.

Powinni pójść razem, tylko kto wówczas przypilnuje Kostienki? Wyraźnie dawał się odczuć brak Nowakowskiego. Szkoda, ale nic nie poradzi.

Z przodu zbliżała się jasna plama. Kolejne interesujące miejsce. Przygotował się na widok setek żołnierzy przelewających się przez peron, a zamiast nich ujrzał spory, oświetlony korytarz, którego niedaleki koniec wieńczyły schody prowadzące do góry. Nikt niczego nie pilnował i nie czał się za załomem muru.

- Mogę zapalić? – Nowy maszynista zerknął na Wirskiego.
- Jak musisz.

Kostienko wysupłał papierosa z górnej kieszeni kombinezonu, przypalił końcówkę i do nozdrzy Andrzeja dotarł smród palonego siana. Kaszlnął, przykładając dłoń z pistoletem do ust. Woń drażniła gardło i śluzówkę. Nic dziwnego, nie wrócił jeszcze do formy po łomocie, jaki zafundował mu Łysenko.

Dryblas leżący na plastikowej wykładzinie wydawał się obojętny na to, co działo się wokół. Po wcześniejszych przygodach współpracy raczej nie nawiązą. Pozostawał jego kumpel – jedyny jeniec skory do rozmowy.

- Wiesz, gdzie wyjedziemy?
- Jesteś pewny, że nas, was... – szybko się poprawił – ...wypuszczą?

– Widzisz, o tym nie pomyślałem. – Stuknął lufą w potylicę elektryka. – Tylko że ja nie o to pytałem.

- Sami zobaczycie.

Mądrała. Znał sposoby na wyciągnięcie informacji nawet z najbardziej opornego delikwenta, a

ten tu nie wyglądał na twardziela. Można go złamać w pół minuty. Co prawda trochę się stawiał, lecz chodziło bardziej o zachowanie tej reszty szacunku względem siebie niż o cokolwiek innego. Na razie niech sobie myśli, że jest chojrakiem. Na połamanie palców jeszcze przyjdzie czas. Odwrócił się, słysząc nadchodzącego Pawłowskiego.

– Wszystko gra.

– Nie wejdą?

– Jak mają pod ręką pół kilograma trotylu, to wejdą. Nic nie poradzisz.

– Jesteś pewny?

– Co ja, amator jestem? – warknął Arek, wyraźnie zły. – Jak mówię pół, to pół. Rozwalą przy okazji wagon za nami, bo podmucha pójdzie w tamtą stronę.

– Jest więc szansa, że zostawią nas w spokoju.

– Na takie rozwiązanie raczej bym nie liczył. Wcześniej czy później znajdą sposób. Głupi nie są.

Dalszą dyskusję przerwał westchnienie Kostienki. Dojechali do rozjazdu. Przed nimi tunel rozdzielał się na dwie części. W prawo czy w lewo? Przypomniał sobie o mapkach Nowakowskiego. Podobny układ widział na jednym ze szkiców. Szybko przewertował kieszenie. Nim zlokalizował odpowiednią linię, skręcili w prawo. Kompletnie nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Pierwszy rysunek nie pasował do niczego. Rzucił go na podłogę. Nikomu już się nie przyda, podobnie jak drugi i trzeci. Czwararty – same bazgroły, piąty... momencik. Schylił się po upuszczoną kartkę. Poobracał ją na wszystkie strony, aż w końcu znalazł, czego szukał. Ten odcinek prowadził do ogólnodostępnej części metra, a później pojedą przynajmniej przez jej niewielki fragment. Tego, co jest dalej, mapa nie uwzględniała.

Po chwili zrobiło się jaśniej. Kolejny rozjazd. Pełna cywili stacja. Nawet nie zorientował się, jaka. Znów w lewo. Kilka torowisk biegnących równoległe względem siebie. Bez wątpienia cały podziemny węzeł komunikacyjny. Składy metra stojące obok siebie i cienie ludzi skaczące po wagonikach. Niepostrzeżenie zaczęli piąć się w górę, pozostawiwszy nieruchome składy w oczekiwaniu na lepsze czasy.

Wyskoczyli na powierzchnię jak okręt podwodny z oceanicznych głębin. Przemiana zachodziła niezmiernie powoli. Dopiero szmerzące na szybie strugi deszczu uświadomiły im zmianę. Był niemal pewny, że nie wydostaną się na powierzchnię. Pomylił się, zresztą nie pierwszy raz.

Wśród szarówki poranka i walących na ziemię hektolitrów wody spróbował wyłowić punkty orientacyjne. Nic z tego. Kompletnie nie wiedział, gdzie są i co ich czeka w najbliższej przyszłości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

NAD MOSKWĄ | 1 czerwca, godzina 05:23

Skąd oni wytrzasnęli tego gównianego Hueya? Chyba z demobilu lub agencji. UH-1 ostatni raz widział... widział... no, w każdym bądź razie dawno, dawno temu, w bajce o Wietnamie.

Co prawda ten konkretny egzemplarz prezentował się nie najgorzej. Wcale by się nie dziwił, gdyby ze starego modelu pozostała skorupa, a cała reszta została wymieniona, co nie przeszkadzało mu uważać, że lecą śmigłowcem, którego miejsce od lat jest w muzeum. Zdaniem chorążego Louisa „Drzazgi” Alvareza tu nic nie wzbudzało zaufania – od kompletnie pokręconych pilotów prowadzących Iroquoisa tak nisko, że niemal ocierali płozami o dachy domów, po wirujący nad nimi dwułopatowy rotor. I jeszcze te pootwierane na oścież z jednej i drugiej strony drzwi desantowe. Kiedyś nawet lubił taką jazdę. Obecnie migające w bezpośrednim sąsiedztwie co wyższe słupy, reklamy czy nawet drzewa wywoływały w nim mdłości.

Kapitan Cook i dowódca maszyny na bieżąco modyfikowali trasę. Oparty o tylną ściankę, wyraźnie wiedział oficera wyrzaskującego rozkazy do mikrofonu łączności wewnętrznej. Pozostawało jeszcze dość miejsca, by podziwiać widoki z przodu przez panoramiczną szybę. Właściwie lecieli na wprost szklanej ściany rozległego apartamentowca. Na górnych piętrach błękitno-stalowej konstrukcji odbijały się promienie wschodzącego słońca.

Słońca?

Fuck. Było tak pochmurno i wietrznie jak podczas atlantyckiego sztormu. To, co wziął za jutrenkę, okazało się działkiem prowadzącym ostrzał. A może to wcale nie działko? Tak naprawdę to sam nie wiedział, co widział. Maszyna wykonała gwałtowny manewr. Mocniej złapał się uchwytów. Słodki Jezu, zostali zestrzeleni. Po jaką cholere pisal się na ten lot? Nie, nie, nie, spokojnie. Nic się nie stało, a swoją drogą, zupełnie nie przypuszczał, że Huey jest zdolny do takiej akrobatyki.

Starał się zlokalizować miejsce, skąd do nich strzelano. Z lewej. O, jest. Już nic nie błyskało, ale jeszcze dymilo. Chyba faktycznie stamtąd prowadzono ostrzał, bo ktoś rozwalił stanowisko rakieta lub pociskiem dużego kalibru. Mniejsza z tym. Kłopoty i tak się mnożyły.

Pod nimi mignęła szeroka arteria. Nie zdążył policzyć pasów, ale było ich co najmniej po sześć w każdą stronę. Żeby tak budowano w Los Angeles, nie byłoby aż tylu korków. Po co oni tu w ogóle przylecieli? Ten syf na pewno przez polityków. To ich wina. Zawsze tak było. Niech no tylko któryś zjawi się z propagandową gadką. Nogi z dupy wyrwie takiej kurwie.

A to co znowu? Solidna, wysoka budowla kłuła niebo iglicą. Architektoniczny koszmarek wyjęty żywcem z minionej epoki. Nim zdążył bliżej się przyjrzeć, cudo znikło z widoku.

– Cel za minutę. – Cook odwrócił się do niego i pokazał, kiedy znajdują się w punkcie desantowania.

Potwierdził. Jazda dopiero się zacznie. Kapitan, on i trzech wytypowanych ludzi. W piątkę przyjdzie zrobić to, co wcześniej przewidziano dla całej drużyny bojowej CIA. Okazuje się, że wojna to nic innego jak sztuka improwizacji.

Sprawdził M110. Niech tylko doleca. Na ziemi pokaże, ile jest wart.

•

Nim tam dotarli, pojawiła się kolejna szeroka arteria. Wizg z Miniguna. On niewiele widział, więc pytanie, co interesującego dostrzegł strzelec, pozostało otwarte. Zabudowa zrobiła się bardziej zwarta. To już nie pojedyncze bloki, lecz całe kwartały ulic. Czy mu się zdawało, czy na prawo dostrzegł Kreml? Jak już będzie po wszystkim, a on przeżyje, koniecznie musi się tam wybrać. Przy okazji zrobi parę fotek, inaczej nikt nie uwierzy, że tu był.

– Piętnaście sekund.

Teraz widział wyraźnie, jak pociski z Miniguna strąciły z dachu jakichś ludzi. Nie, to nie ludzie,

to żołnierze. Dzięki przytomności umysłu strzelca nie skończyli jak ci w Mogadyszu.

No tak. Mogadysz, Bagdad, Kijów, Moskwa – już zaczynał głupieć. Niektóre sceny pochodziły z filmów, wiadomości telewizyjnych, niektóre z własnych przeżyć. Bywały chwile, że nie potrafił odróżnić jednych od drugich.

Poderwali się do góry tuż przed ścianą, gdzie olbrzymi billboard wypełniała para damskich piersi ledwo zakrytych skrawkami materiału, a obok toczyło się koło od traktora. Reklama silikonu? Możliwe.

Prędkość zaczęła gwałtownie spadać. Nos Iroquoisa uniósł się, a belka ogonowa powędrowała w dół. Walnęli w płaski dach z taką siłą, że Alvarezowi o mało nie powypadały plomby z zębów. Jednym ruchem rozpiął klamrę pasa przytrzymującego ciało na siedzisku. Wstał, balansując ciałem. Zdaje się, że kolbą karabinu potrafił strzelca. Nieważne. Zeskoczył na pokryty papą płaski dach. Miejsce wybrano starannie – żadnych anten czy instalacji przeszkadzających w przyziemieniu. Dwadzieścia metrów dalej schody prowadzące na dolne piętra. Pędzi w tamtą stronę długimi susami. Dobrze, że na oczy zsunął gogle. Deszcz zacina prawie poziomo, a to za sprawą porywistego wiatru.

Nim dopada do drzwi, przerzuca M110 na plecy i wyjmuje z kabury M9 z piętnastonabojowym magazynkiem. Stalowe, mocno zniszczone drzwi nie mają klamki, tylko wygięty uchwyt przyspawany mniej więcej w połowie wysokości. Szarpie i o mało co się nie wywraca. Poszło zaskakująco łatwo.

Za nim jest już Cook i pozostali. Wszyscy mierzą w mroczne poddasze. Nikogo. Przeszępuje próg. W nozdrza uderza woń moczu, kapusty i mokrych desek. Prosto przed siebie. Biegnie z wyciągniętym pistoletem. Kątem oka łowi to, co jest po bokach – jakieś drewniane beczki i skrzynki. Butelki walają się pod nogami.

Klatka schodowa przed nimi. Nic nie blokuje zejścia, a tym na etapie planowania martwili się najbardziej. W zapewnienia, że ktoś pootwiera wszystkie drzwi, jakoś nie potrafił uwierzyć. A jednak. Wykonano dobrą robotę.

Teraz dwa piętra w dół. Posuwają się blisko ścian, przestawiając nogi tak szybko, jak potrafią.

Blok ma pięć pięter i parę klatek schodowych tworzących trójkąt z wewnętrznym podwórkiem. Na ulicę prowadzi brama. Dom dla uprzywilejowanych, przy czym niekoniecznie chodziło tu o tych popierających Jedną Rosję. Odpowiednie konto w banku ułatwiało załatwienie wszelkich formalności kwaterunkowych. Alvarez słyszał o tym i prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Ci, których było na to stać, już dawno prysnęli za granicę lub chociażby na prowincję. Zdaniem informatorów budynek stał pusty lub prawie pusty. Wszystko powinno odbyć się bez problemu. Co do tego pozostawał sceptyczny.

Piąte piętro wygląda na opuszczone, wystarczy spojrzeć wzdłuż korytarza. Wszystko ciche i martwe. Na czwartym tak samo. Dziesięć stopni w dół. Półpiętro. Wychyla się. Czysto. Już prawie dotarli na miejsce. Kilka ostatnich schodków. Przywiera do ściany.

– Ruszaj. – Cook nie ma litości.

Przyklęka i lufą odchyła tym razem drewniane drzwi. Trzy następujące po sobie strzały dziurawią płytę zaledwie parę centymetrów od głowy Alvaraza. Należało się tego spodziewać.

– Teraz.

Granaty hukowe toczą się po korytarzu. W oczekiwaniu na wybuch odwraca głowę w przeciwną stronę. Walnęło tak, jakby piorun uderzył na końcu korytarza. Nie ma czasu na zastanawianie się. Wyskakuje i strzałem w głowę unieruchamia skulonego na posadzce mężczyznę. Jeśli załatwił figuranta, mają przesrane. Ktoś próbuje wyjść z mieszkania, lecz seria z M4 kapitana odrywa drzazgi od futryny. Ostatnie metry. Biegną. Na progu widać stopy i ślady krwi. Jednak Cook trafił.

Ranny leży na brzuchu, próbując odczołgać się w głąb mieszkania. W dłoniach ciągnie automat. Suchy trzask i Rosjanin zamiera na zawsze.

Na lewo kuchnia, w głębi salon. Gdzie ten cholerny pajac się schował? Skuloną postać pomiędzy szafą a kanapą pierwszy dostrzega Alvarez. Głowa schowana pomiędzy rękami i w ogóle obraz nędzy i rozpacz.

– Gospodin Nawalny?

Ciemne włosy, płaskie czoło i nos. Twarz prawie zupełnie nijaka. Zdjęcie nie kłamało. Nie przestając do niego mierzyć, robi parę kroków i pomaga mu wstać. Wytrzeszczone oczy opozycjonisty lustrują chorążego, gdy ten dokonuje rewizji.

– Czysty.

– Pójdzie pan z nami. – Kapitan w tym czasie przetrząsa mieszkanie.

Stanton i reszta obstawiają teren.

– Ja?

– John, zabierzcie go.

Kapral chwyta Nawalnego za ramię i prowadzi do wyjścia.

Papierów na podłodze, stole i krzesłach jest sporo. Cook próbuje się w nich rozeznąć. Bezwartościowy chłam. Odezwy i proklamacje. Z książek klasyka, głównie Lenin. Są jakieś listy. Chowa je do torby. Później przyjrzy się im bliżej. Alvarez buszuje po regale. Ekonomia, historia, prawo. Przegląda niektóre z wydawnictw. Odręczne pisma i notatki są najważniejsze. Podobnie jak Cook nic nie znajduje.

Wypadają na korytarz. Są już na klatce schodowej, gdy przez uchylone okno widzi wjeżdżające na dziedziniec samochody – srebrzystego policyjnego Forda i czarne BMW 750. Pistolet wędruje do kabury. Jego miejsce zajmuje karabin wyborowy. Przez celownik optyczny widzi, jak mundurowi pędzą w stronę schodów. Odległość trzydzieści metrów. Nic prostszego. Wybija szybę.

M110 stworzono właśnie na takie okazje. Strzela raz za razem, nie musząc przeładowywać. Trach. Gliniarz groteskowo wali się w kałużę. Minimalna korekta, strzał i następny już prawie przy samym wejściu rozpląszcza się na betonie. Trzeci skrył się za samochodem, tak że widzi tylko kawałek jego nogi i nic poza tym.

Dwaj faceci w garniturach, którzy zdążyli wysiąść z BMW, gwałtownie zrywają się do biegu. Krótko ostrzyżone bysiorzy z HK-53 wyszarpiętymi spod marynarek. Alvarez przesuwają się nieco w lewo, żeby naprowadzić krzyż celownika na tułów pierwszego z nich. Facet biegnie, starając się wypatrzeć pozycję snajpera. Wpakowuje w niego dwa pociski. Raz chybia, a raz trafia w udo. Agent pada. Do uszu Louisa dochodzi krzyk rannego. Gdzie ten drugi?

Seria z rozpylacza roztrzaskuje szybę. Odskakuje do tyłu, a to bydlę! Gdyby nie ochronne gogle, hełm i bojowe rękawice, pokruszone szkło wbiłoby się w nieosłoniętą skórę. I tak czuje na policzku i brodzie jakąś wilgoć. Ściera ją wierzchem dłoni. Krew, ale zdaje się, że nic poważnego.

Rusek jest już na klatce schodowej – słyszał trzask na dole – i pewnie zaraz znajdzie się piętro niżej. Nie brak skurwielowi tupetu.

– Odwrót. – Rozkaz Cooka jest jasny.

Przez słuchawki słyszy chrapliwy oddech człowieka dającego z siebie wszystko. Pewnie już dobiegają do helikoptera. Pilot zwiększy obroty i po zabawie. Szkoda, że bez niego na pokładzie.

Patrzy w dół. Nie ma drania. Pewnie kryje się i czeka na dogodną okazję. Hałas od strony bramy nie budzi wątpliwości – w odwiedzinach przybywają kolejni goście.

Broń do ramienia. Przednią szybę kolejnego policyjnego samochodu przesywa resztą pocisków, jakie zostały w magazynku. Trafił, to nie ulega wątpliwości. Wóz wpakowuje się w tył BMW z nieznośnym dźwiękiem giętego metalu. To powinno ich zatrzymać. Wyciąga granat i ciska nim w kondygnację poniżej. Zrywa się do biegu, przeskakuje po dwa stopnie. Za żadne skarby nie chce zostać odcięty w takim miejscu.

Piąte piętro, poddasze, otwarte na oścież drzwi. Rusza sprintem, mając niejasne przecucie, że Rosjanin jest tuż za nim. Już prawie dopada wyjścia. Stopa lekko ześlizguje się z mokrego progu. Wyhamowuje, lecz nie traci równowagi.

Zbiera się do pokonania ostatniego odcinka, gdy z futryny lecą drzazgi. Ten zajadły drań nie chce odpuścić. Odbiega trochę w bok, tak by Rosjanin stracił go z pola widzenia. Płozy Hueya odrywają się od dachu. Strzelec przy Minigunie daje znaki. Alvarez w lot pojmuje, o co chodzi. Rzuci się na dach, gdy z luf wykwiła biały płomień. Odgłos kartaczońcy świdruje uszy. Wszystko trwa najwyżej trzy sekundy, co wystarcza do posłania w przestrzeń dwustu kul.

Odbija się od podłoża, pokonując ostatnie metry. UH-1 chwieje się na wszystkie strony. Skacze i szoruje brzuchem po brudnej podłodze śmigłowca. Jeszcze dynda nogami na zewnątrz, kiedy maszyna jest w powietrzu.

Wczołgał się do wnętrza, chwytając się oparcia i uchwytów. Nie miał ochoty wylecieć z przedziału transportowego wprost na ulicę pełną wkurwionych ruskich. Stanton przytrzymał go i pomógł zająć miejsce, co nie było łatwe, bo Hueyem szarpało w dół i w górę. Błady jak ściana Nawalny rzygał, nie przejmując się niczym, a jęczał przy tym jak zarzynane prosię. Jeśli ta huśtawka się nie skończy, pójdzie w jego ślady.

Nagle wszystko ustało i zaczęli lecieć równo jak po stole. Pod nimi ciągnęła się jakaś wlotowa arteria – szeroka jak wszystkie widziane do tej pory. Płaskie wieże Abramsów wykluczały pomyłkę. No, jeżeli dotarli aż tutaj, koniec rzezi musi być bliski.

Wiedział, że to się tak skończy. Przy tak intensywnie prowadzonym ogniu amunicja wyczerpywała się błyskawicznie. Do armaty pozostało siedem pocisków, z tego tylko trzy APFSDS i cztery HESH. Resztę wystrzelali. Było do czego. Batalion w szybkim tempie kosił rosyjskie czołgi, transportery i umocnienia. Maciejewskiemu wydawało się w pewnym momencie, że przeciwnikom zaczęło brakować instynktu samozachowawczego. Atakowali bez koordynacji działań. Wchodzili do walki pojedynczo lub w niewielkich grupach. Raz był to czołg, raz grupa piechoty i wóz bojowy. Najwyraźniej posypał się im system dowodzenia. Teraz każdy z komandirów działał na własną rękę. Nie brakowało im zapachu, to fakt. Dawali z siebie wszystko. Tyle że to oczywiście nie wystarczyło, by zatrzymać Abramsy. Do tego potrzebne były umiejętności i odpowiednie środki.

Od czasu opanowania Wnukowa kompania straciła jeden wóz, a batalion cztery, w tym dwa z załogami. Osobiście spodziewał się o wiele wyższych strat. Jakies trzydzieści do czterdziestu procent, jak nie więcej. Szło dobrze. Aż do tego miejsca. Jeśli nie otrzyma amunicji, zaczną do Rosjan rzucać kamieniami. Mógł prowadzić walkę najwyżej przez parę minut. Potem finito. Już czterdzieści minut wcześniej przekazał odpowiednią informację. Drugą kwadrans później. Kazali czekać. Są problemy, nie oni jedni itd. Do dupy z taką wojną.

Wieża Abramsa obróciła się w prawo. Na szczycie masztu telefonii komórkowej, jakieś czterysta metrów od nich, zainstalował się strzelec wyborowy nękający kolumnę pojedynczymi strzałami. Trzeba było oddać krótką serię z karabinu maszynowego. Pociski do niego też się kończyły. Jedynie półcalowy Browning wciąż posiadał spory zapas.

Maciejewski uchylił włącznik i rozejrzył się dookoła. Przed nim jakiś helikopter wyprawiał dzikie harce. Zbliżał się od strony centrum. Pilot musiał mieć jaja jak arbuzy, skoro zdecydował się lecieć w tak trudnych warunkach, i to taką zabaweczką.

Nad ranem i tak się uspokoiło. Wiało najwyżej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i – jak twierdzili ci mądrzele ze sztabu – do południa zupełnie przestanie wiać. Zachmurzenie ustąpi, wyjdzie słońce, temperatura wzrośnie do siedemnastu stopni. Pięknie. To prognoza dla jakiegoś kurortu, gdzie znudzeni wczasowicze zabijają czas pomiędzy grą w karty a wyjściem do baru piwnego. Wraz z poprawą pogody pojawi się więcej aparatów latających. Dostaną wsparcie. I całe szczęście, bo ponownie zaczynało się robić gorąco.

Już dawno minęli zewnętrzną obwodnicę i znaleźli się na prospekcie Lenina. Po obu stronach dziesięciopiętrowe nowoczesne bloki. Niektóre i wyższe. Na oko jakieś trzydzieści kondygnacji. Wszystko to tworzyło szeroki miejski kanion.

Niekiedy z przeciwka i z bocznych alei wyjeżdżały osobówki. Ich kierowcy na widok czołgów na

ogół hamowali i zawracali, lecz znalazło się paru takich, których widok wozów bojowych zupełnie nie speszył. Zamiast mózgu we łbie musieli mieć trociny. Po co oni w ogóle wyjeżdżali z garaży i pchali się pod lufy? Tego nie był w stanie zrozumieć. Batalion podążający klinem obiema jezdniami nikogo nie przepuści. Ryzyko śmierci niemal pewne. Dobrze, jak unieruchomią pojazd serią w maskę, lecz co, jeśli zamiast cywilami, samochód zostanie wypakowany po dach toną materiałów wybuchowych? Najprostsze metody bywają nieraz najskuteczniejsze.

Kapitan Jura Gorczakow już dawno przestał mieć jakiegokolwiek złudzenia. Najbliższa przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Już nie dowodził batalionem czy kompanią. Resztki dawnego oddziału można było policzyć na palcach jednej ręki – pluton T-80 i kilka BMP. Nie wszyscy podkomendni zginęli. Wielu wybrało wolność, a z częścią stracił kontakt podczas odwrotu spod Wołokołamska. Przemieszali się wszyscy ze wszystkimi. Jedni odchodzili, inni się przyłączyli – jakaś drużyna przeciwlotnicza bez armaty, kilku specnazowców i sztabowe ciule. Długo z nimi nie powojuje.

Właściwie już nie było gdzie się dalej cofać. Próbował zapanować nad bardzo niewielkim odcinkiem obrony, ale i to okazało się ponad jego siły. To jak próbować zatkać wybijające szambo kawałkiem ścierki.

Środkiem prospektu Lenina przebijała się pancerna kolumna wroga. Jej czoło dotarło do skrzyżowania z ulicą Krawczenki i akademika Piliugina. To podsunęło kapitanowi pewną myśl. Czołgów, rzecz jasna, nie ruszy, ale na kręcące się w pobliżu transportery i wozy zaopatrzenia może zapolować z powodzeniem. Jak do tej pory Polacy ciągnęli głównymi arteriami. Rzadko próbowali zapuszczać się w boczne ulice. Błąd. Im pewnie wydawało się, że wjadą na Plac Czerwony bez najmniejszego problemu. Cóż za arogancja.

Mając zapasy amunicji, mógłby się bronić do końca świata, ale zdaje się, że to już był koniec świata.

Podporucznik Karolina Manicka ponownie sprawdziła trasę przejazdu. Nic skomplikowanego – prosto, bez lawirowania jakimiś zaułkami. Niby wszystko jasne, lecz kiedy spojrzała przed siebie, serce zamarło jej w piersi. Aleja wyglądała koszmarnie – potrzaskane, zgruchotane samochody, płonące wraki i dymiące bloki. Ognia nie ugasiły strugi wody lejące się z nieba. Być może niebo i piekło nie potrafiły się zdecydować, co dalej z tym wszystkim zrobić. Przeciągnął grzmot dochodził z lewej, serie broni maszynowej z prawej. Koszmar.

W ciągu ostatnich godzin trasę pomiędzy Krasnoznamieńskiem a nacierającymi oddziałami 22 Brygady pokonała kilkukrotnie. Wszystko działało na granicy załamania. Linie zaopatrzeniowe wydłużono do granic możliwości. Tona paliwa, amunicji, żywności i medykamentów należało błyskawicznie rozdysponować pomiędzy potrzebującymi. To jej zadanie, więc nie ma co dłużej się zastanawiać. Wydała rozkaz. Kierowca Stara, przestraszony dziewiętnastolatek, któremu wydawało się, że służba w wojsku to wyłącznie przywileje, niepewnie potwierdził.

– Na co czekasz?! – wydarła się na niego zupełnie nieregulaminowo.

– Tak jest.

Ciężarówka wyładowana pociskami do armat Abramsów ruszyła i zaraz się zatrzymała. Solidna stalowo-betonowa konstrukcja billboardu leżała na jezdni. Za nią, ustawiony bokiem, dogasał autobus.

– Chodnikiem.

Podskoczyli na krawężniku. Dalej poszło gładko. Zerknęła w boczne lusterko – pięć Starów posłusznie podążało za nią. Na końcu dwa Humvee, Stryker i MRAP. Transporter i Cougar odłączyły się, parę metrów dalej skręcając w prawo, i popędziły szeroką ulicą przy centrum handlowym. Czego tam szukały – zupełnie jej nie obchodziło. Jeden Humvee zrównał się z nimi i wysforował do przodu. Drugi pozostał z tyłu. Lepsza taka osłona niż żadna.



Sto pięćdziesiąt metrów dalej Bradley. Dym ulatujący z przedziału silnikowego i załoga kręcąca się przy maszynie. Nakazuje zatrzymać.

– Potrzeba wam czegoś? – wychyla się z szoferki.

Kiwają, że nie. Wszystko pod kontrolą. Jadą dalej. Sprawa nie jest taka prosta. Przy wielkopowierzchniowym składzie budowlanym, gdzie reklamy wciąż zachęcają do kupna nowej wykładziny, piły mechanicznej czy betoniarki, trwa potyczka. Wróg na płaskim dachu wstrzymuje pluton zmechanizowany na przyległym parkingu. Trzeba się wycofać. Rosjanie walą z RPG-ów, mało celnie, za to ze sporym zacięciem. Przejazd zamknięty. Próbuje porozumieć się z kapitanem dowodzącym oddziałem. Jedyne, co udaje się uzyskać, to wyjaśnienie w krótkich żołnierskich słowach, by nie blokowała łączności. Potyczka, zamiast przygasać, nasila się. Lepiej, jak znajdzie objazd. Tylko którą? W lewo, w prawo i znów w lewo. Niby proste. Na planie wygląda świetnie, ale nikt nie dał gwarancji, że wyjdą z tego cało. Nerwowo zerka na wyświetlacz. Czas nagli. Jeśli Humvee da radę, pojedą za nim.

Terenówka szybko znika z pola widzenia. Po chwili dostrzega podskakujący wóz skrcający sobie drogę przez trawnik, lawirujący pomiędzy rozbitymi i porzuconymi samochodami na parkingu, aż znowu traci go z oczu.

Trzeba poczekać. Nerwowo obgryza paznokcie w oczekiwaniu na rezultat zwiadu. W końcu jest potwierdzenie. Ulga, że nie utknęli na dłużej.

Ruszają trasą wyznaczoną przez Humvee. Wysokie zawieszenie ułatwia pokonywanie nierówności, niemniej Star z ładunkiem swoje waży. Ścinają jakiś klomb i ryją szerokie bruzdy w miękkiej ziemi. Rejon walki pozostaje za nimi. Zasuwiają teraz jakąś osiedlową uliczką, odgradzeni od głównej arterii ciągiem wysokich bloków.

Pojedynczy strzał rozbija szybę ciężarówki, tworząc przestrzelinę wielkości pięciozłotówki.

– Szybciej.

Zakręt. Tyłem zarzuca. Droga, zamiast prowadzić w stronę prospektu Lenina, skręca w przeciwnym kierunku. Ktoś tu coś spieprzył. Kolejne bloki i jakiś przysadzisty kształt. Solidne uderzenie w pakę. Zaraz wylecą w powietrze. Strzelec z drugiego Humvee wali krótkimi seriami, tak samo jak operatorzy karabinów maszynowych zainstalowanych na obrotowych stelażach na kabinach ciężarówek. W jej wozie czegoś takiego nie ma, a Beryl w tych okolicznościach jest bez znaczenia.

•

Okazja sama wpadła w ręce. Po prostu cudownie. Niewielka osłona i parę ciężarówek, które zgubiły drogę. Lepiej być nie mogło. Akurat przegrupowywał siły, gdy dostał szansę. T-80 zostały w tyle, ale BMP-2 w kłębach spalin prawie znalazły się na miejscu. Armata automatyczna pierwszego pojazdu oddała kilka strzałów. Efektów nie dostrzegł. Szybciej. Jak będą zwlekać, okazja przejdzie koło nosa. Na szczęście piechota rozgrzała się na dobre. Jeden czy drugi pada, lecz dysponują odpowiednią siłą ognia.

Oberwał czymś w twarz. O co chodzi? Pewnie rykoszet. Na razie nie czuł bólu. Który jest taki mocny? Już wiedział. Browning na obrotowym stanowisku Humvee jazgotał jak wściekły. Jego podkomendni zaczęli się zwijać, trafiani celnymi seriami. Ten łobuz kosił ludzi jak sylwetki na strzelnicy.

W końcu BMP oddał kolejną serię, rozpoczynając pojedynek ogniowy. Terenówka była bez szans, choć jej załoga chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Parę pancernych blach przed niczym ich nie uchroni.

Kolejny z bojowych wozów piechoty zahaczył o pojemnik na surówce wtórne. Szklana tłuczka wysypała się na chodnik. Zamiast wspomagać ich w walce, manewrował gwałtownie, próbując wyzwolić się od plastikowego pudła.

Jura Gorczakow sapał przez zaciśnięte zęby. Okoliczności zaczynały ich przerastać. Z AK-74 przy ramieniu zaczął ostrzeliwać konwój, ale nie jak wszyscy koncentrując się na Humvee, tylko na

pierwszej ciężarówce niktącej w przerwie pomiędzy blokami. Jak nie pierwsza, to druga.

O, w mordę... Humvee w końcu wyleciał w powietrze. Wyglądało to tak, jakby został kopnięty przez olbrzyma – fiknął w powietrzu i rąbnął o ziemię.

Zwycięstwo mało satysfakcjonujące, lecz poświęcenie przyniosło efekt. Reszta kolumny uciekła. Jak to się mogło zdarzyć? Przypadek czy nie, dzieło było niedokończone. Zaraz napsuje Polakom więcej krwi.

Maciejewski w końcu się doczekał. To trwało... nieważne, ile. Cała złość przeszła, gdy zobaczył zielone plandeki Starów wyłaniające się z tyłu kolumny. Skończyło się czekanie, zaczynała ciężka praca. Na razie na jego odcinku Rosjanie nieco odpuścili, lecz pewnie nie potrwa to długo. Strzelano na zachód, północ i południe od nich. Być może się mylił – echo strzałów odbijało się od ścian wieżowców, nie pozwalając zlokalizować faktycznego miejsca potyczek.

Przed nimi panowała względna cisza. To oczywiście martwiło najbardziej. Zmarnotrawiony czas przyjdzie wkrótce okupić krwią. O tym pomyśli później, teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo wozów z zaopatrzeniem. Wysokie Bradleye w roli opiekunów spisywały się doskonale. Wieżyczki obracały się we wszystkie strony, szukając potencjalnego niebezpieczeństwa. Zdaje się, że nie tylko on drżał na myśl o tym, co się stanie, gdy celny pocisk z granatnika uderzy w ładunek.

Może to i dziwne, ale miejsce na przeładunek wydawało się doskonałe. Nie potrafił znaleźć odpowiedniego wytłumaczenia, choć tak właśnie czuł. Nie ulegało wątpliwości, że spory udział miała w tym Manicka. Dostrzegł ją od razu, gdy organizowała ręczny transport. Radziła sobie z tym wyśmienicie, a już na pewno lepiej od niego.

Pochylił się odruchowo, gdy jeden z BWP oddał krótką serię. Nie widział, co dostrzegł operator – pojazd czy strzelca. Ważne, że zareagował, nim niebezpieczeństwo nabrało realnych kształtów.

Łuski spadły niedaleko, grzechocząc na asfalcie. Zwarta zabudowa ciągnęła się ze wszystkich stron i w okolicy nie było ani jednego względnie spokojnego miejsca, jakiegoś wjazdu na wielopoziomową estakadę czy parku. Tereny zielone, owszem, mijali, lecz jego zdaniem nie o to chodziło, chciał czegoś innego.

– Jak idzie? – zapytał z udawaną powagą.

Odwróciła się. Błada i zmęczona wyglądała jak własny cień.

– Nie wyglądasz najlepiej – wyrwało mu się zupełnie niepotrzebnie.

– Dzięki.

– Nie o to mi chodzi.

Drżała. Najwyraźniej drżała. Raczej nie z zimna, tylko ze stresu. Dreszcze przebiegały przez nią falami.

– Zanim tu dojechaliśmy, straciłam pięciu ludzi. Przez moment... – przerwała i pochyliła głowę. – Zresztą, nie muszę się tłumaczyć. – Odbiło się jej, a zaraz potem spróbowała kaszlnąć. Krwawą bańkę, jaka pojawiła się na ustach, startła rękawem. – Nie... – Kolejna wyglądała na większą od pierwszej. Oparła się o burtę Stara i osunęła na ziemię. To już nie było drżenie.

– Sanitariusz!

Przejrzał kamizelkę, nie dostrzegając przestrzeliny.

Medyk zjawił się momentalnie.

– Co się stało?

– Nie wiem. Stała i upadła. Nie słyszałem strzału. – Gdy to mówił, nie potrafił odwrócić spojrzenia od jej twarzy.

Oczy dziewczyny przepętniało cierpienie i niedowierzanie. Próbował przytrzymać jej rękę, ale został bezceremonialnie odsunięty na bok. Ratownik robił to samo, co on, tylko z o wiele większą wprawą. Niewielka ranka znajdowała się po prawej stronie tuż nad krawędzią kamizelki. Raczej nie kula, bardziej odłamek. Uniósł rękę do góry i już. Rozżarzony kawałek metalu przebił bluzę i wniknął w ciało. Pewnie nic nie poczuła. Prawdopodobieństwo jedno na milion.

– Będzie żyła?

– A skąd ja, kurwa, mam wiedzieć? Ma wewnętrzny krwotok i poharatane płuca. Im szybciej znajdzie się na stole operacyjnym, tym lepiej.

– Słyszysz... – Zdjął jej hełm i wytarł spocone czoło. – Wszystko będzie dobrze.

Wycharczała jakieś zdanie przez zaciśnięte zęby.

– Oddychaj powoli i spokojnie.

Wyprężyła się, a nogi zaczęły spazmatycznie drżeć.

– Nie umieraj mi tu. – Przejechał dłonią po jej włosach. – Daj jej coś przeciwbólowego.

– Już dałem.

Noszowi odsunęli podporucznika delikatnie, lecz stanowczo. Kiedy ją poznał, wydawała mu się wysoka. Aż do teraz. Na noszach wyglądała na kruchą i drobną.

– Na trzy...

Zespół ratunkowy ruszył galopem w stronę wozu ewakuacji medycznej. Jeżeli tak ma wyglądać ostateczne zwycięstwo, to lepiej, jakby wcale nie wstępował do armii. Postawić przed nim stu jeńców, a bez zastanowienia rozwali wszystkich bez wyjątku. Po raz pierwszy nienawiść rozlała się w nim czarną falą. Długo bronił się przed tym uczuciem. Racjonalne tłumaczenie w niczym nie pomagało.

Wytarł o spodnie wilgotne od krwi palce. Nie miał pojęcia, jak długo to wszystko potrwa. On to skończy, ale na swoich warunkach.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

MOSKWA – FEDERACJA ROSYJSKA | 1 czerwca, godzina 06:15

Z początku wszystko szło dobrze. Powoli cofali się do stacji Park Zwycięstwa, chcąc wmieszać się w tłum i przeczekać najbliższe godziny. Wśród ludzi nie będą się rzucać w oczy. Przycupną gdzieś w kącie – tak uważała Tamara – lub postarają się, jeżeli warunki pozwolą, zdezorganizować obronę – to zdaniem Nowakowskiego. Potraktowany z buta przez Wirskiego pragnął rehabilitacji. Niby znalazł się w samym środku akcji dywersyjnej, a nic jeszcze nie zrobił. Łążenie po podziemnych korytarzach okazało się mało ekscytujące. Prawdę mówiąc, miał żal do Andrzeja. To on powinien pójść wraz z nim, a nie Pawłowski. Ostatecznie albo wszyscy, albo nikt. Poszli we dwóch i co? – ślad po nich zaginął. Jeżeli tak ma wyglądać tajna operacja, to chyba pomylił zawody. W Archangielsku działo się więcej niż w tej zakichanej Moskwie.

Idąca przy nim Tamara wyglądała na skupioną i ostrożną. Na szczęście nie zamęczała go pytaniami i bezpodstawnymi oskarżeniami. Przecież wiedziała, jak było. Tu się nie dyskutuje, tylko wypełnia rozkazy. Zerknął na nią raz i drugi. Odpowiedziała tym samym.

– Myślisz...

– Ja już nic nie myślę, skarbie.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od godziny. Swoją drogą, Andrzej zawsze miał farta do kobiet. Zachowywał się wobec nich powściągliwie, a one i tak Ignęły do niego jak do miodu. Pozazdrościć.

– W Petersburgu też robiliście takie numery? – zapytał cicho.

– Lepsze.

– O szpitalu słyszałem. – To i owo obito mu się o uszy, zwłaszcza gdy wieczorami nie było co robić i wszystkim zbierało się na wspominki. – Co za tupet.

– Mojej zasługi w tym najmniej.

– Jesteś pierwszą osobą, jaką znam, która tak mówi. Na ogół jest odwrotnie: mało zrobiłem, ale niech inni się dowiedzą, jaki jestem dzielny.

– Pasuje do ciebie. – Szturchnęła go ramieniem.

– No wiesz? – Udał oburzonego.

Już dość tych korytarzy. Nigdy więcej nie zejdzie do podziemi. Najwyżej przejedzie się metrem, takim normalnym, nie tajnym.

Prawie dotarli do stacji. Przystanął, rozglądając się na boki.

– O co chodzi?

– Poczekaj.

Za najbliższym załomem znajdowała się oficjalna część moskiewskiego metra. Nie chciał pakować się między ludzi, mając kieszenie wypchane kostkami materiału wybuchowego, kablem i detonatorami. Nic dużego. Pistolet sobie zostawi, resztę musi gdzieś schować – w jakąś dziurę czy szczelinę w betonie.

Latareczka świeciła ledwie, ledwie. Przesunął ją wzdłuż krawędzi ściany. Monolityczna struktura nie posiadała wnek ani wyrw. Szkoda. Spróbował niżej, przemieszczając się metr za metrem.

– Czego szukasz?

– Muszę... – Otwór, jakieś dziesięć na dziesięć centymetrów znajdował się na samym dole. Zajrzał do środka. Dziura najwyżej parocentymetrowa. Więc to nie odpytyw, a licho wie co. Wyciągnął, co potrzeba, i upchnął we wnęce.

– Dob...

Kroki od przodu i dźwięk przeładowywanej broni. On na klęczkach, a dziewczyna trochę za nim. Co najmniej kilku. Czekali na nich czy to przypadek?

Gromkie – Stoj! – nie pozostawiało wątpliwości co do intencji nadchodzących. Już bardziej

wpieprzyć się nie da.

Mocny snop latarek oświetlił jego i Tamarę. Zmrużył oczy i zastonił twarz. Dostrzegł pięciu albo sześciu. Zbyt wielu, by próbować podjąć walkę w takim momencie. Nadchodzili całą szerokością korytarza, czujni i napięci. Lufa AK-12 wyłoniła się z półcienia i poczuł ją przystawioną do swojej głowy. Chwilę potem został ciśnięty na ziemię i przeszukany.

– Co my tu mamy?

Znaleźli pistolet w kieszeni, a chwilę potem materiał wybuchowy we wnęce ściany.

– Dywersanci.

Na ile potrafił, starał się zidentyfikować strażników. Raczej nie wojsko czy policja, a Federalna Służba Ochrony. Kamizelki założone na kurtki i okrągłe hełmy na głowach.

Ręce skuto im na plecach i pchnięto do przodu. Zdaje się, że jednak wyjdą przez Park Zwycięstwa. To on był takim durniem czy też Rosjanie nad wyraz przebiegli? Z tego już się na pewno nie wywinie, chyba że Putin właśnie podpisał bezwarunkową kapitulację. O mało nie roześmiał się na takie rozwiązanie. Strażnik dojrzał jego zadowoloną minę i dzielił łokciem w kark. Padło przy tym parę przekleństw w języku Dostojewskiego i Gogola.

Na stacji utworzono coś w rodzaju punktu filtracyjnego. Z różnych zakątków dochodziły krzyki bitych, lecz nie to było najgorsze. Naprawdę przygnębiające wrażenie robiły setki osób siedzących po turecku na peronie. Powiązani, z pochylonymi głowami, kojarzyli się z baranami prowadzonymi na rzeź.

– Co z nami będzie? – spytała Tamara. Cała odwaga, jaką posiadała, zniknęła na ten widok.

– Trzymaj się.

Tylko tyle zdołał powiedzieć, zanim zostali rozdzieleni. Próbował się odwrócić, żeby zapamiętać, gdzie ją prowadzą, lecz nic z tego nie wyszło. Głowę miał teraz na wysokości kolan. Zgięty jak paragraf, został wprowadzony do jakiegoś boksu i drzwi za nimi się zatrzasnęły.

Pamiętał... akurat z bym był problem. Kolejne godziny wypełniło cierpienie. Oberwał chyba wszystkim, co znajdowało się w pobliżu – pałką, klamrą od pasa, obcasem i prętem zbrojeniowym. Trzasnęły kości prawego przedramienia i śródreżca. Nos zmienił się w krwawą miazgę, a żebra paliły żywym ogniem. Nawet o nic nie pytali, jakby obróbka była tylko wstępem do czegoś gorszego. Po grzechocie salw karabinowych regularnie dochodzących z zewnątrz domyślał się, co go spotka. Dowody były niepodważalne.

•

Minęli ściśle centrum miasta i teraz sunęli przez przemysłowe tereny dawnych fabryk, rozległe magazyny sieci handlowych i robotnicze dzielnice mieszkaniowe. Raz czy drugi Andrzej dojrzał człowieka stojącego przy torach. W porównaniu z tym, czego doświadczył wcześniej, nie było się czym martwić. Jeden Rosjanin nie stanowił zagrożenia. Co innego cała grupa lub oddział. Nawet opancerzony pociąg był podatny na uszkodzenia, a tym ludziom na pewno nie brakowało pomysłów, jak ich zatrzymać i uwolnić prezydenta.

Sytuacja właściwie była patowa. Klasyczny klincz. Ci z wagonów nie mogli dostać się do lokomotywy. Oni, w lokomotywie, nie wiedzieli, dokąd zdążają i co ich czeka na końcu. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się napotkanie natowskiego oddziału operującego w okolicy. Odpowiedzialność spadnie wtedy na kogoś innego. I dobrze. Sam już nie chciał się w to bawić. Akurat kiedy najbardziej potrzebował sprzymierzeńców, tych brakowało. Prawdopodobnie większość jednostek zgrupowano na zachód, północ i południe od Moskwy. Kierunku wschodniego nie pilnowano wcale lub dozorowano małymi siłami. Problem w tym, że oni właśnie jechali na wschód. Wszystkie semafony i sygnalizacja obwieszczwały wolny przejazd. Na rozjazdach przeskakiwali na odpowiedni tor. Wszystko działało się bez najmniejszej interwencji z ich strony. To tyleż cieszyło, co martwiło. Cieszyło, bo oddalali się od tego kłębowiska żmij, jakim były podziemne tunele, ale martwił kierunek. Niestety, niewiele zależało od nich.

Rozpogodziło się na tyle, że dostrzegł na szarym niebie niewyraźną sylwetkę powietrznej

maszyny. Jakiś czarny, ostro manewrujący kształt wdał się w walkę z obroną przeciwlotniczą. Aparat tylko trochę przypominał samolot, to raczej BSL, miniaturowy B-2, lepszy od klasycznego odrzutowca, jeśli chodzi o parametry i to, że załoga niczym nie ryzykowała, bo jej po prostu nie było.

Rezultatu pojedynku nie dostrzegł. Widok zasłonił wysoki mur przylegający do wielkich hal produkcyjnych. Na placu składowym piętrzyły się rzędy kontenerów i sterty złomu. Z miejsca obok maszynisty widział nitkę torów prowadzącą do rampy wyładowniczej obok głównej hali.

– Ożeż...

Tory ciągnące się wzdłuż płotu z prefabrykowanych elementów skręcały tuż za końcem ogrodzenia. Pół kilometra dalej zobaczył przejazd, a na nim czołg.

– Hamuj. – Szturchnął Kostienkę.

Wajcha pojechała w dół. Rzuciło nim do przodu. Dobrze, że się mocno zaparł, inaczej znalazłby się na podłodze obok Łysenki.

T-72 wymierzył lufę działa 125 milimetrów wprost w lokomotywę. Gdy wypali, roznieśli wszystko na strzępy. Przyszłość ograniczała się zatem do paru minut. Nikt im przecież nie pozwoli spokojnie się oddalić. Na pewno nie po tym, co zrobili.

– O nie... – Jęk Pawłowskiego ostatecznie przygnębił Andrzeja.

Okolica wcale nie była taka spokojna, na jaką zrazu wyglądała. Dosłownie setki osób wyroiły się z najróżniejszych miejsc – głównie z fabrycznego magazynu. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Cholera, o co tu mogło chodzić? Spodziewał się regularnej armii, a nie zbieraniny cywili z podmoskiewskich osiedli.

Spojrzał na czołg. Na wysokiej antenie powiewała chorągiewka – biała, a nie w barwach Rosji. Sądząc po zachowaniu, nie prosili jednak o pokój. Więc o co?

•

Dobrze, że siedział. Przy gwałtownym hamowaniu poleciał na miękką poduszkę, a nie twarzą w stół, jak jeden z ochroniarzy ścierający teraz krew z rozbitej wargi. Dobrze mu tak, trzeba było się trzymać. Upokorzenie mężczyzny przywróciło prezydentowi dobry humor. Ktoś w końcu zorientował się, co się stało. Interwencja nadeszła w samą porę, bo czy to nie bezczelność po tym, co go spotkało? Bez wątplenia wielu odpowiedzialnych za bezpieczeństwo głowy państwa dało ciała. Trudno, zdarzyło się i tyle. Nie będzie mściwy. Dobrze wyszkolonych ludzi ciężko znaleźć. Lojalnych jeszcze trudniej.

– Długo to potrwa?

Szef kancelarii, miotający się pomiędzy salonką a poprzedzającym ją wagonem, przyciskał desperacko radiotelefon do ucha.

– Co?.. – Był tak pochłonięty rozmową, że zignorował pytanie prezydenta. – Każę was wszystkich... – Połączenie musiało zostać przerwane, bo oderwał urządzenie od policzka i popatrzył na nie zdumiony. – Jakaś usterka – powiedział bez przekonania.

Nieprzyjemny dźwięk, coś jak uderzenie kamieniem, rozszedł się po wagonie. Ochrona i pracownicy zareagowali jak stado spłoszonych kuropatw. To raczej nie wyglądało na normalne.

•

– Co to za jedni?

Pytanie Pawłowskiego było i jego pytaniem. Trudno uznać tych ludzi za regularną armię, a skoro nie są wojskiem, to czym? Część z bronią, a część z samymi pałkami, pikami czy siekierami, w kombinowanych wojskowych uniformach najróżniejszych służb i formacji. Daleko im było do drużyn lub sił specjalnych.

Przez otwarty właz T-72 wydostał się jakiś człowiek. Już na pierwszy rzut oka wyglądał na byłego wojskowego – pod pięćdziesiątkę, krępy, z okrągłą, czerstwą twarzą kogoś, kto sporo przebywa na powietrzu i postawą „nikt mi nie będzie tu podskakiwał” zbliżył się do lokomotywy sprężystym krokiem.

Jeżeli spojrzeć na wszystko z boku, sytuacja była do dupy. Za nimi Rosjanie, przed nimi też Rosjanie. Zdaje się, że władza i społeczeństwo spotkały się po raz pierwszy na warunkach dyktowanych przez społeczeństwo. Mógł się mylić. Może to właśnie nadciągała odsiecz, obywatelskie pospolite ruszenie śpieszące z pomocą umiłowanemu wodzowi? W takim razie prowadzić ich powinni funkcjonariusze FSB lub FSO, którzy w porę zrozumieli swój błąd i zareagowali w odpowiedni sposób.

Trzecia możliwość wydawała się najbardziej prawdopodobna: to, co się zdarzyło, jest przypadkiem. Z jakiej racji ci ludzie mają wiedzieć, czego dokonał? Na drzwiach wagonu nie przyczepiono tabliczki z nazwiskiem Putina. Po prostu nadarzyła się okazja i już.

Andrzejowi zachciało się śmiać. Przemysłował nad różnymi rozwiązaniami, ale na takie nie wpadł.

Rosjanin zatrzymał się parę metrów przed lokomotywą i czekał. Wydawało się, że może tak stać aż do sądnego dnia.

– Pójdę z nim pogadać – zdecydował Andrzej.

– Jesteś pewny?

– Widzisz lepsze rozwiązanie?

– Nie.

– Ja też nie. – Nie bardzo wiedział, co ma zrobić z pistoletem. Po namyśle wsunął broń do kieszeni. – Nie sądzę, by chcieli zjechać na bok. – Wskazał na tarasujący drogę czołg. – Ale gdyby tak się stało, pruj przed siebie, nawet się nie namyślaj.

– A ty?

– Co ja?

– Mam cię zostawić?

– To rozkaz, człowieku, a nie koncert życzeń. Ten gość za nami jest ważniejszy niż wszystko inne. Dostarczysz go naszym, a skończy się ten cały burdel.

– Chętnie... sam urwałbym temu sukinsynowi łeb.

– Nie żałuj sobie.

Wirski odblokował drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Z powodu chłodu przeszedł go dreszcz. Dopiął górny guzik koszuli i szedł na dół. Parę kroków po śliskim tłuczniu, jakim podsypano podkłady, ciągnęło się jak mało co w całym jego życiu. Widownia deprymowała. Zmierzyli się wzrokiem. Nie wyczuł wrogości, raczej zaciekawienie. W końcu Rosjanin wyciągnął dłonie z kieszeni. To, co dojrzał, nie wyglądało na spluwę czy nóż. Zwykła paczka papierosów. Wziął jednego. Pierwsze lody zostały przełamane.

– Jak na czerwiec trochę chłodno – zagaił jako pierwszy.

– Mnie nie przeszkadza – usłyszał w odpowiedzi.

– To wasi... podkomendni? – Ludzki pierścień jakby się trochę zacieśnił. – Wyglądają bojowo.

– Armia Odrodzenia Narodowego. Komendant Igor Jaszyn.

– Słucham?

– Jak mówię. – Mężczyzna wyglądał na rozbawionego. – Nie sposób było dłużej czekać, musieliśmy zorganizować się sami.

– Przeciw komu?

– Przeciw wszystkim: władzy, oligarchom, Amerykanom, Polakom i Ukraińcom. Wrogów nam nie brakuje. Broni na szczęście też nie.

Rozmowa zapowiadała się na trudniejszą, niż przypuszczał Andrzej.

– A kogo reprezentujecie?

– Lud.

– Lud? – Powoli wszystko stawało się jasne. – Cały czy wybrańców?

– Dość już wycierpieliśmy.

– Czy ktoś twierdzi, że jest inaczej? Każdy ma swoje racje.

– Ale tylko nieliczni wyrażają je dostatecznie głośno. Przyłącz się do nas – padła niespodziewana propozycja.

– A przepuście nas dalej?

– Ciebie na pewno. Co do reszty, zobaczymy. – Jaszyn się skrzywił.

Wycelowwał wskazujący palec w stojący za plecami Andrzeja skład. – Wszyscy, którzy są w środku, staną przed trybunałem rewolucyjnym. Sędziowie zadecydują.

– Jest mały... eee.... problem. Tym w wagonach wasz trybunał niekoniecznie będzie odpowiadał.

– Przecież wiemy, kogo wiesz. – Komendant w uśmiechu ukazał poźółtkłe pieńki zębów. – Kontrolujemy wszystko stąd do Lefortowa, a to, że uprowadziłeś prezydenta, już nie jest tajemnicą. Oni tam dostali prawdziwego pierdolca. Nikt nie wie, co ma robić. Bortnikow się ulotnił. Nikt nie wie, kiedy i jak. Szojgu szaleje, co i tak jest bez znaczenia. Struktura dowodzenia rozsypuje się coraz szybciej.

– Więc to koniec.

– A gdzie tam koniec, dopiero początek.

– Wojna się kończy.

– Za to nadchodzi rewolucja. – Zaciśnięta pięść powędrowała do góry. Gromkie okrzyki rozeszły się jak fale na wodzie.

No ładnie, z jednej kabały od razu wpakował się w kolejną. Rosjanin już go nie słuchał – właśnie poczuł życiową szansę.

•

Wrażenie nadciągania totalnej katastrofy towarzyszyło Władimirowi Władimirowiczowi Putinowi od dawna. Już pierwszego dnia urzędowania nie opuszczała go pamięć o gwałtownym końcu wielu poprzedników. Pierwszym z nich był Slobodan Milošević w czasach, o których można powiedzieć, że były prehistorią. Po nim to samo spotkało tylu innych, którym wydawało się, że są nie do ruszenia, skoro dekady mijały, a oni wciąż trwali. W przeciwieństwie do polityków państw demokratycznych, którzy przychodzili i odchodzili wraz ze zmieniającymi się uwarunkowaniami, dyktatorzy nie mogli sobie po prostu odejść ze stanowiska. Większość z nich wysadził z siodła wewnętrzny bunt, jak Mubaraka, lub połączenie rebelii ze skoordynowaną akcją wojskową państw zachodnich. Muammar Kadafi sprawował władzę przez ponad czterdzieści lat, ale w końcu i na niego przyszła pora. Sojusznicy buntowników też nie byli tacy kryształowi, za jakich chcieli uchodzić. Wpływ Berlusconiego i włoskich firm zbrojeniowych był nie w smak Francuzom. Eksport uzbrojenia to wyjątkowo dochodowy interes, a złoża ropy naftowej dodatkowo czyniły z Libii atrakcyjne terytorium. Opinie publicznej zamknięto usta frazesami o humanitaryzmie i już. Kłopotów, jakie mogą pojawić się później, nie brano na serio. Baszara al-Asada udało się uratować w ostatniej chwili. Przecież Syria to mandatowe terytorium Francji – kolonia, którą można podzielić się z Brytyjczykami.

Zresztą, co tam mówić o Bliskim Wschodzie. Nieobliczalne zachowanie Ukraińców irytowało jeszcze bardziej. Należało ich wytluc zaraz w pierwszym tygodniu Majdanu. Im dłużej to trwało, tym bardziej sytuacja robiła się niebezpieczna. W końcu stało się to, co stać się musiało. Co tam wschód i Ukraina. W ostatecznym rozrachunku zawsze chodziło o Rosję. Czepiał się resztek nadziei, ale podświadomie przygotowywał na najgorsze.

Ewakuowany z nim personel liczył nie więcej niż siedemdziesiąt osób. Połowa z nich to pracownicy kancelarii, resztę stanowiła ochrona. Jeżeli nie przyjdzie im potykać się z kompanią wojsk pancernych, dadzą radę. Ostatecznie byle czołg czy wóz pancerny im niestraszny. Granatników na wyposażeniu było pod dostatkiem, a to marnowanie cennych minut zaczynało go irytować.

Szef kancelarii cały się trząsł, kiedy powrócił do salonki po krótkim rekonesansie.

– Mów.



– Na torach są jacyś uzbrojeni bandyci i...  
– Strzelać.  
– Zatarasowali przejazd. Nic nie możemy zrobić. – Mężczyzna rozłożył ręce.  
– W takim razie dajcie im, czego chcą. – Starał się mówić spokojnie i znaleźć racjonalne rozwiązanie. Krzyk na nic się tu nie zda. Spokój, opanowanie i czytelne deklaracje. Sprawdzano się wcześniej, sprawdzono i teraz. – I wezwijcie pomoc.  
– Robimy, co się da, ale...  
– Ale? Nie chcę słyszeć wykrętów.  
– Jest z tym kłopot. W powietrzu nie panujemy, a łączność siadła, bo nie możemy przebić się przez zagłuszanie.

Władimir Władimirowicz ciężko westchnął. Już wiedział, że odwlekanie decyzji o wyjeździe do ostatniej chwili było fatalną pomyłką. Należało to zrobić dzień czy dwa wcześniej, a tak wpięprzył się w... błąd. Dlaczego wszystko idzie nie tak, jak powinno?

Przytłumionej wrzawy nic już nie tłumilo. O wagony zadudnił grad kamieni.

– Co mamy robić?

– Przebijamy się siłą.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł. – Urzędnik wydawał się przerażony.

– Gdzie dowódca ochrony?

– Z przodu, przy lokomotywie.

Ten dureń zaraz się rozplacze.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowił sam rozwiązać problem. Wstał, wyminął współpracowników i skierował się w wąski korytarz. Każdy bez wyjątku na jego widok zamierał w miejscu. Do grupy skonsternowanych ochroniarzy dotarł w pół minuty. Przystanął za ich plecami, przysłuchując się rozmowie.

– Co tu się dzieje?

Pierwszy odwrócił się pucułowaty kapitan, na głowie którego z trudem mieścił się hełm.

– Zatrzasnęli, sukinsyny.

– Kto?

– Nie wiemy. – Zakłopotanie oficera było aż nadto widoczne.

– Spróbujcie zrobić przejście. Chyba wiecie, jak? Wszystko trwa już za długo.

Wycofał się kawałek, obserwując poczynania komandosów. Pirotechnik odmierzył odpowiednią ilość heksogenu i wcisnął ją w szczelinę. Zaraz gruchnie aż miło. Przeszedł na koniec wagonu, nie chcąc oberwać przelatującym odłamkiem. Takie zabawy nieraz kończyły się obrażeniami. Ochrona zajęła pozycje, przygotowując się do szturmów. Zatkaną uszy i przymknął oczy.

Huk o mało nie pozbawił go przytomności. Może i przesadzili, lecz to nie było ważne. Otrząsnął się i... tej drugiej detonacji nie przewidział. Czuł się tak, jakby oberwał młotem w głowę.

Kanonada ze wszystkich stron. Rykoszety odbijały się od stalowych płaszczyzn. Pojawił się dym i smród palonej instalacji. Prezydentowi zrobiło się niedobrze. Skulił się na podłodze i odpełził w kąt. Zdaje się, że puściły mu zwieracze i pobrudził spódnie. To nie był najlepszy dzień w jego życiu.

•

Strzelanina szybko ucichła. Już to wydawało się niezwykle. W ciągu paru minut nie można było wybić wszystkich ochroniarzy. Paru musiało ocaleć. Nawet więcej niż paru. Nic nie ujmując bojownikom Jaszyną, wobec wyszkolonych komandosów elitarnej formacji byli bez szans, a tu proszę – krótka szarpanina i po strachu.

Pomaszerował wzdłuż lokomotywy, przyglądając się zajściu – gdzieś z końca ku górze ulatywała wstążka dymu. Nikt nie próbował gasić pożaru. Hasło „ratuj się, kto może” padło na podatny grunt, zwłaszcza wśród personelu pomocniczego, tych wszystkich osób, które normalnie nie pchały się na widok. Wyżsi urzędnicy mieli więcej do stracenia. Awanturze, kto zostaje, a kto wychodzi, próbowali zaradzić funkcjonariusze FSO. Zrobili to w typowy dla siebie sposób, strzelając w głowy

tym, którym nagle zrobiło się nie po drodze.

Pacyfikacja wewnętrznego oporu nie stanowiła problemu. Jedna czy druga sekretarka, kucharz bądź maszynistka najwyraźniej zdążyli zapomnieć, do czego są zdolni uprzejmi mężczyźni, mijani codziennie na korytarzu czy w sekretariacie. Jeżeli komuś wydawało się, że może odblokować drzwi i wyjść na zewnątrz, to grubo się mylił.

Nikt nie wyszedł, lecz wejście stanęło otworem. Krótki szturm – w wąskim korytarzu umiejętności nie liczyły się tak bardzo jak determinacja – i rozpoczęło się to, co zwykle w takich przypadkach – grabież i wyrównywanie rachunków.

Żaden z ludzi prezydenta nie strzelił sobie w łeb, jak wymagał tego honor. W paru przypadkach zrobiono więc to za nich. Wystarczyło, że nie dość szybko pozbyli się broni. Później zaczął się systematyczny kipisz. Co cenniejsze wyposażenie ginęło w kieszeniach buntowników. Jak zwykle wewnętrzne potrzeby wzięły górę nad rozsądkiem i zdyscyplinowaniem.

– Oni wiedzą, co robią? – zapytał Pawłowski.

– Nie sądzę.

Stali parę metrów od lokomotywy. Nikt się nimi nie interesował, podobnie jak Kostienką, który korzystając z zamieszania, rozplynął w ludzkiej ciżbie. Przynajmniej jednemu się poszczęściło.

– Diabli ich nadali.

– Masz zasięg?

– Sprawdzam już pięć razy. Nic z tego. – Pawłowski ponownie wyciągnął aparat i obrócił w prawo i w lewo. – Sam widzisz.

W pewnym momencie od strony wagonów dobiegł ich przeraźliwy krzyk.

– Co znowu? – zirytował się Arek.

– A jak ci się wydaje? – Wirski znał odpowiedź na to pytanie.

– Pogadaj z tym... tam...

– Jaszynem? Chyba żartujesz. Ten człowiek już nie myśli racjonalnie. Właśnie nadeszło jego pięć minut sławy. Nie zrezygnuje. Ty byś zrezygnował?

– Nie.

– No właśnie. Ani ty, ani nikt inny.

– Więc co się stanie?

– Wszystko zależy od tego, jaki ma posłuch, a z tego, co widzę, raczej słaby.

Jakieś ciało wyleciało ze środka ciśnięte mocniejszym pchnięciem. Za nim drugie i trzecie. Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie, a ich skutków można się było tylko domyślać. Padł strzał. Ktoś nie chciał zostać wzięty żywcem. Kotłowanina zamiast przygasać – narastała.

Wirski pomyślał o szczytnych hasłach, pod jakimi toczyły się wszystkie rewolucje. Rzeczywistość jak zwykle dołowała. Czyżby u podstaw każdej nowej państwowotwórczej idei krył się mord? I nie chodziło tu tylko o samą Federację, choć o nią szczególnie. Zwłaszcza obecnie. Fundament zroszony krwią. Szkoda, że nie było z nimi Nortona. Za coś takiego dostałby Pulizera. Seria obrazów, jakie przed nim się rozgrywały, przywodziła sceny z Dallas podczas zamachu na JFK czy powieszono go za nogi Mussoliniego wraz z Clarą Petacci. Obrazy-symbole, dla których reporterzy oddaliby życie. Tymczasem, prawdę mówiąc, niewiele było do oglądania.

•

Grzechot salw karabinowych to cichł, to narastał. Nowakowski oblewał się zimnym potem za każdym razem, gdy upiorny dźwięk odbijał się od zimnych marmurowych ścian. Czas przestał mieć znaczenie. Wszystko sprowadzało się do obolałego ciała i głosów strażników. Nie chciał umierać. Na taką myśl buntowała się ta resztką świadomości, którą do tej pory zachował. Co innego zginąć w walce – taki wybrał zawód i musiał liczyć się z konsekwencjami – a co innego zostać poprowadzonym na rzeź jak baran. Chryste Panie, tylko nie to. Pozwól mi jeszcze raz zobaczyć słońce i napić się piwa. Już będę dobry. Nie skrzywdzę nikogo. Rzucę to zajęcie i zostanę ogrodnikiem.

W bezsilnej złości spróbował poluzować więzy. W efekcie zdarł jedynie skórę z nadgarstków. Szarpanie nic tu nie pomoże. Podciągnął nieco kolana i przesunął się o parę centymetrów. Leżał na samym środku pomieszczenia, zaplecza czy schowka, z dwudziestoma innymi nieszczęśnikami. Co dziwne, drzwi były otwarte i tacy jak oni spoczywali wszędzie dookoła. Stu, dwustu, może trzystu – kompletnie nie wiedział, ilu ich jest. Niektórzy zobojętnieli. Jakiś krzyczał, lecz jego zabrano najszybciej. Paru tak pobito, że leżeli nieprzytomni. Porozbijane głowy, połamane ręce i nogi – tak pewnie wyglądały katownie gestapo. Już niczego nie musiał sobie wyobrażać, wiedział, jak było. Co więcej, stał się ofiarą.

Kroki i głośna rozmowa. Zamknął oczy i wcisnął twarz w pokrwawioną podłogę. Nieprzytomnego na egzekucję nie zabiorą. Najwyżej wykończą na miejscu.

Najpierw ci na korytarzu. Jeden, drugi, trzeci – opór łamano szybko i bezwzględnie. Kogoś wywleczono za nogę, bo nie chciał wstać. W sposobie selekcji nie dostrzegł sensu. Najwyżej piętnastoletni chłopak z wyraźnym przerażeniem malującym się na twarzy nie wyglądał na zatwardziałego terrorystę, a kobieta pod czterdziestkę, którą na wstępie poczęstowano pięścią w twarz, najpewniej zawiniła południową urodą. Po obelgach miotanych pod adresem oprawców Nowakowski domyślił się, że pochodzi z Kaukazu. Przynajmniej ona wykazała się charakterem, bo resztę wyprowadzono bez najmniejszego oporu z ich strony. Parę słów protestu niewiele pomogło.

Napięcie kilku kolejnych minut odczuli wszyscy – względna cisza i strzały. Mało kto był w stanie zapanować nad strachem. Smród zrobił się nie do wytrzymania. Niech to się skończy jak najprędzej. Obojętnie jak. Jeżeli posiedzi tu jeszcze chwilę, to straci resztki człowieczeństwa.

Przygnębienie zaczęło ustępować miejsca rozdrażnieniu, a później złości. Szkoda, że nie zabrał kilku z tych bydlaków do piekła. Pewni własnej bezkarności robili, co chcieli, ale to się zmieni. Na pewno się zmieni. Potrwa to jakiś czas, lecz w końcu ktoś ich dorwie i rozłupie czaszki metalowym prętem. Nawet wiedział, kto. Andrzej tak tego nie zostawi. Arek też nie. Już powinni zabierać kolejną grupę. Czyżby w tryby tej dobrze pracującej maszyny nasypało piasku? Wszystko możliwe.

Gwałtowna kanonada z broni maszynowej wybuchła niespodziewanie. Nie wyglądało to na planowe wykańczanie więźniów. Raczej na starcie dwóch równorzędnych przeciwników. Potyczka przybierała na sile. Okrzyki ginęły wśród jazgotu automatów. Parę razy mocno gruchnęło. Rzucono granaty. W powietrzu gęstniała zawiesina pyłu, do reszty utrudniając oddychanie. Ten i ów zaczął pokasływać. Przed napływającym falami kurzem nie było ochrony. Trudno, jakoś sobie z tym poradzą. To już niedługo. Wytrzyma te ostatnie minuty, potem będzie dobrze.

W pewnym momencie wydawało się, że nastąpił koniec. Cisza zadźwięczała w uszach. Lekko uniósł głowę, podobnie jak paru innych w pobliżu. Jakiś cień przemknął po korytarzu i ponownie rozległ się rozdierający bębni w uszach huk salwy karabinowej. Tym razem wszystko trwało krócej. Dzielni funkcjonariusze rozplynęli się w podziemiach, jakby nigdy nie istnieli. Chwila nerwowego oczekiwania i głosy. O mało nie rozpląkał się, gdy usłyszał powarkiwania prowadzącego sierżanta.

- Karol, zabierz swoją sekcję i sprawdź ten korytarz.
- Tak jest.
- Biegiem.
- Co to za rzeźnia? Ej, jest tu ktoś żywy?
- Tutaj, panie sierżancie.
- Dobra, widzę. Potrzebujemy więcej sanitarek. O wszystkim zamelduj majorowi. On zadecyduje, co z tym zrobić. Kurwa, ale syf.
- Tam jest jeszcze więcej.
- Czego?
- Ludzi, panie sierżancie. Ja pierniczę...
- Jak dorwę takiego...
- Złapaliśmy kilku. Nie zdążyli uciec. To jak? – zaofiarował się jakiś młodszy głos.

– Jak mam to rozumieć, kapralu?

– Sam pan mówił.

– Jeńców chcecie? Zresztą...

Nowakowski nie mógł wykrztusić ani słowa. Wezmą go za rannego i odstawią do szpitala, a tego wolał uniknąć.

– Ej... – Wypadło nad wyraz blado. – Hej!

– Sierżancie, słyszał pan?

– Nie.

– Tu jestem. – W końcu zebrał się na tyle, by sklecić jedno zdanie. – Długo mam czekać?

– Sprawdź to.

– Pułapka?

– Wszystko możliwe.

Słyszał szuranie ich stóp, gdy zbliżali się do pomieszczenia.

– Porucznik Leszek Nowakowski, numer...

– To jeden z naszych?

– Zaraz się okaże.

– Tu są sami więźniowie. Chryste, czemu to tyle trwa?

Najpierw lufa Beryla, potem głowa w hełmie wyrzwały zza krawędzi ściany.

– Coście za jedni?

– 2 Kompania 3 Batalion 22 Brygada Pancerna – przedstawił się ten, który pierwszy wkroczył do środka. – A ty?

– Przecież mówiłem.

– Munduru nie masz, na jeńca nie wyglądasz.

– Nie twoja sprawa, chłopcze.

– No, no, nie podskakuj.

– Macie mnie rozkuć, kapralu, a później zaprowadzić do jakiegoś oficera. Zrozumiano? Jak nie, pogadam z wami inaczej.

– Może by go tak... – poradził któryś z szeregowców.

– Do tych jeńców? – domyślił się kapral.

– Prowokator jak nic.

– Ja ci, kurwa, dam prowokatora! Nazwisko i numer służbowy, niedorobiony ośle.

– Proszę się nie gniewać. Kolega tylko tak zażartował.

Wyższa szarża zjawiała się w samą porę.

– Co się dzieje?

– Twierdzi, że jest od nas.

Podoficer przykleknął przy Nowakowskim, świecąc mu latarką prosto w oczy.

– Jezus Maria, pan porucznik pewnie mnie nie pamięta.

– Sowa, to ty?

– Ja, ja, panie poruczniku.

– Do Pancерnej was przenieśli?

– Batalion zmechanizowany dorzucili 22, jak się zaczął ten cały burdel.

– Jasne, po co strzelcom podhalańskim transporterzy.

– A pana porucznika to już dawno nie widziałem.

Nowakowski rozmasował bolące nadgarstki, gdy w końcu kajdanki opadły na beton.

– Widocznie za słabo się rozglądałeś.

– Słyszałem to i owo.

– Tak?

– A tak, bo to zamknie pan ludziom gębę? Jak widzę, wszystko się sprawdziło.

– Bystrzak z was, Sowa. – Rozejrzał się za jakąś pukawką. – Wnioski pozostawcie dla siebie.

– Pan porucznik nie potrzebuje pomocy?

– Nie macie własnych zajęć? – Podniósł Kałasznikowa i sprawdził magazynek. – Kto dowodzi?

Bo chyba nie ta stara pierdoła Wąsik?

– Już nie. Majora ostatni raz widziałem zaraz po przekroczeniu granicy. Oberwał w nogi. Jedna urwana. Dzień później zastąpił go nowy.

– Lepszy?

– Trudno powiedzieć. Rządził trzy dni. Trafili na minę, taką przydrożną. – Sowa zagryzł wargi. – Chłopaków szkoda. Wraz z nim zginął Cisek. Pan pamięta, taki chudy, wysoki.

– Pamiętam.

– Potem to już awansowali Gustawa.

– „Wariata”? Świat się wali.

– Doprowadził nas aż tutaj.

– Przecież mówię – parsknął. – Dobra, słuchaj, szukam dziewczyny, naszej agentki.

– Powiadomię, kogo trzeba.

Sporą część więźniów już uwolniono. Błąkali się teraz, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Byli wolni, mogli pójść, gdzie chcieli, ale jak bywa w takich przypadkach, pójść nie było dokąd. Na ulicach wciąż toczyły się walki przybierające niejednokrotnie gwałtowny charakter. Łatwo było znaleźć się w krzyżowym ogniu i oberwać od swoich lub sprzymierzonych. Należało przeczekać i większość tak właśnie zdecydowała. Już raz uciekli śmierci spod kosy.

Wyszedł na główny peron. Eleganckie wnętrza przypominało obecnie slums lub obóz koczowników. Wszędzie piętrzyły się pudła i stery szmat. Akurat nie to interesowało Nowakowskiego. Pilnie rozglądał się wokół, lecz nigdzie nie dostrzegął Tamary. Instynktownie skierował się w stronę głównego tunelu metra. Żołnierze nie dopuszczali nikogo w pobliże, odgradzając korytarz kordonem. Przed nim rozstąpili się natychmiast.

Setki ciał w jednej poplątanej masie ciągnęły się pryzmą przez kilkadziesiąt metrów. Pierwsze, co zobaczył, to chłopaka, którego zabrali wraz z ostatnią grupą, paru innych też – wyciągniętych wcześniej. Krok za krokiem wędrował wzdłuż makabrycznej ściany, uważnie przypatrując się twarzom. Jeżeli tego nie robi, już nigdy nie spojrzy sobie w oczy. Dotarł prawie do samego końca. Tu w większości leżeli mężczyźni: starzy i młodzi, grubi i chudzi, wysocy i niscy. Rosjanie i ci z południa.

W pierwszej chwili zupełnie jej nie poznał. Połowa twarzy została roztrzaskana. Pozlepiane krwią włosy przykleiły się do czoła i policzków. Pamiętał, w co była ubrana. Właśnie tak dokonał identyfikacji.

– Sowa... – Sierżant szedł za nim krok w krok.

– Tak, panie poruczniku?

– Już nie musicie szukać.

– To ona? Szkoda, że nie zjawiliśmy się wcześniej.

– Nic nie mogliście zrobić.

– Pewnie będzie jej panu brakowało.

– Mnie? – Pokręcił głową. Tu nie chodziło o niego. Co teraz powie Andrzejowi? Czy tak miał wyglądać koniec tej historii?

•

Okolo południa opór zaczął słabnąć. Wiele elitarnych oddziałów, mających walczyć do ostatniego człowieka, rejterowało. Część faktycznie biła się z uporem, ale sporo uległo rozproszeniu. Nie znał powodu i prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Od kiedy odniesiono Manicką do sanitarki, wstąpiła w niego zimna furia. Wątpliwości? Jakże tu, kurwa, można mieć wątpliwości? Zmęczenie, obawa czy w końcu strach – wszystko ustąpiło. Został doprowadzony do ostateczności. Jeden strzał – jeden trup, a najlepiej kilka od razu.

Działał na kilku poziomach jednocześnie. Dowodził kompanią, plutonami i własnym wozem w

sposób, jaki wcześniej wydawał mu się nieosiągalny. Bitewny szal sprawił, że był jak demon zniszczenia. Ogarniał czas i przestrzeń, a Abrams stał się narzędziem zagłady.

Ten nieszczęsny BTR-80 przemienił w fajerwerk, zanim jego załoga zdała sobie sprawę, że coś jej grozi. Piechotę – pojedynczych żołnierzy i całe grupy – wybijał z M2. Prawie widział każdą kulę mknącą ku celowi.

Okno wystawowe, parter, prawo. Odpryski szkła, ciał i towarów rozprysły się po białych ścianach i suficie. Któremuś z Rosjan rozlała się benzyna z przygotowanych butelek. Z płonąca głową wyglądał jak Ghost Rider. Mężczyzna wyskoczył na chodnik, miotając się we wszystkich kierunkach. W końcu wywalił się o równo przycięty żywopłot, lecz szybko poderwał się do góry i pobiegł ulicą. Nie stanowił zagrożenia, więc podporucznik zostawił go w spokoju.

Balkon, trzecie piętro, lewo. Działo ryknęło ogłuszająco. Strzelec znikł. Nie pozostała po nim mokra plama.

Psychicznie przygotował się na morderczą walkę. Gdzie te tysiące najnowocześniejszych czołgów i śmigłowców, o których wspominał Szojgu? Przecież nikt fizycznie nie był w stanie unicestwić takiej ilości sprzętu w tak relatywnie krótkim czasie, a skoro – jak się przechwalano – był to sprzęt najnowocześniejszy, to jak to się stało, że to Abramsy paradowały po prospekcie Lenina, a nie T-90 po Alejach Ujazdowskich?

W ciągu miesiąca 22 Brygada rozbiła co najmniej kilkaset rosyjskich czołgów, wozów bojowych i transporterów opancerzonych, co wciąż niczego nie wyjaśniało. Kilkaset to znaczy ile – trzysta czy pięćset? Może więcej, może mniej. Przelicznik też wydawał się mocno naciągany. BTR to nie to samo co czołg najnowszej generacji. Zapchanie frontu tysiącami T-72, a nawet wcześniejszymi modelami T-62 i T-64 nie mogło odwrócić niekorzystnej tendencji. Na jeden rozbitý pojazd kolacji przypadało osiem czy dziesięć, jak nie lepiej, rosyjskich. Sojusznicze załogi generalnie wracały do walki. Oni sami byli tu najlepszym przykładem. Ich wrogowie spoczęli już na wieki w stalowych trumnach.

Lotnictwo dołożyło swoje, A-10 rozpruwały pancerze maszyn jak konserwy. Bojowe Apache nie pozostawały w tyle. Za każdym razem, gdy przejeżdżali przez pobojuwisko, odór chemikaliów i zwłok zatykał gardło. Niektóre wspomnienia będą go prześladować do końca życia. Do jakiegoś stopnia pancerz izolował. Dawał ochronę i osłonę. Współczuł zwykłym piechociarzom. Ci dotykali wojny niemal gołymi rękami.

Parę chwil wcześniej minęli stację metra Oktiabrskaja. To już nie był prospekt Lenina, tylko jakiś inny. Nazwy w pewnym momencie przestały mieć znaczenie. Jeżeli walki nadal trwały, to gdzieś za nimi, bo z tego, co dostrzegał, przed nim ulice wydawały się zupełnie puste.

Kazał przyśpieszyć. Jaki był sens uważać na wszystko dookoła, skoro nic nie blokowało przejazdu?

W oknie budynku pojawił się człowiek. Gdyby nie czarno-żółto-biała flaga powiewająca na wietrze, mógłby nie przeżyć najbliższej sekundy.

Gnali teraz prawie sześćdziesiątką. Nie było siły mogącej ich zatrzymać. Sprawdził, co z pozostałymi wozami kompanii. Oddział szedł równo, nikt nie odstawał. Z powodu wcześniejszych uszkodzeń i pojedynków dysponował dziewięcioma wozami, ale też nie widział nikogo i niczego zdolnego przeciwstawić się tej miazdzącej sile. Kombinacja siły ognia i prędkości wydawała się kluczowa.

Jakiś idiota w zielonym Fordzie Escorcie przeciął im drogę i znikł w bocznej uliczce.

Teraz delikatny skręt w lewo. Barykada z autobusów i kopcących jak jasna cholera opon. Makąta z wyczuciem kierowcy rajdowego skorygował kierunek. Uderzyli w przeszkodę nie pośrodku, tylko bliżej prawej krawędzi jezdni. Wrak autobusu rozleciał się na wszystkie strony. Jeżeli ktoś za nim stał, to już był trupem, a ktoś stał na pewno. Obrońcy rozpierzchli się, rzuciwszy automaty i RPG. Sam nie zdążył ich wystrzelać. Zmasakrowali ich strzelcy z pozostałych wozów.

Jeźdnia zaczęła się wznosić, wjechali na estakadę. Jeszcze kawałek i znajdą się nad rzeką. Rząd

ulicznych latarni na razie przysłaniał widok. Jak na zawołanie na niebie zajaśniało słońce. Mocniej przywarł do wizjera. Przed nim roztaczała się panorama centrum miasta. Na prawo czerwony mur i jedna z okrągłych wież. To już musiał być Kreml. Nie widział dokładnie, ale gdzieś ze środka w niebo ulatywał gęsty dym. Zdaje się, że płonęła Rada Najwyższa Federacji Rosyjskiej: wielki i reprezentacyjny gmach znajdujący się wewnątrz kompleksu.

Kierowca wyczuł sytuację bezbłędnie. W tym momencie nie należało oglądać się na nic. Wyrwali pełną mocą turbin. Do diabła z ostrożnością. Kto pierwszy uchwyci Kreml, ten wygra.

Spróbował zlokalizować sojuszników, co wcale nie było takie trudne. Każdy pojazd już dawno wyposażono w system identyfikacji swój – obcy, aby uniknąć ognia własnych oddziałów. Być może za jego pomocą uda się znaleźć czołówki nadchodzących z drugiej strony dywizji.

Ścisłe centrum wciąż znajdowało się w rękach Rosjan. Najbliższych Amerykanów dostrzegł w okolicach Dworca Białoruskiego, jakieś dwa kilometry od Punktu Zero, a to dawało 22 Brygadzie znaczną przewagę. Jeśli nie zdarzy się coś nieprzewidzianego, będą pierwsi.

Stąd do Placu Czerwonego miał najwyżej pół kilometra. Czas i przestrzeń jeszcze nigdy nie wydawały mu się tak względne jak w tej chwili.

HAWANA – REPUBLIKA KUBY | 1 czerwca, godzina 10:30

Czy się bał? Raczej nie. Dysponował dokumentami na każdą okazję i odpowiednią ilością gotówki, by ułożyć sobie życie na nowo. Legitymację spoczywającą w wewnętrznej kieszeni marynarki wystawiono na nazwisko Diego Moralesa, a trzeba powiedzieć, że nie był to zwykły identyfikator, tylko legitymacja funkcjonariusza Dirección de Contra-Inteligencia Militar, czyli kontrwywiadu wojskowego Rewolucyjnych Sił Zbrojnych socjalistycznego raju braci Castro, co bardzo ułatwiało życie, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się takiej osoby czepiać. Nie zgadzało się tylko jedno: jego mocno słowiańskie oblicze zmieniałoby latynoskie imię i nazwisko w kpinę. Na wszelki wypadek nosił przy sobie paszport dyplomatyczny pracownika ambasady Białorusi Iwana Rogowa. Jeżeli i to nie wystarczy, szybko mógł się wcielić w obywatela wyspiarskiego państwa Nauru czy attaché kulturalnego Armenii.

Nie było ważne, czym się legitymował, tylko co robił. Jako specjalistę od systemów komunikacyjnych każda prywatna firma przyjąłaby go z pocałowaniem ręki. Idące za tym pieniądze nie interesowały go tak bardzo, jak ambicja sprostania prawdziwym wyzwaniom, a taką właśnie szansę dawał mu Skokow.

Karaibską placówkę była ewenementem. W dobie szybko rozwijających się sieci komórkowych, czym Kubańcy zachłystnęli się jak pierwszym łykiem wolności, niewielkie biura na obrzeżach Hawany, obsługiwane przez kilkadziesiąt kontraktowych specjalistów, nie wzbudzały niczyjego zainteresowania. Co komu do tego? Ludzie chcą rozmawiać i będą to robić. Każde ułatwienie w tej kwestii przyjmą z otwartymi ramionami. Instalacje wyrastały na dachach jak grzyby po deszczu. Parę mniej, parę więcej – jakie to ma znaczenie? W rzeczywistości miało.

Rosyjska Marynarka Wojenna dysponowała własnym ośrodkiem nasłuchu transmisji radiowych do kontroli amerykańskich okrętów płynących z Zatoki Meksykańskiej na Atlantyk. Przez jakiś czas monitorowano też loty wahadłowców z Cap Canaveral na zachodnim wybrzeżu Florydy, dlaczego więc nie wykorzystać struktury do bardziej śmiałego celu?

Oficjalnie ich tu nie było. Nieoficjalnie wysoka gratyfikacja wpływała na konta przedstawicieli reżimu mogących pomóc projektowi, i tak powstało Biuro Konsultacyjne świadczące usługi w zakresie telekomunikacji. Łączą i satelity stanowiły prawdziwą pasję człowieka o paru paszportach i wielu nazwiskach.

Szybko sprawdził zabezpieczenia. Wojna w Europie zdawała się zbliżać do końca, lecz on miał do wykonania konkretne zlecenie, a to, czy Skokow żył, czy też nie, było kwestią drugorzędną.

W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin otrzymali sprzeczne polecenia. Najpierw

kazano operację przyśpieszyć, a ostatnio... to musiała być podpucha sprzymierzonych, bo odwoływano ją zupełnie. Transmisja się rwała, a jej pełnego charakteru bardziej się domyślali, niż byli pewni.

Nie po to przygotowano „Czarne Słońce”, by w ostatnim momencie zrezygnować. Na wszelki wypadek poprosił o potwierdzenie. I co? I nic. Tak jak myślał, ktoś za dużo się dowiedział i próbował manipulować zarówno nimi, jak i Centralą.

Nie, moi drodzy, nic z tego. Przejrzał procedurę podobną do tej poprzedzającej start rakiet balistycznych z głowicami jądrowymi. W tym przypadku nie nastąpi nic aż tak widowiskowego, a to, co się stanie, dostrzeże najwyżej parę osób. Tylko w pierwszym momencie, bo później...

Na niskiej orbicie Ziemi dysponowali kilkudziesięcioma satelitami, od zwiadowczych po telekomunikacyjne, zdolnymi wyemitować wiązkę mikrofal o dużym natężeniu. Wtedy impuls EMP uszkodzi wszystkie niezabezpieczone urządzenia elektryczne wzdłuż Południowego i Zachodniego Wybrzeża USA.

Wprowadził kody źródłowe. Otrzymał potwierdzenie. Czuł się dziwnie. Na zewnątrz przyświecało karaibskie słońce, a życie toczyło się swoim rytmem. Wystarczy nacisnąć enter i stanie się ciemność. Ta myśl przerażała. No na co czekasz? – usłyszał wewnętrzny głos. Pogładził klawisz palcem wskazującym jak żołnierz spust swojego karabinu. A niech tam... – wypuścił powietrze. Jak trzeba, to trzeba.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

HOTEL „MONTREUX PALACE”, MONTREUX

– SZWAJCARIA | 10 czerwca, godzina 09:18

Głupia i obleśna morda Siergieja Ławrowa działała Ashley na nerwy. Jej zdanie o tym człowieku sprowadzało się do paru zdań, których nie sposób było zacytować na forum dyplomatycznym. Już sam jego widok mierzył. Do niedawna człowiek numer dwa putinowskiej administracji, obecnie był bankrutem reprezentującym jakieś resztki tego, co kiedyś wydawało się światowym supermocarstwem.

Po śmierci Władimira Władimirowicza Putina w niejasnych okolicznościach Ławrow od razu stał się jego spadkobiercą. Tyle że państwo już nie istniało. Jak w trakcie każdej wojny czy rewolucji, jedni przegrywali, a inni zdobywali punkty. Z Rosji pozostały resztki i właśnie o te resztki szła teraz decydująca rozgrywka.

O tym, jak nisko upadł, świadczył obecnie fakt, że spotyka się z nią, doradczynią prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, a nie z wiceprezydentem czy sekretarzem stanu. Do niedawna coś podobnego było nie do zaakceptowania. W nowych wyborach, zapowiadanych na koniec września, jego ugrupowaniu nie dawano większych szans. Wciąż mocno trzymało się w centralnych guberniach, lecz to niewiele zmieniało. Pod boki wyrastała konkurencja. Anarchiści, komuniści i nacjoniści dominowali na ulicach, ścierając się w krwawych bitwach.

Sam Ławrow próbował udawać, że jest twardy, lecz nikt za takiego już go nie brał. Podczas wczorajszej konferencji prasowej jakiś dziennikarz, bodaj z któregoś polskiego wysokonakładowego dziennika, zniecierpliwiony długą i mętną przemową na temat gwarancji bezpieczeństwa, jakie należą się dawnym funkcjonariuszom administracji państwowej i członkom federalnych struktur bezpieczeństwa, wstał i wprost zapytał, jak wielki majątek zagrabił sam zainteresowany i w jakim banku go ukrył. Przez moment panowała kompletna cisza. Wszyscy z ciekawością wpatrywali się w wiceprezydenta zaskoczonego niebywale aroganckim atakiem na swoją osobę.

– Nie przywykłem do takiego zachowania – wycedził spokojnie, choć widać było, że w środku aż się gotuje.

Jeżeli myślał, że tym stwierdzeniem zamknie dziennikarzom usta, to grubo się pomylił. Granica została przekroczona. Jedno po drugim zaczęły padać pytania coraz bardziej dociekliwe i na granicy przyzwoitości.

Ze złośliwą satysfakcją Ashley patrzyła, jak Ławrow pęka, wstaje i się wycofuje. Kto zaczął gwizdać, tego pewnie nigdy się nie dowiedzą. Podejrzenia skupiały się na przedstawicielach mediów środkowo- i wschodnioeuropejskich. Dobrze, że za wychodzącym nie poleciały jajka, pomidory i buty.

Tak wyglądał wczorajszy dzień, a dziś Ławrow starał się ją przekonać do pewnych, jak to powiedział, systemowych rozwiązań. Po co demontować dawne struktury? Niech zostaną. A oni je wypełnią żywą treścią i w nadchodzących trudnych czasach lepiej sprostają wyzwaniom niż ludzie, którzy, aczkolwiek niewątpliwie pełni szlachetnego zapału, bez wątplenia nie poradzą sobie z wyzwaniami, jakie niesie przyszłość.

– Jak wiemy, pierwsze tygodnie i miesiące są decydujące. – Ławrow nieodmiennie kojarzył się Ashley z osłem: podobną powierzchownością i upartym przytaczaniem tych samych argumentów. – Głęboko wierzę w to, że rząd Stanów Zjednoczonych nie popełni tych samych błędów, jakie tak fatalnie zaciążyły na biednym Iraku. To smutne, że muszę przypominać o faktach z niedawnej przeszłości. W ciągu niespełna dziesięciu lat liczba niewinnych ofiar doszła tam do miliona. Jak to wytłumaczyć, bo... – Ławrow grubo przesadził. Nawet połowa tej liczby to stanowczo za dużo, ale przecież Irak to nie Rosja. Skala problemu była o wiele większa. – Jeżeli już o tym rozmawiamy... W pewnych kwestiach Stany Zjednoczone i państwa Unii Europejskiej stosują podwójne standardy. Dotyczy to głównie osobistego bezpieczeństwa osób pełniących najwyższe urzędy. Prezydent

Wiktor Janukowycz...

- Nie przypominam sobie, żebyśmy dyktatorom gwarantowali cokolwiek – zachnęła się Ashley.
- Ci dyktatorzy – wysyczał Ławrow – to demokratycznie wybrani przywódcy państw.
- Czasami faktycznie do zdobycia władzy wykorzystywali sfałszowane wybory.
- No wie pani... – nadął się Rosjanin. – Spodziewałem się konstruktywnej rozmowy, wymiany opinii, chęci rozwiązania palących problemów, a co mnie spotyka? Czy pani słyszała o tragicznej sytuacji milionów uchodźców? Brakuje żywności, lekarstw, a synoptycy tegoroczną zimą zapowiadają jako najcięższą od stu lat. Z danych, jakimi dysponuję, wynika, że liczba ofiar zimy i niedożywienia przekroczy całkowitą sumę poległych podczas działań zbrojnych.

Powoli zaczynała tracić cierpliwość.

- Pan zdaje się zapomniał, czego dopuścił się prezydent Putin zaledwie dziesięć dni temu?

- To fatalne nieporozumienie nie powinno wpłynąć na postrzeganie pewnych procesów.

Oczywiście, jesteście świadomi...

– W wyniku tego, jak pan to określił, „fatalnego nieporozumienia” śmierć poniosło przeszło trzydzieści tysięcy osób, a straty gospodarki oscylują w granicach pół biliona dolarów. Przywrócenie do działania struktury energetycznej ośmiu stanów, które najbardziej ucierpiały, zajmie rok, a długofalowe skutki będą odczuwalne nawet po dekadzie.

– Przynajmniej nikt do was nie strzelał. A co mają powiedzieć miliony moich nieszczęsnych rodaków bombardowanych w dzień i w nocy przez wasze samoloty?

Oczywiście obu tragedii nie dawało się porównać zwykłą ludzką miarą, ale wciąż ją trzęsło na widok obrazów w serwisach informacyjnych i raportów, jakie otrzymywała. Mimo zabezpieczeń i sprawnego systemu ratowniczego nie udało się zapobiec wielu tragediom. Ale też przynajmniej na parę pytań uzyskano odpowiedzi. Nic dziwnego, że mimo przeorania pasa granicznego we wszystkich możliwych kierunkach niczego nie znaleziono, podobnie jak na sporym obszarze Meksyku oraz wysp archipelagu Wielkich Antyli. Kuba! Teraz to wydawało się oczywiste. Sygnał wyszedł właśnie stamtąd. To ostatnie miejsce, w którym Rosjanie nie czuli oddechu zwycięzców. Wariant kubański nawet brano pod uwagę, lecz problem w tym, że placówkę zakamuflowano jako prywatną firmę z kapitałem hiszpańskim. Władze nie miały z tym nic wspólnego, a trudno podejrzewać każdego inwestora o nieczne zamiary. Znając tamtejsze układy, tłumaczenie wydawało się mocno naciągane. W tej chwili już nic nie można było zrobić, poza inwazją oczywiście. Wciąż natomiast otwarta pozostawała ważna kwestia: skoro wszystko udało się tak znakomicie, to dlaczego Rosjanie ograniczyli się do rejonu południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych? Dlaczego nie wyłączono Kalifornii, Nowego Jorku czy Waszyngtonu? Pytani o to współpracownicy Putina zastaniali się niewiedzą. Być może faktycznie niewiele wiedzieli.

Niewiedza drażniła. A jeżeli zagrożenie wciąż było realne? To całkiem możliwe. Chyba należało drażyć temat. Za każdym razem, gdy wypytywała o to Ławrowa, ten ze zdumienia robił wielkie oczy: „Ja o wielu sprawach nie byłem informowany” – ten zwrot powtarzał się najczęściej. Niestety, protokół dyplomatyczny nie przewidywał wsadzenia kciuków adwersarza w imadło i zaciśnięcia go. To z pewnością odblokowałyby pamięć tej gnidy i cudownym zrządzeniem losu wiele tajemnic wyszłoby na światło dzienne.

Dochodzenie trwało i nic nie wskazywało na jego szybki koniec. Odpowiedź znajdowała się w Rosji. Tam należało koncentrować wysiłki. Mieszana grupa CIA i FBI szybko dotarła do zasobów archiwalnych i serwerów, poznając sprawy jeżące włos na głowie. Problem w tym, że Polacy byli równie aktywni, zazdrośnie przy tym strzegąc zajętych przez siebie miejsc, jak Archiwum Państwowe Dumy czy gmach przy Placu Łubiańskim. Niedługo wyniknie z tego potrzeba stworzenia wspólnej komisji, bo jak nie...

Ktoś poprosił ją do telefonu. Z ulgą opuściła miejsce przy stole konferencyjnym. Agenci ochrony otoczyli ją wianuszkami i zaprowadzili do bezpiecznego pokoju.

- Jak idą rozmowy?

- Codziennie to samo, litania skarg i zarzutów pod naszym adresem.
- Doskonałe ćwiczenie cierpliwości.
- Gary, jeżeli chcesz się podzielić takimi radami, to proszę, nie mów nic więcej.
- Żeby to było takie proste – roześmiał się wiceprezydent.
- A nie jest?

– Mam propozycję w sam raz dla ciebie. – Gary Craig przestał udawać rozbawionego wujaszka i przybrał poważny ton. – Zapewne wiesz, że nasze wysiłki koncentrują się obecnie na wyłonieniu nowego rządu, który pokieruje Rosją do czasu wrześniowych wyborów. Oczywiście dla nikogo nie jest tajemnicą, że ten, kto zostanie premierem w okresie przejściowym, znajdzie się w o wiele lepszej sytuacji niż konkurenci. Chodzi o...

– Mam znaleźć odpowiedniego kandydata? – domyśliła się, zanim dokończył zdanie.

– Nazwijmy to konsultacjami – skorygował Craig. – Seria nieformalnych spotkań. Wysonduj ich. Nic nie obiecuj poza ogólnikami. Przecież wiesz, jakie to ważne. Na wszelki wypadek wolimy nie określać ścisłych terminów. Wiemy o trudnościach. Umieścimy cię w zielonej strefie Kremla. W całej Moskwie to najbezpieczniejszy obszar.

– Gary, nawet Bagdad nie był tak popieprzony.

– Mnie też się to nie podoba. W razie zagrożenia zostaniesz przeniesiona do Petersburga.

– A to z kolei będzie fatalnie wyglądać.

– Zrobisz, jak zechcesz. Jako najwyższy przedstawiciel naszej administracji staniesz ponad gubernatorem i władzami wojskowymi. W razie konieczności dzwoń do mnie natychmiast. Nie ryzykuj. Do niczego nam to nie jest potrzebne.

– O wszystkim pomyślałaś.

– Nie, nie o wszystkim. Jest duże ryzyko zamachu, masowych wystąpień i czystek. Musisz uważać.

– Potrafię o siebie zadbać – zapewniła.

– Akurat w to nie wątpię, tylko zapamiętaj: nie na wszystko mamy wpływ.

Nadopiekuńczość Gary'ego nawet przestała ją irytować. Taki po prostu był i nic go nie zmieni.

URZHAR – KAZACHSTAN | 11 czerwca, godzina 18:11

Ostatnią wiadomość z domu otrzymał przed dziewięcioma dniami. Już wtedy działo się źle. Rodzice nie mówili o tym wprost, lecz powoli zaczynało brakować żywności. Z dnia na dzień Juan tracił na wartości. Coś, co jednego dnia kosztowało pięć Juanów, następnego już dziesięć. Zapewnienia władz, że nad wszystkim panują, niewiele pomagały. Wszyscy wiedzieli o katastrofach, jakie spotkały kraj. Blokada Internetu przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego. Ta jawna próba zamieszczenia wszystkiego pod dywan jedynie rozjątrzyła obywateli. Skromne z początku protesty stłumiono bez litości. Przyszło to tym łatwiej, że parosobowe grupki opozycjonistów działały w oderwaniu od reszty społeczeństwa. W normalnych warunkach rozwinięcie transparentu czy kolportaż ulotek wzbudziłyby co najwyżej umiarkowane zainteresowanie, o ile w ogóle zostałyby dostrzeżone. W państwie całkowicie infiltrowanym przez agentów służb bezpieczeństwa każde wystąpienie wymagało sporej odwagi. Filmiki robione telefonami ukazywały kobiety i mężczyzn bez litości pacyfikowanych przez ludową milicję, zanim na dobre wyrazili sprzeciw. Media donośnie trąbiły o sabotażystach próbujących podkopać fundamenty socjalistycznego państwa, a wystąpienia partyjnych dygnitarzy groziły śmiercią każdemu, kto podniesie rękę na ojczyznę. Opozycjoniści – rzeczywisci i domniemani – przepadali setkami w obozach i więzieniach. Rozprawiano się z Ujgurami i niedobitkami Tybetańczyków. Każdy członek KPCh wiedział jedno: tylko brutalna siła jest zdolna stłumić bunt w zarodku, a im szybciej to zrobią, tym lepiej.

Po paru niespokojnych dniach wszystko zdawało się już wracać do normy i wtedy się zalały materiały z hucznych zabaw, jakie organizowały sobie władze – poczynając od tych naczelnych, na

prowinjonalnych kończąc. Naćpani i pijani sekretarze oddawali się wyuzdanym rozrywkom. Gdy w parze z golizną szły informacje o sprzeniewierzonych i zagrabionych milionach, rezydencjach, samochodach i samolotach, na niewiele się zdały zapewnienia, że wszystko jest fałszerstwem. Ludzie, którzy mieli świecić przykładem, okazywali się miernotami o psychopatycznych skłonnościach. Jaki oficer zaufa teraz przełożonemu, którego wcześniej oglądał bez gaci?

Do Li Janga docierały tylko strzępy tego, co wyprawiało się w kraju. On miał na miejscu inne kłopoty. W różnych częściach Kazachstanu uaktywniła się lokalna partyzantka. Nie dalej jak przed trzema dniami w punkcie kontrolnym nieopodal Astany wysadził się samobójca. Ładunek określono na czterystukilogramowy. Zginęło trzydziestu żołnierzy. W Karagandzie zginęło tylko trzech, ale przeszło dwustu zostało rannych po tym, jak detonowała cysterna wypełniona chlorem.

Rebelianci stosowali taktykę taką samą jak w Iraku, a w to, że ataki będą się nasilać, nikt nie wątpił. Chińska armia czegoś podobnego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Strzelanie do bezbronnych wieśniaków czy studentów to jedno, operowanie w strefie działań wojennych i walka z nie do końca zdefiniowanym przeciwnikiem to co innego. Właśnie przyszła pora na przyspieszony kurs.

Zapał Janga również osłabł, zwłaszcza po tym, jak zobaczył rozerwane ciała podwładnych z drużyny, do której transportera wrzucono granat. Śmierć wśród tych niekończących się pustyń i posępnych gór wydawała się czymś jeszcze straszniejszym niż gdzie indziej.

Kolejny problem, z jakim się zetknął, to narkotyki. Szeregowcy w nocy znikali z miejsc zakwaterowania i pojawiali się rankiem ze szklistym spojrzeniem lub w opiumowym otępieniu. Uzależnionych lub tych próbujących pierwszy raz natychmiast aresztowano i odsyłano. Gdzie? Tego nie wiedział nikt.

Trudności przybywało lawinowo. Szeregi topniały, a uzupełnienia nie napływały tak szybko, jak się spodziewano przed rozpoczęciem kampanii. Entuzjazm wypaliło białe słońce pustyni i koszmarnie ciężkie warunki bytowe, monotonna dieta i zawziętość tutejszych mieszkańców.

Wiele mówiło się o rychłej konfrontacji z Amerykanami. Oby się mylono.

W zębach porucznika zatrzeszczał piach. Szykował się kolejny patrol – ciąg nudy, czasami przerywanej krótkimi potyczkami. Dla kogoś, kto poprowadził dywizję w stronę pól naftowych, to degradacja, lecz tu przynajmniej było jakieś życie. Patrol na środku niczego dopiero musiał dawać w kość.

Czyżby zaczynał łąpać samego siebie na defetyzmie? Zdaje się, że udzielał mu się nastrój całej armii.

PETERSBURG – FEDERACJA ROSYJSKA | 13 czerwca, godzina 11:39

Sam nie wiedział, co budzi w nim większą odrazę: trójkolorowe flagi Rosji za złotym dwugłowym orłem nacjonalistów czy też czerwone szturmówki komunistów. Czy ten naród musi być aż tak głupi, żeby z jednej paranoi pchać się zaraz w kolejną? Dopiero co przerznęli z kretesem wojnę z NATO, a już zanosilo się na kolejną, tym razem domową.

Wyciągnął z futerału lustrzankę Canona i przymierzył się do zrobienia kilku fotek. Wybierał pozy i odpowiednie chwile, chcąc uwiecznić historię. W kadr załapał się rozgorączkowany mówca zapluwający mikrofon. Stojący za nim w paramilitarnych uniformach współtowarzysze wyglądali na równie przejętych, co i lider. Nort rozumiał co trzecie, czwarte słowo. Więcej się nie dawało. Tłum wył w zachwycie lub rozdrażnieniu, poddając się manipulacjom przemawiającego.

Pchać się w pobliże skleconego z desek podestu nie chciał. Wiec był nielegalny. Wojskowy komendant miasta nie pozwolił na zgromadzenie. Przybyli albo o tym nie wiedzieli, albo zignorowali zakaz.

Wycofał się na sam skraj zbiegowiska i poszukał podwyższenia. Niestety, wszystkie dostępne miejsca zostały zajęte. Parszywy pech.

Przejrzał materiał. Dwadzieścia zdjęć. Niby dobre, ale czegoś w nich brakowało. Bez sentymentu usunął większość. Zostało pięć, które uznał za dość dobre. W redakcji dokonają dalszej selekcji. Pozostanie jedno, góra dwa, ilustrujące napisany tekst. Co prawda do Rosji zjechało sporo fotoreporterów, licytujących się obecnie w najbardziej dramatycznych ujęciach. Temat wciąż cieszył się powodzeniem, zatem i podaż była ogromna. I co z tego? Jego tekst, jego zdjęcia. Inaczej sobie tego nie wyobrażał. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się wdrapanie na jednego ze Strykerów marines oddzielających obie zwaśnione grupy. Wszystko zależało od tego, kto dowodzi oddziałem. Jeżeli to nadęty dupek prosto z kraju, to ma przechlapane. Starzy frontowcy byli bardziej wyrozumiali.

Wyminął ekipę CNN-u z przestraszoną, ładną blondynką. Co zaczęli kręcić, to zaraz ktoś popchnął kamerzystę lub wchodził w kadr, a pora emisji zbliżała się wielkimi krokami. W najgorszym przypadku zostaną pluci i pobici. Podobne zdarzenie spotkało zespół Fox News, któremu zniszczono sprzęt, a komentatora wrzucono do jednego z kanałów. Dziennikarz „La Repubblica” w ogóle przepadł. Wyszedł z hotelu i już go nikt więcej nie widział. Odciętą rękę znaleziono na wysypisku śmieci. Wszczęto śledztwo, które szło opornie. Poza tym nikt nie wiedział, czy ta oderwana ręka faktycznie należała do dziennikarza.

Ostatecznie można było wynająć ochronę: firm proponujących takie usługi nie brakowało. Pojawiały się jak grzyby po deszczu. Legalne, półlegalne i związane z mafią. Należało uważać, na kogo się trafiło, bo często ostateczna cena usługi znacznie różniła się od wstępnych ustaleń.

Marines wyglądali na zdenerwowanych. M4 z bagnietem to nie najlepsza broń do rozpędzania demonstrantów. I dlaczego jest ich tylko kompania, skoro na Placu Senackim przy gmachu Admiralicji i pomniku Miedzianego Jeźdźca zgromadziło się ponad dziesięć tysięcy ludzi, a czy zetrą się z politycznymi przeciwnikami, czy wspólnie pójdą na Amerykanów, można było tylko zgadywać?

Na dowodzącego oficera natknął się zaraz za pierwszym transporterem. Przywitali się jak starzy kumple. Jeżeli ktoś mógł pomóc, to właśnie on.

– Jesteś zajęty?

– A co, nie widać? – Twarz kapitana Timothy’ego Walsh’a błyszczała od potu. W tym, co na sobie miał, można się było ugotować: mundur, kamizelka taktyczna i przeciwodłamkowa, hełm, broń i zapasowe magazynki. Wszystko ważyło co najmniej tonę.

– Czy oficjalna wypowiedź dla „Los Angeles Times” w sprawie...

– A idź w...

– Nie mogę, mam robotę, muszę szanować czytelnika. Jeżeli tego nie zrobię, wiesz, co wyjdzie.

– Czego właściwie chcesz?

– Daj mi rzucić okiem z góry na ten bajzel.

– Właż, tylko nie zleć na pysk.

Nortonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wdrapał się na dach Strykera po wystających elementach. O, znacznie lepiej. Najpierw plan ogólny, potem zbliżenia. Ekipa CNN może się schować.

Właściwie nie pozostawiono im wyboru. Tłum napierał coraz bardziej. Blond piękność trzymała się za twarz. Ktoś ją spoliczkował. Po co to wszystko? Nie lepiej zająć się telewizją śniadaniową czy relacjonowaniem pogody?

Przeniósł spojrzenie na drugą część placu. Jakies dwa do trzech tysięcy starszych mężczyzn w starych, wyświechtanych marynarkach i kobiet z czerwonymi goździkami w garsonkach pamiętających lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku paradowało ze zdjęciami swoich idoli. Można powiedzieć, że Lenin i Stalin wiecznie żywi i czerstwi. Stałe elementy gry. Dla nich czasy młodości to wciąż wzorzec życia społecznego.

Choć nacjonalistów było dwa razy więcej, nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy smuć. W sumie na jedno wychodziło. Obie strony postulowały powrót potężnego Imperium, a czy będzie ono czerwone, czy brunatne, dla świata było bez znaczenia.

Ponad placem niczym groźne memento pojawił się Black Hawk. Naszpikowany elektroniką filmował i monitorował wszystko, co działo się na ziemi.

– Złaź. – Walsh machnął na niego ręką.

– Moment.

– Jak nie zejdziesz w dziesięć sekund, mój sierżant ściągnie cię siłą.

Wymacał stopami krawędź burty i zeskoczył na asfalt.

– O co chodzi? – Wytarł dłoni o dłoń i stanął obok kapitana.

– Rozpoznanie melduje, że ci dziadkowie mają broń.

– Którzy?

Walsh wskazał na nacjonalistów.

– A ci?

– Uzbrojeni w same idee.

– I co chcesz zrobić?

– Ja? – Walsh poprawił pistolet w kaburze na udzie. Zadanie ciążyło jak jasna cholera. Był zwiadowcą, nie żandarmem. A właściwie to gdzie podziewają się ci gamonie? Jak są potrzebni, nigdy ich nie ma, choć wykazują się talentem do pojawiania się wszędzie tam, gdzie nic się nie dzieje.

– Nie widzę wyższego stopniem od ciebie. – Nort ostentacyjnie rozejrzał się na boki. – Słyszysz, co mówię?

Nie doczekał się odpowiedzi. Z tyłu nadjechała ciężarówka, trzasnęła kłapa, a żołnierze rozpoczęli pobieranie tarcz. Od razu zauważył, że pochodzą z zapasów tutejszego OMON-u, metalowe prostokąty zagięte na bokach i z trzema rzędami dziur wybitymi u góry do obserwacji. Pałek nie potrafił zidentyfikować. Pojawiły się też psy i całe skrzynie granatów dymnych i hukowych. To pewnie też lokalne rezerwy.

Pluton ustawił się przed transporterami. Wkrótce dołączył kolejny. Żałośnie mała jak na rozpoczynającą się rozróbę.

Kto zaczął – tego pewnie nie dowiedzą się nigdy. Krótka szarpanina, mordobicie i ciało jakiegoś człowieka rozciągnięte na ziemi. Na razie nie było jak mu pomóc. Żadna ekipa medyczna nie wejdzie pomiędzy dwie grupy ludzi, którym emocje uderzyły do głowy. Bijatyka na pięści, noże i drzewce od transparentów rozwijała się w najlepsze. Paru postronnych obserwatorów rozpoczęło szybki odwrót. Co bystrzejsi próbowali schronić się za kordonem marines. Obok Sheparda przemknęła ekipa telewizyjna. Już nie próbowali kręcić, choć dopiero teraz było co. Z rozbitego nosa reporterki na białą bluzkę kapłała krew. Zdaje się, że naderwano jej ucho, wyrwano kolczyk i zaliczyła solidne szturchnięcie w plecy. Wyglądała jak ofiara wypadku. Nieprędko, o ile w ogóle, wróci na ulicę. Uraz pozostanie.

Żołnierze z granatnikami oddali pierwszą salwę. Każdy strzelał w miejsce, gdzie – jak się wydawało – efekt będzie najlepszy. W konsekwencji prawie wszystkie ładunki spadły w centrum przepychanki. Efekt okazał się porażający. Shepardowi stojącemu sto pięćdziesiąt metrów dalej żołądek zwinął się w trąbkę, gdy huk detonujących granatów rozszedł się nad placem. O mało nie popuścił w spodnie. A jak musieli czuć się ci, którym salwa spadła na głowę? Na dodatek ten smrodliwy, drażniący nozdrza opar pozostawiający na języku chemiczny posmak. Kombinacja okazała się wystarczająca. Z białej chmury co i rusz wyskakiwali niedawni oponenty, przykładając do twarzy chusteczki lub taszcząc na rękach współtowarzyszy, którym zrobiło się słabo.

Musiało upłynąć parę minut, zanim bryza znad zatoki nie oczyściła powietrza, ukazując na pobojuwisku nie jedno, a trzy ciała spoczywające w różnych pozach niedaleko pomnika Piotra Wielkiego. Ambulanse wjechały na trawnik. Jak się okazało, jeden z leżących oberwał nożem i wykrwawił się, zanim przybyła pomoc, drugi padł na serce, a trzeci został znokautowany.

Zdjęcia, które teraz robił, były znacznie lepsze od poprzednich. Powstał świetny materiał. Redakcje wezmą go z pocałowaniem ręki. Pora zmienić ciuchy i pójść na piwo, norma wykonana.

Jeszcze pożegna Walsha. Może umówią się na spotkanie. Od jakiegoś czasu po głowie Sheparda krążyła natrętna myśl: napisać książkę z kapitanem w roli głównej. Po wcześniejszych konfliktach pozycji tego typu powstało multum, większość sprowadzająca wojnę do doświadczeń w rodzaju „tu kantyna, tam latryna”. Kumple byli fajni, a wrogowie źli i podstępni. Tudzież na odwrót. Jeśli namówi Walsha, może wyjdzie z tego coś więcej. Dla niego to będzie terapia. Wcześniejsze doświadczenia wciąż bolały, a pewnie wątki nie zostały zamknięte. Pewnie już nigdy nie dowie się, co stało się z Andrzejem i Tamarą. Przepadli jak kamień w wodę. Gdy przed tygodniem ostatni raz widział się z Jeffem, agent nie podjął tematu. Potem przestał odpowiadać na telefony, aż w końcu za którymś razem okazało się, że numer jest nieaktywny.

Mógł się tego spodziewać. Wcześniej podpisał stertę dokumentów o nieujawnieniu tajemnicy państwowej. Zakneblowano mu usta na dwadzieścia pięć lat. Owszem, może napisać relację. Materiał zostanie wydany w kilku egzemplarzach z nadrukiem „ściśle tajne”. Otrzyma honorarium. Solidne, lecz niepowalające na łopatki. O bestsellerze na razie może zapomnieć. Za złamanie warunków umowy obojętnie w jakiej formie – drukowanej, jak książka lub artykuł, czy filmowej – skończy z wyrokiem. Ostrzeżenie przyjął ze spokojem. Po co się stawiać? Jak będą chcieli mu przypierdolić, i tak to zrobią. Na osłonę pozostawał Walsh. Tu nikt nie powinien ingerować.

Po chwilowym uspokojeniu atmosfera na placu ponownie osiągnęła stan wrzenia. Najwidoczniej liderzy obu ugrupowań doszli do porozumienia. Po co się łać między sobą, skoro tuż pod bokiem mają prawdziwego wroga? Nastąpiło przegrupowanie. Motłoch już bez barw klubowych ruszył na kompanię marines. Wezwanie do rozejścia się spełzło na niczym. Apel należało podeprzeć siłą. Wszystko powtórzyło się tak, jak poprzednim razem. Za pierwszą salwą poszły kolejne. Odpowiedziano kamieniami. Jeżeli szybko się nie wycofają, zostaną stratowani.

Wylot najbliższej ulicy wydawał się odpowiednim miejscem. Ruch zablokują Strykerami, a pomiędzy nimi staną żołnierze. Walsh wydawał rozkazy. Tych chłopaków szkolono do zupełnie innych zadań. To on pierwszy zauważył przewracającego się kaprała. Podoficer stał z tarczą, osłaniając kolegę z wyrzutnią granatów, i nagle osunął się na ziemię. Facet był w hełmie, więc to nie kamień pozbawił go przytomności.

Podbiegł sanitariusz. Zrobiło się zamieszanie.

Nort był pewny jednego: ktoś go zastrzelił. Tak normalnie, z pistoletu, wykorzystując osłonę, jaką dawały plecy atakujących.

Walsh się wkurwi, to na pewno. Odsunął się na bok, nie chcąc zostać rozjechanym przez transporter. Linia tarczowników zaczynała pękać. Jeśli nie przeprowadzą odwrotu, zostaną rozszarpani przez Rosjan. Padły rozkazy. Drużyny zaczynały gromadzić się przy pojazdach. Większość porzuciła pałki i metalowe osłony. Automaty wydawały się lepszym rozwiązaniem. Mógł iść o zakład, że żaden z nich nie posiada gumowych pocisków. Jeżeli któraś ze stron się nie opamięta, dojdzie do masakry.

Dystans zmniejszał się nieubłaganie. Atakujący nie biegli, tylko maszerowali w takt jakiejś pieśni, którą dodawali sobie animuszu i która bynajmniej nie kojarzyła się z harmoszką, wódką i kiszonymi ogórkami. Pierwsza linia złapała się pod ręce, tworząc kordon. Za pół minuty rozdepczą opieszających Amerykanów. Zrobił parę kroków do tyłu, nie przestając fotografować. Wściekłe pyski otaczały go ze wszystkich stron. Nie należało dłużej zwlekać. Puścił się pędem w ślad za odjeżdżającymi pojazdami, trzymając mocno w garści torbę i aparat.

Jakiś mężczyzna wybiegł z boku, rozłożył szeroko ręce i zagroził Shepardowi drogę. Biedny frajer, wybrał najgorsze rozwiązanie. Jeżeli myślał, że dziennikarz zwolni czy spróbuje obieć przeszkodę, to nie mógł się bardziej pomylić. Norton tymczasem obrał kierunek wprost na niego, przyspieszył, skulił się i uderzył barkiem w próbującego uskoczyć Rosjanina.

W konsekwencji demonstrant odleciał na bok, jakby zderzył się z pędzącym pociągami. Żebra były z pewnością połamane, wstrząśnienia mózgu można się było tylko domyślać. Trenującemu przez lata futbol pewne nawyki wchodziły w krew, a teraz na dodatek działała wściekłość.

Będąc już parę metrów dalej, obejrzał się za siebie. Ten głupiec leżał tam dalej bez ruchu. Jeżeli nawet dostał krwotoku, to Nort nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia.

Kilku demonstrantów rzuciło się za nim w pogoń. Przełożył Canona do lewej ręki i pochylił się, zgnarniając z ziemi spory kawał pokruszonej płyty chodnikowej. Jeszcze niedawno na myśl o konfrontacji zlałyby się w gacie, lecz nie teraz. Zdaje się, że zaczynało mu odbijać. Zwolnił i zaczął biec tyłem. Najbliższy ze ścigających był blisko. Ci, którzy biegli za nim, nie należeli do dziadków. Same młode byczki z żądzą mordy w oczach i wyglądem niespełnionych oprawców. Futbol to piękna gra. Sporo się biega, ściera z zawodnikami i rzuca piłką. Ileż razy powtarzał te ruchy? Pamięć mięśni zadziałała bezbłędnie. Ruch ramieniem i kawał nieożywionej materii wyleciał w powietrze. Z odległości paru metrów nie było przed nim ucieczki. To nie piłka, którą dawało się złapać. Chłopak odwrócił głowę i wystawił dłonie. Kawał betonu trafił w ucho i szczękę. Biegnącemu poplątały się nogi i runął bez zmysłów. Pozostali stanęli jak wryci. Dwóch powalonych w niespełna kilkanaście sekund. Niedoszła ofiara tylko się szczyrzyła. To wbrew zasadom takich starć.

Nort też przyhamował. Czoło tłumu znajdowało się ponad sto metrów od niego, z parama harcownikami wysuniętymi przed szereg. Nic nie stało na przeszkodzie, by gonili go dalej, lecz oni stali. Jednak nie miał z tym nic wspólnego. Klekot gąsienic i ryk wysokoprężnych silników narastał od strony najbliższej przecznicy. Kompania Walsha przegrupowała się, a za nią nadciągały posiłki – M1117, Humvee, Bradleye i ciężarówki. Strzelec z pierwszego Humvee przeładował karabin maszynowy. Krótka seria przebiła się ponad hałas i wrzawę. Nie poszła w tłum, tylko ponad głowami, lecz to nie miało znaczenia. Rozpoczęła się ucieczka na łeb, na szyję. Demonstranci tratowali się, przewracali i rozbiegali we wszystkie strony. Nie był to piękny widok. Gubiono czapki, buty i drzewce od flag i transparentów. Poszkodowanych przybywało. Już teraz oceniał ich liczbę na pięćdziesięciu, jak nie więcej. W dzisiejszych serwisach internetowych i jutrzejszych gazetach napiszą o masakrze.

Akurat. Będzie najwyżej mała wzmianka na dole trzeciej strony. Biorąc pod uwagę bezprawie i chaos panujące na obszarze byłej już Federacji, parotysięczne zgromadzenie w centrum Petersburga zupełnie się nie liczyło. Gdyby marines zastrzelili dwustu Rosjan, to może wtedy byłoby to coś na pierwszą stronę, choć nie na pewno. Bunt w Czerepowcu, i to nie przeciw koalicjantom, tylko dotychczasowym właścicielom zakładów metalowych: 2000 rannych i zabitych. Zamach w Woroneżu na pociąg linii podmiejskiej: 130 zabitych i ponad 200 rannych. Do Emiratu Kaukaskiego dołączyły kolejne – Nadwożański i Kaspijski, nie licząc kilkudziesięciu małych, obejmujących najczęściej parę wsi i miasteczek. Wszystkie powstały głównie na południu. Rzeź w Astrachaniu, tym trudniejsza do powstrzymania, że nikt nie dysponował realną siłą zdolną powstrzymać przemoc w tamtym rejonie. Wszelkie materiały pochodzące z miasta starannie ocenzone. Pas ziem od Krymu poprzez Kaukaz po Azję Środkową ogarnął amok. Uptynie sporo wody, zanim wszystko wróci do normy. Potrzeba lat i dobrej woli. Na razie brakowało i jednego, i drugiego.

Już nie chciał tu dłużej być. Przemozna chęć powrotu do domu ogarnęła Nortona z niespotykaną siłą. Na co to wszystko? Po co? Czy to w ogóle ma sens?

Ruszył wzdłuż kolumny, nie oglądając się za siebie. Jedyne, co go jeszcze interesowało, to czy lotnisko międzynarodowe rozpoczęło pracę, a jeżeli tak, to kiedy odlatuje najbliższy samolot.



## EPILOG

MOSKWA – BYŁA FEDERACJA ROSYJSKA | 16 czerwca, godzina 10:12

Pierwsze dni, co tu dużo mówić, były trudne, choć to słowo zupełnie nie pasowało do okoliczności. Żył jak we śnie, niewiele z tego pamiętając. Może to i lepiej. Obarczony sporą ilością zajęć i obowiązków, nie pamiętał i pamiętać nie chciał. Gdy się o wszystkim dowiedział, pognął do przyszpitalnego baraku, gdzie sortowano zwłoki. Spoczywała tam spowita w czarny foliowy wór, sina i zimna. I wcale nie wyglądała, jakby spała. Twarz zakrzepła w cierpieniu. Co oni, do cholery, jej zrobili? Dobrze chociaż, że nie przepadła w masowym grobie wraz z ciałami tysięcy moskwiaków, z których część poległa w walkach, lecz znaczącą większość stanowili przeciwnicy polityczni Putina. Machina reżimu działającego na absurdalnych podstawach funkcjonowała do samego końca zupełnie jak NKWD, rozstrzeliwujące niepokornych na kwadrans przed wkroczeniem Niemców.

Tu wszystko wyglądało podobnie. Nieważnie, że nie ma dla kogo walczyć i umierać. Pozostaje rozkaz, najczęściej zbrodniczy, bo łatwiejszy do wykonania. Ustawienie pod ścianą kilku tam osób i pociągnięcie serią z Kałasznikowa jest na pewno prostsze od wymierzenia z RPG w wóz bojowy. Przecież tym zawsze zajmowały się organa bezpieczeństwa.

Demontażem starych struktur i budową nowych zajął się Szczerkow. Bez jego układów i znajomości najprostsze sprawy urastały do rangi problemu. Zresztą przy poparciu sojuszników major szybko zaczął robić karierę. Już teraz stał na czele nowej stołecznej formacji policyjnej zajmującej się terrorem i najcięższymi przestępstwami. Współpracowników dobierał sobie sam, ciesząc się pełnym zaufaniem gubernatora – świeżo przysłanego z Warszawy Marka Tarnowskiego.

Swoją nominację Tarnowski zawdzięczał splotowi paru czynników – od lat pracował w dyplomacji, był znany Amerykanom, gdyż wcześniej pracował jako prawa ręka polskiego ambasadora w Stanach. Raz czy dwa razy spotkał się z obecnym wiceprezydentem, który zasugerował taką kandydaturę. Jeżeli ktoś miał sprostać ogromowi zadań, jakie czekały organizatora nowego systemu politycznego w takim kraju jak Rosja, to tylko on. Kontrolowany na każdym kroku przez Warszawę i Waszyngton, na razie sobie radził. Najbliższe tygodnie pokażą, czy faktycznie uda mu się coś zdziałać.

Tarnowski i Szczerkow od razu przypadli sobie do gustu. Jeżeli coś miało się zmienić na lepsze, to ten polsko-rosyjski tandem wydawał się dobrą tego zapowiedzią.

Sprzeczne interesy dotychczasowych sojuszników były coraz wyraźniej widoczne. Przy pierwszym potknięciu Tarnowski poleci zastąpiony przez człowieka Kerry'ego. Sukcesy Polaków wielu osobom w Waszyngtonie były nie w smak. Jak na razie jednak przeważała opcja umiarkowana – poczekamy, zobaczymy, Polakom w końcu powinno się noga, a wtedy wszystko zrobimy po swojemu. Echa tych kompetencyjnych sporów docierały do Wirskiego jak przez mgłę. Kumple, w tym i Tarnowski, z którym znał się od niepamiętnych czasów, robili, co mogli, żeby wyciągnąć go z apatii. Wśród niekończącego się nawału spraw zawsze znajdowali dla niego parę minut, lecz on wolał wałęsać się z patrolami i wystawać na posterunkach, zadowolając się najprostszymi zadaniami. Właściwie brał wszystkie służby jak leci. Potrafił stać godzinami w jednym miejscu, przeglądać dokumentację lub sortować sterty papierów. Większość unikała takich zajęć jak ognia, on nie. Nawet to polubił. Wszystko lepsze od wpatrywania się w ścianę i wspomniania przeszłości. Do siedziby policji wpadał przynajmniej raz dziennie. Nie było w tym nic dziwnego. Prowadzili tu swoją komórkę, całkiem rozbudowaną, zajmującą się weryfikacją i szkoleniem nowych funkcjonariuszy. Prowadzili też wiele innych spraw, o których nie należało głośno mówić, a wszyscy i tak wiedzieli, o co chodzi.

Z organizacyjnego chaosu wyłaniała się powoli nowa struktura. Batalion antyterrorystyczny Tigr i porządkowy Wolf niedługo będą gotowe do działania. Trzy kolejne – Skorpion, Niedźwiedź i Lew – rozpoczęły pełny cykl przygotowawczy. Ktoś to musiał nadzorować. Biurko, które zajmował,

zastały papierzyska. Czego tu nie było: biuletyny, broszury, instrukcje i regulaminy. Część sporządzał własnoręcznie od razu w tłumaczeniu na rosyjski, część podrzucał Nowakowskiemu czy Pawłowskiemu, gdy ci gdzieś wybywali, jednak to teczka z donosami stanowiła główny punkt programu dnia roboczego. Informacje o ukrywającym się generale policji Maszkinie na pewno zainteresują Szczerkowa. Na bydłaku spoczywały szczególnie ciężkie zarzuty. W sumie na KS-a zasłużył sobie bezapelacyjnie. Właściwie taką informacją powinien zająć się osobiście. Weźmie paru ludzi i pojedzie to sprawdzić.

Przyjrzał się adresowi i zlokalizował miejsce na ekranie laptopa – trochę poza centrum, ale bez szaleństwa. Sięgnął po HK-416, kamizelkę i hełm.

- Dokąd? – Pawłowski od razu wydawał się gotowy do działania.
- Mam sprawę.
- Pojadę z tobą.
- Nie musisz.
- Ale chcę.

Wyszli z biura. Paru ludzi z 1 Pułku Specjalnego podziemnych w pomieszczeniu obok odstawiło szklanki na bok i popatrzyło na wchodzących.

– Jedziemy na zatrzymanie. Zabierzcie, co trzeba.

– Nie musimy powiadomić pułkownika Szczerkowa? – Jeden z nich, niewysoki, ciemnowłosy porucznik pełniący obowiązki szefa kancelarii, był służbistą w każdym calu.

– Dobra. Ja się tym zajmę – zdecydował Andrzej. Nic się nie stanie, jak przespaceruje się piętro wyżej. Wszyscy podkreślali, że dobre układy z Rosjanami stanowią fundament przyszłych stosunków. Zdaje się, że już parę razy w życiu słyszał takie deklaracje.

Na korytarzach panował całkiem spory ruch. Mundurowi w zupełnie nowych polowych sortach dostarczonych wprost z Polski, tak aby stróże nowego prawa nie kojarzyli się ze starymi porządkami, i funkcjonariusze w cywilnych ubraniach. Trochę osób poszukujących najbliższych i kandydaci do służby. Jeżeli komuś wydawało się, że nie znajdują nowych poborowych, to bardzo się pomylił, a poza tym ktoś musiał wydawać zaświadczenia, orzeczenia i upomnienia. Biurokratyczna machina bez tego nie istniała.

Pod wydzieloną częścią komendantury warowało paru cerberów. Już dochodziły głosy, że Szczerkow jako sługus okupanta i polski pies łańcuchowy długo nie pociągnie.

– Szef u siebie?

W tych nowych mundurach wyglądali do rzeczy. Parę razy wziął takich jak oni za chłopaków z Lublińca. Różnili się jedynie czarnymi beretami na głowach. Poza tym wyposażenie, regulaminy i komendy były zupełnie takie same jak w kraju nad Wisłą.

Właśnie – komendy. Nie było w tym niczego dziwnego, skoro ściągnięto do Moskwy wszystkich dostępnych instruktorów. Całość działań nazwano transformacją sił porządkowych.

Równolegle trwały zabiegi nad odtworzeniem zupełnie nowych rosyjskich sił zbrojnych, oczywiście pod kontrolą sojuszników. Na początek stan określono na dziesięć brygad, by zrównoważyć to, co znajdowało się dalej na wschodzie i wciąż służyło pod rozkazami dawnej administracji. W naturalny sposób powstawały dwie Rosje. Na dłuższą metę nikt nie zaakceptuje takiego stanu rzeczy.

Usłyszał potwierdzenie i wmaszerował do tej części gmachu, którą niepodzielnie władał Szczerkow. Mając na uwadze doświadczenia z Iraku, ochrona była tu szczególnie rozbudowana. Kolejna bramka i punkt sprawdzający przepustki. Lepiej dmuchać na zimne.

Wyminął wszystkie, nie zwracając sobie głowy formalnościami. Akurat jego znali tu wszyscy.

– Cześć, Andriej. – Szczerkow uniósł głowę znad dokumentu, który właśnie czytał, i odezwał się pierwszy, zanim Wirski zdołał wyksztusić choć słowo.

- Czołem. – Polak opadł na krzesło po przeciwnej stronie biurka.
- Czytałeś?

– Nie.

– Sam zobacz, co mi tu przysłali.

– Co to jest? „Wytyczne dotyczące organizacji sił policyjnych”. – Przejrzał nagłówek. – Wydane w Nowym Jorku.

– Czy im wydaje, że Moskwa to Nowy Jork?

– Nie wiem. Może mają dobre chęci.

– To pewne. Tylko że one zupełnie nie pasują do naszych warunków. Wiesz, co ja myślę? – Szczerkow zmrużył oczy. – Wasi przyjaciele chcą się was jak najszybciej stąd pozbyć.

– A miałeś co do tego jakieś wątpliwości?

– Powinniśmy...

– Wasilij, proszę, zaraz zahaczmy o politykę i nie skończymy przed wieczorem. Ja wiem, co powinniśmy, ty wiesz i mam nadzieję, że ci we Warszawie też. Przynajmniej sprawiają takie wrażenie. – Wirski umilkł, a Rosjanin wziął głęboki oddech.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne, ale dopiero jutro. Na dziś przygotowałem coś specjalnego. Maszkina chciałbyś dorwać? – Widząc zaskoczenie na twarzy Szczerkowa, nie potrafił się powstrzymać. – No, ja myślę...

– Gdzie jest?

– A tu, zupełnie niedaleko. Zaraz po niego jadę.

– Przywieź mi jego łeb na talerzu. – Komendant wypuścił powietrze przez zęby.

– Łeb to sam mu utniesz. Mnie w to nie mieszaj.

– Swołocz. Wiesz, co on wyprawiał?

– Owszem. Nie denerwuj się tak.

Przekleństwa zazgrzytały w zębach policjanta. Trochę trwało, zanim przestał ciskać się po biurze i zaczął spokojnie oddychać.

– Słuszaj, Andriej... W Nogińsku... Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę.

– Właśnie tam anarchiści przejęli Radę Miejską, wypieprzając nowych przedstawicieli. Wytarzali ich w smole i pierzu. Teraz puszczają to na Youtube. Jest już ponad dziesięć milionów wejść.

– Muszę to obejrzeć.

Szczerkow zignorował zaczepkę.

– Ty masz dobre układy z anarchistami.

– Miałem, Wasilij, miałem. Dawno nieaktualne.

– Podobno jeden z nich to twój kumpel. Zbiegł z obozu. Warłam... nazwiska nie pamiętam. To jak?

Nieznośny ciężar przygniół pierś. To nieprawdopodobne, jak układają się ludzkie żywoty. Jeżeli to faktycznie jest Warłam, to jakaś część przeszłości zostanie wyciągnięta z niebytu.

– Pojadę tam jeszcze dziś.

– Pojedź, pogadaj. Na pewno dojdziecie do porozumienia. A Maszkina...

– Tak, wiem. Za godzinę sam go wytarzasz w pierzu.

•

Czując zbliżające się łaskotanie w nosie, wyciągnęła chusteczkę, odwróciła się i – na ile potrafiła dyskretnie – kichnęła. Zdążyła w ostatnim momencie. Wszystko powtórzyło się ze trzy razy, aż cisnęła zmięty papier do kosza.

Dobrze, że już po spotkaniu. Przecież wszyscy wiedzą, że wysocy urzędnicy państwowi nie kichają, nie kaszlą i nie chorują. To dobre dla maluczkich, a skaza na wizerunku nie pasowała do kogoś takiego jak ona. Osoba na jej stanowisku była jak cyborg, ponad ludzkimi słabościami.

– Może poproszę doktora Willisa... – odezwał się asystent.

– Zamknij się, Doug.

– Przecież widzę, że nie wszystko jest w porządku.

– Daj mi nowe opakowanie jednorazówek, jeżeli jakieś masz. Moje się skończyły. Szybciej, nie wytrę nosa w palce.

– Trzymaj.

Tak lepiej. Szybko doprowadziła makijaż do porządku. Wizyta w Moskwie jak na obecne standardy i tak trwała zbyt długo. Przyjechała przedwczoraj, a jutro rano odlatywała do Waszyngtonu. W sumie wychodziły jakieś trzy doby szczelnie wypełnione spotkaniami i konferencjami. Już w drodze na lotnisko zaczęła pisać z tego raport, bo zaraz po wylądowaniu stanie przed prezydentem, sekretarzami, przedstawicielami Kongresu i wojska, żeby zdać relację. To, co powie, nakreśli linię dalszego postępowania wobec Rosji – na kogo postawić, a kto już na obecnym etapie jest bez szans. I najważniejsze, co dalej z tym niby-państwkiem reprezentowanym przez Ławrowa.

Jak na razie największym przegranym był Aleksiej Nawalny. Blogger, dziennikarz i opozycjonista zrobił na niej fatalne wrażenie. On autentycznie widział siebie na czele państwa, a arogancją i bezczelnością przewyższał chyba samego Putina. Po czterdziestu minutach rozmowy wyszła zirytowana i rozdrażniona, choć oczywiście się uśmiechała i potakiwała każdemu słowu, jakie padło z ust Rosjanina. Jego urok zupełnie na nią nie działał, raczej kojarzył się z prowincjuszem, który wszystkim próbuje udowodnić, jaki jest wyjątkowy.

Nie z nią te numery. Repertuar gestów, przymileń i prób straszenia wziął chyba z arsenału Władimira Władimirowicza. Jeżeli myśli, że na niego postawią, to się grubo myli.

Zeszli do samochodu. Następny przystanek to ambasada. Kolejna będzie narada w wewnętrznym gronie, po południu dowie się, co ma do powiedzenia szef tutejszej delegatury CIA, a wieczorem zamieni parę słów z gubernatorem. W przeciwieństwie do Nawalnego ten Polak chociaż się starał. Trochę za młody, ale z otwartą głową i bez uprzedzeń. Z przyjemnością wysłucha, jakie są jego spostrzeżenia. Ostatnie konsultacje z samego rana i parogodzinny lot. Odpocznie... może w weekend, do którego zostało parę dni, lecz znając siebie i wagę problemu, zajmie się robotą.

– Ash, nie pędź tak, poczekaj.

– Słaba kondycja?

– Nie. Buty mnie cisną. – Doug podskoczył na jednej nodze.

Otoczyło ich kilku agentów Secret Service i sprowadziło do limuzyny. Jazda pomiędzy merostwem, gdzie już urzędował Nawalny, a ambasadą zajmie kilkanaście minut. To wystarczy na zebranie myśli.

– Jakie wrażenia? – Asystent siadł obok z aktówką na kolanach.

– Buc.

– Wiesz, że stąpasz po cienkim lodzie. Kerry na niego liczy.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Może niepotrzebnie go skreślasz. Młody jest, wyrobi się.

– To tępy nacjonalista. Zawsze taki był. Marzy o władzy i jednej niepodzielnej Rosji, oczywiście pod własnym przywództwem.

– Czegoś tu nie rozumiem. Ze wszystkich dostępnych materiałów wyłania się obraz krytyka Putina. Osoby nienagannej moralnie i politycznie, tropiącej korupcję i prześladowanej, a ty po jednym spotkaniu przekreślasz jego wszystkie osiągnięcia.

– Doug, ile u nas pracujesz?

– Długo.

– Dwa lata? Trzy?

– Jakoś tak.

– Przyszedłeś zaraz po Harvardzie.

– A co to ma do rzeczy? Jesteś w tej branży niewiele dłużej ode mnie.

– Tak ci się tylko wydaje. – Przymknęła oczy. Tłumaczyć się nie musiała i nie chciała. O polityce

wiedziała dość. Przeszła dobrą szkołę u Gary'ego. Ostatecznie pomógł jej przypadek, wiedziała o tym dobrze. W normalnych warunkach o stanowisku prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego mogła jedynie pomarzyć. Właściwie każda z osób piastujących tę funkcję to wybitna jednostka, kształtująca światową politykę.

Popatrzyła przez okno. Parę osób podążało ulicą, zajęte swoimi sprawami. W sumie nic się nie działo. Bez wątpienia przejeżdżali przez centrum. Spodziewała się... Właściwie czego? Rojnego, gwarne miasta mimo niedawnego konfliktu. Pewnie takim było, tyle że nie w tym miejscu. Wszędzie zmotoryzowane i piesze patrole wojska i policji, transportery na ziemi, helikoptery na niebie. O, właśnie kogoś zatrzymali. Paru dryblasów prowadziło człowieka z wykręconymi rękoma i workiem na głowie. Tak nie można. Każdy ma swoje prawa. Pogada o tym z Tarnowskim i ludźmi odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo.

Wzrok automatycznie przesuwiał się z jednego żołnierza na drugiego. Jakiś właśnie zdejmował hełm, uważnie przyglądając się limuzynie.

W realnym świecie cuda się nie zdarzają. Podobno. Fala gorąca przeszła jej ciało i umysł.

– Ash, wyglądasz, jakbyś...

– Stój! – Wcześniej nie sądziła, że potrafi wydobyć z gardła taki krzyk.

– Co?

– Stój! – powtórzyła z nie mniejszym natężeniem.

Trzeba przyznać, że ochrona zareagowała błyskawicznie – broń pojawiła się na widoku, a kierowca wcisnął gaz.

– Głuchy jesteś?! – Walnęła teraz pięścią w nie do końca zasuniętą szybę pomiędzy częścią pasażerską a szoferką. – Natychmiast zatrzymaj!

– Ash, co ty wyprawiasz?

– Rób, co mówię. – Niech szlag trafi jej karierę i to, czy się wygłupi.

Gwałtowne hamowanie rzuciło pasażerami do przodu. Przytrzymała się siedzenia, żeby nie wyrzucić głowę w przepierzenie. Gdzie jest ta cholerna klamka?

– Co ty wyprawiasz?

– Doug, o jedno cię proszę: obojętnie, co się będzie działo, nie wchodź mi w drogę.

– To nierozsądne...

– Całe życie byłam rozsądna, pozwól mi na odrobinę szaleństwa.

Próbował jeszcze coś powiedzieć, lecz groźnie uniosła palec do góry i wyskoczyła z wozu.

Nie co dzień paratonowa opancerzona limuzyna staje na środku ulicy. SUV-y ochrony podjechały z prawa i z lewa. Co najmniej dziesięciu agentów zajęło pozycje, mierząc z automatów we wszystkich kierunkach. Nikt nie wiedział, co się stało. Sygnał o zagrożeniu popłynął do ambasady. W trzy minuty nad nimi znajdzie się drużyna szybkiego reagowania w Black Hawku i transportery żandarmerii. Mało ją to obchodziło. Gdy zaczęła szybko iść w kierunku Andrzeja, myślała tylko o tym, jak się zachowa i co powie. Stał tam w towarzystwie jakiegoś kumpla. Obaj wyglądali na bardzo zaskoczonych. Ten obok gadał jak najęty. Pewnie spodziewali się najgorszego. W końcu i on ruszył w jej stronę. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Otarła je dłonią. Wyglądał tak, jak go zapamiętała. Może spoważniał. Nic poza tym nie różniło go od człowieka, którego znała.

•  
– Co dokładnie powiedział Szczerkow?

– Ile razy mam powtarzać to samo? – Ciągłe dopytywanie się Pawłowskiego drażniło Andrzeja.

– Na takich skurwieli przygotował szczególnie głęboką piwnicę.

– Wcale nie wygląda na bandytę.

– Ujęły cię te paczki eurowek, które próbował nam wcisnąć?

– Ba! Ile tego było? – zainteresował się Arek.

– Bo ja wiem... dwadzieścia–trzydzieści tysięcy, i to tylko na drobne wydatki. Jak zostanie przyciśnięty, powie, gdzie ma konta.

– To sam go przepytam.

Wyszli na ulicę. Maszkin nie przypominał już dawnego generała policji. Zresztą nawet gdyby, to mało kto by go rozpoznał w jutowym worku na głowie. Obok przejeżdżała amerykańska rządowa kawalkada. Pewnie ktoś z Departamentu Stanu. Nikt niżej w rządowej hierarchii nie poruszał się w tak silnie chronionym konwoju. Nim zdążył odprowadzić ją wzrokiem, zaczęły się dziać dziwne rzeczy – samochód zawył na zwiększonych obrotach, lecz zanim wystartował jak rakieta kosmiczna, zapuszczają hamulce. Biały dym poszedł spod kół. Kompletnie powariowali.

– Ty, co się dzieje? – Karabinek Pawłowskiego na wszelki wypadek znalazł się w pozycji do strzału.

– Nie wariuj.

– To nie mnie odbiło.

Reszta zespołu otoczyła Humvee, do którego wpakowano Maszkina. Jeżeli to ma być próba odbicia, to padną trupem, ale nie wypuszczą generała z rąk. Oczy wszystkich utkwione były w jednym punkcie. Jakaś kobieta przepchnęła się przez ochronę. Co ona wyprawia? O, jasny gwint. Mimowolnie zrobił parę kroków, stanął i znów zaczął iść.

Nic się nie zmieniła. Wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ją widział ostatnim razem. Kiedy to było? Trzy lata temu. Prawie cztery. Szmąt czasu.

Ci wszyscy ludzie musieli mieć niezłe widowisko, gdy oboje spotkali się w połowie drogi. Był za stary, by się tym przejmować.

– Pamiętasz mnie? – Stała dosłownie o krok.

Czy pamiętał? Nigdy o niej nie zapomniał. Momentalnie wszystko wróciło.

– Nie patrz tak na mnie.

– To co mam zrobić?

– Przytul mnie.

NOGIŃSK | późne popołudnie tego samego dnia

Jeszcze rano myślał, że nie zazna spokojnego snu, skazany do końca życia na nerwowe czuwanie noc w noc i wpatrywanie się w cienie na ścianach. I nie chodziło tu bynajmniej o stres. Z nim oswoił się już dawno. Tu szło o jego życie. Jak długo będzie znajdował siły, by działać w terenie? Wszystko ma swój koniec. On również. A obecnie częściej zastanawiał nad przeszłością niż przyszłością. Co zrobić, w pewnym wieku tak już jest.

Prawdę mówiąc, miał tego wszystkiego dosyć. W służbie, bo trudno to nazwać pracą, nie potrafił się już odnaleźć. Rachunek zysków i strat był zdecydowanie wyższy po tej drugiej stronie. Poranne wstawanie przychodziło z trudem, wypalony i zniechęcony stawał się cieniem samego siebie. W ten sposób funkcjonować się nie da. Za rok, dwa zajrzy w lufę pistoletu i pociągnie za spust. Za dużo widział i za dużo przeżył. Stop. Wystarczy.

I nagle wszystko ponownie nabrało sensu.

Moment spotkania przeżywał wciąż od początku: samochód, pisk hamulców i ona wyłaniająca się spoza pleców obstawy. Wszystko jak w idiotycznym, łzawym melodramacie. Pierwsze słowa, pierwsze pocałunki. Nie wiedział, że jest aż tak ważną figurą. Odstawał o parę długości. Dzieliło ich w zasadzie wszystko, lecz ku jego zdziwieniu Ashley zdawała się to ignorować z wrodzonym sobie wdziękiem. Nie przejmowała się tym, co zaszło, i wyraźnie sugerowała, że jest gotowa rozpocząć nowy etap.

W jego przypadku nie było to takie proste. Potrzebował więcej czasu. Byli umówieni na dziś wieczór. Porozmawiają. Wtedy zobaczy, na czym stoi. Podobno nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. No cóż, wydawało się, że jest na dobrej drodze, by popełnić ten błąd po raz kolejny.

Jeżeli na dodatek odnajdzie Warłama, uzna to za prawdziwy znak z nieba. Właściwie to nie wiedział, czego się spodziewać – zbuntowanego miasta czy kompletnej pustki na ulicach. Jak na

razie wszystko wskazywało na to drugie.

Do Nogińska pomknęli Szosą Entuzjastów. Zabawna nazwa, jeżeli się wiedziało, że to właśnie tędy wysyłano na wschód miliony zesańców. Typowy przejaw rosyjskiego czarnego humoru.

Miasto z dużymi zakładami włókienniczymi podobno balansowało na skraju bezprawia. Nowe władze nie zdążyły się w nim zainstalować, a informacje z wielu źródeł mówiły o znacznym wpływie na sytuację anarchistów wprowadzających własne porządki. Kto jak kto, ale Warłam musiał się tu czuć wspaniale. Idea w końcu została urzeczywistniona. Jeżeli on tym wszystkim kręci, żadnej z towarzyszących Wirskiemu osób nie spadnie włos z głowy.

Być może ten dym na błękitnym niebie powinien stanowić ostrzeżenie, lecz równie dobrze płonąć mógł las czy jakieś zabudowania na skraju miasta. Zresztą pożar nie musiał być dziełem człowieka. Po zaledwie paru pochmurnych i deszczowych dniach nad kontynent ponownie nadciągnęła fala gorąca. Już teraz mówiono o najbardziej suchym lecie ostatniego półwiecza. Temperatury dobijały do czterdziestu stopni, a wszyscy z wytęsknieniem oczekiwali ochłodzenia.

Dwa Humvee zatrzymały się na poboczu tuż przed wjazdem do Nogińska. Lepiej będzie, jak stąd się wszystkiemu przyjrzą, zanim zapuszczą się w ulice.

Wysiedli, rozprostowali nogi. Pawłowski uniósł lornetkę.

– Pusto.

– To akurat widzę i bez zbliżenia.

– Poczekaj...

– Daj już spokój. – Andrzej przełożył karabinek na drugie ramię i ciężko westchnął.

– Założę się, że gdzieś tam jest obserwator. – Ponad niskie wiejskie przedmieścia wyrastało parę wyższych prefabrykowanych bloków i kominy.

Ten refleks światła pewnie pochodził z rozbitego okna.

– Jedziemy.

– Wiem, że ci śpieszno. – Pawłowski próbował coś jeszcze dodać, ale odpuścił, widząc zniecierpliwienie przyjaciela.

– Warłam to naprawdę świetny gość.

– Skoro tak twierdzisz. Teraz ja poprowadzę.

Wyminęli się przed maską terenówki. Gdy później Arek analizował wydarzenia sekunda po sekundzie, ten dźwięk nawet nie zabrzmiał jak strzał, raczej jak trzask złamanej suchej gałązki.

– Wsiadaj.

Andrzej usłyszał ponaglenie, lecz nie potrafił zrobić kroku. Nieznośny ból przewiercił plecy. Oparł się o drzwiczki. Już nie widział reszty grupy ruszającej z pomocą. Nogi pod nim ugięły się i runął w pył pobocza. Świadomość wypełnił obraz samego siebie oglądanego z góry. Co dziwne, nie czuł przerażenia. To się po prostu zdarzyło i już. Słońce zalewało wszystko ciepłym blaskiem. Może przejdzie kawałek tą drogą i zobaczy, co jest za zakrętem?